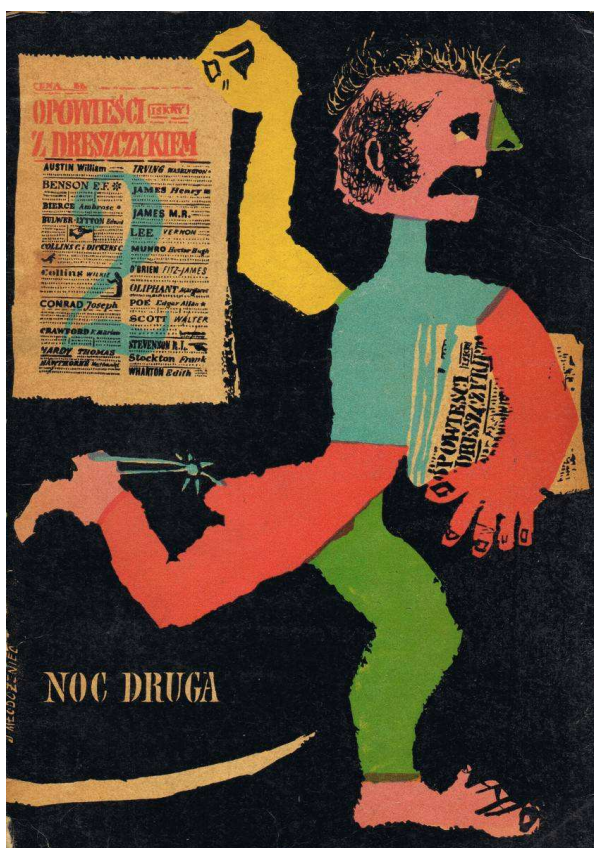


OPOWIEŚCI Z DRESZCZYKIEM

NOC DRUGA

WYBRAŁ I OPRACOWAŁ MAXIM LIEBER



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1960

PRZEDMOWA

Recenzując w roku 1842 „Dwakroć opowiedziane historie” Hawthorne'a, Edgar Allan Poe pisał:

„Doświadczony w kunszcie pisarskim artysta t w o r z y swą opowieść. Jeśli jest mądry, nie kształtuje swoich koncepcji tak, by pasowały do opisywanych wypadków, lecz przeciwnie, obrawszy z rozważą pewien szczególny efekt, który chciałby osiągnąć, tak dobiera zdarzenia, by jak najlepiej prowadziły do wytkniętego celu. Jeśli już pierwsze zdanie nie służy tym założeniom, na samym wstępie poniósł artysta klęskę. W całym utworze nie powinno być ani jednego słowa, które by w sposób czy to pośredni, czy też bezpośredni nie przygotowywało zamierzonego efektu”.

Mimo że słowa Poego mogą budzić sprzeczne opinie, mimo że jego pogląd może razić jako zbyt schematyczny i mechanistyczny, musimy przyznać, że nacisk, jaki położył na cechy strukturalne, pozwolił wyodrębnić opowiadanie jako samodzielny gatunek literacki, odmienny od innych, dłuższych, form prozy narracyjnej. Zasadniczą cechą wyróżniającą stanowiła przy tym nie tyle długość, co jedność wrażenia. Celem opowiadania było dla Poego „osiągnięcie określonego efektu przy użyciu jak najoszczędniejszych środków literackich, niezbędnych do wywołania pełnego wrażenia”.

W jakim stopniu opowiadania zawarte w tym tomie osiągają zamierzony cel, pozostawiamy opinii czytelnika. Jedno wszakże jest pewne: że wszystkie są owocem najwyższego artysty, o czym najdobitniej świadczy fakt, że wiele z nich stanowiło i dotąd stanowi ulubioną lekturę czytelników angielskich i amerykańskich.

Obok swego literackiego kunsztu, opowiadania niniejszego wyboru mają jeszcze jedną cechę, która je łączy — jest nią pierwiastek grozy, zaprawiony często przymieszką fantastyki. Mimo że jesteśmy dziećmi wieku realistycznego, jesteśmy także wnukami owej wcześniejszej epoki, kiedy niepodzielnie rządził przesąd, kiedy astrologowie i alchemicy uprawiali swoje szarlatańskie praktyki na zasnutych pajęczynami poddaszach, kiedy duchy nawiedzały ludzkie siedziby, a czarownice, jeśli nie warzyły jak w „Makbecie” diabelskich mikstur, to dosiadały miotł przemieszczając na nich przestrzenie niebieskie. Świat pogodził się już z tak zadziwiającym osiągnięciem nauki jak stworzony rękami człowieka sztuczny satelita krążący dokoła słońca, ale jakże wielu z nas miałooby ochotę dziś jeszcze zawołać za Hamletem:

Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie,
Niż się ich śniło naszym filozofom.

I jakkolwiek gorąco by temu zaprzeczać, większość z nas wciąż jeszcze dreszczem grozy przenika widok rozdzierającej niebo błyskawicy i gniewny pomruk grzmotu, wciąż jeszcze lękiem napawa każdy tajemniczy szmer, a skry z płonącego polana przejmują trwogą nie mniejszą niż naszych prehistorycznych przodków. Pomimo zadziwiających postępów wiedzy wciąż jeszcze żywiły roją się w pojęciu niektórych z nas od demonicznych istot, jakie zaludniały „Piekło” Dantego i płótna Hieronima Boscha. I żeby nie wiem jak rozsądek nasz zaprzeczał ich istnieniu, to jednak — uderzmy się w piersi — wciąż lubimy o nich czytać.

Jest to niewinna słabostka, której z całym spokojem możemy się poddać, skoro pisarze tej miary, co Walter Scott, Charles Dickens, Henry James czy Edith Wharton z upodobaniem wracali w swej twórczości do tematów fantastycznych. Pomysłowy, twórczy, sugestywny autor potrafi magią swego talentu nawet z najbardziej nierealistycznego tematu wyczarować złudzenie realności, sprawiające, że czytamy z zapartym tchem. A to jest w końcu jednym ze szczytnych zadań sztuki.

Maxim Lieber

WALTER SCOTT

Sir Walter Scott (1771—1832) urodził się w Edynburgu jako syn prawnika i sam był praktykującym adwokatem. Od najmłodszych lat decydujący wpływ na jego wyobraźnię wywierał folklor szkocki, który w połączeniu z bogatą lekturą rozbudził w nim talent literacki. Scott rozpoczął od kolekcjonowania legend i ballad szkockich oraz przekładów z niemieckich poetów romantycznych, by w roku 1805 wydać pierwszy oryginalny poemat, „Pieśń ostatniego minstrela”. Później napisał jeszcze kilka podobnych narracyjnych utworów poetyckich, do historii literatury wszedł jednak przede wszystkim jako twórca powieści historycznej. Jego pierwszą powieścią był „Waverley” (1814), z późniejszych najbardziej znane są „Rob Roy” (1817), „Ivanhoe” (1820), „Kenilworth” (1821) i „Quentin Durward” (1823). Sięgają one do przeszłości zarówno rodzinnej Szkocji, jak i Anglii oraz kontynentu europejskiego i odznaczają się żywym obrazem epoki oraz awanturniczą akcją. „Opowieść kobziarza”, najlepsze bodaj opowiadanie Scotta, wyjęte jest z powieści pt. „Redgauntlet” (1824) i stanowi wymowny dowód wpływu, jaki na Scotta wywarła ludowa tradycja szkocka.

OPOWIEŚĆ KOBZIARZA

Słyszeliście pewno o sir Robercie Redgauntlet, panu na zamku Redgauntlet, który żył w tych stronach przed owymi chudymi laty. Cała ta kraina długo będzie go pamiętała; ojcowie nasi tylko głęboko wzdychali, ilekroć kto wymienił jego imię. To on w czasach Montrose'a był het, za granicą na czele szkockich górali, a potem w tysiąc sześćset pięćdziesiątym drugim znów walczył w naszych górach przy boku Glencairna. Więc co dziwnego, że kiedy król Karol II powrócił, mało kto był w takich łaskach jak pan na Redgauntlet. Otrzymał na dworze londyńskim zaszczytny tytuł rycerski od samego króla (z jego własnych rąk), a będąc zażartym stronnikiem prałatów przybył tu niczym rozszalały lew z patentem królewskim na władzę sędziego (a z tego, co wiem, to i na szaleńca mógłby mieć drugi), by uporać się ostatecznie z wigami i covenantarami w całym kraju. Ciężka była praca, bo wigowie byli równie zawzięci jak rojaliści zapalczywi, i chodziło tylko o to, kto kogo zmoże uporem. Redgauntlet był zawsze zwolennikiem twardej ręki no i dlatego pozostał do dziś w kraju tak znany jak Claverhouse czy Tom Dalrymple. Doliny ni góry, ni pieczary nie mogły dać schronienia biednym mieszkańcom gór, kiedy Redgauntlet wyruszał na łowy z trąbką myśliwską i z psami gończyymi, całkiem jak by to nie na ludzi się wybierał, a na jelenie. I zaprawdę, kiedy kogo przychwycił, niewiele więcej robił z nim ceregieli niżli nasz góral, gdy natknie się na jelenia. Ot, najwyżej krzyknął: „Gotów jesteś do przysięgi?”, a jak nie to: „Cel, pal!” i już leżał ten, co się ośmielił odmówić.

Jak kraj długi i szeroki ludzie nienawidzili sir Roberta i bali się go szczerze; mówili, że jest w bliskiej komitywie z diabłem, że stal się go nie ima, a kule odskakują od jego kaftana jak grad od ogniska, że ma klacz, co na urwistym zboczu Carrifra w zająca zmieniać się potrafi i wiele innych podobnych opowieści, o których jeszcze tu wspomnę. Najlepsze życzenie, jakie za nim posyłano to: „Niech diabeł porwie Redgauntleta”. Jednakże dla swoich ludzi nie był złym panem i dzierżawcy nawet go dosyć lubili. Jeżeli zaś idzie o służbę i drużynę, którą zabierał ze sobą na „wyprawy”, jak wigowie nazywali te pańskie rozrywki, to każdy z nich był zawsze gotów pić na umór jego zdrowie.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że ojciec mój żył na kawałku ziemi Redgauntleta, który zwano Primrose Knowe. Zresztą od niepamiętnych czasów panami moich dziadów byli ich przodkowie. Piękny to był kawałek ziemi i wydaje mi się, jak by powietrze tam było czystsze i świeższe niż gdziekolwiek w całym kraju. Dziś nasz dom jest całkiem opuszczony; trzy dni temu siedziałem tam przed dawnym wejściem i cieszyłem się, że nie mogę widzieć, w

jakim stanie jest wewnątrz, ale nie o tym chcę teraz mówić. Tutaj mieszkał ojciec mój, Steenie Steenson; w dzieciństwie był on ponoć żywym, rozgadany smykem i od wczesnych lat zasłynął jako dobry kobziarz; znane były jego przygrywki do tańców szkockich — nikt w całym Cumberland w tym go nie prześcignął, bo palce miał zręczne jak rzadko. Tacy jak Steenie nie nadawali się na wigów. Wobec tego, z musu po prostu, stał się torysem — jak wtedy zwano dzisiejszych jakobitów — bo do jakiejś strony musiał przecież przystać. Ale nie życzył źle żadnemu wigowi i nie lubił rozlewu krwi, choć będąc obowiązany do towarzyszenia sir Robertowi w jego rozmaitych wyprawach, wiele widział krzywd, a może i przyłożyć musiał do czego ręki, gdy już nie zdołał tego uniknąć.

Ten więc Steenie był dosyć lubiany przez samego dziedzica, a na zamku znał wszystkich, bo go często wołano, by grał na kobzie, kiedy się panowie weselili. Stary Dougal MacCallum, piwniczy, co z sir Robertem przeszedł wiele, bo był z nim w latach tłustych i chudych, na wozie i pod wozem, bardzo się lubował w grze na kobzie i zawsze za moim ojcem przemówił u pana, a Dougal miał duży wpływ na sir Roberta.

Potem przyszła Rewolucja i już wydawać się zaczęło, że wreszcie coś zdoła złamać ich obu, to znaczy Dougala i jego pana. Lecz w rzeczywistości te zmiany nie były aż tak wielkie, jak się ci dwaj obawiali i jak inni ludzie pragnęli *. Wigowie obiecywali już sobie, co zrobią wreszcie ze swymi dawnymi wrogami, a zwłaszcza z sir Robertem. Ale za dużo ważnych osobistości maczało w takich sprawach palce, żeby teraz dało się ten nowy porządek tak zupełnie bez ich udziału ugruntować. No i sir Robert — z tą jedną różnicą, że zamiast na covenanterów, polował już tylko na lisy — żył sobie w spokoju.

Zabawy były równie huczne, a zamek równie rześcicie oświetlony jak zawsze, choć może dziedzic odczuwał trochę brak opłat karnych, którymi nonkonformiści zapelniali mu ongi spiżarnie i piwnice. Bo niewątpliwie zaczął w tym czasie bardziej pilnować czynszów, toteż jego dzierżawcy mocno się musieli starać, żeby nie przekroczyć terminu i nie narazić się na niezadowolenie dziedzica. A był sir Robert tak groźnym człowiekiem, że nikt nie ważył się rozpętać jego gniewu, bowiem przekleństwa, jakie zwykł miotać, i wściekłość w jaką zwykł wpadać, pospołu ze strasznym wyrazem twarzy sprawiały, że niejednen uważał go za diabła wcielonego.

No cóż, mój ojciec nie był zbyt gospodarny — nie żeby jakoś trwonił majątek, ale po prostu nie miał zmyślności do oszczędzania — i kiedyś zdarzyło się, że zalegał z czynszem za dwa półrocza. Na Zielone Świątki ledwie mu się udało wykręcić zręcznym słówkiem i grą na kobzie, ale przed świętym Marcinem pisarz z Redgauntlet przypomniał przez umyślnego, żeby Steenie ani o dzień nie spóźnił się teraz, bo w przeciwnym razie może zbierać manatki i wynosić się z dzierżawy. Niełatwe to było zebrać tyle srebra, ale że go powszechnie lubiano, więc w końcu zdołał jakoś całość — te tysiąc marek — zdobyć.

Większą część pieniędzy pożyczył mu jeden z sąsiadów, co go zwali Laurie Lapraik. Ten Laurie to był chytry lis! Miał dobytku niemało — umiał i z psami gonić, i z zającem uciekać, a zależnie jak powiał wiatr, to był wigiem, to znów torysem, to świętym, to grzesznikiem. W czasie Rewolucji był po jej stronie, ale że lubił zakosztować przy dźwiękach kobzy uciech tego świata, więc uznał, że ma dobre zabezpieczenie dla srebra, które mój ojciec od niego pożyczył, by zapłacić czynsz za Primrose Knowe.

Wyruszył więc mój ojciec do zamku Redgauntlet z ciężką sakiewką i lekkim sercem zadowolony, że jakoś uniknie gniewu pańskiego. Zaraz po przyjeździe mówią mu, że sir Robert tak się zagniewał, kiedy do dwunastej go nie było, że aż ma teraz atak podagry. Ale zdaniem

* Ostrożność i przezorność króla Williama III i jego zasady nieograniczonej tolerancji pozbawiły camerończyków tak gorąco wyczekiwanej sposobności pomśzczenia wreszcie krzywd, jakie zaznali za panowania prałatów, i jak mówili, oczyszczenia kraju ze zmyzy krwi. Toteż nie bardzo cenili sobie Rewolucję, która ani nie przyniosła odrodzenia szkockiego Kirku (kościół) w pełnej świetności, ani pomśzczenia śmierci męczenników na ich przesładowcach (przyp. aut.).

Dougala to nie o pieniądze tak bardzo chodziło panu, tylko o to, że nie chciał stracić mego ojca jako dzierżawcy. Sam Dougal ucieszył się, widząc przybyłego i wprowadził go do wielkiej dębowej sali. Siedział tam jego miłość samotnie, jeśli nie liczyć skaczącego przy nim wielkiego małpizona, ulubieńca pańskiego, o którym każdy w najgorszych wyrażał się słowach. Rozpuszczone to było bydłę i coraz to jakieś przykre figle płała otoczeniu; dogodzić mu było trudno, w złość wpadało z byle powodu, a ganiało luzem po całym zamku, robiąc wrzask i hałas. Coraz to kogoś uszczypnie, to ugryzie, a już specjalnie dokuczliwe bywało przed deszczem albo kiedy w domu było jakieś zamieszanie. Sir Robert nazwał małpę major Weir, po spalonym na stosie czarowniku. Mało było takich, którym by się podobało to miano czy obyczaj owego stworzenia. Mówiono powszechnie, że jest w nim coś niesamowitego; ojcu też się nieswojo zrobiło, kiedy drzwi za nim zamknięto i ujrzał, że prócz niego znajdują się w sali tylko pan, Dougal MacCallum i major; nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło.

Sir Robert siedział, a raczej należałoby powiedzieć leżał, w wielkim fotelu, nogi oparłszy na bujającym podnóżku. Prócz podagry bowiem cierpiał na kamienie i twarz miał tak diabelnie zmienioną, że aż szarą. Naprzeciw niego przycupnął major Weir w mundurze z czerwonymi naszywkami i z pańską peruką na głowie i ilekroć sir Robert wykrzywił się z bólu, małpa wykrzywiła się także jak głowa owcy ujęta w szczypce; nieszczęsna i ponura była to para. Wojskowy kaftan pana wisiał tuż za nim na gwoździu, a starym zwyczajem i parę pistoletów miał sir Robert pod ręką. Nie tylko broń była zawsze gotowa, ale i rumak, co stał dzień i noc osiodłany zupełnie tak samo jak wtedy, gdy za byle wieścią, iż dostrzeżono gdzieś w górach jakichś ukrywających się biedaków, pan gotów był w jednej chwili skoczyć na siodło i ruszać w pogoń. Mawiano, że sir Robert boi się teraz zemsty wigów, ale mnie się widzi, że to po prostu miał od lat we krwi, bo ani się z nikim nie liczył, ani nikogo się nie bał. Księga czynszów w czarnej oprawie i z mosiężnymi okuciami leżała koło niego, a wśród jej kart tkwił zbiorak bardzo świeckich i sprośnych przyśpiewek, by oznaczyć miejsce, gdzie czarno na białym widniało świadectwo, ile dzierżawca Primrose Knowe zalega już z czynszem i innymi powinnościami. Sir Robert spojrzął na mego ojca tak, jak by mu chciał wyszarpać z piersi serce. Słyszeliście pewnie, iż miał zwyczaj tak ściągać brwi, że aż na czole pojawiała mu się podkowa — ciemny znak, wyraźny jakby wydeptany.

— Z pustymi rękami przyszedłeś tutaj, ty hultaju?! — spytał sir Robert. — Jeżeli sobie myślisz...

Z najpogodniejszą miną, na jaką mógł się zdobyć, mój ojciec postąpił w stronę stołu, i położył na nim sakiewkę takim gestem jak człowiek zadowolony, że mu się coś mądrego udało. Pan przyciągnął szybko ku sobie woreczek.

— Ejże, Steenie, wszystko tu jest?

— Wasza miłość sam stwierdzi — odparł ojciec.

— Hej, Dougal! — zawołał pan. — Daj mi łyknąć gorzałki, aż ja tu policzę pieniądze i wypiszę kwit.

Ale jeszcze dobrze nie wyszli za próg, gdy sir Robert zawył tak straszliwie, że aż cały zamek zatrzęsł się w posadach. Dougal rzucił się z powrotem, nadbiegli lokaje, a pan wył raz po raz coraz głośniejsze, coraz okropniejsze. Ojciec mój nie wiedział, co robić, czy stać, czy jechać, ale ośmielił się wreszcie wrócić tam, skąd wyszedł, a gdzie teraz powstało takie zamieszanie, że nie było nikogo do mówienia „wejdz” czy „wynoś się”. Pan ryczał rozpaczliwie, żeby przynieśli zimnej wody do nóg i wina dla ochłody gardła i wciąż miał na ustach słowa: „Piekło, piekło, piekło, wszystkie ognie piekielne!” Przyniesiono wody, lecz zanurzwszy w niej nogi, pan wrzasnął, że to ukrop; a mówią ludzie, że w miednicy naprawdę bulgotało i szumiało jak wrzątek w kotle. Potem rzucił kubkiem w Dougala krzycząc, że krwi mu w nim dał; i żebyście wiedzieli, następnego ranka dziewczyna zmywała z dywanu zakrzepłą krew. Ta małpa, co ją zwali major Weir, skrzeczała i wrzeszczała bez ustanku, jak by przedrzeźniała swego pana. Ojcu zdawało się, że mu głowa pęka. Zapomniał o pieniądzach i o kwicie; zbiegł

po schodach, ale jeszcze nie był na dole, jak krzyki zaczęły cichnąć, potem zabrzmiało głębokie; straszne rżenie i wnet na całym zamku każdy wiedział, że pan ducha wyzionął.

Tak więc mój ojciec odjechał, drapiąc się za uchem i tylko pocieszał się nadzieją, że Dougal widział sakiewkę i że słyszał, jak pan mówił o wypisaniu kwitu. Młody dziedzic, teraz już sir John, przybył z Edynburga, by dopilnować uporządkowania wszelkich spraw. Nigdy nie zgadzali się z ojcem. Młody kształcony był na adwokata, potem zasiadł w ostatnim szkockim parlamencie i głosował za połączeniem, a przypuszczano, że nie zrobił tego za darmo. Gdyby stary pan mógł wstać z grobu, pewno by mu za to rozplątał głowę we własnym domu. Byli tacy, co twierdzili, że co do płacenia, łatwiej się było dogadać ze starym gburowatym dziedzicem niż z młodym, układnym i gładkim, ale o tym więcej za chwilę.

Przez następne dni Dougal MacCallum, biedaczysko, ani zębami nie zgrzytał, ani nie jęczał, tylko snuł się po domu sam do trupa podobny, doglądając, jak mu powinność nakazywała, przygotowań do paradnego pogrzebu. Co dzień pod wieczór Dougal wyglądał gorzej. Ostatni też kładł się spać w swojej izbie tuż naprzeciw sali z podwyższeniem, którą zajmował pan za życia i w której właśnie wystawiono jego zwłoki, jak to teraz mówią. Ostatniego wieczora przed pogrzebem Dougal nie mógł już dać sobie rady, spuścił z tonu i szczerze poprosił starego Hutcheona, żeby z nim poszedł posiedzieć przez godzinę w jego izbie. Kiedy się tam znaleźli, Dougal wyciągnął gorzałkę, nalał szklanek sobie, drugą dał Hutcheonowi i życzył mu długich lat życia i zdrowia, a potem dodał, że jeśli o niego samego idzie, to niedługo mu już sążone na tym świecie, bo od śmierci sir Roberta co wieczora z tamtej sali rozbrzmiewa srebrny gwizdek pana, zupełnie tak samo, jak przedtem, kiedy pan wzywał Dougala, by mu pomógł przenieść się na łóżko. Dougal powiedział jeszcze, że będąc sam na tym piętrze (nikt bowiem nie miał ochoty siedzieć przy zwłokach sir Roberta, jak zazwyczaj przy zmarłym) nie odważył się ani razu posłuchać tego wezwania, lecz teraz sumienie nie daje mu spokoju, że tak zaniedbywał swą powinność.

— Bo chociaż śmierć przerywa służbę — mówił MacCallum — nie osłabi to mojego posłuszeństwa wobec sir Roberta, toteż na następny gwizdek pójdę i dlatego proszę, byś był ze mną, Hutcheonie.

Hutcheon niewielką miał na to ochotę, ale ramię przy ramieniu stał przy Dougalu w tyłu bitwach i potyczkach, że nie mógł go teraz zawieść w takiej potrzebie, więc siedzieli we dwóch nad szklankami. Hutcheon, który był trochę kształcony w czytaniu, chciał przeczytać jakiś rozdział z Biblii, ale Dougal nie miał ochoty na słuchanie niczego oprócz Davie Lindsay'a, a to nie było dobre przygotowanie.

Kiedy wreszcie nadeszła północ, nagle zadzwieczał srebrny gwizdek tak ostro i gwałtownie, jak by to sam sir Robert weń dmuchał. Wstali więc obaj starzy domownicy i ruszyli tam, gdzie leżał nieboszczyk. Hutcheonowi wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, co się tam dzieje; sala była bowiem oświetlona pochodniami, a w ich blasku Zły we własnej postaci siedział na pańskiej trumnie. Stary popatrzył i zwałił się na ziemię bez ducha. Nie mógł sobie później przypomnieć, czy długo tak leżał w progu, ale kiedy doszedł do siebie, zaczął wołać na swego towarzysza, a że tamten nie odpowiadał, więc rozbudził cały dom, no i znaleźli Dougala martwego o dwa kroki od łóżka, na którym spoczywała trumna jego pana. Co do gwizdka, to zniknął raz na zawsze. A przecież niejednokrotnie słyszano go jeszcze hen, jakby na dachu, na górnych wykuszach, pośród starych kominów i wieżyczek, gdzie gnieździły się puszczyki. Sir John nakazał, by zamilczano o tym wszystkim i pogrzeb odbył się bez dalszych przeszkód.

Po jakimś czasie młody dziedzic zaczął porządkować wszystkie sprawy. Każdego dzierżawcę wzywano, by uiszczył się ze swych zaległości, a memu ojcu polecono zapłacić całą sumę, która widniała przy jego imieniu w księdze czynszowej. Tak więc pojechał znów do zamku, by opowiedzieć, jak się rzecz miała. Zaprowadzono go przed sir Johna, który siedział na fotelu ojcowskim, w ciężkiej żałobie, ze stosownymi wypustkami i zwisającym krawatem.

Przy boku miał tylko mały rapier zamiast ciężkiej szabli, która z potężną klingą, pochwą i rękojeścią ważyła ogromnie dużo. Słyszałem opowiadanie o tej ich rozmowie tak często, że wydaje mi się niemal, jak bym sam w niej uczestniczył, choć nie było mnie chyba wtedy jeszcze na świecie.

(I rzeczywiście Alan, mój towarzysz, naśladował z dużym poczuciem humoru przypodchlebny, łagodzący ton dzierżawcy i obłudnie melancholijną odpowiedź dziedzica. Mówił zresztą, że ojciec jego miał w czasie swej przemowy oczy utkwione z przerażeniem w księgę czynszów, jak by to był groźny brytan, który może w każdej chwili skoczyć i zatopić w nim kły).

— Życzę waszej miłości zadowolenia na tym wysokim stolcu, zadowolenia z białego chleba i z całego dziedzictwa. Wasz ojciec był dobrym panem dla przyjaciół i poddanych; wielki to zaszczyt dla was, sir Johnie, tak wstąpić w jego trzewiki; choć raczej powiedziec by należało „w jego buty myśliwskie”, bo trzewiki to rzadko mu się zdarzało nosić, chyba żeby liczyć te kapcie, co to nosił jak go podagra chwytą.

— Tak, Steenie — odparł młody pan z głębokim westchnieniem podnosząc do oczu chustkę — nagle go odwołano z tej ziemi, brak go będzie w całym kraju. Niewiele miał czasu, by uporządkować swoje sprawy. Niewątpliwie do Boga przygotowany był jak należy, a to najważniejsze jako żywo, lecz tu pozostawił po sobie płataninę do rozsypiania, Steenie. Tak, tak, czas zająć się naszymi sprawami, Steenie. Dużo do roboty, a czasu bardzo mało.

Z tymi słowy otworzył tę nieszczęsną księgę. Słyszałem kiedyś o innej wielkiej księdze, co się nazywała „Doomsdaybook”. Pewien jestem, że to też było takie tomisko, w którym spisano dzierżawców i ich zaległości.

— Stephen — zaczął sir John dalej tym samym cichym, nieśmiałym niby głosem — Stephen Stevenson zwany Steenson, w poprzednim dniu spłaty winien byłeś czynsz za cały rok.

— Za pozwoleniem waszej miłości, zapłaciłem to pańskiemu ojcu.

— Więc zapewne wzięłeś kwit, Stephenie, i możesz mi go okazać?

— Zaiste nie starczyło czasu, za pozwoleniem waszej miłości; bo zaledwiem położył na stole sakiewkę i jego miłość, nieboszczyk sir Robert, przysunął ją do siebie, żeby przeliczyć pieniądze i wypisać kwit, akurat chwyciły go bóle i zaraz było po nim.

— Bardzo to niefortunnie — rzecze sir John po chwili milczenia. — Ale możesz płacił te pieniądze w czyjejś przytomności? Chciałbym mieć dowód choćby *talis qualis*, Stephenie. Nie chcę być zbytnim formalistą.

— Po prawdzie to nie było przy tym nikogo, tylko Dougal MacCallum, piwniczy. Ale jak wasza miłość wie zapewne, poszedł już w ślady swego pana.

— To znowu bardzo niedobrze, Stephen — rzecze sir John nie zmieniając tonu ani odrobinę. — Ten, któremu wpłaciłeś pieniądze, nie żyje; ten, który był świadkiem, jak płaciłeś, nie żyje także; a pieniądze, które winny się znajdować w szkatule, nikt nie widział Ani słyszał o nich. Jakże mam wierzyć temu, co mi mówisz?

— Nie wiem, wasza miłość, ale mam tu na kartce spisane wszystkie te pieniądze, com je złożył, bo na Boga, musiałem u dwudziestu ludzi się zapożyczyć; i jestem pewien, że każdy z tych, co tu są spisani, może panu uroczyście poprzysiąc, w jakim celu pożyczalem te pieniądze.

— Ależ ja wcale nie wątpię, że pożyczales te pieniądze, Steenie, lecz zależy mi na tym, by mieć jakiś dowód, żeś je zapłacił.

— Te pieniądze muszą być gdzieś tu w domu, panie. A że wasza miłość ich nie ma, zaś nasz pan nieboszczyk nie mógł ich zabrać ze sobą, więc może kto z domowników wie coś o nich.

— Zapytajmy zatem służby, Steenie. To brzmi zupełnie rozsądnie.

Ale i lokaje, i służebne dziewczki, i pacholki, i chłopcy stajenni, wszyscy uparcie za-

przeczali; nikt nie widział takiej sakiewki, jaką opisywał mój ojciec. A co gorsza — nikomu z nich nie wspomniał on wtedy nawet, że właśnie idzie płacić swój czynsz. Jedna dziewczyna widziała tylko, że coś niósł pod pachą, ale pomyślała, że to kobza.

Sir John Redgauntlet rozkazał wreszcie, by cała służba wyszła z pokoju i rzekł do mego ojca.

— Widzisz, Steenie, że staram się być wobec ciebie sprawiedliwy. Ponieważ jednak nie mam najmniejszych wątpliwości, że ty sam wiesz najlepiej, gdzie szukać tego srebra, mówię ci po prostu i dla twojego własnego dobra. Skończ no te żarty. Bo masz do wyboru: zapłacić albo wynosić się.

— Niech Stwórca wybaczy panu te podejrzenia! — wykrzyknął Steenie doprowadzony niemal do szaleństwa. — Jestem uczciwym człowiekiem!

— Ja także, Stephenie — rzekł dziedzic — i mam nadzieję, że każdy w tym domu. Ale jeżeli ktoś jest łajdakiem pośród nas, to chyba ten, co opowiada bajki, których prawdziwości dowieść nie potrafi. — Przerwał na chwilę, a potem ciągnął jeszcze ostrzejszym tonem. — Zdaje mi się, że dobrze rozumiem twoją sztuczkę. Chcesz wykorzystać złośliwe plotki, jakie krążą o tym domu, zwłaszcza te dotyczące nagłej śmierci mego ojca, a wszystko po to, żeby mnie oszukać na ową sumę i do tego jeszcze zepsuć mi dobre imię, rozpuszczając wieść, że otrzymałem już czynsz, którego się domagam. Utrzymujesz, że te pieniądze wpłaciłeś, gdzież więc są? Żądam odpowiedzi!

Mój ojciec zrozumiał, że wszystko świadczy na jego niekorzyść i to doprowadziło go prawie do szaleństwa. Jednakże panował jeszcze nad sobą i przestępując z nogi na nogę, spoglądał we wszystkie kąty i milczał.

— Mówże, czekam! — nalegał dziedzic przybierając wyraz twarzy zupełnie taki sam jak jego ojciec w chwili, gdy wpadał w złość. Wydawało się, że zmarszczki tworzą ten sam złowieszczy znak podkowy na środku jego czoła. — Czekam, mów! Chcę wiedzieć, co myślisz. Uważasz, że ja mam te pieniądze?

— Tego ani przez chwilę nie myślałem — rzekł Stephen.

— Oskarżasz kogoś z moich ludzi, że je zabrał?

— Grzechem byłoby oskarżać tych, co mogą być niewinni, a choćby kto z nich był i winny, to i tak nie mam dowodu.

— Gdzieś jednak te pieniądze być muszą, jeżeli jest choć słówko prawdy w tym, co mówisz — rzekł sir John. — Pytam cię, gdzie twoim zdaniem są te pieniądze i żądam wyraźnej odpowiedzi!

— W piekle są, jeżeli chcecie wiedzieć: ot co ja myślę! — wybuchnął mój ojciec, doprowadzony do ostateczności. — W piekle! Razem z waszym ojcem i jego małpą, i srebrnym gwizdkiem.

Zbiegł szybko po schodach (bo po tym, co powiedział, pokoje pańskie były niezbyt bezpiecznym dla niego miejscem) i jeszcze słyszał, jak dziedzic wykrzykuje najgorsze przekleństwa, zupełnie tak samo jak zwykł był krzyczeć nieboszczyk na bailifa i dowódcę straży zamkowej.

Mój ojciec pojechał co rychlej do swego głównego wierzyciela (tego, co go zwali Laurie Lapraik), czy ten mu pomoże; ale ledwie opowiedział, co mu się przydarzyło, usłyszał wzamian cały stek wyzwisk — złodziej, żebrak i golec były to najdelikatniejsze z użytych słów — i nie poprzestał Laurie na tych wyzwiskach, tylko żeby dodać im mocy, znowu przypomniał starą śpiewkę o rękach zawalanych krwią świętych męczenników, całkiem tak, jak by biedny dzierzawca mógł być wykręcić się od owych jazd z dziedzicem, i to jeszcze z takim dziedzicem jak sir Robert Redgauntlet. Kiedy kłótnia doszła do tego punktu i obaj prześcigali się w obelgach, mój ojciec stracił już resztę cierpliwości i zaczął nieszczęsny wygadywać i na wyznanie Lapraika, i na niego samego takie rzeczy, że ludziom, co to słyszeli, skóra cierpła. Stracił miarę, a zresztą w swoim czasie żył przecież wśród dosyć dzikiej

kompanii.

Wreszcie rozstali się i mój ojciec wyruszył do domu, a musiał jechać przez las Pitmurkie, gdzie — mawiali ludzie — wszystkie świerki są czarne. Znam ten las, ale czy świerki są w nim czarne, czy białe, tego nie potrafię powiedzieć. Pod lasem jest dzikie pastwisko, a tam gdzie się zaczynają drzewa, stoi mały samotny zajazd, w którym można konie zmienić. W owym czasie trzymała ów zajazd pewna karczmarka; zwali ją chyba Tibbie Faw, i tam to biedny Steenie kazał sobie podać kwartę gorzałki, bo od samego rana nie miał nic na przepłukanie gardła. Tibbie namawiał go, żeby coś przegryzł, choćby kawałek mięsa, ale on nie chciał nawet słyszeć o tym, nie wyciągał wcale nóg ze strzemion, tylko przełknął całą gorzałę w dwóch łykach, a przy każdym głośno krzyknął, za kogo pije. Pierwszy toast brzmiał: „Za sir Roberta Redgauntlet, żeby jednej chwili spokojnie nie leżał w grobie, póki nie naprawi krzywdy, jaką wyrządził swemu biednemu dzierżawcy!” A drugi był za zdrowie Nieprzyjaciela Rodu Ludzkiego, jeżeli tylko odda skrzywdzonemu jego sakiewkę ze srebrem, lub choćby powie, co się z nią stało, bo wnet cały świat będzie jego, Steenie'ego, uważać za złodzieja i oszusta, a to byłoby dlań gorsze niż utrata domu i obejścia.

Oddalił się nie bardzo patrząc, dokąd jedzie. Był już wieczór, a wśród drzew wydawało się jeszcze ciemniej, toteż pozwolił, by koń szukał drogi przez las, gdy nagle szkapa, dotąd zmęczona okrutnie, zaczęła skakać, cofać się i rzucać, tak że mój ojciec z trudem zdołał utrzymać się w siodle. Po chwili zjawił się nagle obok niego jakiś jeździec i rzecze:

— Wcale nieźłą fantazję ma to twoje zwierzę, sprzedasz mi je, przyjacielu?

Przy tych słowach dotknął szpicrutą końskiego karku, a koń z powrotem przeszedł w wolny trucht.

— Ale oto zapał już mu przeszedł — ciągnął dalej nieznajomy. — Tak samo bywa często z ludźmi, co myślą, że potrafią nie wiadomo czego dokonać.

Mój ojciec niewiele go słuchał, dźgnął tylko konia ostrogami mówiąc:

— Dobrej nocy, przyjacielu.

Lecz nieznajomy nie był widać z tych, co łatwo ustępują, bo choć Steenie starał się jak mógł popędzać konia, tamten trzymał się wciąż przy jego boku. Wreszcie mój ojciec, Steenie Steenson trochę się zezłościł, a prawdę mówiąc, to i strach go obleciał.

— Czego chcesz ode mnie, przyjacielu?! — wykrzyknął. — Jeśli jesteś rabusiem, to wiedz, że nie mam pieniędzy; jeśli jesteś poczciwym człowiekiem, co tylko szuka kompanii, u mnie jej nie znajdziesz, bo ani weselić się, ani nawet gadać dziś nie potrafię; a jeśli drogi pytasz, to i ja nie znam jej prawie.

— O ile zwierzysz mi się ze swych trosk — rzekł nieznajomy — przekonasz się, że ja jeden potrafię dopomóc swym przyjaciołom, choć w świecie najczęściej źle o mnie mówią.

Na to mój ojciec, bardziej by ulżyć sobie niż w nadziei na jakąś pomoc nieznajomego, opowiedział mu wszystko od początku do końca.

— Ciężka bieda — odparł tamten — ale myślę, że potrafię ci pomóc.

— Gdybyście tylko mogli, panie, pożyczyć mi pieniędzy i to na dłużej. Nie ma dla mnie na tej ziemi innej pomocy.

— Ale mogłaby się znaleźć pod ziemią — podchwycił nieznajomy. — Słuchaj no, będę z tobą szczerzy: pożyczyć ci te pieniądze za rewersem, to dla mnie nic trudnego, ale mógłbyś mieć zastrzeżenia co do moich warunków. Wiedz jednak, że twój dziedzic nieboszczyk spokoju nie ma w grobie, bo tak go wyklinasz, a twoja rodzina tak płacze i lamentuje; więc jeśli odważysz się pójść tam do niego, to da ci kwit dzierżawny.

Memu ojcu włosy stanęły dęba na tę propozycję, ale potem pomyślał sobie, że ten dziwny kompan to widać jakiś młodzik, którego się żarty trzymają i który chce go nastraszyć, lecz w końcu i tak pożyczy mu pieniądze. A zresztą był odważny po wódce i zapamiętały ze zmartwienia, więc ma dość odwagi, powiada, by po ten kwit dojść do samych bram piekielnych, a nawet i krok dalej.

Nieznajomy roześmiał się tylko.

Ruszyli więc dalej przez ten gęsty las, aż tu nagle koń zatrzymuje się przed bramą wielkiego domostwa. Gdyby ojciec mój nie wiedział, że mają za sobą już z jakie dziesięć mil, przysiągłby, że stoją przed zamkiem Redgauntlet. Wjechali na zewnętrzny dziedziniec przez mocno pociętą bramę i aż na stary podjazd. Ukazał się cały fronton domu rzęsiście oświetlony, a z wnętrza dochodziły dźwięki kobzy i skrzypiec, odgłosy tańca i wrzawa taka jak za czasów sir Roberta i to w okresie świąt czy przy innych wesołych okazjach. Zeskoczyli z koni, ojciec mój przywiązał swoją szkapę do tego samiuteńkiego kołka (a przynajmniej tak mu się wydawało), do którego przywiązywał ją tegoż ranka, kiedy szedł do młodego sir Johna.

— O Boże! — szepnął Steenie — żeby tak śmierć sir Roberta była tylko snem!

Zapukał do głównych drzwi jak zazwyczaj, a jego stary znajomy, Dougal MacCallum, też jak zwykle, otworzył mu i rzecze:

— Kobziarz Steenie, to ty, mój chłopcze? Sir Robert bardzo cię wzywał!

Mój ojciec czuł się tak, jak by śnił; rozglądał się za nieznajomym, ale ten gdzieś zniknął. Wreszcie zdołał wybąkać:

— Ha, Dougalu, niecnoto, to ty żyjesz? Myślałem, żeś ducha wyzionął.

— Nie troszcz się o mnie — odpowiada Dougal — tylko pilnuj samego siebie. Pamiętaj, żebyś tu nie przyjmował nic od nikogo ani mięsa, ani napitku, ani pieniędzy — nic, prócz własnego kwitu, po który przyszedłeś.

To mówiąc, wiódł go przez sale i przedsionki, które były memu ojcu dobrze znane, aż do starej dębowej komnaty; a tam bulgotało tyle czerwonego wina, rozbrzmiewało znowu tyle rozpustnych śpiewek, a bluźnierstw, a wszeteczności — wszystko jak za najświetniejszych czasów zamku Redgauntlet.

Lecz, Panie, miej nas w swojej opiece! Cóż za koszmarnie towarzystwo siedziało tam wokół stołu! Wielu spośród nich, co już dawno odeszli, mój ojciec znał dobrze, bo grywał im na kobzie w salach zamkowych Redgauntlet. Był tam srogi Middleton i rozpustny Rothes, i przebiegły Lauderdale, i Dalyell z łysą głową a brodą po pas, i Earlshall z krwią Camerona na rękach, i dziki Bonshaw, ten, co tak związał nogi świątobliwego pana Cargilla, że aż krew trysnęła, i Dumbarton Douglas, co dwukrotnie zdradził i swego króla, i swój kraj. Był tam krwawy adwokat MacKenzie, który ze względu na swój dowcip i rozum wydawał się na tle innych prawie bogiem. I był jeszcze Claverhouse równie piękny jak za życia — długie, ciemne, fryzowane pukle spływały po jego skórzanym kaftanie z galonami, a lewą ręką wciąż trzymał się pod prawym obojczykiem, by ukryć dziurę od srebrnej kuli. Siedział sam, z dala od reszty i przyglądał im się z wyniosłym, melancholijnym wyrazem twarzy, podczas gdy pozostałe bractwo krzyczało, śpiewało i śmiało się tak, że się sala trzęsła. Lecz ich uśmiechnięte twarze wykrzywił czasem tak potworny grymas, a śmiech brzmiał chwilami tak przerażająco, że ojciec, do szpiku kości przejęty strachem, zaciskał tylko ręce, aż paznokcie mu siniały.

Przy stole zaś kręcili się ci sami bezlitośni słudzy i jeźdźcy z drużyny zamkowej, którzy już dokonali swych grzesznych dni na ziemi. Był tam długi chłopak z Nethertown, co pomagał schwytać Argyle'a, i biskupi jałmużnik, co go zwali Diabelska Kiesa, i łajdacy gwardziści w kurtach z lampasami, i dzicy górale z Amorit, co lali krew jak wodę, i wielu innych dumnych służalców pysznego serca i krwawych rąk, którzy tak zawsze płaszczyli się przed bogaczami, że ci stawali się gorszymi, niżby być mogli. To oni umieli biedaków, rozbitych i potłuczonych już przez możnych panów, jeszcze na swój rachunek zetrzeć na pył i proch. I wielu, wielu ich tam było; coraz to któryś wchodził i wychodził, a wszyscy tak zajęci, jak by naprawdę żyli.

Poprzez ten straszliwy zgiewek sir Robert Redgauntlet zaręczał nagle jak grzmot potężny, żeby kobziarz Steenie zbliżył się do niego ku szczytowi stołu, gdzie siedział z nogami wyciągniętymi w przód i owiniętymi flanelą, z pistoletami tuż obok i wielką szablą opartą o fotel — zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy mój ojciec widział go po raz ostatni żywym; nawet podu-

szka małpy leżała jak zwykle w pobliżu, tylko że samej małpy nie było. Ojciec zrozumiał, że to nie jej pora, bo w chwili gdy się zbliżał, usłyszał, jak ktoś mówi:

— A majora jeszcze nie ma?

A inny głos odpowiedział:

— Małpa będzie tu wczesnym rankiem.

Kiedy mój ojciec podszedł bliżej, sir Robert czy też jego duch, a może diabeł o jego wyglądzie, zapytał:

— No, kobziarzu, załatwiłeś z moim synem te swoje czynsze?

W wielkim podnieceniu mój ojciec zaczął opowiadać, że sir John nie chce tej sprawy załatwić bez ojcowego kwitu.

— Dostaniesz go, Steenie, ale w zamian za przygrywkę na kobzie — rzekło widziadło.

— Zagraj nam „Otuł się, Luckie!”

Otóż była to melodia, której mój ojciec nauczył się od czarownika, a ten znał ją z jakichś nieczystych obrządków ku czci szatana. Bywało dawniej, że mój ojciec grywał to w czasie szalonych uczt na zamku Redgauntlet, ale nigdy z wielką ochotą; teraz zaś, gdy to usłyszał, aż mu się zimno zrobiło i próbował się wymówić tym, że nie ma kobzy przy sobie.

— Hej, MacCallum, ty nogo Belzebuba! — wrzasnął okropny sir Robert. — Przynieś mi tę kobzę, co jest dla niego przygotowana!

MacCallum przyniósł jakieś wielkie dudy; na takich grywał chyba ongi kobziarz Donalda z Wysp. Ale podając je, dał memu ojcu lekkiego szturchańca, a ten przyjrząwszy się im ukradkiem, dostrzegł z bliska, że piszczałka jest ze stali i rozpalona do białości. Starczyło mu to za przestrożę, by nie wyciągać palców w tę stronę. Więc znowu usprawiedliwiać się począł, że zbyt zmęczony i przelękniony się czując, nie będzie miał dość tchu, by dobrze napętnić dudy.

— Możesz przecie podjeść sobie i popić, Steenie — rzekło widziadło — boć nie co innego robimy tu wszyscy. Zła to rozmowa, kiedy jeden biesiaduje, a drugi pości.

Otóż te właśnie słowa powiedział krwawy hrabia Douglas, chcąc zatrzymać przy sobie wysłannika królewskiego w tym czasie, gdy w zamku Threave na jego rozkaz ścinano głowę MacLellanowi z Bombie, toteż Steenie słysząc je, coraz bardziej miał się na baczności. Przemówił wreszcie jak mężczyzna: że nie przybył tu jeść ani pić, ani przygrywać na kobzie; przyszedł zapytać, co się stało z pieniędzmi, które zapłacił, i żeby dostać za nie kwit. Minął w tej chwili jego strach, tak że zaklął sir Roberta na jego sumienie (nie zdołał wymówić w tym miejscu imienia świętego), że jeśli chce zaznać spokoju wiecznego, niech mu już nie mnoży przeszkód, tylko odda wreszcie to, co mu się słusznie należy.

Upiór zazgrzytał zębami i wybuchnął śmiechem, lecz wyciągnął z wielkiego pugilaresu kwit i wręczył go Steenie'mu:

— Masz tu swój kwit, ty nędzny kundlu, a pieniędzy niech sobie ten szczeniak, mój synalek, poszuka w Kocie Kołysce.

Ojciec zaczął dziękować i już zbierał się do odejścia, gdy sir Robert ryknął za nim:

— Stój, czekaj, ty przeklęty dławidudo! Jeszcze z tobą nie skończyłem. Tutaj nic nie robimy za darmo. Od dziś za rok masz się tu zjawić, żeby mi złożyć hołd, który mi jesteś winien za moją opiekę.

I wtedy nagle ojciec mój poczuł, że język mu się rozwiązał i głośno rzecze:

— Polecam się nie waszej, panie, opiece, jeno Bożej.

Zaledwie wymówił to słowo, wkoło zapanowała zupełna ciemność, a on sam wy dostał się na powierzchnię ziemi tak nagle, że zabrakło mu tchu i stracił przytomność.

Jak długo tam leżał, tego Steenie nie umiał powiedzieć, ale kiedy przyszedł wreszcie do siebie, ujrzał, że leży na starym cmentarzu parafialnym, tuż przy wejściu do grobowców rodziny Redgauntlet, a nad głową kołysze mu się ciężka tarcza herbowa zmarłego dziedzica, sir Roberta. Wokoło na dani leżała gruba, poranna mgła, a koń pał się spokojnie razem z

dwiema krowami z plebanii. Steenie przysięgłby, że wszystko to było snem, gdyby nie zaciśnięty w dłoni kwit, wyraźnie wypisany przez starego dziedzica i opatrzony jego podpisem. Tylko ostatnie litery nazwiska były trochę rozmazane, jak by w tym momencie piszącego chwycił nagły ból.

Przejęty i wzburzony opuścił Steenie to ponure miejsce zanim mgła opadła, dojechał do zamku Redgauntlet i głośno zażądał, by go zaprowadzono do dziedzica.

— No cóż, ty ostatni nędzaru — brzmiało pańskie powitanie — przyniosłeś mi mój czynsz?

— Nie — odparł ojciec. — Czynszu nie przyniosłem, ale oto kwit sir Roberta na tę sumę.

— Co mówisz? Jak to kwit sir Roberta? Powiedziałeś przecież, że ci go wcale nie dał!

— Może wasza miłość zobaczy, czy teraz wszystko jest w porządku?

Sir John z uwagą oglądał każdą linijkę, każdą literę; wreszcie spojrzął na datę, której mój ojciec nie zauważył.

„Z naznaczonego mi miejsca — przeczytał — dziś, dwudziestego piątego listopada...”

— Co? To było wczoraj! Łotrze, musiałeś więc pójść po to do piekła!

— Dostałem to z rąk ojca waszej miłości, a czy jest on w niebie czy w piekle, tego nie wiem — odrzekł Steenie.

— Oddam cię jako czarownika radzie królewskiej! — krzyknął sir John. — Poślę cię do twego pana, do diabła we własnej osobie i to z pomocą smoły i pochodni.

— Ja sam mam zamiar oddać się pod opiekę rady kościelnej — odparł na to Steenie — żeby opowiedzieć wszystko, co widziałem ubiegłej nocy, bo są to sprawy bardziej odpowiednie dla duchownych do rozważania niż dla takiego prostaka jak ja.

Sir John milczał chwilę, uspokoił się i powiedział, że chce usłyszeć o wszystkim, więc mój ojciec jął opowiadać jedno za drugim, tak jak ja wam to opowiadałem — ani mniej, ani więcej.

Po wysłuchaniu tej opowieści sir John znowu milczał długo i wreszcie rzekł bardzo spokojnie:

— Steenie, twoja opowieść zagraża dobremu imieniu wielu szlacheckich rodzin; nie tylko mojej. I jeżeli to, co mówisz, jest zwykłym kłamstwem, którym chcesz się wykrecić przede mną, to najłżejszą karą, jakiej się w zamian możesz spodziewać, jest przebicie języka rozpalonym do czerwoności żelazem, a z pewnością będzie to co najmniej tak przykre jak poparzenie sobie palców rozżarzonymi pieszczakami. Lecz możliwe też, że twoja opowieść jest prawdziwa i jeżeli pieniądze się znajdują, to sam nie będę wiedział, co o tym myśleć. Ale gdzie szukać tej Kociej Kołycki? W tym starym domostwie kotów jest wiele, lecz wydaje mi się, że kocić się potrafią bez łożek i kołysek.

— Zapytajmy lepiej o to Hutcheona — odpowiedział mój ojciec. — On zna tu wszystkie zakamarki prawie tak dobrze jak... no, jak inny stary sługa, którego już nie ma, i którego imienia wolę nie wymawiać.

Hutcheon, gdy go spytano, wyjaśnił im, że od lat już nie używana, zrujnowana nawet trochę wieżyczka, zaraz za wieżą zegarową, ta, do której dostać się można tylko po drabinie, bo otwór wejściowy ma na zewnątrz, nad murami obronnymi, od dawien dawna nosi miano Kociej Kołycki.

— Idę tam zaraz — rzekł żywo sir John i, wzięwszy ze sobą, nie wiadomo po co właściwie, jeden z pistoletów ojca, które od jego śmierci leżały na stole w wielkiej sali, pospieszył ku murom.

Dojście było niebezpieczne, bo starej, niezbyt mocnej drabinie brakowało kilku szczebli. Jednakże sir John wdrapał się na górę i wsunął do małego otworu prowadzącego do wieżyczki, tak że swym ciałem zasłonił całe światło, jakie do wewnątrz dochodziło. W tej samej chwili coś rzuciło się gwałtownie na niego i o mało nie zważyło go w dół. Bang! ozwał się

stary pistolet i w tej samej chwili Hutcheon, który trzymał drabinę, i mój ojciec, stojący obok niego, usłyszeli głośny skowyt. Zaraz potem sir John rzucił ku nim trupa małpy wołając, że pieniądze się znalazły i żeby obaj przyszli mu pomóc. I rzeczywiście leżała tam sakiewka ze srebrem i wiele jeszcze innych rzeczy, których od dawna nie można było znaleźć. A sir John, kiedy przeszukał dobrze całą wieżyczkę, zaprowadził mego ojca do sali jadalnej, uściśnął mu dłoń przemawiając do niego łaskawie, i powiedział, że przykro mu jest, iż nie wierzył jego słowu, ale od teraz będzie dlań zawsze dobrym panem, by mu to wynagrodzić.

— I jeszcze jedno, Steenie — dodał wreszcie sir John — chociaż to twoje widzenie właściwie ukazuje mego ojca jako uczciwego człowieka, skoro jeszcze po śmierci zależy mu, by sprawiedliwości stało się zadość w stosunku do ciebie biedaka, to jednak wyobraź sobie tylko, jak by tę opowieść wykorzystali nieżyczliwi mu ludzie, zwłaszcza jeśli idzie o spokój jego duszy. Toteż sądzę, że lepiej będzie, gdy winą całą obciążymy małpę, tego niewydarzonego majora, i ani słowem nie wspomnimy o twoim śnie w lesie Pitmurkie. Wypiłeś zbyt dużo tej gorzałki, żeby być zupełnie pewnym, co się zdarzyło, a ten kwit, Steenie — tu wyciągnął go, a ręka mu się trzęsła — to dosyć dziwny dokument, więc chyba zrobimy najlepiej wrzucając go bez gadania w ogień.

— Mój Boże, choć on dziwny, to jest moim jedynym poświadczeniem, że ten czynsz zapłacił — ozwał się co prędzej mój ojciec wystraszony oczywiście, że straci kwit sir Roberta.

— Wpiszę to, co w nim stoi, do księgi czynszów, a tobie wystawię taki sam kwit własną ręką — zapewnił sir John — i to nie zwlekając. A jeśli potrafisz, Steenie, trzymać język za zębami, to od dzisiejszego dnia będziesz siedział u mnie na lżejszej dzierżawie.

— Pięknie dziękuję waszej miłości — rzecze na to Steenie, nie w ciemni bity — oczywiście, że zastosuję się do wszelkich poleceń waszej miłości. Chciałbym tylko z jakimś światłym duchownym pomówić o tej sprawie, bo nie podoba mi się to wezwanie, bym się tam zgłosił, a ojciec waszej miłości...

— Nie nazywaj tego widziadła moim ojcem! — krzyknął sir John.

— No więc ta zjawa, która go tak przypominała — rzekł mój ojciec — mówiła, bym przybył tam znów za rok dokładnie i to mi ciąży na duszy.

— Dobrze więc, jeżeli ta sprawa tak cię niepokoi, możesz porozmawiać z naszym proboszczem; to człowiek rozsądny i ważne jest dla niego dobre imię naszej rodziny, tym bardziej że na moim poparciu jako kolatora zależy mu bardzo.

Teraz już ojciec mój zgodził się chętnie, by ów kwit spalić, a dziedzic własnoręcznie wrzucił go w ogień. Ale papier wcale nie chciał się zająć, tylko frunął w górę kominem, ciągnąc za sobą długi ogon iskier, z sykiem takim jak przy puszczeniu fajerwerków.

Ojciec mój ruszył zaraz na plebanię. Proboszcz usłyszawszy całą historię, powiedział, że jego zdaniem, choć ojciec był o krok od bardzo wielkiego niebezpieczeństwa, jednakże nie dał się przekupić (a właśnie zapraszanie do jadła i napoju było kuszeniem), a także odmówił złożenia hołdu przez granie na kobzie za byle rozkazem i dlatego ma nadzieję, że (o ile na przyszłość będzie rozważnie postępował) szatan nie zdoła wyciągnąć korzyści z tego, co się zdarzyło. I rzeczywiście, mój ojciec sam ze siebie odżegnał się i od kobzy, i od gorzałki i dopiero kiedy dobrze rok minął i ów fatalny dzień przeszedł, zdarzyło mu się po raz pierwszy wziąć do ręki instrument czy pociągnąć ze szklanki.

Historię o małpie sir John tak ułożył, jak mu było wygodnie. Są tacy, co po dziś dzień wierzą, że nie było w całej tej sprawie nic poza złośliwością zwierzęcia. Niektórych to nawet nie można było powstrzymać od wygadywania, że Dougal i Hutcheon wcale nie widzieli Złego w pokoju, gdzie leżał zmarły, tylko że to ten nieszczęsny major skakał po trumnie. I jeszcze o tym gwizdaniu na pańskim gwizdku, które słyszano już po śmierci sir Roberta, też mówili, że ten małpizjon umiał to robić równie dobrze, a może i lepiej jak sam pan. Ale Bóg zna całą prawdę, a tutaj dowiedziano się jej od żony pastora, kiedy już i sir John, i jej mąż

byli w ziemi. I wtedy to mój ojciec, który niedomagał już bardzo na nogi, ale umysł i pamięć miał jeszcze doskonałe, a w każdym razie prawie że doskonałe, musiał opowiedzieć swoim przyjaciółom, jak to było naprawdę. Chodziło o jego dobre imię, bo mogliby go posądzić, że miał z czarami do czynienia.

Przełożyła Krystyna Jurasz-Dąbbska

WILLIAM AUSTIN

William Austin (1778—1841) urodził się w stanie Massachusetts, kształcił się na Uniwersytecie Harvardzkim. Mieszkał i działał w Bostonie. Literaturę parał się na marginesie zajęć wziętego adwokata i prawodawcy. Pozostawił pięć rozproszonych opowiadań, których fantastyka i podejście do tematu zapowiadają późniejszą twórczość Hawthorne'a. „Peter Rugg, zaginiony”, najbardziej znany jego utwór, pochodzi z roku 1824.

PETER RUGG, ZAGINIONY

*Od Jonatana Dunwella z Nowego Jorku
do pana Hermana Krauffa:*

Szanowny Panie,

Stosownie do obietnicy, postaram się zrelacjonować Panu wszystkie zebrane przeze mnie szczegóły, dotyczące zaginionego mężczyzny i dziecka. Nie ulega wątpliwości, że do tak wytrwałych poszukiwań skłaniała mnie w dużej mierze pełna współczucia niecierpliwość, z jaką Pan zdawał się oczekiwać wyników moich starań.

Pamięta Pan może, iż w lecie 1820 roku wezwany zostałem w interesach do Bostonu. Dopłynąwszy statkiem pocztowym do Providence, dowiedziałem się, że wszystkie miejsca w dyliżansie są już zamówione. Miałem więc do wyboru: albo czekać parę godzin, albo przyjąć miejsce obok woźnicy, gdy ten uprzejmie mi je zaproponował. Zasiadłszy przy jego boku, wnet stwierdziłem, że to człowiek bystry i rozmowny. Przebyliśmy już jakieś dziesięć mil, kiedy konie nagle położyły uszy po sobie jak zające, a woźnica spytał:

— Ma pan ze sobą płaszcz?

— Nie — odparłem. — Dlaczego?

— Bo wnet będzie panu potrzebny. Widzi pan uszy wszystkich koni?

— Tak, właśnie chciałem spytać, co to ma znaczyć?

— Zobaczyły tego, co sprowadza burzę; my też wnet go zobaczymy.

W owej chwili na firmamencie nie było ani jednej chmurki. Wreszcie, hen na drodze ukazał się maleńki punkcik.

— O, tam nadjeżdża ten, co wywołuje burzę. Zawsze zostawia po sobie ulewny deszcz. Dobrzem go sobie zapamiętał po tylu zmoczonych kurtkach. Myślę, że ten biedak sam się też nacierpi i to więcej, niż ludziom wiadomo.

Zaraz potem, w dużym pędzie, chyba ze dwadzieścia mil na godzinę, minął nas zniszczony stary powozik, zaprzężony w wielkiego karego konia. W powozie siedział mężczyzna z dzieckiem przy boku. Trzymał lejce mocno i jasne było, że przewidywał ten pośpiech. Wydawał się zgnębiony i patrzył z niepokojem na pasażerów dyliżansu, a zwłaszcza na woźnicę i na mnie. Gdy tylko nas minął, uszy koni wróciły do normalnej pozycji i pochyliły się ku przodowi tak, że prawie się stykały.

— Kim jest ten człowiek? Wygląda, jak by miał ciężkie zmartwienie.

— Nikt nie wie, kim on jest, lecz ani jego osoba, ani dziecko nie są mi obce. Spotykałem go bardzo często i tyle już razy pytał mnie o drogę do Bostonu, nawet wtedy, gdy podróżował w kierunku wręcz przeciwnym, że ostatnio nie chcę mu już wcale odpowiadać. To dlatego wpatrywał się we mnie z takim natężeniem.

— Czyż on nigdzie się nie zatrzymuje?

— Nie słyszałem, żeby gdziekolwiek zatrzymał się na dłużej; zawsze tylko na moment, by spytać o drogę do Bostonu, i gdzie by nie był, zawsze panu odpowie, że nie może zatrzymać się ani na chwilę, bo musi do Bostonu dojechać przed nocą.

Wjeżdżaliśmy właśnie na wysokie wzgórze pod Walpole, a że widać stamtąd było ogromny szmat nieba bez najmniejszej chmureczki, więc zacząłem sobie podkpiwać z woźnicy i jego płaszczka.

— Patrzy pan w kierunku, skąd ten człowiek przybył? Burza nigdy się z nim nie spotyka, ale ciągnie za nim.

Zbliżyliśmy się do następnego pagórka. Gdy byliśmy na szczycie, woźnica wskazał w kierunku wschodnim małą czarną plamkę — może tak dużą jak kapelusz.

— O, tam jest początek burzy. My pewnie dojrniemy do Polleya, zanim do nas dotrze, lecz ten wędrowiec i jego dziecię będą aż do Providence jechali w deszczu, wśród grzmotów i błyskawic.

Konie pognały teraz ze wzmożoną szybkością. Mała czarna chmura sunęła nad drogą, a gdy powiększyła się już znacznie, stała się naraz wyraźnie zwarta, ciemna i gęsta. Potem kilka błyskawic, jedna po drugiej, rozświetliło całą chmurę jasną, nieregularną siecią i coraz to inne, fantastyczne obrazy ukazywały się na niebie. Woźnica zwrócił moją uwagę, że w pewnej chwili cała chmura zupełnie zmieniła kształt. Wykrzyknął, że każda błyskawica wyraźniej ukazuje mu jakby sylwetkę człowieka siedzącego w otwartym pojeździe, zaprzężonym w czarnego konia. Ale mówiąc prawdę, nie dojrzałem tam nic takiego; musiało mu się coś przywidzieć.

Tymczasem dalekie grzmoty zapowiadały już, że wnet nadejdzie ulewa; i akurat dojechaliśmy do zajazdu Polleya, gdy lunęło tak, że potoki płynęły z nieba. Ulewa przeszła zresztą szybko, bo chmura przesunęła się ponad drogą ku Providence. W niedługi czas później, przed zajazdem zatrzymał się powozik jakiegoś budzącego zaufanie pana. A że mężczyzna z dzieckiem, którzy przejechali niedawno, wzbudzili współczucie pasażerów, więc też nowo przybyłego zarzucono pytaniami. Okazało się, że owszem, spotkał ich, że mężczyzna wydawał się przestraszony i zapytał o drogę do Bostonu; że jechał tak szybko, jak by miał zamiar przegonić burzę, że w chwili gdy właśnie oba pojazdy się minęły, nagle huknął piorun i to tuż nad głową owego mężczyzny, tak iż zdawało się, że i on, i dziecko, a także powozik z koniem — wszystko zostało trafione.

— Wstrzymałem konia myśląc, że poraził ich grom, ale dojrzałem tylko, że tamten koń szarpnął się, stanął dęba i zwiększył tempo; o ile mogłem to ocenić, gnał równie szybko jak burza.

Nie skończył jeszcze, gdy nadjechał wędrowny handlarz z wozem pełnym blaszanych garnków; przemoknięty był do suchej nitki. Na pytania odpowiedział, że owego mężczyznę i jego pojazd spotkał był w ciągu dwóch tygodni w czterech różnych stanach; że zawsze tamten dopytywał się o drogę do Bostonu, i że za każdym razem taka burza jak dzisiejsza zalewała mu wóz i cały towar, aż wszystkie garnki pływały, więc postanowił na przyszłość ubezpieczyć się od powodzi. Ale — co najbardziej zdumiewało owego handlarza — to fakt, że na długo przed tym, zanim mógł owego człowieka zobaczyć, jego własny koń stawał na środku drogi z uszami położonymi po sobie.

— Jednym słowem — zakończył swą relację — chciałbym tego człeka i jego konia nie widzieć już nigdy na oczy. Coś mi tak wyglądają, jak by byli nie z tego świata.

Tyle tylko zdołałem się dowiedzieć owego dnia; wkrótce potem mógłbym prawie przy-

siąc, że mi się to wszystko przyśniło, gdyby nie fakt, że niedawno temu stojąc przy wejściu do Hotelu Bennetta w Hartford, usłyszałem nagle, jak jakiś mężczyzna mówił:

— Znowu jedzie Peter Rugg ze swoim dzieckiem! Wydaje się przemoczony i zmęczony i dalszy od Bostonu niż kiedykolwiek.

Poznałem od razu, że to ten sam człowiek, którego widziałem przeszło trzy lata temu; każdy bowiem, kto go choć raz widział, nie pomyli się nigdy.

— Peter Rugg? — zapytałem. — Kto to jest ten Peter Rugg?

— Na to — odrzekł zapytany — nikt panu nie potrafi wyczerpująco odpowiedzieć. Jest to znany podróżnik, którego niezbyt lubią oberżyscy, bo nigdy się nie zatrzymuje, by zjeść, wypić czy przespać się. Zastanawiam się, dlaczego mu rząd nie powierzy przewożenia listów.

— No, no — wtrącił się ktoś do rozmowy. — Ten pomysł ma i swoje ciemne strony. Ileż to czasu szedłby list do Bostonu, skoro Peter, z tego co mi wiadomo, od dwudziestu lat już nie może tam dojechać.

— Ale — rzekłem — czy ten człowiek nigdy się nie zatrzymuje, nigdy z nikim nie rozmawia? Widziałem go przeszło trzy lata temu koło Providence i wtedy mówiono o nim dziwne rzeczy. Proszę, niech mi pan coś o nim powie.

— Szanowny panie — odparł nieznajomy — ci, którzy wiedzą o tym człowieku najwięcej, najmniej mówią. Słyszałem twierdzenie, że czasem niebiosa naznaczają kogoś swym piętnem czy to za karę, czy na próbę. Którą z nich został dotkniętym ten człowiek, nie wiem, toteż raczej jestem skłonny litować się nad nim niż go sądzić.

— Mówisz pan jak człowiek szlachetny. Jeśli znasz go od tak dawna, powiedz mi, proszę, coś więcej o nim. Czy jego wygląd zmienił się bardzo w ciągu tych lat?

— O tak. Sprawiał takie wrażenie, jak by nigdy nie jadł, nie pił i nie spał, a jego dziecię zdaje się jeszcze starsze od niego.

— A jego koń?

— Jeżeli idzie o konia, to ten jest jak gdyby grubszy i weselszy, więcej w nim życia i odwagi niż dwadzieścia lat temu. Kiedy ostatnim razem Rugg odezwał się do mnie, pytał, jak daleko jest do Bostonu. Powiedziałem mu, że dokładnie sto mil.

„Jakże możesz pan tak mnie oszukiwać! To okrucieństwo, wprowadzać w błąd podróżnego. Zmyliłem drogę, proszę więc, wskaż mi, którądy najbliższej do Bostonu”.

Powtórzyłem, że do Bostonu jest sto mil.

„Jak może pan mówić coś takiego! — wykrzyknął. — Wczoraj wieczór powiedziano mi, że jeszcze pięćdziesiąt, a potem jechałem całą noc”.

„Ale oddalasz się pan od Bostonu. Należy zmienić kierunek”.

„Niestety! Wciąż mówią, zmień kierunek. Boston odpływa gdzieś z wiatrem i kręci się, jak igła kompasu! Jeden mówi, że Boston jest na wschód, drugi, że na zachód, a wszystkie drogowskazy też mylnie wskazują drogę!”

„Lecz zatrzymaj się pan i spocznij trochę — powtórzyłem. — Wydajesz się przemoknięty i znużony”.

„To prawda. Pogodę miałem okropną, od kiedy wyruszyłem w drogę”.

„Więc zatrzymaj się i spocznij!”

„Nie, nie, nie mogę; muszę dojechać do domu przed nocą, o ile to możliwe. Ale myślę, że się pan myli, jeśli idzie o odległość do Bostonu” — odrzekł Rugg i z tymi słowy popuścił lejców koniowi, którego dotąd z trudem utrzymywał w miejscu, i po chwili znikł w oddali. W parę dni później widziałem go niedaleko Claremont *, pędzącego wzdłuż pagórków Unity, przypuszczalnie z szybkością dwunastu mil na godzinę.

— Czy naprawdę nazywa się Peter Rugg?

— Tego nie wiem, lecz przypuszczam, że nie będzie się wypierał swego nazwiska. Może go pan zresztą spytać, bo, o. widzi pan, nawrócił i właśnie znów do nas jedzie.

* W stanie New Hampshire (przyp. aut.).

Rzeczywiście ukazał się rozpędzony kary koń i pojazd byłby nas minał, gdybym się nie zdecydował jednak zagadnąć tego człowieka. Gdy byli tuż koło nas, postąpiłem na jezdnię, by go zatrzymać. Mężczyzna natychmiast ściągnął cugle.

— Wybaczcie, szanowny panie — rzekłem — mą śmiałość, lecz chciałbym wiedzieć, czy to pan Peter Rugg? Bo wydaje mi się, że już kiedyś pana widziałem.

— Tak, nazywam się Peter Rugg. Nieszczęśliwym trafem zmyliłem drogę, a przemoknięty i zmęczony, wdzięczny będę za wskazanie mi drogi do Bostonu.

— Mieszka pan w Bostonie, nieprawdaż? A przy której ulicy?

— Przy Middle Street.

— Dawno opuścił pan Boston?

— Nie powiem panu dokładnie, lecz wydaje mi się, że już dosyć dawno temu.

— Ale jakimż to sposobem i pan, i dziecię pańskie przemokliście tak doszczętnie? Nie padało tu dzisiaj.

— Tam dalej, w górę rzeki, była niedawno silna ulewa. Lecz nie mogę tu dłużej bawić, bo nie zdążę do Bostonu na wieczór. Jak mi pan radzi: jechać starym gościńcem czy nową drogą?

— No, starym gościńcem jest sto siedemnaście mil, a tamtą drogą tylko dziewięćdziesiąt siedem.

— Co mówisz, człowieku!? Żeby tak oszukiwać! Toż to haniebne naigrawać się ze zmęczonego podróżnika. Przecież pan wie, że z Newburyport do Bostonu nie ma więcej jak czterdzieści mil.

— Lecz tu nie jest Newburyport, ale Hartford.

— Niechże pan nie wprowadza mnie w błąd, na Boga! Więc to miasto to nie Newburyport, a rzeka, wzdłuż której jechałem, to nie Merrimack?

— Nie, szanowny panie. Jesteśmy w Hartford, a ta rzeka to Connecticut.

Załamiał ręce z wyrazem niedowierzania.

— Więc i rzeki także odmieniły swe biegi, tak jak miasta swe leże? Lecz spójrz, chmury zbierają się tam na południu, będziemy mieli deszcz w nocy! Oh, to przekleństwo!

Nie chciał już dłużej zwlekać. Jego koń, zniecierpliwiony, ruszył galopem, unosząc zady jak skrzydła; wyglądał, jakby pożerał wszystko przed sobą, a gardził tym, co zostawało z tyłu.

Uznałem, że mam wreszcie jakiś punkt zaczepienia, by przybywszy następnym razem w interesach do Bostonu, dowiedzieć się na miejscu czegoś bliższego o tym człowieku. I rzeczywiście. W niedługi czas potem, od pani Croft, zamieszkałej na Middle Street i od dwudziestu lat nie opuszczającej Bostonu, zdołałem dowiedzieć się następujących danych.

Pewnego wieczora ubiegłego lata jakiś człowiek zapukał do drzwi jej domu. A gdy pani Croft otworzyła, ujrzała nieznanego, a za nim dziecko w starym, zniszczonym, przemokniętym powoziku, zaprzężonym w karego konia. Mężczyzna zapytał o panią Rugg i usłyszał w odpowiedzi, że dom ten należał ongiś do pani Rugg, która przeszło dwadzieścia lat temu zmarła w podeszłym wieku.

Nieznamy wykrzyknął:

— Jak pani może tak mnie zwodzić! Proszę usilnie, niech pani poprosi panią Rugg, by tu zeszła.

— Ależ łaskawy panie, zapewniam pana, że pani Rugg nie mieszka tu już od przeszło dwudziestu lat. Tutaj mieszkam tylko ja, a moje nazwisko brzmi Betsey Croft.

Nieznamy milczał, rozejrzał się wokoło i rzekł:

— Mimo, że kolory spełżyły bardzo, to musi być przecież mój dom.

— Tak, tak — potwierdziło dziecko. — Poznaję ten kamień koło wejścia. Na nim siedziałam zawsze z chlebem i kubkiem mleka.

— Ale dom stoi jak by po złej stronie ulicy — ciągnął mężczyzna. — Zaprawdę, wszystko jest inaczej, niż być powinno. Ulice przemieniane, ludzie niepodobni do siebie, miasta zupełnie inne, a co najdziwniejsze z wszystkiego, Catherine Rugg opuściła swego męża i dziecko. A powiedz, pani — zapytał nagle — czy John Fay powrócił już zza morza? W długą wyruszył podróż, to mój krewniak. Gdybym mógł się z nim zobaczyć, powiedziałby mi na pewno, co się dzieje z moją żoną.

— Łaskawy panie — odparła pani Croft — nigdy nie słyszałam o żadnym Johnie Fay. Gdzie on mieszka?

— Tu niedaleko, przy Orange-tree Lane.

— Nie ma takiej ulicy nigdzie w tych stronach.

— Co też pani mówi! I ulic żadnych nie ma! Orange-tree Lane zaczyna się przy końcu Hanover Street, koło Pemberton's Hill.

— Nie, żadnej takiej ulicy nie ma.

— Pani chyba nie mówi tego na serio?! No, ale musi pani znać mego brata... William Rugg, mieszka na Royal Exchange Lane, koło King Street.

— Nie znam takiej ulicy, a co do King Street, to jestem zupełnie pewna, że w naszym mieście nie ma takiej.

— Nie ma tu King Street! Ależ kobieto, nie kpj sobie ze mnie! Równie dobrze może pani mi powiedzieć, że nie ma żadnego króla Jerzego! Jednakże widzisz, pani, że jestem przemoczony i utrudzony, że muszę znaleźć jakiś nocleg. Pójdę do zajazdu Harta, tam koło placu targowego.

— Którego, łaskawy panie? Wydajesz się zdezorientowany, a my mamy kilka placów targowych.

— Przecież jest tylko jeden, koło portu.

— Och, stare targowisko! Ale tam nie ma żadnego zajazdu i to od wielu lat.

Na nieznajomym znać było wyraźne zmieszanie. Szeptał do siebie prawie półgłosem:

— Dziwna pomyłka. Jak to miasto wydało mi się podobne do Bostonu! Tak, wyraźnie jest do niego podobne. Ale widzę teraz, że się omyliłem. Jakaś inna pani Rugg, jakaś inna Middle Street. Ale — tu zwrócił się znowu do kobiety — wskaże mi pani, którądy jechać do Bostonu?

— Wszak tu jest Boston, miasto Boston. Nie znam żadnego innego Bostonu.

— Miasto Boston... to być może... ale to nie jest Boston, w którym mieszkam. A teraz przypomina mi się jeszcze, że wjechałem tu po moście, a nie na promie. Czy mogę wiedzieć, jaki to most przemierzałem przed chwilą?

— To jest most na Charles River.

— Tak, widzę moją omyłkę wyraźnie. Przecież pomiędzy Bostonem a Charlestown kursuje prom, a nie ma żadnego mostu. Zresztą gdybym był w Bostonie, mój koń sam by trafił pod próg mego domu. A tymczasem tutaj okazuje wyraźną niecierpliwość, bo miejsce jest mu zupełnie nieznanne. Co za głupota, wziąć to miasto za mój stary Boston. Tu jest o wiele piękniej. Myślę, że Boston musi leżeć dość daleko, bo ta poczciwa niewiasta zdaje się nie znać go zupełnie.

Przy tych słowach koń zaczął się szarpać i walić kopytami w bruk. Nieznajomy ze speszoną miną rzekł:

— A więc nie będziemy przed wieczorem w domu! — i popuścił cugli. Po chwili powozik zniknął w głębi ulicy.

Nie ulegało wątpliwości, że wymarło już pokolenie, do którego należał Peter Rugg.

Tyle tylko wiadomości na jego temat zdołałem uzyskać od pani Croft. Skierowała mnie ona wszakże do pewnego wiekowego jegomościa, pana Jamesa Felta, który mieszkał w pobliżu; pamiętał on wszystkie ważniejsze zdarzenia z ostatnich pięćdziesięciu lat. Na moją prośbę

pani Croft poszła po niego. Dowiedziawszy się, o co mi idzie, pan Felt powiedział, że znał Rugga w młodości, i że jego zaginięcie wywołało w swoim czasie zdumienie. Ale, że zdarza się, iż ludzie uciekają — czasem, by pozbyć się innych, czasem, by umknąć przed sobą samym, a w dodatku Rugg wziął ze sobą dziecko, powozik i konia, przy czym żaden wierzyciel nie podniósł krzyku — więc też rychło całe to zdarzenie poszło w niepamięć jak wiele innych. Zapomniano, że istniał jakiś Peter Rugg, jego dziecko, powozik i koń.

— Muszę przyznać — dodał pan Felt — że o tej sprawie wiele opowiadano, ale nie potrafię ocenić, ile w tym było prawdy. Zresztą, w mojej młodości zdarzały się i dziwniejsze rzeczy bez jednej wzmianki w gazecie.

— Jednakże, szanowny panie — zauważyłem — Peter Rugg żyje do tej chwili. Widziałem niedawno jego i dziecko, wraz z koniem i pojazdem. I dlatego proszę, niech mi pan opowie wszystko, co pan pamięta lub słyszał o nim kiedykolwiek.

— No cóż, mój przyjacielu — odrzekł James Felt — nie mam zamiaru twierdzić, że Peter Rugg nie żyje; twierdzą jednak, że nie mogłeś go widzieć z dzieckiem, o ile pod tym słowem rozumiesz „małe dziecko”, a niemożliwe to jest dlatego, że Jenny Rugg, jeżeli żyje, musi mieć co najmniej... chwileczkę... masakra w Bostonie była w 1770, wtedy Jenny miała około dziesięciu lat... tak, mój panie, Jenny Rugg, jeżeli żyje, musi mieć obecnie przeszło sześćdziesiątkę. A że Peter Rugg żyje, to zupełnie możliwe, bo był przecież tylko dziesięć lat starszy ode mnie, a ja w marcu skończyłem dopiero osiemdziesiąt. I mam zamiar przeżyć każdego o dobre dwadzieścia!

Słyszając te słowa, uznałem, że pan Felt jest wyraźnie zdziwiony i z żalem zrezygnowałem z dalszych indagacji.

Pożegnawszy się z panią Croft pospieszyłem do hotelu „Marlborough”, w którym stałem.

„Jeżeli Peter Rugg, myślałem, podróżuje tak od czasu masakry w Bostonie, to nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby tak podróżować przez całą wieczność”.

Tegoż wieczora, gdy opowiadałem swoje przeżycia z Middle Street, jeden z obecnych uśmiechnął się i rzekł:

— Naprawdę jesteś pan przekonany, żeś widział tego Rugga? Pamiętam, że mój dziadek opowiadał o nim i to tak, jak by głęboko wierzył w to, co mówi.

— Pozwól pan łaskawie, bym porównał opowieść pańskiego dziadka z tym, co sam przeżyłem.

— Peter Rugg, szanowny panie, o ile wierzyć memu dziadowi, mieszkał ongi w tym mieście przy Middle Street. Był zamożny, miał żonę i jedyną córkę i cieszył się powszechnym poważaniem jako człowiek solidny i obyczajny. Lecz na nieszczęście czasami ponosił go gniew, a wtedy wygadywał potworne rzeczy. W owych napadach pasji potrafił, ni mniej, ni więcej, tylko rozwalić kopniędziem drzwi, jeżeli stały mu na drodze. Bywało, że nagle fikał koźła w powietrzu i znów wracał do dawnej postawy, a przez cały czas okręcania się w koło wykrzykiwał przekleństwa; był chyba pierwszym, który w złości robił pełne salto, coś czego inni uczą się teraz albo dla zabawy, albo dla pieniędzy. Raz widziano go, jak rozgryzł gruby gwóźdź na połowę. W owych czasach wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, nosili peruki; otóż Peter, gdy wpadł w pasję, wygadywał takie bezceństwa, że aż peruka stawała mu dęba na głowie. Jedni mówili, że nie mogła znieść jego okropnego słownika; inni uzasadniali to bardziej filozoficznie, twierdząc, że powodem było powiększanie się jego głowy, bowiem gwałtowna złość, jak wiadomo, rozszerza żyły i powiększa głowę. Ilekroć wpadał w taki szal, Rugg nie liczył się ani z niebem, ani z ziemią. Lecz poza tą jedną słabością wszyscy przyznawali, że Rugg to dobry człowiek, bo kiedy mu złość przeszła, nikt nie był pogodniejszy i bardziej łagodny od niego.

Pewnego dnia rano, późną jesienią, Rugg swoim powozikiem, zaprzężonym w wielkiego karego konia zabrał swą jedynaczkę i wyruszyli do Concord. Kiedy wracali, zaskoczyła

ich burza. Po ciemku dotarł do Menotomy (obecnie West Cambridge), do drzwi swego przyjaciela Cuttera, który jął go namawiać, by zatrzymali się na noc. Rugg wzbraniał się, Cutter nastawał coraz gwałtowniej:

„Ależ mój drogi! Burza nie mija, wokoło czarna noc! Kto widział, narażać tak dziecko! Masz otwarty powozik, a burza wzmaga się z każdą chwilą!”

„Niech się wzmaga! — wykrzyknął Rugg i zaklął się jeszcze: — Choćby burza ta miała trwać wiecznie, dojadę dziś wieczór do domu, albo mogę go więcej nie oglądać!” Z tymi słowami zaciał konia, który ruszył z kopyta i zniknął w ciemności. Lecz nie dojechał do domu ani tej nocy, ani następnej, a gdy już uznano, że zaginął, nie zdołano odnaleźć nikogo, kto by ich widział później niż pan Cutter z Menotomy.

Przez długi czas jeszcze, w każdą ciemną, burzliwą noc żonie Rugga zdawało się, że słyszy trzaskanie bata, stuk kopyt i chrzęst powoziku mijającego jej drzwi. Sąsiedzi także słyszeli te same odgłosy, a niektórzy nawet rozpoznawali, że to koń Rugga — znali przecież dobrze odgłos jego kopyt na bruku ulicy. Powtarzało się to tak często, iż wreszcie pewnego dnia sąsiedzi postanowili czekać z latarniami i ujrzeli, jak sam Peter Rugg z dzieckiem przy boku, z koniem i powozikiem, z głową obróconą ku swemu własnemu domowi mija go, starając się bezskutecznie zatrzymać przed nim konia.

Następnego dnia przyjaciele pani Rugg zaczęli szukać jej męża i dziecka. Pytali w każdym zajeździe, w każdej stajni w całym mieście, ale okazało się, że Peter Rugg nie zatrzymał się w Bostonie. Nikt nie widział go od tej chwili, gdy przejechał pod swoim własnym domem, choć kilka osób zapewniało, że od łoskotu jaki robił jego koń i pojazd, trzęsły się domy po obu stronach ulicy. I jest to wiarogodne, jeżeli rzeczywiście pojazd Rugga przejeżdżał tej nocy, po dziś dzień bowiem na niektórych ulicach naładowany wóz lub pędzący zaprzęg powoduje istne trzęsienie ziemi. Jednakże sąsiedzi Rugga nie nasłuchiwali już po nocach. Jedni uznali wszystko za przywidzenie i przestali o tym myśleć; inni myśleli inaczej i potrząsali głowami w milczeniu.

Tak więc zapomniano wnet o Ruggu, jego dziecku, koniu i powozie; a przypuszczalnie wiele ludzi w pobliżu nie słyszało ani słowa o tym zdarzeniu.

Chodziły rzeczywiście słuchy, że widziano go potem w Connecticut, pędzącego w szalonym tempie pomiędzy Suffield a Hartford. To zachęciło przyjaciół Rugga do dalszych poszukiwań. Lecz im więcej się dopytywali, tym bardziej byli skołowani. Jeżeli jednego dnia postyszeli o nim w Connecticut, następnego przychodziła wiadomość, że widziano go pędzącego jak wicher po wzgórzach New Hampshire, a w niedługi czas potem w Rhoda Island jakiś mężczyzna w powoziku, wraz z małym dzieckiem, odpowiadający dokładnie rysopisowi Rugga, dopytywał się o drogę do Bostonu.

Lecz atmosferę tajemniczości zawdzięcza historia Rugga przede wszystkim zdarzeniom koło mostu w Charlestown. Rogatkowy poborca myta zapewniał, że od czasu zniknięcia Rugga, kilkakrotnie w najbardziej burzliwe i ciemne noce, kiedy nic prawie nie było widać, o północy jakiś pojazd zaprzężony w jednego konia przejeżdżał przez most nie zwracając uwagi na obowiązek płacenia myta i to z takim łoskotem, jak by to był cały oddział wojska. Historia owa powtarzała się tak często, że poborca postanowił przekonać się, kto to taki. W niedługi czas potem, o zwykłej porze, znów najwyraźniej ten sam zaprzęg nadjechał od rynku w Charlestown. Poborca myta przygotowany na to stanął na środku mostu z dużym stołkiem w ręce. Stołkiem tym, w chwili gdy zaprzęg go mijał, rzucił w konia, lecz nie usłyszał nic, tylko stuk przedmiotu toczącego się po moście. Poborca myta upierał się, że stołek przeleciał prosto przez konia, i nie dał sobie tego nigdy wyperswadować. Czy Rugg przejeżdżał jeszcze kiedy przez ten most, nie można się było dowiedzieć, a ilekroć poborcę pytano o to, zmieniał temat. Tak więc Peter Rugg, jego dziecko i zaprzęg — wszystko okryte jest tajemnicą aż do dnia dzisiejszego.

Tyle oto, szanowny Panie, zdołałem się w Bostonie dowiedzieć o owym Ruggu.

Dalsze sprawozdanie Jonathana Dunwella odnośnie Petera Rugga.

Jesienią 1825 roku byłem na wyścigach w Richmond w stanie Virginia.

Miały biegać dwa nowe konie zapowiadające się doskonale, toteż publiczność dopisała jak rzadko i podniecenie panowało wielkie. Zwolennicy Oszczepu i Błyskawicy byli równie ciekawi i równie niepewni wyników gonitwy. Widz nie zaangażowany uczuciowo, tak jak ja, nie zdołałby dostrzec między obu końmi żadnej różnicy. Oba były jednakowo piękne, tej samej maści i wzrostu i gdy tak stały obok siebie, widać było, że długością nie różnią się ani o cal. Oba miały oczy mocne, wyraziste i zdecydowane. A gdy spoglądały chwilami na siebie, wznosiły dumnie głowy, naprężyły szyje i patrzyły uważnie. Widać było w ich oczach inteligencję, a w zachowaniu dobre maniery, niezwykle nawet u mężów stanu.

Dochodziła oto godzina dwunasta — czas wyczekiwania, wątpliwości i niepokoju. Jeźdźcy dosiedli koni; wyglądali tak zgrabnie i lekko, jakby byli z nimi zrośnięci. Tysiące widzów zajęło miejsca i w jednej chwili zamieniło się w tyleż samo zaledwie oddychających posągów. Oczy wszystkich wpatrzone były w Oszczepa i Błyskawicę i w obu pięknych jeźdźców. Cisza panowała taka, że słyhać było dziecięcia stukającego w pobliskie drzewo. Na dany znak Oszczep i Błyskawica zareagowały natychmiast. Ruszyły truchtem, z truchtu przeszły w kłus, a wreszcie w galop — i już płynęły przez równinę. Oba mknęły wyciągnięte płasko, a jeźdźcy pochyleni ku przodowi, brodą dotykali końskich uszu.

Gdy w tym locie bez skrzydeł, wyciągnięte płasko jak zając w pędzie, trzymały się łeb w łeb, nagle inny widok przyciągnął wzrok zgromadzonych: Oto tuż za Oszczepem i Błyskawicą ukazał się majestatyczny kary koń, niebywałej wielkości, zaprzężony do starego, zniszczonego powoziku. Poruszał się bez wysiłku, równomiernym truchtem, a przecież zanim tamte dwa konie dobiegły do mety, ów kary przegonił je; nagle bowiem położyły uszy po sobie i stanęły jak wryte. Tak więc nie wygrali ani ci, co stawiali na Oszczepa, ani ci co na Błyskawicę.

Ludzie gubili się w domysłach, skąd się wziął ów kary z zaprzęgiem. Wielu twierdziło, że w powoziku nie było nikogo, coraz więcej ludzi wyrażało to zdanie, bo z bliska patrząc, nie można było dojrzeć w tym pędzie, kto był wewnątrz, o ile w ogóle ktoś był. Lecz obaj jeźdźcy, których kary wyminął z bliska, zgodnie stwierdzili, że na koźle siedział mężczyzna o smutnej twarzy i mała dziewczynka. Gdy to usłyszałem, nabrałem pewności, że musiał to być Peter Rugg. Lecz największe poruszenie wywołał John Spring, jeden z jeźdźców (ten, który dosiadał Błyskawicy), oznajmiając, że nie ma na świecie konia, który by w zaprzęgu i w uczciwej walce mógł prześcignąć jego klacz. I upierał się jeszcze, że to nie był wcale koń, lecz wielki czarny wół.

— Jakie są możliwości wielkiego czarnego wołu, na tym się nie znam — oznajmił John. — Lecz żaden koń wyścigowy, nawet latający Childers, nie potrafi prześcignąć Błyskawicy w uczciwym biegu.

Słowa te wywołały moc uciechy, było bowiem oczywiste dla wszystkich, że to wielki kary koń przerwał wyścigi, lecz John Spring, zazdrosny o reputację Błyskawicy, wołał raczej, by uważano, że jakiegokolwiek inne zwierzę, choćby nawet wół, doszło pierwsze do mety. Jednakże głośnie śmiechy z Johna Springa urwały się nagle, bo gdy tylko Oszczep i Błyskawica zaczęły znowu normalnie oddychać, zauważono, że zgodnie zawróciły na tor wyścigowy, zaczęły obwąchiwać go z pochylonymi głowami, a potem uniośszy łby, rżały głośnie i długo, aż John Spring rzekł:

— Te konie odkryły coś niezwykłego. Podejrzewają jakąś nieczystą sprawkę. Muszę zapytać Błyskawicę, o co chodzi.

Podszedł do klaczy i chwycił ją za grzywę, ona zaś pochyliwszy nozdrza ku ziemi obwąchiwała ją, a potem uniosła łeb wysoko i zarżała tak głośnie, aż echo odpowiedziało wśród dalekich pagórków. Oszczep zawtórował jej równie donośnie. John Spring pochylił się

i oglądał miejsce obwąchiwane przez Błyskawicę. Kiedy się wyprostował, twarz jego była zupełnie zmieniona. Oparł się o swego konia, jak by go siły opuściły nagle.

Gdy wreszcie otrząsnął się jakoś, wykrzyknął:

— A jednak to był wół! Mówiłem, że to musiał być wół. Żaden koń nie pobił jeszcze Błyskawicy!

I rzeczywiście, każdy to mógł stwierdzić, ślady przednich nóg karego, widziane z bliska, były rozszczipione jak racice. Mimo to nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ów tajemniczy koń był naprawdę koniem. Ale sądzę, że co najmniej połowa widzów, opuszczających teren wyścigów, była gotowa przysiąc, iż wielki czarny wół wyprzedził dwa spośród najbardziej chyżych koni, jakie biegały na torach Virginii.

Kiedy zbliżałem się do mego hotelu rozmyślając nad tym, czego byłem świadkiem, jakiś nieznajomy podjechał do mnie i zagadnął:

— Przepraszam, czy pan Dunwell?

— Tak jest — odparłem.

— Zdaje mi się, że widziałem pana rok czy dwa lata temu w Bostonie, w hotelu „Marlborough”.

— Zupełnie możliwe, bo byłem tam wtedy.

— I słyszał pan tam historię człowieka imieniem Peter Rugg?

— Tak, pamiętam ją doskonale.

— Wszystko, co pan usłyszał wtedy, musi być prawdą, gdyż dziś był on tutaj. Jego drogi zaprowadziły go do Virginii, a wygląda na to, że przedtem dojechał aż do przylądka Horn. Widziałem go już dawniej, ale nigdy nie jechał z taką przerażającą szybkością. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ten Peter Rugg spędza zimy, bo ilekroć go widziałem, zawsze to było latem i zawsze pogoda była fatalna, za wyjątkiem tylko dzisiejszego dnia.

Odparłem na to:

— Nikt nie wie, gdzie Peter Rugg spędza zimy, tak samo jak nikt nie wie, gdzie i kiedy je, pije i nocuje. Mam wrażenie, że on niezbyt wyraźnie zdaje sobie sprawę, czy jest dzień, czy noc, która godzina, nie mówiąc już o odległościach i pogodzie. Myśli tylko o jednym: żeby dojechać do Bostonu. Wydaje mi się, że ten jego koń decyduje o wszystkim i że sam Peter Rugg jest do pewnego stopnia od swego konia uzależniony.

Zapytałem wtedy owego nieznajomego, gdzie po raz pierwszy ich widział.

— Cóż, proszę pana, w lecie 1824 roku podróżowałem na Północ ze względu na zdrowie. Wkrótce po tym spotkaniu w hotelu „Marlborough” wracałem w swoje rodzinne strony, do Virginii i o ile mnie pamięć nie myli, w każdym ze stanów po drodze do samego Massachusetts widziałem tego człowieka i jego konia. Kilka razy nadjeżdżał z przeciwnej strony, lecz częściej mijał mnie. Przemówił do mnie tylko raz, a było to w Delaware. Zbliżając się, jął przyhamowywać konia z niejakim trudem. Oh, cóż to był za przepiękny koń! Kiedy się przybliżył, naprężył nagle szyję, nastawił uszy ku przodowi, aż się prawie stykały, i wpatrywał się mocno w mego konia.

I niech pan sobie wyobrazi, mój koń jakby zmałał o połowę, kurczył się, aż skóra zmarszczyła mu się na grzbiecie. Tkwił w miejscu jak zaklęty, całkiem jak by go kto czterema gwoździami poprzez każde kopyto przytwierdził do ziemi.

„Łaskawy panie — rzekł do mnie Peter Rugg — czy może udaje się pan do Bostonu? Jeżeli tak, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy dalej razem pojechali, zmyliłem bowiem drogę, a muszę być przed nocą w domu. Niech pan spojrzy, jak śpiąca jest już mała. Biedactwo, wygląda jak uosobienie cierpliwości”.

„Ależ, szanowny panie — odparłem — to zupełnie niemożliwe, byś pan dojechał do domu przed nocą, ponieważ znajduje się pan w miejscowości Concord, okręgu Sussex, to znaczy w stanie Delaware”.

„Co pan rozumie pod słowem «stan Delaware»? Jeżeli jesteśmy w Concord, to przecież

stąd nie ma więcej jak dwadzieścia mil do Bostonu, a mój koń, Lekkonogi, dowiezie nas do promu w Charlestown w niecałe dwie godziny. Lecz pan się myli, jesteś pewno obcy w tych stronach. To miasto nie przypomina wcale Concord, które znam dobrze. To właśnie do Concord udałem się, gdym wyjechał z Bostonu”.

„Ale my jesteśmy obecnie w Concord w stanie Delaware”.

„Co to znaczy «stan»?”

„Jak to? Jeden ze stanów zjednoczonych”.

„Stany — powtórzył półgłosem. — Ten człowiek to jakiś błazen i chce we mnie wmówić, że jestem w Holandii. — I głośniej: — Tuszę, że jesteś pan dżentelmenem i dlatego ośmielę się prosić, byś mnie nie wprowadzał w błąd, i zaklinam, byś wskazał mi najszybciej właściwą drogę do Bostonu, bowiem koń mój pada z głodu. Karmiłem go ostatni raz, zanim wyruszyliśmy z Concord”.

„Miasto, w którym jesteśmy, szanowny panie, zwie się Concord, ale Concord w stanie Delaware, a nie w Massachusetts. I dlatego jest pan o pięćset mil oddalony od Bostonu”.

Rugg przyglądał mi się przez chwilę, raczej z żalem niż z niechęcią, a wreszcie powtórzył:

„Pięćset mil! Nieszczęsny człowiek, z wyglądu nikt by nie poznał, że niespełna rozumu. Tak, tak, wygląd człowieka to rzecz najbardziej zwodna na tym świecie. Pięćset mil! To pobiło nawet tę rzekę Connecticut!”

Cooznaczała wzmianka o rzece Connecticut, tego nie pojmuję. Kary koń szarpnął gwałtownie i po chwili Rugg zniknął w oddali.

Zatrzymaliśmy się u wejścia do doskonałego hotelu pana Benneta i wytłumaczyłem nieznamomemu, co znaczyło to zdanie o rzece Connecticut, opowiadając mu całe zdarzenie w Hartford.

W niedługi czas potem, zobaczyłem Rugga znowu przy roгатce na drodze z Alexandria do Middleburgh. Płacąc myto, zauważyłem, że wiatr w tej okolicy jest silniejszy niż dalej na południu. Na to odparł mi roгатkowiec:

— Tak, silnie dziś dmucha. Ale gdyby nie to, że wczoraj jeden podróżny mówił mi, że dwa dni temu widziano człowieka z karym koniem w Kentucky, to bym się lada chwila spodziewał solidnej ulewy.

Rozejrzałem się wkoło po horyzoncie, ale nie dojrzałem nawet takiej chmurki, która mogłaby przynieść choć kwartę wody.

— Proszę spojrzeć, łaskawy panie, tam na wschodzie, tuż nad tym wzgórzem! Widzi pan tę małą czarną chmurkę? Nie jest większa niż jagoda, ale przez ten czas, co to mówię, już się powiększyła dwa razy, trzy razy i toczy się nad tą drogą tak uparcie, jak by miała na celu zmoczyć tylko jeden jedyny przedmiot.

— Rzeczywiście. Widzę ją. Ale jakież związek ma ta chmura z tamtym człowiekiem i karym koniem?

— Większy niż łaskawy pan przypuszcza, a ja potrafię opowiedzieć. Znam już tę chmurę, widziałem ją nieraz i mogę przysiąc, że to ona. Wnet pod nią dojrzymy i pojazd, i karego.

Jeszcze nie skończył, jak usłyszeliśmy daleki grzmot, a po chwili błyskawice jedna po drugiej zaczęły wyczyniać dziwne figury.

W odległości mili mniej więcej ujrzeliśmy tuż pod toczącą się chmurą pojazd zaprzężony w karego konia. Ale zanim dotarł on do nas, ulewa już go dopadła, przemoczyła i ustała tak nagle, że na nas nie spadła już ani kropla.

Gdy nowo przybyły, w którym natychmiast rozpoznałem Rugga, usiłował przejechać przez roгатkę, poborca szybko opuścił szlaban zagrządzający przejazd, chwycił karego za uzdę i zażądał swoich dwóch dolarów.

Wiedziony współczuciem, wmieszałem się do rozmowy wypyując poborcę, o co mu

idzie i prosząc, by nie gniewał się na tego człowieka. On jednak odparł, że ma słuszne powody, bo ten człowiek już z dziesięć razy przejeżdżał tędy bez płacenia, a co więcej, koń raz kopnął w jego stronę kulę armatnią i o mało go życia nie pozbawił. Za każdym razem powozik nadjeżdżał tak szybko, że nie było już mowy o zasunięciu zardzewiałego szlabanu „lecz teraz odbiję to sobie nareszcie” — zakończył poborca.

Rugg spojrział na mnie z wyrzutem i rzekł:

— Zaklinam pana, nie zatrzymujcie mnie, proszę, tutaj. Dowiedziałem się w końcu najkrótszej drogi do Bostonu i jeżeli mnie będziecie zatrzymywać, mogę nie zdążyć do domu przed nocą. Widzi pan, że jestem przemoczony do nitki i powinienem się przebrać.

Na to poborca zapytał, czemu tyle razy przejechał tędy, nie płacąc myta.

— Myta? Jak to? Od kiedy tu się pobiera myto? Nie słyszałem o żadnych mytach na królewskim gościńcu.

— Królewski gościńiec! Nie widzi pan, że tu jest rogatka przy nowej drodze?

— Jaka rogatka? Nie ma żadnych rogatek w Massachusetts.

— To możliwe, ale tu jest Virginia!

— Co takiego? Twierdzisz więc, że jestem w Virginii? — wykrzyknął Rugg i zwracając się do mnie spytał, jak daleko jest stąd do Bostonu.

Odrzekłem na to:

— Panie Rugg, widzę, że jesteś zaniepokojony, i przykro mi, że spotykam pana tak daleko od domu, jest to bowiem rzeczywiście stan Virginia.

— Wygląda, jak by mnie pan skądś znał — odpowiedział Rugg — i mówi mi pan, że jestem w Virginii. Otóż pozwól pan sobie oznajmić, że jesteś najbezpieczniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem. Albowiem nie byłem nigdy dalej jak czterdzieści mil od Bostonu i w życiu nie widziałem człowieka z Virginii. To pobiło nawet ten stan Delaware!

— A moje myto, panie, moje myto?!

— Nie zapłacę ani jednego miedziaka, jesteście obaj zwykłymi opryszkami. Nie ma w tym kraju żadnych rogatek. Jeszcze czego, myto na królewskim gościńcu! — i dodał jeszcze półgłosem: — To najwyraźniej jakaś zmowa przeciwko mnie. Nigdy już nie zobaczę Bostonu! Drogi wzbraniają się mnie przepuścić, rzeki zmieniają swe biegi i kompasowi wcale wierzyc nie można.

Lecz koń Rugga nie miał ochoty stać dłużej niż minutę, oto w samym środku tej dyskusji uniósł łeb z górnej belki szlabanu, na której chwilę spoczywał, potem ujął ją w zęby, uniósł lekko z zawiasów cały szlaban i wraz z nim ruszył naprzód. Poborca, ogłupiały, wytężył oczy za swoją przegrodą.

— Niech jedzie, koń za chwilę puści ten szlaban, nie straciecie go na pewno.

Zacząłem go wypytywać o wszystko, co wie o Ruggu, i tyle się wtedy dowiedziałem:

— Pierwszy raz ten człowiek przejechał przez moją rogatkę w roku 1806, w chwili zaćmienia słońca. Myślałem wtedy, że pewno koń przestraszył się nagłej ciemności i poniósł. Ale w parę dni później, ten sam człowiek i ten sam koń przejechali tędy z powrotem, znowu w szalonym pędzie, nie zwracając uwagi ani na rogatkę, ani na mnie, ot tylko spojrzeli. W parę lat później, podczas wojny to było, zobaczyłem znowu tego człowieka nadjeżdżającego i postanowiłem go zatrzymać. Toteż wyszedłem na środek drogi z rozpostartymi ramionami i krzyknąłem: „Stać, wy tam, bo będzie źle!”, a on słysząc to zawołał: „Wio, Lekkonogi, to tylko jakiś opryszek!” i jak nie zacznie poganiać go batem z obu stron. Kary ruszył z taką szybkością, że dwa takie konie, byleby miały dość miejsca, żeby stanąć, dałyby chyba radę każdej zaporze wymyślonej przez człowieka. Na drodze leżała kula armatnia, zgubiona niedawno przez żołnierzy wiozących amunicję do Baltimore. Ta nieszczęsna kula leżała akurat na szlaku karego, który z szatańską wprost złośliwością kopnął ją kopytem daleko za siebie. Słabo mi się robi, ilekroć opowiadam to zdarzenie, bo ta kula przeleciała tuż koło mojej głowy (tak blisko, że pęd powietrza zrzucił mi kapelusz) i utkwiała w tamtym słupie rogatkowym.

Proszę, niech łaskawy pan zechce tu spojrzeć. Zostawiłem ją tutaj na pamiątkę tamtego wydarzenia, tak jak bostończycy przechowują podobno tamten osiemnastofuntowy pocisk, wbity w mur kościoła przy Brattle Street.

Pożegnałem się wreszcie z poborcą, obiecawszy, że dam mu znać, jeżeli gdzie zobaczę jego szlaban albo usłyszę coś o nim.

Miałem poprzednio wielką chętkę zatrzymać Rugga i przeszukać mu kieszenie, bo wydawało mi się, że jakieś ciekawe odkrycie mogłoby mi przypaść w udziale. Ale to, co dziś widziałem i czego się dowiedziałem, przekonało mnie, że żadna ludzka siła nie zdoła zatrzymać Rugga wbrew jego woli.

Postanowiłem więc traktować go jak najuprzejmiej, jeżeliby go kiedy spotkał.

Kierując się do Nowego Jorku, skręciłem w nową drogę od Trenton, a kiedy dojechałem do New Brunswick, okazało się, że dają tam właśnie nową nawierzchnię, pokrytą warstwą drobnych kamieni. Gdy przejeżdżałem tym odcinkiem, zauważyłem ze zdziwieniem, że w równych odstępach, mniej więcej co osiem stóp widnieją wyrwy — duże okrągłe miejsca, z których zupełnie znikły kamienie. Zaciekało mnie to i przy następnej roгатce zapytałem, co to być może.

— Nie dziwię się pytaniu wielmożnego pana — odparł roгатkowy — ale nie umiem dać na to zadowalającej odpowiedzi. Bo doprawdy wydaje mi się, że ja sam muszę być zaczarowany i całą tą drogą też rządzą jakieś czarodziejskie siły, to bowiem, co widziałem ubiegłej nocy, nie może być rzeczą naturalną, bo w takim razie, cała ta roгатka jest zupełnie zbędna.

— Nie wierzę ani w czary, ani w dziwy — odparłem. — I jeżeli usłyszę dokładnie, co się wydarzyło w nocy, postaram się znaleźć możliwie realne wyjaśnienie tych wydarzeń.

— Przypomina pan sobie, że wczoraj wieczór było niezwykle ciemno? W chwilę po zamknięciu szlabanu na noc zobaczyłem na drodze coś, co w pierwszej chwili wydawało mi się walką między jakimiś dwiema armiami. Strzały muszkietów, błyski raket nie ustawały przez długą chwilę. Ten niesamowity widok zbliżał się jak rozpędzone tornado, z coraz głośniejszym łoskotem. Widowisko to toczyło się zwartą masą tuż nad ziemią, od której odrywały się wspaniałe fajerwerki i otaczały to wszystko dziwnym blaskiem. Można by przypuszczać, że to gwiazdy niebieskie spotkały się na drodze i igrają wesoło. W samym środku tego błyskotliwego obrazu siedział jakiś człowiek w żałośnie wyglądającym pojeździe, ciągniętym przez karego konia. Zgodnie z prawami natury, a także z prawami naszego stanu szlaban roгатki winien był obrócić całość w rumowisko, a zarazem rozwiać wszelkie czary, lecz nie — koń bez najmniejszego wysiłku przedostał się przez szlaban i pociągnął za sobą powozik z człowiekiem poziomo, bez dotknięcia belki. To właśnie nazywam jakimiś czarami. Co wielmożny pan o tym myśli?

— Mój przyjacielu — rzekłem. — Przesadziłeś, i to mocno, opisując zwyczajne dosyć zdarzenie. Człowiekiem tym jest Peter Rugg udający się do Bostonu. To prawda, że jego koń pędzi z niebywałą szybkością. I skoro z wysoka wali przednimi kopytami, cóż więc dziwnego, że poruszył z miejsca tysiące małych kamyczków. To one rozpryskując się na wszystkie strony, uderzały o siebie z hałasem i krzesaniem iskier. Górna belka tego szlabanu wznosi się nie więcej niż dwie stopy nad ziemią, a koń Rugga przy każdym skoku mógł bez trudu przenieść swój pojazd ponad taką przeszkodę.

To wyjaśnienie zadowoliło pana McDoubta, ja zaś podjąłem dalej mą podróż w kierunku Nowego Jorku.

Nie przypuszczałem też, że zobaczę czy usłyszę jeszcze coś więcej o panu Ruggu, ponieważ wyprzedzał on mnie teraz już więcej niż o dwanaście godzin. W drodze do Elizabethtown nie mogłem się o nim niczego dowiedzieć, toteż doszedłem do wniosku, że snadź ubiegłej nocy skręcił z tej szosy w kierunku zachodnim, lecz kiedy byłem już blisko Powles's Hook, zauważyłem pokaźną liczbę pasażerów na promie. Wszyscy stali nieruchomo i wpatrywali się w ten sam przedmiot. Jeden z obsługi promu, Hardy, który znał mnie dobrze, widząc,

że nadjeżdżam, zczekał jeszcze chwilę z odbiciem od brzegu, by mi umożliwić przeprawę i zbliżając się do mnie zawołał:

— Panie Dunwell, mamy tu na promie coś takiego, że nawet doktor Mitchell byłby zdumiony.

— Jakaś niezwykła ryba, co się przypadkiem dostała w nurty Hudsonu?

— Nie. To mężczyzna, który wygląda tak, jak by się krył w arce, a teraz wreszcie wychynał na światło dzienne. Ma ze sobą małą dziewczynkę, podobną do niego ogromnie, a jego koń, najpiękniejszy na świecie, zaprzęzony jest do najdziwniejszego chyba pojazdu, jaki kiedy widziałem.

— No, panie Hardy. Rzeczywiście gratka nie lada. Nikomu dotąd nie udało się przytrzymać Rugga tak długo, by go można było wziąć trochę na spytki.

— Zna pan tego człowieka?

— Nie, nikt go nie zna, lecz każdy go widział. Zatrzymaj go pan tutaj jak najdłużej, opóźniaj lądowanie pod byle pretekstem, przetnij koniowi uzdę — słowem, rób co chcesz, byle go zatrzymać.

Kiedy wsiadałem na prom, uderzył mnie widok, jaki miałem przed oczyma. Siedzieli tam bowiem Peter Rugg i Jenny Rugg w starym powoziku, a obok stał kary. Wszyscy troje spokojni jak baranki. Otoczeni byli przez jakieś pięćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, którzy zatracili wszelkie zmysły prócz jednego. Nikt nie oddychał, nie słuchał, nie czuł. Zamienili się bez reszty we wzrok. Rugg wydawał im się postacią nie z tego świata; oni zaś byli dla niego zdumiewający i dziwni. Rugg milczał, oni milczeli, a ja także nie miałem zamiaru przerywać ciszy, zadowolony, że ujrzałem wreszcie Rugga w stanie spoczynku. Wtem Rugg zauważył cicho, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności:

— Nowy jakiś pomysł: konie zamiast wioseł. Ci bostończycy mają głowy!

Widać było wyraźnie, że Rugg miał duńskich przodków. Nosił na sobie trzy pary ineksprymabli, (zwanych spodniami w dawnych bezceremonialnych czasach), niezbyt zniszczonych, lecz czas wypróbował jakoś materiałów, i jedne zbiegły się bardziej niż drugie tak, że na kolanach widać było ich odmienne gatunki i kolory. Liczne kamizele o połach opadających aż na kolana powodowały, że wyglądał korpulentnie. Ciemny płaszcz był tak obszerny, że dałoby się zeń wykroić ze sześć modnych dziś okryć; rękawy przypominały worki na mąkę, a w mankietach można by niemowlę ukołysać do snu. Kapelusz, kiedyś pewnie czarny, obecnie już doszczętnie wyrudziały, nie był ani owalny, ani też powykręcany. Cały ów strój dodawał okrągłej twarzy Rugga wyrazu staroświeckiej godności. Zresztą on sam, mimo że mocno spalony słońcem, nie wyglądał starzej niż na jakieś trzydzieści lat. I w tej chwili nie miał na twarzy smutku i niepokoju, wydawał się zupełnie opanowany, a nawet zadowolony. Pojazd, w którym siedział, był obszerny, wyraźnie robiony z myślą o częstym użytku i to przez długie lata. Materiału też starczyłoby z niego na trzy współczesne powoziki. Koń również wart był obejrzenia: jego ogromny wzrost, piękna grzywa i ogon nadawały mu wygląd konia wojskowego, a szeroko rozdęte chrapy wskazywały na wielką energię. Widać było wyraźnie, że przednie kopyta miał pęknięte — przypuszczalnie od jakiejś świeżej nawierzchni drogi; dopiero się zrastały. Tak więc John Spring niezupełnie się mylił. Jak długo by trwała ta niema scena, nie umiem powiedzieć, lecz nagle koń Rugga, postawszy spokojnie przez pięć minut, uznał, że już tego dosyć, i zaczął wpierw rzeć, a potem prawym przednim kopytem walić w deski promu. Na to Rugg rzekł:

— Mój koń widzi North End, dlatego się niecierpliwi. Spieszcie więc, bo nawet nie da się go okiełznać!

Jeszcze wymawiał te słowa, gdy koń nagle uniósł lewą przednią nogę, a kiedy ją opuścił, każdy cal promu zadrżał. Natychmiast dwaj ludzie złapali karego przy pysku, ale koń rzucił się i obaj znaleźli się w falach Hudsonu. Podczas gdyśmy ich wyławiali, sprawca stał spokojnie, bez ruchu.

— Nie drażnijcie konia, to nie będzie z nim kłopotu. Po prostu spieszo mu, tak jak mnie, by prędzej znaleźć się na tamtym pięknym brzegu. Widzi już North Church i czuje własną stajnię.

— Łaskawy panie — zwróciłem się do Rugga chcąc go zaskoczyć pytaniem — proszę, powiedz mi, obcemu w tych stronach, co to za rzeka, którą przebywam i jakie to miasto widać naprzeciwko, bo zdaje mi się, że jesteś pan jego mieszkańcem.

— Ta rzeka zwana jest, szanowny panie Mystic River, stoimy na promie Winnisimmet (bo zachowaliśmy tu wiele indiańskich nazw), a tam przed nami jest Boston. Musisz pan być rzeczywiście obcy w tych stronach, jeżeli nie wiesz, że mamy przed sobą Boston, stolicę nowoangielskich prowincji.

— A jak długo sam pan byłeś nieobecny w Bostonie?

— Widzi pan, nie potrafię dokładnie odpowiedzieć. Udałem się z moją małą córeczką do Concord odwiedzić przyjaciół i, wstyd mi wprost wyznać, wracając zmyliłem drogę i od tego czasu podróżuję bez ustanku. Nikt mi nie wskaże właściwego kierunku. To okrutne, tak zwodzić podróżnego. Mój koń Lekkonogi coraz to musiał zawracać; najeździł się we wszystkie światy strony. Lecz widzi pan, koń znów się niecierpliwi. Dotąd przypomniał o sobie tylko raz — ruszył łbem. Lecz nie mam zamiaru odpowiadać za jego kopyta.

W tej chwili Lekkonogi uniósł długi ogon i strzepnął nim, co zabrzmiało jak trzask bata. Po wodzie rozeszło się echo. Od razu cała szóstka koni zaczęła ciągnąć liny promu. Hudson przypominał taflę szklaną, gładki jak lustro, bez jednej zmarszczki. Konie z dobrego truchtu przeszły w galop; przez burty przelewała się woda, po chwili wokół promu szeroko przewalało się morze piany, a towarzyszył temu szum jakby wielu połączonych strumieni. Gdyśmy dopływali do Nowego Jorku, za nami w poprzek Hudsonu ciągnął się cudowny biało spieniony ślad.

Choć Rugg odmawiał płacenia myta na rogatek, jednakże na widok wyciągniętej ręki pana Hardy'ego bez wahania wsunął dłoń do jednej z licznych kieszeni, wyciągnął jakąś srebrną monetę i wręczył ją przewoźnikowi.

— A cóż to jest? — zapytał tamten.

— Trzydzieści szylingów — odparł Rugg.

— Może tak kiedyś wyglądało trzydzieści szylingów, ale nie teraz.

— To dobra angielska moneta! — zaprotestował Rugg. — Mój dziadek przywiózł ich z Anglii cały worek, a otrzymał je z mennicy jeszcze ciepłe.

Słyszając tę rozmowę, podszedłem do Rugga i poprosiłem o pokazanie mi rzeczonyj monety. Była to półkoronówka, wybita przez parlament angielski i opatrzona datą 1649. Na jednej stronie widniał napis „Wspólnota Angielska” oraz krzyż świętego Jerzego otoczony wieńcem laurowym; na drugiej zaś „Bóg z nami” i krzyż świętego Jerzego złączony z harfą. Mrugnawszy porozumiewawczo do Hardy'ego oznajmiłem, że jest to dobra moneta obiegowa i dodałem wolno:

— Nie pozwolę, by tego dżentelmena oszukiwano i sam mu rozmienię te pieniądze.

Na to Rugg rzekł:

— Proszę, podaj mi pan swoje nazwisko!

— Jestem Dunwell, szanowny panie — odparłem.

— Panie Dunwell, jest pan jedynym uczciwym człowiekiem, jakiego spotkałem od chwili, gdy opuściłem Boston. A że jest pan tu obcy, proszę, uważaj mój dom za własny. Pani Rugg ucieszy się na widok przyjaciela swego męża. Wsiądź tu, panie Dunwell, miejsca jest dosyć. Jenny, posuń się troszkę, żeby panu było wygodnie. Za chwileczkę dojedziemy na Middle Street.

Wobec tego usiadłem obok Rugga.

— Nigdy jeszcze nie był pan w Bostonie?

— Nie — odpowiedziałem.

— No to zobaczy pan perłę Nowej Anglii, miasto ustępujące tylko Filadelfii w całej Północnej Ameryce.

— Zapomina pan o Nowym Jorku — poddałem.

— Ba, Nowy Jork się nie liczy; chociaż osobiście nigdy tam nie byłem, mówiono mi jednak, że cały Nowy Jork można zmieścić w naszej sadzawce koło młyna. Nie, nie, zapewniam pana, że Nowy Jork to tylko nędzna miejscina. Równie trudno go porównywać do Bostonu, jak wigwam do pałacu.

Gdy koń Rugga skręcał w Pearl Street, spojrzałem memu towarzyszeniowi w twarz o tyle, o ile dobre wychowanie pozwalało i rzekłem:

— Szanowny panie, jeżeli to jest Boston, to przyznaję, że Nowy Jork nie jest godzien być nawet jego przedmieściem.

Lecz nie wjechaliśmy daleko w Pearl Street, kiedy twarz Rugga zmieniła się wyraźnie; widać było, jak napina mięśnie, oczy latają mu nerwowo — najwyraźniej był przestraszony.

— Co się stało, panie Rugg? Wydaje się pan podenerwowany?...

— To już przechodzi wszelkie pojęcie! Jeżeli pan wiesz, gdzie jesteśmy, błagam, powiedz mi!

— O ile to nie jest Boston — odparłem — musi to być chyba Nowy Jork.

— Nie, szanowny panie. Boston to nie jest na pewno. Ale i Nowym Jorkiem być nie może. Jakże bym ja mógł znajdować się w Nowym Jorku, który leży prawie o dwieście mil od Bostonu?

Wjechaliśmy już w Broadway i nagle Rugg stwierdził, że w ogóle nic nie rozumie.

— Ależ takiego miasta wcale nie ma w Ameryce Północnej! To muszą być jakieś czary, to wszystko złudzenie nie rzeczywistość. Przecież to wygląda na jakieś wielkie miasto ze wspaniałymi domami, a co za sklepy, co za towary, ludzi niezliczone mrowie, a tak zajęci jak żywi. I wszystko to wystrzeliłoby nagle, jednej nocy z zupełnej dziczy?! Albo, co jest bardziej prawdopodobne, jakieś przepotężne ruchy natury rzuciły nagle Londyn czy Amsterdam tu, na brzegi Nowej Anglii... A może ja śnię, choć w takim razie ta noc trwałaby dość długo. Inna sprawa, że już kiedyś zdarzyło mi się jednej nocy popłynąć do Amsterdamu, nakupić różności u Vandoggera i powrócić do Bostonu przed świtem.

W tym momencie rozległy się jakieś krzyki:

— Zatrzymajcie tych szaleńców! Narazają życie tysięcy ludzi! — Ale próżno tłumnie usiłowano zatrzymać karego konia. Lekkonogi nie potracając nikogo, jechał prosto jak spadająca gwiazda. Ja jednak przestraszony, że mogę przed nocą znaleźć się po drugiej stronie łańcucha Alleghanów, zwróciłem się do Rugga z prośbą, by wstrzymał konia i pozwolił mi wysiąść.

— Ależ mój przyjacielu — zaprotestował Rugg — będziemy w Bostonie przed nocą, a pani Rugg ucieszy się niewymownie z naszego przyjazdu.

— Musi mi pan wybaczyć, panie Rugg. Niech pan tylko spojrz tam na zachód! Widzi pan tę czarną chmurę, co pędzi w pogoni za nami jak gdyby rozwścieczona i nabrzmiewająca z każdą chwilą?

— Oh, nie ma co próbować ucieczki, znam tę chmurę, wnet z nową siłą wybuchnie burzą nad naszymi głowami. — Potem zatrzymał konia i pozwolił mi wysiąść. — Żegnaj, panie Dunwell, z radością powitam pana w Bostonie. Mieszkam przy Middle Street.

Nie wiadomo, w jakim kierunku podążył Rugg zniknąwszy mi z oczu na Broadwayu, lecz inny fakt znany jest powszechnie, a mianowicie, że dwa miesiące po tym, jak go widziano w Nowym Jorku, udało mu się jakoś szczęśliwie dotrzeć do Bostonu.

Okazało się, że w ostatnich latach nieruchomości Rugga ze względu na brak spadkobierców przeszła na własność stanu Massachusetts. Toteż władze zarządziły ogłoszenie publicznej licytacji. Właśnie w tym czasie byłem przypadkiem w Bostonie i przeczytawszy w zawiadomieniu licytacyjnym opis sporej posiadłości, nabrałem ochoty, by zobaczyć miejsce,

gdzie kiedyś mieszkał Rugg. Z ogłoszeniem w ręce udałem się na Middle Street i w pewnym punkcie nie pytając nikogo, powiedziałem sobie: „To musi być ten dom. Nie idę dalej. Przecież to niemal portret samego Rugga”. Budynki wyglądały zresztą tak, jak by spełniło się na nich jakieś smętne proroctwo. Frontem zwrócona ku Middle Street cała nieruchomość, licząca mniej więcej pół akra, dochodziła aż do Ann Street. W dawnych latach nie było to nic nadzwyczajnego, posiadać pół akra gruntu jako działkę budowlaną, wtedy bowiem w wielu częściach Bostonu akr wart był mniej niż teraz stopa. Sam frontowy budynek był już tak zrujnowany, że rozebrano go zupełnie. Stał tu jeszcze drugi, mniejszy domek; nie mieszkał w nim nikt — opustoszały, wyglądał złowieszczo i rozpadał się także. Ulica została o tyle podniesiona w tym czasie, że sypialny na piętrze zszedł do kuchni, bo był na równym poziomie z chodnikiem. Dom zdawał się świadom swego przeznaczenia i jak by zmęczony stanem w tym miejscu, usiłował runąć przednią ścianą w kierunku ulicy; czekał tylko na następny południowy wiatr.

„Ręka przeznaczenia — pomyślałem sobie — ciężko doświadczyła to miejsce, a jeszcze ciężiej jego dawnych właścicieli. Dziwne to, że tak wielka posiadłość nie ma żadnych spadkobierców, a tymczasem sam Peter Rugg może w dniu dzisiejszym przejeżdżać tędy i pytać na własnym progu, kto ongiś zamieszkiwał ten dom.

Licytator, zaangażowany przez władze miejskie do przeprowadzenia tej sprawy, był człowiekiem wymownym, jak się to często bostońskim licytatorom zdarza. Okazja aż się prosiła, no a same obowiązki wymagały, by wygłosił stosowne przemówienie. Zwrócił się więc do słuchaczy z tymi słowy:

— Posiadłość ta, panowie, którą wam przedstawiamy, należała do rodziny dziś już wymarłej. Z tego to względu stała się własnością publiczną. Żeby jednak nikt z państwa nie ociągał się z nabyciem tak pięknej posiadłości ze względu na jakoweś obawy, że ów tytuł własności jest sporny, zostałem przez władze miejskie upoważniony do oznajmienia, iż nabywca niniejszej nieruchomości uzyska najlepszy tytuł własności: przekazanie wszelkich praw od władz stanowych. Oznajmiam to państwu dlatego, że wiem o szerzących się od dawna plotkach, jakoby żył niejaki Peter Rugg, pierwszy właściciel niniejszej posiadłości. Plotki te, stwierdzam z naciskiem, nie mają i mieć nie mogą żadnych realnych podstaw. Zrodziły się one mniej więcej dwa lata temu z nieprawdopodobnej historii, rozgłaszanej przez niejakiego Jonathana Dunwella rodem z Nowego Jorku. Wywołała to nieporozumienie także pani Croft, której mąż jest tu dziś obecny i wiem, że ma ogromną chrapkę na wspomnianą posiadłość. Lecz zastanówcie się państwo, czy zdarzyło się kiedy, by o nieruchomość jakąś, a tym bardziej nieruchomość tyle wartą, nie upomniał się ktoś przez prawie pół wieku, jeżeli jacyś spadkobiercy, choćby dalecy, istnieli naprawdę. Albowiem nikt nie zaprzecza, że stary Peter Rugg, jeżeliby żył do tej chwili, miałby obecnie co najmniej sto lat. Powiadają ludzie, że on i jego córka z koniem i pojazdem zaginęli gdzieś przed pięćdziesięciu przeszło laty, a ponieważ wcale nie powrócili do domu, więc zapewne żyć muszą i pewnego dnia przybędą, by dopominać się o swoje. Takie rozumowanie szanowni państwo, nie prowadzi nigdy do mądrych posunięć finansowych. Niech więc te bajki nie mają najmniejszego wpływu na szlachetne plany oddania tych ruin twórczemu duchowi architektów. Pieniądz, który nie pracuje, zakłóca spokój swego właściciela. Spójrzcie więc na szkic, który macie przed sobą. Oto pół akra ziemi — więcej niż dwadzieścia tysięcy stóp kwadratowych — parcela narożna z ogromnymi możliwościami. To nie ciasna działka, nędzne czterdzieści na pięćdziesiąt stóp, gdzie w czasie kanikuły ledwo można oddychać wśród murów. Tutaj przeciwnie — każdy architekt z zachwytem spoglądać będzie, bo dość tu miejsca, by sobie wymarzyć pałac, który zaćmi świątynię Salomona. Spójrzcie dalej! Tu od wschodu tak blisko do Atlantyku, że sam Neptun obciążony najwyszukańszymi specjałami całego globu, może do waszych drzwi zastukać swym trójzębem. Od zachodu wszystko, co rodzi ta bajeczna rzeka Connecticut, wnet już za pomocą pary, pociągów i kanałów mijać będzie wasze okna. Tak więc, tu właśnie, w tym niejako miejscu

Neptun pojmie za żonę Cererę, a Pomona z Roxbury i Flora z Cambridge tańczyć będą na ich weselu.

Mężowie nauki, dobrego smaku, wy, koryfeusze literatury i sztuki, to dla was jest ta ziemia! Ów człowiek, którego zna cały świat urodził się na Middle Street, dokładnie naprzeciw tego miejsca. Nie minie wiele czasu, a tutaj, doskonale widoczny z okien domostwa, które w tym miejscu wzniesiecie, wyrośnie pomnik i zadziwi, zachwyci świat cały. Wysoka kolumna wzbije się ku chmurom, a na tej kolumnie wyryte będzie jedno tylko słowo: imię tego, który za życia był opiekunem ubogich, przyjacielem skromnych, i obiektem podziwu królów. Czyż mam wymienić jego imię? To on ujarzmił piorun, opanował błyskawicę!

Ludzie północnego Bostonu! Czyż muszę apelować do waszego patriotyzmu, by zwiększyć wartość tego kawałka gruntu? Tuż za tym rogiem żył James Otis; tam Samuel Adams; tutaj Joseph Warren, a tam, tuż za tamtym rogiem, Josiach Quincy. To miejsce narodzin Swobody; tu Wolność zrodziła się, tu ją pielęgnowano i tu wzrosła w siły. Tu wyniańczono Niepodległość Ameryki; tu zaczęła się walka o wyzwolenie — i po latach, za tysięcznego pokolenia, miliony ludzi przebywać będą Atlantyk po to tylko, by spojrzeć na tę północną dzielnicę Bostonu. Ojcowie wasi — co mówię — wy sami, tak, widzę wyraźnie, wielu z obecnych tutaj własnymi rękami pomagało kołysać kolebkę Niepodległości!

Mężowie roztropni — wy, wiem to dobrze, udzielicie mi swej uwagi, gdy powiem wam, że Boston musi mieć kawałek tego gruntu, by móc rozszerzyć Ann Street. Czy słyszycie mnie? Powtarzam, miasto musi uzyskać duży kawałek tego gruntu, aby rozszerzyć Ann Street. Cóż za wspaniała okazja! — powiecie. Lecz miasto nasze gardzi zabieraniem czyjejś ziemi bez zapłaty. Jeśli zabierze wam część waszej ziemi, będzie szczodre bardziej, niż to sobie najchciwszy wymarzyć potrafi. Najwyżej bać się należy, by ciężar bogactwa nie przyniósł wam zbytnio. Wywołujcie więc wasze ceny, nie pozwalając, by imię niejakiego Rugga osłabiło wasz zapał! Po ile więc dajecie za stopę?

To powiedziawszy, licytator z wdziękiem wznosił nad głową młotek z kości słoniowej. W pierwszych chwilach podniesiono stawkę z pięćdziesięciu na siedemdziesiąt pięć centów. Potem dolicytowano, wolniej już do dziewięćdziesięciu centów. Wreszcie ktoś zaoferował jeden dolar. Licytator wydawał się zadowolony i oznajmił spoglądając na zegarek, że za pięć minut przybije tę transakcję, o ile nikt nie ofiaruje wyższej ceny.

Przez ten krótki przeciąg czasu cisza panowała zupełna. Wtem, gdy młotek wznosił się już do góry, nagle uwagę wszystkich zwrócił jakiś dziwny, potężny hałas. A gdy ten odgłos się zbliżał, jedni zaczęli krzyczeć: „Wala się domy przy nowym rynku!”, a inni: „Nie, to trzęsienie ziemi! Przecież ziemia się rusza!”, a jeszcze inni: „Chyba nie, bo ten łoskot się zbliża. Stamtąd, z Hanover Street!” i okazało się to prawdą, bo w tej samej chwili znalazł się wśród nas Peter Rugg.

— Biada nam, Jenny! — wykrzyknął. — Jesteśmy nędzarzami. Oto nasz dom spłonął, a wokół ruin zebrali się wszyscy sąsiedzi. Oby tylko się okazało, że matka twoja jest zdrowa i cała.

— Ależ oni nie wyglądają wcale jak nasi sąsiedzi — odparła Jenny. — Tak, to prawda, dom się spalił, nic nie zostało, tylko próg z kamienia i jedna cedrowa belka. Spytaj ich ojcze, gdzie jest mama!

W tej krótkiej chwili więcej niż tysiąc ludzi otoczyło już pojazd Rugga. Lecz nie on sam ani jego koń czy powóz stanowili środek uwagi tłumu. Wszyscy patrzyli na licytatora, bowiem w ufnej twarzy i pytającym spojrzeniu Rugga było tak wyraźne dla wszystkich stwierdzenie, iż posiadłość do niego należy, że żaden pergamin, żaden dokument opatrzone podpisami i pieczęciami nie byłby bardziej przekonujący. Toteż w jednej chwili z wrażenia wywołanego przez licytatora nie zostało ani śladu i choć ostatnie jego słowa brzmiały: „Nie bójcie się Rugga!”, jednakże w tym samym momencie, gdy spojrzenia tych dwóch ludzi się spotkały, rola licytatora była skończona; ramię opadło, a ruchliwy do niedawna młotek ciężko

zwisał mu w dłoni. O licytacji zapomniano.

Zresztą nie tylko Rugg, kary też dał świadectwo prawdzie. Zwierzę czuło, że wreszcie wędrówka się skończyła; przeciagnąwszy się potężnie, tak że wyglądał jak półtora konia, Lekkonogi położył łeb na belce cedrowej i zarżał trzykrotnie, aż uprząż na nim drżała od wędzidla po podogonie.

Rugg stanął w swym pojeździe i zapytał z naciskiem:

— Kto w mojej nieobecności zburzył mój dom? Bo widzę przecież, że nie pożar go strawił. Zapytuję więc, jaki wypadek to spowodował i dlaczego tak wielkie zgromadzenie nieznanymi mi osobami zastają tu przed moim progiem? Byłem pewien, że znam w Bostonie każdego, lecz wy wszyscy wydajecie mi się jakąś nową, nie znaną mi generacją, choć zarazem wiele tu twarzy widzę jak by znajomych. Mogę niejednego z was wymienić po nazwisku, mimo że nie przypominam sobie, bym go kiedykolwiek przedtem widział na oczy. Ten tutaj, to na pewno Winslow, tamten to Sargent, tu stoi jakiś Sewall, a obok niego Dudley. Czyż nikt z was nie przemówi do mnie, czy to wszystko znowu złudzenie? Lecz widzę przecież, niewątpliwie widzę tu wiele postaci ludzkich, wiele wpatrzonych we mnie oczu, tylko że wszyscy wydają się pozbawieni głosu, słuchu, nawet możliwości poruszenia się z miejsca. Jakież to dziwne! Czy nikt mi nie powie, kto zburzył mój dom?

Wtem przemówił jakiś głos z tłumu, lecz skąd się dobywał, nie zdołałem dojrzeć:

— Nic tu nie jest dziwne prócz ciebie, panie Rugg. Czas, który niszczy i odradza wszystko, rozwiął twój dom i nas tu umieścił. Przez wiele, wiele lat cierpiełeś, otoczony zewsząd złudzeniem. Ta burza, którą niebacznie wyzwałeś w Menotomy, zakończyła się wreszcie, lecz nigdy nie zobaczysz swego domu, bo dom twój, i żona, i sąsiedzi — wszystko znikło już dawno. Twoja posiadłość istnieje, to prawda, lecz nie ma już twego domu. Wyłączony zostałeś ze swego czasu i nie ma dla ciebie miejsca w naszym pokoleniu. Twój dobytek przepadł i nigdy już na tym świecie nie będziesz miał domu.

Przełożyła Krystyna Jurasz-Dąbbska

WASHINGTON IRVING

Washington Irving (1783—1859). rodem z Nowego Jorku, był pierwszym pisarzem amerykańskim, który zdobył sławę poza granicami swego kraju Nie bez wpływu na to był zapewne fakt, że wiele lat życia spędził w Europie bądź prywatnie, bądź też jako dyplomata W związku z tym kilka spośród jego książek ukazało się po raz pierwszy w Anglii. Uznanie zdobył satyryczną „Historią Nowego Jorku” w roku 1809; z późniejszych jego tomów najślawniejsze są „Szkicownik Geoffreya Crayona” (1820). „Opowieści podróżnego” (1824) oraz „Alhambra” (1832), znana także pod nazwą „Szkicownika hiszpańskiego”, gdyż powstała w okresie, gdy Irving pełnił funkcję attaché przy poselstwie amerykańskim w Madrycie. „Upiorny narzeczonny” wyjęty został ze „Szkicownika Geoffreya Crayona”

UPIORNY NARZECZONY

Na szczycie jednego ze wzgórz Odenwaldu, dzikiej, romantycznej krainy w górnych Niemczech, znajdującej się niedaleko miejsca, gdzie Men łączy się z Renem, stał przed . wielu, wielu laty zamek barona von Landshort. Obecnie rozpadł się już w ruinę, schowany — pochowany nieledwie wśród buków i ciemnych świerków. Jednakże ponad drzewami wciąż jeszcze widzieć można starą wieżę, a ta podobnie jak dawny właściciel, o którym wspomina- my, stara się wysoko nosić głowę i z góry spoglądać na okolicę.

Baron był suchą gałęzią wielkiego rodu Katzenellenbogen * i odziedziczył resztki majątku oraz całą dumę swych pradziadów. Choć wojownicze usposobienie jego przodków uszczupliło bardzo rodzinne dobra, baron nieustannie zabiegał o to, by zachować pozory dawnej wspaniałości. Czasy były spokojne i germańscy wielmoże porzucili na ogół swe niewygodne, stare zamczyska, przycupnięte jak gniazda orle wśród gór, i budowali sobie wygodniejsze rezydencje w dolinach, ale baron pozostał zamknięty dumnie w swej forteczce, z dziedziczną zaciekłością pielęgnując stare rodowe waśnie — żył w niezgodzie z niektórymi spośród najbliższych sąsiadów z powodu sporów, jakie toczyli między sobą ich pradziadowie.

Baron miał tylko jedno dziecko — córkę; ale natura, kiedy daje tylko jedno dziecko, wynagradza to zawsze, czyniąc je fenomenem. I tak też było z córką barona. Wszystkie niańki, kumy i kuzynki zapewniały barona, że w całych Niemczech nie znaleźć dziewczyny równej jej urodą. No, a kto mógł wiedzieć lepiej niż one? Co więcej, wychowywały ją z wielkim staraniem dwie ciotki, panny, które kiedyś spędziły kilka lat życia na jednym z małych dworów niemieckich i tam posiadały arkana wszelkiej gałęzi wiedzy, których znajomość niezbędną była dla młodej damy. Pod ich instrukcjami cudownie rozwinęła swe talenta. Nim doszła do lat osiemnastu, umiała haftować nad podziw i przedstawiała na obiciach całe historie świętych, nadając taką siłę ekspresji ich obliczom, że wyglądali jak czyścicowe dusze. Umiała czytać bez wielkich trudności i przesyłabizowała kilka legend kościelnych i prawie wszystkie rycerskie cuda „Heldenbuchu” **. Poczyniła nawet godne uwagi postępy w pisaniu; potrafiła podpisać się nie opuszczając ani jednej literki, a zarazem tak czytelnie, że jej ciotki nie potrzebowały okularów, by odczytać ten podpis. Celowała w tworzeniu eleganckich, nieprzydatnych na nic, kobiecych cacek wszelkiego rodzaju; biegle tańczyła najbardziej zawile tańce współczesne; grała na harfie i gitarze wiele melodii i znała na pamięć wszystkie tkliwe ballady minneliederów ***.

Poza tym jej ciotki, jako że za młodych lat wielkie z nich były kokietki i zalotnice, nadały się wybornie na stróżów niewinności i na surowych cenzorów postępowania brataniacy; nie ma bowiem opiekunki tak nieustępliwie przezornej, tak nieubłaganie przyzwoitej jak zestarzała kokietka.

Rzadko kiedy spuszczały ją z oka; nigdy nie pozwalały oddalać się poza granice ziem zamkowych, chyba że pod dobrą opieką, a raczej pod czujną strażą. Wysłuchiwać musiała nieustannych peror na temat przyzwoitości i bezwzględного posłuchu, a jeśli chodzi o mężczyzn... ach, nauczono ją trzymać się od nich w takim oddaleniu, odnosić się z taką nieufnością, że — jeśli nie otrzymałaby właściwego rozkazu — nie rzuciłaby okiem na najprzystojniejszego kawalera... o nie, choćby nawet konał u jej stóp.

Dobre skutki takiego systemu były widoczne. Panna mogła służyć za wzór uległości i poprawności. Podczas gdy inne trwoniły swe wdzięki w blasku światowego życia i każda dłoń mogła je zerwać i odrzucić, ona zakwitała barwami nieśmiałej, świeżej kobiecości pod opieką tych czystych starych panien, niby pączek róży wśród strzegących go cierni. Ciotki spoglądały na nią z dumą i radosnym uniesieniem, chełpiąc się, że chociażby wszystkie panny całego świata miały się znaleźć na złej drodze, to jednak — Bogu dzięki! — nic takiego nie może się nigdy zdarzyć dziedzicze Katzenellenbogen.

Choć baron von Landshort niebogato wyposażony był w dzieci, rodziny jego bynajmniej nie można zwać małą, gdyż Opatrzność hojnie obdarzyła go ubogimi krewnymi. Każdy z nich z osobna i wszyscy razem odznaczali się czułym usposobieniem, właściwym wszy-

* Katzenellenbogen — (czyli Kociłokieć) nazwisko możnej w dawnych czasach rodziny, zamieszkującej w tych okolicach. Imię to, jak nam powiedziano, nadane zostało w komplemencie jednej, nie mającej sobie równych, damie z owej rodziny, sławionej z powodu swych pięknych ramion (przyp. aut.).

** Heldenbuch — księga bohaterów. Książka ta, wydrukowana w Niemczech w końcu XV wieku, opisuje czyny niektórych bohaterów epoki niemieckiej (przyp. aut.).

*** Minneliederów — pomyłka Irvinga. Powinno być m i n n e s i n g e r ó w, tj. niemieckich śpiewaków z XIII wieku. Minneliedery to pieśni miłosne minnesingerów (przyp. aut.).

stkim ubogim krewnym na świecie. Niezwykle byli przywiązani do barona i korzystali z każdej nadarzającej się okazji, by przybywać tu całymi rojami i ożywiać zamczysko. Zacni ci ludzie celebrowali wszelkie uroczystości rodzinne (na koszt barona), a kiedy wezbrała w nich ochota i wesele, oświadczaali, że na całym świecie nie ma nic rozkoszniejszego nad te rodzinne spotkania — festyny serca.

Baron, choć niepozornej postaci, wielki był duszą, a ta pęczniała z zadowolenia, gdy czuł, że jest największym człowiekiem w całym tym otaczającym go świecie. Z zamiłowaniem opowiadał długie historie o dawnych rycerzach, których ciemne portrety ponuro patrzyły ze ścian, i nigdzie nie znajdował słuchaczy tak chętnych jak ci, co jedli u jego stołu. Zajmowały go niezmiennie wszelkie dziwy i cuda i święcie wierzył we wszystkie nadprzyrodzone historie, jakie wiążą się z każdą doliną i każdym pagórkiem w Niemczech. Lecz wiara jego gości przewyższała nawet jego wiarę: każdej cudownej opowieści słuchali z szeroko otwartymi oczami i ustami, a dziwili się zawsze — nawet gdy ją powtarzał po raz setny.

Tak oto żył baron von Landshort, wyrocznia u swego stołu, absolutny monarcha na swym małym terytorium, szczęśliwy przede wszystkim dlatego, iż żywił przekonanie, że jest najmędrszym człowiekiem swych czasów.

W chwili gdy rozpoczyna się moja opowieść, na zamku odbywa się wielkie zgromadzenie rodzinne z powodu wydarzenia najwyższej wagi. Oto przyjąć mają przyszłego męża córki barona. Pomiędzy baronem a starym wielmożą z Bawarii toczyły się negocjacje, by przez małżeństwo ich dzieci połączyć splendor dwu domów. Z wielką skrupulatnością przeprowadzono wstępne kroki. Młodzi ludzie zostali zaręczeni nie widząc się wzajem; wyznaczono termin ceremonii ślubnej. Odwołano w tym celu z wojska młodego hrabiego von Altenburg i obecnie był on już w drodze do zamku barona, by połączyć się ze swą oblubienicą. Z Wartburga, gdzie go coś zatrzymało, przysłał wiadomość, zapowiadając dzień i prawdopodobną godzinę swego przyjazdu.

W zamku czyniono gorączkowe przygotowania, aby godnie go przyjąć. Piękną narzeczoną wystrojono z niezwykłym staraniem. Dwie ciotki czuwały nad jej toaletą i cały poranek kłóciły się o każdy szczegół jej stroju. Panna korzystała z tych sprzeczek, aby iść za własnym gustem, a na szczęście miała gust dobry. Bardziej uroczej oblubienicy nie mógłby wymarzyć sobie narzeczony. Wzruszenie wywołane oczekiwaniem potęgowało jeszcze blask jej urody.

Rumieniec, oblewający jej twarz i szyję, łagodne falowanie piersi, oczy zatopione w marzeniach — wszystko to zdradzało słodki zamęt, panujący w jej serduszkach. Ciotki nieustannie krążyły wokół niej, gdyż ciotki-panny interesują się zawsze głęboko sprawami tej natury. Nie szczędziły jej świątłych rad, jak ma się sprawować, co mówić, jak witać oczekiwanego kochanka.

Baron był niemniej żywo zajęty przygotowaniami. Prawdę mówiąc, nie miał właściwie nic do roboty, ale z natury był ruchliwym i hałaśliwym człowiekiem i nie mógł pozostawać bezczynny, gdy wszyscy wokoło uwijali się w pośpiechu.

Z wyrazem troski na obliczu przemierzał cały zamek od góry do dołu i z dołu do góry; nieustannie odrywał swe sługi od pracy, upominając ich, by pilnie pracowali; brzęczał w każdym hallu i każdej kompanii, tak pracowicie bezczynny i tak naprzykrzający się jak błękitna mucha w ciepły, letni dzień.

Tymczasem zabito już tucznego cielca; po lesie niosły się nawoływania myśliwych; kuchnię wypełniała obfitość wspaniałego jadła; z piwnic wytoczono całe oceany wina reńskiego i importowanego, a nawet na wielką bekę z Heilderbergu * nałożono kontrybucję. Wszystko przygotowano, aby przyjąć dostojną osobę w duchu prawdziwej niemieckiej gościnności — ale osoba ta opóźniała swe przybycie. Godzina mijała za godziną. Słońce, które do nieda-

* Beka z Heidelbergu — w jednej z piwnic zrujnowanego zamku heidelberskiego znajduje się ogromna beczka o pojemności 221 276 litrów (przyp. aut.).

wna łało strumień skośnych promieni na bujny las Odenwaldu, przeświecało już tylko zza szczytów gór. Baron wspiął się na najwyższą wieżę i wyteżył wzrok w nadziei, że dojrzy w oddali hrabiego i jego orszak. Zdawało mu się w pewnej chwili, że ich widzi; z doliny przypłynął dźwięk rogów i zbudził echa w górach. Daleko, w dole ujrzał grupę konnych, powoli nadjeżdżających drogą, ale kiedy zbliżyli się niemal do stóp góry, nagle skręcili w innym kierunku. Ostatni słoneczny promień zgasł... w półmroku latały nietoperze... droga ciemniała coraz bardziej i nie było na niej widać nikogo, tylko czasem jakiś wieśniak włókł się ciężko do domu po pracy.

Gdy w starym zamczysku Landshort panował niepokój wyczekiwania, w innej części Odenwaldu działo się coś niezmiernie interesującego.

Młody hrabia von Altenburg odbywał swą podróż rozsądnym, żółtym krokiem, jakim mężczyzna śpieszy ku małżeństwu, kiedy przyjaciele zdejmują mu z głowy cały kłopot i ryzyko zalotów, a na końcu jego podróży oblubienica czeka na niego tak pewnie, jak obiad. W Wartburgu spotkał wracającego z wojska towarzysza broni, z którym wspólnie walczył na froncie, młodego Hermana von Starkenfaust, jednego z najdzielniejszych i najsilniejszych rycerzy niemieckich. Zamek jego ojca leżał niedaleko starej fortecy Landshort, jednakże obie rodziny nie znały się i żywiły do siebie wrogie uczucia z powodu odziedziczonej waśni rodowej.

W radosnej chwili spotkania młodzieńcy opowiadali sobie wszystkie swoje przygody, a hrabia poruszył temat zamierzonego małżeństwa z młodą damą, której nigdy nie widział, ale o której urodzie i wdziękach słyszał porywające relacje.

Ponieważ przyjaciele dążyli w tym samym kierunku, zgodzili się razem odbyć resztę podróży, i — by uniknąć pośpiechu — o wczesnej godzinie wyruszyli z Wartburga. Hrabia polecił przedtem swej drużynie, aby udała się za nim i dogoniła go.

Skracali sobie czas podróży wspomnieniami przygód i wydarzeń wojennych, ale hrabia bywał niekiedy nudnawy, powtarzając to, co słyszał o wdziękach swej oblubienicy i marząc o szczęściu, jakiego z nią zazna.

Tak więc znaleźli się wśród wzgórz Odenwaldu; przejeżdżali jednym z najbardziej odludnych i najgęściej zalesionych wąwozów. Wiadomo powszechnie, że jak w zamkach germańskich straszyły duchy, tak w lasach grasowali zbójcy, a w owych czasach zbójców była niezmierna obfitość, gdyż hordy rozpuszczonych z wojska żołnierzy wałęsały się po kraju. Nie było więc w tym nic nadzwyczajnego, że z leśnych ostępów wypadła banda owych włóczęgów i rzuciła się na naszych kawalerów. Bronili się mężnie, ale ulegliby w nierównej walce, gdyby drużyna hrabiego nie przybyła na pomoc. Na ich widok zbójcy pierzchli, zadawszy jednak wprzód śmiertelną ranę hrabiemu. Z największą ostrożnością przewieziono go do Wartburga i z sąsiedniego klasztoru wezwano braciszka, który słynął ze swej sztuki leczenia zarówno ciała jak ducha, lecz ta pierwsza umiejętność nie zdała się na nic, gdyż chwile życia nieszczęsnego młodzieńca były już policzone.

Ostatkiem sił błagał przyjaciela, by natychmiast wyruszył do zamku Landshort i zawiadomił, że to śmierć uniemożliwiła mu dotrzymanie słowa i przybycie na spotkanie z oblubienicą. Ten nie najbardziej ognisty z kochanków był jednym z najślawniejszych ludzi i z przejęciem nalegał, aby jak najspieszniej i najukładniej dopełniono tej misji.

— Dopóki to się nie stanie — rzekł — nie zasnę spokojnie w grobie. — Powtarzał te słowa ze szczególną powagą. W tych okolicznościach nie można się było wahać ani chwili. Starkenfaust starał się go uspokoić, zapewnił uroczyście, że wiernie wypełni jego życzenie i podał mu rękę na znak solennej obietnicy. Umierający ucisnął ofiarowaną mu prawicę przyjmując przyrzeczenie, ale potem znów zapadł w delirium. Bredził coś o swej narzeczonej, zaręczynach, o danym słowie, kazał podać sobie konia, by jechać do zamku w Landshort, i wyobrażając sobie, że wskakuje na siodło, wyzionął ducha.

Starkenfaust westchnął ciężko i uronił żołnierską łzę nad niewczesnym zgonem towa-

rzysza, a potem zadumał się nad niewdzięcznym zadaniem, jakie na siebie przyjął. Serce miał ciężkie i umysł zatroskany, wypadło mu bowiem stawić się we wrogim domu jako gość nieproszony i mieć wesele jego mieszkańców straszliwą wiadomością. Ale jednocześnie budziła się w nim chęć zobaczenia słynnej piękności z rodu Katzenellenbogen, tak troskliwie ukrywanej przed światem. Był on bowiem wielbicielem płci nadobnej i w charakterze jego leżała przedsiębiorczość, jak również i odrobina ekscentryczności, z czego wypływało, zamiłowanie do wielkich, osobliwych przygód.

Przed wyjazdem ułożył się z bractwem zakonnym co do uroczystości pogrzebowych przyjaciela. Miał on być pochowany w katedrze w Wartburgu, gdzie leżało już kilku jego wielkich przodków. Orszak hrabiego objął straż przy śmiertelnych szczątkach.

Czas już najwyższy powrócić do starożytnej rodziny Katzenellenbogen, która z wielką niecierpliwością wyglądała gościa, a z jeszcze większą obiadu. Czas też najwyższy powrócić do naszego zacnego barona, który, gdyśmy się z nim rozstawali, zażywał wieczornego chłodu na wieży strażniczej.

Noc już zapadła, lecz gość się nie zjawił. Baron w rozpaczy zszedł z wieży. Niepodobna już było odkładać bankietu, przesuwanego wciąż z godziny na godzinę. Mięsiwa były już niemal spalone, kucharze padali z nóg, a domownicy wyglądali jak wygłodzona załoga obłożonej twierdzy. Baron więc, acz z niechęcią, wydał dyspozycje, by podano potrawy nie czekając na gości. Wszyscy zgromadzili się już u stołu i rozpoczęto ucztę, kiedy odgłos rogu zza bramy obwieścił czyjeś przybycie. Odezwał się raz jeszcze, długo, przeciągle. Zawtórowały mu echem podworce starego zamczyska i odpowiedział strażnik z murów. Baron pośpieszył na spotkanie swemu przyszłemu zięciowi.

Spuszczono już most zwodzony; nieznajomy stał przed bramą. Był to wysoki, dzielnie wyglądający młodzieniec na czarnym rumaku. Twarz miał bladą, a na niej wyraz spokojnej melancholii i romantyczne, płonące oczy. Dotknęło to barona, że przybył tak skromnie, sam jeden. Przez chwilę urażona duma kazała mu uznać to za brak poszanowania dla uroczystego momentu i godności rodziny, z którą miał wejść w koligacje. Uspokoił się jednak, gdy przyszło mu na myśl, że to zapewne młodzieńcza niecierpliwość kazała mu popędzić konia i wyprzedzić swą drużynę.

— Przepraszam — rzekł nieznajomy — że o tak niewłaściwej porze...

Lecz baron zalał go potokiem dwornych słów powitania, bo, prawdę mówiąc, szczyił się swą uprzejmością i elokwencją. Parę razy młodzieniec usiłował mu przerwać, ale na próżno. Skłonił więc głowę i pozwolił jego wymowie płynąć bez przeszkód. Doszli do wewnętrznego dziedzińca zamkowego, nim baron skończył powitanie. Młodzieniec znowu chciał coś rzec, ale przeszkodziło mu pojawienie się orszaku kobiet, które prowadziły zarumienioną, opierającą się pannę młodą. Patrzył na nią przez chwilę jak urzeczony, zdawało się, że cała jego dusza wypłynęła w tym spojrzeniu i spoczęła na uroczej postaci. Jedna z ciotek szepnęła jej coś na ucho, widać było, że oblubienica czyni wysiłek, by przemówić, nieśmiało podniosła powieki błękitnych oczu, rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na nieznajomego i natychmiast wbiła wzrok w ziemię. Nie powiedziała nic, ale słodki uśmiech wygiął jej wargi, świadcząc, że nie doznała zawodu. Niepodobna zresztą wyobrazić sobie, aby dziewczynie w czarownej, osiemnastej wiosnie życia, wyczekującej miłości i małżeństwa, mógł nie przypaść do serca tak piękny kawaler.

Późna pora przyjazdu gościa nie pozwoliła nawet na chwilę rozmowy. Baron z całą stanowczością odłożył do rana wszelkie szczegółowe wyjaśnienia i powiódł gościa na bankiet, który odbywał się w wielkiej sieni zamkowej.

Na ścianach wisiały szerniałe portrety bohaterskich antenatów barona oraz trofea, zdobyte przez nich na wojnie i na łowach. Pocięte pancerze, popękane włócznie, podarte chorągwie zmieszane były z łupami leśnych wypraw. Spomiędzy kusz i toporów wojennych połykiwały straszliwe szczęki wilka, kły dzika, a nad samą głową młodego oblubieńca sterczała

para ogromnych rogów jelenich.

Nasz kawaler niewiele uwagi poświęcał towarzystwu i biesiadzie. Zaledwie pokosztował uczyty; wydawał się całkowicie zatopiony w podziwianiu swej oblubienicy. Mówił do niej ściszym tonem, tak że słowa jego nie dobiegały do uszu sąsiadów, język miłości bowiem nigdy nie bywa głośny. Ale czy jest na świecie dziewczyna lub kobieta o tak tępym słuchu, by nie doleciał do niej najcichszy szept kochanka? Zdawało się, że powaga i czułość zarazem bijące z jego zachowania robiły ogromne wrażenie na młodej damie. Kiedy słuchała w głębokim skupieniu, rumieniec i bladość na przemian okrywały jej policzki. Od czasu do czasu rzucała nieśmiało jakąś odpowiedź, a kiedy młodzieniec odrywał od niej wzrok, wtedy długo spod oka spoglądała na jego romantyczną postać, wydając łagodne westchnienie cichego szczęścia. Widocznym było, że młoda para zakochała się w sobie bez pamięci. Ciotki, znające się doskonale na tajemnicach serca, orzekły, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Bankiet przebiegał wesoło, a w każdym razie hucznie, gdyż wszyscy goście poszczycić się mogli ogromnym apetytem, jakim nieodmiennie darzy lekka kiesa i górskie powietrze. Baron opowiadał swe najlepsze i najdłuższe dykteryjki, a nigdy przedtem nie udało mu się opowiedzieć ich tak dobrze i wywołać tak wielkiego wrażenia. Jeśli była to opowieść o czymś cudownym — słuchacze niemili z podziwu, a jeśli zabawna — śmieli się zawsze w odpowiednim miejscu. Baron co prawda, jak większość wielkich ludzi, był tak poważny i godny, że jeśli powiedział jakiś dowcip, to na pewno ciężki, choć i na to musiał wychylić puchar wspaniałego hochmeina. Jednak dowcip, nawet ciężki, ale wypowiedziany u własnego stołu, zakropiony pysznym, starym winem, ma siłę nieodpartą. Wiele doskonałych anegdot padło również z ust krewnych uboższych fortuną i polotem, lecz facecje te nie zniosłyby powtórzenia, chyba że w podobnej sytuacji. W uszka kobiet szeptało wiele chytrych słówek, po których słuchaczki dławily się od tłumionego śmiechu, a parę pieśni, jakie zaśpiewał, a raczej zaryczał, biedny, lecz wesoły kuzyn barona, zmusiło ciotki do skrycia twarzy za wachlarzem.

Osobliwy gość zachował wśród tej wesołej uczyty szczególną jakąś powagę — zupełnie nie na miejscu. W miarę upływu godzin twarz jego przybierała wyraz coraz głębszego frasunku, i choć to może się wydać dziwne, nawet żarty barona zdały się budzić w nim tylko melancholię. Chwilami pograżał się w zadumie, chwilami znów niespokojnie błędził wokół spojrzeniem, które zdradzało jakąś troskę. Jego rozmowy z narzeczoną stawały się coraz poważniejsze i coraz bardziej tajemnicze. Na jej pięknym, jasnym czole zdawały się gromadzić chmury, a delikatną postać przebiegało drżenie.

Wszystko to nie mogło ująć uwagi kompanii. Niezrozumiały smutek narzeczonego mroził ich wesołość, więcej — udzielał im się. Wymieniali ze sobą szept i spojrzenia, wrzuszali ramionami, powątpiewająco potrząsali głowami. Coraz rzadziej rozbrzmiewała pieśń, coraz rzadziej dawał się słyszeć śmiech, milkły rozmowy, a potem zaczynało opowiadać sobie straszliwe opowieści i legendy o nadprzyrodzonych zjawiskach. Jedna okropna historia wywoływała drugą jeszcze okropniejszą, a baron tak przeraził pewną damę, że omal nie wpadła w histerię, gdy opowiadał o upiornym jeźdźcu, który porwał piękną Leonorę. Ta niesamowita opowieść została później spisana wspaniałym wierszem i teraz czyta ją i wierzy w nią cały świat.

Narzeczoną słuchał tej opowieści z głęboką uwagą. Nie spuszczał oczu z barona, a kiedy opowieść dobiegała końca, zaczął powoli podnosić się z krzesła. Stawał się coraz wyższy i wyższy, aż w pół przytomnym oczom barona wydał się olbrzymem. Gdy opowieść dobiegła końca, narzeczoną wydał ciężkie westchnienie i uroczyście pożegnał się z towarzystwem. Zapanowało zdumienie. Baron był jak rażony gromem.

— Co? Chce opuścić zamek w nocy? Dlaczego? Przecież na zamku gotowe wszystko na jego przyjęcie. Jeśli chce odpocząć, niech idzie do komnaty, którą dla niego przygotowano.

Gość ponuro i tajemniczo potrząsnął głową.

— Dzisiejszej nocy w innej komnacie złożyć muszę głowę!

Było coś w jego odpowiedzi i w tonie głosu, co sprawiło, że w baronie serce niemal zamarło. Zebrał wszystkie siły ducha i ponowił gościnne nalegania.

Gość w milczeniu, lecz zdecydowanie potrząsał głową po każdej propozycji gospodarza i machając ręką na pożegnanie, powoli wyszedł z hallu. Ciotki dosłownie skamieniały, narzeczona zwiesiła głowę, łza napłynęła jej do oczu.

Baron podążył za swym gościem na wielki podwórzec zamkowy, gdzie czarny rumak grzebał kopytem ziemię i parskał z niecierpliwości. Kiedy doszli do bramy, której głęboka wnęka słabo była oświetlona blaskiem pochodni, gość zatrzymał się i przemówił grobowym głosem, któremu sklepienie mury nadawały jeszcze bardziej głębokie brzmienie.

— Teraz, kiedy jesteście sami — rzekł — czas wyjawić powód mego wyjazdu. Mam naznaczone spotkanie, którego nie da się odłożyć...

— Ale dlaczego! — przerwał baron — nie możesz posłać kogoś w zastępstwie?

— Nie może być zastępcy... muszę przyjść osobiście... muszę jechać do katedry w Wartburgu...

— Ach, tak — odparł baron, zdobywając się na odwagę — ale dopiero jutro. Jutro zawieszysz tam swoją narzeczoną.

— Nie, nie — odparł nieznajomy, jeszcze bardziej uroczyście — nie jadę spotkać się z narzeczoną... Robaki... robaki mnie oczekują. Jestem umarły! Zabili mnie zbójcy... ciało moje spoczywa w katedrze... O północy mają mnie pochować... Grób na mnie czeka... Muszę się stawić, muszę się stawić.

Skoczył na rumaka, przemknął po moście — tętent kopyt rozpląnął się w poświście nocnej wichury.

W najwyższej konsternacji powrócił baron do sieni i zdał sprawę z tego, co zaszło. Dwie panie zemdłały z miejsca, innym zrobiło się niedobrze na myśl o tym, że ucztowały z upiorem. Niektórzy sądzili, że to musiał być leśny strzelec, osławiony przez niemieckie legendy. Niektórzy wspominali o duchach gór, o leśnych demonach i innych nadprzyrodzonych istotach, które od niepamiętnych czasów dręczą poczciwy lud Germanii. Jeden z biednych krewnych ośmielił się napomknąć, że może młodemu kawalerowi zachciało się po prostu spletać figla, bo tak ponury dowcip licowałby doskonale z tą ponurą osobą. Słowa te wywołały oburzenie całego towarzystwa, a zwłaszcza barona, który spojrzał na mówiącego jak na heretyka, tak że tamtemu pozostało tylko odwołać jak najspieszniej swą herezję i powrócić na łono prawdziwej wiary.

Ale następnego dnia kres tym wszystkim wątpliwościom położyło przybycie wysłańców, którzy potwierdzili wiadomość o zamordowaniu młodego hrabiego i o jego pogrzebie w Wartburskiej katedrze.

Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie na zamku. Baron zamknął się w swej komnacie. Goście, którzy przybyli, by dzielić z nim jego radość, nie mogli nawet pomyśleć o tym, by go opuścić w nieszczęściu. Chodzili po zamku albo zbierali się grupkami w hallu, potrząsając głowami lub wzruszając ramionami nad nieszczęściem tak zacnego człowieka, i dłużej niż zwykle przesiadywali przy stole, więcej niż zwykle pili i jedli, chcąc pokrzepić ducha w tym zmartwieniu. Ale najżałośniejszą była dola owdowiałej panny młodej. Stracić męża, nim go nawet objęła w uścisku! I to takiego męża! Skoro upiór był tak szlachetny i pełen wdzięku, czymże musiał być żyjący człowiek! Po całym zamku rozbrzmiewały jej lamenty.

Wieczorem drugiego dnia swego wdowieństwa udała się na spoczynek do sypialni w towarzystwie jednej z ciołek, która nie chciała pozostawić jej samej na noc. Ciotce tej mało kto w całej Germanii mógł sprostać w opowiadaniu historii o duchach. Owego wieczoru zabrała się do najdłuższej z całego swego repertuaru i... zasnęła w trakcie opowiadania. Komnata znajdowała się z dala od innych, a jej okna wychodziły na niewielki ogród. Dziewczyna w zadumie patrzyła na promienie księżycowe, drżące na liściach osiki przed jej oknem. Zegar

zamkowy wydzwonił właśnie północ, kiedy z ogrodu dobiegły ją ciche tony muzyki. Zerwała się z łóżka i cicho podeszła do okna. Wśród cieni drzew stał ktoś wysoki, a kiedy podniósł głowę, promień księżycy oświetlił twarz. O nieba! to Upiorny Narzeczony! W tym momencie ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk i w ramiona jej padła ciotka, która, zbudzona muzyką, podeszła do okna. Kiedy spojrzała ponownie w ogród, widma już nie było. Z dwu kobiet ciotka bardziej potrzebowała pomocy, gdyż z przerażenia dosłownie odchodziła od zmysłów. Co zaś się tyczy panny, to widok choćby tylko widma jej kochanka mile ją wzruszył. Tkwiał w nim wciąż jeszcze urok pięknego młodzieńca, a choć cień człowieka nie zdoła zaspokoić uczuć spragnionej miłości dziewczyny, to jednak w braku rzeczywistej osoby nawet to stanowi pewną pociechę.

Ciotka oznajmiła, że nigdy więcej nie będzie spała w tym pokoju, a bratanica była w tym wypadku przeciwnego zdania i równie stanowczo oświadczyła, że nie będzie spała w żadnej innej komnacie. W rezultacie więc miała spać sama. Wymogła na ciotce przyrzeczenie, że nie będzie rozpowiadać tej historii, co pozbawiłoby pannę jedynej smutnej przyjemności, jaka jej jeszcze pozostała na tej ziemi, a mianowicie mieszkania w pokoju, nad którym opiekuńczy cień jej ukochanego trzymał co noc straż.

Nie wiadomo, jak długo zacna stara panna zdołałaby dochować obietnicy, z upodobaniem bowiem rozprawiała o rzeczach cudownych, a co to za triumf pierwszej opowiadać jakąś straszną historię. Wciąż jeszcze podaje się w sąsiedztwie jako pamiętny przykład kobiecej dyskrecji, że dochowała tajemnicy przez cały tydzień, a potem nagle przestało to już być potrzebne, gdyż pewnego poranku dowiedzieli się wszyscy podczas śniadania, że młoda panna zniknęła. Jej pokój był pusty, łóżko nie tknięte, okno otwarte, a ptaszek — wyfrunął.

Zdumienie i troskę, z jaką przyjęto tę wiadomość, mogą sobie wyobrazić tylko ci, którym zdarzyło się kiedyś być świadkami poruszenia, jakie nieszcześnie wielkiego człowieka wywołuje wśród jego przyjaciół. Kiedy ciotka, którą ta niespodziewana wiadomość pozbawiła na chwilę mowy, załamała ręce i wrzasnęła: „Upiór! Upiór ją porwał!”, wtedy nawet ubodzy krewni przerwali na chwilę swe mozoły przy misie.

Ciotka w paru słowach opowiedziała okropną scenę, jaką oglądała w ogrodzie i zakończyła opowiadanie wnioskiem, że to upiór narzeczonego porwał swą oblubienicę. To straszliwe przypuszczenie wydało się wszystkim obecnym bardzo prawdopodobne, ponieważ takie wypadki zdarzały się w Niemczech niezmiernie często, o czym świadczy wiele wiarygodnych kronik.

W jakiejż opłakanej sytuacji znalazł się biedny baron. Serce kochającego ojca i członka wielkiego rodu Katzenellenbogen pękało z bólu wobec dylematu, jaki przed nim stanął. Jego jedyna córka została porwana przez upiora do grobu albo też będzie miał za zięcia jakiegoś leśnego demona i być może całą gromadkę gnomów za wnuki. Zamęt zapanował w jego sercu i w jego zamku. Rozesłał konnych, by przeszukali każdą drogę, każdą ścieżkę, każdą dolinę Odenwaldu. Wciągnął buty, przypasał miecz i miał już dosiąść konia, by udać się samemu na niepewne poszukiwania, gdy niespodziane pojawienie się jakichś przybyszów mu w tym przeszkodziło. Ujrzano zbliżającą się do zamku damę na rumaku, w towarzystwie jeźdźca. Galopem podjechała do bramy, zeskoczyła z konia, padła do nóg barona i objęła jego kolana. To utracona córka i Upiorny Narzeczony! Baron popatrzył na córkę, potem na widmo — własnym oczom nie wierzył. A i wygląd narzeczonego poprawił się znacznie od czasu jego wyprawy w świat duchów. Wspaniały strój podkreślał piękno jego męskiej postaci. Nie był już blady, ani smutny. W pięknej twarzy płonął żar młodości, z wielkich, czarnych oczu tryaskała radość.

Wkrótce wyjaśniła się zagadka. Młodzieniec (bo przecież domyślacie się chyba wszyscy, że nie był to żaden upiór!) przedstawił się jako Herman von Starckenfaust. Opowiedział o swym spotkaniu z młodym hrabią, o tym, jak śpieszył do zamku jako zwiastun niepożądanego nowiny, i jak elokwencja barona udaremniała mu wszelkie próby oznajmienia o tym, co za-

szło.

Powiedział, że panna młoda oczarowała go z miejsca i chcąc przepędzić choć parę godzin w jej towarzystwie, nie wyprowadził ich z błędu. Że biedził się nad tym, jak się wycofać z honorem, aż barona opowieści o duchach podsunęły mu pomysł niezwykłego pożegnania. Że obawiając się zadawnionej wrogości dwóch rodzin, powtarzał swe wizyty ukradkiem, nawiedzał ogród wyczekując pod oknem panny i starając się zdobyć jej miłość. Wreszcie zdobył ją, uniósł w triumfie uwielbianą i poślubił.

We wszystkich innych okolicznościach baron byłby nieugięty, bardzo bowiem był czuły, gdy w grę wchodził autorytet ojcowski i ze świętym uporem prowadził rodowe waśnie. Stary baron kochał jednak swą córkę, a opłakawszy jej stratę, ucieszył się, że odnalazł ją żywą i chociaż jej mąż należał do wrogiego rodu, przecie, Bogu dzięki, nie był upiorem. Trzeba wprawdzie przyznać, że w figlu, jaki mu spletał rycerz, podając się za ducha, było coś, co nie zupełnie godziło się z pojęciem prawdomówności barona, ale kilku jego przyjaciół, obecnych w tym momencie, zapewniło go, że w miłości wszelkie fortele są dopuszczalne, i że kawaler zasługuje na specjalne przywileje, ponieważ ostatnio służył w wojsku.

Tak więc sprawy ułożyły się pomyślnie. Baron od razu przebaczył młodej parze. Wesele na zamku rozpoczęło się na nowo. Ubodzy krewni podbijali nowego członka rodziny serdeczną miłością, był to bowiem tak rycerski kawaler, tak szlachetny i... tak bogaty! Ciotki, to prawda, były trochę urażone, że ich system surowego odosobnienia i bezwzględного posłuszeństwa wydał takie złe owoce, ale przypisały to wszystko temu, że zapomniały okratować okna. Jedną z nich szczególnie dręczyło to, że jej cudowna opowieść została zniweczona, i że jedyny upiór, jakiego kiedykolwiek widziała, nie był prawdziwym upiorem. Siostrzenica jednakże wydawała się bardzo zadowolona z tego, że okazał się młodzieńcem z krwi i kości — i na tym koniec naszej opowieści.

Przełożyła Aldona Szpakowska

EDWARD GEORGE EARLE BULWER-LYTTON

Edward George Earle Bulwer-Lytton (1803—1873) urodził się w Londynie jako syn generała. Doszedł do najwyższych zaszczytów zarówno jako ceniony mąż stanu, jak i przez długie lata najpoczytniejszy pisarz angielski. W młodości był zwolennikiem reform, później przeobraził się w zatwardziałego konserwatystę, co znalazło także wyraz w jego twórczości. Bardzo płodny, w swoich powieściach, poezjach i dramatach schlebiał gustom literackim epoki. Najbardziej znanym jego utworem jest romans historyczny „Ostatnie dni Pompei” (1834). W „Duchach i ludziach” (1859) w udatny sposób spożytkował swoje zainteresowania okultyzmem dla wytworzenia sugestywnej atmosfery grozy.

DUCHY I LUDZIE

Mój przyjaciel, literat i filozof, powiedział mi kiedyś pół żartem, pół serio:

— Wyobraź sobie, ostatnio odkryłem dom, w którym straszy, i to w samym centrum Londynu.

— Naprawdę straszy? A co... duchy?

— Niestety nie mogę na to odpowiedzieć. Wiem tylko, że sześć tygodni temu wybrałem się z żoną na poszukiwanie pokojów umeblowanych. Przechodząc cichą uliczką zobaczyliśmy w oknie jednego z domów ogłoszenie: „Pokoje umeblowane”. Ponieważ dzielnica nam odpowiadała, obejrzelśmy mieszkanie i — zapłaciwszy za tydzień z góry — opuściliśmy je po

trzech dniach. Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie nakłonić mojej żony, by została tam dłużej. I wcale się nie dziwię.

— Coście zobaczyli?

— Wybacz, nie chciałbym, żeby mnie wyśmiano za przesady czy przywidzenia, a z drugiej strony nie mogę wymagać, byś tylko na podstawie moich zapewnień uwierzył w coś, czemu jedynie twoje własne zmysły mogą dać wiarygodne świadectwo.

Powiem tyle, że wyгнаło nas stamtąd wcale nie to, cośmy słyszeli albo widzieli (mógłbyś pomyśleć, żeśmy padli ofiarą własnej podnieconej wyobraźni czy też złośliwego żartu), lecz jakiś nieokreślony strach, który chwycił nas oboje, ilekroć przekraczaliśmy drzwi pewnego nieumeblowanego pokoju, gdzie nie było nic widać ani słychać.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że no raz pierwszy w życiu zgodziłem się z żoną — nigdy nie grzeszyła rozumem — i przyznałem po przespaniu trzech nocy, że nie sposób spędzić tu następnej. Czwartego dnia rano wezwałem więc kobietę, która pilnowała domu i usługiwała nam, oświadczając, że nie jesteśmy zadowoleni z mieszkania i w związku z tym wyprowadzamy się przed upływem tygodnia.

Odparła sucho:

„Ja wiem dlaczego; i tak byliście dłużej niż inni. Niewielu przed wami zgodziło się przespać tu drugą noc, a nie widziałam takiego, co by został na trzecią. Widocznie były dla was szczególnie łaskawe”.

„Były? Kto?” — spytałem z wymuszonym uśmiechem.

„No, te, co straszą w tym domu, obojętne, kim są. Mnie one nie przeszkadzają. Pamiętam je sprzed lat, kiedy mieszkałam tu nie jako służąca. Wiem, że mi kiedyś przyniosą śmierć. Zresztą wszystko jedno... jestem stara; i tak wkrótce umrę. Wtedy połączę się z nimi... ale w tym domu”.

Kobieta mówiła z takim ponurym spokojem, że zdumienie nie pozwoliło mi dalej prowadzić rozmowy. Zapłaciliśmy za tydzień — szczęśliwi, że nas to tak tanio kosztowało.

— Podniecasz moją ciekawość — rzekłem. — Moim największym marzeniem jest spędzić noc z duchami. Proszę cię, podaj mi adres domu, który opuściłeś tak sromotnie.

Przyjaciel wręczył mi adres i ledwo się rozstaliśmy, pospieszyłem we wskazanym kierunku.

Dom leżał po północnej stronie Oxford Street, w cichym, ale przyzwoicie wyglądającym zaułku. Był zamknięty, w oknie ani śladu ogłoszenia; nikt też nie odpowiedział na moje pukanie. Kiedy zbierałem się do odejścia, zagadnął mnie chłopiec z piwiarni:

— Czy chciał się pan widzieć z kimś z tego domu?

— Tak, słyszałem, że jest do wynajęcia.

— Do wynajęcia! Niestety, staruszka, która tu mieszkała, już nie żyje. Umarła trzy tygodnie temu i nie mogą znaleźć nikogo, kto by tu został, chociaż pan J... tyle daje. Kobiecie, co u niego sprzątała, zaproponował funta tygodniowo za samo tylko otwieranie i zamykanie okien. I to nie chciała.

— Nie chciała? Dlaczego?

— W tym domu straszy; staruszkę, która go pilnowała, znaleźli martwą w jej własnym łóżku. Z szeroko otwartymi oczami. Powiadają, że ją diabeł zadusił.

— Mówiłeś o jakimś panu J... Czy to właściciel domu?

— Tak.

— Gdzie mieszka?

— Na ulicy G... pod numerem...

— Co robi? Prowadzi jakieś interesy?

— Nie, nic takiego. Po prostu samotny człowiek.

Wsunąłem chłopcu w rękę napiwek za wyczerpującą informację i udałem się na ulicę G... leżącą w pobliżu nawiedzanego domu. Szczęśliwie zastałem pana J... w mieszkaniu. Był

to starszy człowiek o inteligentnej twarzy i ujmującym sposobie bycia.

Przedstawiłem się i od razu wyłuszczyłem cel swojej wizyty. Powiedziałem, że doszły mnie słuchy, jakoby w tamtym domu straszło, że chciałbym obejrzeć dokładnie miejsce cieszące się tak osobliwą reputacją i że byłbym zobowiązany, gdyby zechciał wynająć mi dom choćby na jedną noc. Wyraziłem też gotowość zapłacenia za to sumy, którą by wymienił.

— Szanowny panie — odparł pan T... niezwykle uprzejmie — dom jest do pańskiej dyspozycji na tak długo lub na tak krótko, jak tylko pan sobie życzy. O czynszu mowy być nie może, a cała korzyść będzie po mojej stronie, gdy wykryje pan przyczyny dziwnych zjawisk, które w tej chwili pozbawiają ten budynek wszelkiej wartości. Nie mogę go wynająć chociażby dlatego, że nie sposób znaleźć kogoś, kto by zechciał utrzymywać go w porządku i otwierać drzwi. Niestety, w domu tym straszy, jeśli można się tak wyrazić, i to nie tylko w nocy, ale i w dzień. Nocą jednak te zjawiska są dużo bardziej przykre i niepokojące. Staruszka, która zmarła trzy tygodnie temu, była ubogą wziętą z domu pracy. Moja rodzina знаła ją od dziecka, kiedyś nawet powodziło jej się tak dobrze, iż dzierżawiła ten dom od mojego wuja. Była to kobieta wysoce wykształcona i światłego umysłu — jedyna osoba, jaką udało mi się nakłonić do zamieszkania w tym domu. I rzeczywiście po jej niespodziewanej śmierci i po wizycie koronera miejsce to nabrało tak przykrego rozgłosu, że mimo rozpaczliwych starań nie potrafiłem znaleźć dozorczy, a tym bardziej dzierżawcy; chętnie przeto wynajmę dom na rok bez żadnego czynszu każdemu, kto tylko zgodzi się płacić podatki.

— Jak długo już dom ten cieszy się taką opinią?

— Wie pan, trudno powiedzieć, w każdym razie od wielu lat. Staruszka, o której wspominałem, twierdziła, że kiedy go odnajmowała, już w nim straszło. Ja, prawdę mówiąc, spędziłem życie w Indiach, w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Do Anglii wróciłem w zeszłym roku, odziedziczywszy majątek po wuju. Wśród nieruchomości był ten właśnie dom, zamknięty i pusty. Mówiono, że w nim straszy i że nikt tam nie chce zamieszkać, ale uśmiechałem się na to tylko jak na głupie plotki. Włożyłem w remont sporo pieniędzy, uzupełniłem staroświeckie umeblowanie kilkoma nowoczesnymi rzeczami, dałem ogłoszenie i znalazłem lokatora na rok.

Był to emerytowany pułkownik. Sprowadził się z rodziną — córką i synem — oraz służbą. Opuścili dom nazajutrz i chociaż każdy z nich twierdził, że widział coś zupełnie innego niż pozostali, wszystkim wspólny był lęk przed czymś strasznym. Sumienie nie pozwalało mi dochodzić swego ani potępiać pułkownika za zerwanie umowy.

Wtedy osadziłem tam ową staruszkę, upoważnioną do wynajmowania pojedynczych apartamentów. Niestety, nie miałem lokatora dłużej niż trzy doby. Nie chcę panu opowiadać tych wszystkich historii. Dość na tym, że nie było dwóch ludzi, którzy by doznali tego samego. Zresztą lepiej, żeby się pan sam przekonał, zamiast wprowadzać się pod wrażeniem jakichś opowieści. Musi pan być przygotowany, że zobaczy i usłyszy pan to i owo. Co do środków ostrożności — pozostawiam je pańskiej decyzji.

— A pan nie próbował nigdy spędzić tam nocy? — zapytałem.

— Oczywiście... wprawdzie nie noc, ale trzy godziny przy pełnym świetle dziennym... sam w całym domu. Muszę przyznać, że ciekawość moja została nie tyle zaspokojona, co raczej ugaszona. Nie chciałbym powtórzyć tego doświadczenia. Nie może pan chyba narzekać na brak szczerości z mojej strony. I uczciwie ostrzegam: o ile pana zainteresowanie nie jest szaleńczo silne, a nerwy niezwykle wytrzymałe — niech pan nie spędza nocy w tym domu.

— Moje zainteresowanie jest szaleńczo silne — odparłem — i chociaż tylko tchórz może się chwalić, że w żadnej sytuacji nerwy go nie zawiodą, to jednak muszę stwierdzić: moje nerwy przeszły tyle i tak różnorodnych prób, iż mogę na nich polegać — nawet jeśli chodzi o dom, w którym straszy.

Pan J... niewiele już mówił; wyjął z biurka i wręczył mi klucze. Dziękując mu serdecznie za szczerość i zgodę uniosłem swoją zdobycz.

Natychmiast po przyjsciu do domu, szalenie zniecierpliwiony, wezwałem zaufanego sluge, mlodego czlowieka o niezwykle wesołym usposobieniu i niezrównanej odwadze, a poza tym całkowicie wolnego od jakichkolwiek przesądów.

— F... — powiedziałem — czy pamiętasz, jak bardzo zawiedliśmy się w czasie naszego pobytu w Niemczech, nie znalazłszy żadnego ducha w tym zamku, o którym mówiono, że jest nawiedzany przez postać bez głowy? Wyobraź sobie, słyszałem o pewnym domu w Londynie, gdzie — mam poważne powody tak sądzić — straszy nie na żarty. Zamierzam spędzić tam dzisiejszą noc. Z tego, co mówiono, niewątpliwie coś daje się widzieć albo słyszeć — coś, być może, bardzo strasznego. Czy, gdybym cię wziął ze sobą, będę mógł zawsze polegać na twojej przytomności umysłu?

— O panie, proszę mi zaufać — odparł F... szczerząc zęby z zadowolenia.

— Dobrze, oto klucze od tego domu, a tu adres. Idź zaraz, wybierz dla mnie jakąś sypialnię, a ponieważ dom był niezamieszkały przez całe tygodnie, rozpal porządny ogień, wywietrz pościel i oczywiście postaraj się o świece i opał. Weź mój rewolwer i sztylet. Sam też się zabezpiecz nie gorzej; jeśli nie będziemy w stanie stawić czoła choćby tuzinowi duchów — jesteśmy do niczego.

Przez resztę dnia pochłaniały mnie sprawy tak ważne, że nie zdążyłem nawet pomyśleć o nocnej przygodzie, w której stawką miał być mój honor. Zjadłem obiad sam, i to dosyć późno, czytając przy tym jak zwykle. Wybrałem tom eseju Macaulaya. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wziąć książkę ze sobą — tak jędrny był styl i tak praktyczne ujęcie tematów. Doskonałe antidotum na podnieconą wyobraźnię.

Zgodnie z planem około wpół do dziesiątej wsadziłem książkę do kieszeni i leniwie powlokłem się w stronę nawiedzanego przez duchy domostwa. Zabrałem też mego ulubionego psa, niezwykle czujnego i odważnego bulteriera, który lubił nocami węszyć po nie znanych mrocznych zakamarkach i zaułkach w pogoni za szczurami — jednym słowem, wymarzonego psa na duchy.

Była letnia, ale chłodna noc; niebo trochę mgliste i zaciągnięte chmurami. Mimo to przeglądał księżyc, słaby i jakby wymokły, lecz zawsze księżyc, obiecując — jeśli chmury ustąpią — przejaśnienie po północy.

Zapukałem wreszcie do drzwi; służący otworzył mi z wesołym uśmiechem.

— Wszystko w jak najlepszym porządku, proszę pana, i bardzo wygodnie.

— Taak? — powiedziałem z nutą rozczarowania. — I nie widziałeś ani nie słyszałeś nic osobliwego?

— Właściwie muszę przyznać, że słyszałem coś dziwnego.

— Co to było?

— Odgłos kroków za moimi plecami i raz czy dwa jakiś szmer koło ucha, coś jakby szept — nic więcej.

— No i cóż, masz stracha?

— Ani trochę.

Śmiałe spojrzenie młodzieńca upewniło mnie raz jeszcze, że bez względu na to, co się stanie, nigdy mnie nie opuści.

Staliśmy w hallu. Drzwi od ulicy były zamknięte. Zwróciłem teraz uwagę na psa: w pierwszej chwili wbiegł ochoczo do środka, ale natychmiast przyczołgał się z powrotem do drzwi, skrobiąc i skomlać, żeby go wypuścić. Pogłaskałem go po głowie i dodałem mu odwagi, pies więc pozornie pogodzony z sytuacją podążył za nami. Zamiast jednak spieszyć przodem i węszyć, jak zwykle na nowym miejscu trzymał się cały czas mojej nogi.

Najpierw zwiedziliśmy sutereny, gdzie mieściła się kuchnia i piwnice. W ostatniej znaleźliśmy parę butelek wina. Stały w skrzynce, osnute pajęczynami, nie ruszane od lat. Najwyraźniej duchy nie były moczymordami. Poza tym nie natrafiliśmy na nic ciekawego. Z tyłu domostwa leżało małe, mroczne podwórko, otoczone bardzo wysokimi murami. Bruk tu

obróśł mchem, płyty pokryła wilgoć i kurz; idąc zostawialiśmy niewyraźne ślady.

I oto po raz pierwszy stałem się naocznym świadkiem przedziwnego zjawiska w tym osobliwym przybytku. Nagle tuż przed sobą zobaczyłem, jak odciska się ślad ludzkiej stopy. Przystanąłem, chwyciłem mego sługę za ramię. Jednocześnie, równie nagle jak pierwszy, ale nieco przed nim, powstał drugi ślad. Podeszedłem szybko do tego miejsca. Niewidzialna stopa w dalszym ciągu pozostawiała małe, dziecinne ślady. Były zbyt niewyraźne, by określić dokładnie ich kształt, przypominały jednak zarys bosej stopy. Zjawisko to ustało, gdy doszliśmy do przeciwległego muru.

Postanowiłem obejrzeć pokoje na parterze: salon, mniejszy salonik i najmniejszy z nich pokój, który prawdopodobnie zajmował lokaj — wszystkie ciche jak śmierć. Potem zwiedziłem jadalnię, które robiły wrażenie świeżych i odnowionych. Rozsiadłem się w fotelu w frontowym pokoju. F... postawił na stole lichterz, który rzucał na nas snop światła. Poprosiłem go, aby zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, krzesło stojące pod przeciwległą ścianą szybko i bezszelestnie zbliżyło się do mnie, zatrzymując się w odległości jarda, i to dokładnie *vis à vis*.

— To nawet lepsze niż wirujące stoliki — powiedziałem ze śmiechem, na dźwięk którego pies zjeżył się i zawył.

F... nie zauważył żadnej zmiany; zajęty był uspokajaniem psa. Nie przestawałem obserwować krzesła. W pewnej chwili wydało mi się, że widzę na nim blady, mglisty zarys ludzkiej postaci, zarys tak niewyraźny, że zacząłem wątpić w mój wzrok. Pies zupełnie się uspokoił.

— Odstaw z powrotem pod ścianę to krzesło — rzekłem do F..., który natychmiast spełnił polecenie.

— Czy to pan? — zapytał odwracając się gwałtownie.

— Ja... co?

— Jak to? Ktoś mnie uderzył; czułem wyraźnie. W ramię, o tutaj.

— Nie, to nie ja, ale najwyraźniej mamy do czynienia z jakimiś iluzjonistami i choć może nie rozszyfrujemy ich sztuczek, z pewnością prędzej my ich złapiemy, niż oni nas stąd wystraszą.

Nie siedzieliśmy długo w jadalniach — były wilgotne i zimne. Z przyjemnością wróciłem na górę, do kominka. Na wszelki wypadek jednak, podobnie jak na dole, pozamykaliśmy wszystkie drzwi.

Służący wybrał mi na sypialnię najlepszy pokój na całym piętrze — duży, z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Wsparty na czterech kłocach materac sprężynowy, który zajmował niemało miejsca, stał naprzeciwko kominka, gdzie płonął wesoły, jasny ogień. Drzwi, znajdujące się między łóżkiem a oknem, prowadziły do pokoju służącego. Była to niewielka klitka, bez połączenia ze schodami, a jedyne drzwi dzieliła z moją sypialnią. Na umeblowanie składały się sofka i dwie szafy po obu stronach kominka, pokryte tym samym co ściana, matowobrazowym papierem. Przeszukaliśmy je dokładnie, nie znajdując nic poza paroma wieszakami. Zbadaliśmy też — najwyraźniej solidne — szczytowe ściany budynku.

Zwiedzwszy te apartamenty rozgrzałem się trochę i zapaliłem papierosa, po czym podjęliśmy przegląd domostwa. Na klatkę schodową wychodziły jeszcze jedne drzwi. Te były szczelnie zamknięte.

— Panie — powiedział F... zdziwiony — otwierałem te drzwi, podobnie jak wszystkie inne, zaraz po przyjeździe. Nie mogły zostać zamknięte od środka, gdyż...

Zanim jednak dokończył zdania, drzwi, których żaden z nas nawet nie dotknął, cicho otworzyły się same.

Spojrzelśmy na siebie rażeni tą samą myślą: daje się tu wyczuć ludzką obecność.

Rzuciłem się do drzwi pierwszy, mój sługa za mną. Pokój był mały, pusty, ponury, całkiem nie umeblowany; w kącie walało się zaledwie kilka starych skrzynek i koszyków.

Małe okno zasłaniała okiennica. Pokój, bez kominka, miał jedne drzwi — te, przez które weszliśmy. Podłogi, starej, nierównej, stoczonej przez robaki, noszącej ślady licznych reperacji w postaci rozsianych tu i ówdzie jaśniejszych plam, nie okrywał żaden dywan. I nigdzie żywej duszy — nawet miejsca, gdzie mogłaby się ukrywać.

Kiedy tak staliśmy, patrząc dokoła, drzwi zamknęły się równie cicho, jak przedtem się otwarły: byliśmy uwięzieni.

Po raz pierwszy poczułem dreszcz nieokreślonej grozy. Wręcz przeciwnie mój towarzysz.

— No, chyba nie myślą nas tu więzić. Jednym kopnięciem wyważyłbym te licha warte drzwi.

— Spróbuj najpierw ręki — powiedziałem otrząsając się ze złowrogich przeczuć, jakie mną owładnęły — a ja tymczasem otworzę okiennice i wyjrzę na dwór.

Odsunąłem sztaby. Okno wychodziło na małe podwórko, które już opisałem. Ani śladu parapetu — nic, tylko gładka ściana; gdyby ktoś się pokusił o ucieczkę, nie znalazłby oparcia dla nogi — skrzyłby kark na bruku podwórka.

Tymczasem F... na próżno starał się otworzyć drzwi. Wreszcie zapytał, czy może użyć siły. Tu muszę oddać memu słudze sprawiedliwość: nie zdradzając najmniejszych objawów strachu, opanowany — powiedziałbym nawet wesoły, jak na okoliczności tak niezwykle — wzbudził we mnie podziw. Mogłem sobie pogratulować wyboru towarzysza, stojącego pod każdym względem na wysokości zadania. Zgodziłem się chętnie. Ale choć F... odznaczał się niemałą siłą, na nic się ona nie zdała. Zawiodły też łagodniejsze środki. Drzwi nie drgnęły nawet pod naporem uderzeń.

Bez tchu prawie, ciężko dysząc F... ustąpił. Wtedy spróbowałem sam — na próżno. Zaniechałem więc dalszych wysiłków, a dreszcz grozy przeszedł mnie ponownie. Tym razem bardziej mroźny i uporczywy. Poczułem, jak nagle ze szpar zniszczonej podłogi podnosi się dziwny, zaziemski podmuch, napełniający pokój jakimś jadowitym, wrogim życiu fluidem. Wtem drzwi otworzyły się bardzo powoli i cicho, jak gdyby z własnej inicjatywy. Wyszliśmy na korytarz. Oczom naszym ukazała się plama świetlna wielka jak człowiek — bezkształtna i niematerialna, która czas jakiś sunęła przed nami, by wreszcie wejść na schody wiodące na strych. Podążyliśmy za światłem. Wpełzło na poddasze, którego drzwi stały otworem. Gdy przekroczyłem próg, świetlny obłok stopniał do małej kuleczki, bardzo jasnej i ruchliwej, spoczął na chwilę na łóżku w rogu pokoju, zamigotał i znikł. Podeszliśmy do łóżka i zbadaliśmy je dokładnie.

Na stojącej opodal komodzie leżała jedwabna, spłowiała chustka z nie dokończoną cerą, w której tkwiła igła. Chustka pokryta była kurzem; prawdopodobnie należała do kobiety zmarłej tu niedawno, a pokój był pewnie jej sypialnią.

Wiedziony ciekawością zacząłem otwierać szuflady. Było w nich parę kobiecych fatałasków i dwa listy związane wyblakłą żółtą wstążeczką. Pozwoliłem sobie je zabrać. Poza tym nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Światło nie pojawiło się już więcej, lecz wychodząc usłyszeliśmy wyraźnie tuż przed nami tupot nóg.

Minęliśmy pozostałe cztery poddasza, cały czas wyprzedzani przez odgłos kroków. W dalszym ciągu nie było nic widać.

Na schodach poczułem nagle, że ktoś łapie mnie za rękę, w której trzymam listy, i — zaraz potem — lekki, delikatny ruch zmierzający do rozluźnienia mego chwytu; zacisnąłem dłoń mocniej — ruch ustał.

Wróciliśmy do mego pokoju; stwierdziłem, że pies nie poszedł z nami. Leżał tuląc się do kominka i drżał. Niecierpliwie zacząłem przeglądać listy. Tymczasem F... dobył z pudła broń, umieścił ją w głowach mego łóżka, po czym jął uspokajać psa, który zdawał się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi.

Korespondencja była krótka, datowana dokładnie trzydzieści pięć lat temu. Najwyra-

źniej listy od wielbiciela do pani jego serca albo od męża do młodej żony. Zarówno zwroty, jak i wzmianki o niedawno odbytej podróży wskazywały na to, że autor listów był marynarzem. Ortografię i charakter pisma miał typowe dla człowieka niewykształconego. Mimo to język pełen był ekspresji. Spoza miłosnych zakłęb wyzierało uczucie dzikie i żywiołowe. Tu i tam jednak trafiały się mgliste, niezrozumiałe aluzje do jakiejś wielkiej tajemnicy, której przedmiotem najprawdopodobniej nie była miłość — a zbrodnia.

„Powinniśmy się kochać nawzajem — brzmiało jedno ze zdań, które zapamiętałem — tym bardziej że gdyby wszystko wyszło na jaw, ludzie by nas przeklęli”.

I znów:

„Pamiętaj, żebyś w nocy z nikim nie dzieliła pokoju — mówisz przez sen”. A dalej: „Co się stało, już się nie odstanie. I mówię ci: nie ma przeciwko nam żadnych dowodów, dopóki zmarli nie wstają z grobów”.

W tym miejscu wprawniejsza ręka, najwidoczniej kobieca, dopisała między wierszami: „niestety, wstają”.

Na końcu listu noszącego późniejszą datę widniała notatka skreślona tą samą kobiecą ręką:

„Zginął na morzu czwartego czerwca, tego samego dnia, co...”

Odłożyłem listy na stół i zacząłem się zastanawiać nad ich treścią. W obawie jednak, że rozmyślania te mogą mnie wytrącić z równowagi, postanowiłem przygotować się nerwowo na wszystko, co mi mogła przynieść nadchodząca noc. Poprawiłem ogień, jasny jeszcze i wesoły, i otworzyłem mojego Macaulaya. Czytałem do wpół do dwunastej, po czym rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Służącemu poleciłem iść do siebie i czuwać. Kazałem mu też zostawić drzwi między naszymi pokojami otwarte.

Byłem sam. Na nocnym stoliku płonęły dwie świece, koło których położyłem zegarek i broń. Następnie z całym spokojem powróciłem do Macaulaya. Naprzeciwko trząskął jasny ogień, a na macie przed kominkiem drzemał pies. Mniej więcej po dwudziestu minutach poczułem na policzku bardzo zimny prąd powietrza, jakby zadrażnienie.

Pomyślałem, że drzwi wychodzące na korytarz musiały się otworzyć; ale nie — były zamknięte. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem, że płomyki świec chylą się gwałtownie jak na wietrze. Jednocześnie zegarek leżący obok rewolweru wolniutko, wolniutko, jak pod wpływem niewidzialnej ręki, ześliznął się ze stolika — i znikł. Poderwałem się gwałtownie; w jedną dłoń chwyciłem rewolwer, w drugą sztylet — nie chciałem, by podzieliły los zegarka.

Uzbrojony w ten sposób, rozejrzałem się po podłodze: ani śladu zegarka.

Teraz u wezłowania mojego łóżka dały się słyszeć trzy wyraźne, głośne stuknięcia.

— Czy to pan? — zawołał F...

— Nie. Miej się na baczności!

Pies wstał i przysiadł na zadzie, strzygąc nerwowo uszami. Utkwił we mnie spojrzenie tak dziwne, że pochłonęło całą moją uwagę. Podniósł się powoli ze zjeżoną sierścią i stał na sztywnych łapach z tym samym dzikim wyrazem oczu.

Nie miałem jednak czasu patrzeć na psa. W drzwiach ukazał się służący i jeżeli kiedykolwiek widziałem przerażenie w ludzkiej twarzy, to właśnie wtedy. Gdybym go spotkał w tym stanie na ulicy, nie poznałbym go z pewnością. Każdy rys twarzy miał zmieniony. Minał mnie szybko i wyszeptał nie swoim głosem:

— Uciekać! Uciekać! Goni mnie!

Dopadł drzwi wiodących na schody, pchnął je i wyleciał na korytarz. Mimo woli podążyłem za nim, wołając, by się zatrzymał. Nie zwrócił na mnie uwagi. Gnał trzymając się poręczy i skacząc po kilka stopni na raz. Usłyszałem tylko, jak drzwi frontowe najpierw się otworzyły, a potem zatrzasnęły.

Zostałem sam w nawiedzonym przez ciuchy domu.

Chwilę tylko stałem niezdecydowany, czy iść w jego ślady... Ale duma i ciekawość

odwiodły mnie od tak haniebnej ucieczki. Wróciłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi, po czym ostrożnie przeszedłem do następnego pokoju. Nie znalazłem nic, co by usprawiedliwiało panikę służącego. Jeszcze raz starannie obejrzałem ściany w poszukiwaniu jakichś ukrytych drzwi. Nic — ani śladu. Nawet pęknięcia w brązowej tapecie. Którędy więc wśliznęło się to coś, co tak przeraziło mego sługę, jak nie przez mój pokój?

Wróciwszy do siebie, zamknąłem drzwi na klucz i gotów na wszystko usiadłem przy kominku.

Pies skulony wciskał się w róg pokoju, jak by chciał wejść w ścianę. Zacząłem do niego przemawiać. Biedne zwierzę, oszalałe ze strachu, wyszczerzyło zęby. Z pyska ciekła mu ślina. Byłby mnie niewątpliwie ugryzł, gdybym go dotknął. Zdawał się mnie nie poznawać.

Jeśli ktokolwiek widział w ogrodzie zoologicznym królika, który ze strachu przed wężem chowa się w kącie, może sobie wyobrazić przerażenie tego psa.

Stwierdziwszy, iż wszystkie wysiłki zmierzające do uspokojenia zwierzęcia trafiają w próżnię, w obawie, że jego ukąszenie mogłoby się okazać równie jadowite jak ukąszenie wściekłego psa, zostawiłem je w spokoju, sam zaś odłożyłem broń na stół i podjąłem lekturę Macaulaya.

Aby jednak czytelnikowi nie wydało się, że liczę na pochwały z powodu mojej odwagi czy też opanowania, które — mógłby ktoś pomyśleć — wyolbrzymiam, pozwolę sobie tu na kilka uwag natury osobistej.

Ponieważ moim zdaniem przytomność umysłu czy też to, co zwiemy odwagą, jest ściśle uzależnione od uodpornienia na nieoczekiwane okoliczności, muszę stwierdzić, że już dawno przywykłem do wszystkiego, co niesamowite. Byłem świadkiem wielu niezwykłych zjawisk w różnych częściach świata — zjawisk, którym nikt by nie dał wiary, gdybym je spróbował oddać w słowach, albo które przypisano by siłom nadprzyrodzonym.

Ja osobiście jednak twierdzę, że siły nadprzyrodzone nie istnieją, a to, co nimi tłumaczymy, jest po prostu prawem przyrody, dotąd jeszcze przez człowieka nie odkrytym.

Wobec tego, kiedy ukaże mi się duch, nie mam prawa powiedzieć: „A jednak zjawiska nadprzyrodzone istnieją”, tylko raczej: „Skoro się zjawił, stało się to — wbrew powszechnemu mniemaniu — zgodnie z prawami natury, a więc nie w sposób nadprzyrodzony”.

Jestem przekonany, że źródłem wszystkich niesamowitych wydarzeń, których byłem świadkiem, jak również wszystkich „cudów”, które współcześni amatorzy spirytyzmu uważają za fakty, była zawsze działalność żywej, materialnej istoty. Do dziś na Kontynencie twierdzą, że potrafią wywoływać duchy. Przypuśćmy na chwilę, że twierdzą słusznie. Jakież stąd wnioski? Ten, że obecność człowieka w jego materialnej postaci, czyli źródła, że tak się wyrażę, materialnego działania, wywołuje dzięki specjalnym, organicznym właściwościom danego osobnika pewne dziwne zjawiska odbierane przez nasze zmysły.

Przyjmijmy ponadto za prawdziwe opowieści o pokazach spirytystycznych w Ameryce: na przykład produkowanie dźwięków, pisanie na papierze, przesuwanie mebli przez niewidzialne ręce, dotyk dłoni nie należących, zdawałoby się, do żadnego ciała — to jednak musi tu być jakieś medium czy też w ogóle żyjąca istota, której pewne szczególne cechy organiczne są w stanie wywołać podobne zjawiska.

Jednym słowem, we wszystkich tego rodzaju „cudach”, zakładając nawet, że nie ma w nich ani trochę oszustwa, musi brać udział podobna nam, ludzka istota, dzięki której albo poprzez którą osiąga się podobne efekty.

Tak właśnie jest z dobrze nam już dzisiaj znanymi zjawiskami hipnozy i elektrobiologii, gdzie umysł ludzki ulega wpływowi świadomego, również ludzkiego działania. Nawet jeśli przyjmujemy, że medium zdolne jest odpowiedzieć na rozkazy i gesty hipnotyzera odległego o sto mil, nie umniejszamy to w niczym roli istoty materialnej.

Tym, co ma moc przekazywania bodźców materialnych między ludźmi mimo przestrzeni i przeszkód, jest fluid materialny, obojętne, jak go nazwiemy.

Stąd wszystko, czego już byłem i czego jeszcze miałem być świadkiem w tym przedziwnym domu, przypisywałem działaniu jakiejś istoty czy też medium równie śmiertelnego jak ja sam. Pogląd ten w sposób oczywisty oszczędził mi przerażenia, które niewątpliwie ogarnęłoby owej pamiętnej nocy każdego, kto za nadprzyrodzone uważa zjawiska nie dające się pomieścić w zwykłych kategoriach przyrody. Umocniony zatem w przekonaniu, jakoby to, czego już doświadczyłem i czego jeszcze spodziewałem się doświadczyć poprzez własne zmysły, działało się za sprawą istoty ludzkiej, odpowiednio przez naturę obdarzonej i mającej w tym jakiś cel, rozsmakowałem się w swojej teorii, wyrosłej na gruncie rozważań filozoficznych, a nie przesądu.

Tak przygotowany, podjąłem obserwację równie spokojnie jak chemik-eksperymentator oczekujący na wynik rzadkiego a niebezpiecznego doświadczenia.

Oczywiście im bardziej ograniczałem wpływ wyobraźni na rozsądek, w tym lepszym byłem nastroju, wobec czego zarówno oko moje jak i myśli powróciły do kart Macaulaya, krynicy zdrowego rozsądku.

Nagle uświadomiłem sobie obecność czegoś między światłem, a kartą książki, na którą padł cień. Podniosłem głowę i... zobaczyłem coś, co bardzo trudno albo wręcz nie sposób opisać.

Wyglądało to tak, jak by przede mną zaczęła wyłaniać się jakaś ciemność nieokreślonego kształtu. Nie mogę zdecydowanie powiedzieć, że była to postać ludzka; w każdym razie bardziej przypominała ludzką sylwetkę, czy może raczej cień, niż cokolwiek innego.

Kiedy tak stała, odcinając się wyraźnie na tle światła, jej rozmiary wydały mi się gigantyczne. Wierzchołkiem sięgała prawie sufitu.

Przejął mnie nieprzyjemny chłód. Gdybym miał pod ręką kawałek lodu, uczucie zimna nie byłoby chyba silniejsze ani bardziej fizyczne. Jestem przekonany, że nie był to chłód grozy.

Patrząc dalej, odniosłem wrażenie — trudno to stwierdzić z pewnością — że z góry spogląda na mnie para oczu. Wydawało mi się, że widzę je zupełnie dokładnie, to znów, że znikają; w każdym razie dwa promyki bladego, błękitnego światła co chwila przebijały poprzez ciemność w miejscu, w którym dostrzegłem te oczy.

Usiłowałem coś powiedzieć, ale głos mnie zawiódł. Zdołałem tylko zadać sobie w myśli pytanie: „Czyżby to był strach?” Nie, to nie strach.

Próbowałem wstać — na próżno. Czuję się tak, jak by przykuwał mnie jakiś ciężar nie do udźwignięcia. Jak by mojej woli przeciwstawiła się przemożna potęga. To poczucie bezsily wobec nadludzkiej mocy, którego człowiek doświadcza w sensie fizycznym podczas sztormu, wielkiego pożaru czy spotkania z dziką bestią, ogarnęło mnie w sensie moralnym. Powoli, powoli brało nade mną władzę, aż przyszła groza — groza, której słowami nie jestem w stanie opisać. Zachowałem jednak dumę, jeśli już nie odwagę, i powiedziałem sobie w duchu; „To przecież groza — nie strach; dopóki nie czuję strachu, nie ma się co przejmować. Mój umysł temu zaprzecza. To po prostu iluzja. Ja się nie boję”.

Z ogromnym wysiłkiem udało mi się wreszcie wyciągnąć rękę po leżącą na stole broń. Nagle ręką mą coś wstrząsnęło, zwiśla bezwładnie wzdłuż ciała. Na domiar złego płomienie świec zaczęły powoli blednąć — ogień na kominku stopniowo znikł i wkrótce pokój zaległa całkowita ciemność.

Fakt, że zostałem po ciemku sam na sam z tą mroczną istotą, której potęga tak wyraźnie dawała się odczuć, podziałał na moje nerwy.

Przerażenie osiągnęło szczyt. Wiedziałem, że albo opuszczą mnie zmysły, albo przełamie zły czar. Oczywiście wybrałem to drugie.

Dobyłem wreszcie głosu, a moje słowa brzmiały jak skrzek:

— Ja się nie boję. Moja dusza nie odczuwa strachu! — W tym samym momencie znalazłem siłę, by wstać.

Błądząc w panującym dokoła zmroku, dotarłem do jednego z okien; szarpnąłem zasłony i otworzyłem okiennice. Moją pierwszą myślą było — „światło”.

I kiedy wysoko w górze zobaczyłem cichy, spokojny księżyc, ogarnęła mnie radość, która wynagrodziła całe poprzednie przerażenie. Był przecież księżyc i lampy gazowe na opuszczonej, śpiącej uliczce.

Spojrzałem znów na pokój; przesiąkała tu blada, mdła poświata miesiąca. Ciemna zjawa rozplynęła się pozostawiając tylko cień na przeciwległej ścianie. Wzrok mój spoczął na stole (był to stary, mahoniowy, okrągły stół bez jakiegokolwiek przykrycia), spod którego wysunęła się ręka aż po przegub: dłoń równie cielesna jak moja, ale chuda, pomarszczona, mała — dłoń staruszki. Powoli zamknęła się na dwóch listach leżących na stole i wraz z nimi zniknęła. Zaraz potem dały się słyszeć trzy miarowe, donośne uderzenia, które słyszałem już u wezłowania mojego łóżka, zanim rozegrała się ta niezwykła scena.

Gdy dźwięki stopniowo zamarły, uczułem, że pokój zaczyna delikatnie drgać, a w przeciwległym końcu, jak gdyby z podłogi, wytryska cała kaskada iskier czy kuleczek — niby bańki barwnych światel — zielonych, żółtych, ogniste czerwonych, lazurowych, które zaczynają podskakiwać i poruszać się we wszystkie strony. Każda wedle własnego kaprysu, jak bańki gazu świetlnego.

Jednocześnie krzesło — podobnie jak w pokoju piętro wyżej — za sprawą niewidzialnej siły ruszyło spod ściany i zatrzymało się po przeciwnej stronie stołu.

— I nagle... jakby z wnętrza krzesła wyrosła postać kobiety tak wyraźna, jak kształt życia, a zarazem tak widmowa, jak kształt śmierci. Twarz miała młodzieńczą, dziwnej i ponurej piękności; ubrana była w białą jak obłok luźną suknię, obnażającą szyję i ramiona.

Zjawa zaczęła gładzić długie, jasne włosy, które opadały jej na ramiona. Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, utkwiała wzrok w drzwiach — zdawała się słuchać, patrzeć, czekać.

Tymczasem zarys na ścianie pociemniał i znów miałem wrażenie, że gdzieś u szczytu wybłysły oczy — oczy wpatrzone w postać kobietę.

Następnie od strony drzwi, które pozostawały zamknięte, jęła się zbliżać inna postać, równie wyraźna jak pierwsza i jednakowo widmowa. Była to postać młodego mężczyzny.

Miał na sobie ubranie, czy może raczej coś, co przypominało strój z ubiegłego stulecia, ponieważ obie postacie, mimo iż widoczne, były wyraźnie niematerialne, nie dające się dotknąć. Jakiś brak konsekwencji, coś groteskowego, a jednocześnie przerażającego tkwiło w kontraście, jaki stanowił staroświecki, pełen dworskiej dystynkcji i drobiazgowej staranności, przybrany mnóstwem koronek i wstążek strój z jego właścicielem o wyglądzie trupa i spokoju zjawy. Kiedy widmo mężczyzny przybliżyło się do widma kobiety, czarny cień błyskawicznie oderwał się od ściany. Na chwilę wszystko spowiała ciemność.

Gdy powróciło blade światło, zobaczyłem dwie zjawy stojące jakby w objęciach cienia, który unosił się między nimi. Na piersi kobiety widniała krwawa plama. Mężczyzna wspierał się o miecz, a krew obficie ściekała z koronek i wstążek. Następnie pochłonął ich cień — znikli bez śladu.

Wtedy powróciły bańki, skacząc i żeglując w powietrzu, coraz większe i większe, i coraz dziksze w swoim tańcu.

Nagle rozwarły się drzwi do alkowy i wyszła z nich postać staruszki. W rękę trzymała listy — te same, po które wyciągnęła się tajemnicza dłoń. W ślad za staruszką usłyszałem kroki. Odwróciła się, jak gdyby nadśluchując, otworzyła listy i zaczęła je czytać.

Zza jej ramienia wyjrzała ziemista twarz — typowa twarz topielca od dawna już spoczywającego w wodzie. Był obrzękły, wymokły, spowity w wodorosty, z ociekającymi wodą włosami. U nóg starej kobiety leżał trup, przy którym kuliło się dziecko. Nędzne, zabiedzone, ze strachem w oczach i głodem malującym się na buzi. Kiedy spojrzałem w twarz staruszki, zmarszczki i rysy zatarty się i zobaczyłem oblicze młodzieńca. Było kamienne, źrenice lśniły

zimnym blaskiem. Po chwili jednak, tak jak poprzednio, wszystko pochłonął mrok.

Teraz wpatrywałem się w niepodzielnie panujący cień, w którym niebawem znów zabłyśły oczy — złe oczy węża. Ponownie w oszalałym płasie uniosły się bańki świetlne, mieszając się z bladą poświatą księżyca. Ni z tego, ni z owego z tańczących globulek, niby ze skorupki jajka, zaczęły wyłazić monstrualne stwory; wnet powietrze zagęściło się od ohydnych, bezkrwistych larw, które opisać mogę czytelnikowi jedynie przez porównanie do kropli wody widzianej pod mikroskopem: mrowiąca się masa żywych stworzeń, przezroczystych, giętkich, ruchliwych, goniących się i pożerających nawzajem, jakich nigdy nie dojrzysz gołym okiem.

Tak jak kształt tych stworów był całkowicie pozbawiony symetrii, tak ruchy ich były zupełnie bezładne. Krążyły wokół mnie bez celu, coraz gęściej i szybciej kłębiąc się dokoła głowy i pełznąc po ręce podświadomie wyciągniętej jak by gestem odżegnywania się od wszelkiego zła.

Czasami czułem, że coś mnie dotyka; ale nie były to larwy — dotykały mnie niewidzialne ręce. Raz nawet jakieś chłodne palce zacisnęły mi się na gardle. Ponieważ wciąż byłem świadom tego, że jeżeli tylko poddam się trwodze, znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, całym wysiłkiem starałem się umocnić i uodpornić wolę.

Przede wszystkim więc odwróciłem wzrok od cienia, a zwłaszcza od dziwnych węzowych oczu, które teraz stały się dokładnie widoczne i skupiały w sobie tyle intensywnego, czynnego zła, iż bałem się, że skruszy moją wolę.

W pewnym momencie blade światło zaszło czerwoną łuną jak od pożaru. Larwy straciły barwę, jak by spopielały w ogniu, pokój znów zawibrował i po raz trzeci dały się słyszeć miarowe uderzenia. Na koniec wszystko pożarł mrok.

Cień zniknął w miarę, jak ustępowała czern. Jednocześnie zapłonęły świece na stole i drzewo na kominku. Stopniowo wyłonił się z mroku cały pokój.

Obie pary drzwi pozostały zamknięte. Te, które prowadziły do pokoju służącego — nawet na klucz. W rogu mojej sypialni leżał pies. Zawołałem go — ani drgnął. Podeszedłem — był martwy. Leżał z oczyma wywróconymi, wywieszonym językiem i pianą na pysku. Wziąłem go na ręce i przyniosłem do kominka. Dręczył mnie żal i wyrzuty sumienia z powodu utraty ulubieńca. Czułem się winny jego śmierci. Byłem pewien, że zdechł ze strachu.

Jakież było moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że pies ma skręcony kark, po prostu pęknięty kręgosłup. Niewątpliwie stało się to w ciemności. Czyż nie musiała tego dokonać ręka równie ludzka jak moja? Miałem wszelkie dane po temu, by tak przypuszczać. Ale cóż, ja mogę tylko stwierdzić fakt. Wnioski pozostawiam czytelnikowi.

Wkrótce dokonałem następnego dziwnego odkrycia: oto mój zegarek, w tak tajemniczy sposób zabrany, powrócił na stół. Co więcej — wskazywał dokładnie tę godzinę, o której go wzięto. Niestety, od tej pory mimo licznych usiłowań zegarmistrza jest zupełnie bezużyteczny: albo chodzi, jak mu się podoba, albo staje w nieoczekiwanym momencie.

Do końca nocy nic się już nie wydarzyło, niedługo też doczekałem się świtu. Feralny dom jednak opuściłem przy pełnym świetle dziennym, zwiedziwszy uprzednio pusty pokój, w którym czas jakiś byliśmy z moim służącym uwięzieni.

Żywiłem silne przekonanie, które trudno by mi było uzasadnić, iż mechanizm wszystkich zjawisk, że tak się wyrażę, których byłem świadkiem, tkwił właśnie tutaj. I nawet teraz, stojąc na tej podłodze w biały dzień, poczułem dreszcz grozy, jakiej doświadczyłem już w nocy, grozy spotęgowanej wypadkami w moim pokoju.

Nie mogłem wytrzymać w tych ścianach ani chwili dłużej, a kiedy schodziłem na dół, słyszałem znów przed sobą kroki. Otworłem drzwi na ulicę — mógłbym przysiąc, że doszedł mnie stłumiony śmiech.

Dotarłem do domu spodziewając się zastać tam zbiegłego sługę. Tymczasem nie pokazał się wcale. Dopiero po trzech dniach otrzymałem od niego z Liverpoolu list następującej

treści:

Wielce Szanowny Panie!

Pokornie dopraszam się przebaczenia, choć Bóg jeden wie, jak mało na nie zasłużyłem po tym, czego Pan był świadkiem. Jestem pewien, że miną lata, zanim wrócę do siebie, a o przydatności do służby mowy być nie może. Wobec tego jadę do mego szwagra do Melbourne. Statek odpływa jutro.

Być może długa podróż uspokoi moje nerwy. Obecnie jeszcze ciągle drzę i myślę z ulgą o tym, że to już poza mną. Uprzejmie proszę Wielmożnego Pana, aby wszystkie moje rzeczy wraz z należnymi mi poborami przestał mojej matce do Walworth.

List kończyły dodatkowe usprawiedliwienia, dosyć zresztą chaotyczne, i wyjaśnienia dotyczące pełnionych przez niego obowiązków.

Ta nagła ucieczka mogła nasuwać podejrzenie, że już dawniej planował wyjazd do Australii, a wypadki tej nocy potraktował jako pretekst.

Nie odmawiam tym przypuszczeniom słuszności. Po prostu uważam je za dość prawdopodobną interpretację nieprawdopodobnych zjawisk.

Moja teoria pozostała jednak niewzruszona. Wieczorem zajechałem pod nawiedzany dom dorożką, żeby zabrać swe rzeczy i ciało biednego psa.

Nikt mi nie przeszkadzał i poza tym, że, ilekroć wchodziłem czy schodziłem ze schodów, poprzedzały mnie tajemnicze kroki, panował zupełny spokój. Opuściwszy dom, udałem się do pana J... Zwróciłem mu klucze i oświadczyłem, że moja ciekawość jest już całkowicie zaspokojona. Właśnie kiedy zamierzałem opowiedzieć mu pokrótce, czego byłem świadkiem, przerwał mi i bardzo grzecznie dał do zrozumienia, żeby mu więcej nie zawracać głowy tajemnicami, których nie da się rozwiązać.

Postanowiłem w końcu nadmienić o listach i o tym, w jak dziwny znikły sposób. Zapytałem też, czy sądzi, że listy adresowane były do staruszki, która niedawno zmarła, i czy w jej młodości nie zdarzyło się nic, co by usprawiedliwiało podejrzenia nasuwające się pod wpływem ich lektury.

Pan J... wydawał się zaskoczony i po chwili namysłu odparł:

— Wiem bardzo niewiele o tej kobiecie, poza tym, że, jak już panu mówiłem, znana była mojej rodzinie. Chociaż... ożywił pan pewne mgliste wspomnienia... Tak, oczywiście, zbiorę informacje i o wszystkim pana powiadomię. Ale nawet jeśli przyjmiemy za słuszny popularny przesąd, że kto był albo wykonawcą, albo ofiarą zbrodni, po śmierci jako niespokojny duch nawiedza jej miejsce, to przypominam panu, że już na długo przed zgonem staruszki dały się w tym domu słyszeć i widzieć dziwne rzeczy. Uśmiecha się pan? A cóż pan na to powie?

— Powiem tylko tyle, że jeśli dotrzemy do źródła tych tajemnic, znajdziemy tam niewątpliwie żywą ludzką istotę.

— Jak to, więc sądzi pan, że to wszystko oszustwo? W jakim celu byłoby popełniane?

— Bynajmniej nie oszustwo w zwykłym tego słowa znaczeniu. Niech pan sobie jednak spróbuje wyobrazić, że zapadłem w głęboki sen, z którego nie sposób mnie obudzić, i że w tym śnie odpowiadam na pańskie pytania z taką dokładnością, do jakiej na jawie nigdy nie byłbym zdolny. Na przykład mówię, ile ma pan pieniędzy w kieszeni, więcej nawet, odgaduję pańskie myśli. Przyzna pan, że nie musiałyby to być oszustwo; tym mniej siły nadprzyrodzone. Świadczyłyby to tylko o tym, że zupełnie nieświadomie podlegam wpływowi hipnotyzera działającego na mnie z oddali.

— Oczywiście, jeśli założymy, że tak dalece posunięta hipnoza jest możliwa. To znaczy, wnioskuje pan z tego, że hipnotyzer przez swój wpływ na przedmioty martwe był w stanie wywołać tak dziwne zjawiska, których pan i inni byli świadkami.

— Nie. To, co zwykliśmy określać mianem hipnozy, jest za słabe. Ale może istnieć siła

pokrewna, wyższa od tej, siła dawnymi czasy zwana magią. Nie twierdzą, że ma ona władzę nad wszystkimi przedmiotami martwymi, lecz jeśli tak jest — nie byłoby to sprzeczne z naturą, a przeciwnie — stanowiłoby rzadki dar udzielany przez przyrodę tylko osobnikom o pewnych cechach szczególnych, które poprzez praktykę można by rozwinąć.

Znana jest starożytna teoria, w sprawie której nie zajmuję stanowiska, głosząca, że tego rodzaju potęga włada zmarłymi, a raczej pewnymi ich myślami czy wspomnieniami, które ciało przez jakiś czas zachowuje. Zmusza ona nie to, co zwiemy duszą, i co pozostaje absolutnie poza zasięgiem ludzkiej mocy, a widmo, czyli odbicie tego, co najbardziej ziemskie w człowieku, żeby się jawiło naszym zmysłom. W każdym razie nie przypuszczam, by siła ta była nadprzyrodzona.

Pozwoli pan, że zilustruję swoją teorię przytaczając eksperyment, który Paracelsus uważa za nietrudny, a autor „Ciekawostek literatury” cytuje jako wiarygodny.

Kwiat ginie strawiony płomieniem. Bez względu na to, z jakich się składa elementów, nic z niego nie zostaje. Wszystko przepada, sam nie wiesz gdzie. Nie zbierzesz zetlałych składników. Ale za to chemicznie z popiołu wskrzesić można widmo żywego kwiatu.

Podobnie dziać się może z ludzkimi istotami. Po śmierci dusza ulatuje jak aromat kwiatu, którego obraz mimo to możesz wywołać. Tak samo powstała zjawia ludzka, powszechnie i jakżeż niestłusznie mylona z duszą zmarłego, jest tylko widmem jego cielesnej powłoki.

Stąd we wszystkich znanych historiach o duchach i seansach spirytystycznych uderza nas brak tego, co zwiemy duszą, a więc najwyższej, wysublimowanej inteligencji. Tak zwane duchy rzadko przychodzą w jakichś konkretnych celach, prawie nigdy nie mówią, a ich wypowiedzi głębią nigdy nie przewyższają przeciętnych ludzkich możliwości.

Amerykańscy spirytyści opublikowali tomy całe, prozą i wierszem, myśli przekazywanych, jak twierdzą, przez sławnych zmarłych: na przykład Szekspira, Bacona i Bóg wie kogo.

Myśli te nie są ani trochę mądrzejsze od tego, co powiedziałyby żywy człowiek, utalentowany i wykształcony, a już z całą pewnością dużo mniej genialne od tego, co głosili Bacon, Szekspir czy Platon. Są to tylko wyobrażenia przekazywane w ten czy inny sposób (nie stwierdziliśmy jeszcze dokładnie, w jaki) przez jeden ludzki umysł innemu. Bez względu na to czy w elekcie zaczynają spacerować stoły, czy ukazują się diabelskie postacie w magicznym kole, czy też wreszcie mrożą nam w żyłach krew cienie podobne temu, jaki mnie się ukazał — twierdzą stanowczo, że to tylko wyobrażenia przekazywane mi jak po drucie telegraficznym przez jakiś ludzki umysł.

Pewne predyspozycje pozwalają niektórym organizmom czynić cuda chemiczne. Inne organizmy wyposażone są we fluid naturalny — nazwijmy go elektrycznym — i te produkują cuda, powiedzmy, elektryczne. Zjawiska te jednak pozostają w całkowitej sprzeczności z ogólnymi tendencjami naukowymi: są niematerialne, bezcelowe, dziecinne i kapryśne. Nie prowadzą do żadnych wielkich osiągnięć, stąd małe zainteresowanie nimi świata i uczonych, którzy tej dziedziny zupełnie nie kultywują.

W każdym razie jestem najzupełniej przekonany, że odległym promotorem wszystkiego, co słyszałem i widziałem w tamtym domu, był człowiek, i to niewątpliwie nieświadom wyników swego działania, co wnoszę z tego, że podobnie jak trudno o dwa identyczne sny, nie było też dwóch osób, którym by się te same rzeczy objawiły.

Gdyby chodziło tu o zwykłe oszustwo, mechanizm jego z pewnością nie dopuszczałby takiej różnorodności produkowanych efektów. Gdyby z kolei była to siła nadprzyrodzona, działająca z polecenia Wszechmocnego, bezsprzecznie zmierzałaby do jakiegoś konkretnego celu. Te zjawiska nie dają się zaliczyć do żadnej z wymienionych klas. Moim zdaniem, źródłem ich jest jakiś odległy umysł ludzki, a to, co się zjawia, stanowi tylko odbicie jego błędnych, bardzo ruchliwych i różnorodnych, na pół uformowanych myśli. Jednym słowem muszą to być czyjeś sny, wprowadzone w czyn i częściowo ucieleśnione.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że musi to być intelekt niezwykle potężny, zdolny

wprawić materię w ruch, uzbrojony w złą, destruktywną siłę. Mojego psa uśmierciła jakaś moc konkretna, materialna. O ile się orientuję, potrafiłaby i mnie pozbawić życia, gdybym tylko był tak osłabiony strachem jak biedne zwierzę i gdyby mój umysł i duch nie wyposażyły mnie w skuteczną broń — wolę.

— Zabiło panu psa?! To straszne! Rzeczywiście... zastanawiające, że żadne zwierzę nie chce pozostać w tym domu; nawet kot. Ba! Szczura ani myszy nigdy tam nie widziano.

— Zwierzęta instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo zagrażające ich życiu. Ludzie lepiej wyposażeni w środki obrony są mniej wrażliwi. No, ale dość tego. Czy pojął pan moją teorię?

— Owszem, chociaż nie całkowicie. W każdym razie bardziej skłonny jestem przyjąć pańską teorię, nawet z jej wszystkimi — przepraszam za wyrażenie — dziwołagami niż historie o duchach i chochlikach, którymi karmiono nas w dzieciństwie. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. W moim nieszczęsnym domu nadal straszy. Cóż, u licha, mam robić?

— Powiem panu, co ja bym zrobił w tej sytuacji. Jestem wewnętrznie przekonany, że zbiornicą czy też centralą, z której rozchodzą się na cały dom te dziwne fluidy, jest ów mały, nieumeblowany pokój. Radzę panu rozwalić ściany, rozebrać podłogę i w ogóle zlikwidować cały pokój. Dobudowany jest nad małym, tylnym podwórkiem i można by go zburzyć bez szkody dla reszty domu.

— I myśli pan, że gdybym to zrobił...

— Jestem pewien, że to tak, jak by pan przeciął druty telegraficzne. Cóż szkodzi spróbować? Tak jestem o tym przeświadczony, że chętnie pokryję do połowy koszt rozbiórki, o ile tylko pozwoli mi pan poprowadzić roboty.

— Nie, dziękuję; koszt mogę pokryć sam. Co do reszty, powiadomię pana listownie.

Mniej więcej po dziesięciu dniach otrzymałem od pana J... list, w którym donosił, że odwiedził ostatnio dom, że listy, o których mówiłem, znalazł w szufladzie na dawnym miejscu i że przeczytawszy je powziął podobne podejrzenia. Wreszcie pan J... pisał, że przeprowadza wywiad w sprawie kobiety, do której, jak słusznie przypuszczałem, były adresowane.

Okazało się, że trzydzieści sześć lat temu, to znaczy na rok przed otrzymaniem tych listów, posłubiła wbrew woli rodziny pewnego Amerykanina, bardzo podejrzanego osobnika, o którym powszechnie mówiono, że był piratem. Sama pochodziła z przyzwoitej kupieckiej rodziny i przed ślubem pracowała jako guwernantka. Brat owej kobiety, wdowiec, ogólnie uważany za bogacza, miał sześćoletnie dziecko. W miesiąc po jej ślubie znaleziono ciało tego brata w Tamizie, w pobliżu Mostu Londyńskiego. Na szyi widniały ślady obrażeń, nie dość wyraźne jednak, by mogły usprawiedliwić inny wynik obdukcji jak tylko: „śmierć przez utonięcie”. Amerykanin i jego żona zajęli się sierotą; zmarły brat testamentem czynił siostrę prawną opiekunką dziecka, a w razie jego śmierci — swoją spadkobierczynią. Dziecko zmarło w sześć miesięcy później — jak przypuszczano — z powodu zaniedbania i złego traktowania. Sąsiedzi zeznali nawet, że słyszeli nieraz w nocy jego płacz.

Chirurg, który dokonał sekcji zwłok, stwierdził, że zgon nastąpił wskutek całkowitego wyniszczenia organizmu oraz że ciało pokryte było świeżymi siniakami. Podobno pewnej zimowej nocy dziecko usiłowało uciec. Wykradło się na tylne podwórko i najwidoczniej po nieudanych próbach wdrapania się na mur, spadło wyczerpane na kamienie. Rano znaleziono je martwe. Mimo że istniały liczne dowody okrucieństwa, brakło dowodów morderstwa. Ciotka i jej mąż swoje nieludzkie postępowanie pozorowali rzekomym uporem i złośliwością dziecka, które, jak twierdzili, było niedorozwinięte. Tak czy inaczej, po śmierci sieroty ciotka odziedziczyła fortunę brata. Nim upłynął pierwszy rok małżeństwa, Amerykanin nagle opuścił Anglię, dokąd już nigdy nie wrócił. Mówiono, że nabył niewielki stateczek, który się rozbił na Atlantyku w dwa lata później.

Wdowa żyła w dostatku, ale koło fortuny się odwróciło: bank ogłosił niewypłacalność, akcje przepadły, niewielki interes, w który włożyła pieniądze — zbankrutował. Wtedy poszła

na służbę, schodząc stopniowo do roli zwykłej posługaczki. Nigdzie też nie zagrzała miejsca, choć właściwie nic konkretnego nie można jej było zarzucić.

Mimo że uważano ją za trzeźwą, uczciwą, a przede wszystkim cichą w obejściu, jakoś jej się nie wiodło. Tak więc na koniec trafiła do domu pracy, skąd wziął ją pan J... i poruczył pieczę nad domostwem, które kiedyś dzierżawiła.

Pan J... dodał, że spędził samotnie godzinę w pustym pokoju, który radziłem mu zburzyć. Przerazenie jego było tak ogromne, choć nic nie słyszał, ani nie widział, że natychmiast zdecydował się mnie usłuchać.

Najął nawet ludzi i czekał tylko mego sygnału.

Oznaczonego dnia udałem się do nawiedzanego przez duchy domu. Otwarliśmy drzwi ślepego, ponurego pokoju. Najpierw zerwano listwy i podłogę. Pod belkowaniem, zasłanym grubą warstwą śmieci, odkryliśmy tajemne przejście, przez które niewątpliwie przecisnąłby się człowiek. Kłapa zakrywająca otwór przybita była potężnymi gwoździami. Gdy po licznych wysiłkach z naszej strony gwoździe puściły, zesliśmy do położonego niżej pokoju, którego istnienia nikt się nawet nie domyślał. Było tam okno i przewód kominowy, najwyraźniej od dawna zamurowany. Przeszukaliśmy pokój w blasku świec; stały tam jakieś stare, próchniejące meble — trzy krzesła, dębowy taboret i stół — wszystko w stylu sprzed lat osiemdziesięciu. W komódce pod ścianą znaleźliśmy na pół zbutwiałe części staroświeckiej męskiej garderoby, jaka mogła być noszona osiemdziesiąt czy nawet sto lat temu przez osoby wysoko postawione: kosztowne metalowe klamry i guziki, dziś widywane tylko przy dworskich strojach, i piękny krótki miecz. W kamizeli, niegdyś strojnej złotymi koronkami, dziś wyblakłej i zbutwiałej, znaleźliśmy pięć gwinei, parę srebrnych monet i żółtkły bilet wstępu do jakiegoś miejsca rozrywki dawno już przebrzmiałej.

Największe jednak odkrycie stanowił rodzaj żelaznego sejfu, przytwierdzonego do ściany, którego zamek znaleźliśmy dopiero po długich poszukiwaniach.

Skrytka miała trzy półki i dwie małe szufladki. Na półkach stały buteleczki napełnione przezroczystym płynem, zamknięte hermetycznie. Zawierały bezbarwne, lotne substancje, o których nie mogę powiedzieć nic ponad to, że nie były truciznami. W skład ich między innymi wchodził fosfor i amoniak. W skrytce leżały także jakieś dziwne próbówki i mała metalowa pałeczka, z jednej strony zakończona kryształem, a z drugiej bursztynem, jak również magnes o dużej mocy. W jednej z szuflad znaleźliśmy złotą miniaturkę, która mimo starości zachowała niezwykłą żywość barw. Był to portret mężczyzny w średnim wieku, lat około czterdziestu siedmiu. Twarz szczegółna, robiąca wrażenie. Gdybyśmy mogli wyobrazić sobie potężnego węża zamienionego w człowieka, który by w ludzkich rysach zachował cechy gada, więcej by wam to dało niż długie opisy. Płaskie, szerokie czoło, subtelny owal pociągłej twarzy, maskujący silny zarys żuchwy, podłużne, duże, budzące trwogę oczy, zielone jak szmaragdy, a ponadto jakiś okrutny spokój płynący z poczucia ogromnej siły.

Najdziwniejsze było to, że jak tylko zobaczyłem miniaturę, uderzyło mnie zaskakujące podobieństwo do jednego z najrzadszych portretów na świecie — do podobizny człowieka rangą ustępującego jedynie królowi, który w swoim czasie był bardzo głośny.

Historia mówi o nim niewiele albo wcale, wystarczy natomiast przejrzeć korespondencję jego współczesnych, a niemało można znaleźć wzmianek na temat jego dzikiej odwagi, bezwzględnej niemoralności, niespokojnego ducha i zamiłowania do nauk tajemnych.

Człowiek ten zmarł w kwiecie wieku i — jak mówią kroniki — na obczyźnie; w samą porę, by ująć prawu ścigającemu go za zbrodnie, o które był oskarżony i za które czekał go topór katowski.

Po śmierci wszystkie jego podobizny, bardzo zresztą liczne jako znanego mecenasa sztuki, zostały wykupione i zniszczone, najprawdopodobniej przez spadkobierców, którzy radzi byli wymazać jego imię ze swego wspaniałego drzewa genealogicznego.

Posiadał ogromną fortunę, której część, jak fama głosi, przywłaszczył sobie jego fawo-

ryt — astrolog czy też jasnowidz; dość, że w sposób tajemniczy zginęła po jego śmierci.

Jeden z jego portretów uniknął zniszczenia. Widziałem go parę miesięcy temu w domu pewnego zbieracza i wywarł na mnie silne wrażenie — podobnie jak na wszystkich, którzy go oglądali. Niezapomniana twarz, której miniaturę miałem teraz w dłoni. Prawda, że tutaj mężczyzna wydawał się parę lat starszy niż na portrecie i nawet w chwili śmierci. Ale... czy rzeczywiście tylko parę lat?... Niemożliwe — przecież okres działalności tego nieustraszonego człowieka od niewątpliwej daty powstania miniatury dzieli przeszło dwa wieki!

Kiedy tak patrzyłem zadumany, pan J... powiedział:

— Czy to możliwe? Przecież ja znałem tego człowieka?

— Jak to? Gdzie?! — wykrzyknąłem.

— W Indiach. Był zaufanym jednego z radzów i o mały włos nie wciągnął go w rewoltę, w której radza z pewnością straciłby swoje dominia. Człowiek ten był Francuzem. Nazywał się de V...; mądry, odważny, ale samowolny. Nalegaliśmy na jego dymisję i banicję. To na pewno on. Nie ma dwóch takich twarzy. A jednak... ta miniatura ma około stu lat.

Mimo woli odwróciłem podobiznę. Na odwrocie wyryty był pięciokąt, a w nim drabinka, której trzeci stopień stanowiła data 1765. Przyjrzawszy się jeszcze dokładniej, znalazłem sprężynkę; za jej pociągnięciem odskoczyło wieczko. Wewnątrz był napis: „Dla Ciebie, Marianno. Bądź wierna na śmierć i życie...”

Tu następowało nazwisko, które pominę milczeniem, nazwisko mi nieobce. Starzy ludzie w czasach mego dzieciństwa opowiadali o strasznym szarlatanem, który wstrząsnął opinią publiczną Londynu przynajmniej na rok, uciekając z kraju pod zarzutem dokonania dwóch morderstw we własnym domu: na swojej kochance i na rywalu.

Nie wspomniawszy o tym ani słowem panu J..., oddałem mu miniaturę.

O ile otwarcie pierwszej szuflady żelaznego sejfku nie nastęczało najmniejszych trudności, o tyle z drugą było znacznie gorzej. Mimo iż nie zamknięta na klucz, opierała się wszystkim naszym wysiłkom, ustąpiła zaś dopiero podważona dłutem. Wewnątrz znaleźliśmy osobliwy aparat i to w jak najlepszym stanie.

Na cienkim notatniku stało kryształowe naczynie wypełnione przezroczystą cieczą, po której pływało coś w rodzaju kompasu. Igła szybko poruszała się dokoła; zamiast jednak normalnych oznaczeń kompasu, na tarczy widniało siedem dziwnych symboli, przypominających te, jakimi astrologowie oznaczają planety.

Z szuflady, jak się potem okazało, wyłożonej drzewem leszczynowym, dobywał się dosyć szczególny zapach ani zbyt mocny, ani przykry. Cokolwiek było jego źródłem, odor ten miał dziwny wpływ na nasze nerwy. Czuliśmy to wszyscy — silny dreszcz od stóp do głów.

Chcąc jak najszybciej obejrzeć notatnik, zdjąłem naczynie. Wtedy igła kompasu zaczęła wirować z zawrotną szybkością. Coś mną szarpnęło tak silnie, że upuściłem przyrząd na ziemię. Płyn się rozlał, naczynie potłukło, a kompas potoczył w róg pokoju. Jednocześnie ściany zakołysały się, niby rozhuśtane przez jakiegoś olbrzyma.

Dwaj robotnicy z przerażeniem rzucili się do schodów, ale widząc, że się nic więcej nie dzieje, powrócili bez większych sprzeciwów.

Tymczasem otworzyłem oprawny w gładką, czerwoną skórę i opatrzony srebrnym zamknięciem notatnik, zawierający jedną tylko grubą kartkę welinowego papieru. Na kartce, w podwójnej, pięciokątnej ramce wypisane były starą, klasztorną łaciną następujące zdania, które w dosłownym tłumaczeniu brzmią, jak następuje:

„Na wszystko, co jest w tych ścianach, obdarzone czuciem czy nieczułe, żywe czy martwe, zgodnie z ruchami wskazówki działa moja wola. Niech będzie przeklęty ten dom, a mieszkańcy niech nie zazną spokoju”.

Nie znaleźliśmy nic więcej. Pan J... spalił notatnik z jego anatema i kazał zburzyć aż do fundamentów tajemniczą przybudówkę. Następnie sprowadził się tu na miesiąc i stwierdził, że trudno o spokojniejszy, bardziej wygodny dom w całym Londynie. Wkrótce też wynajął go

na korzystnych warunkach, a lokator nigdy się na nic nie skarżył.

Na tym jednak moja historia się nie kończy. W parę dni po przeprowadzce pana J... złożyłem mu wizytę. Właśnie rozmawialiśmy stojąc w otwartym oknie, kiedy przed domem zatrzymał się wóz z meblami, które pan J... prznosił tu z dawnego mieszkania. Usiłowałem go przekonać o słuszności mojej teorii, że zjawiska uważane powszechnie za nadprzyrodzone są li tylko wytworem ludzkiego umysłu, cytując na jej poparcie fakt, iż wykryliśmy i zniszczyli siedlisko złych mocy czy też czarów.

W odpowiedzi pan J... zauważył, że jeśli rzeczywiście istnieje hipnoza czy jakaś inna analogiczna siła, zdolna na odległość wywoływać tak niezwykle efekty, prawdopodobnie nawet po śmierci osoby obdarzonej tymi zdolnościami skutki jej działalności nie giną. Jeżeli więc czar został naprawdę rzucony i zamknięty w czterech ścianach tamtego pokoju przeszło siedemdziesiąt lat temu, najprawdopodobniej jego sprawcy nie ma już wśród żywych.

Kiedy pan J... wymawiał ostatnie słowa, chwyciłem go gwałtownie za rękę. Przyzwolicie ubrany mężczyzna nadszedł właśnie z przeciwległej strony ulicy i zagadnął o coś woźnicę, zwrócony twarzą do naszego okna. Była to niewątpliwie twarz ze znalezionej przez nas miniaturowej, twarz dygnitarza z portretu sprzed trzech wieków.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął pan J... — przecież to de V... Ani o dzień starszy od tego, którego widziałem w młodości na dworze radzy.

Tknieci jedną myślą pośpieszyliśmy na dół. Pierwszy wypadłem na ulicę, ale nieznajomy już odszedł. Zobaczyłem go jednak z odległości paru jardów i za chwilę byłem przy nim. Postanowiłem przemówić, lecz kiedy spojrzałem mu w twarz, stwierdziłem, że głos mnie zawiódł. Te oczy, oczy węża, osadziły mnie w miejscu i sparaliżowały jakimś czarem. Od całej jego postaci biło takie dostojeństwo, duma i wyższość, że nawet najbardziej obytym odebrałyby tupet.

A zresztą... cóż właściwie miałem mu powiedzieć? O co spytać?

Zawstydzony i niezdecydowany pozostałem trochę w tyle, postępując jednak ciągle w pewnej odległości za nieznajomym, który tymczasem skręcił w ulicę, gdzie oczekiwał go powóz ze służącym w liberii. Mężczyzna wsiadł — powóz odjechał, a ja wróciłem do domu.

Pan J... czekał w drzwiach. Zapytaliśmy woźnicę, co mówił nieznajomy.

— Pytał tylko, kto jest teraz właścicielem domu.

Tak się złożyło, że tego samego wieczoru szedłem z przyjacielem do klubu Cosmopolitan. Przybytek ten stoi otworem dla ludzi wszelkich narodowości, zapatrywań i stanowisk. Po prostu idziesz, zamawiasz kawę, palisz cygaro. Zawsze spotkasz kogoś sympatycznego, nierzadko jakąś sławną osobistość.

Nie minęła chwila, a przy sąsiednim stoliku zobaczyłem... człowieka z miniaturowej. Rozmawiał z moim znajomym, którego oznaczę tu literą G... Był bez kapelusza i podobieństwo do miniaturowej tym więcej mnie zaskoczyło. Zauważyłem tylko, gdy rozmawiał, że twarz miał może mniej surową. Czasem nawet gościł na niej uśmiech — powściągliwy jednak i chłodny.

Dostojeństwo w obejściu, które zauważyłem już na ulicy, tu uderzyło mnie jeszcze bardziej. Dostojeństwo tak typowe dla książąt Wschodu, w którym zawiera się najwyższa obojętność obok niezaprzeczalnej, kapryśnej potęgi.

Wkrótce G... pożegnał swego rozmówcę, pozostawiając go nad lekturą jakiegoś naukowego pisma.

Odciągnąłem znajomego na stronę.

— Jak się nazywa i kim jest ten džentelmen?

— Ten? O, to bardzo znaczna osobistość. Spotkałem go w zeszłym roku w jaskiniach Petry. Najznakomitszy orientalista, jakiego znam. Trzymaliśmy się razem. W przygodzie z opryszkami jego zimna krew uratowała nam życie. Potem zaprosił mnie do swojej willi w Damaszku, gdzie spędziłem uroczy dzień wśród kwiecica migdałów i róż — coś wspaniałego!

Mieszkał tam jakiś czas spokojnie jak wschodni basza.

Podejrzewam, że to renegat. Nieprawdopodobnie bogaty dziwak, a oprócz tego wielki hipnotyzer. Na własne oczy widziałem jego ogromny wpływ na przedmioty martwe. Gdybyś na przykład wyjął z kieszeni list i rzucił go w drugi koniec pokoju, na jego rozkaz list przyjdzie do twoich stóp. Będzie się turlał i turlał po podłodze, aż spełni polecenie. Daję ci słowo. Wszystko to prawda. Widziałem nawet, jak panuje nad pogodą. Gromadzi lub rozpędza chmury za pomocą szklanej pałeczki. Ale nie lubi mówić o tych rzeczach przy obcych.

Dopiero co przyjechał do Anglii. Powiada, że nie był tu całe lata. Pozwól, że ci go przedstawię.

— Doskonale. To on jest Anglikiem? Jak się nazywa?

— Bardzo pospolicie. Richards.

— Jak urodzony? Co wiesz o jego rodzinie?

— Właściwie nic. Zresztą, czy to ważne? Na pewno parweniusz, ale bogaty... diabelnie bogaty!

G... poprowadził mnie do nieznanego i dokonał prezentacji. Sposób bycia pana Richardsa bynajmniej nie znamionował wielkiego podróżnika. Podróżnicy naogół odznaczają się dużym temperamentem. Są rozmowni, żywi, pełni inicjatywy. Pan Richards był spokojny, powściągliwy w mowie, a jego zachowanie cechowała osobliwa górnolotność i drobiazgowość dbałość o etykietę, typowa dla ubiegłego wieku.

Zauważyłem też, że jego angielszczyzna była nieco staroświecka, akcent zaś, powiedziałbym, z lekka cudzoziemski. Pan Richards nadmienił jednak, że w ostatnich latach dosyć rzadko posługiwał się ojczystym językiem.

Rozmowa potoczyła się na temat zmian, jakim uległ Londyn od czasu ostatniej wizyty pana Richardsa. Potem zeszła na literaturę, problemy społeczne, polityczne oraz działalność wielkich ludzi. Wszystko to zdawało się nie interesować pana Richardsa. Najwyraźniej nie czytał żadnego ze współczesnych autorów, a o wielu mężach stanu młodszego pokolenia zaledwie słyszał. Raz jeden tylko zaśmiał się, kiedy G... zapytał, czy ma zamiar kandydować w wyborach do parlamentu. Był to śmiech jak gdyby wewnętrzny, pełen sarkazmu, złowrogi śmiech-szyderstwo.

Po chwili G... przyłączył się do znajomych, którzy właśnie weszli na salę, więc powiedziałem spokojnie:

— Widziałem pańską miniaturę, panie Richards, na Oxford Street, w domu, w którym niegdyś pan mieszkał i który najprawdopodobniej sam pan budował, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Przechodził pan tamtędy dziś rano.

Dopiero teraz odważyłem się spojrzeć mu w twarz. Przykuł mój wzrok swymi fascynującymi, węzowymi oczyma. Zupełnie mimo woli, jak gdyby wyciągano ze mnie słowo po słowie, dodałem szeptem:

— Studiowałem kiedyś tajemnice natury i życia. Znałem wybitnych profesorów wiedzy tajemnej. Mam prawo poruszać z panem ten temat. Tu wymieniłem coś w rodzaju hasła.

— Uznaję pańskie prawo. Cóż chce pan wiedzieć?

— Jak dalece przy pewnych temperamentach może sięgać ludzka wola?

— Jak potężna może być ludzka myśl? Proszę tylko pomyśleć, a zanim pan odetchnie, będzie pan w Chinach.

— Zgoda, ale moja myśl nie ma w Chinach żadnego znaczenia.

— Proszę ją tylko wyrazić, a może go nabrać. Niech ją pan sformułuje na piśmie, a prędzej czy później zmieni cały ustrój Chin. Bo czymże jest prawo, jak nie ludzką myślą? Myśl jest nieograniczona. Myśl to potęga, bez względu na jej wartość. Zła myśl może ustanowić złe prawo równie silne, jak dobra ustanawia dobre prawo.

— Tak. To, co pan mówi, potwierdzałoby moją własną teorię, że dzięki niewidzialnym prądom jeden ludzki umysł może przekazywać drugiemu swoje wyobrażenia równie szybko

jak wiadomości przekazywane za pomocą środków widzialnych. Ponieważ myśl jest niezniszczalna i ponieważ wyciska pewne piętno w świecie materialnym, nawet jeśli jej autor już nie żyje, istnieje duże prawdopodobieństwo, że myśli człowieka żyjącego mają moc ożywiania myśli zmarłych, takich, jakimi myśli te były za ich życia. Natomiast aktualne wyobrażenia zmarłych są niedostępne myśli człowieka żyjącego. Nieprawdaż?

— Wstrzymam się z odpowiedzią. Gdybym stwierdził, że myśl jest ograniczona, zatrzymałby się pan na tym. Ale proszę mówić dalej, wszak ma pan jakieś specjalne pytania.

— Intensywne zło połączone z intensywną wolą, zrodzone ze szczególnego temperamentu i wspomagane przez środki będące w granicach ludzkiej wiedzy, może produkować zjawiska przypisywane niegdyś diabelskiej magii. Może nękać ludzkie domostwa zjawami wskrzeszonymi ze złych myśli i złych czynów, jakich dokonano w tych ścianach — niedoskonałe, chaotyczne strzępy przed laty rozegranych tu dramatów. Myśli, splecione ze sobą bezładnie jak w sennym widziadłe, urastają do złudnych postaci i dźwięków wywołujących uczucie grozy nie dlatego, żeby naprawdę pochodziły z zaświatów, ale dlatego, że są widmami czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło, splecionymi w potworne sceny za sprawą śmiertelników obdarzonych potęgą złej siły. Źródłem tej siły, która udziela zjawom ludzkiej mocy, jest materialny mózg ludzki. Dzięki niemu mogą one porażać jak elektrycznością, zabijać tych, których myśl nie jest silniejsza od myśli promotora zjawisk, mogą uśmiercić najsilniejsze nawet zwierzę, otepiałe ze strachu, nie są jednak w stanie zrobić nic człowiekowi, który by mimo cierpiącej skóry zachował hart ducha.

Często w starych opowieściach czytamy o czarnoksiężnikach rozrywanych przez diabły, które sami wywołali. W pewnym sensie, jak wiemy, jest to możliwe: niektóre jednostki ze swych złych skłonności emanują fluidy, te zaś — zwykle spokojne i nieszkodliwe — przybierają nieraz okropne kształty i przeraźliwą siłę. Podobnie błyskawica, drzemiąca gdzieś w chmurach, nagle w sposób naturalny przyjmuje widzialną postać i grozi zniszczeniem.

— Widzę, że uchylił pan rąbka wielkiej tajemnicy — powiedział spokojnie pan Richards — ale z tego, co pan mówi, wynika, że podobną siłą może być obdarzony jedynie człowiek zły, mściwy.

— O ile efekty są takie, o jakich właśnie wspominałem, to nawet bardzo zły i mściwy. Jest on jednak w stanie wyrządzić szkodę tylko temu, do kogo powziął niechęć albo na kogo ma nieograniczony wpływ. Pozwolę sobie przytoczyć tutaj pewien przykład, który, choć nie wykracza poza prawa natury, wydaje się dziwny niby bajanie mnicha.

Niewątpliwie pamięta pan, jak Albertus Magnus, opisawszy wpierym drobiazgowo proces wywoływania duchów, podkreśla, że dar ten posiada niewielu: „człowiek musi się urodzić spirytystą” — to znaczy z pewnymi określonymi dyspozycjami psychicznymi, jak na przykład urodzony poeta.

Rzadko zdarzają się ludzie obdarzeni tą tajemniczą mocą, pochodzącą z intelektu nieskazitelnego, najwyższej klasy. Zwykle umysł ma jakąś słabość, sprzeczność czy anomalie. Z drugiej strony musi posiadać wysoce rozwiniętą zdolność koncentrowania się na jednym przedmiocie — czynną siłę, którą zwiemy wolą. Choć więc intelekt takich ludzi nie jest zupełnie zdrowy, dąży tym intensywniej do osiągnięcia wytkniętych celów. Załóżmy, że naprawdę istnieje człowiek obdarzony, i to w sposób szczególny, tą tajemniczą mocą. Umieścimy go w wyższych sferach społecznych.

Powiedzmy, że człowiek ten to epikurejczyk z usposobienia — a zatem kocha życie, jest absolutnym egotystą. Ma silne namiętności, nie zna poświęcenia, nie żywi szlachetnych uczuć. Pożąda gwałtownie tego, na co ma akurat ochotę — nienawidzi namiętnie wszystkiego, co stoi mu na przeszkodzie. Jest zdolny popełniać najgorsze zbrodnie bez żadnych skrępułów; skłonny raczej przeklinać bliźnich niż żałować za swoje grzechy. Okoliczności, jakie sam stwarza, udostępniają mu rzadką znajomość tajemnic życia, która może służyć jego egoistycznym celom. Jest cierpliwym obserwatorem, gdy jego namiętności tego wymagają, i

dokładnym kalkulatorem nie z umiłowania prawdy, ale tam, gdzie miłość własna zaostrza jego zdolności. Człowiek taki może stać się uczonym.

Należy się więc spodziewać, że podobny osobnik, znając z doświadczenia wpływ swoich sztuczek na innych oraz wypróbowałszy na sobie siłę własnej woli, będzie jak naj-usilniej drogą studiów rozszerzał swą wiedzę. Kocha on życie, boi się śmierci, ma silną wolę przeobrażania. Ale nie może przywrócić sobie młodości, podobnie jak i zatrzymać nadchodzącej śmierci. Nie może też uczynić nieśmiertelnym swego ciała. Mimo to potrafi na niewiarogodnie długi okres odwlec proces starzenia. Rok nie postarzy go więcej niż innych godzina. Intensywna wola, przekuta w system naukowy, czuwa nad zachowaniem jego cielesnej powłoki. On żyje. By jednak nie budzić podejrzeń, od czasu do czasu pozornie umiera.

Zapewniwszy sobie środki finansowe oraz odprawienie ceremonii pogrzebowych, człowiek ten znika i ukazuje się na drugim końcu świata, gdzie żyje sobie spokojnie, przez nikogo nie podejrzewany. Nie zjawia się też na terenach dawnej swej działalności, dopóki żyje ktoś, kto mógłby go poznać. Gdyby miał jakieś uczucia, byłby głęboko nieszczęśliwy, ale nie ma żadnych — chyba tylko dla siebie. Żaden uczciwy człowiek nie uznałby jego długowieczności, żadnemu też — czy byłby dobry, czy zły — nie mógłby powierzyć tej tajemnicy. Człowiek, jakiego opisałem, mógłby istnieć — więcej: człowieka takiego widzę teraz przed sobą. Książę... z dworu... dzielący czas między rozpustę i burdy, alchemię i czary, w ubiegłym stuleciu zaś znany szarlatan i kryminalista, występujący pod nazwiskiem nie tak już szlachetnym i zamieszkujący dom, o który dziś pan pytał. Człowiek ten uciekł przed prawem, które sam pogwałcił. Precz z miast i domostw zdrowych moralnie ludzi! Precz do imperiów, które przeminęły, precz na dzikie pustynie...

W odpowiedzi usłyszałem szept tak bardzo melodyjny, że zdawał się całego mnie przenikać i obezwładniać wbrew mojej woli...

— Szukałem takiego człowieka jak ty przez całe stulecia. Nareszcie znalazłem! Nie rozstaniemy się, póki mi nie powiesz, czego chcesz. W tej chwili — jak nigdy przedtem i już nigdy potem — jest w tobie wizja przeszłości i przyszłości. Wyteż myśl i patrz w przyszłość!

Kiedy to mówił, odniosłem wrażenie, jak bym opuściwszy powłokę cielesną uniósł się na skrzydłach orła ponad budynek, w przestrzeń bezkresną. Byłem poza moim ciałem. Gdzie — nie wiem. W każdym razie gdzieś ponad czasem i ponad ziemią.

I znów usłyszałem melodyjny szept:

— Masz rację, posiadałem wielkie tajemnice dzięki sile woli. To prawda, że wola i wiedza mogą opóźnić proces starzenia, ale śmierć przychodzi nie tylko z wiekiem. Cóż mogę, na przykład, poradzić na wypadki, w których tak często giną młodzi? Nic. Każdy wypadek to przeznaczenie, a wobec przeznaczenia ludzka wola jest bezsilna.

Powiedz, jaki będzie mój koniec: czy miną wieki, nim wreszcie umrę pod brzemieniem lat postępujących powoli, ale nieuchronnie, czy też zginę w jakim wypadku?

— Zginiesz w wypadku.

— Jak dużo mam jeszcze czasu? — zapytał nieco drżący głos.

— Mierzając w kategoriach mego życia — bardzo dużo.

— Czy przed śmiercią powrócę między ludzi, by dzielić ich losy jak dawniej, zanim poznałem wielkie tajemnice? Czy wezmę czynny udział w ich codziennej walce, troskach i ambicjach? A może siła mędrca zdobędzie mi potęgę królów?

— Kiedyś jeszcze odegrasz na ziemi rolę, która poruszy i wprawi w zdumienie cały świat. Ty — istota niezwykła — dla niezwykłych też celów żyjesz całe stulecia. Wszystkie tajemnice, których dotąd strzegłeś, znajdują zastosowanie. Wszystko to, co sprawia, żeś teraz obcy ludzkim generacjom, uczyni cię ich panem. Jak drzewa i trawy porywa i wsysa wir wody, tak pokolenia całe i trony miotać będzie huragan twej woli. Straszliwy niszczycielu, któryś w swym zniszczeniu wbrew własnej woli stał się twórcą!

— Czy chwila ta jest równie odległa?

— Bardzo odległa, ale gdy nadejdzie — koniec twój będzie bliski.

— Jak to się stanie?

— Spójrz w cztery strony świata. Na Północy, przed którą instynkt twój cię ostrzega, gdzie nie powstała jeszcze twoja noga — pochwyci cię widmo. To będzie śmierć. Widzę statek — coś na nim straszy, coś go ściga. Statek płynie naprzód. Za nim sunie flotylla zbłąkanych okrętów. Statek wpływa w krainę lodów, pod niebem purpurowym od meteorów. Dwa księżyce wiszą nieruchomo nad lodowymi rafami. Widzę, jak statek utknął w białym wąwozie lodowych skał. Jego pokład zasłany jest trupami — sztywne, sine ciała pokryte zieloną pleśnią. Jeden tylko człowiek pozostał przy życiu — to ty! Ale lata, choć tak wolno płynęły, wywarły na tobie piętno. Na twarzy widać zapowiedź starości — wola osłabła w komórkach mózgu. Lecz ta wola, choć nie tak już silna, przewyższa, wszystko, do czego człowiek był dotąd zdolny. Dzięki niej, nękanym głodem utrzymujesz się przy życiu. Natura jednak odmawia ci już posłuszeństwa w tej krainie śmierci. Niebo jest jak z ołowiu, powietrze ściska żelaznymi kleszczami, a lód wrzyna się w kadłub statku. Słyszysz, jak statek trzeszczy i jęczy? Jeszcze chwila, a lód wchłonie go jak bursztyn żdźbło trawy. Nagle wyłania się postać ludzka — jeszcze żywa; opuszcza statek z jego trupami i wznosi się na sam szczyt lodowej skały — dwa księżyce patrzą z góry na ludzką sylwetkę. Ten człowiek to ty. Ogarnia cię strach — strach zniszczył twą wolę.

Widzę, jak na lodowe urwisko wspinają się dwa szare kształty — niedźwiedzie Północy wyczuły ofiarę. Niezdarnie podchodzą coraz bliżej i bliżej... przewalają się z boku na bok. Każda chwila tego dnia wyda ci się dłuższa niż wieki, które przeżyłeś. Pamiętaj, że po śmierci te chwile składają się na błogosławieństwo lub piekło wieczności.

— Szsza — wyszeptał głos. — Ale ten dzień, jak mówiłeś, jest jeszcze daleki, bardzo daleki, prawda? Wracam do moich drzew migdałowych i róż Damaszku... Śpij!

Pokój zakołysał mi się przed oczyma. Straciłem świadomość. Gdy się ocknąłem, G... trzymał mą rękę i uśmiechał się do mnie.

— Ty, który tyle mówiłeś o swej odporności na hipnozę, uległeś, jak widzę, memu przyjacielowi Richardsowi.

— Gdzie on jest?

— Wyszedł, gdy zapadłeś w trans. Na odchodnym szepnął mi tylko: „Twój przyjaciel nie obudzi się przed upływem godziny”.

Jak mogłem, najspokojniej spytałem, gdzie mieszka pan Richards.

— W hotelu „Trafalgar” — odparł.

— Chodź ze mną — poprosiłem. — Odwiedzimy go; mam mu coś do powiedzenia.

W hotelu powiedziano mi, że pan Richards wrócił ze dwadzieścia minut temu, zapłacił rachunek i polecił swojemu służącemu, Grekowi, by spakowawszy bagaż udał się na Maltę parowcem opuszczającym nazajutrz Southampton. O sobie powiedział pan Richards tylko tyle, że musi złożyć parę wizyt w okolicach Londynu i że nie jest pewien, czy zdąży na ten parowiec. Gdyby się spóźnił, pojedzie następnym.

Portier spytał mnie o nazwisko, po czym wręczył mi kartkę zostawioną przez pana Richardsa na wypadek, gdybym przyszedł.

List brzmiał, jak następuje:

Chciałem, by odkrył pan przede mną swoje myśli. Usłuchał mnie pan. Roztoczyłem więc nad panem swoją władzę. Przez trzy miesiące, począwszy od dziś, nie wolno panu wspomnieć o tym, co zaszło między nami. Nie wolno też pokazać tego listu pańskiemu przyjacielowi. Przez trzy miesiące musi pan zachowywać bezwzględne milczenie we wszystkim, co mnie dotyczy. Gdyby pan wątpił w moc zakazu, proszę spróbować go złamać. Przy końcu trzeciego miesiąca czar zostanie zdjęty. Poza tym oszczędzę pana. Odwiedzę pański grób dokładnie w rok i dzień po pogrzebie.

Tak kończy się dziwna historia, o której autentyczności nie będę nikogo przekonywał. Spisałem ją wiernie w trzy miesiące po otrzymaniu powyższego listu. Nie mogłem tego zrobić wcześniej, podobnie jak mimo jego usilnych nalegań nie mogłem pokazać G... kartki, którą czytałem pod jego bokiem przy świetle gazowej lampy.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

NATHANIEL HAWTHORNE

Nathaniel Hawthorne (1804—1864) urodził się i znaczną część życia spędził w porcie Salem w Nowej Anglii. Purytańskie otoczenie nie pozostało bez wpływu na jego twórczość, którą cechuje zainteresowanie problemami moralnymi, głęboki pesymizm oraz skłonność do mistycyzmu i alegorii. Uznanie zdobył dwiema seriami „Dwukroć opowiedzianych historii” już w latach 1837 i 1842, co nie przyniosło mu jednak pieniędzy, tak że do końca życia był zmuszony wykonywać dorywcze prace dziennikarskie bądź przyjmować posady takie, jak urzędnika celnego czy nadzorcy portowego. Pozycję jednego z największych pisarzy amerykańskiego romantyzmu zapewniły mu powieści „Szkarłatna litera” (1850) i „Dom o siedmiu szczytach” (1851). „Córka Rappacciniego”, wyjęta z tomu „Mchy ze starego probostwa” (1846), uważana jest za jedno z najznakomitszych opowiadań Hawthorne’a.

CÓRKA RAPPACCINIEGO

Bardzo już dawno temu z południowych okolic Włoch przybył na studia uniwersyteckie do Padwy młody człowiek imieniem Giovanni Guasconti. Mając w kieszeni skąpo złotych dukatów, zamieszkał w wysokiej, ponurej komnacie starego budynku, który wyglądał jak pałac włoskiego wielmoży i który istotnie miał nad wejściem herb dawno już wygasłego rodu. Młody przybysz, znający doskonale największe poetyckie dzieło swego kraju, przypomniał sobie, że jednego z przedstawicieli owego rodu, być może dawnego właściciela tego dworzyszczca, Dante skazał na wiekiwie męki w swym Inferno. Takie skojarzenie i reminiscencje, spotęgowane przez naturalną u młodzieńca wyrwanego po raz pierwszy z rodzinnego kręgu skłonność do ulegania przygnębieniu, sprawiły, że Giovanni rozglądając się po zaniedbanym i źle umeblowanym pokoju, westchnął ciężko.

— Święta Dziewico, signor! — zawołała stara dama Lisabetta, która, ujęta niezwykłą pięknnością młodzieńca, próbowała w dobroci swojej nadać komnacie wygląd zamieszkały. — Czyż takie westchnienie winno wydzierać się z piersi młodego człowieka? Wydał się panu ponurym ten stary dom?

— Czy ogród należy do tego domu? — zapytał Giovanni.

— Niech Bóg broni, signor! Chyba że rosłyby w nim piękniejsze rośliny, niż te co rosną teraz — odparła stara Lisabetta. — Nie, ogród ten uprawia własnymi rękami signor Giacomo Rappaccini, o którym, zapewniam pana, słyszano aż w Neapolu. Mówią, że z kwiatów tych robi wyciągi, lekarstwa potężne jak czary. Często można oglądać doktora przy pracy, a zdarza się czasami, że również i signora jego córka zbiera dziwne kwiaty, które rosną w tym ogrodzie.

Staruszka zrobiła już, co było w jej mocy, aby poprawić wygląd pokoju i poleciwszy młodzieńca opiece świętych, oddaliła się.

Giovanni nie znalazł lepszego zajęcia, jak spoglądanie na ogród rozciągający się pod oknami. Widok ten nasunął mu myśl, że jest to jeden z ogrodów botanicznych, które w Padwie pojawiły się wcześniej niż gdziekolwiek we Włoszech czy też w innych krajach. Albo mogło to być kiedyś miejsce odpoczynku zamożnej rodziny, gdyż w środku ogrodu znajdo-

wały się ruiny marmurowej fontanny, rzeźbionej z wielkim artyzmem, ale tak straszliwie potrzaskanej, że w chaosie pozostałych fragmentów trudno się było dopatrzeć pierwotnego deseni. Jednakże woda nadal tryskała z fontanny, błyszcząc w promieniach słońca tak wesoło jak dawniej. Ciche jej bulgotanie dobiegło do okna i młodzieńcowi zdało się, że fontanna jest nieśmiertelnym duchem, który nieustannie śpiewa swą pieśń, nie zwracając uwagi na dokonujące się wokół niego zmiany; jedno stulecie zakłęto go w marmurową postać, drugie rzuciło po ziemi tę nietrwałą dekorację. Nad sadzawką, do której spadała woda, rosły różnorodne rośliny, potrzebujące zapewne obfitego dopływu wilgoci, aby wykarmić swe kolosalne liście, a niekiedy i wspaniałe kwiaty. Zwłaszcza jeden krzew, osadzony w marmurowej donicy pośrodku sadzawki, obrodził bogactwem purpurowego kwiecia, którego każdy płatek miał żywość barwy i lśnienie drogich kamieni, a wszystkie razem płonęły takim blaskiem, że starczyłoby go — pomyśleć by można — na oświetlenie całego ogrodu, gdyby zbrakło słońca. Każdy kawałek ziemi porastały rośliny i zioła i widać było, że nawet te, które nie odznaczały się pięknem, pielęgnowano bardzo starannie, jak gdyby każde z nich posiadało sobie właściwe zalety, znane dobrze uczonemu hodowcy. Niektóre z nich umieszczono w urnach, bogato zdobionych starymi płaskorzeźbami, inne zaś w zwyczajnych donicach ogrodowych; jeszcze inne pełzły po ziemi niczym węże, albo pięły się w górę za pomocą wszelkich dostępnych sobie środków. Jedna roślinka oplotła się wokół statui Vertumnusa i osłoniła go całkowicie draperią zwisającego listowia tak pięknie, że mogłaby służyć rzeźbiarzowi za model.

Kiedy Giovanni stał przy oknie, posłyszał szelest za zasłoną z liści i zdał sobie sprawę, że ktoś pracuje w ogrodzie. W końcu postać wynurzyła się zza drzew i okazało się, że nie jest to zwykły robotnik, ale wysoki, wychudzony człowiek o żółtawej, niezdrowej cerze, ubrany w czarną togę uczonego. Minał południe swego życia, włosy miał siwe, siwą rzadką brodę, z twarzy jego przebijała w szczególny sposób inteligencja i kultura, lecz nigdy, nawet w młodzieńczych latach twarz ta nie mogła wyrażać wiele uczucia.

Z najwyższym skupieniem ogrodnik-uczony badał każdy krzak rosnący w szpalerze; zdawał się zaglądać aż w głąb jego natury, czynić obserwacje dotyczące jego siły twórczej, odkrywać, dlaczego jeden liść urasta w kształt taki, a drugi w odmienny i dlaczego te kwiaty różnią się od tamtych barwą i wonią. A jednak mimo wielkiego zrozumienia w jego podejściu do tych okazów świata roślinnego nie było nawet cienia przyjaźni. Wprost przeciwnie — unikał bezpośredniego zetknięcia czy też wdychania z bliska ich woni, co czyniło jak najbardziej przykre wrażenie na Giovannim, gdyż człowiek ów zachowywał się tak, jak gdyby otaczały go złowrogie moce w rodzaju dzikich zwierząt, jadowitych węży, lub zgoła złych duchów, które zadałyby mu jakąś straszliwą śmierć, gdyby im pozwolić na chwilę swobody. Młodzieńca ogarnął dziwny lęk, gdy dostrzegł to poczucie niebezpieczeństwa u człowieka, który oddawał się uprawie ogrodu, a więc zarówno radości jak i zajęciu naszych pierwszych przodków przed ich upadkiem. Czy ten ogród zatem, jest Edenem współczesnego świata? A człowiek tak wyraźnie widzący zło w tym, co wzrasta dzięki pracy jego rąk — czy to Adam? Nieufny ogrodnik, obrywając zeschnięte liście lub przecinając gałęzie nazbyt bujnie rozwiniętych krzaków, ochraniał swe ręce parą grubych rękawiczek. Nie była to jednakże jedyna jego zbroja. Kiedy, wędrując przez ogród, zbliżał się do wspaniałej rośliny zwieszającej swe purpurowe klejnoty koło marmurowej fontanny, zasłaniał usta i nozdrza rodzajem maski, jak gdyby całe piękno tej rośliny służyło jedynie temu, by kryć potężniejsze od niego zło. Ale znajdując, że praca jego jest mimo to zbyt niebezpieczna, cofnął się, zdjął maskę i zawołał słabym głosem, jak gdyby cierpiał na jakąś chorobę:

— Beatrycze! Beatrycze!

— Jestem, mój ojciec! Czego ci trzeba? — odezwał się z okna naprzeciw domu głos młodej dziewczyny, głos tak gorący jak podzwrotnikowe słońce, a dźwięki jego nie wiadomo czemu skojarzyły się w wyobraźni Giovanniego z głębokimi tonami purpury i szkarłatu, z rozkoszną wonią mocnych perfum. — Czy jesteś, ojciec, w ogrodzie?

— Tak, Beatrycze — odpowiedział ogrodnik. — I potrzebuję twojej pomocy.

Spod rzeźbionego portalu wynurzyła się wkrótce postać młodej dziewczyny, przystrojona z taką wytwornością i smakiem jak najwspanialszy z kwiatów, piękna jak poranek, z rumieńcem na twarzy tak żywym, że ton jeden więcej, a byłby już nazbyt żywy. Tryskało z niej życie, zdrowie i energia, ale bujność wszystkich tych przymiotów tłumił, wiązał jak gdyby i trzymał mocno w swym objęciu jej dziewiczy wianek.

Widocznie jednak wyobraźnia Giovanniego stała się jakaś chorobliwa, gdy spoglądał w ogród, gdyż piękna nieznajoma uczyniła na nim takie wrażenie, jak gdyby miał przed sobą jeszcze jeden kwiat — ludzką siostrę tych roślin, tak piękną jak one... piękniejszą, wspanialszą niż którakolwiek z nich... a której przecie, podobnie jak tamtych, nie można dotykać bez rękawiczek, do której nie można zbliżyć się bez maski. Gdy Beatrycze szła ścieżką ogrodową, zauważył, że wdychała woń i dotykała tych kwiatów, których jej ojciec jak najskwapliwiej unikał.

— Patrz, Beatrycze — powiedział — ile usług oddać trzeba naszemu największemu skarbowi. A przecież ja mógłbym zapłacić życiem... niewiele już go jest we mnie co prawda... za podejście do niego tak blisko, jak wymagają tego okoliczności. Przeto roślina ta, sądzę, powinna być powierzona twojej wyłącznie opiece.

— A ja się chętnie tego podejmę — dał się znów słyszeć dźwięczny głos młodej kobiety, która pochylała się nad wspaniałą rośliną otwierając ramiona, jak gdyby chciała ją wziąć w objęcia. — Tak, moja siostrze, moja wspaniała, zadaniem Beatrycze będzie opiekować się tobą i służyć ci, a ty nagrodzisz ją pocałunkiem i wonnym tchnieniem, które dla niej jest tchnieniem życia!

Potem, z taką samą czułością, jaką wyrażały jej niezwykle słowa, zajęła się pielęgnacją kwiatu, a Giovanni w oknie przecierał oczy i wcale nie był pewien, czy to dziewczyna krząta się koło ulubionej rośliny, czy też jedna siostra oddaje drugiej siostrze z serca płynące usługi. Wkrótce zakończyła się ta scena. Snadź doktor Rappaccini wykonał swe prace w ogrodzie lub też baczne jego oko dostrzegło obcą twarz — dość, że wziął córkę pod ramię i odszedł. Noc się już zbliżała, ciężkie opary unosiły się znad kwiatów i skradały ku otwartemu oknu. Giovanni zasunął firankę, położył się i śnił o wspaniałym kwiecie i pięknej dziewczynie. Kwiat i dziewczyna były czymś różnym, a jednak tym samym, czymś, co w obu postaciach przejmowało dziwnym lękiem.

Ale światło poranka wywiera pewien wpływ na ludzi pomagając sprostować wszelkie błędy wyobraźni, a nawet błędne sądy, jakie mogliśmy powziąć o zachodzie słońca lub wśród cieni nocy czy też w jeszcze bardziej niezdrowej poświacie księżyca. Gdy Giovanni się zbudził, pierwszym jego odruchem było otwarcie okna i spojrzenie na ogród, który w jego snach tyle rodził tajemnic.

Był zdziwiony i trochę zawstydzony, widząc jak realną, a nawet powszednią rzeczą stał się ten ogród w świetle pierwszych promieni słońca, bo choć złościły one krople rosy wiszące na liściach i kwiatach i nadawały świeże piękno każdemu z tych rzadkich okazji, przecie sprowadzały to wszystko do rzędu codziennych zjawisk. Młodzieniec cieszył się, że będąc w samym sercu murów miasta, posiadał przywilej oglądania z wysoka tak uroczego zakątka o wspaniałej roślinności. Powiedział sobie, że stanie się to symboliczną rozmową, która pozwoli mu trwać w łączności z naturą. Co prawda, nie było widać ani schorowanego, wyniszczonego przez własne myśli doktora Giacomo Rappaccini, ani jego pięknej córki, tak że Giovanni nie mógł rozstrzygnąć, co z przypisywanych im obojgu osobliwości odpowiada cechom, które rzeczywiście posiadali, a co jest tworem jego cuda działającej wyobraźni. Ale skłonny był patrzeć na całą tę sprawę z jak najbardziej racjonalnego punktu widzenia.

Złożył tego dnia wizytę signorowi Pietro Baglioni, profesorowi medycyny na uniwersytecie, lekarzowi wielkiej sławy, do którego dano mu list polecający. Profesor był starszym człowiekiem, najwidoczniej wesołym z natury, niemal jowialnym. Zatrzymał młodzieńca na

obiad i wielce mu uprzyjemniał czas — zwłaszcza gdy go rozgrzało parę flaszek tokańskiego wina — żywą i swobodną rozmową.

Giovanni rozumiejąc, że ludzie nauki, mieszkańcy jednego miasta, muszą być ze sobą w bliskich stosunkach, skorzystał z okazji i wspomniął o doktorze Rappaccinim. Jednakże profesor nie odpowiedział z taką serdecznością, jak przewidywał młodzieniec.

— Nie wypadaloby — rzekł profesor Pietro Baglioni w odpowiedzi na pytanie Giovanniego — nauczycielowi boskiej sztuki medycyny nie udzielić słusznej i rozważnej pochwały lekarzowi tak ogromnej wiedzy jak Rappaccini. Ale z drugiej strony nie zdołałbym się wytłumaczyć przed swym sumieniem, gdybym pozwolił, by młodzieniec tak zacny jak pan, signor Giovanni, syn mojego starego przyjaciela, wytworzył sobie błędną opinię o człowieku, od którego może w przyszłości zależeć twe życie lub śmierć. Prawda jest taka: nasz czcigodny doktor Rappaccini posiada więcej wiedzy niż jakikolwiek inny z przedstawicieli naszego zawodu, z jednym zapewne wyjątkiem w Padwie, a nawet w całej Italii. Ale istnieją w stosunku do niego pewne zarzuty natury zawodowej.

— A jakież one są? — zapytał młody człowiek.

— Czy mój przyjaciel Giovanni cierpi na jakąś chorobę ciała lub serca, że tak dopytuje o lekarzy? — rzekł profesor z uśmiechem. — Co zaś się tyczy Rappacciniego, to mówią o nim... i ja, który znam go dobrze, zaręczam, że to prawda... że nieskończenie więcej dba o naukę niż o człowieka. Jego pacjenci interesują go tylko jako przedmioty jakiegoś nowego eksperymentu. Poświęciłby życie ludzkie, własne razem z życiem innych i nawet życie najdroższej sobie istoty, aby dorzucić choćby ziarno wielkości ziarnka gorczycy do ogromnego stosu nagromadzonej przez siebie wiedzy.

— Wydaje mi się, że jest on strasznym człowiekiem, doprawdy — zrobił uwagę Guasconti, przypominając sobie chłodny, czysto intelektualny wyraz twarzy Rappacciniego. — A jednak czcigodny profesorze, czyż nie jest to szlachetny duch? Niewiele wszak ludzi zdolnych jest do tak wzniosłego umiłowania wiedzy!

— Boże, broń nas przed nimi — odpowiedział profesor trochę poirytowany — przed tymi przynajmniej, którzy nie wyznają zdrowszych poglądów na sztukę leczenia niż poglądy Rappacciniego. Jego teoria głosi, że skuteczne działanie medycyny opiera się wyłącznie na substancjach, które nazywamy truciznami roślinnymi. Sam hoduje te rośliny, a nawet mówią, że wyprodukował nowe odmiany trucizn i to stokroć szkodliwsze niż te, którymi natura bez pomocy tego uczonego męża zdołałaby kiedykolwiek dręczyć świat. Nie da się zaprzeczyć, że signor doktor mniej wyrządza krzywd tymi niebezpiecznymi substancjami, niż można by się obawiać. Trzeba nawet przyznać, że zdarzyło się parokrotnie, iż dokonał cudownych wyleczeń albo przynajmniej takie wywołał wrażenie. Ale jeżeli mam powiedzieć panu, signor Giovanni, jakie jest moje zdanie, niewiele mu sławy przysporzą takie sukcesy, ponieważ najprawdopodobniej są to dzieła przypadku — za to spada na niego całkowita odpowiedzialność za niepowodzenia, które można słusznie uważać za jego własne dzieło.

Młodzieniec przyjąłby zdanie Baglioniego z wieloma zastrzeżeniami, gdyby wiedział, że między profesorem a doktorem Rappaccinim toczyła się już od dawna walka na polu zawodowym, w której, jak ogólnie uważano, doktor Rappaccini zdobył przewagę. Jeżeli czytelnik chciałby sam to osądzić, kierujemy go do drukowanych gotykiem i przechowywanych w wydziale medycznym w Padwie rozpraw każdej ze stron.

— Nie wiem, najuczęszszy z profesorów — odparł Giovanni, pomyślawszy chwilę o tym, co powiedziano mu o tak całkowicie absorbującym Rappacciniego umiłowaniu wiedzy — nie wiem, jak bardzo ten lekarz kochać może swą sztukę, ale niewątpliwie jest coś, co kocha jeszcze bardziej. Rappaccini ma córkę.

— Aha! — zawołał ze śmiechem profesor. — Wydał się teraz sekret naszego przyjaciela Giovanniego. Słyszałeś o jego córce, za którą szaleją wszyscy młodzieńcy w Padwie, chociaż paru zaledwie spotkał ten szczęśliwy traf, że ją widzieli. Niewiele wiem o signorze

Beatrycze z wyjątkiem tego, że ponoć Rappaccini wtajemniczył ją w swą wiedzę, i że choć jest młoda i słynie z piękności, posiada już kwalifikacje na profesorską katedrę. Być może, ojciec przeznaczył jej moją katedrę! Są jeszcze inne nedorzeczne plotki, których nie warto powtarzać, ani słuchać. A teraz signor Giovanni, wychył kielich lacrimy!

Guasconti wracał do domu nieco rozgrzany winem, wskutek czego w głowie kłębiły mu się najdziwniejsze fantazje na temat doktora Rappacciniego i pięknej Beatrycze. Po drodze kupił bukiet świeżych kwiatów.

Przyszedłszy do swego pokoju, usiadł koło okna, w cieniu grubego muru, tak że mógł spoglądać w ogród bez obawy, że zostanie dostrzeżony.

W ogrodzie była pustka. Dziwne rośliny wygrzewały się w słońcu, od czasu do czasu kiwały na siebie, jak gdyby wyrażając sobie sympatię i uczucia rodzinne. Pośrodku, koło zburzonej fontanny, rósł wspaniały krzak, obsypany purpurowymi klejnotami. Jarzyły się w słońcu i migotały w głębiach sadzawki, której woda mieniała się czerwienią kąpiących się w niej, błyskotliwych refleksów. Początkowo, jak już powiedzieliśmy, ogród był pusty. Jednakże wkrótce — tak jak z nadzieją i lękiem oczekiwał Giovanni — pod starożytnym, rzeźbionym portalem pojawiła się jakaś postać i szła między rzędami roślin, wdychając ich różnorodne wonie, jak by była jedną z bajkowych stworów starożytności, które karmiły się słodkimi zapachami. Widząc ponownie Beatrycze, młodzieniec doznał głębokiego wstrząsu, tak bardzo jej piękność przewyższała jego wspomnienie o niej. Była to piękność tak żywa i promienna, że wprost jarzyła się w słonecznym blasku, i jak szeptał do siebie Giovanni, oświetlała ciemniejsze miejsca na ogrodowej ścieżce. Dokładniej niż poprzednio widział jej twarz; uderzył go wyraz prostoty i słodyczy — cech, których jej w myśli nie przypisywał. Kazały mu one zapytywać na nowo, kim jest ta istota. I tym razem dostrzegł, lub wyobraził sobie, że dostrzega podobieństwo między piękną dziewczyną a wspaniałym krzewem, zwieszającym nad fontanną swe kwiaty-klejnoty. Wydawało mu się, że Beatrycze pozwala na fantastyczny kaprys i podkreśla to podobieństwo zarówno krojem swej sukni jak i doborem kolorów.

Zbliżywszy się do krzaka rozpostarła ramiona jak gdyby w namiętym uniesieniu i objęła jego gałęzie w mocnym uścisku — tak mocnym, że liściaste łono krzewu zasłoniło jej oblicze, a kwiaty wplotły się między jej lśniące loki.

— Tchnij na mnie swym oddechem, siostrze! — wykrzyknęła Beatrycze — bo omdlewam w tym pospolitym powietrzu. I daj mi ten kwiat, który, jak mogę, najdelikatniej obrywam z gałęzi i kładę na me serce.

Mówiąc te słowa, piękna córka Rappacciniego zerwała jeden z najwspanialszych kwiatów krzewu i miała go sobie właśnie przypiąć do stanika, gdy — jeśli wino nie zmaciło w głowie Giovanniemu — zaszło osobliwe zdarzenie. U stóp Beatrycze pełzł mały, pomarańczowy gad z rodziny jaszczurek lub kameleonów. Zdawało się Giovanniemu — chociaż z takiej odległości nie mógł przecie dostrzec podobnego drobiazgu — zdawało mu się jednak, że parę kropel soku ze złamanej łodyżki upadło na głowę owej jaszczurki. Przez chwilę gad rzucał się gwałtownie, a potem leżał nieruchomo w słońcu. Beatrycze spostrzegła ten dziwny wypadek i przeżegnała się smutno, ale bez zdziwienia. Nie zawahała się jednakże przypiąć sobie zdradzieckiego kwiatu do stanika. Czerwienił się tam, lśnił niemal blaskiem drogiego kamienia, zdobiąc suknię młodej dziewczyny, tak jak nic innego w świecie nie byłoby zdolne jej przystroić.

Giovanni to wychylał się z cienia wnęki okiennej, to znów cofał gwałtownie; coś szeptał do siebie i drżał.

— Sen to czy jawa? Czy jestem przy zdrowych zmysłach? — mówił. — Cóż to za istota? Czy mam ją zwać piękną, czy też niewypowiedzianie straszną?

Beatrycze błędziła po ogrodzie zbliżając się ku oknu Giovanniego, tak że musiał wychylić głowę z ukrycia, by zaspokoić głęboką, niemal bolesną ciekawość, jaką w nim budziła. W tym momencie piękny owad przyfrunął zza muru ogrodu. Prawdopodobnie latał ponad

miastem, ale nie znalazł kwiatów ni zieleni w tej starożytnej siedzibie człowieka, póki aromaty krzewów doktora Rappacciniego nie przywiodły go tu z daleka. Uskrzydłona jasność nie siadła jednak na kwiatkach, lecz jakby przyciągana przez Beatrycze, trzepocząc skrzydłami, zawisała nad jej głową. No ale teraz już niewątpliwie zwiodył Giovanni oczy. Bez względu na to, jak było naprawdę, wydało mu się, że gdy Beatrycze patrzyła na owada z dziecinną radością, owad osłabł i padł u jej stóp... z pokurczonymi skrzydełkami... martwy... i to bez żadnego widocznego powodu, jak by pod tchnieniem jej oddechu. I znowu Beatrycze przeżegnała się i westchnęła ciężko, schylając się nad nieżywym owadem.

Nagły ruch Giovanniego przyciągnął jej spojrzenie ku oknu. Ujrzała piękną głowę młodzieńca, głowę Greka raczej niż Włocha z ładnymi, regularnymi rysami i lśnieniem złota w lokach, która spoglądała na nią z góry niczym istota szybująca w powietrzu.

Zaledwie zdając sobie sprawę z tego, co czyni, Giovanni rzucił z okna bukiet, który dotąd trzymał w ręku.

— Signora — rzekł — to są czyste, zdrowe kwiaty. Weź je na pamiątkę od Giovanniego Guasconti!

— Dziękuję, signor — odpowiedziała Beatrycze swym dźwięcznym głosem, płynącym ku niemu jak tony muzyki i z radosnym wyrazem twarzy na wpół dziecinnym, na wpół kobiecym. — Przyjmuję pana dar i chętnie zrewanżowałabym się tym cennym, purpurowym kwiatem, ale jeśli rzucę go w powietrze, nie doleci do pana. Zatem signor Guasconti zadowolę się moim podziękowaniem.

Podniosła bukiet z ziemi, a potem jak gdyby zawstydzona tym, że przełamała swą panięńską nieśmiałość, by odpowiedzieć na pozdrowienie nieznanego, poszła szybko ku domowi. Ale, choć nastąpiło to tak bardzo prędko, wydało się Giovanniemu, że w momencie gdy już miała zniknąć pod rzeźbionym portalem, piękny bukiet zaczynał już więdnąć w jej objęciu. Była to bezpodstawną myśl; niepodobna przecie na tak wielką odległość odróżnić kwiat zwędły od świeżego.

Przez wiele dni po tym wydarzeniu młodzieniec nie zbliżał się do okna nad ogrodem doktora Rappacciniego, jak gdyby coś strasznego, coś potwornego porazić mogło jego oczy, jeśliby przypadkiem tam spojrział. Czuł, że nawiązując rozmowę z Beatrycze, oddał się w pewnym stopniu pod wpływ niezrozumiałej potęgi. Najmądrzejszą drogą, jaką mógł obrać, jeśliby jego serce znalazło się w istotnym niebezpieczeństwie, było natychmiastowe wyprawienie się z mieszkania i wyjazd z Padwy; drugą zaś z kolei — przyzwyczajenie się, jak można najbardziej, do codziennego widoku Beatrycze, tak by stopniowo zmałało to do rzędu powszednich, zwykłych przeżyć. Najgorsze ze wszystkiego byłoby, gdyby Giovanni unikając jej widoku, pozostawał w pobliżu tej niezwyklej istoty. Ta bliskość i możliwość rozmowy nadawałaby posmaku realności niesfornym koncepcjom i mrzonkom, jakie nieustannie tworzyła jego imaginacja. Giovanni nie odznaczał się głębią uczuć — a może tylko głębi tych nic jeszcze nie poruszyło — ale posiadał żywą fantazję i gorący, południowy temperament, zdolny każdej chwili do wielkich uniesień.

Czy Beatrycze posiadała, czy też nie posiadała tych strasznych cech: tchnącego śmiercią oddechu, pokrewieństwa z owymi tak pięknymi i trującymi kwiatami, o czym świadczyć by mogły oglądane przez Giovanniego zdarzenia, to w każdym razie w jego organizm tchnęła okrutną truciznę. Nie była to miłość, choć wspaniale piękno dziewczyny doprowadzało go do szaleństwa, nie była to zgroza — nawet wtedy, gdy wyobrażał sobie, że duch jej przesycony jest tym samym jadem, który zdawał się przenikać jej ciało. Był to jakiś dziki płód miłości i zgrozy zarazem, który płonął tak jak jedno i drżał jak drugie. Giovanni nie wiedział, czego mógł się obawiać, tym mniej — czego mógł się spodziewać, a jednak nadzieja i lęk toczyły bezustanną wojnę w jego sercu. To jedno, to drugie padało pokonane, na nowo zrywając się do walki. Błogosławione bądźcie uczucia proste — mroczne czy jasne. To posępna mieszanina tych dwojga wytwarza blask, który oświeca rejony piekieł.

Czasami próbował ugasić gorączkę ducha szybkim spacerem przez ulice Padwy lub za bramy miasta; rytm jego kroków odpowiadał rytmowi myśli, tak że spacer często zamieniał się w wyścig. Jednego dnia zatrzymano go na ulicy. Chwycił go za ramię jakiś postawny mężczyzna, który zawrócił poznawszy młodzieńca i z wielkim trudem go dogonił.

— Signor Giovanni! Stój, młody przyjacielu! — zawołał tamten. — Czyś już mnie zapomniał? Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym się zmienił tak bardzo jak pan.

Był to Baglioni, którego Giovanni unikał od czasu pierwszego spotkania, gdyż obawiał się, że mądrość profesora zdolna byłaby przejrzeć jego sekret.

Próbując przyjść do siebie, wyrwał się na chwilę ze swego świata wewnętrznego. Rzekł jakby we śnie:

— Tak, jestem Giovanni Guasconti. Pan jest profesorem Pietro Baglioni. A teraz proszę mi pozwolić odejść.

— Jeszcze nie, jeszcze nie, signor Giovanni Guasconti — powiedział profesor uśmiechając się, ale jednocześnie przyglądając się z powagą młodzieńcowi. — Jak to, przyjaźniłem się z twym ojcem od dziecka, a teraz jego syn będzie mnie na ulicach starej Padwy mijał jak nieznanego? Stój spokojnie, signor Giovanni, musimy zamienić ze sobą parę słów, nim się rozstaniemy.

— Szybko zatem, najczcigodniejszy profesorze, szybko! — mówił Giovanni z gorączkową niecierpliwością. — Czyż wasza dostojność nie widzi, że się spieszę?

Kiedy to mówił, ulicą przechodził właśnie człowiek w czerni. Szedł wolnym krokiem, pochylony jak ktoś o słabym zdrowiu. Twarz miał bladożółtej, niezdrowej barwy, ale tak prześwietloną blaskiem bystrego, czynnego intelektu, że obserwator mógłby łatwo przeoczyć te czysto fizyczne przymioty, a dostrzec tylko tę nadzwyczajną energię. Przechodząc, wymienił z dala ukłon z Baglionim, ale w Giovanniego wbił wzrok niezwykle badawczy tak, iż myśleć by można, że wydobywa z niego wszystko, cokolwiek jest w nim godnego uwagi.

— To doktor Rappaccini! — szepnął profesor, kiedy nieznanomy się oddalił. — Czy widział już pana kiedy?

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział Giovanni, wzdrygając się na dźwięk tego nazwiska.

— On pana widział! On musiał pana widzieć! — rzekł pośpiesznie Baglioni. — Dla takiego czy innego celu ten uczonego pana bada. O, znam to jego spojrzenie! Ten sam zimny blask oświeca jego twarz, kiedy nachyla się nad ptaszkiem, myszą czy motylem, które zabił zapachem kwiatu, przeprowadzając jakiś eksperyment. To spojrzenie jest tak głębokie jak sama natura, ale pozbawione ciepła miłości natury. Signor Giovanni, stawiam moje życie w zakład, że jest pan przedmiotem jednego z eksperymentów Rappacciniego!

— Czego pan robi ze mnie wariata? — zawołał z oburzeniem Giovanni. — To, profesorze, byłby chybiony eksperyment!

— Cierpliwości, cierpliwości — odpowiedział z niezmaconym spokojem profesor. Mówię ci, mój biedny Giovanni, że Rappaccini interesuje się tobą z naukowego punktu widzenia. Wpadłeś w straszne ręce! A signora Beatrycze? Jaką rolę odgrywa w tej tajemnicy?

Ale Guasconti, nie mogąc znieść uporczywych pytań Baglioniego, wyrwał mu się i odszedł, zanim profesor zdążył go ponownie złapać za rękę. Starszy człowiek popatrzył z uwagą za młodzieńcem i potrząsnął głową.

— Tak być nie może — mówił Baglioni do siebie. — Ten młodzieniec jest synem mojego starego przyjaciela i nie może spaść na niego żadne zło, przed którym ocalić go potrafią arkana medycznej wiedzy. A poza tym, jest to ze strony Rappacciniego bezczelna zuchwałość, porywać chłopaka, rzec by można, wprost z moich rąk i używać do swoich piekielnych eksperymentów. A ta jego córka! Trzeba w to wejrzeć! Być może, najuczestniejszy Rappaccini, pokonam ciebie, gdy najmniej będziesz się tego spodziewał!

Tymczasem Giovanni pędził okrężną drogą, która go w końcu doprowadziła do domu.

Na progu spotkał Lisabettę, która wdzięczyła się i uśmiechami najwidoczniej chciała zwrócić na siebie jego uwagę — ale na próżno, gdyż w tym momencie wzburzona fala uczuć młodzieńca opadła, ustępując miejsca chłodnej obojętności. Patrzył na zwiędłą twarz, która marszczyła się w uśmiechu, ale zdawał się jej nie dostrzegać. Stara dama chwyciła go za płaszcz.

— Signor, signor! — szeptała wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy, upodabniającym ją do groteskowych rzeźb w drzewie, szerniałych w ciągu wieków. — Słuchaj, signor! Jest tajemne wejście do ogrodu!

— Co mówisz?! — wykrzyknął Giovanni, obracając się szybko, jak by w martwy przedmiot wstąpiło nagle gorączkowe życie. — Tajemne wejście do ogrodu doktora Rappacciniego?

— Sza, sza, nie tak głośno! — szepnęła Lisabetta, kładąc rękę na usta. — Tak, do ogrodu czcigodnego doktora, gdzie będzie pan mógł zobaczyć wszystkie jego piękne krzaki. Wielu młodzieńców z Padwy płaciłoby złotem, żeby ich wpuszczono pomiędzy te kwiaty!

Giovanni dał jej złotą monetę.

— Pokaż mi drogę — powiedział.

Przyszło mu na myśl, prawdopodobnie pod wpływem rozmowy z Baglionim, że to pośrednictwo Lisabetty pozostawać może w związku z intrygą, którą — jak przypuszczał profesor — doktor Rappaccini zamierza go omotać. Lecz choć zbudziło się w Giovannim takie podejrzenie, nie było w stanie go powstrzymać. Skoro tylko dowiedział się, że istnieje możliwość zbliżenia się do Beatrycze, poczuł, że nie może się temu oprzeć. Nie miało znaczenia, czy była aniołem, czy demonem: on nieodwołalnie znalazł się w jej sferze i musiał być posłuszny prawu, mocą którego, zataczając coraz to ciaśniejsze kręgi, zbliżał się do nieodgadnionego celu. A jednak — aż dziwne o tym mówić! — z nagłą ogarnęła go wątpliwość, czy to jego głębokie zainteresowanie nie jest tylko złudzeniem, czy istotnie jest tak głębokie i prawdziwe, by usprawiedliwić mogło fakt, że oto z własnej woli popada w nieprzewidzianą sytuację. Czy nie jest ono tylko fantastycznym tworem młodzieńczego mózgu, nie mając nic albo bardzo niewiele wspólnego z sercem?

Zawahał się... stanął... obrócił się w tył... znów poszedł naprzód. Jego pomarszczona przewodniczka przeprowadziła go kilkoma ciemnymi przejściami i w końcu otworzyła drzwi, przez które posłyszał szelest liści i ujrzał zieleń i słoneczny blask. Giovanni poszedł naprzód i przedarłszy się przez płataninę gałązek krzewu, który rozpostarł swą zieleń na ukrytym wejściu, znalazł się pod swym własnym oknem, w otwartej przestrzeni ogrodu doktora Rappacciniego.

Jakże często się zdarza, że kiedy spełni się to, co wydawało się niemożliwe i mgliste, a substancja snów stanie się dotykalaną rzeczywistością, jesteśmy spokojni, a nawet opanowani, choć marząc o tym lub obawiając się tego, bylibyśmy wółprzymotni z radości czy rozpacz. Los lubi tak nas dławić. Namietność wtargnie na scenę, gdy sama zechce, a teraz ociąga się leniwie, choć tok wydarzeń zdaje się ją wzywać. Tak się rzecz miała z Giovannim. Dzień po dniu puls uderzał w nim gorączkowo na myśl o nieprawdopodobnym spotkaniu z Beatrycze, o tym, że mógłby stanąć z nią twarzą w twarz w tym ogrodzie, że mógłby się wygrzewać w blasku jej wschodniej urody i z jej otwartych źrenic wydrzeć tajemnicę, która jak sądził, stanowiła klucz do zrozumienia zagadki jego własnej egzystencji. Lecz teraz w jego sercu panował szczególny, zgoła nieoczekiwany spokój. Rozejrzał się po ogrodzie, by sprawdzić, czy nie ma w nim Beatrycze lub jej ojca, a spostrzegłszy, że jest sam, rozpoczął krytyczną obserwację roślin.

Nie podobała mu się żadna z nich; ich wspaniałość wydała mu się dzika, namietna, nawet nienaturalna. Gdyby samotnie zbłąkany wędrowiec napotkał gdzie w lesie którykolwiek z tych krzaków rosnący dziko, przeraziłby się nie mniej, niż gdyby z gąszczów wyjrzała twarz nie z tego świata. Niektóre z nich raziłyby delikatne natury swą sztucznością. Nastąpiła tu taka mieszanina — rzec by można cudzołóstwo — różnorodnych gatunków roślin, że rezultat

nie był już dziełem Boga, ale potwornym wykwitem zdeprawowanej fantazji człowieka płonącym tylko na szyderstwo pięknu. Stanowiły one prawdopodobnie wynik eksperymentu, który w jednym lub dwu wypadkach został uwieńczony sukcesem: skutek połączenia przyjemnych roślin dał okaz o podejrzanym, złowrogim charakterze, jakim odznaczała się cała roślinność ogrodu. W całym tym zbiorze Giovanni rozpoznał zaledwie parę roślin, a te należały do gatunku, o którym wiedział na pewno, że jest trujący.

Pogrążony w rozmyślaniach, posłyszał szelest jedwabnej sukni i obróciwszy się, ujrzał Beatrycze wynurzającą się spod rzeźbionego portalu.

Giovanni nie zastanowił się, jak ma postąpić: czy przeprosić za wtargnięcie do ogrodu, czy też zachować się tak, jak gdyby znalazł się tu co najmniej za pozwoleniem jeśli już nie na życzenie doktora Rappacciniego lub jego córki. Ale Beatrycze wybawiła go z kłopotu, choć nie wyjaśniła, komu zawdzięczał, że się tu dostał. W twarzy jej było zdziwienie, ale złagodzone ciepłym wyrazem zadowolenia.

— Jest pan znawcą kwiatów, signor — rzekła z uśmiechem, czyniąc aluzję do bukietu, który rzucił jej z okna. — Nic dziwnego zatem, że widok rzadkiej kolekcji, jaką posiada mój ojciec, skusił pana do bliższego przyjrzenia się jej. Gdyby ojciec był tutaj, mógłby opowiedzieć panu wiele dziwnych i interesujących rzeczy o naturze i obyczajach tych krzewów, gdyż całe życie spędził na studiach, a ogród jest jego światem.

— A pani — zauważył Giovanni — jeśli prawdą jest to, co mówią, również zna się na właściwościach leczniczych, cechujących to bogate kwiecie i te upojne wonie. Gdyby pani raczyła być moją nauczycielką, z pewnością okazałbym się bardziej pojętym uczniem niż pod kierunkiem samego signora Rappacciniego.

— Więc krążą takie plotki? — zapytała Beatrycze, a miły jej śmiech zadźwięczał jak muzyka. — Więc ludzie mówią, że dzielę z ojcem wiedzę o roślinach? Cóż to za żarty? Nie, chociaż wzrosłam wśród tych kwiatów, znam tylko ich barwy i wonie, a czasem wydaje mi się, że nawet od tej odrobiny wiedzy chciałabym się uwolnić. Jest tu wiele kwiatów — a pomiędzy nimi trafiają się i wspaniałe okazy — których widok wywołuje we mnie odrazę i wstręt. Ale proszę, signor, nie dawać wiary pogłoskom o mojej wiedzy. Proszę nie dawać wiary niczemu prócz tego, co ujrzy pan własnymi oczyma.

— A czy muszę wierzyć we wszystko, co ujrzę własnymi oczyma? — zapytał Giovanni z przekąsem, wzdrygając się na wspomnienie tego, co widział niedawno. — Nie, signora, zbyt mało żąda pani ode mnie. Niech pani żąda, bym nie wierzył w nic prócz tego, co powiedzą mi pani wargi.

Wydawało się, że Beatrycze go zrozumiała. Rumieniec oblał jej policzki, ale spojrzała wprost w oczy Giovanniego i na jego zmieszane, podejrzliwe spojrzenie odpowiedziała z wyniosłością królowej.

— Żądam tego od pana, signor — mówiła. — Niechaj zapomni pan o wszystkim, co sobie pan o mnie mógł wyobrazić. Nawet jeśli prawdziwe jest to, co widzą oczy, wewnętrzna treść może być zupełnie inna. Ale słowa Beatrycze Rappaccini płyną z jej serca i są prawdą. Im może pan wierzyć.

Jasność biła z jej całej postaci i promień tej jasności padł na serce Giovanniego jak światło samej prawdy. Gdy mówiła, powietrze wokół niej wypełniała woń piękna i miła choć przelotna, młodzieniec jednak hamowany niezrozumiałym impulsem ledwo odważał się ją wciągać do płuc. Mógł to być zapach kwiatów. A może to oddech Beatrycze namaszczał słowa wonnością jej serca? Jakaś słabość niby cień ogarnęła na chwilę Giovanniego i szybko przeminęła: zdawało mu się, że patrząc w oczy pięknej dziewczyny, sięga wzrokiem w głąb jej przejrzystej duszy i nie czuł już więcej wątpliwości ni lęku.

Gniew, który oblał żarem postać Beatrycze, wygasł. Poweselała; zdawało się, że ze spotkania z młodzieńcem czerpie niewinną radość podobną tej, jaką czuć by mogła dziewczica z samotnej wyspy, rozmawiając z podróżnikiem z cywilizowanego świata. Zakres jej życiowych

doświadczeń ograniczony był najwidoczniej murami ogrodu. Mówiła o sprawach tak prostych jak światło słońca lub lotne chmury, a potem zadawała pytania na temat miasta, dalekiego domu Giovanniego, jego przyjaciół, matki, sióstr. Pytania te świadczyły o takim odosobnieniu, o takim braku znajomości obyczajów i form, że Giovanni odpowiadał jej tak, jak by odpowiadał dziecku.

Jej duch był niby strumyk, co świeżo wytrysnął i chwyta pierwsze promienie słońca, zdziwiony odbiciem nieba i ziemi, padającym na jego wody. Niby z głębokiego źródła tryskały z jej duszy myśli i wyobrażenia, mieniając się błyskami klejnotów — jak gdyby z głębi fontanny pobłyskiwały w bańkach wodnych diamenty i rubiny. Od czasu do czasu w umyśle młodzieńca budziło się zdumienie, że oto spaceruje po ogrodzie z istotą, która tak podziałała na jego wyobraźnię, iż odmalował ją sobie w nadludzkich barwach grozy, z istotą, której straszliwe przymioty przejawiały się w jego obecności: że rozmawia z Beatrycze niby jej brat i przekonuje się, jak bardzo jest ona ludzka i jak bardzo dziewczęca. Ale takie refleksje nawiedzały go tylko przelotnie, gdyż charakter jej był zbyt szczery, by nie miał się dać poznać od razu.

W trakcie tej swobodnej rozmowy błądzili po ogrodzie i wreszcie, przeszedłszy wiele alejek, zbliżyli się do zrujnowanej fontanny, koło której rósł wspaniały krzak w przepychu jaskrawego kwiecia. Rozchodziła się od niego aromatyczna woń, taka sama — poznał to Giovanni — jak tchnienie oddechu Beatrycze, tylko że nieporównanie bardziej intensywne. Gdy spojrzenie dziewczyny padło na krzak, Giovanni ujrzał, że przycisnęła rękę do serca, jak gdyby biło gwałtownie i boleśnie.

— Po raz pierwszy w życiu — powiedziała cicho, zwracając się do krzaka — zapomniałam o tobie!

— Pamiętam, signora — rzekł Giovanni — iż powiedziała pani, że nagrodi mnie jednym z tych żywych klejnotów za bukiet, który w szczęśliwej chwili ośmieliłem się rzucić do jej stóp. Zechciej, pani, pozwolić, bym go teraz zerwał na pamiątkę naszego spotkania.

Z wyciągniętą ręką przysunął się do krzaka. Ale Beatrycze wydała krzyk, który przeszył jego serce jak sztylet. Rzuciła się naprzód, chwyciła go za rękę i pociągnęła w tył całą siłą swego szczupłego ciała. Jej dotknięcie przejęło Giovanniego dreszczem.

— Nie dotykaj go! — wykrzyknęła z przerażeniem w głosie. — Nie dotykaj go, jeśli ci życie miłe! To zgubny krzew!

Potem, zakrywszy twarz, uciekła znikając pod rzeźbionym portalem. Giovanni pobiegł za nią wzrokiem; spostrzegł wychudłą postać i bladą inteligentną twarz doktora Rappacciniego, który nie wiedząc od jak dawna przyglądał im się skryty w cieniu drzwi.

Skoro tylko Guasconti znalazł się w swym pokoju, opadły go gorączkowe marzenia. Wrócił obraz Beatrycze w całym blasku czarnoksięskiej mocy, jaką wyobraźnia młodzieńca przypisywała dziewczynie od chwili, gdy po raz pierwszy padło na nią jego spojrzenie. Lecz teraz promieniował z niej serdeczny, ciepły kobiecy urok. Była istotą ludzką, obdarzoną przez naturę delikatnością i kobiecym wdziękiem, była godna uwielbienia i z pewnością umiałaby się zdobyć na wzniosły heroizm miłości. Objawy, które dotąd uważał za dowód przerażających właściwości jej fizycznej i moralnej konstytucji, poszły w niepamięć albo też subtelna sofistyka miłości przekształciła je w złotą koronę czarodziejskich uroków, przez co Beatrycze stawała się jeszcze bardziej podziwiana jako zupełnie wyjątkowa kobieta.

To, co wydawało się brzydkie, stało się teraz piękne, a jeśli nie mogło ulec takiej przemianie, umykało i chowało się pośród tych bezkształtnych półmyśli, które toczą się w mrocznych rejonach poza dziennym światłem naszej pełnej świadomości. I tak Giovanni spędził noc. Zasnął dopiero wtedy, gdy jutrenka poczęła budzić kwiaty drzemające w ogrodzie doktora Rappacciniego, dokąd niewątpliwie zawiadły go młodzieńcze sny. Wreszcie wstało słońce i strzeliło swymi promieniami w powieki Giovanniego, który obudził się z uczuciem jakiegoś cierpienia. Kiedy się ocknął zupełnie, zdał sobie sprawę z dotkliwego, piekącego

bólu w ręce — w prawej ręce, tej którą Beatrycze chwyciła w swoją dłoń, gdy miał już zerwać podobny do klejnotu kwiat. Na wierzchu dłoni zobaczył purpurowy znak niby odciski czterech drobnych palców; na przegubie ręki widniał podobny znak, jakby ślad kciuka.

O, z jakim uporem miłość — czy nawet to wyobrażenie miłości, które krzewi się w naszej imaginacji, nie zapuszczając głębokich korzeni w sercu — o jak uparcie wierzy miłość aż do chwili, w której przeznaczono jej rozplynać się we mgle! Giovanni obwiązał chusteczką rękę zastanawiając się, co za licho go ukąsiło, i wkrótce, marząc o Beatrycze, zapomniał o bólu.

Po pierwszym spotkaniu nieunikniony bieg tego, co nazywamy losem, przyniósł drugie, potem trzecie, czwarte, tak że wreszcie spotkania z Beatrycze przestały być tylko wydarzeniami w codziennym życiu Giovanniego, a wypełniły całe jego życie, gdyż przewidywanie i rozpamiętywanie tej godziny uniesień było tkaniną pozostałych godzin. Nie inaczej działo się z córką Rappacciniego. Wyglądała przyjscia młodzieńca i biegła ku niemu z taką ufnością, jak gdyby od wczesnego dzieciństwa byli towarzyszami zabaw.

Jeżeli z powodu jakichś niezwykłych okoliczności nie stawiał się na spotkanie o oznaczonej porze, szła pod jego okno, śląc przez nie dźwięczną słodycz swego głosu, która wypełniała mu pokój i budziła w sercu echa.

— Giovanni! Giovanni! Dlaczego się spóźniasz? Zejdź do ogrodu! — I zbiegał śpiesznie do tego Edenu trujących kwiatów.

Ale mimo bezpośredniości w ich wzajemnych stosunkach, w postępowaniu Beatrycze wyczuwało się rezerwę, tak surową i niezmiennie przestrzeganą, że nawet nie wyobrażał sobie, iż mógłby ten dystans naruszyć. Wszystko wskazywało, że się kochali: miłość wyzierała z ich spojrzeń, które przenosiły ten święty sekret z głębin jednej duszy w głębiny drugiej, jak gdyby była to zbyt święta tajemnica, aby można było powierzyć ją słowom. W porywie uczucia wyznali sobie nawet miłość usty, a mowa ich była jak długo tłumiony płomień, wybuchający językami ognia. Jednak nie łączyły ich pocałunki, uściski rąk, ani najbardziej nawet nieśmiałe pieszczoty, jakich miłość żąda i jakie uświęca. Nigdy nie dotknął lśniących jej loków, nigdy wiatr nie rzucił ku niemu skraju jej sukni — tak silny przedział istniał między nimi. Gdy parę razy wydawało się, że Giovanni czuje pokusę, by tę granicę przestąpić, Beatrycze stawała się smutna i surowa, a twarz jej przybierała taki wyraz, jak by przerażało ją poczucie własnej odrębności. Wtedy nie musiała mówić ani słowa, żeby go oddalić. W takich razach opadały go straszliwe podejrzenia, które niby potwory wylaziły z jaskiń jego serca i stawały mu przed oczyma. Miłość słabła i rozwiewała się jak mgła poranna, jedynie wątpliwości były rzeczywiste. Ale kiedy po chwili twarz Beatrycze rozjaśniała się znowu i ustępował z niej przelotny mrok, natychmiast przestawała być tajemniczą, podejrzaną istotą, której przyglądał się z takim lękiem i grozą. Miał przy sobie piękną, prostą i szczerą dziewczynę i czuł, że zna jej naturę, i że ta znajomość pewniejsza jest od wszelkiej innej wiedzy.

Dość długi już czas upłynął od ostatniego spotkania z Baglionim. Jednego wszakże poranku niemile zdziwiła go wizyta profesora, o którym prawie nie myślał przez całe tygodnie, a chętnie na jeszcze dłużej by zapomniał. Od dawna całkowicie zatopiony w swych uczuciach, niezdolny był znieść niczyjego towarzystwa, chyba że mógłby się po nim spodziewać zrozumienia dla stanu swego serca. Ale tego trudno było oczekiwać po profesorze Baglionim.

Gość przez chwilę rozmawiał beztrąsko na temat plotek krążących po mieście i na uniwersytecie, a potem podjął inny temat.

— Czytałem ostatnio jednego klasyka — powiedział — znalazłem tam opowieść, która mnie bardzo zainteresowała. Może ją pamiętasz. Jest to opowieść o indiańskim księciu, który posłał w darze Aleksandrowi Wielkiemu piękną kobietę. Była urocza jak poranek i wspaniała jak zachód słońca, ale — co ją specjalnie wyróżniało spośród innych — to tchnący aromatem oddech, oddech wonniejszy niż powiew w ogrodzie perskich róż. Aleksander — rzecz naturalna u młodego zdobywcy — od pierwszego spojrzenia zakochał się w pięknej nieznanym.

Ale obecny przy tym pewien uczony lekarz odkrył straszliwą tajemnicę tej kobiety.

— Jaką? — zapytał Giovanni, spuszcżając oczy, by uniknąć wzroku profesora.

— Że ta piękna kobieta — ciągnął z naciskiem profesor — karmiona była truciznami od urodzenia, aż jej cała natura została tak nimi przesycona, iż ona sama stała się najstraszliwszą z istniejących trucizn. Trucizna była żywiołem jej życia. Aromatycznym zapachem swego oddechu zatruwała nawet powietrze. Jej miłość byłaby trucizną! Jej uścisk — śmiercią! Czyż to nie cudowna opowieść?

— Dziecinna bajka — odparł Giovanni, nerwowo zrywając się z krzesła. — Zdumiewa mnie, jak wasza dostojność wśród poważnych studiów znajduje czas na czytanie podobnych nonsensów.

— Nawiasem mówiąc — rzekł profesor, rozglądając się niespokojnie po pokoju — co to za osobliwy zapach w twoim apartamencie? Czy to zapach twoich rękawiczek? Jest słaby, ale rozkoszny, chociaż w gruncie rzeczy wcale nie jest przyjemny. Gdybym go dłużej wdychał, myślę, żebym się pochorował. Podobny jest do woni kwiatów, ale nie widzę kwiatów w twoim pokoju.

— Nie ma ich tutaj — odparł Giovanni, który pobladł, słysząc słowa profesora. — Ani, jak sądzę, nie ma tu żadnego zapachu, tylko go sobie wasza dostojność wyobraża. Zapachy należą do zjawisk łączących w sobie pierwiastki zmysłowe i duchowe i dlatego zdolne są nas zwodzić. Wspomnienie jakiegoś zapachu, a nawet sama myśl o nim, może być łatwo wzięta za rzeczywistość.

— Owszem, ale moja trzeźwa imaginacja nieczęsto płata mi takie figle — powiedział Baglioni — a gdybym miał wyobrazić sobie jakiś zapach, to byłby to na pewno zapach jakichś aptekarskich proszków, którymi moje palce mogą być przesiąknięte. Nasz czcigodny przyjaciel Rappaccini nasycy swoje leki zapachem aromatyczniejszym od arabskich woni. Niewątpliwie piękna i uczona signora Beatrycze dawać będzie swym pacjentom ekstrakty tak słodkie jak dziewczęcy oddech. Ale biada temu, kto je spija!

Twarz Giovanniego świadczyła, że toczy się w nim walka wielu uczuć. Przechodził tortury słysząc, jakiego rodzaju aluzje czyni profesor o niewinnej i pięknej córce Rappacciniego. Ale gdy poznał, tak odmienną od swej własnej, opinię o jej charakterze, drżemiące w nim podejrzenia ożyły i zachichotały. szydząc zeń głosem tysiąca demonów. Ale starał się je zwalczyć i odpowiedzieć Baglioniemu z niezachwianą wiarą prawdziwego kochanka.

— Signor — rzekł — był pan przyjacielem mego ojca, zapewne więc chce pan postępować po przyjacielsku w stosunku do jego syna. Pragnąłbym czuć dla pana jedynie szacunek i respekt. Ale błagam, signor, by pan raczył wziąć pod uwagę, że jest jeden temat, na który nam mówić nie wolno. Nie zna pan signory Beatrycze. Dlatego też nie jest pan w stanie ocenić, jaką krzywdę wyrządza jej charakterowi... powiedziałbym nawet, jakim jest wobec niej bluźnierstwem każde lekceważące czy niesprawiedliwe słowo.

— Giovanni... mój biedny Giovanni! — rzekł profesor z wyrazem spokojnej litości. — Znam tę nieszczęsną dziewczynę o wiele lepiej niż ciebie. Posłyszysz prawdę o trucicielu Rappaccinim i jego trującej córce! Tak! Równie trującej jak pięknej. Słuchaj! Bo gdybyś nawet znieważyc miał moje siwe włosy, nie zamknęłoby mi to ust. Stara bajka o kobiecie hinduskiej stała się prawdą, a dokonał tego Rappaccini przez swą głęboką, lecz zabójczą wiedzę na osobie swej uroczej córki.

Giovanni jęknął i zakrył twarz.

— Naturalne uczucia — ciągnął Baglioni — nie powstrzymały ojca; własne swe dziecko złożył w okrutnej ofierze szaleńczemu zapałowi dla wiedzy. A trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż jest prawdziwie uczonym mężem. Jakież zatem będzie i twój los? Niewątpliwie zostałeś wybrany na materiał do jakiegoś nowego doświadczenia. Może rezultatem będzie śmierć, może los stokroć straszliwszy?! Rappaccini nie zawaha się przed niczym, mając przed oczyma to, co nazywa dobrem nauki.

— To sen! — wyszeptał Giovanni — to na pewno jest sen!

— Ale — ciągnął profesor — nie trać nadziei, synu mego przyjaciela. Jeszcze nie jest za późno na ratunek. Może uda nam się nawet i to nieszczęsne dziecko przywieść z powrotem w granice natury, której stała się obcą wskutek szaleństwa swego ojca. Spójrz na tę niewielką srebrną wazę! Wyszła z rąk słynnego Benvenuto Celliniego i w pełni zasługuje, by złożyć ją w darze miłosnym najpiękniejszej kobiecie w Italii. Ale jej zawartość jest bezcenna. Jeden maleńki łyk tego lekarstwa zdołałby unieszkodliwić najbardziej zjadliwe trucizny Borgiów. Nie wątp, że będzie równie skuteczny przeciw truciznom Rappacciniego. Ofiaruj tę wazę i zawarty w niej drogocenny płyn twojej Beatrycze i z nadzieją czekaj na rezultat.

Baglioni postawił na stole małe, cudownie wykonane, srebrne naczynie i wyszedł, zostawiając młodzieńca pod wielkim wrażeniem swych słów.

— Pokrzyżujemy plany Rappacciniego! — chichotał schodząc na dół. — Ale trzeba przyznać, że to zdumiewający człowiek! Doprawdy zdumiewający człowiek! Jednakże leczy jak nikczemny szarlatan, dlatego też nie będą go tolerować ci, którzy respektują stare, dobre zasady stanu lekarskiego.

Jak już wspominaliśmy, Giovanniego, podczas całej jego znajomości z Beatrycze, nawiązywały czarne podejrzenia co do jej charakteru. Ale przebywając z nią, odnosił nieodparte wrażenie, że jest prostą, naturalną, głęboko uczuciową i niewinną istotą i dlatego obraz, jaki stawił mu przed oczy Baglioni, wydał mu się dziwny i nieprawdopodobny, choć przecie zgadzał się z jego pierwotną koncepcją. Nie zatarły się, co prawda, przykre wspomnienia, związane z pierwszym spojrzeniem na piękną dziewczynę; nie mógł zapomnieć o bukietcie wędnącym w jej rękach ani o owadzie, który padł martwy w słońcu, bez żadnej innej przyczyny prócz tchnienia jej oddechu. Lecz w blasku jej osobowości topniała wymowa faktów, zostały one uznane za fantazję, choć świadectwo zmysłów dowodziło ich realności. Istnieje coś prawdziwszego i bardziej rzeczywistego niż to, co dostrzegają oczy, czego dotykają palce. Z takich to bardziej niezawodnych źródeł przekonania płynęła wiara Giovanniego w Beatrycze, a stało się to dzięki sile jej niezwykłych zalet, a nie jakiejś szczodrej głębokiej ufności z jego strony. Ale teraz duch jego nie potrafił utrzymać się na wyżynie, na jaką wznosił go pierwszy poryw uczuć. Człgając się wśród ziemskich wątpliwości, zbrukał nieskazitelną czystość swego obrazu Beatrycze. Nie znaczyło to, by się jej wyrzekał; po prostu nie dowierzał. Postanowił przeprowadzić decydujące próby, żeby przekonać się ostatecznie, czy istotnie w jej fizycznej naturze występują straszliwe właściwości, których istnienia niepodobna wyobrazić sobie bez odpowiednich potwornych cech duszy. Gdy patrzył z okna w ogród, oczy mogły go zwieść co do jaszczurki, owada i kwiatu. Ale jeśli stojąc o kilka kroków od niej spostrzeże, iż świeży, zdrowy kwiat wędnie nagle w jej ręku, wtedy nie będzie mógł już podawać tego w wątpliwość. Z tą myślą pośpieszył do kwaciarni i kupił bukiet lśniący brylantami porannej rosy.

Zbliżała się już pora jego codziennych spotkań z Beatrycze. Nim zszedł do ogrodu, nie omieszkał rzucić okiem w lustro, co było oznaką próżności, jakiej można było oczekiwać po tak pięknym młodzieńcu; ale co w tym momencie niepewności i podniecenia świadczyło o pewnej płyciznie uczuć i nieszczerości charakteru. Jednakże spostrzegł w lustrze i powiedział to samemu sobie, iż jego rysy nigdy nie odznaczały się taką pięknnością ani oczym blaskiem, ani policzki tak gorącą barwą pełni życia. „Przynajmniej do mojego organizmu — pomyślał — nie przeniknęła jeszcze jej trucizna. Nie jestem kwiatem, abym miał zginąć w jej objęciu”.

Pomyślawszy to, zwrócił oczy na bukiet, który wciąż trzymał w ręku. Dreszcz nieopisanego grozy przeszył go od stóp do głów: spostrzegł, że lśniące od rosy kwiaty poczynały już wędnać — jak gdyby wczoraj były ścięte. Giovanni pobladł jak marmur i stał przed lustrem bez ruchu, spoglądając na swoje odbicie tak, jak patrzyłby na obraz czegoś okropnego. Nie zapomniał wzmianki Baglioniego o zapachu, który unosił się w jego pokoju. To musiała być trucizna w jego oddechu. Zadygotał z lęku — z lęku przed samym sobą! Otrząsnawszy się z

otępienia, począł z ciekawością przyglądać się pajakowi, który zwiesiwszy się ze starożytnego gzymsu na swej nici, pracował pilnie przędąc tam i z powrotem krzyżując się ze sobą nici zawilego wzoru. Najżywszy, najenergiczniejszy z pajaków, jakie kiedykolwiek zwisały ze starego sufitu. Giovanni pochylił się ku owadowi i zrobił długi, głęboki wydech. Natychmiast ustała praca tkacza, siatka falowała od drżenia ciała małego rzemieślnika. Giovanni znów uczynił głęboki, długi wydech, przepojony trującym cierpieniem serca; sam nie wiedział, czy jest zatruty, czy tylko zrozpaczony. Pajak wykonał kilka konwulsyjnych ruchów nóżkami i zawisł martwy w oknie.

— Przeklęty! Przeklęty! — wyszeptał do siebie Giovanni. — Czyżbyś stał się tak trujący, że ten owad zginął od twego oddechu?

W tej chwili z ogrodu dobiegł go dźwięczny, słodki głos.

— Giovanni! Giovanni! Już późno! Dlaczego się ociążasz? Chodź do ogrodu!

— Tak — szepnął znów Giovanni — ona jest jedyną istotą, której mój oddech nie może zabić! Och, gdyby mógł!

Zbiegł na dół i po chwili patrzył już w płonące, zakochane oczy Beatrycze. Niedawno jeszcze gniew i rozpacz panowały nad nim tak silnie, że niczego goręcej nie pragnął, jak tego, by ją zabić swym spojrzeniem. Ale jej obecność niosła ze sobą wpływy zbyt realne, by się mógł z pod nich od razu wyzwolić: wspomnienie łagodnych, delikatnych mocy jej kobiecej natury, która tak często darzyła go religijnym spokojem, wspomnienie wielu świętych, namiętnych wybuchów jej serca, kiedy ta czysta fontanna tryskała z głębin, ukazując swą przejrzystość oczom jego duszy. Gdyby Giovanni wiedział, jak ocenić te wspomnienia, wzbudziłyby w nim pewność, że cała ta potworna tajemnica była tylko straszliwą iluzją i że prawdziwa Beatrycze była niebiańskim aniołem, chociaż zdawały się ją spowijać opary zła. Choć był niezdolny do tak wielkiej wiary, magia jej obecności nie straciła dla niego całej swej siły. Uśmierzyła jego wściekłość, zmieniając ją w pochmurną nieczułość. Beatrycze swym bystrym instynktem odgadła natychmiast, że wytworzyła się między nimi czarna przepaść, której żadne z nich nie jest w stanie przebyć. Szli razem w smutku i milczeniu, aż doszli do marmurowej fontanny, do sadzawki znajdującej się obok niej i do krzaka obsypanego podobnymi klejnotom kwiatami. Giovanni przeraził się, czując z jaką przyjemnością, nieomal apetytem, wdycha zapach kwiatów.

— Beatrycze — spytał nagle — skąd wziął się tutaj ten kwiat?

— Mój ojciec go stworzył — odparła z prostotą.

— Stworzył go?! Stworzył?! — powtórzył Giovanni. — Co to znaczy, Beatrycze?

— On zna tajemnice przyrody — odparła Beatrycze. — W momencie, kiedy ja po raz pierwszy odetchnęłam powietrzem tej ziemi, z gleby jego ogrodu wystrzelił kwiat — dziecko jego wiedzy, jego intelektu, podczas gdy ja byłam tylko dzieckiem jego ciała. Nie podchodź do niego! — rzekła spostrzegłszy z przerażeniem, że Giovanni zbliża się do krzaka. — Ma on własności, o jakich nawet ci się nie śniło. Ale ja, najdroższy Giovanni, ja wzrastałam i rozwijałam się wraz z tą rośliną, wykarmiłam się jej oddechem. To moja siostra. Kochałam ją ludzkim uczuciem, gdyż niestety... nie podejrzewałeś tego nigdy?... Straszliwe przeznaczenie...

W tej chwili Giovanni spojrział na nią z tak groźnym marsem, że Beatrycze urwała i zadrżała. Ale wiara w jego miłość uspokoiła ją i dziewczyna oblała się rumieńcem, że przez chwilę mogła w tę miłość wątpić.

— Straszliwe przeznaczenie — ciągnęła — skutek fatalny umiłowania wiedzy przez mego ojca, pozbawiło mnie wszelkiego towarzystwa. Póki niebo nie zesłało ciebie, Giovanni, jakżeż samotną była twoja biedna Beatrycze!

— Cóż to za straszne przeznaczenie? — spytał Giovanni, utkwivszy w nią wzrok.

— Dopiero od niedawna wiem, jak ciężki to był los — mówiła tklawie. — O tak, przedtem moje serce było uśpione i dlatego spokojne.

Jak burza z czarnej chmury, tak z ponurego smutku Giovanniego rozpętała się wście-

kłóść.

— Przeklęta! — zawołał z pełną zjadliwości pogardą i gniewem. — Przekonawszy się, jak uciążliwa jest twoja samotność, odcięłaś i mnie od wszelkiego ciepła życia i znęciłaś do swego straszliwego królestwa!

— Giovanni! — krzyknęła Beatrycze, zwracając ku niemu swe ogromne, błyszczące oczy. Znaczenie jego słów nie dotarło do jej świadomości, była jak porażona gromem.

— Tak, ty trucicielko! — powtórzył Giovanni, z wściekłości tracąc panowanie nad sobą. — Tyś to zrobiła! Tyś mnie zabiła! Tyś napełniła moje życie trucizną. Przez ciebie stałem się takim jak ty — straszliwą, odrażającą, niosącą śmierć istotą! Potwornym dziwem świata! Teraz więc... jeśli szczęśliwie oddech nasz jest tak trujący dla nas wzajemnie jak dla innych... połączmy nasze wargi w jednym pocałunku niewypowiedzianej nienawiści i tak umrzyjmy!

— Cóż za nieszczęście na mnie spadło? — szepnęła Beatrycze z bolesnym, z serca płynącym jękiem — Święta Dziewico, miej litość nade mną, Twym biednym, nieszczęśliwym dzieckiem!

— I ty się modlisz?! — krzyknął Giovanni wciąż ze straszliwą pogardą w głosie. — Nawet modlitwy, wychodząc z twoich ust, sieją w powietrzu śmierć! O tak, módlmy się! Chodźmy do kościoła i umocmy nasze palce w święconej wodzie u wejścia! Ci, co przyjdą po nas, umrą jak od zarazy. Kreślmy krzyże w powietrzu! Będzie to rozsiewanie przekleństw pod postacią świętego symbolu.

— Giovanni — powiedziała Beatrycze spokojnie, ponieważ jej smutek silniejszy był niż gniew. — Dlaczego tak okropnymi słowami mówisz o nas obojgu? Ja, to prawda, ja jestem tak straszliwą istotą, jak mówisz. Ale ty! Cóż ci pozostaje lepszego jak tylko, zadrżawszy raz jeszcze na widok mej odrażającej niedoli, opuścić ten ogród, zmieszać się z innymi ludźmi i zapomnieć, że kiedykolwiek pełzał po ziemi taki potwór jak biedna Beatrycze?

— Dlaczego udajesz, że nic nie wiesz? — spytał Giovanni, wykrzywiając usta. — Patrz! Taką oto siłą obdarzyła mnie czysta córka Rappacciniego!

W letnim powietrzu unosił się rój owadów, poszukując pożywienia, które obiecywały im kwietne wonie zgubnego ogrodu. Krążyły nad głową Giovanniego przyciągnięte tą samą siłą, która zwabiła je do kilku krzaków. Wydmuchnął na nie powietrze ze swych płuc i z gorzkim uśmiechem spojrzał na Beatrycze, gdy ze dwadzieścia przynajmniej martwych owadów spadło na ziemię.

— Och, widzę to, widzę! — wykrzyknęła Beatrycze. — To ta zgubna wiedza mojego ojca! Ach nie, nie, Giovanni, to nie ja! Nigdy, przenigdy! Marzyłam o tym tylko, żeby być przez czas pewien z tobą, a potem pozwolić ci odejść i pozostać z twoim obrazem w sercu! Bo, wierzaj mi, Giovanni, chociaż moje ciało wykarmione trucizną, duch jest dziełem Boga i łaknie miłości jak codziennej strawy. Ale mój ojciec... to on nas połączył tym straszliwym węzłem. O tak, odtrąć mnie nogą... zdepcz mnie... zabij... O, czymże jest śmierć po takich słowach jak twoje! Ale to nie ja! Nie uczyniłam tego, choćby mi to miało otworzyć wrota raju!

Gniew Giovanniego spalił się w jego gwałtownych słowach. Spłynęło na niego teraz żalosne, a zarazem tkliwe poczucie, że oto on i Beatrycze są ze sobą blisko i w osobliwy sposób spokrewnieni. Oboje tonęli w kompletnej samotności, która nic stałaby się mniejsza, gdyby otoczył ich tłum tętniący życiem. Czyż zatem to morze samotności, oblewające dwie wysepki ludzkich istnień, nie powinno zbliżyć ich ku sobie? Jeśli będą dla siebie wzajemnie okrutni, któż będzie dla nich dobry? Poza tym, myślał Giovanni, może jest jeszcze nadzieja, że wróci znowu na łono natury wiodąc za rękę Beatrycze... wybawioną Beatrycze! O słaby, samolubny, niegodny duch, który śnić może o ziemskim związku i ziemskiej szczęśliwości, zdeptał miłość tak okrutnie jak okrutnie została zdeptana miłość Beatrycze przez palące słowa Giovanniego! O, nie, nie, już nie było nadziei. Beatrycze musiała z ciężkim, złamanym

sercem przekroczyć granice Czasu, musiała skąpać swe rany w jakiejś fontannie raju, a w blasku nieśmiertelności zapomnieć o swym smutku — i tam dopiero ozdrowieć.

Ale Giovanni o tym nie wiedział.

— Droga Beatrycze — powiedział, podchodząc ku niej, ale odsunęła się, tak jak zawsze, gdy się ku niej zbliżał, choć teraz z innych nieco pobudek. — Najdroższa Beatrycze, los nasz nie jest jeszcze tak rozpaczliwy. Spójrz! Oto lekarstwo, potężne — jak zapewnił mnie mądry lekarz — i niemal boskie w swym działaniu. Przyrządzone jest ze składników przeciwdziałających tym, za pomocą których twój straszny ojciec sprowadził nieszczęście na mnie i na ciebie. Jest to wyciąg z błogosławionych ziół. Czyż nie wypijemy go wspólnie, by się uwolnić od zła?

— Daj mi je — rzekła Beatrycze, wyciągając rękę po srebrną amforę, którą Giovanni wyjął z zanadru. Po czym dodała ze specjalnym naciskiem. — Ja wypiję, a ty czekaj na rezultat.

Właśnie przyłożyła do warg lekarstwo Baglioniego, gdy jej ojciec wysunął się z portalu i powoli zbliżać się zaczął ku marmurowej fontannie. Nadchodząc, ów blady mąż nauki zdawał się z wyrazem triumfu spoglądać na pięknego młodzieńca i dziewczynę — jak artysta, który życie poświęcił stworzeniu obrazu lub rzeźby, zadowolony w końcu ze swego osiągnięcia. Przystanął, wyprostował swą zgarbioną postać w poczuciu siły; wyciągnął nad nimi rękę gestem ojca udzielającego błogosławieństwa dzieciom. Ale to były te same ręce, które nasyciły trucizną strumienie ich życia. Giovanni zdrzął. Beatrycze dygotała nerwowo i przyciskała dłoń do serca.

— Moja córko — rzekł Rappaccini — nie jesteś już dłużej samotna na świecie. Zerwij jeden z tych klejnotów z siostrzanego krzaka i niechaj twój narzeczony nosi go na piersi. Teraz nie robi mu to krzywdy. Moja wiedza i wasza wzajemna sympatia wywarły taki wpływ na jego organizm, że jest wyodrębniony spośród zwykłych mężczyzn, tak jak ty, moja córko, moja duma, mój triumf, wyodrębniona jesteś spośród zwykłych kobiet. Przejdźcie przez świat drodzy sobie nawzajem, straszni dla wszystkich innych.

— Mój ojcie — rzekła Beatrycze cicho, trzymając wciąż rękę na sercu — dlaczego sprowadziłeś taki nieszczęsny los na swoje dziecko?

— Nieszczęsny los?! — wykrzyknął Rappaccini. — Co ty mówisz, niemądra dziewczyno! Czy uważasz, że nieszczęściem jest posiadać cudowne dary, od których żadna siła, żadna moc nie osłoni twego wroga? Nieszczęściem jest móc porazić najpotężniejszego swym oddechem? Nieszczęściem, być tak straszliwą, jak jesteś piękną? A zatem wolałabyś być słabą kobietą, wystawioną na wszelkie zło, sama niezdolna wyrządzić żadnego.

— Wolałabym, aby mnie kochano, a nie lękano się mnie! — szepnęła Beatrycze, osuwając się na ziemię. — Ale to już nie ma znaczenia. Idę, ojcie, tam, gdzie zło, którym starałeś się przesycić moją naturę, przeminie jak sen, jak zapach tych trujących roślin, który wśród kwiatów Raju nie będzie już kazić mego oddechu. Żegnaj, Giovanni, twoje słowa nienawiści ciąży jak ołów na mym sercu, ale i od nich uwolnię się odchodząc. Och... czyż od początku nie było w twojej naturze więcej jadu niż w mojej?!

Dla Beatrycze — jakżeż całkowicie sztuka Rappacciniego zmieniła jej ziemską powłokę — jak trucizna była życiem, tak potężna odtrutka śmiercią. I tak biedna ofiara pomysłowości ludzkiej gwałcącej naturę oraz fatalizmu ciężącego nad wysiłkami przewrotnej mądrości, skonała u stóp swego ojca i Giovanniego. Właśnie w tym momencie profesor Pietro Baglioni wyjrzał z okna i tonem triumfu, a jednocześnie zgrozy zawołał do męża nauki, który stał jak porażony gromem:

— Rappaccini! Rappaccini! Więc taki jest wynik twojego eksperymentu!

Przełożyła Aldona Szpakowska

EDGAR ALLAN POE

Edgar Allan Poe (1809—1849) urodził się w Bostonie jako syn pary wędrownych aktorów. Osierocony w wieku trzech lat, przez całe życie borykał się z ciężkimi warunkami materialnymi i nieszczęśliwym usposobieniem oraz słabym zdrowiem, nadwątlonym jeszcze skłonnością do alkoholu i hazardu. Mimo to zdobył sobie sławę jednego z najwybitniejszych nowelistów, poetów i krytyków doby romantyzmu. Jego opowiadania, przesycone atmosferą tajemniczości i grozy, uważane są za pierwowzór tak modnych później opowieści sensacyjnych i kryminalnych. „Studnia i wahadło” (1842) stanowi doskonałe wcielenie jego teorii bez mała matematycznej precyzji w budowie noweli, w której wszystko powinno zmierzać do z góry wytkniętego celu.

STUDNIA I WAHADŁO

*Impia tortorum longas hic turba furores,
Sanguinis innocui non satiata, aluit.
Sospite nunc patria, fracto nunc funeris antro,
Mors ubi dura fuit vita salusque patent. **

Byłem złamany, złamany śmiertelnie tym przewlekłym konaniem i kiedy w końcu zdjęli ze mnie więzy i pozwolili mi usiąść, uczułem, iż tracę przytomność. Wyrok — straszliwy wyrok śmierci — był ostatnim wyraźnym brzmieniem, które obito się o moje uszy. Potem wydało mi się, że głosy inkwizytorów roztapiają się w jakimś sennym, nieokreślonym szumie. Wywoływał on w mej duszy wrażenie obrotu, może dlatego, że wyobrażenia moja skojarzyła go z kołem młyńskim. Trwało to bardzo krótko, gdyż wnet przestałem zupełnie słyszeć. Mimo to widziałem jeszcze czas pewien; lecz jakież straszliwy wygląd przybierało wszystko w mych oczach! Widziałem wargi przyodzianych w czerń sędziów. Wydawały mi się one białymi — bielszymi od kartki, na której kreślę te słowa — i nieprawdopodobnie cienkimi: jak gdyby ścieniały pod wpływem wyężonej stanowczości, zakrzepłej nieodwołalności i srogiej wzgardy dla męczarni ludzkiej. Widziałem, jak rozstrzygnięciem mojego losu drgały jeszcze te usta. Widziałem, jak zacinały się, orzekając każdą śmierci. Widziałem, jak kształtowały się na nich zgłoski mojego nazwiska i drżałem, by nie przyszła kolej na dźwięki. W nikłym mgnieniu obłądnej trwogi widziałem również lekkie i omal niedostrzegalne falowanie czarnych zasłon, okrywających ściany komnaty. Następnie wzrok mój padł na siedem wielkich świec, ustawionych na stole. Zrazu miały one wygląd litosny i wydawały mi się białymi, smukłymi aniołami, co przyszły, by mnie ocalić, lecz wnet potem mdłość jakaś śmiertelna zalała mi duszę i nagły wstrząs przeniknął wszystkie włókna mojego ciała, jak gdybym dotknął przewodnika baterii elektrycznej, a zjawy anielskie przedzierzgnęły się w bezduszne widziadła o głowach z płomienia i zrozumiałem, że pomocy od nich spodziewać się nie można. Po chwili przez mą wyobraźnię na kształt bujnej, dźwięcznej melodii przemknęła myśl, jak słodko musi być w grobie. Myśl ta przyszła z cicha, skrycie i miałem wrażenie, że długo trwało, nim objawiła się w nieocenionej swej pełni. Kiedy zaś duch mój począł w końcu właściwie ją odczuwać i nią się lubować, postacie sędziów, jak zakłęte, zniknęły mi nagle z oczu; wielkie świece zapadły się w nicość; płomienie ich pierzchły; otoczyła mnie czerń mroków; wszystkie wrażenia zdawały się przepadać w obłądnym zmierzchu duszy, odchodzącej w zaświaty. W końcu wszechświat omgił się nocą, cichością i milczeniem.

* Tu zbrodnicza i krwi niesyta zgraja oprawców
Długie lata i dni knuła zbrodnie i gwałt.
Dziś, gdy wolna ojczyzna, a mur jaskini legł w gruzy,
Gdzie srożyła się śmierć — życia rumieni się kwiat.

Straciłem przytomność. Nie powiedziałbym jednakże, iż postradałem zupełnie świadomość. Co z niej pozostało? — tego nie zamierzam określać, a tym mniej opisywać. Jedno pewne, iż nie wszystko zanikło. Dzieje się tak w odurzeniu sennym? — Nie! Nawet w grobie nie wszystko znika. Gdyby było inaczej, człowiek nie byłby nieśmiertelny. Budząc się z najgłębszego snu, zrywamy pajęczą tkankę jakiegoś marzenia. Ale w chwilę później (tak niktła snadź była ta tkanka!) nie przypominamy już sobie, żeśmy śnili. Powracając z omdlenia do przytomności przechodzimy dwa okresy: pierwszym jest poczucie istnienia umysłowego czy duchowego; drugim poczucie istnienia fizycznego. Gdybyśmy przechodząc do okresu drugiego mogli wywołać wrażenie z okresu pierwszego, to wydaje mi się rzeczą możliwą, iż te wrażenia zawierałyby mnóstwo wymownych wspomnień z otchłani podświadomości. Czymże jest ta otchłań? I czym różni się jej mroki od cieniów grobu? Jakkolwiek wrażenia z tego stanu, który nazwałem pierwszym okresem, nie dają się wywoływać świadomie, to czyż po pewnym czasie nie przychodzą one same, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, skąd się wzięły? Kto nigdy nie tracił przytomności, ten nie dojrzy czarodziejskich grodów i przedziwnie znajomych twarzy w blasku jarzących się głowni; ten nie dostrzeże w napowietrznych przestworzach pierzchliwych, smętnych wizji niewidzialnych dla oczu tłumów; ten nie będzie rozpamiętywał woni jakiegoś nie znanego kwiatu i nie zatopi się myślą w jakiejś nie zastyszonej dotychczas gęździe.

Wśród dotychczasowych częstych wysiłków, by sobie przypomnieć, wśród wytężonych starań, by natknąć się na ślady owego stanu pozornej nicości, w jaki pograżyła się ma dusza, bywały chwile, kiedy marzyłem o powodzeniu; bywały krótkie, przelotne okresy, gdy wyczarowywałem wspomnienia, które później, rozpatrywane w świetle rozumu, wykazywały ścisłą zależność od owej rzekomej nieprzytomności. W mgławicach tych wspomnień majaczą niewyraźne, smukłe postacie, które uniosły mnie w milczeniu, hen, w dół, coraz głębiej i głębiej...

Poczułem zawrót głowy na samą myśl o nieskończoności tego spadania. Pozostała także pamięć jakiegoś nieuchwytnego lęku, wywołanego nienaturalnym wprost uspokojeniem się serca. Potem — nagły bezruch wszechrzeczy, jak gdyby upiorny orszak zstępując ze mną coraz niżej minął rubież bezkresów i zatrzymał się, znużony nieskończonością swego dzieła. Następnie owiała mnie wilgoć i opanowała niemoc; no czym nade wszystkim rozpostarł się o b ł ę d — obłąd pamięci, miotającej się wśród rzeczy piekielnych.

Wtem, z nagłą wszczął się w mej duszy ruch i szmer — rozgłośny ruch serca, którego tętno rozlegało mi się w uszach. Lecz wnet nastąpiła głucha przerwa. Po niej znów szmer, ruch i drżenie, przenikliwym dreszczem rozchodzące się po ciele. Następnie pierwsza świadomość istnienia pozbawiona myśli; stan ten trwał długo. Z kolei nagły przebłysk myśli i wstrząs grozy, i zawzięty wysiłek, by zdać sobie sprawę z własnego stanu. Potem dziwna żądza, by pograżyć się znów w beczuciu, błyskawiczne przebudzenie się duszy, wreszcie — pomyślna próba ruchu. I oto pełna świadomość: dochodzenie, sędziowie, czarne zasłony, wyrok, osłabienie i zemdlenie. Następne zdarzenia wypadły mi zupełnie z pamięci; dopiero znacznie później i po głębokim namyśle zdołałem je sobie w przybliżeniu przypomnieć.

Dotychczas nie otwierałem oczu. Czułem, że nie mam na sobie więzów i że leżę na wznak. Wyciągnąłem rękę, która spadła ciężko na coś twardego i mokrego. Nie ruszałem jej czas jakiś usiłując odgadnąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Pragnąłem się rozejrzeć, ale nie śmiałem. Prerażała mnie myśl o pierwszym spojrzeniu na otaczające przedmioty. Nie bałem się, że ujrzę rzeczy potworne, lecz truchlałem przypuszczając, iż mogę nic nie zobaczyć. W końcu z dziką rozpaczą w duszy rozwarłem śpiesznie oczy. Trapiąca mnie myśl okazała się prawdziwa. Spowijała mnie czerń wiekuiestej nocy. Oddychałem z trudnością. Miałem wrażenie, że gęstość mroków gniecie mnie i dławi. Powietrze było nieznośnie duszne. Wciąż jeszcze leżałem spokojnie i starałem się skupić. Uprzytomniłem sobie postępowanie inkwizycji i na tej podstawie usiłowałem zdać sobie sprawę ze swego rzeczywistego położenia. Wyrok

zapadł, a od tej chwili — jak mi się zdawało — upłynął znaczny okres czasu. Mimo to nawet nie zakiełkowało we mnie przypuszczenie, jakobym istotnie rozstał się z życiem. Myśl taka, wbrew temu, co wypisuje się w książkach, wręcz nie da się pogodzić z bytem rzeczywistym. Ale gdzie byłem i w jakim stanie? Wiedziałem, iż skazani na śmierć ginęli zazwyczaj na stosie. Podobne *auto da fé* odbyło się w wigilię mojej rozprawy sądowej. Czyżby odesłano mnie z powrotem do więzienia i przeznaczono na całopalenie dopiero za kilka miesięcy? To przypuszczenie wydało mi się od razu niepodobieństwem. Potrzebowano ofiar niezwłocznie. Przy tym moje dawniejsze więzienie, jak wszystkie zresztą cele skazańców w Toledo, miało kamienną posadzkę i nie całkiem było pozbawione światła.

Wtem zaświtała mi myśl tak straszna, iż krew wrzącą strugą uderzyła mi do serca, i jeszcze raz na chwilę pogrążyłem się w beczuciu. Gdym przyszedł do siebie, zerwałem się w oka mgnieniu na nogi, przeniknięty dreszczem do rdzenia. Jałem bez namysłu wymachiwać ramionami na wszystkie strony, ponad sobą i dokoła. Nie czułem nic; wszelako bałem się postąpić naprzód, by nie natknąć się na ścianę g r o b u. Pot sączył się ze mnie wszystkimi porami i w zimnych, ciężkich kroplach osadzał się na mym czole. Katusza niepewności wzmożła się w końcu ponad me siły, jałem ostrożnie stapać z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Oczy wychodziły mi z orbit, spodziewałem się, iż dojrzę wreszcie chociażby najniklejszy promyk światła. Uszedłem kilka kroków, lecz zewsząd ziała czerń i próżnia. Odetchnąłem swobodniej. Widocznie los mój nie był jeszcze najgorszy.

Kiedy posuwałem się ostrożnie naprzód, zaroilo się w mej pamięci od tysiąca pogłosek na temat okropności w Toledo. O więzieniach opowiadano sobie niestworzone rzeczy — baśnie, jak mniemałem — lecz tak dziwaczne i tak upiorne, iż nie dadzą się powtórzyć, chyba tylko szeptem. Czy w tym podziemnym świecie mroków miałem zginać z głodu, czy też zgotowano mi śmierć jeszcze straszniejszą? Poznałem dokładnie charakter mych sędziów i wiedziałem, że nie minie mnie śmierć, i to okrutniejsza, niż to bywało zazwyczaj. Kiedy i w jaki sposób miało to się dokonać? — oto jedyna myśl, która mnie zastanawiała i niepokoiła.

Moje wyciągnięte ręce napotkały w końcu na jakąś silną zaporę. Była to ściana pozornie kamienna, bardzo gładka, oślizła i zimna. Jałem stapać wzdłuż niej ostrożnie i z niedowierzaniem, rozbudzonym przez niektóre wieści. Atoli to przedsięwzięcie żadną miarą nie mogło mnie upewnić co do rozmiarów mego więzienia. Gdybym je nawet okrążył, powróciłbym na miejsce, bynajmniej tego nie zauważywszy, tak dalece mur wydawał się jednostajny. Począłem więc szukać scyzoryka, który miałem w kieszeni, gdy mnie wprowadzono na salę sądową, ale już go nie było. Zamiast ubrania miałem na sobie szorstką włosiennicę. Zamierzałem wetknąć ostrze scyzoryka w szczelinę ściany, by w ten sposób oznaczyć punkt wyjścia. Brak scyzoryka — przeszkoda dość błaha — wydawała mi się w pierwszej chwili nie do pokonania, tak bezładnie błąkały się moje myśli. W końcu oddarłem rąbek więziennego odzienia i rozciągnąłem go na ziemi pod kątem prostym do ściany. Kołując omackiem musiałem wreszcie dojść do tego strzępu, okrążywszy całe pomieszczenie, a przynajmniej tak sądziłem. Pomyliłem się jednak: sam nie wiem, czy co do wielkości więzienia, czy też co do własnych sił. Ziemia była mokra i śliska. Szedłem ślaniając się co chwila, wreszcie potknąłem się i upadłem. Zmogło mnie niezmiernie znużenie i zasnąłem na miejscu.

Kiedym się ocknął i wyciągnął przed siebie rękę, znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Zbyt byłem wyczerpany, by się nad tym zastanawiać, pożądliwie zaspokoilem głód i pragnienie. Wkrótce ruszyłem w dalszą drogę dookoła mego więzienia i z niemałym trudem dotarłem w końcu do strzępu włosiennicy. Do chwili upadku naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki, kiedym zaś podjął na nowo mój pochód, uszedłem jeszcze czterdzieści osiem, nim stanąłem w oznaczonym miejscu. Zrobiłem więc ogółem sto kroków. Licząc dwa kroki na jeden jard, wywnioskowałem, iż więzienie moje ma pięćdziesiąt jardów obwodu. Napotkałem atoli wiele załamek w murze i dlatego nie zdołałem zdać sobie sprawy z kształtu tego podziemia, nie mogłem bowiem oprzeć się przeświadczeniu, iż przebywam w piwnicy.

W poszukiwaniach moich nie było celu, a tym mniej nadziei; nie zaprzestałem ich tylko przez jakąś nieokreśloną ciekawość. Oddaliwszy się od ściany, postanowiłem przebyć me więzienie w poprzek. Zrazu szedłem nadzwyczaj ostrożnie, gdyż posadzka, aczkolwiek z twardego na pozór materiału, była zawodna i śliska. Wszelako później nabrałem otuchy i nie wahałem się stąpać pewniej, starając się o ile możności nie zboczyć z domniemanej poprzecznej linii. Zrobiłem w ten sposób około dziesięciu lub dwunastu kroków, gdy udarty rąbek włosiennicy zaplątał mi się pod nogi. Upadłem jak długi twarzą do posadzki.

Byłem tak oszołomiony upadkiem, iż przeoczyłem zrazu pewną niepokojącą okoliczność, która jednakże w chwilę później, kiedym jeszcze leżał na ziemi, zwróciła moją uwagę. Oto moja broda spoczywała na posadzce więzienia, natomiast usta i górna część głowy, jakkolwiek nachylone jeszcze niżej, już nie dotykały niczego. Równocześnie czoło owiały mi jakieś niezdrowe wyziewy i osobliwy zapach stęchłych grzybów wtargnął do moich nozdrzy. Wyciągnąłem ramię przed siebie i przekonałem się z przerażeniem, że upadłem na sam skraj okrągłej studni, której rozmiarów nie mogłem — rzecz prosta — zbadać od razu. Dotykając omackiem brzegów cembrowiny, zdołałem odłupać jakiś okruch i rzuciłem go w głębię. Przez kilka sekund słyszałem, jak spadał obijając się w przelocie o ściany czeluści; w końcu rozległ się posępny plusk wody, któremu zawtórowały rozległe echa. W tej samej chwili doleciał mnie z góry szmer jak gdyby pośpiesznie otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Równocześnie nikła smuga świetlna mignęła w mrokach i zgasła.

Zdałem sobie sprawę z losu, który mi zgotowano, i błogosławiłem przypadek, co przyszedł w porę, by mnie ocalić. Gdybym nie był upadł, i postąpił jeszcze o krok dalej, byłbym przepadł dla świata na zawsze. W ten rodzaj śmierci, której unikałem, nie wierzyłem, przypisywałem to wersjom krążącym o inkwizycji. Ofiary jej okrucieństwa miały do wyboru zgon wśród najstraszniejszych mąk cielesnych lub zatrąę wśród najprzeraźliwszych udręczeń duchowych. Mnie to drugie przeznaczono w udziale. Długie cierpienia rozprzęgły mi nerwy do tego stopnia, iż wzdrygałem się na dźwięk własnego głosu i ze wszech miar nadawałem się do tortury, która mnie oczekiwała.

Drżąc na całym ciele, wróciłem omackiem pod ścianę i postanowiłem szczeznąć tam raczej, niż narazić się znów na niebezpieczeństwo studzien, których — jak sobie wyobrażałem — w różnych miejscach mojego więzienia musiało być więcej. W innym usposobieniu umysłu nie zbywałoby mi na odwadze i byłbym przyspieszył kres mej niedoli, rzucając się w jedną z tych czeluści, ale podówczas byłem nikczemnym tchórzem. Nie mogłem również zapomnieć o tym, co zdarzyło mi się ongi czytać o tych studniach, mianowicie, iż nagłej śmierci nie miały one bynajmniej na celu.

Targany rozterką czuwałem długo, w końcu jednak zasnąłem powtórnie. Po przebudzeniu znów znalazłem obok bochenek chleba i dzban wody. Trawiło mnie nieznośne pragnienie, więc jednym tchem wychyliłem naczynie do dna. Widocznie domieszano czegoś do wody, gdyż zaraz po jej wypiciu zmorzyła mnie nieprzewyciężona senność. Ogarnął mnie sen głęboki, podobny do śmierci. Nie wiem, jak długo spałem; kiedym jednak otworzył oczy, dostrzegłem otaczające mnie przedmioty. Jakieś dziwne, siarczane błyski, których pochodzenia nie umiałem zrazu sobie wytłumaczyć, pozwoliły mi zdać sobie sprawę z rozmiarów i wyglądu więzienia.

Co do jego wielkości pomyliłem się bardzo. Cały obwód podłogi nie przekraczał dwudziestu pięciu jardów. Spostrzeżenie to sprawiło mi na chwilę niewymowną, lecz jakże błahą przykrość; błaha ona była zaiste, gdyż w straszliwych okolicznościach, w jakich się znajdowałem, cóż mogło mnie obchodzić mniej od rozmiarów mojego więzienia? Umysł mój jednak żarłocznie chwycił szczegóły, więc gorączkowo zacząłem obliczać błąd popełniony przy pomiarach. W końcu zaświtała mi prawda. Gdym po raz pierwszy przystąpił do badania, naliczyłem pięćdziesiąt dwa kroki do chwili upadku, znajdowałem się przeto o krok lub dwa od strzępu włosiennicy, co znaczyło, iż okrążyłem podziemie niemal dokoła. Potem zasnąłem,

a po przebudzeniu poszedłem widać z powrotem i na tej podstawie wywnioskowałem, iż obwód wynosi blisko dwa razy więcej niż w rzeczywistości. W rozterce nie zauważyłem, iż zacząłem obchód mając ścianę od strony lewej, a skończyłem go, mając ścianę po prawej ręce.

Myliłem się również co do kształtu mej celi. Szukając po omacku drogi, napotkałem wiele zagłębień i w ten sposób wytworzyłem sobie przeświadczenie o wielkiej nieregularności pomieszczenia. Jakże przemożny jest wpływ nieprzeniknionych mroków na człowieka rozbudzonego z letargu lub ze snu! Wgłębienia te były po prostu płytkimi wnękami, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Ogólny kształt więzienia był czworoboczny. Domniemany mur wydał mi się teraz ścianą z żelaza czy też innego metalu, utworzoną z olbrzymich płyt, których spojenia stwarzały złudzenie owych wgłębień. Całą powierzchnię tej metalowej budowy pokrywały nieudolnie nabazgrane, potworne, trupie symbole, poczęte z zabobonu mnichów. Wszystkie ściany szpeciły wyzierające zewsząd groźne postacie szatanów i kościotrupów jak również innych jeszcze straszniejszych zjaw. Zauważyłem, że postacie tych potworów były dość wyraźne, natomiast barwy wyblakły i ściemniały, jak gdyby pod wpływem wilgoci. Z kolei przyjrzałem się posadzce. Była kamienna. Pośrodku ziała okrągła studnia, której paszczy udało mi się uniknąć. Wbrew moim przypuszczeniom była tylko jedna.

Wszystko to widziałem niewyraźnie i z niemałym wysiłkiem, gdyż warunki w czasie mego snu uległy zasadniczej zmianie. Leżałem obecnie na wznak, rozłożony na niskim, drewnianym tapczanie. Przytwierdzono mnie do niego mocno, długim rzemieniem, podobnym do popręgu. Opasywał on kilkakrotnie moje ciało, pozostawiając swobodę ruchu tylko głowie i lewemu ramieniu, lecz tylko na tyle, iż z największym trudem mogłem sięgnąć po strawę do glinianej miski stojącej obok na posadzce. Ku swojemu przerażeniu zauważyłem, iż dzban zabrano. Powtarzam: ku swojemu przerażeniu, gdyż trawiło mnie niewysłowione pragnienie. Widocznie prześladowcy chcieli je spotęgować, gdyż w misce znajdowało się mięso, ogromnie przesolone.

Jąłem badać oczyma strop więzienia. Znajdował się on na wysokości trzydziestu lub czterdziestu stóp i był zbudowany podobnie jak ściany boczne. Na jednej z jego belek osobliwsza jakaś postać przykuła moją uwagę. Był to wizerunek Czasu, pojęty w ten sposób, jak się go zazwyczaj wyobraża, z tą wszakże różnicą, iż zamiast kosy trzymał on coś, co na pierwsze wejrzenie wydało mi się olbrzymim wahadłem, podobnym do tych, jakie się widuje przy starodawnych zegarach. Było atoli w nim coś, co zniewoliło mnie do bardziej drobiazgowych oględzin. Patrząc wprost w górę (malowidło znajdowało się bezpośrednio nade mną), miałem wrażenie, iż wahadło się porusza. W chwilę później wrażenie to stało się pewnością. Wahania były krótkie i powolne. Przyglądałem się temu czas jakiś z lękiem, lecz z większym jeszcze zdziwieniem. W końcu znużony opieszałością ruchu, skierowałem wzrok ku innym przedmiotom, znajdującym się w celi.

Lekki szmer zwrócił moją uwagę. Spojrzałem na posadzkę i dostrzegłem kilka olbrzymich szcurów. Wypełzły ze studni, która znajdowała się na prawo. Zbiegły się tłumnie, zwabione zapachem mięsa, świecąc żarłocznymi oczyma. Kosztowało mnie wiele cierpliwości i wysiłku, by się od nich opędzić.

Upłynęło pół godziny, a może nawet więcej (nie byłem w stanie określić dokładniej czasu), zanim podniosłem oczy. Ujrzałem zjawisko, które mnie przejęło zdumieniem i przerażeniem. Zasięg wahadła powiększył się niemal o jard. Jednocześnie znacznie zyskało na szybkości. Najwięcej jednak zaniepokoił mnie fakt, że wahadło się obniża. Zauważyłem także, iż dolna jego część miała kształt półksiężyca, wykutego z lśniącej stali, którego długość od jednego krańca do drugiego wynosiła mniej więcej stopę. Szpice i krawędź wypukła wyostrome były widocznie na podobieństwo brzytwy. Część osadzona na potężnym brązowym trzpieniu kołysała się, ze świstem przecinając powietrze.

Nie mogłem już dłużej wątpić, iż było to narzędzie kaźni, zgotowanej mi przez pomy-

słowych w swym okrucieństwie mnichów. Siepacze inkwizycji dowiedzieli się, iż nie uszło mej bacności istnienie studni — studni, przeznaczonej dla takich jak ja zuchwałych odszczepieńców, stanowiącej wyobrażenia piekła i uważanej powszechnie za Ultima Thule * wszelkiej katuszy. Nie wpadłem tam jedynie dzięki łaskawości przypadku, atoli wiedziałem, iż niespodzianki i podstępny w stosowaniu tortur stanowiły niepoślednią część potwornego rytuału śmiertelnych mąk więziennych. Czeluść zawiodła oczekiwania tych demonów, więc nie było celu strącać mnie do niej przemocą. Nie pozostawało przeto nic innego, jak wybrać mi formę zguby odmienną i łagodniejszą. Łagodniejszą! Byłem bliski zgonu, a jednak uśmiechałem się niemal na myśl o takim słowa tego zastosowaniu.

Po cóż wspominać o długich, nieludsko długich godzinach trwogi, spędzonych na liczeniu drgań rozhuśtanej stali? Cał po calu, ruchem dającym zauważyć się jedynie w chwilach przerw, które były dla mnie wiekami, obsuwała się ona coraz niżej i niżej! Dnie całe minęły — może nawet wiele dni — zanim ostrze tak nisko zawisło nade mną, iż jęło mnie muskać swym przenikliwym tchnieniem. Zapach stali przeniknął do mych nozdrzy. Błagałem, naprzykrzałem się niebu modlitwami, by spadek wahadła przyspieszył. Zapamiętawszy się w szale, starałem się wyciągnąć wzwyż na spotkanie straszliwego, rozkołysanego sierpa. To znów spływał na mnie spokój; leżałem uśmiechając się do tego skrzącego narzędzia zatury, podobnie jak dziecię na widok jakiegoś niezwykłego cacka.

I znowu przyszedł okres zupełnego bezczucia; był on wszakże niedługi, gdyż odzyskawszy przytomność, nie stwierdziłem znacniejszego obniżenia się wahadła. A zresztą — kto wie? Czuwały przecież demony, które spostrzegłszy me omdlenie, mogły dowolnie zatrzymać ruch. Przyszedłszy do siebie, poczułem się niewymownie wyczerpany i osłabiony jak po przewlekłej chorobie. Ale nawet wśród mąk organizm mój łaknął pożywienia. Z niemałym trudem wyciągnąłem lewą rękę, tak daleko, jak na to więzy pozwalały, i zabrałem resztkę strawy, pozostawioną mi przez szczury. Gdy mąkę podniosłem do ust, drgnęła mi w mózgu niejasna myśl — promyk radości, nadziei. Cóż mnie jednak mówić o nadziei? Jak wspomniałem, była to myśl niejasna; ludzie miewają myśli, które nigdy nie osiągają pełni. Uczułem w jej drganiu nadzieję i radość, lecz zrozumiałem także, iż zgasła w zawiązku. Na próżno siliłem się, by ją odtworzyć, dopełnić. Długie katusze unicestwiły niemal moje władze umysłowe. Stępiełem — stałem się idiotą.

Ruch wahadła odbywał się po linii prostopadłej do mojej postaci. Widziałem, iż ów półksiężyc miał mnie ugodzić w okolicę serca. Czekałem, aż werźnie się w tkankę mojego odzienia — powróci i werźnie się znowu: raz za razem! Zdawałem sobie sprawę, iż pomimo ogromnego zasięgu (wynosił on jakieś trzydzieści lub więcej stóp) i pomimo syczącego rozmachu, z jakim odbywał się jego ruch, zdolne roztrzaskać nawet te lite, żelazne ściany mordercze ostrze na razie nie dokáže niczego więcej prócz rozszarpania mego odzienia. Na tej myśli utknąłem. Nie śmiałem zapuszczać się dalej. Trwałem przy niej z zawziętym uporem, jak gdybym tą zaciętością mógł powstrzymać kołyszące się wysoko ostrze brzeszczotu. Siliłem się, by pochwycić szmer sierpa, przecinającego mą włosienicę, by zdać sobie sprawę z owego dziwnie przenikliwego uczucia, jakim odezwałoby się to w nerwach. Rozmyślenia te przejęły mnie dreszczem.

Wahadło obsuwało się niżej, coraz niżej. Z obłądną rozkoszą porównywałem szybkość jego spadku z szybkością odchyień. W prawo — w lewo, z rozmachem i z potępieńczym zgrzytem! I znowu czyha na me serce spokojnie jak tygrys! Śmiałem się i wyłem na przemian, w miarę jak jedna lub druga myśl brała nade mną przewagę.

Niżej — niezmiennie, niezawodnie, coraz niżej! Śmignęło o trzy cale od mojej piersi! Zapamiętałem, wściekle wyęczałem siły, by oswobodzić lewe ramię. Było wolne tylko od łokcia po dłoń. Z ogromnym trudem mogłem nim sięgnąć do misy stojącej obok i do ust, ale nie dalej. Gdybym był mógł zerwać więzy powyżej łokcia, byłbym uchwycił wahadło i starał się

* Ultima Thule — mityczna wyspa na krańcach świata (przyp. tłum).

je zatrzymać, oczywiście z nie większym skutkiem, niż gdybym chciał unieruchomić lawinę!

Wciąż niżej — nieodparcie, nieustannie coraz niżej! Dyszałem i podrywałem się za każdym drgnieniem. Wiłem się kurczowo po każdym wahnięciu. Oczy moje biegły za każdym odchyleniem z zapamiętałością obłądnej rozpaczy i zamykały się spazmatycznie, gdy wahało wracało, jakkolwiek śmierć mogła mi dać tylko ukojenie — oh, jakież niewysłowione ukojenie! Mimo to wszystkie moje nerwy prężyły się na myśl, iż jeden lekki ruch maszyny może zanurzyć ten ostry, rozmigotany brzeszczot w mej piersi. To nadzieja napinała te nerwy i wstrząsała ciałem, ta sama nadzieja, co triumfuje przy łożu tortury i nie opuszcza skazańców, nawet w więzieniach inkwizycji.

Wymiarkowałem, iż po jakichś dziesięciu lub dwunastu nawrotach ostrze stali zetknie się z moją odzieżą. I wraz z tym spostrzeżeniem zawzięty, skupiony spokój rozpaczy owładnął nagle mą duszą. Od wielu godzin, a może nawet od wielu dni po raz pierwszy myślałem. I oto przyszło mi do głowy, że pas czy taśma, którą mnie skrepowano, nie była nigdzie przecięta. Nie miałem na sobie oddzielnych więzów. Pierwsze muśnięcie ostrego na kształt brzytwy półksiężycy przetnie poprzecznie rzemień w jakimś miejscu i z pomocą lewej ręki będę mógł go odwinąć. Lecz jak okropna stanie się wówczas bliskość tej stali! Jak straszne w następstwach najłżejsze nawet jej drgnienie! A zresztą czyż podobna, by moi prześladowcy nie przewidzieli i nie zapobiegli tej możliwości? Czyż można było przypuszczać, że opłoty rzemienia krępującego moją pierś wypadną na linii wahadła? Drżąc, by ta nikła i — jak się zdawało — ostatnia nadzieja nie spełzała na niczym, podźwignąłem głowę, o tyle, iż mogłem dokładnie obejrzeć piersi. Pas spowijał szczelnie całe ciało we wszystkich kierunkach, ale w zasięgu złowrogiego ostrza go nie było.

Zaledwie zdążyłem opuścić głowę, a już zaświtało mi, co najwłaściwiej dałoby się określić jako dopełnienie owej niejasnej myśli o wyzwoleniu, o której już poprzednio napomknąłem, a która połowicznie tylko i niejasno przewinęła mi się w mózgu, kiedy podnosił pokarm do spieczonych warg. Zawitała tedy myśl cała — nikła, mdła jeszcze, ledwie sprecyzowana, ale zupełna. Z porywczą rzutkością rozpaczy przystąpiłem do jej wykonania.

Od wielu już godzin bezpośrednio poblizko niskiego tapczana, na którym leżałem, roiło się po prostu od szczurów. Były dzikie, żarłoczne i zuchwale; zwracały na mnie swe szkliste, czerwone ślepia, jak gdyby oczekując, kiedy znieruchomieję i stanę się ich łupem. „Do jakiejże stawy — myślałem sobie — nawykły one w tej studni?”

Daremne były moje wysiłki, by je odpędzić; pożarły całą zawartość miski z wyjątkiem niewielkiej odrobiny. Z przyzwyczajenia już nie ustawałem w wymachiwaniu ręką dokoła półmiska, atoli podświadoma jednostajność ruchu pozbawiała go w końcu skuteczności. Plugastwo było tak żarłoczne, iż niejednokrotnie wpijało mi swe ostre zęby w palce. Pozostałymi ochłapami tłustego i pieprznego mięsiwa natarłem tedy mocno me więzy wszędzie, gdzie mogłem dosięgnąć, po czym zapałszy oddech, zastygłem w bezruchu.

Zmiana ta zrazu zatrwożyła i przeraziła żarłoczne zwierzęta. Zaniepokojone pierzchły; niektóre skryły się do studni. Trwało to wszakże niedługo. Nie przeceniłem ich żarłoczności. Widząc, iż leżę nieruchomo, dwa czy trzy najśmielsze wskoczyły na tapczan i jeły obwąchiwać rzemień. Był to znak do gromadnego najścia. Ze studni wypadały coraz to nowe stada. Obiegły tłumnie tapczan, wdarty się na niego i setkami okryły me ciało. Nie płoszył ich bynajmniej miarowy ruch wahadła. Unikając jego ciosów, zabrały się do ociekających tłuszczem rzemieni. Szczurów przybywało coraz więcej, roiły się na mnie i tłoczyły. Pełzły mi po szyi; chłodne ich pyszczki łechtały mnie w usta, dusiłem się niemal pod ich przygniatającym natłokiem. Odraza, dla której nie mam nazwy, wezbrała w mej piersi i ciężkim osadem zmroziła mi serce. Ale czułem, iż jeszcze chwila, a będzie po wszystkim. Zupełnie wyraźnie doznawałem wrażenia, iż więzy poczynają się rozluźniać. Byłem pewien, że puściły już w jednym miejscu. Z nadludzką stanowczością leżałem nieruchomo.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach: nie cierpiałem na próżno. W końcu uczu-

łem, iż jestem wolny. Rzemień opadł ze mnie strzępami. Ostrze wahadła ocierało się już o moje piersi. Werznięto się we włosiennicę. Przecięto pod spodem bieliznę. Jeszcze dwa wahnienia — i przenikliwy wstrząs bólu targnął moimi nerwami. Lecz chwila ocalenia nadeszła. Na skinienie mej ręki zbawcy moi pierzchli w nieładzie. Wolno, ostrożnie, chyłkiem wypeł- złem z opłotów rzemienia poza zasięg sierpa. Na razie byłem wolny.

Wolny — lecz w szponach inkwizycji! Zaledwie zdążyłem zejść z drewnianego łoża tortur na kamienną posadzkę więzienia, gdy ruchy piekielnej maszyny ustały i jakaś niewidzialna siła pociągnęła ją w górę, poprzez otwór w sklepieniu. Była to nauczka, od której serce zawrzało mi rozpaczą. Nie ulegało wątpliwości iż każdy mój ruch śledzono. Wolny! — uszedłem męczeńskiej śmierci tylko po to, by paść ofiarą czegoś jeszcze gorszego, jakiejś potworniejszej zguby. Myśląc o tym, wodziłem nerwowo oczyma po żelaznych sztabach, które mnie więziły. Rzecz dziwna! W celi zaszła widocznie jakaś zmiana, z której na razie nie umiałem zdać sobie należytej sprawy. Owładnęło mną jakieś sennie roztargnienie i na czas pewien oddałem się jałowemu, bezradnym rozmyśleniom. Spostrzegłem wówczas po raz pierwszy źródło owego siarczanego światła, rozwidniającego celę. Przenikało ono ze szczeliny, szerokiej na pół cala, obiegającej wokół całej więzienia tuż przy samej ziemi, tak iż ściany zdawały się nie dotykać i w rzeczywistości nie dotykały wcale swej podstawy. Na próżno usiłowałem wyjrzeć przez ten otwór.

Kiedym zniechęcony powstawał z ziemi, pojąłem nagle tajemnicę zmian, które zaszły w celi. Zauważyłem już dawniej, iż wprawdzie zarysy figur, widniejących na ścianach, dość były wyraźne, lecz barwy ich jak gdyby ściemniały i przygasły. Otóż barwy te jeły nabierać teraz kolorytu i skrzyć się tak przeraźliwie, iż widmowe, szatańskie bohomyzy przybrały wygląd, mogący wstrząsnąć nawet silniejszymi od moich nerwami. Ze wszystkich miejsc, gdzie ich przedtem nie było, wzywały ku mnie dzikie, upiorne, rozgorzałe ślepie demonów, jarząc się posępnym blaskiem ognia, co do którego na próżno starałem się przekonać, iż jest nierzeczywisty.

Nierzeczywisty! Kiedym wszakże odetchnął, uczułem w nozdrzach ciepły podmuch rozgrzanego żelaza! Duszącymi wzywaniami zapełniło się więzienie! Coraz gorętszym żarem płonęły oczy spoglądające na moje męczarnie! Coraz szczodrzejsza purpura rozlewała się po krwawych, potwornych malowidłach. Zabrakło mi tchu. Nie ulegało wątpliwości, co mieli na celu moi prześladowcy — oh, jakże szatańscy i nieubłagani! Cofnąłem się ku środkowi celi, byle dalej od rozżarzonego metalu. Wobec grozy ognistej śmierci myśl o chłodzie wiejącym ze studni była dla duszy mej balsamem. Podbiegłem ku jej grożącej śmiercią krawędzi. Zapuściłem w głąb badawcze spojrzenie. Łuna, która biła od rozżarzonego stropu, rozwidniała najtajniejsze czeluście studni. Na krótką chwilę duch mój wdrygał się pojąć, co tam ujrza- łem. W końcu jednakże zwyciężyło, utorowało sobie drogę do mej duszy, wypaliło się ogni- stym piętnem w moim struchlałym mózgu. Brak mi słów! O zgrozo! Raczej wszystko, byle nie to! Z krzykiem szarpnąłem się wstecz i ukrywszy twarz w dłoniach, zaniósłem się gor- zkim łkaniem.

Skwar wzmagął się szybko, a kiedy znów podniosłem oczy, zadygotałem, jak gdybym był w gorączce. Dokonała się nowa zmiana w celi. Przejawiła się tym razem w kształcie. Podobnie jak przedtem, na próżno starałem się w pierwszej chwili pojąć i zrozumieć, co zaszło. Niedługo wszakże trwała moja niepewność. Dwukrotne moje ocalenie przyspieszyło zemstę inkwizycji; niepodobna było igrać z widmem grozy. Więzienie miało kształt czworo- boku. Otóż zauważyłem, iż dwa jego żelazne kąty stały się nagle ostrymi, dwa zaś pozostałe rozwartymi. Straszliwe to przeobrażenie odbywało się szybko, z głuchym chrzęstem i przera- żliwym zgrzytem. W oka mgnieniu cela przybrała kształt rombu. Lecz nie był to jeszcze koniec zmian. Ani go zresztą nie oczekiwałem, anim go nie pragnałem. Chciałem przytulić do piersi rozpalone do czerwoności ściany niby szatę wiekuistego spokoju. „Śmierci! — woła- łem — jakiegokolwiek śmierci, byle nie w studni!” Co za szaleństwo! Czyż podobna było

wątpić, iż rozpalone żelazo miało przemocą strącić mnie do niej? Czy mogłem oprzeć się żarowi, a gdyby nawet to się powiodło, to czyż nie uległbym wobec naporu? Romb składał się coraz szybciej nie pozostawiając mi czasu na rozmyślanie. Jego środek, gdzie rzecz prosta pozostawało najwięcej miejsca, przypadał na sam otwór ziejącej czeluści. Rzuciłem się wstecz, lecz zwierające się ściany parły mnie niepowstrzymanie naprzód. W końcu dla mego poparzonego i wijącego się ciała nie pozostało ani piędzi ziemi. Zaprzestałem oporu, lecz tortura wydarła z mej duszy przeciągły, donośny, ostateczny krzyk rozpacz. Uczułem, że chwiję się na krawędzi... odwróciłem oczy...

Wtem ozwał się zgiewk głosów ludzkich, gromki odzew nieprzeliczonych surm i wściekły poryk jak gdyby tysiąca grzmotów! Czyjaś wyciągnięta ręka uchwyciła mnie za ramię, gdym bezwładny staczał się w otchłań. Była to ręka generała Lasalle'a. Wojska francuskie wkroczyły do Toledo. Inkwizycja wpadła w ręce swych nieprzyjaciół.

Przełożył Stanisław Wyrzykowski

CHARLES ALLSTON COLLINS

Charles Allston Collins (1828—1873) był jednym z głównych współpracowników czasopism „Household words” i „All the Year Round”, które kolejno wydawał Dickens w latach 1850—1870. Jego twórczość jest dzisiaj zupełnie zapomniana, a pamięć o nim przetrwała tylko dlatego, że do spółki z Dickensem napisał kilka opowiadań sensacyjnych. Prawdopodobnie wyglądało to tak, że Dickens przerabiał jego rękopisy.

Charles Dickens (1812—1870) urodził się w Portsmouth jako syn pracownika Urzędu Płatniczego Marynarki. Ciężkie dzieciństwo i młodość posłużyły mu za osnowę początkowych rozdziałów autobiograficznej powieści „Dawid Copperfield” (1850), uchodzącej za arcydzieło jego twórczości. Zaczynał karierę jako reporter kolejno sadowy i parlamentarny, sławę zdobył publikowana w odcinkach powieścią humorystyczną „Klub Pickwicka” (1836—1837). Z licznych późniejszych powieści najbardziej znane są „Oliwer Twist” (1838), „Nicolas Nickleby” (1839), „Mała Dorrit” (1857), „Opowieść o dwu miastach” (1859) i „Wielkie nadzieje” (1800—1861). Jakkolwiek krytycy zarzucają mu skłonność do sentymentalizmu i melodramatycznych sytuacji, tanie efekty komiczne i nieumiejętność kompozycji, Dickens ma opinię jednego z najwybitniejszych pisarzy angielskich; uzasadnia ją przede wszystkim umiejętność malowania niezwykle żywych typów ludzkich, humor i realistyczny obraz życia niższych warstw społecznych Anglii XIX stulecia. Motywy fantastyczne wprowadzał najczęściej w serii dorocznych powiastek przygotowywanych na Boże Narodzenie, z których najslawniejsze są „Opowieść wigilijna” (1843) i „Świerszcz za kominem” (1845). Opowiadanie „Proces o morderstwo” powstało w roku 1865.

PROCES O MORDERSTWO

Zawsze obserwowałem powszechny brak odwagi — nawet wśród osób o wysokiej inteligencji i kulturze — gdy chodzi o dzielenie się przeżyciami duchowymi, które należą do rzędu dziwnych. Prawie każdy obawia się, że to, co opowie z tej dziedziny, nie znajdzie żadnego odpowiednika ani też oddźwięku w wewnętrznym życiu słuchacza, że może wydać się podejrzanym, zostać wyśmiane. Prawdomówny podróżnik, który oglądałby jakieś nadzwyczajne stworzenie na kształt węża morskiego, wspomniałby o tym bez obawy, gdyby jednak ten sam podróżnik doznał jakiegoś szczególnego przeczucia czy impulsu albo skojarzenia myśli, miał tak zwaną wizję czy osobliwy sen albo odniósł jakieś inne godne uwagi wrażenia natury psychicznej, wahałby się poważnie, nim by się do tego przyznał. Tej to powściągliwo-

ści przypisuję w znacznej mierze tajemniczy mrok, jaki otacza te tematy.

Nie mamy zwyczaju komunikowania naszych doświadczeń w tej subiektywnej dziedzinie przeżyć, tak jak czynimy z doświadczeniami odnoszącymi się do obiektywnej rzeczywistości. W rezultacie ogólny kapitał doświadczeń w tym względzie wydaje się czymś wyjątkowym i jest takim w istocie, ponieważ cechuje go żalosna niekompletność.

Przez to, co zamierzam opowiedzieć, nie chcę bynajmniej wysuwać, sprzeciwiać się czy podtrzymywać jakiejś teorii. Znana mi jest historia księgarza z Berlina, studiowałem sprawę żony zmarłego astronoma królewskiego, opowiedzianą przez sir Dawida Brewstera i badałem najdrobniejsze szczegóły sprawy o wiele bardziej godnej uwagi, a mianowicie ukazywanie się upiora, którego widywano w kręgu moich osobistych znajomych. Co się tyczy tej ostatniej historii, sadzę, że powinienem nadmienić, iż ulegająca tej halucynacji kobieta nie była w najmniejszym stopniu ze mną spokrewniona. Błędne mniemanie co do tego mogłoby doprowadzić do wyjaśnienia w sposób zupełnie bezpodstawny części, ale tylko części tego, co mnie się przytrafiło. Zdarzenia tego nie można przypisywać jakimś szczególnym cechom, stanowiącym moje dziedzictwo, gdyż nigdy przedtem ani też nigdy potem nie doświadczyłem niczego podobnego.

Nie ma znaczenia, jak dawno — czy też jak niedawno temu popełniono w Anglii pewne morderstwo, które zwróciło powszechną uwagę. Słyszeliśmy aż za dużo o mordercach, w miarę jak po kolei zyskiwali okrutną sławę i rozgłos, i gdybym tylko mógł, chętnie pogrzebałbym w otchłani niepamięci tego właśnie złoczyńcę, tak jak ciało jego pogrzebano w Newgate Jail. Celowo powstrzymuję się od udzielania konkretnych wskazówek co do osoby tego przestępcy.

Kiedy morderstwo zostało wykryte, najmniejsze podejrzenie nie padło — a raczej gwoli ścisłości powinienem powiedzieć, że nigdzie urzędowo nie zaznaczono, by padło — na człowieka, którego później postawiono przed sądem. Ponieważ w gazetach nie uczyniono o nim żadnej wzmianki, jest przeto oczywiste, że niepodobieństwem byłoby znaleźć w nich jakikolwiek jego opis. Ważnym jest, by o tym fakcie pamiętać.

Kiedy przy śniadaniu rozłożyłem poranną gazetę zawierającą wiadomość o wykryciu morderstwa, zainteresowałem się tym głęboko i czytałem sprawozdanie z ogromną uwagą. Przeczytałem je dwukrotnie, jeśli nie trzykrotnie. Zbrodnię popełniono w sypialni; kiedy odłożyłem gazetę, doznałem uczucia, jak gdyby coś błysnęło, poderwało się, przepłynęło... nie wiem, jak to nazwać, żadne słowo nie opisze tego zadowalająco... i w mgnieniu tym ujrzałem, jak owa sypialnia przesuwa się przez mój pokój, niby nieprawdopodobny obraz wymalowany na płynącej wodzie. Choć przemknęła błyskawicznie, obraz był wyraźny, tak wyraźny, że z ulgą zauważyłem brak zwłok na łóżku.

Dziwnemu temu wrażeniu uległem nie w jakimś romantycznym miejscu, ale w jednym z wynajętych pokojów na Piccadilly, tuż przy rogu St. James's Street. Było to dla mnie coś zupełnie nowego. Siedziałem w tym momencie na fotelu i przeżywając ową sensację, doznałem szczególnego wstrząsu, który sprawił, że fotel zmienił swą pozycję. Muszę jednak zaznaczyć, że przesuwał się łatwo, gdyż był to fotel na kółkach. Podeszedłem do jednego z okien (pokój jest na pierwszym piętrze i ma dwa okna), chciałem popatrzeć na ruch uliczny, by wzrok mi odpoczął. W ten poranek jesienny ulice pełne były blasku i wesela. Wiał silny wiatr. Gdy wyglądałem przez okno, porwał z parku stos zwiędłych liści i w nagłym porywie ukreślił z nich kolumnę. Gdy kolumna runęła i liście rozpierzchły się, ujrzałem po przeciwnej stronie ulicy dwóch mężczyzn idących w kierunku wschodniej części miasta. Szli jeden za drugim. Ten pierwszy często oglądał się przez ramię. Drugi szedł za nim w odległości około trzydziestu kroków, z prawą ręką podniesioną gestem groźby. Zainteresował mnie przede wszystkim ten osobliwy, nieruchomy gest groźby w miejscu tak publicznym, jak ta ruchliwa ulica, a potem okoliczność jeszcze dziwniejsza: fakt, że nikt na to nie zwracał uwagi. Szlak ich drogi wśród innych przechodniów układał się dziwnie prosto jak na spacer chodnikiem

uczęszczanej ulicy, a nie spostrzegłem, by ktokolwiek usunął się przed nimi, dotknął ich lub obejrzał się za nimi. Mijając moje okna, obaj spojrzeli na mnie. Twarze ich widziałem bardzo wyraźnie i czułem, że zawsze bym tych ludzi poznał, choć bynajmniej nie dlatego, żebym świadomie zanotował w pamięci jakieś szczegóły ich fizjonomii — prócz chyba tylko tego, że pierwszy z nich odznaczał się bardzo ponurym wyrazem twarzy, a idący za nim miał cerę barwy nieczystego wosku.

Jestem kawalerem; mieszka ze mną tylko mój lokaj z żoną. Pracuję w filii pewnego banku i chciałbym, aby moje obowiązki jako kierownika departamentu były tak lekkie, jak to sobie na ogół ludzie wyobrażają. One to właśnie zatrzymały mnie w mieście, choć bardzo potrzebny mi był wyjazd. Nie chorowałem, ale też i nie czułem się dobrze. Czytelnik może wysnuć wszelkie wnioski jakie rozsądek pozwala wysnuć z faktu, że byłem wtedy stale znużony, przygnębiało mnie poczucie monotonii życia i cierpiałem na „lekką niestrawność”. Mam zapewnienie znakomitego lekarza opiekującego się mną, że stan mego zdrowia w tym czasie nie usprawiedliwiłby mocniejszych określeń. Przytoczyłem jego własne słowa z pisemnej odpowiedzi na me pytanie w tej sprawie.

Opinia publiczna była coraz mniej zainteresowana odstłaniającymi się stopniowo okolicznościami morderstwa, lecz ja trzymałem się od tej sprawy z daleka i wiedziałem o niej tak niewiele, jak tylko było to możliwe w atmosferze ogólnego podniecenia. Wiedziałem jednak, że sąd przysięgłych wydał o oskarżonym orzeczenie: „winien zamierzonego morderstwa”, i że przekazano go do Newgate na rozprawę. Wiedziałem także, iż proces jego został przełożony na następną sesję Trybunału Kryminalnego z powodu ogólnej niechęci i braku czasu na przygotowanie obrony. Mógłbym także wiedzieć jeszcze, ale zdaje mi się, że nie wiedziałem, kiedy albo przynajmniej mniej więcej kiedy rozpocznie się sesja, na którą przełożono jego rozprawę. Mój gabinet, sypialnia i garderoba są na tym samym piętrze. Do ostatniego z tych pokoi można wejść tylko przez sypialnię. Znajdują się tam co prawda drzwi, które kiedyś otwierały się na klatkę schodową, ale już od kilku lat zostały zastawione niektórymi urządzeniami z łazienki, zabite i zastonięte.

Pewnego wieczoru, dość późno, stałem w mojej sypialni i wydawałem polecenia służącemu, nim poszedł spać. Twarz miałem zwróconą ku jedynym drzwiom, prowadzącym do garderoby, które były zamknięte. Służący stał tyłem do drzwi. Właśnie mówiłem coś do niego, kiedy ujrzałem, że drzwi się otwierają, zagląda jakiś mężczyzna i z wielką powagą, bardzo tajemniczo na mnie kiwa. Był to jeden z tych ludzi, którzy szli wtedy Piccadilly — ten drugi, z twarzą barwy nieczystego wosku.

Skinąwszy na mnie, cofnął się i zamknął drzwi. Nie tracąc więcej czasu, niż zabrało mi przejście przez pokój, otworzyłem drzwi i zajrzałem do garderoby. W rękę trzymałem zapaloną świecę. Nie miałem wewnętrznego przekonania, że zobaczę ową postać i rzeczywiście jej tam nie było.

Spostrzegłszy zdumienie mego służącego, powiedziałem:

— Derricku, czy uwierzysz, że choć jestem zupełnie przytomny, wyobraziłem sobie, iż widzę...

Położyłem rękę na jego ramieniu, a on drgnął gwałtownie i rzekł:

— O Boże! Zmarły skinął na pana...

Jestem pewien, że nim go dotknąłem, John Derrick, od lat przeszło dwudziestu mój zaufany i przywiązany sługa, absolutnie nie miał wrażenia, że widział taką postać. Kiedy go dotknąłem, zmienił się gwałtownie, i najmocniej wierzę, że w tym momencie w jakiś niewytłumaczalny sposób przeniknęło do niego moje wrażenie.

Poleciłem Johnowi przynieść trochę brandy, dałem mu łyk i sam też rad wypilem. Nie wspominałem mu ani jednym słowem o tym, co poprzedziło pojawienie się owej postaci. Zastanowiwszy się nad tym, stwierdziłem z całą pewnością, że nigdy, z wyjątkiem poranku na Piccadilly, nie widziałem tego człowieka. Porównując wyraz jego twarzy wtedy, gdy kiwał

na mnie u drzwi, i wtedy, gdy patrzył na mnie stojącego w oknie, doszedłem do wniosku, że za pierwszym razem starał mi się wbić w pamięć, a za drugim upewnił się, że go sobie łatwo przypominam.

Źle przeszła mi ta noc, chociaż miałem pewność, której zresztą nie zdołałbym uzasadnić, że postać nie powróci. Gdy się rozwidniło, zapadłem w ciężki sen, z którego obudził mnie John Derrick zbliżający się do łóżka z listem w ręku.

Ten list, jak się okazało, stał się przyczyną sprzeczki między doręczycielem, a moim służącym. Było to wezwanie do mnie, abym zasiadał jako przysięgły na nadchodzącej sesji Centralnego Trybunału Karnego w Old Bailey. Nigdy przedtem nie byłem powoływany jako przysięgły, o czym dobrze wiedział John Derrick. Służący mój sądził — dotychczas nie wiem czy słusznie, czy nie — że na przysięgłych tego rodzaju powołuje się zazwyczaj ludzi z mniejszymi niż moje kwalifikacjami i początkowo odmówił przyjęcia papieru. Człowiek który przyniósł list, potraktował sprawę z całym spokojem. Oświadczył, że go nic nie obchodzi, czy się stawię, czy nie; on doręczył wezwanie i teraz już ja, a nie on, mam się o nie martwić.

Przez parę dni nie mogłem zdecydować, czy się zastosować do tego wezwania, czy też nie zwracać na nie uwagi. Absolutnie nie czułem, by jakiś tajemniczy wpływ działał na moją decyzję w jednym czy w drugim kierunku. Jestem tego tak całkowicie pewien jak każdego innego twierdzenia, które tu wypowiadam. Ostatecznie, dla przerwania monotonii mojego życia, postanowiłem pójść do sądu.

Był to listopad i rankiem wyznaczonego na rozprawę dnia panowała bardzo przykra pogoda. Brunatna mgła zaścieniała Piccadilly, a w pobliżu Temple Bar stała się wprost czarna i w najwyższym stopniu dokuczliwa. W korytarzach i na klatkach schodowych budynku sądu jaskrawo płonęły gazowe lamny, a i sama sala sądowa była podobnie oświetlona. Myślę, że dopóki woźni nie wprowadzili mnie na salę Starego Sadu, dopóki nie spostrzegłem, jak była zatłoczona, nie wiedziałem, że to mordercę miano tego dnia sądzić. Przypuszczam, że dopóki pod ich przewodnictwem z pewnym trudem nie dostałem się na salę, nie wiedziałem właściwie dokładnie, dokąd mam wezwanie. Jednakże słów tych nie należy przyjmować za pewnik, ponieważ sam nie jestem w stanie zdecydować z całą stanowczością, jak istotnie było.

Usiadłem na miejscu, gdzie zwykli czekać przysięgli przed rozprawą i rozejrzałem się po sędzie, starając się coś dostrzec poprzez ciężką chmurę oparów i oddechów. Za wielkimi oknami widziałem czarną mgłę wiszącą jak ponura zasłona, słyszałem dobiegający stamtąd stłumiony turkot kół po rozrzuconej na ulicy słomie czy dębnicy garbarskiej, dochodził mnie pomruk zebranego w sali tłumu, z którego wyrwał się czasem ostry gwizd, głośniejsza pieśń lub zawołanie. Wkrótce sędziowie w liczbie dwóch, weszli i zajęli miejsca. Gwar na sali ścisł nagle. Wydano rozporządzenie, by przyprowadzić mordercę. Wszedł. Momentalnie poznałem w nim pierwszego z dwóch mężczyzn, których widziałem na Piccadilly.

Gdyby w tej chwili wywołano moje nazwisko, wątpię, czy byłbym w stanie dobrać głosu. Ale byłem szósty czy ósmy na liście, więc zdołałem odpowiedzieć, „jestem”. A teraz uważajcie. Kiedy zasiadłem na ławie przysięgłych, oskarżony, który dotychczas przypatrywał się wszystkiemu z uwagą, ale bez oznak niepokoju, wpadł w gwałtowne podniecenie i przyzwał gestem swego adwokata. Tak widoczne było, że chce, by mnie zmieniono, iż spowodowało to przerwę w czynnościach sądowych, w czasie której adwokat szeptał długo ze swym klientem, a potem zaprzeczył ruchem głowy. Dowiedziałem się później od tego adwokata, że jego klient powiedział do niego: „Za wszelką cenę niech zmienią tego człowieka” i że wtedy po raz pierwszy okazał przestrach. Ponieważ jednak nie umiał uzasadnić swej prośby i przyznał, że póki nie odczytano mego nazwiska z listy i póki nie wystąpiłem, nie wiedział nawet, jak się nazywam, nie spełniano jego życzenia.

Zarówno ze względu na to, o czym już wspomniałem, a mianowicie, że pragnę uniknąć wskrzeszania wspomnień o odrażającym mordercy, jak i dlatego, że szczegółowe sprawozdanie z jego długiego procesu w żadnym razie nie jest konieczne w moim opowiadaniu, ograni-

czę się do przedstawienia takich tylko wydarzeń z tych dziesięciu dni i nocy, kiedy my, sędziowie przysięgli, byliśmy razem, jakie pozostawały w ścisłym związku z moim własnym, dziwnym przeżyciem. Bo przecież właśnie moim przeżyciem, a nie mordercą i nie jedną z wielu kart z kalendarza Newgate chcę zainteresować czytelnika.

Wybrano mnie najstarszym przysięgłym. Drugiego dnia procesu rano, gdy przez dwie godziny przesłuchiowano świadków (słyszałem, jak zegar kościelny wydzwaniał godziny), rzuciwszy okiem na pozostałych przysięgłych, z jakiegoś niezrozumiałego powodu miałem trudności z ich policzeniem. Liczyłem ich kilkakrotnie, ale zawsze napotykałem na tę samą trudność. Krótko mówiąc, wypadało mi o jednego za wiele.

Dotknąłem przysięgłego siedzącego obok mnie i szepnąłem:

Niech mi pan wyświadczy tę grzeczność i porachuje nas.

Wydał się zdziwiony tą prośbą, ale odwrócił głowę i zaczął rachować.

— Cóż to — powiedział nagle — jest nas trzyna... ale nie, to niemożliwe! Jest nas dwunastu.

Według moich obliczeń, tego dnia było nas w sumie zawsze o jednego za dużo, choć gdy liczyłem każdego oddzielnie, ilość się zgadzała. Nie ukazało się żadne widmo, żadna istota, której pojawienie się tłumaczyłoby tę zagadkę, ale w myślach mych zagościł mglisty obraz postaci, która niezawodnie nadchodziła.

Zakwaterowano nas w London Tavern. Spaliśmy w jednej wielkiej sali pod nieustanną opieką i nadzorem zaprzysiężonego urzędnika, mającego dbać o nasze bezpieczeństwo. Nie widzę powodów do ukrywania prawdziwego nazwiska tego urzędnika. Był inteligentny, bardzo uprzejmy i usłużny i (z wielką przyjemnością dowiedziałem się o tym) bardzo szanowany w City. Miał przyjemną powierzchowność, dobre oczy, godne zazdrości, czarne faworyty i piękny, dźwięczny głos. Nazywał się Marker.

Kiedy kładliśmy się do naszych dwunastu łóżek, drzwi były zastawione łóżkiem pana Harkera. Drugiej nocy nie mogłem spać i zobaczywszy, że pan Harker siedzi, podszedłem i usiadłem koło niego częstując go tabaką. Gdy ją brał z tabakierki i ręka jego dotknęła mojej, drgnął jakoś dziwnie i zapytał:

— Kto to jest?

Wzrok mój pobiegł przez salę za jego spojrzeniem. Zobaczyłem postać, której oczekiwałem — drugiego z dwu ludzi, którzy szli Piccadilly. Wstałem, zrobiłem parę kroków w tym kierunku, potem zatrzymałem się i spojrzałem na pana Harkera. Nie okazywał najmniejszego przejęcia, śmiał się i oświadczył niefrasobliwie:

— Zdawało mi się, że jest tu trzynasty przysięgły, bez łóżka. Ale widzę, że to blask księżycy.

Nie dopuszczając pana Harkera do mego sekretu, poprosiłem go tylko, by poszedł ze mną na koniec sali i obserwował, co robi zjawy. Pochylała się nad łóżkiem każdego z moich jedenastu towarzyszy. Zawsze stawała z prawej strony łóżka tuż nad poduszką, potem przechodziła koło nóg następnego. Sądząc po ruchu głowy, zdawała się tylko spoglądać w zadumie na każdą uspioną postać. Nie zwracała uwagi na mnie ani na moje łóżko, które stało obok łóżka pana Harkera. Odniosłem wrażenie, że wyszła przez wysokie okno, jakimiś schodami z powietrza, tam skąd padały promienie księżycy.

Następnego dnia przy śniadaniu okazało się, że każdemu z przysięgłych z wyjątkiem pana Harkera i mnie, śnił się zamordowany.

Byłem teraz tak przekonany, że drugi z mężczyzn, którzy szli Piccadilly, był zamordowanym, jak gdyby upewniło mnie o tym jego własne świadectwo, które zresztą dał i to w sposób najzupełniej zaskakujący.

Piątego dnia rozprawy, kiedy postępowanie dowodowe dobiegało końca, przedstawiono wśród dowodów miniaturę zamordowanego. Brakowało jej w jego sypialni w dniu wykrycia morderstwa, a później znaleziono ją ukrytą w ziemi, w miejscu, gdzie, jak zaobserwowano,

morderca coś zakopywał. Świadek, który właśnie zeznawał, stwierdził jej identyczność. Wręczono ją sędziom, a potem miała być przekazana do obejrzenia przysięgłym. Kiedy urzędnik w czarnej todze szedł z nią do mnie, z tłumu wyskoczyła nagle postać drugiego z mężczyzn, którzy szli Piccadilly, wyrwała mu miniaturę i własnoręcznie mi ją oddała, a zanim ujrzałem tę podobiznę zamkniętą w medalionie, powiedziała cichym, głuchym tonem:

— Byłem wtedy młodszy i z twarzy mojej nie odpłynęła jeszcze krew.

Stała również między mną a przysięgłym, któremu dawałem miniaturę i między nim a tym, któremu on z kolei ją oddawał — przesuając obrazek poprzez ręce wszystkich przysięgłych, aż ponownie wręczyła go mnie. Jednakże żaden z nich tego nie zauważył.

Przy stole i na ogół zawsze, gdy byliśmy zamknięci w areszcie pana Harkera, od początku wiele oczywiście dyskutowaliśmy na temat postępowania sądu. Piątego dnia, gdy zamknięto postępowanie dowodowe, mieliśmy przed sobą całokształt tej strony zagadnienia, więc dyskusja nasza stała się poważniejsza i bardziej ożywiona. Znajdował się wśród nas zakrystian — największy idiota, jakiego kiedykolwiek widziałem chodzącego na swobodzie — który wysuwał najbardziej nedorzeczne obiekcje przeciw najoczywistszym dowodom. Popierały go zawsze dwa tłuste parafialne darmozjady. Kiedy ci trzej głupcy rozprawiali najgłośniej — to znaczy przed północą, gdy niektórzy z nas już się układali do snu — znowu zobaczyłem zamordowanego. Z pośpym wyrazem twarzy stał za nimi, kiwając na mnie. Kiedy podszedłem do nich i wmieszałem się w rozmowę, natychmiast znikł. Taki był początek serii jego pojawień się w długim pokoju, w którym byliśmy zamknięci. Zawsze, gdy nachylały się ku sobie głowy kilku przysięgłych, widziałem między nimi i jego głowę. Zawsze, gdy ich uwagi obracały się przeciwko niemu, kiwał na mnie z powagą, której niepodobna się było oprzeć.

Trzeba, by czytelnik pamiętał, że aż do momentu przyniesienia miniatury, zamordowany nie pokazywał się w sądzie. Teraz, gdy do głosu doszła obrona, zaistniały trzy zmiany. Najpierw wspomnę o dwóch łącznie. Postać znajdowała się teraz w sądzie stale, nie zwracała się jednak nigdy do mnie, tylko do osoby, która akurat przemawiała. Dam przykład. Zamordowanego znaleziono z poderzniętym gardłem. W pierwszym przemówieniu obrońca przekonywał, że zmarły popełnił samobójstwo. W tym momencie obok mówcy pojawiła się postać zamordowanego ze straszliwie podciętym gardłem (dotychczas nie było to widoczne) i na przemian — to prawą, to lewą ręką przesuwała po gardle, ukazując mówcy, że nie sposób zadać sobie samemu taką ranę ani prawą, ani lewą ręką. Drugi przykład. Świadek obrony, kobieta, zeznawała, że więzień to najmilszy człowiek pod słońcem. W tym momencie zjawa stanęła przed nią, i patrząc jej prosto w oczy, wyciągnęła ramię w kierunku oskarżonego, wskazując palcem na jego złowrogą twarz.

Trzecia zmiana, o której teraz wspomnę, wywarła na mnie silne wrażenie jako najbardziej znamienna, uderzająca. Nie będę na jej temat snuł żadnych teorii, przedstawię ją tylko dokładnie i na tym koniec. Chociaż ci, do których zwracała się zjawa, nie widzieli jej, sama jej bliskość wywoływała w nich zawsze niepokój. Wyglądało to tak, jak gdyby jakieś prawa, które się do mnie odnosiły, nie pozwalały zamordowanemu ukazywać się wyraźnie innym, a tylko rzucać mroczny cień na ich umysły. Kiedy główny obrońca wysunął hipotezę samobójstwa i postać zamordowanego zjawiła się przy nim, przeraźliwie jeżdżąc ręką po swym poderzniętym gardle, nie da się zaprzeczyć, że adwokat zaciał się trochę, na parę sekund zgubił nić pomysłowych wywodów, zaczął trzeć czoło chusteczką, a na twarz wystąpiła mu ogromna bladeść. Kiedy przed kobietą składającą zeznania na temat charakteru oskarżonego stanęła zjawa, spojrzenie świadka pobiegło w kierunku wyciągniętego palca zamordowanego i z wyrazem wielkiego wahania i zakłopotania spoczęło na twarzy więźnia. Podam jeszcze dwa przykłady:

Ósmego dnia rozprawy, po przerwie, którą zawsze robiono przed południem, by można było chwilę odpocząć, wróciłem do sądu z resztą przysięgłych na parę minut przed nadej-

ściem sędziów. Rozejrzałem się dokoła i zdawało mi się, że zjawy nie ma na sali. Ale gdy przypadkiem podniosłem oczy na galerię, zobaczyłem, że stojąc za pewną godną szacunku kobietą przechyla się, jak gdyby chciała sprawdzić, czy sędziowie już zajęli swe miejsca. W moment później kobieta krzyknęła i zemdląła; wyniesiono ją z galerii. Podobnie sprawa się miała z mądrym szanowanym i cierpliwym sędzią, który prowadził przewód.

Po przerwie, gdy siedział nad papierami podsumowując wyniki, zamordowany wszedł wejściem dla sędziów, zbliżył się do jego stołu i pochyliwszy się nad nim, począł pilnie przeglądać kartki zapisków, które tamten przewracał. Sędziemu twarz się zmieniła, ręka znieruchomiała, przebiegł po nim ten szczególny, tak dobrze mi znany dreszcz, zająknął się.

— Przepraszam, panowie, na chwilę. To duszne powietrze odebrało mi siły — rzekł i dopiero po wypiciu szklanki wody przyszedł do siebie.

Poprzez monotonię sześciu z tych dziesięciu nieskończenie długich dni, gdy na ławach zasiadali ci sami sędziowie i przysięgli, gdy ten sam morderca zajmował miejsce oskarżonego, gdy ci sami adwokaci siedzieli przy stole, a pod sklepieniem sali sądowej wznosiły się jednakowym tonem wypowiedzane pytania i odpowiedzi, gdy jednostajnie skrzypiało pióro sędziego, gdy ci sami woźni wchodzili i wychodzili, a te same światła paliły się o tej samej godzinie mimo naturalnego światła dnia, gdy ta sama mglista zaślona wisiała za wielkimi oknami podczas mglistej pogody, gdy padało jednostajnie, dzwoniły i pluskały o szyby krople deszczu, gdy na tych samych trocinach odciskały się co dzień te same ślady stóp dozorców więziennych i więźnia, gdy tymi samymi kluczami otwierano i zamykano te same ciężkie drzwi — poprzez nużącą monotonię owych dni, wskutek której czułem się tak, jak gdybym już od wieków był starszym przysięgłym, a Piccadilly stawała się rówieśnicą Babilonu, stale ukazywał mi się zamordowany, i widziałem go z jednakową zawsze wyrazistością tak jak inne osoby. Nie mogę pominąć, że nigdy nie spostrzegłem, by zjawą, którą nazywam imieniem zamordowanego, patrzyła kiedy na mordercę. Nieraz się dziwiłem, dlaczego na niego nie patrzy. A jednak nigdy tego nie uczyniła.

Nie spojrział również i na mnie od chwili pokazania miniatury aż do ostatniego momentu procesu. Wieczorem, siedem minut przed dziesiątą, wyszliśmy z sali sądowej na naradę. Ten idiota, zakrystian, i dwa pasożyty parafialne przysparzali nam tyle kłopotu, że dwukrotnie musieliśmy powracać na salę, by prosić o ponowne odczytanie niektórych wyjątków z zapisków sędziego. Nikt z nas nie miał najmniejszych wątpliwości co do tych ustępów i pewien jestem, że nie miał ich nikt w sądzie. Jednakże triumwirat głupców myśląc jedynie o tym, by przeszkadzać, podawał je w wątpliwość z tej właśnie przyczyny. W końcu jednak nasze zdanie przeważyło i dziesięć minut po północy przysięgli powrócili na salę. Zamordowany znajdował się wówczas z drugiej strony sądu na wprost przysięgłych. Gdy zajmowałem miejsce, popatrzył na mnie z wielką uwagą; wydawał się zadowolony i zaczął powoli okrywać swą głowę i całą postać ogromnym szarym welonem, który miał przerzucony przez ramię. Gdy oznajmiłem nasz wyrok: „Winien”, welon zapadł się, wszystko znikło — miejsce, gdzie przed chwilą stała zjawą, było puste.

Morderca, zgodnie ze zwyczajem zapytany przez sędziego, czy chciałby coś powiedzieć, nim wydany zostanie na niego wyrok śmierci, niewyraźnie wymruczał coś, co następnego dnia główne dzienniki określiły jako „kilka nieskładnych słów, wypowiedzianych tak cicho, że ledwo je można było dosłyszeć, w których, jak zrozumiano, morderca skarżył się, że nie miał uczciwego procesu, ponieważ starszy przysięgły był do niego uprzedzony”.

W rzeczywistości jednak wypowiedział następujące, godne uwagi, słowa: „Wysoki Sądzie, od chwili, gdy ujrzałem, kto zasiada na miejscu starszego przysięgłego, wiedziałem, że jestem stracony. Wysoki Sądzie, wiedziałem, że nie wypuści mnie stąd, ponieważ pewnej nocy, nim mnie aresztowano, podszedł w jakiś sposób do mego łóżka i założył mi powróż na szyję”.

WILLIAM WILKIE COLLINS

William Wilkie Collins (1824—1889), urodzony w Londynie, był synem malarza. Dwie jego najlepsze powieści, „Kobieta w bieli” (1870) i „Kamień Księżycowy” (1868), uchodzące za pierwsze anglosaskie powieści kryminalne, przyczyniły się w decydującej mierze do spopularyzowania tego gatunku literackiego. Collins celuje w sztuce stwarzania atmosfery grozy i narastającego napięcia, skrupulatnie dbając przy tym o logikę w szeregowaniu faktów i techniczną dokładność szczegółów. „Przeraźliwe łoże” ukazało się po raz pierwszy w roku 1856, w tomie „Po zmroku”.

PRZERAŻLIWE ŁOŻE

Zdarzyło się tak, że wkrótce po ukończeniu studiów w college'u przebywałem z moim przyjacielem, Anglikiem, w Paryżu. Obaj byliśmy młodzi i prowadziliśmy szalone życie.

Jednego wieczoru rzekłem do przyjaciela:

— Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli zobaczyć, jak w istocie, bez fałszywej pozołoty, wygląda hazard. Nie do modnego „Frascati”, ale gdzieś, gdzie wpuszczą człowieka w wyszarganym płaszczu.

— Doskonale — odparł. — Nie musimy nawet wychodzić z Palais Royal, żeby znaleźć towarzystwo, jakiego pragniesz. Mamy przed sobą takie właśnie miejsce. Bardziej zakazanej szulerni nie mógłbyś sobie wymarzyć.

Wszedłszy do lokalu, udaliśmy się na górę; portier wziął od nas kapelusze i laski i wpuścił nas do głównej sali gry. Przyszliśmy oglądać szulerów, ale ludzie zgromadzeni tu byli czymś jeszcze gorszym. Cisza tej sali przerażała. Chudy wynędzniały młodzieniec, którego podkrążone oczy gorączkowo śledziły karty, nie odzywał się ni słowem; tłuścioch z pokrytą przyszczami twarzą, o obwisłych policzkach, który wytrwale nakłuwał kawałek kartonu rejestrując, ile razy wygrały czarne, a ile czerwone, nie odzywał się ni słowem; brudny, pomarszczony starzec o zgłodniałych oczach i w wycerowanym surducie, strawiwszy już swe ostatnie sou, z rozpaczą przyglądał się grze, w której nie mógł brać udziału — lecz i on nie mówił nic. Nawet głos krupiera brzmiał głucho, jak gdyby jego dźwięk tłumiała atmosfera sali. Przyszedłem tutaj, żeby się pośmiać, lecz niebawem poczułem, że tylko w podnieceniu znajduję ucieczkę przed ogarniającą mnie melancholią.

Szukałem podniecenia, zbliżyłem się więc do stołu i zacząłem grać. Na me nieszczęście — jak wypadki okazały — wygrywałem; wygrywałem zdumiewająco, niewiarygodnie; wygrywałem tak wiele, że gracze stale grający przy tym stole, otoczyli mnie tłumnie i spoglądając na me wygrane zgłodniałymi, zawistnymi oczyma, szeptali między sobą, że nieznajomy Anglik rozbija bank.

Było to *rouge et noir*. Grywałem w to w każdym większym mieście Europy, ale graczem w ścisłym znaczeniu tego słowa nigdy nie byłem. Gra stanowiła dla mnie zwykłą rozrywkę. Nie oddawałem jej się nigdy tak długo, bym mógł stracić więcej, niż stać mnie na to było lub wygrać więcej, niż potrafiłbym ze spokojem schować do kieszeni.

Lecz w tym wypadku sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej: oto po raz pierwszy w życiu poznałem, co znaczy namiętność gry. Sukces mój początkowo mnie zaskoczył, a potem upoił. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, przegrywałem tylko wtedy, gdy usiłowałem ocenić swe szanse i grać zgodnie z poprzednią kalkulacją. Jeżeli natomiast liczyłem tylko na szczęście i grałem beztrzesko, bez rozważań, pewne było, że wygram, wygram, choć wszelkie prawdopodobieństwo przemawia na korzyść banku.

Coraz to podnosiłem stawkę i wciąż wygrywałem. W sali panowało najwyższe podniecenie. Za każdym razem, gdy krupier przesuwiał złoto na moją stronę stołu, ciszę przerywały

zdławione okrzyki. Wreszcie i niewzruszony krupier, doprowadzony do furii moimi sukcesami, cisnął swe grabki na ziemię. Jeden tylko z obecnych nie stracił panowania nad sobą, a był nim mój przyjaciel. Podszedł do mnie i szepnął mi po angielsku, abym stąd wyszedł, zadowolony tym, co już wygrałem. Parę razy wznawiał swe przestrogi i prośby, i dopiero wtedy odszedł, gdy zupełnie opętany kartą, odrzuciłem jego rady w takich słowach, że niepodobieństwem było, by wrócił do mnie raz jeszcze tego wieczoru.

Wkrótce po jego odejściu usłyszałem za sobą ochrypły głos:

— Pozwól mi, łaskawy panie, pozwól mi zwrócić dwa napoleony, któreś pan upuścił. Ma pan cudowne szczęście, proszę pana! Daję panu słowo honoru starego żołnierza, mającego długie doświadczenie w tych sprawach, że nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał takie szczęście jak pan! Nigdy. Niech pan gra dalej. Niech pan gra śmiało i rozbija bank!

Obróciwszy się, ujrzałem wysokiego mężczyznę w wyświechtanym surducie, który z wrodzoną grzecznością skinął mi z uśmiechem. Gdybym był przy zdrowych zmysłach, pomyślałbym na pewno, że to jakiś mocno podejrzanym okaz starego żołnierza. Miał zezujące, krwią nabiegłe oczy, nieporządnie przycięte wąsy, złamany nos i najbrudniejszą parę rąk, jaką kiedykolwiek oglądałem — nawet we Francji. Jednakże, upojony triumfem chwili, gotów byłem bratać się z każdym, kto by mnie zachęcał do gry. Przyjąłem ofiarowaną przez starego żołnierza szczyptę tabaki i poklepałem go po plecach przysięgając, że w życiu nie zdarzyło mi się spotkać tak wspaniałego weterana wielkiej armii.

— No dalej! — wykrzykiwał mój wojskowy przyjaciel trzaskając z palców w uniesieniu — No i dalej! Niech pan rozbije bank! *Mille tonneres!* Mój dzielny przyjacielu z Anglii, rozbijaj pan bank!

A ja wygrywałem dalej, i to w takim tempie, że nim minął kwadrans, krupier zawołał:

— Panowie! Zamyka się bank na dziś wieczór!

Wszystkie banknoty, wszystko złoto tego „banku” znajdowało się w moich rękach.

— Niech pan zawiąże pieniądze w chustkę, zacny panie — powiedział stary żołnierz, gdy zanurzyłem ręce w stosie złota. — Niech pan je zawiąże tak, jak zwykliśmy zawiązywać nasze żołnierskie racje w wielkiej armii. Pańska zdobycz jest zbyt ciężka, by można ją było schować w kieszeniach jakichkolwiek spodni na świecie. Tak, tak, niech pan zgarnie banknoty, wszystko razem. *Crédie!* Co za szczęście! A teraz, za pańskim szanownym pozwoleniem, dwa podwójne węzły z każdej strony i pieniądze są bezpieczne. Niech pan ich dotknie, niech pan ich dotknie, szczęśliwy człowieku! Twarde i krągłe jak kula armatnia. Ach, gdybyż to takimi kulami strzelano do nas pod Austerlitz. *Non d'une pipe...* Gdybyż to takimi! A teraz — co pozostaje do zrobienia mnie, staremu grenadierowi? Po prostu zaprosić mego czcigodnego przyjaciela, Anglika, aby przed rozstaniem wysuszył ze mną butelkę szampana.

— Szampana! Koniecznie szampana!

— Brawo, Angliku! Drugi kielich! Ba! Butelka pusta. Nie szkodzi! *Vive le vin!* Ja, stary żołnierz, zamawiam jeszcze jedną i pół funta cukierków.

— Nie, nie, dawny bohaterze. Tamtą butelkę pan stawiał, ale tę — ja. Traćmy się! Za francuską armię! Za wielkiego Napoleona! Za obecne towarzystwo!

Nim opróżniliśmy drugą butelkę szampana, czułem się tak, jak gdybym pił płynny ogień. Mój mózg zdawał się gorzeć.

— Dawny bohaterze francuskiej armii! — zawołałem w szaleńczej radości. — Ja się palę! Trzecią butelkę szampana, by ugasić płomień!

Stary żołnierz podniósł swój brudny palec wskazujący do złamanego nosa i uroczyście oświadczył:

— Kawa! Posłuchaj, mój zacny panie, rady starego żołnierza. Kawa pomoże panu zwalczyć podniecenie, nim się pan uda do domu. Mając tyle pieniędzy przy sobie, jest pana świętą powinnością wobec samego siebie zachować przytomność umysłu. O tym, że wygrał pan ogromną sumę, wie kilku dżentelmenów, którzy tu dziś byli i którzy są pod wielu względami

zaczyni i wspaniałymi kompanami, jednakże... są tylko ludźmi, mój drogi panie, i mają swoje mile słabostki!

Gdy eks-żołnierz domawiał tych słów, zjawiała się kawa, świeżo nalana do dwóch filiżanek. Mój uprzejmy towarzysz z ukłonem wręczył mi jedną filiżankę. Paliło mnie pragnienie, więc wypilem ją jednym haustem. Natychmiast potem zakręciło mi się gwałtownie w głowie i poczułem się tak pijany, jak nigdy w życiu. Powstałem z krzesła opierając się o stół, by utrzymać równowagę i wykrztusiłem, że czuję się źle, tak źle, iż nie wyobrażam sobie, jak się dostanę do domu.

— Drogi przyjacielu — odpowiedział stary żołnierz — byłoby szaleństwem iść do domu w takim stanie, w jakim pan się teraz znajduje. Na pewno straciłby pan pieniądze. Ograbiono by pana i zamordowano z łatwością. Ja prześpię się tutaj, niech i pan także tutaj się prześpi. Mają wspaniałe łóżka w tym domu. Niech pan sobie zamówi jedno, odeśpi rausz i idzie jutro bezpiecznie do domu.

W głowie mojej pozostały tylko dwie myśli: po pierwsze, że nie wolno mi wypuścić z rąk chusteczki pełnej pieniędzy, a po drugie, że muszę się zaraz gdzieś wygodnie położyć i zasnąć. Przyjąłem więc propozycję łóżka. Poprzedzani przez krupiera, udaliśmy się poprzez kilka korytarzy i jedną kondygnację schodów do sypialni, którą miałem zająć. Eks-żołnierz gorąco uściskał mą dłoń, zaproponował, żebyśmy razem zjedli śniadanie i wyszedł wraz z krupierem.

Pobiegłem do umywalni, wypilem trochę wody z dzbanka, wylałem resztę do miednicy, zanurzyłem w niej twarz, usiadłem na krześle i próbowałem się uspokoić. Po chwili poczułem się lepiej. Otrzeźwiający efekty wody potęgowała jeszcze zmiana, jaka dla moich płuc stanowiło przejście ze zgniłej atmosfery sali karcianej do chłodnego powietrza pokoju, w którym się znalazłem, a dla oczu, przejście z jaskrawego światła gazowego „salonu” do spokojnego blasku jednej świecy. Minał zawrót głowy i poczułem się znowu jak istota rozumna. Moją pierwszą myślą było, że niebezpiecznie jest spędzać całą noc w domu gry, ale zaraz uświadomiłem sobie, o ile bardziej niebezpiecznie byłoby próbować wydostać się stąd po zamknięciu domu i iść samemu nocą przez ulice Paryża z dużą sumą pieniędzy. W czasie mych podróży sypiałem w miejscach gorszych niż to, więc postanowiłem zamknąć drzwi na klucz i czekać rana.

Tak postanowiwszy, zajrzałem pod łóżko i do szafy, spróbowałem, czy okna mocno zamknięte, wreszcie, zadowolony, że zachowałem wszystkie środki ostrożności, zdjąłem wierzchnie ubranie i wstawiłem światło — bardzo zresztą słabe — do kominka, na puchową podściółkę drzewnych popiołów. Umieściwszy pod poduszką chustkę pełną pieniędzy, położyłem się do łóżka.

Wkrótce poczułem, że nie tylko nie będę mógł zasnąć, ale nawet nie zdołałem zamknąć oczu. Byłem zupełnie wytrzeźwiony i wszystkie moje zmysły zdawały się posiadać nadnaturalną wrażliwość. Podniosłem się na łokciach i rozejrzałem po pokoju, oświetlonym nikłą poświatą księżycową, aby się zorientować, czy nie ma tam jakichś obrazów lub ornamentów, które mógłbym wyraźnie zobaczyć. Gdy wędrowałem wzrokiem po ścianach, przypomniała mi się rozkoszna książeczka Le Maistre'a „Voyage autour de ma chambre”. Postanowiłem szukając zajęcia i rozrywki, które by zdołały wzorem francuskiego pisarza urozmaicić mi nocne czuwanie, zrobić w myśli inwentarz wszystkich mebli, jakie widzę, i zabawiać się najróżnorodniejszymi asocjacjami, jakie potrafi wywołać zwykły stół, krzesło czy umywalka.

Jednakże w niespokojnym stanie umysłu, w jakim się znajdowałem, znacznie było mi łatwiej robić inwentarz przedmiotów, niż snuć rozważania na ich temat i dlatego prędko straciłem nadzieję na to, bym mógł dążyć fantastycznym szlakiem Le Maistre'a, jak również i na to, bym mógł o czymkolwiek rozmyślać. Przyglądałem się więc meblom w pokoju — i nic poza tym.

Przede wszystkim znajdowało się tam łóżko, na którym leżałem, łoże wsparte na czte-

rech słupkach, o szczycie obrzeżonym, jak zwykle, frędzelkami, łoże z niezdrowymi kotarami, które, jak pamiętam, machinalnie rozsunałem od słupka do słupka, gdy tylko wszedłem do pokoju. Była umywalka o marmurowej płycie, z której woda, rozlana przeze mnie w pośpiechu, wciąż skapywała na kamienną podłogę, coraz wolniej i wolniej, były dwa krzeselka, na które rzuciłem ubranie. Następnie stał duży fotel, pokryty brudnawo białą dymką, a z jego oparcia zwisała moja koszula i chustka na szyję. Dalej komoda, której brakowało dwu miedzianych rączek od szuflad i na której postawiono w charakterze ozdoby nadtluczony, porcelanowy kałamarz w złym guście. Potem toaletka z małym lustrem i ogromną poduszczką na igły. Wreszcie — okno, niezwykle duże okno. Dalej słaby blask świecy ukazał mi ciemny, stary obraz, przedstawiający mężczyznę w wysokim, hiszpańskim kapeluszu, ozdobionym pękiem sterczących piór. Był to jakiś szelma o czarniawej, złowrogiej twarzy, spoglądający w górę — pewnie na wysoką szubienicę, na której miał zawisnąć. Jego wygląd w każdym razie świadczył dobitnie, że na to zasłużył.

Ten obraz zmusił mnie niejako, bym również spojrział w górę, na szczyt łożka. Był to ponury, wcale nieinteresujący przedmiot, tak że odwróciłem od niego wzrok i znowu przyglądałem się obrazowi. Policzyłem pióra na kapeluszu mężczyzny: trzy białe, dwa zielone. Przyjrzałem się główce kapelusza, miała kształt stożkowaty według mody, którą się podobno zachwycał Guy Fawkes. Zastanawiałem się, na co też mógł on patrzeć. Chyba jednak na szubienicę, na której mieli go zaraz powiesić. Czy ten, który dokona wymiaru sprawiedliwości, odziedziczy po nim kapelusz o stożkowej główce, z kitą piór? Policzyłem pióra jeszcze raz: trzy białe, dwa zielone.

Kiedy tak mitrężyłem czas na tym wielce uszlachetniającym i wysoce intelektualnym zajęciu, myśli moje niepostrzeżenie zaczęły błądzić. Powróciły do minionych wydarzeń. Lecz nagle w jednej chwili pękła nić, na którą nizałem swe wspomnienia. Uwaga skoncentrowała się na teraźniejszości — baczniejsza niż kiedykolwiek — i oto stwierdziłem, że uporczywie wpatruję się w obraz.

Wielki Boże, ten człowiek naciągnął kapelusz na czoło! Nie! Kapelusz zniknął! Gdzie jest stożkowata główka? Gdzie pióra — trzy białe i dwa zielone? Nie ma ich! A co to za ciemny przedmiot zasłonił jego czoło, oczy i osłaniającą twarz rękę? Czyżby łożko się ruszało?

Przewróciłem się na plecy i spojrziałem w górę. Czyżbym postradał zmysły?... był znowu pijany?... śnił?... miał zawrót głowy?... A może to rzeczywiście baldachim łożka zsuwa się na dół, obniża powoli, cicho, straszliwie, prosto w dół, całą swą długością i szerokością... prosto na mnie, leżącego pod nim?

Po mym ciele rozlał się obezwładniający, śmiertelny chłód. Obróciłem głowę. Postanowiłem patrzeć na mężczyznę z obrazu, by sprawdzić, czy góra łożka rzeczywiście się porusza.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Czarny zarys frędzli nade mną znajdował się prawie na tym samym poziomie co pas mężczyzny, o cal wyżej. Wpatrywałem się bez tchu. Spokojnie, powoli, bardzo powoli... ujrzałem, jak sylwetka mężczyzny, a potem rama obrazu znikły, a pod nimi obniżał się baldachim.

Z natury absolutnie nie jestem tchórzem. Nieraz w życiu znajdowałem się w niebezpieczeństwie i ani na moment nie utraciłem panowania nad sobą, ale od chwili, gdy po raz pierwszy zbudziło się we mnie przekonanie, że baldachim łożka rzeczywiście się porusza, spokojnie, lecz nieustępliwie osuwa się na mnie, spoglądałem w górę porażony lękiem, drżący i bezradny pod okrutną machiną mordy, przysuwającą się coraz bliżej i bliżej, by mnie zadusić na miejscu.

Leżałem bez tchu, bez ruchu, bez słowa. Świeca, wypalona do końca, zagasta, lecz blask księżycowy nadal oświetlał pokój. Coraz niżej i niżej, bez przerwy i bez szmeru osuwał się baldachim, a mnie lęk przykuwał coraz silniej do materaców, na których leżałem... coraz niżej i niżej... aż zapach kurzu z frędzli połechtął moje nozdrza.

W tym ostatecznym momencie instynkt samozachowawczy wyrwał mnie z transu.

Poruszyłem się. Zaledwie zdołałem wygramolić się z łóżka, tak mało było wolnej przestrzeni. Gdy bezszelestnie spadłem na podłogę, brzeg morderczego baldachimu otarł się o moje ramię.

Bez tchu w piersiach, obłany zimnym potem, poderwałem się na kolana, by patrzeć na niezwykle zjawisko. Byłem dosłownie jak urzeczony.

Opuszczał się... cały baldachim z frędzlami dokoła zsuwał się coraz niżej i niżej, coraz bliżej łóżka, aż wreszcie przyłgął do niego tak ściśle, że nie mógłbym nawet palca tam wcisnąć. Pomacałem boki i odkryłem, że to, co z dołu wydawało mi się zwyczajnym, lekkim baldachimem, w rzeczywistości było szerokim, grubym materacem, zakrytym przez falbany i frędzle. Podniosłem wzrok i ujrzałem sterczące w górę, przeraźliwie gołe, cztery słupy łóżka. Ze środka tego narzędzia mordu wystawała ogromna, drewniana śruba, która najwidoczniej tłoczyła je na dół przez dziurę w suficie (tak samo jak zwyczajne prasy tłoczone są na materiał przeznaczony do ściśnięcia). Aparat działał bez najmniejszego hałasu. Gdy zjeżdżał w dół, nie słyszałem żadnego zgrzytu. Wciąż jeszcze patrząc na tę maszynę, nie mogłem się poruszyć; ledwie odważyłem się oddychać. Zacząłem jednak odzyskiwać zdolność myślenia i nagle poznałem w całej okropności morderczą konspirację, jaką przeciwko mnie uknuto.

Do mojej kawy wsypano narkotyk — lecz wsypano go zbyt wiele. Od uduszenia ocaliło mnie przyjęcie zbyt silnej dawki narkotyku.

Jakże mnie irytowało to gorączkowe podniecenie, które nie dając mi zasnąć, ocaliło mi życie! Jakże lekkomyślnie zawierzyłem dwóm szubrawcom, którzy przyprowadzili mnie do tego pokoju, by ze względu na moją wygraną zabić mnie we śnie okrutną, cichą a niezawodną metodą. Iluż mężczyzn, szczęśliwych graczy podobnie jak ja, spało na tym łóżku i zaginęło bez wieści?

Ale niebawem wszelka myśl we mnie zamarła — ujrzałem, że morderczy baldachim porusza się znowu. Leżał na łóżku mniej więcej dziesięć minut, a potem zaczął wznosić się w górę. Widocznie łotrzy, którzy nim kierowali, osądzili, iż cel został osiągnięty. Powoli i cicho, tak samo jak się opuszczał, straszliwy baldachim powracał na dawne miejsce. Kiedy znalazł się u szczytu drążków, ruszył w stronę sufitu. Nie było widać ani dziury, ani śruby. Łóżko stało się znowu pozornie normalnym łóżkiem, baldachim — normalnym baldachimem.

Teraz dopiero mogłem się poruszyć, mogłem wstać z klęczek, ubrać się i zastanowić nad sposobem ucieczki. Jeślibym najmniejszym hałasem zdradził, że próba uduszenia mnie spełzła na niczym, zostałbym na pewno zamordowany. Ale czy dotychczas zachowywałem się cicho? Nasłuchiwałem w napięciu, spoglądając ku drzwiom.

Nie! żadnych kroków w korytarzu... na górze absolutna cisza. Drzwi od mego pokoju nie tylko zamknąłem na klucz i zaryglowałem, ale także zastawiłem ciężkim kufrem. Poruszyć tego kufra... krew we mnie zastygła, bo wyobraziłem sobie, co mógł zawierać... poruszyć tego kufra nie można było bez hałasu, a poza tym, szaleństwem byłoby myśleć o ucieczce poprzez dom, zamknięty i zaryglowany na noc. Pozostawała tylko jedna szansa ratunku — okno. Podkraǳłem się ku niemu na palcach.

Sypialnia moja znajdowała się na pierwszym piętrze, okno wychodziło na boczną uliczkę. Podniosłem rękę, by je otworzyć, wiedząc, że od tej czynności zawisła możliwość ucieczki — bo przecież czuwali bacznie w tym domu mordu. Jeśliby zatrzęszczała rama, jeśliby skrzypnął zawias, byłbym zgubiony! Otwarcie tego okna musiało mi zająć chyba pełne pięć minut, licząc czas według zegarka, a pełne pięć godzin, licząc czas napięciem oczekiwania. Udało mi się otworzyć je cicho, ze zręcznością włamywacza. Spojrzałem w dół ulicy. Skok z tej wysokości przyniósłby pewną śmierć. Spojrzałem na krawędzie domu. W dół lewej biegła gruba rynna, przechodząc blisko okna.

Sposób ucieczki, jaki w owej chwili odkryłem, mógłby się komuś wydawać trudnym, lecz we mnie perspektywa ześlizgnięcia się po rynnie nie budziła najmniejszych obaw.

Postawiłem już jedną nogę na futrynie, gdy przypomniała mi się włożona pod poduszkę

chustka do nosa, pełna pieniędzy. Stać by mnie było na pozostawienie jej tam, wolałem jednak, by złoczyńcom wymknęła się z rąk nie tylko ofiara, ale i łup. Toteż wróciłem do łóżka i przywiązałem chustką ciężkie zawiniątko na plecach.

Wtem wydało mi się, że słyszę za drzwiami czyjś oddech. Przebiegł mnie zimny dreszcz przerażenia. Nasłuchiwałem. Nie! Głucha cisza zalegała korytarz. To tylko podmuch nocnego wiatru przeleciał przez pokój. W następnej minucie znajdowałem się na futrynie okna, a w moment potem trzymałem się mocno rynny. Ześliznąłem się na ulicę łatwo i spokojnie, tak jak przewidywałem, a potem, jak mogłem najszybciej, poszedłem do oddziału prefektury policji, który znajdował się w najbliższym sąsiedztwie. Zastępca prefekta i jego podwładni czuwali. W wielkim pośpiechu i bardzo złą francuszczyzną zacząłem swą opowieść i zorientowałem się, że zastępca prefekta podejrzewa, iż jestem pijanym Anglikiem, którego obrabowano. Wkrótce jednak zmienił zdanie. Nim skończyłem, chował już leżące przed nim papiery do szuflady i kładł kapelusz. Następnie dał kapelusz i mnie, ponieważ przyszedłem z gołą głową. Wezwał oddział żołnierzy, każąc im zabrać wszelkiego rodzaju narzędzia do wyłamywania drzwi i zrywania podłóg. W najbardziej przyjazny sposób, jaki można sobie wyobrazić, wziął mnie pod rękę i wyszedł na ulicę.

Skoro tylko dotarliśmy do przybytku gry, rozstawiono posterunki przed i za domem i zaczęto bombardować drzwi uderzeniami. W oknie pojawiło się światło. Kazano mi ukryć się i poczęto jeszcze silniej walić do drzwi i wołać: „Otworzyć w imieniu prawa!” Na to straszliwe wezwanie rygle i zamki ustąpiły pod dotknięciem jakiejś niewidzialnej ręki i w chwilę potem zastępca prefekta stał w korytarzu, mając przed sobą na pół ubranego i śmiertelnie blado kelnera.

— Przyszliśmy do Anglika, który tutaj nocuje.

— Wszedł kilka godzin temu.

— Nic podobnego. Wszedł jego przyjaciel. On pozostał. Prowadź nas do jego sypialni.

— Przysięgam panu, *monsieur le sous-préfet*, że go tu nie ma. On...

— Przysięgam panu, *monsieur le garçon*, że tutaj jest. Spał u was, łóżko okazało się trochę niewygodne, przyszedł więc się nam poskarżyć i jest teraz wśród moich policjantów. Przybyliśmy tu, aby złapać tę pchłę w jego łóżku. Renaudin — zwrócił się do jednego ze swych podwładnych, wskazując na kelnera — zwiąż temu człowiekowi ręce. A teraz, panowie, na górę!

Związano wszystkich obecnych, a „starego żołnierza” przede wszystkim. Wskazałem łóżko, na którym leżałem, i udaliśmy się do pokoju piętro wyżej.

Nie rzucało się tu w oczy nic niezwykłego. Zastępca prefekta rozejrzał się dokoła, nakazał ciszę, tupnął dwukrotnie w podłogę, zażądał świecy, przypatrzył się uważnie miejscu, w które tupnął, i polecił zerwać tam bardzo ostrożnie kawałek podłogi. Uczyniono to w mgnieniu oka. Przyniesiono światło i ukazała się dziura na wylot do pokoju znajdującego się poniżej. W otworze tym umieszczono pionowo rodzaj żelaznej skrzynki grubo pokrytej smarem. Wewnątrz tkwiła śruba, połączona z baldachimem łóżka. Następnie znaleziono i ułożono na podłodze inne świeżo naoliwione części: lewary pokryte pilnią i całą górną część ciężkiej prasy, skonstruowaną z piekielną pomysłowością, tak by pasowała do urządzenia w drugim pokoju, a rozłożona — zajmowała jak najmniej miejsca. Po pierwszych trudnościach zastępca prefekta złożył maszynę, zarządził, by jego ludzie wprawili ją w działanie i zszedł ze mną do sypialni. Dusicielski baldachim opuścił się, ale nie tak cicho jak poprzednim razem. Kiedy nadmieniłem o tym zastępcy prefekta, jego odpowiedź, choć prosta, była bardzo wymowna.

— Moi ludzie — odrzekł — uruchomili baldachim po raz pierwszy, lecz ci, których pieniądze pan wygrał, mieli większą praktykę.

Pozostawiliśmy jaskinię gry pod opieką dwóch agentów policyjnych, a jej mieszkańcy zostali odesłani do więzienia. Zastępca prefekta spisał w swej kancelarii moje zeznania i poszedł ze mną do hotelu po paszport. Wręczając mu ten dokument, zapytałem:

— Jak pan myśli, czy wiele ludzi zostało zaduszonych w ten sposób?

— Widziałem w Morgue dziesiątki topielców, w których kieszeniach znajdowały się listy głoszące, że rzucili się do Sekwany, ponieważ stracili wszystko przy stole gry. Czy mogę wiedzieć, ilu z nich wchodziło do tego lokalu, do którego pan wszedł? Ilu wygrało jak pan? Położyło się do tego samego łóżka, w którym pan leżał? Spało w nim? Ilu zaduszono i wrzuciono do rzeki z listem wyjaśniającym, napisanym przez morderców i włożonym przez nich do kieszeni ofiary? Nikt nie może powiedzieć, jak wielu czy niewielu udało się uniknąć losu, który miał stać się pana udziałem.

To prawie wszystko, co miałem do powiedzenia. Przesłuchano mnie; przeszukano dom gry od piwnic do poddasza; więźniów badano oddzielnie. Dwu z mniej winnych wyznało wszystko. Dowiedziałem się, że stary żołnierz był właścicielem domu gry, a ramię sprawiedliwości wykryło, że przed laty wypędzono go z wojska jako wagabundę; że od tej pory popełniał najrozmaitsze przestępstwa; że znaleziono przy nim rzeczy skradzione, które właściciel rozpoznał, i że on oraz krupier i pozostali wspólnik, a także kobieta, która parzyła mi kawę, znali tajemnicę łoża z baldachimem. Istniały wątpliwości co do tego, czy służba domu wiedziała coś o istnieniu duszącej maszyny i dzięki temu karani byli tylko jako złodzieje i włóczędzy. Starego żołnierza i dwóch jego zbirów zesłano na galery, kobietę skazano, nie pamiętam już na ile lat więzienia, stałych bywalców domu gry uznano za osoby podejrzane i umieszczono pod nadzorem, a ja stałem się na tydzień „lwem” paryskich salonów.

Przygoda ta odebrała mi raz na zawsze ochotę do gry w *rouge et noire*. Widok zielonego stolika z taliami kart i stosami pieniędzy związał się w mym umyśle na zawsze z widokiem baldachimu osuwającego się na mnie w ciszy i ciemności nocy, by mnie zadusić.

Przełożyła Aldona Szpakowska

FITZ-JAMES O'BRIEN

Fitz-James O'Brien (1828—1862), z pochodzenia Irlandczyk, ukończył uniwersytet w Dublinie. Strwoniwszy majątek w Londynie i Paryżu, przybywa w roku 1852 do Ameryki i wkrótce, dzięki swemu dowcipowi i pogodnemu usposobieniu, zyskuje popularność w środowisku nowojorskiej cyganerii. Odtąd aż do śmierci z ran odniesionych w wojnie domowej pisze wiersze, krytyki, sztuki teatralne. Jednakże pewien rozgłos zapewniły mu przede wszystkim opowiadania tworzone pod wyraźnym wpływem Poego. Doskonałym przykładem jego pomysłowości i realizmu w ujęciu fantastycznej tematyki jest opowiadanie „Co to było?”, napisane w roku 1859.

CO TO BYŁO?

Wyznaję, że pełen poważnych zastrzeżeń przystąpiłem do dziwnej tej opowieści. Jestem przygotowany na to, że niezwykle wypadki, które tu pragnę opisać, przyjęte zostaną z powątpiewaniem i wzgardą. Wszystko to z góry przewidziałem. Ufam, iż starczy mi odwagi, by stawić czoło niedowiarkom. Po dojrzałym namyśle postanawiam w sposób możliwie najprostszy i najbardziej prawdziwy opowiedzieć to, co widziałem w lipcu ubiegłego roku, a z czym żaden fakt zanotowany w kronikach zagadek fizyki nie da się porównać.

Mieszkam pod numerem... na ulicy Dwudziestej Szóstej w Nowym Jorku. Dom ten pod wieloma względami zasługuje na miano dziwnego. Od dwu lat cieszy się reputacją domu, w którym straszy. Jest to budynek duży i dostojny. Niegdyś otaczał go ogród, a teraz na trawnikach suszy się bielizna. Stara fontanna i parę drzew owocowych, zaniedbanych i nie przycina-

nych, świadczą, iż ogród ten stanowić musiał miłe, cieniste zacisze, pełne owoców i kwiatów, rozbrzmiewające słodkim szmerem fontanny.

Dom jest bardzo obszerny. Z wielkiego hallu wchodzi się na szerokie, kręte schody, a z nich do pokoi o równie imponujących rozmiarach. Jakies piętnaście czy dwadzieścia lat temu wybudował go pan A., znany nowojorski kupiec, który przed pięcioma laty wprowadził świat handlowy w osłupienie niesłychanym wprost skandalem bankowym. Powszechnie wiadomo, iż pan A. uciekł złamany do Europy, gdzie niebawem umarł. Ledwo wiadomość o jego śmierci dotarła do Ameryki i została oficjalnie potwierdzona, wśród mieszkańców ulicy Dwudziestej Szóstej rozeszła się pogłoska, że pod numerem... straszy. Wdowę po właścicielu wydziedziczono. Dom zamieszkiwali tylko stróż i jego żona, opłacani przez agenta, w którego ręce nieruchomości przeszła jako obiekt na sprzedaż lub do wynajęcia.

Małżonkowie stwierdzili, że dochodzą ich niezwykle hałasy. Drzwi otwierały się bez widocznej przyczyny. Nieznane ręce układały na stos meble, jakie zostawiono w poszczególnych pokojach. Ktoś niedostrzegalny chodził po schodach w biały dzień, a krokiem jego towarzyszył szelest jedwabnych sukien i szmer dłoni dotykających poręczy. Stróż z żoną postanowili się wyprowadzić. Pośrednik nieruchomości wyśmiał ich, zwolnił z posady, a na ich miejsce przyjął kogoś innego. Odgłosy i nadprzyrodzone zjawiska nie ustawały. Mówiono o tym szeroko w sąsiedztwie, nikt więc nie wynajmował domu przez trzy lata. Parę osób miało na niego ochotę, ale jakoś zawsze, nim dobito targu, zainteresowani usłyszawszy złowrogie plotki, wycofywali się z transakcji.

W tym stanie rzeczy moja gospodyni, która prowadziła wówczas pensjonat na Bleeker Street i pragnęła przenieść się bliżej centrum, powzięła śmiały zamiar: wynajmie dom nr... przy ulicy Dwudziestej Szóstej. Przypadek zrządził, iż pensjonariusze zaliczali się do ludzi raczej odważnych i filozoficznie usposobionych, wobec czego przedłożyła nam swój projekt, wyznając otwarcie wszystko, co tyczyło nadprzyrodzonych właściwości domu, do którego zamierza nas przenieść. Z wyjątkiem dwóch osób bojaźliwych — kapitana żeglugi morskiej i Kalifornijczyka, którzy z miejsca oświadczyli, że się wyprowadzą — wszyscy lokatorzy pani Moffat postanowili towarzyszyć jej w rycerskim najeździe na siedzibę duchów.

Przeprowadzka odbyła się w maju i nowa siedziba dosłownie nas oczarowała. Odcinek ulicy Dwudziestej Szóstej między aleją Siódmą i Ósmą jest jednym z najprzyjemniejszych zakątków Nowego Jorku. Ogrody na tyłach domów zbiegają nad samą niemal rzekę Hudson i w lecie tworzą wspaniałe pasmo świeżej zieleni. Powietrze jest czyste i ożywcze, napływa z rzeki wprost od wzniesień Weehawken i nawet zaniedbany ogród wokół domu, gdzie w dni prania zbyt gęsto wiszą sznury z bielizną, był skrawkiem zieleni, na którym chętnie spoczywało oko, i chłodnym zaciszem, gdzie w mroku letnich wieczorów paliliśmy cygara, obserwując lot światełek w wysokiej trawie.

Oczywiście zaraz po przeprowadzce zaczęliśmy wyglądać duchów. Wszyscy oczekiwali ich z prawdziwą niecierpliwością. Przy obiedzie rozmowa toczyła się na tematy nadprzyrodzone. Jeden z lokatorów nabył dla własnej rozrywki „Nocną stronę Natury” pani Crowe i odtąd cały dom uważał go za wroga publicznego, ponieważ nie zakupił dwudziestu egzemplarzy. Człowiek ten cierpiał straszne męki, zanim przeczytał książkę do końca. Stał się ofiarą zorganizowanej sieci szpiegowskiej. Jeśli przez nieuwagę odłożył książkę i na chwilę wyszedł z pokoju, ktoś natychmiast ją chwycił, a potem garstka wybranych czytała ją na głos w ukryciu. Ja sam zyskałem ogromne znaczenie, odkąd wyszło na jaw, że jestem niezłe zorientowany w sprawach nadprzyrodzonych i napisałem kiedyś nowelę o duchu. Gdy przypadkowo zakrzywił stół czy boazeria, a siedzieliśmy w dużym salonie, cisza natychmiast zalegała pokój i każdy był przekonany, że zaraz usłyszysz brzęk łańcuchów i ujrzy zjawę.

Po miesiącu podniecenia musieliśmy głęboko niezadowoleni przyznać, iż nikt nie zauważył nic choćby w najmniejszym stopniu niezwykłego. Raz służący, Murzyn, zaklinał się, że coś zdmuchnęło mu świecę wieczorem, kiedy się rozbierał, ponieważ jednak zdarzało mi się

widzieć tego czarnego dżentelmena w stanie, w którym zamiast jednej mógł łatwo dojrzeć dwie świece, wydało mi się całkiem prawdopodobne, iż przez dalsze nadużycie trunków padł ofiarą zjawiska odwrotnego i zamiast jednej nie dostrzegał żadnej świecy.

Tak przedstawiały się sprawy, gdy zaszedł wypadek do tego stopnia straszny i niewytłumaczalny, że dostaję zawrotu głowy na samo jego wspomnienie. Było to dziesiątego lipca. Po obiedzie wyszedłem z moim przyjacielem, doktorem Hammondem, do ogrodu na wieczorną fajkę. Niezależnie od łączącej nas sympatii byliśmy związani wspólną wadą. Obaj paliliśmy opium. Każdy z nas znał sekret drugiego i okazywał mu pełne zrozumienie. Razem przeżywaliliśmy cudowną ekspansję ducha, wspaniałą intensyfikację zdolności pojmowania, nie znające granic poczucie, że istniejemy w całym wszechświecie, słowem, stan niepojętej błogości, którego nie oddałbym za tron królewski, a którego, mam nadzieję, mój czytelniku, nigdy nie zaznasz.

Doktor i ja ustaliliśmy z naukową ścisłością te spędzane potajemnie godziny szczęścia. Nie zażywaliśmy boskiego narkotyku lekkomyślnie ani nie puszczaaliśmy wodzy marzeniom. Rozmowę świadomie kierowaliśmy na wzniosłe i łagodne tory. Mówiliśmy o Wschodzie, usiłując odtworzyć w pamięci magiczną panoramę płomiennych krajobrazów. Krytyce naszej podlegali najbardziej zmysłowi poeci — ci, którzy przedstawiali życie czerstwe i zdrowe, tryskające namiętnościami, radosne poczucie młodości, siły i piękna. W „Burzy” Szekspira zachwycał nas Ariel, niechęcią napełniał Kaliban. Jak gwebrowie * zwracaliśmy twarze na Wschód, a oczy nasze dostrzegały tylko słoneczną stronę świata.

Tak zręcznie zabarwione myśli rodziły kolorowe wizje. Bogactwa arabskiej krainy baśni opromieniały nasze marzenia. Przemierzaliśmy wąski trawnik dumnym, królewskim krokiem. Śpiew *rana arborea* czepiającego się kory starej śliwy brzmiał jak dźwięki boskiej melodii. Domy, ściany i ulice roztopiały się jak chmury deszczowe, a obrazy nieporównanego piękna słały się przed oczami. Była to cudowna przyjaźń. Przeżywaliliśmy te radości w sposób tym doskonalszy, że nawet w momentach szczytowej ekstazy nie opuszczała nas świadomość łączącej nas więzi. Przyjemności, choć doznawane indywidualnie, pozostawały bliźniacze, wibrowały i unosiły się w muzycznym akordzie.

Wspomnianego wieczoru dziesiątego lipca wprawiliśmy się z doktorem w nastrój niezwykle podniosły. Z dużymi fajkami z pianki morskiej, nabitymi doskonałym tureckim tytoniem, w sercu którego żarzył się czarny orzeszek opium, jak orzech z bajki zamykający w swej ciasnej łupinie cuda niedostępne nawet monarchom, spacerowaliśmy pogrążeni w rozmowie. Dziwna przekora kierowała biegiem naszych myśli. Nie chciały płynąć pogodnym torem, w jaki próbowaliśmy je zawrócić. Z niewytłumaczonych przyczyn zbaczały ciągle w rejony czarne i puste, w krainę wiecznego cienia. Na próżno dawnym zwyczajem przerzuciliśmy się na wybrzeża Wschodu, wspominając wesołe bazyry, cudowną erę Harouna, haremy i złote pałace. Czarne demony wciąż powstawały z głębi naszej rozmowy i rosły jak olbrzym, którego rybak oswobodził z miedzianej czary, aż przysłoniły nam świetlane wizje. Podświadomie ulegliśmy magicznej sile, pogrążając się w ponurych rozważaniach. Zastanowiła nas skłonność umysłu ludzkiego do mistycyzmu i powszechne niemal umiłowanie grozy, gdy wtem Hammond spytał:

— Co uważasz za najpotężniejszy element grozy?

Zaskoczyło mnie to pytanie. Wiedziałem, że różne rzeczy mogą być straszne. W ciemnościach potknąć się o czyjeś zwłoki; widzieć, tak jak ja kiedyś, kobietę unoszoną wartkim prądem rzeki, z wyrzuconymi w górę ramionami i dziko wykrzywioną twarzą, kobietę, której krzyki rozdzierały serce, podczas gdy my, widzowie, staliśmy skamieniali w oknie, niezdolni do najmniejszego wysiłku, by ją ocalić, i obserwowaliśmy w milczeniu jej przedśmiertną mękę. Opuszczony wrak, pływający bez celu na powierzchni morza, budzi grozę, ponieważ nasuwa myśl o czymś potwornym, czego rozmiarów nie znamy. Ale po raz pierwszy przyszło

* Gwebrowie — zoroastriańscy czciciele ognia, którzy pozostali w Persji po podboju muzułmańskim.

mi do głowy, że musi istnieć jakieś jedno wielkie i zasadnicze wcielenie strachu — Król Grozy — któremu wszystko inne podlega. Co to jest takiego? Jakiemu zbiegowi okoliczności twór ten zawdzięcza istnienie?

— Wyznam ci — rzekłem — iż nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Niewątpliwie musi być coś straszniejszego niż wszystko inne. Nie mogę jednak zdobyć się na jakąś choćby najbardziej ogólną definicję.

— Tak samo ja, Harry. Czuję, że byłbym zdolny znieść coś straszniejszego niż to wszystko, co do tej pory poczęło się w ludzkich umysłach, coś, co łączyłoby w straszliwy i niezgodny z naturą związek elementy dotychczas traktowane jako sprzeczne. Głosy przemawiające w „Wielandzie” Brockdena Browna napełniają grozą, tak jak i postać Mieszkańca Progu z „Zanoni” Bulwera. Ale — dodał Hammond, ponuro kiwając głową — na pewno istnieje coś jeszcze potworniejszego.

— Daj spokój — powiedziałem. — Na miłość boską, zostawmy ten temat. Odpokutujemy za to, mozesz mi wierzyć.

— Nie wiem, co mi się dziś stało — tłumaczył — lecz nawiedzają mnie najróżniejsze dziwne i ponure myśli. Czuję, że gdybym lepiej władał piórem, mógłbym dziś wieczór napisać historyjkę w stylu Hoffmana.

— Nie, jeśli mamy rozmawiać w tym stylu, idę do łóżka. Opium i nocne mary nie powinny nigdy iść ze sobą w parze. Jakżeż dziś duszno! Dobranoc, Hammond.

— Dobranoc, Harry! Przyjemnych snów.

— A tobie, ponura istoto, niech się przyśnią demony, złe duchy i czarnoksiężnicy.

Każdy z nas poszedł do siebie. Szybko zrzuciwszy ubranie, wyciągnąłem się na łóżku, starym zwyczajem biorąc ze stolika książkę, którą na ogół czytałem do poduszki. Otwarłem ją i natychmiast cisnąłem w najdalszy kąt pokoju. Była to „Historia monstrów” Goudona, dziwny utwór francuski, który niedawno sprowadziłem z Paryża, ale którego w ówczesnym stanie ducha nie uważałem za przyjemną lekturę. Postanowiwszy zasnąć bez zwłoki, przykręciłem gaz, tak że tylko mały, niebieski płomyk migotał u wylotu rurki.

W pokoju zrobiło się ciemno. Płamka gazowego światła rozjaśniała mrok w promieniu najwyżej trzech cali. Zdecydowanym gestem przysłoniłem ręką oczy, jak bym chciał odgrodzić się nawet od ciemności, i próbowałem nie myśleć o niczym. Na próżno. Przekłete sprawy poruszone w ogrodzie przez Hammonda nadal mnie prześladowały. Walczyłem z nimi. Wzniósłem szanice pustki umysłowej, aby je powstrzymać. Nie opuszczały mnie jednak. Leżałem cicho w nadziei, że idealny bezruch fizyczny sprowadzi wreszcie duchowe wytchnienie, gdy wtem zdarzyła się rzecz straszna. Niby z sufitu coś spadło mi prosto na piersi, a następnie poczułem dwie kościste ręce zaciskające się na mej szyi, jak gdyby mnie chciały udusić.

Nie jestem tchórzem, natura zaś obdarzyła mnie siłą fizyczną. Niespodziewany atak, zamiast wywołać oszołomienie, pobudził każdy nerw do działania. Instykt kierował moim ciałem, zanim mózg zdołał uprzytomnić sobie grozę sytuacji. Momentalnie oplotłem dziwną istotę muskularnymi ramionami i z całą, zrodzoną z rozpaczny siłą przyciągnąłem to coś do siebie. Po paru sekundach suche dłonie, które zacisnęły mi się na gardle, zwolniły uchwyt i znów mogłem oddychać. Wywiązała się dzika, zacięta walka. W nieprzeniknionych ciemnościach, absolutnie nieświadom, czym może być to, co mnie tak nagle zaatakowało, czułem, że napastnik co chwila wyslizguje mi się z ręki. Przypisywałem to jego zupełnej nagości. Ostre zęby wpijały mi się w barki, szyję i pierś; bez przerwy musiałem chronić gardło przed parą żyłastych, zręcznych dłoni, których mimo największych wysiłków nie potrafiłem unieruchomić. Walka w tych warunkach wymagała całej siły, zręczności i odwagi, jaką dysponowałem.

W końcu, po bezgłośnych, zaciętych, wyczerpujących zmaganiach, z niesłychanym trudem zyskałem nad przeciwnikiem przewagę. Przygniótłszy kolanem coś, co wydawało mi się jego torsem, uznałem się za zwycięzcę. Musiałem chwilę odpocząć. Z ciemności dochodziło

sapanie jakiejś istoty, czułem gwałtowne bicie jej serca. Jedyna pociecha, że musiała być równie jak ja zmęczona. Wtem przypomniałem sobie, iż zwykle przed pójściem spać chowam pod poduszkę dużą, żółtą jedwabną chustkę do nosa. Sięgnąłem po nią; chustka była na miejscu. W parę sekund przywiązałem napastnikowi ręce do tułowia.

Poczułem się teraz względnie bezpieczny. Nie pozostało nic więcej do zrobienia, jak podkręcić gaz, i zobaczywszy nocnego gościa, obudzić mieszkańców domu. Przyznam, że nie zawołałem ich wcześniej powodowany dumą; pragnąłem schwytać przeciwnika sam. bez niczyjej pomocy.

Ani na moment nie zwolniłem uścisku i tak zsunąłem się na podłogę, ciągnąc jeńca za sobą. Od palnika dzieliło nas zaledwie kilka kroków. Przeszedłem przez pokój z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. trzymając zjawę jak w stalowym uchwycie. Wreszcie zbliżyłem się na odległość ramienia do płamki niebieskiego światła, która wskazywała położenie palnika. Błyskawicznie oswobodziłem jedną rękę; zwiększyłem płomień i obróciłem się, by spojrzeć na jeńca.

Jakakolwiek próba określenia mych wrażeń w chwili, gdy błysnęło światło, spełzłaby na niczym. Musiałem chyba wydać okrzyk trwogi, bo po upływie niecałej minuty pokój zapełnił się mieszkańcami domu. Jeszcze teraz dreszcz mnie przechodzi na to straszne wspomnienie. Nie zobaczyłem nic! Tak. Ramieniem mocno opasałem oddychający, zasapany, cielsny kształt, drugą rękę z całych sił zaciskałem na gardle tak ciepłym i pozornie tak materialnym jak moje własne, a jednak, choć trzymałem tę żywą substancję, choć przyciskałem do siebie ciało, i to w jasnym blasku gazowej lampy, nie dostrzegłem absolutnie nic! Nawet zarysu... cienia!

Do tej pory nie potrafię zdać sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazłem. Trudno sobie dokładnie przypomnieć to zdumiewające zajście. Wyobrażnia na próżno usiłuje ogarnąć ten straszny paradoks.

To coś oddychało. Czułem ciepłe tchnienie na policzku. Walczyło zajadłe. Miało ręce. Tymi rękoma mnie obejmowało. Skórę miało gładką jak moja. Było tam, przytulone do mnie, materialne jak kamień, a jednak całkiem niewidoczne!

Dziwię się, że nie upadłem zemdlony ani nie zwariowałem. Musiał podtrzymywać mnie jakiś cudowny instynkt, bo zamiast wypuścić straszną Zagadkę, zyskałem jakby na siłach w tym momencie grozy i zacieśniłem chwyt z taką mocą, że niewidzialna istota zadrżała z bólu.

Właśnie wtedy wszedł do pokoju Hammond na czele domowników. Widząc mą twarz — bez wątpienia wyglądała niesamowicie — pospieszył ku mnie z okrzykiem.

— Wielkie nieba, Harry! Co się stało?

— Hammond! Hammond! — wołałem. — Chodź tutaj. Och, to straszne! W łóżku napa-dło mnie coś, co trzymam, ale czego nie mogę zobaczyć! Nie mogę!

Hammonda musiała najwidoczniej zaskoczyć prawdziwa groza malująca się na mej twarzy, gdyż postąpił parę kroków niepewny i zdumiony. Od grupki mych współmieszkańców dobiegł wyraźny chichot. Ten stłumiony śmiech wprawił mnie w furję. Śmiać się z człowieka w moim położeniu! To już najgorsze okrucieństwo. Teraz potrafię zrozumieć, dlaczego widok mężczyzny mocującego się z powietrzem, bo tak wyglądałem, i wołającego o pomoc w walce ze zjawą był tak zabawny. Wówczas szyderstwa wzbudziły we mnie gniew i gdyby leżało to w mojej mocy, wszyscy zebrani na miejscu padliby trupem.

— Hammond, Hammond! — zawołałem już zrozpaczony. — Na litość boską, chodź do mnie! Nie utrzymam tego... tego czegoś dłużej. Zyskuje przewagę. Ratunku! Ratunku!

— Harry — szepnął zbliżając się Hammond. — Za dużo paliłeś.

— Przysięgam ci, że to nie złudzenie — odparłem równie cicho. — Czy nie widzisz, jak mną potrząsa? Przekonaj się, jeśli mi nie wierzysz. Dotknij to... porusz.

Hammond położył rękę we wskazanym przeze mnie miejscu. Dziki okrzyk grozy wyrwał mu się z piersi. Poczul!

Natychmiast wyszukał gdzieś długi kawałek sznurka, skrępował nim i spętał ciało niewidocznej istoty.

— Harry — zaczął ochryplym z podniecenia głosem, bo choć zachował przytomność umysłu, całe zajęcie głęboko go poruszyło. — Harry, teraz jest związane. Możesz puścić, stary, jeśli się zmęczył. To coś już się nie ruszy.

Doszczętnie wyczerpany, z ulgą zwolniłem uchwyt.

Hammond trzymał końce linki nawinięte wokół dłoni, a tymczasem przed nim, jakby o własnych siłach, stał zwój sznura, ciasno opinający próżnię. Nigdy nie widziałem człowieka tak przerażonego. Mimo to twarz jego wyrażała całą odwagę i zdecydowanie, na jakie było go stać. Pobladłe wargi zacisnął mocno i od pierwszego wejrzenia rzuciło się w oczy, że w obliczu niebezpieczeństwa nie traci ducha. Wśród świadków tej niecodziennej sceny wybuchł popłoch. Tych, którzy widzieli pantomimę wiązania opierającego się Czegoś, którzy widzieli, jak niemal padam z fizycznego zmęczenia, kiedy zakończyłem obowiązki strażnika więziennego, ogarnął popłoch i trwoga nie do opisania. Bardziej lękliwi uciekli z pokoju.

Kilku pozostałych skupiło się przy drzwiach i za nic nie dało się ich nakłonić, by przeszli do Hammonda i jego podopiecznego. Mimo to niedowierzanie wciąż przebijało przez strach. Nie mieli dość odwagi, żeby zaspokoić ciekawość, a jednak wątpili. Na próżno namawiałem paru mężczyzn, aby się przybliżyli i namacalnie przekonali o istnieniu tu, w tym pokoju, żywej, lecz niewidzialnej istoty. Nie dawali wiary, ale nie ośmielili się rozwiać swych wątpliwości. Jak może materialne, żywe, oddychające stworzenie być niewidoczne? Odpowiedziałem w sposób następujący. Dałem znak Hammondowi i obaj — przewyciężając straszliwy wstręt, jaki budziło w nas zetknięcie z niedostrzegalną istotą — podnieśliśmy ją z ziemi, tak jak była spętana, i zanieśliśmy do łóżka. Ważyła tyle co czternastoletni chłopiec.

— A teraz, przyjaciele — odezwałem się, trzymając wraz z Hammondem jeńca w powietrzu — zobaczycie oczywisty dowód, że jest to materialne ciało o pewnej wadze, którego mimo wszystko nie możecie dojrzeć. Proszę uważnie obserwować powierzchnię łóżka.

Zdziwiła mnie własna odwaga, która pozwoliła mi tak spokojnie potraktować ten dziwny przypadek, lecz otrząsałem się już z pierwotnego przerażenia i obecnie napełniał mnie on swego rodzaju naukową dumą, zagłuszającą inne uczucia.

Oczy widzów natychmiast skierowały się w stronę łóżka. Na umówiony sygnał wypuściliśmy z rąk więźnia. Rozległ się przytłumiony odgłos ciała spadającego na miękką masę. Deski łóżka skrzyknęły. Na poduszce i materacu wyraźnie zaznaczyło się głębokie wklęsnięcie. Zebrani wypadli na korytarz z okrzykiem trwogi. Hammond i ja zostaliśmy sami z Tajemnicą.

Pewien czas panowało milczenie. Słuchaliśmy zduszonego, nieregularnego oddechu obcej istoty i patrzyliśmy, jak w bezsilnych próbach uwolnienia się z więzów szarpie mi pościel. Pierwszy odezwał się Hammond:

— Harry, to straszne!

— Tak, straszne.

— Ale wytłumaczalne.

— Wytłumaczalne! Co masz na myśli? Nic podobnego nie zdarzyło się od początku świata. Nie wiem, co o tym sądzić. Bóg świadkiem, że nie jestem szalony, a to nie wytwór chorej fantazji!

— Zastanówmy się, Harry. Leży tu ciało, którego dotykamy, ale którego nie możemy zobaczyć. Niezwykłość tego faktu napawa nas trwogą. Czyż nie istnieją jednak zjawiska zbliżone? Weź na przykład kawałek czystego szkła. Jest dotykalne i przezroczyste. Jedynie pewna chropowatość sprawia, że nie jest tak przezroczyste, by stać się całkiem niewidoczne. Nie jest t e o r e t y c z n i e n i e m o ż l i w e, zwracam ci na to uwagę, otrzymać szkło, które nie odbije najmniejszego promienia światła — szkło tak czyste i jednolite w układzie atomów, że promienie słońca przenikną je, jak przenikają powietrze, załamując się, ale nie

odbijając. Nie widzimy powietrza, a jednak czujemy je wokoło.

— Masz rację, Hammond, lecz to są substancje nieożywione. Szkło nie oddycha, powietrze też nie oddycha. To coś ma bijące serce, wolę i płuca, którymi czerpie powietrze.

— Zapominasz o zjawiskach stanowiących ostatnio tak częsty przedmiot dyskusji — odparł doktor z powagą. — Przy tak zwanych „wirujących stolikach” niewidoczne ręce ścisnęły dłonie osób siedzących wokół stołu. Ręce ciepłe, z krwi i ciała, pulsujące życiem.

— Co? Myślisz więc, że to coś jest...

— Nie wiem, co to jest — brzmiała odpowiedź — ale jeśli bogowie pozwolą, z twoją pomocą postaram się to zbadać.

Pałac fajki czuwaliśmy przez całą noc przy łóżku, na którym zaziemska istota miotła się i dyszała, póki jej sił starczyło. Po pewnym czasie stłumiony, regularny oddech oznajmił nam, że zasnęła.

Nazajutrz rano w domu zawrzało. Współlokatorzy zebrali się u moich drzwi, a Hammond i ja zostaliśmy bohaterami dnia. Trzeba było odpowiadać na tysiące pytań dotyczących stanu niecodziennego gościa, bo jak dotąd nikt prócz nas nie ośmielił się przekroczyć progu pokoju.

Więzień nie spał. Dowodziły tego konwulsyjne drgania pościeli, którą poruszał próbując ucieczki. Widok tych wtórnych oznak straszliwej walki o wolność i zmagania inaczej niedostrzegalnych przepętniał grozą.

Całą noc głowiliśmy się z Hammondem, jak znaleźć sposób określenia kształtu i przybliżonego wyglądu Zagadki. Wodziliśmy po niej rękami, co pozwoliło stwierdzić, że sylwetką i budową przypomina człowieka. Miała usta; kulistą łysą głowę; nos, ale tylko nieznacznie rysujący się na tle policzków; nogi i ręce chłopca. Z początku chcieliśmy położyć tę istotę na czymś gładkim i obrysować ją kredą, podobnie jak szewcy obrysowują stopę klienta. Zarzuciliśmy jednak ten plan jako nic niewart. Zarys nie dałby nawet najłżejszego pojęcia o budowie ciała.

Wtem zaświtała mi dobra myśl. Weźmiemy odcisk w gipsie. To utrwali kształt zjawiska i zaspokoi naszą ciekawość. Ale jak tego dokonać? Istota przecież się rusza, co utrudni założenie formy i wszystko popsuje. Przyszedł mi nowy pomysł. Czemu nie dać więźniowi chloroformu? Ma przecież narządy oddychania; wskazują na to odgłosy, jakie wydaje. Jeśli straci przytomność, możemy z nim robić, co nam się podoba. Posłaliśmy po doktora X; ledwie dostojny medyk ochłonął z pierwszego wrażenia, przygotował dawkę chloroformu. Już po trzech minutach mogliśmy usunąć więzy krępujące ciało śpiącego, specjalista zaś przystąpił do okładania niewidzialnej postaci wilgotnym gipsem. Pięć minut później otrzymaliśmy formę, a przed wieczorem niedoskonałą podobiznę Tajemnicy. Była zbudowana jak człowiek — zniekształcony, pokraczny, straszny, a jednak człowiek. To coś było małe, jakies cztery stopy i parę cali wzrostu, o niezwykle silnie rozwiniętych mięśniach. Twarz przekraczała ohydą wszystko, co dotychczas zdarzyło mi się oglądać. Gustaw Dore, Callot ani Tony Johannot nigdy nie wymyśliliby czegoś równie potwornego. W ilustracjach Johannota do „Podróży, gdzie wam się podoba” widziałem twarz podobną do twarzy tej istoty, ale jej nie dorównującą. Wyobrażam sobie, że taką fizjonomię mogą mieć tylko złe duchy. Sądząc po niej więzień nasz zdolny był nawet żywić się ludzkim mięsem.

Kiedy zaspokoiliśmy już ciekawość, a domownicy zobowiązali się zachować tajemnicę, powstało pytanie, co zrobić z Zagadką. Nie można trzymać jej w domu; nie można również istocie tak przerażającej pozwolić na bujanie po świecie. Przyznaję, że chętnie głosowałbym za jej śmiercią. Ale kto poniósłby odpowiedzialność? Kto podjąłby się uśmiercić tę straszłą podobiznę człowieka? Dzień po dniu roztrząsaliśmy to zagadnienie. Z domu wszyscy się wyprowadzili. Pograżona w rozpacz pani Moffat groziła mnie i Hammondowi, że wstąpi na drogę sądową, jeśli nie usuniemy gdzieś Zmory. Nasza odpowiedź brzmiała:

— Wyniesiemy się na pani życzenie, ale nie zabierzemy tej istoty ze sobą. Niech pani

sama coś z nią robi, skoro ma pani ochotę. Pojawiła się w pani domu. Na pani więc spoczywa odpowiedzialność.

Pani Moffat oczywiście milczała. Za żadne skarby świata nie namówiłaby nikogo, by na krok zbliżył się do Tajemnicy.

Co najdziwniejsze, nie mieliśmy pojęcia, czym się nasz więzień normalnie żywił. Ustawialiśmy przy nim najrozmaitsze potrawy, jakie nam tylko przyszły na myśl, ale nawet ich nie tknął. Potworne było stać tak dzień po dniu u jego wezgłowia, widzieć, jak szarpie pościel, i wsłuchiwać się w ciężki oddech ze świadomością, że to coś umiera z głodu.

Minęło dziesięć, dwanaście, czternaście dni, a ono wciąż żyło. Bicie serca słabło jednak stopniowo i w końcu niemal ustało. Nic mieliśmy wątpliwości, że jeniec umiera z wycieńczenia. Czuję się nieszczęśliwy, podczas gdy toczył tę okropną walkę o życie. Żeby nie wiem jak straszna była schwytana przez nas istota, litością napełniała myśl o męczarniach, jakie znosi.

Wreszcie to coś umarło. Znaleźliśmy je pewnego dnia w łóżku zimne i zeszywniałe. Serce przestało bić, płuca oddychać. Nie zwlekając pochowaliśmy Zagadkę w ogrodzie. Dziwny to był pogrzeb — opuszczać niewidoczne ciało w wilgotną jamę. Odlew gipsowy tej postaci ofiarowałem doktorowi X do jego muzeum przy ulicy Dziesiątej.

Ponieważ wybieram się w długą podróż, z której mogę już nie wrócić, opisałem ten wypadek, najdziwniejszy, jaki mi się w życiu przydarzył.

Przełożyła Zofia Dąbrowska

MARGARET OLIPHANT

Margaret Oliphant (1828—1897) urodziła się w Szkocji, w okolicach Edynburga. Twórczość literacką rozpoczęła jako zupełnie młoda dziewczyna i kontynuowała prawie do końca życia. Jej pierwsza powieść „Mrs. Margaret Maitland”, ukazała się w roku 1849 i swoim humorem, patosem i wnikliwą charakterystyką od razu pozyskała autorce niepoślednie miejsce w literaturze. Oprócz licznych powieści oraz studiów biograficznych i historycznych pani Oliphant pozostawiła dwa tomy opowiadań o duchach, „Oblężone miasto” (1880) i „Mały pielgrzym w niewidzialnym świecie” (1882).

OKNO BIBLIOTEKI

I

Początkowo zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z dyskusji prowadzonych na temat tego okna. Znajdowało się ono prawie naprzeciwko okien dużego, staromodnego salonu w domu, gdzie spędzałam to lato, które miało odegrać tak wielką rolę w moim życiu.

Dom nasz i biblioteka stały po przeciwnych stronach szerokiej High Street w St. Rule's. Była to ulica ładna, przestronna i rozległa, a także — zdaniem ludzi przyjeżdżających z bardziej hałaśliwych miejscowości — ogromnie spokojna. Ożywia się jedynie w letnie wieczory i wtedy ciszę raz po raz zakłócają przeróżne dźwięki: czyjeś kroki czy miłe głosy, łagodnie rozbrzmiewające w letnim powietrzu. Czasami nasza ulica staje się nawet wręcz hałaśliwa; zdarza się to w czasie jarmarków, niekiedy w nocy z soboty na niedzielę, albo gdy przyjeżdżają pociągi turystyczne. Wtedy nawet ciepłe, przesycone słońcem powietrze wieczoru nie łagodzi głośnych rozmów i krzyków. Lecz w takich niemiłych chwilach zamykamy okno i

nawet ja, która tak lubię tę głęboką wnękę, gdzie mogę skryć się przed wszystkimi domowymi sprawami i podpatrywać życie ulicy, wycofuję się z mej wieży obserwacyjnej. Prawdę mówiąc, w domu działo się bardzo niewiele. Należał on do mojej ciotki, której (za co ona dziękuje Bogu) nic nigdy się nie przydarza. Przypuszczam, że niegdyś było zgoła inaczej, jednak w okresie, o którym opowiadam, wszystko już przeminęło i teraz jest to tylko stara, cicha kobieta. Życie jej toczyło się według utartej, niczym nie zakłóconej rutyny. Zawsze wstawiała o tej samej porze i dzień po dniu oddawała się tym samym zajęciom, które następowały po sobie w nieziennej kolejności. Twierdziła, że taki tryb życia jest dla człowieka największym oparciem na świecie i że rutyna jest czymś w rodzaju zbawienia. Może i miała rację, ale to bardzo nudne zbawienie. Myślałam często, że ja wołałabym, aby wokół mnie coś się działo, niezależnie od tego, co by to było. Ale byłam wtedy młoda i na tym polegała różnica.

W okresie, o którym chcę opowiedzieć, głęboka wnęka okna w salonie stanowiła dla mnie wielką pociechę. Chociaż ciotka była kobietą starą (a może właśnie dlatego, że była stara), należała do osób bardzo tolerancyjnych i okazywała mi dużo zrozumienia. Widząc, jak się sadowię pośród książek, z koszyczkiem do robótek, nigdy nie powiedziała ani słowa, natomiast często się do mnie uśmiechała. Pracowałam wtedy bardzo niewiele — od czasu do czasu robiłam kilka ściągów, gdy miałam na to ochotę, albo gdy tonąc w marzeniach, wolałam zająć się robótką niż coś czytać. Czasem znów zdarzało się, ale tylko wtedy, kiedy książka była rzeczywiście interesująca, że siedziałam w swojej wnęce i pochłaniałam tom po tomie nie zwracając uwagi na nikogo. A jednak pewne rzeczy dochodziły do mojej świadomości. Kiedy ciotkę Mary odwiedzały jej wiekowe przyjaciółki, słyszałam ich rozmowy, chociaż bardzo rzadko im się przysłuchiwałam. A jednak zawsze, ilekroć tylko rozmawiały o czymś ciekawym, dziwnym trafem odnajdywałam później w pamięci fragmenty tych rozmów zupełnie, jak by je przywiał do mnie jakiś powiew wiatru. Stare damy przychodziły i odchodziły, a do mojej świadomości docierał jedynie widok ich staromodnych czepków to pojawiających się, to znikających z pokoju oraz szelest ich sukien; od czasu do czasu musiałam podrywać się z miejsca, by przywitać się z kimś, kto mnie znał i pytał o ojca i mamę. Potem ciotka Mary nieznacznie się do mnie uśmiechała, a ja wsuwałam się z powrotem do mojej wnęki. Jak się zorientowałam, ciotka nie miała nigdy nic przeciw temu, bym sobie tam siedziała. Natomiast jestem prawie pewna, że moja mama nigdy by na to nie pozwoliła. Od razu przypominałaby sobie dziesiątki spraw, które trzeba załatwić. Posyłałaby mnie na górę, żeby przynieść coś, co według mego głębokiego przekonania zupełnie nie było jej potrzebne, albo też na dół, by wydać służącej jakieś najzupełniej zbędne polecenie. Chciała, żebym była ustawicznie w ruchu. Może właśnie dlatego tak bardzo lubiałam salon ciotki Mary, głęboką wnękę okienną, do połowy zakrytą opadającą firanką, i szeroki parapet, na którym można było pomieścić mnóstwo najróżniejszych rzeczy bez narażenia się na zarzut, że panuje tam bałagan. Jeśli się tylko zdarzyło, że któremuś z nas coś dolegało, od razu posyłano nas do St.Rule's, abyśmy się wzmocnili. I tak też było ze mną w okresie, o którym mam zamiar opowiedzieć.

Od chwili, kiedy zaczęłam mówić, przylgnęło do mnie miano fantastki, kapryśnicy i marzycielki. Nazywano mnie też inaczej, w sposób, który tak często wprawia w zakłopotanie młode panny lubiące poezję i rozmyślania. Ludzie nie wiedzą właściwie, co mają na myśli, kiedy mówią: „fantastka”. Brzmi to jak „Zwariowana Magda” lub coś w tym rodzaju. Moja mama była zdania, że trzeba dbać, abym stale miała jakieś zajęcie, bo wtedy nie będą mi przychodziły do głowy żadne niemądre myśli. Ale tak naprawdę, to nigdy nie interesowały mnie głupstwa. Byłam raczej poważna. Gdyby mnie tylko pozostawiono samej sobie, nie sprawiałabym nikomu najmniejszego kłopotu. Posiadałam coś, jakby szósty zmysł i docierały do mnie przeróżne rzeczy, na które nie zwracałam żadnej uwagi. Nawet kiedy czytałam najbardziej zajmującą książkę, dochodziły do mnie wypowiedane słowa; słyszałam, o czym

rozmawiają przechodzący pod oknem ludzie. Ciotka Mary zawsze ze mnie żartowała mówiąc, że mogę równocześnie robić dwie albo nawet i trzy rzeczy; na przykład czytać, słuchać i pisać. Bardzo rzadko słuchałam, o czym mówiono w mojej obecności i prawie nigdy specjalnie nie wyglądałam na ulicę, jak to robi wiele ludzi, którzy się interesują damską modą, ale mimo to, nawet będąc całkowicie zatopiona w lekturze, słyszałam i widziałam rozmaite rzeczy, chociaż często przez więcej niż pół godziny ani na moment nie odrywałam oczu od książki.

Ale to bynajmniej nie wyjaśnia, dlaczego powiedziałam na początku, że na temat tego okna bardzo często rozmawiano. Było ono i jest nadal ostatnie w szeregu okien biblioteki gimnazjalnej, która mieści się na High Street, akurat naprzeciw domu ciotki. Jednakże okno to nie znajduje się dokładnie naprzeciw, lecz trochę w kierunku zachodnim, tak że najlepiej je widziałam, stojąc po lewej stronie mojej wnęki. Najspokojniej przyjmowałam jako coś, co nie ulega żadnej wątpliwości, że jest ono takim samym oknem jak każde inne, dopóki po raz pierwszy nie usłyszałam w salonie prowadzonej na ten temat rozmowy.

— Bardzo jestem ciekaw, pani Balcarres — odezwał się stary pan Pitmilly — czy w pani przekonaniu to okno naprzeciw jest oknem, czy też nim nie jest? — Nazwał ciotkę panią Balcarres, tak jak i jego zawsze nazywano panem Pitmilly Morton od nazwy jego posiadłości.

— Mówiąc szczerze, to nie wiem — odpowiedziała ciotka Mary — nigdy nie byłam tego pewna.

— To wprost niesłychane! — krzyknęła jedna ze starych dam — a o którym oknie państwo rozmawiają?

Pan Pitmilly mówiąc, śmiał się w jakiś specjalny sposób, który mi się bardzo nie podobał, ale było oczywiste, że się nie stara o to, by mi się podobać.

— O! Właśnie o tym naprzeciw — powiedział stary dżentelmen, przy czym śmiech przebijał przez jego słowa. — Nasza przyjaciółka nie potrafiła wyrobić sobie zdania, jak naprawdę wygląda sprawa z tym oknem, chociaż mieszka tu od...

— Nie musi pan wymieniać daty! — szybko wtrąciła inna dama. — Okno biblioteki! Cóż to, u Boga, może być jak nie okno? Przecież na tej wysokości nie mogą znajdować się drzwi!

— Ale kwestia polega na tym — ciągnęła moja ciotka — czy to jest takie prawdziwe okno z szybą, czy tylko namalowane; a może kiedyś było oknem z tym, że później je zamurowano. Im częściej człowiek na nie patrzy, tym trudniej jest na to odpowiedzieć.

— Pozwólcie, niech ja zobaczę to okno — poprosiła stara pani Carnbee, osoba bardzo ruchliwa i obdarzona zdecydowanym charakterem. A potem wszyscy naraz stłoczyli się w mojej wnęce: trzy czy cztery ogromnie zainteresowane stare damy. Nad ich głowami raz po raz ukazywały się siwe włosy pana Pitmilly. A moja ciotka nadal siedziała spokojna i uśmiechnięta na swoim miejscu.

— Bardzo dobrze pamiętam to okno — oświadczyła pani Carnbee — wiele ludzi je pamięta. Ale w tej chwili wygląda najzupełniej tak samo jak każde inne, tylko że nikt go nie mył, jak długo sięga pamięć ludzka, że się tak wyrażę.

— Wiem, co pani chce przez to powiedzieć — wtrąciła inna dama. — Jest zupełnie martwe i nie odbija się w nim nawet najmniejszy promień światła. Już raz widziałam coś równie okropnego.

— Tak, ono jest naprawdę martwe — wmieszał się jeszcze ktoś inny — ale to niczego nie dowodzi. Przecież te darmozjady, służące, w naszych podłych czasach...

— Nie, nie, służące są zupełnie dobre — odezwał się najłagodniejszy głos, należący do ciotki Mary. — Ja osobiście nigdy nie pozwalałam, żeby narażały życie, myjąc okna od zewnątrz. A poza tym w starej bibliotece nie ma żadnych służących; myślę, że w tym jednak się coś kryje.

Wszyscy goście ciotki stłoczyli się w mojej wnęce i ogromnie się na mnie pchali. Stare

twarze, wpatrujące się w coś, czego nie sposób było pojąć. Bardzo to był dziwny widok: wiekowe damy w podniszczonych satynowych sukniach, wyświeconych od długiego noszenia, a między nimi pani Carnbee z koronkową przepaską na głowie. Nikt na mnie nie patrzył, ani o mnie nie myślał. Zupełnie podświadomie odczuwałam kontrast między ich sędziwym wiekiem, a moją młodością; przyglądałam się im, gdy tak ponad moją głowę wpatrywali się w okno biblioteczne. Do tej chwili nie zwracałam żadnej uwagi na przedmiot ich zainteresowania. Dużo bardziej zajmowały mnie same stare damy, aniżeli okno, w które się wpatrywały.

— O ile mogę zauważyć — oświadczyła jedna z nich — to futryna jest zupełnie normalna. Pomalowano ją tylko na czarno, podobnie zresztą jak i szyby. To było kiedyś okno, pani Balcarres. Musieli je zamalować, kiedy wprowadzono podatek od okien. Na pewno pani to pamięta, pani Carnbee.

— Czy pamiętam? — zawołała najstarsza dama. — Pamiętam, Jenny, kiedy pani matka brała ślub. A to się nie działo ani wczoraj, ani przedwczoraj. Jeśli zaś chcecie wiedzieć, co sądzę o tym oknie, to powiem, że nie jest ono niczym innym jak złudzeniem.

— W tym wielkim pokoju w bibliotece jest bardzo ciemno — zauważył ktoś. — Gdyby to było prawdziwe okno, wpuszczałoby przecież więcej światła.

— W każdym razie jest pewne — odezwała się jedna z młodszych pań, że to nie może być takie zwykłe okno, przez które się patrzy. Może zostało zamalowane, może zamurowane, ale z całą pewnością nie jest oknem służącym do tego, by dostarczać światła.

— A któż słyszał o oknie, przez które nie można patrzeć? — spytała pani Carnbee.

Fascynował mnie grymas jej twarzy wyrażającej jakąś dziwną przekorę jak twarz człowieka, który wie dużo więcej, niż chce powiedzieć. A potem zwróciłam uwagę na jej rękę, kiedy ją podnosiła, by odrzucić do tyłu opadającą na nią koronkę. W całej postaci pani Carnbee właśnie ta koronka najbardziej rzucała się w oczy. Ciężka, czarna hiszpańska koronka w wielkie kwiaty. Wszystko, co miała na sobie, było dostosowane do tej koronki, której obfity welon zwisał ze staromodnego czepka. Ręka wysuwająca się spod przejrzystej tkaniny stanowiła niezwykle widok. Miała bardzo długie, silnie zwężające się ku końcowi palce, co w czasach młodości lady Carnbee stanowiło przedmiot ogólnego podziwu. Ręka była bardzo biała, a nawet więcej niż biała; była blada tą dziwną bezkrwistą białością, na której odcinają się tak wyraźnie duże niebieskie żyły. Zdobiło ją kilka cennych pierścionków, a między innymi duży brylant osadzony w brzydkiej, starej, szponiastej oprawie. Wszystkie pierścionki były na nią za duże i dlatego pani Carnbee poowijała je grubo żółtym jedwabiem, żeby się lepiej trzymały na palcach. Jedwab tworzący na pierścionkach małe wypukłości, na skutek długiego noszenia żółkł i poskręcał się tak, że bardziej rzucał się w oczy aniżeli same klejnoty. Jedyne wielki brylant błyszczał w zagłębieniu dłoni, jak coś niebezpiecznego, coś, co wysyłało z ukrycia ogniste strzały. Wysmukła ręka, która zdawała się tworzyć nieomal klin, z tym dziwnym, błyszczącym pośrodku klejnotem, całkowicie zawładnęła moją wyobraźnią. Zdawała się zdradzać więcej, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Zdawała się grozić, że pochwyci mnie w swe ostre szpony i będzie szarpać niby zwierz, co zaczajony, rzuca się nagle na swą ofiarę z taką siłą, że dosięga serca.

W tej jednak chwili krąg twarzy rozłamał się. Stare damy wróciły do swych foteli, a pan Pitmilly, niziutki, lecz bardzo prosto się trzymający, stał pośrodku nich przemawiając ze spokojną pewnością siebie jak mała wyrocznia. Jedyne osobą, która stale oponowała wytwornemu, staremu dżentelmenowi, była pani Carnbee. Gdy coś mówiła, gestykulowała żywo jak Francuzka i wywijała ręką, na którą bez przerwy opadała koronka, tak że zawsze mogłam uchwycić blask czającego się na niej brylantu. Pomyślałam sobie, że na tle tej wygodnie rozsiadłej, malej grupki skupionych słuchaczy pana Pitmilly, pani Carnbee wygląda zupełnie jak czarownica.

— Jeśli chodzi o mnie, uważam, że tam w ogóle nie ma żadnego okna — dowodził pan Pitmilly. — Zjawisko to jest bardzo podobne do tego, co w języku naukowym nazywamy

złudzeniem optycznym. Ma ono swe źródło, jeśli wolno mi się tak wyrazić w obecności dam, w wątrobie, która nie funkcjonuje należycie i nie znajduje się w stanie wymaganej przez ten organ równowagi. Wtedy człowiek widzi najrozmaitsze rzeczy. Czasem, o ile sobie dobrze przypominam, bywa to niebieski pies, a czasem...

— Ten człowiek dostał zupełnego bzika! — przerwała pani Carnbee. — Pamiętam okno starej biblioteki, jak daleko sięgam pamięcią. A może i sama biblioteka jest złudzeniem optycznym?

— Ależ nic podobnego! Skądże znowu! — zaprzeczyły chórem stare damy.

— Niebieski pies rzeczywiście byłby dziwnym złudzeniem, ale bibliotekę pamiętamy wszystkie od młodości — powiedziała jedna.

— Ja pamiętam, jak odbywały się tam zebrania w czasie, gdy budowano ratusz — wtrąciła inna.

— Wiecie, moje panie, że to okno dostarcza mi wielkiej rozrywki... — odezwała się ciotka Mary, ale, o dziwo, zamilkła na chwilę, by zaraz dodać przyciszonym głosem: „teraz” i podjąć dalej:

— ...bo ktokolwiek tylko odwiedza mój dom, sprowadza dyskusję na temat tego okna. Ja sama nigdy nie mogłam jakoś wyrobić sobie o nim zdania. Czasem myślę, Jenny, że, jak już pani nadmieniła, zamurowano je po wprowadzeniu tego podatku. Przypominacie sobie panie, że zlikwidowano wtedy połowę okien w naszych domach. Kiedy indziej znów wydaje mi się, że jest to coś takiego, jak w tym nowym budownictwie, na przykład w nowych domach na Earthen Mound w Edynburgu, gdzie okna są tylko elementami służącymi do ozdoby. Czasem znów, zwłaszcza po południu, gdy pada tam słońce, jestem prawie pewna, że widzę rozbłyskujące światłem szyby.

— Łatwo by się pani mogła o tym przekonać, pani Balcarres, gdyby...

— Dajcie jakiemuś chłopakowi pensa, żeby rzucił w nie kamieniem, to najlepiej zobaczycie, co się stanie — wtrąciła pani Carnbee.

— Ale ja wcale nie jestem przekonana, czy chciałabym się upewnić — odparła ciotka Mary.

Po chwili w pokoju nastąpiło poruszenie, więc musiałam wyjść z wnęki, otworzyć drzwi starym damom i odprowadzić je na dół. Zaczęły wychodzić jedna za drugą. Pan Pitmilly podał ramię pani Carnbee, chociaż zawsze mu się sprzeciwiała, i tak podwieczorkowi gości rozeszli się. Ciotka Mary odprowadziła ich w staroświecki, wytworny sposób do klatki schodowej, podczas gdy ja musiałam zejść z nimi na dół, by się przekonać, czy służąca czeka przy drzwiach. Kiedy wróciłam, ciotka Mary stała w mojej wnęcie i wyglądała na ulicę. Podchodząc do samego okna, powiedziała z pewnego rodzaju zaciekawieniem:

— A ty, kochanie, co o tym myślisz?

— Nic nie myślę. Przez cały czas czytałam książkę — odpowiedziałam.

— No tak i muszę. ci powiedzieć, że nie było to nawet bardzo grzeczne; ale mimo to jestem pewna, że słyszałaś każde słowo z naszej rozmowy.

II

Był czerwcowy wieczór. Obiad skończył się już dawno i gdyby to była zima, służące zamykałyby dom, a ciotka Mary przygotowywałyby się do pójścia na górę. Lecz mimo dość późnej godziny ciągle jeszcze panowała jasność, ta dziwna jasność, która z różowych przebłysków słońca zmienia się w matowoperłowy koloryt. Było to światło, które będąc jeszcze światłem dnia, nie jest już samym dniem.

Po obiedzie obie z ciotką przechadzałyśmy się po ogrodzie, a teraz wróciłyśmy do tego, co nazywamy naszymi zwykłymi zajęciami. Ciotka czytała. Niedawno nadeszła poczta i

dostała swego „Timesa”, który był jej ulubioną rozrywką. „Scotsman” stanowił jej lekturę poranną, natomiast „Timesa” lubiła czytać wieczorem.

Jeżeli chodzi o mnie, ja również oddawałam się swemu zwykłemu zajęciu, co w owym czasie polegało na tym, że nie robiłam nic. Byłam jak zwykle zaczytana, ale mimo to najdokładniej wiedziałam, co się dokoła mnie dzieje. Po szerokim chodniku przechadzali się ludzie; robili różne uwagi, mijając otwarte okno, przy czym uwagi ich mieszały się z tym, co czytałam lub też z moimi myślami, a czasem sprawiały, że wybuchałam śmiechem. Sam ton, jakim mówili przechodnie oraz lekkie zaciąganie, a raczej śpiewność akcentu, były dla mnie czymś nowym i miłym, gdyż łączyły się z pojęciem wakacji. Czasem opowiadali sobie jakieś śmieszności, a dość często coś, co pozwalało domyślać się całej historii. Wkrótce jednak przechodnie zaczęli znikać, kroki cichły, a głosy zamierały. Robiło się późno, choć ulicę wciąż jeszcze oświetlało jasne, łagodne światło dnia. Przez cały wieczór, który wydawał się pasmem nieskończenie długich ale nie męczących godzin, które ciągnęły się tak, jak gdyby czar światła i życie ulicy nigdy nie miały się skończyć, od czasu do czasu zupełnie podświadomie kierowałam spojrzenie w stronę tajemniczego okna, tego okna, o którym ciotka dyskutowała z przyjaciółmi w sposób, jak mi się wydawało, dość niemądry. Nigdy jednak nie odważyłabym się tego głośno powiedzieć... Patrzyłam na nie bez żadnego specjalnego celu. Robiłam to wtedy, gdy tok kłębiących się w głowie myśli i wrażeń rwał się na chwilę. Najpierw, z uczuciem lekkiego olśnienia, przyszło mi na myśl, jakim absurdem było twierdzenie, że to nie jest okno, okno prawdziwe, przeznaczone do tego, by przez nie patrzeć. Czemuż więc ci wszyscy starzy ludzie nigdy nie potrafili tego zobaczyć! Ja ze swej strony podniósłszy nagle oczy dojrzałam delikatną szarość jakby widocznej w głębi przestrzeni. Oczywiście był to tylko słaby zarys, ale czyż można zobaczyć więcej, gdy patrzy się z drugiej strony ulicy? A jednak kontury te rysowały się na tyle ostro, że gdyby nagle ktoś zbliżył się do tego okna, bynajmniej nie byłabym zaskoczona. Wyraźnie wyczuwało się przestrzeń za szybami, o które te stare na pół ślepe damy toczyły spór, czy są ze szkła, czy też je ktoś namalował na ścianie. Co za niedorzeczność! Przecież każdy posiadający dobry wzrok, może rozstrzygnąć tę kwestię w ciągu minuty. W tej chwili widziałam tam jedynie szarą plamę, lecz bez wątplenia była to pusta przestrzeń, która ciemniała, jak zawsze, gdy z pewnej odległości zagłada się przez okno do pustego pokoju. Nie było tam firanek, które mogłyby wskazywać, czy pokój jest zamieszkały, czy nie. Ale to, że był on taki sam jak każdy inny, nie ulegało żadnej wątpliwości. Byłam bardzo zadowolona, nie zdradziłam tego jednak ani słowem, i przez cały czas, gdy ciotka szeleściła swoimi gazetami, czekałam tylko na odpowiedni moment, żeby jej oznajmić o odkryciu, które z miejsca, całkowicie rozwiązywało jej problem. Po chwili znowu zatonałam w myślach i zapomniałam o oknie, gdy nagle, gdzieś z otaczającego mnie świata dotarło do mojej podświadomości zdanie: „Idę do domu, robi się ciemno!” Ciemno! O czym myślał ten głupiec? Nigdy nie zapadłaby ciemność, gdyby człowiek wędrował w tym łagodnym powietrzu jeszcze przez całe godziny... A potem wzrok mój, ulegający temu samemu przyzwyczajeniu, pobiegł znowu na drugą stronę ulicy.

Ale cóż to? Nikt nie podszedł do okna, ani nie zapalił lampy, bo wciąż jeszcze było dość jasno, a mimo to pokój najwyraźniej się powiększył. Teraz mogłam przeniknąć wzrokiem głębiej w szarą przestrzeń i dostrzegłam ledwo widoczny zarys ściany i czegoś, co pod nią stało. Było to coś czarnego. Czarna plama, jaką tworzy duży przedmiot, którego kontur widzimy na jaśniejszym tle będącym tylko próżnią, powietrzem. Wielki, ciemny kształt wiskający się w szarą pustkę. Przyjrzałam się temu dokładniej i doszłam do wniosku, że musi to być jakiś mebel: albo biurko, albo wielka półka na książki. Na pewno półka, bo przecież pokój należał do starej biblioteki. Nigdy jej nie zwiedzałam, ale nieraz widziałam inne, więc mogłam sobie wyobrazić, jak wygląda. Jakie to dziwne, że ci wszyscy starzy ludzie tak długo wpatrywali się w to okno, a jednak nie potrafili zobaczyć tego, co ja zobaczyłam. Robiło się coraz ciszej. Oczywiście, najprawdopodobniej z tego usilnego wpatrywania się, zaczęły mnie piec i

łzawić, gdy nagle usłyszałam głos ciotki Mary:

— Proszę cię, kochanie, zadzwoń. Potrzebna mi jest lampa.

— Lampa?! — krzyknęłam. — Przecież jeszcze jest całkiem jasno! — Spojrzałam w okno i spostrzegłam ze zdumieniem, że rzeczywiście pociemniało; nie mogłam już teraz nic zobaczyć. Na dworze wciąż jeszcze była lekka poświata, ale tak się ściemniło, że w tej chwili pokój z szarą przestrzenią i wielką majaczącą półką na książki znikł i nic więcej nie widziałam. Nawet szkocki czerwcowy wieczór, który zdawało się nie ma końca, kiedyś musi przejść w ciemność. O mało nie krzyknęłam, ale na szczęście opanowałam się, zadzwoniłam, jak mnie prosiła o to ciotka Mary, i postanowiłam nie mówić nic na ten temat aż do następnego dnia rano, kiedy będzie jasno.

Przypuszczam, że na drugi dzień zupełnie o tym zapomniałam; może też byłam bardzo zajęta, albo po prostu miałam mniej do roboty niż normalnie — a jedno i drugie znaczyło prawie to samo. W każdym razie przestałam myśleć o oknie, chociaż ciągle siedziałam naprzeciw niego w swojej wnęce. Teraz jednak co innego mnie zajmowało. Goście ciotki Mary jak zwykle zjawiali się po południu, lecz rozmowa toczyła się na inne tematy i przez dzień czy dwa nie zdarzyło się nic, co mogłoby zwrócić moje myśli w tym kierunku. Chyba minął cały tydzień, zanim wróciłam do tej sprawy i raz jeszcze stara Carnbee była osobą, przez którą zaczęłam się nad tym zastanawiać. Wprawdzie nie powiedziała na ten temat ani słowa, ale wychodząc ostatnia spośród gości, podniosła się z miejsca i wyrzucając w górę ręce, z tą żywą gestykulacją, tak typową dla wielu szkockich dam, zawołała:

— Na mą duszę! Przecież to dziecko siedzi tam tak spokojnie, jakby spało! Czy to stworzenie jest zaczarowane, Mary Balcarres? I czy będzie tam siedziało dniem i nocą do końca życia? Powinnaś pamiętać, droga Mary, że w kobietach naszej krwi drzemią niesamowite rzeczy!

W pierwszej chwili byłam zbyt zaskoczona, żeby zrozumieć, że to o mnie mowa. Lady Carnbee, z tą swoją bladą twarzą koloru popiołu, płachtą hiszpańskiej koronki, do połowy okrywającej jej postać, i podniesioną ręką z ogromnym brylantem sypiącym na mnie skry, wyglądała zupełnie jak postać z obrazu. Uniosła rękę gestem zdumienia, lecz wyglądało to zupełnie, jak by rzuciła przekleństwo, a brylant promieniejąc i błyszcząc wysyłał w moją stronę świetliste strzały. Gdyby był na właściwym miejscu, nie sprawiałby takiego wrażenia. Ale tam, ukryty w dłoni! Zaczęłam się podnosić z miejsca trochę przerażona, trochę rozgniewana. Wtedy stara dama opuściła rękę i zawołała ze śmiechem:

— Czar prysł! Obudziłam cię do życia! — pokiwała głową, a wielkie czarne, jedwabne kwiaty na koronce zafalowały, jak by mi groziły. Potem lady Carnbee ujęła mnie za ramię, by zejść na dół. Gdyśmy schodziły, śmiała się i kazała mi być spokojną a nie „dygotać i trząść się jak złamana trzcina”.

— W twoim wieku powinnaś być twarda jak skała. Ja byłam jak młode drzewo — mówiła, opierając się na mnie całym ciężarem, aż moja smukła, dziewczęca postać ugięła się. — Swego czasu byłam chodzącą cnotą jak Pamela — oświadczyła na koniec.

Kiedy wróciłam na górę, zawołałam bez tchu:

— Ciociu Mary, lady Carnbee jest czarownicą!

— Czy naprawdę tak myślisz, kotku? No, może kiedyś nią była — odpowiedziała ciotka, której nic nigdy nie mogło wprawić w zdumienie.

I właśnie tego wieczoru, po obiedzie i po nadejściu poczty i „Timesa”, znowu zobaczyłam okno biblioteki. Widywałam je wprawdzie co dzień, ale nic w nim nie zwracało mojej uwagi. Dzisiaj jednak, ciągle jeszcze czując lekki zamęt w głowie z powodu lady Carnbee, jej niesamowitego brylantu, który nie wróżył mi nic dobrego i tych powiewających niby groźba i ostrzeżenie koronek — spojrzałam na drugą stronę ulicy. Zobaczyłam pokój naprzeciwko wyraźniej niż kiedykolwiek. Tym razem dokładnie stwierdziłam, że pokój jest duży, a wielki mebel pod ścianą to biurko.

W chwili gdy zatrzymał się na nim mój wzrok, widziałam je bardzo dobrze: duży staromodny sekretarzyk, trochę wysunięty na środek. Sądząc po kształcie, mogłam się zorientować, że ma mnóstwo najrozmaitszych przegródek i wielki wysuwany pulpit do pisania. Dokładnie taki sam sekretarzyk stał u nas w domu, w bibliotece ojca. To, co zobaczyłam, było dla mnie taką niespodzianką, że przymknęłam oczy, czując, że znowu kręci mi się w głowie. Nie mogłam wyjść z podziwu, skąd się tu wzięło biurko ojca! Po chwili jednak uprzytomniłam sobie, że to przecież nonsens i że takich biur jest wiele. Kiedy znowu podniosłam oczy, wszystko zmaćniało się i zatarło, jak za pierwszym razem. Przede mną było tylko puste okno, na temat którego stare damy wiodły spór, czy zostało zamurowane, po wprowadzeniu podatku od okien, czy też w ogóle nigdy oknem nie było.

Bardzo dużo myślałam na ten temat, a jednak ani słowem nie wspomniałam o tym ciotce Mary. Przede wszystkim dlatego, że w dzień nigdy prawie nic nie widziałam. Ale to zrozumiałe. W dzień nie można zajrzeć do żadnego wnętrza; obojętne czy to będzie pusty pokój, lustro, czy oczy ludzkie, czy też jakaś inna tajemnicza rzecz. Prawdopodobnie ma to jakiś związek z oświeceniem. Ale w czerwcowy szkocki wieczór! Wtedy dopiero widzi się wszystko doskonale! Jest jeszcze jasno, ale już nie tak jak w dzień, i światło o tej porze posiada właściwość, której nie potrafię opisać. Jest tak Intensywna, jak by każdy przedmiot był odbiciem samego siebie.

Dzień po dniu wyłaniały się przede mną nowe szczegóły tego pokoju. Duży sekretarzyk coraz wyraźniej rysował się w przestrzeni. Czasem leżało na nim coś białego, co wyglądało zupełnie jak kartki papieru. A raz czy dwa byłam pewna, że na podłodze, tuż obok biurka, widzę stos książek migocących drobnymi złoconymi, jakie się często spotyka na starych egzemplarzach. Zdarzało się to mniej więcej w porze, gdy chłopcy na ulicy zaczęli wołać, że wracają do domu. Czasami z którejś bramy dolatywał piskliwy głos, nakazując komuś wezwać na kolację bawiące się dzieci.

Właśnie o takiej godzinie widziałam pokój najlepiej, chociaż bardzo niedługo po tym nadchodził moment, gdy nagle jak by jakaś zasłona opadała na wszystko — jasny blask ciemniał, a dolatujące z ulicy odgłosy zaczynały zamierać. Wtedy nieodmiennie rozlegał się łagodny głos ciotki Mary:

— Kotku! Zadzwoń, proszę, żeby mi przyniesiono lampę.

Mówiła „kotku”, jak inni mówią „kochanie” i muszę przyznać, że bardzo mi się to podobało.

Aż wreszcie nadszedł ten dzień. Pewnego wieczoru trzymając w rękach książkę, siedziałam i patrzyłam na drugą stronę ulicy. Nic nie rozpraszało mojej uwagi. Nagle spostrzegłam w pokoju jakiś ledwo dający się uchwycić ruch. Każdy zapewne dobrze wie, że to wygląda jak gdyby zafalowało powietrze. Nie można tego określić ani opisać, ale to dowód, że ktoś ten ruch musiał wywołać, mimo że nikogo nie widać. Może to tylko cień, który powoduje wibrację nieruchomego dotąd powietrza... Całymi godzinami można się wpatrywać w pusty pokój czy jakiś mebel, a potem nagle tak zamigocze i już się wie, że coś tam weszło. Może to być pies albo kot. A nawet ptak, gdyby to było możliwe. Ale w każdym razie jest to coś żyjącego, co tak bardzo, tak zupełnie różni się od istot martwych. Widok, jaki zobaczyłam, zdawał się mnie na wskroś przeszywać. Krzyknęłam cicho. Wtedy ciotka Mary lekko się poruszyła, złożyła olbrzymią płachtę gazety, zza której ledwo ją było widać, i zapytała:

— Cóż ci jest, kotku?

— Nic! — zawołałam szybko i cicho westchnęłam, bo nie chciałam, żeby mi przeszkadzano w momencie, gdy ktoś tam wchodził. Przypuszczam, że moja odpowiedź nie zadowoliła ciotki, bo podniosła się z fotela i kładąc mi rękę na ramieniu, przystanęła obok mnie chcąc zobaczyć, co się stało. Było to najłagodniejsze dotknięcie, ale dałabym wszystko, by się od niego jak najprędzej uwolnić. W tej samej chwili wszystko znowu znieruchomiło, pokój poszarzał i nie widziałam już nic więcej.

— Nic — powtórzyłam bliska płaczu ze zdenerwowania. — Mówiłam ci, ciociu, że nic. Czy mi nie wierzysz; musiałaś tu przyjść, żeby się o tym przekonać i wszystko zepsuć? — Oczywiście nie chciałam powiedzieć tych ostatnich słów, jakoś mi się same wyrwały. Do furii mnie doprowadziło, że wszystko rozplywa się jak senne marzenie. A jednak to nie było senne marzenie, było to coś tak realnego, tak bardzo realnego, jak ja sama lub coś, co wiele razy widywałam.

Ciotka pogładziła mnie lekko po ramieniu.

— Kotku — zapytała — czy przyglądałaś się czemuś? Czy to o to chodziło? O to?

„O co?“, chciałam powiedzieć i zepchnąć jej rękę, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam. Nie odezwałam się więcej, a ciotka spokojnie wróciła na fotel. Chyba sama zadzwoniła na służącą, bo chwilę potem wyczułam za sobą łagodny błysk światła. Tak jak co dzień, na dworze zrobiło się ciemno i tego wieczora nie zobaczyłam już nic więcej.

O ile sobie dobrze przypominam, do rozmowy doszło na drugi dzień po południu, a spowodowała ją uwaga ciotki na temat jej robótek.

— Wiesz, moje dziecko, jakaś mgiełka przesłania mi oczy. Musisz, kotku, nauczyć się ściągów w koronce, bo już wkrótce nie będę mogła przeciągać nitki.

— Och, ciociu! Przecież nie stracisz wzroku! — krzyknęłam, nawet nie myśląc, co mówię. Byłam wtedy bardzo młoda i bardzo bezpośrednia. Nie wiedziałam jeszcze, że można mówić rzeczy, które ani w połowie, ani w setnej części nie pokrywają się z tym, co człowiek myśli. Ale nawet i wtedy trzeba się spodziewać, że ktoś zaprotestuje, jeśli to, co mówimy, nie dotyczy nas samych.

— Powiadasz, że nie stracę wzroku? — odpowiedziała patrząc na mnie nieomal z gniewem. — Tu nie chodzi o utratę wzroku. Wprost przeciwnie, mam dzięki Bogu doskonałe oczy. Mogę nie dojrzeć cieniutkiej nitki, ale na odległość widzę doskonale i zaręczam ci, że nie gorzej od ciebie!

— Nie chciałam ci sprawić przykrości, ciociu, myślałam tylko, że powiedziałaś... Ale jak możesz mieć taki sam wzrok jak dawniej, skoro masz wątpliwości co do tego okna? Ja widzę przez to okno wszystko tak wyraźnie, jak... — Zawahałam się, bo właśnie w tej chwili spojrzałam na drugą stronę ulicy i mogłabym przysiąc, że tam nie ma żadnego okna. Nic... tylko kontury namalowane na ścianie.

— Co mówisz? — odparła ciotka z pewnym zaciekawieniem. Szybko uniosła się z fotela, upuszczając w pośpiechu robótkę. Zrobiła taki ruch, jak gdyby miała zamiar do mnie podejść, lecz widząc na mojej twarzy wyraz zaskoczenia, stanęła i zawołała:

— Ach, kotku! Czyżbyś dostąpiła aż takiej łaski?

Co chciała przez to powiedzieć? Znałam oczywiście wszystkie stare szkockie powiedzenia tak dobrze, jak siebie samą. Ale czasem bardzo wygodnie jest udać, że się czegoś nie rozumie i ukryć się za parawanem nieświadomości. Zachowałam się, jak bym nie zrozumiała, o co jej chodzi, bo po prostu nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

— Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc, że dostąpiłam łaski! — krzyknęłam z rozdrażnieniem.

Trudno powiedzieć, na czym by się ta rozmowa skończyła, bo w tej chwili weszła jakaś pani. Ciotka podchodząc do swego gościa z wyciągniętą ręką, zdążyła mi tylko rzucić krótkie spojrzenie. Było bardzo łagodne, lecz dostrzegłam w nim niepokój i pewne wahanie. Ciotka nieznacznie potrząsnęła głową i chociaż na twarzy jej widniał uśmiech, oczy, jak mi się zdało, miała wilgotne. Wycofałam się do swojej wnęki i nie padło już więcej ani słowo.

Poczułam, że trochę męczy mnie ta ciągła niepewność, czy coś zobaczę. Czasem widziałam ten pokój bardzo wyraźnie i dokładnie, tak dokładnie, jak bym zamknąwszy oczy, patrzyła na bibliotekę ojca. Pokój z naprzeciwka przypominał mi gabinet ojca z powodu biurka, które, jak już powiedziałam, było zupełnie takie samo. Niekiedy widziałam na nim porzrzucone papiery, tak jak u ojca. Albo ten stos książek na podłodze przy sekretarzyku!

Nie były ułożone porządnie, leżały rzucone jedna na drugą, byle jak, przeświecając tu i ówdzie starymi złoceniami. A potem wszystko zniknęło i nie widziałem nic, absolutnie nic. W takich chwilach niczym nie różniłam się od starych dam, które wypatrywały oczy nad moją głową, mrużyły powieki i sprzeczały się, czy okno naprzeciwko zamurowano z powodu dawno zniesionego podatku, czy też nigdy nie było oknem. Doprowadzało mnie do zupełnej wściekłości, że mimo iż mrużę oczy, nie mogę dostrzec nic więcej niż one.

Przez cały czerwiec stare damy ciotki Mary zjawiały się regularnie każdego popołudnia. Powinnam wyjechać w lipcu, lecz nie miałam na to najmniejszej ochoty, dopóki nie wyjaśnię do końca tajemnicy mego okna. Okna, które raz po raz zmieniało swój wygląd i wydawało się zupełnie inne nie tylko różnym ludziom, ale nawet tej samej osobie. Wszystko zależało od pory, w jakiej się na nie patrzyło. Tłumaczyłam to sobie grą światła, jednakże takie wyjaśnienie niezupełnie mi odpowiadało. Dużo bardziej wolałabym się przekonać, że posiadam jakąś wyższość nad innymi i że dzięki niej widzę to, czego inni nie dostrzegają, choćby to miała być tylko przewaga młodych oczu nad starymi. Ale właściwie nawet i to mnie nie zadowalało, bo przecież czymś takim mogła się poszczycić każda dziewczyna czy chłopak z ulicy. Wolałabym raczej wiedzieć, że jestem obdarzona jakimś specjalnym zmysłem, który dodaje jasności i bystrości memu wzrokowi. Przypuszczenie takie dowodziłoby wprawdzie wielkiego zarozumiałstwa, ale w rzeczywistości nie było ani w połowie tak niedorzeczne, jakim się wydaje, gdy piszę o nim czarno na białym.

Wiele razy widziałam mój pokój bardzo wyraźnie i teraz byłam już pewna, że jest duży, że na przeciwległej ścianie wisi wielki obraz w złoconych ramach, i że są w nim różne masywne meble. Wyglądały jak czarne plamy obok potężnego biurka pod ścianą, które stało dość blisko okna, widocznie ze względu na światło. Rozpoznawałam po kolei jeden przedmiot po drugim, aż w końcu nieomal uwierzyłam, że uda mi się odczytać stare litery na jednym z wielkich tomów, który wystawał ze stosu innych, dzięki czemu mogłam go lepiej zobaczyć.

Ale wszystko to było tylko wstępem do wielkiej chwili, jaka nastąpiła około nocy świętojańskiej — uroczystości św. Jana, tak wspaniale niegdyś obchodzonej, a obecnie nie mającej w Szkocji większego znaczenia niż dzień każdego innego patrona. Zawsze będę to uważała za wielką stratę dla Szkocji, bez względu na to, co mówi na ten temat ciotka Mary.

III

Stało się to więc około nocy św. Jana. Nie potrafię dokładnie podać dnia, ale mniej więcej wtedy nastąpił ten wielki moment. Zdołałam się do tego czasu doskonale zaznajomić z tym dużym mrocznym pokojem. Nie tylko z sekretarzykiem, który teraz widziałam już bardzo wyraźnie, z leżącymi na nim papierami, stosem książek na podłodze, ale także i z wielkim obrazem wiszącym na przeciwległej ścianie, jak również z zacierającymi się konturami innych mebli. Teraz szczególnie interesowało mnie krzesło, które pewnego wieczoru zostało przesunięte przed sekretarzyk. Fakt ten, który na pozór nic nie znaczył, przyprawił mnie jednak o bicie serca, bo najwyraźniej dowodził czyjejs obecności — obecności kogoś, kto musiał tam być, kto już mnie przeraził dwa czy trzy razy swym mglistym cieniem wprawiającym w drganie nieruchome powietrze. I właśnie to drganie dawało pewność, że za moment muszę zobaczyć albo usłyszeć coś, co rozwiąże całą zagadkę. Ale zawsze, gdy ten moment miał już nastąpić, coś stawało na przeszkodzie. Tym razem nie było żadnych podstaw, by przypuszczać, że cień zechce się zmaterializować. Wpatrywałam się w pokój bardzo uważnie i muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie rozróżniałam w nim wszystkich przedmiotów tak wyraźnie jak w tej chwili. Potem wróciłam do książki i przeczytałam jeden czy dwa najbardziej interesujące rozdziały. W efekcie zupełnie zapomniałam o St. Rule's, o High Street i bibliotece gimnazjalnej. Przeniosłam się w gęszcz południowo-amerykańskiej puszczy. Opla-

tana kwietnymi pnączami, szłam ostrożnie, by nie nadebrać na skorpioną czy niebezpiecznego węża. Nagle jakiś wewnętrzny impuls kazał mi zwrócić uwagę na to, co się działo dokoła. Spojrzałam na drugą stronę ulicy i nie panując nad sobą, poderwałam się z miejsca. Nie potrafię sobie przypomnieć, co krzyknęłam, wiem tylko, że wystarczyło to zupełnie, by przestraszyć gości siedzących w salonie. Jednym z nich był pan Pitmilly. Wszyscy patrząc na mnie, spytali, co się stało. Kiedy odpowiedziałam jak zwykle „nic” i zawstydzona, lecz bardzo podniecona usiadłam z powrotem, pan Pitmilly podniósł się z miejsca, podszedł do mojej wnęki i wyrzwał na ulicę chcąc się pewnie przekonać, co było przyczyną mego dziwnego zachowania. Nie zobaczył jednak nic, bo się odwrócił i słyszałam, jak tłumaczył ciotce Mary, żeby się nie denerwowała, bo na pewno wskutek upału musiałam się zdrzemnąć, a potem nagle zbudzona, przeraziłam się, Bardzo się wszyscy z tego śmieli.

Kiedy indziej mogłabym go zabić za taką impertyncję, ale w tej chwili byłam zbyt zaabsorbowana, żeby zwracać na niego uwagę. Szumiało mi w głowie, serce łomotało w piersiach. Byłam przy tym tak wstrząśnięta, że opanowanie się i zachowanie zupełnego milczenia przyszło mi dużo łatwiej, niż kiedykolwiek indziej. Poczekałam, aż stary dżentelmen usiadzie, a potem znów wyrzwałam przez okno. Tak, tam był On. Nie, to nie złudzenie. Patrząc przez ulicę, wiedziałam, że to było to, co spodziewałam się ujrzeć. Wiedziałam, iż On tam był i czekałam na Jego pojawienie się za każdym razem, kiedy tylko zauważyłam ten przejaw ruchu w pokoju. Czekałam na Niego i tylko na Niego. Wreszcie, zgodnie z moimi przypuszczeniami, zjawił się. Nie wiem, czy w rzeczywistości czekałam na Niego, czy na kogoś innego; ale teraz, gdy wpatrując się w ten dziwny, przyćmiony pokój ujrzałam Go, mogłabym przysiąc, że czekałam właśnie na Niego.

Siedział na krześle, które albo On, albo ktoś inny ustawił tam wśród głębokiej nocy, gdy nikt nie mógł tego zauważyć. Siedział przy sekretarzyku, odwrócony do mnie tyłem, i pisał. Światło padało z lewej strony i dlatego oświetało tylko jego ramiona i głowę. Ponieważ był odwrócony, nie mogłam dojrzeć nawet części jego twarzy. Och, jakie to dziwne, że chociaż wpatrywałam się w Niego tak intensywnie, ani na chwilę nie odwrócił głowy, nawet nie drgnął. Gdyby ktoś tak patrzył na mnie, poczułabym to i zbudziłabym się nawet z najgłębszego snu. A On siedział za biurkiem i nawet się nie poruszył. Powiedziałam, że światło padało z lewej strony; nie sądzcie jednak, że było go wiele. Każdy pokój, do którego się zagląda z drugiej strony ulicy wydaje się mroczny. Jednakże mrok ten nie przeszkadzał mi dojrzeć ciemnej sylwetki potężnie zbudowanej postaci, siedzącej przy biurku. Jedyne jasnym punktem przebłyskującym w półmroku była Jego głowa. Widziałam jej zarys na tle zmatowiałych złocen ramy dużego obrazu wiszącego na przeciwległej ścianie.

Przez cały czas, jak byli goście, siedziałam bez ruchu z jakimś dziwnym zapamiętaniem wpatrując się w tę postać. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego byłam aż tak poruszona. Normalnie gdybym w oknie naprzeciwko zobaczyła na przykład studenta zajętego jakąś pracą, mogłoby mnie to trochę zainteresować, ale nigdy nie zrobiłoby na mnie wrażenia. Podpatrywanie czyjegoś życia zawsze jest dość fascynujące. Tyle się widzi, a przy tym wie się tak mało! Jakie to ciekawe, co ten człowiek robi i dlaczego ani na chwilę nie odwraca głowy! Gdyby to był student, może podeszłabym do okna, ale nie za blisko, żeby nie spostrzegł, że go śledzę. Ciekawiloby mnie, czy jest w pokoju, czy pisze bez przerwy i co pisze? Byłaby to pewna rozrywka, nic więcej. W tym jednak wypadku odczuwałam zupełnie co innego. Podpatrywanie tego, co się działo w oknie naprzeciwko zapierało mi dech w piersiach. Byłam tak zaabsorbowana tym zajściem, że nie wiedziałam, co się wokoło dzieje. Stwierdziłam, że nie mogę patrzeć na nic innego, że w mojej głowie nie ma miejsca na żadną inną myśl. Przestałam słyszeć rozmowy i mądre lub głupie uwagi wypowiedane przez stare damy czy pana Pitmilly. Słyszałam tylko odległy szmer zmieniających się głosów; raz były łagodne, spokojne, raz ostre. Ale dawniej było przecież zupełnie inaczej. Czytając, słyszałam najdokładniej każde słowo, aż w końcu treść książki i opowiadane przez nich anegdoty (zawsze opowiadali

sobie anegdoty) mieszały się i bohater powieści stawał się w jakiś dziwny sposób bohaterem, a częściej bohaterką ich rozmów. Teraz przestałam zwracać uwagę na to, co mówili. I to nie dlatego, żebym widziała coś bardziej interesującego — nie, po prostu dlatego, że On tam był.

Nie robił nic, żeby podtrzymać moje zainteresowanie; wykonywał nieznaczne ruchy jak człowiek, który do tego stopnia zajęty jest pisaniem, że nie myśli o niczym innym. Kiedy pisząc przechodził z jednej strony arkusza na drugą, lekko przekrzywiał głowę. Ale, jak mi się zdawało, arkusz był duży i nic trzeba go było odwracać. Kiedy się zbliżał do końca linii, lekko się odchyłał, a kiedy zaczynał następną, nachylał się z powrotem. Było to bardzo niewiele, żeby zachęcić kogoś do tak uporczywej, jak moja, obserwacji. Ale przypuszczam, że doprowadził mnie do tego stopniowy rozwój wydarzeń. Między innymi to, że w miarę jak moje oczy przyzwyczajały się do niewyraźnego światła, zaczynałam coraz więcej i lepiej widzieć. Najpierw zobaczyłam pokój, potem biurko, potem inne meble, aż w końcu mieszkanca, który nadawał temu wszystkiemu jakiś sens. Było to równie interesujące jak odkrywanie nieznanego kraju. A poza tym la niebywała ślepotą wszystkich dokoła i ten ich spór, czy moje okno w ogóle było oknem! Nie chciałam im okazać braku szacunku, zanadto kochałam ciotkę Mary; pana Pitmilly lubiłam, a lady Carnbee bałam się. Ale musiałam pomyśleć o ich — wiem, że nie powinnam użyć słowa głupota — o ich ślepotie, nierozwadze, czy o tym, że nie potrafili już odczuwać pewnych rzeczy. Ale dyskutować nad czymś, co jest aż tak oczywiste! Byłoby bardzo brzydko z mojej strony twierdzić, iż działo się to dlatego, że byli starzy i nie potrafili już odbierać pewnych wrażeń. Bardzo mnie smuciła myśl, że na starość wszystkie zmysły ulegają przytępieniu, że taka kobieta jak moja ciotka musi coraz gorzej widzieć, słyszeć, czy odczuwać. Wydawało mi się to tak okrutne, że nie chciałam się nad tym zastanawiać ani przez moment. Albo taka mądra stara kobieta jak lady Carnbee, która, jak opowiadano, potrafiła każdego przejrzeć na wylot! Czy też pan Pitmilly, taki światowiec! Doprawdy płakać mi się chciało na myśl, że dla tych wszystkich mądrych ludzi najprostsze rzeczy mogły się stać niedostępne tylko dlatego, że nie byli już tak młodzi jak ja. Mimo całej swej mądrości i doświadczenia mogli nie dostrzegać tego, co dziewczyna taka jak ja widziała z łatwością! Myśl o nich napawała mnie zbyt wielkim smutkiem, żebym się chciała nad tym dłużej zastanawiać; równocześnie wstydziłam się trochę, a oprócz tego byłam odrobinę dumna, że mogłam o tyle więcej niż oni.

Wszystkie te myśli bez przerwy kłębiły mi się w głowie, kiedy siedziałam i wpatrywałam się w drugą stronę ulicy. Czułam, że w pokoju naprzeciwko dzieje się coś niezwykłego. On był tak zajęty pisaniem, że nie przerywał go ani na chwilę; nie podnosił głowy, nie odwracał się w krzesło, nie wstawał, ani nie spacerował po pokoju, jak to zawsze robił mój ojciec. Wszyscy twierdzą, że papa jest wielkim pisarzem, ale on nie potrafiłby usiedzieć tak spokojnie. Podchodziłby do okna, wyglądał na ulicę, bębnił palcami w szybę, przyglądał się musze i pomagał jej wydostać się z pułapki, gdyby się w nią zaplątała. Z pewnością bawiłby się frędzlami firanki i robił dziesiątki miłych, głupich rzeczy, dopóki następne zdanie nie ułożyłoby mu się w głowie.

— Wiesz, kochanie, szukam odpowiedniego słowa — mówił zawsze do mojej matki, kiedy zauważył, że stoi obok i z pytaniem w oczach przygląda się jego dziwnym zajęciom. Potem śmiał się i z powrotem zasiadał przy biurku. Ale On, ten z naprzeciwka, nie przestawał pisać ani na chwilę. Jak by był w jakimś transie! Nie mogłam od Niego oczu oderwać i od tego ledwie uchwytnego ruchu, kiedy odwracał głowę. Drżałam z niecierpliwości, żeby zobaczyć, jak przewraca kartkę, albo zrzuca zapisany arkusz na podłogę. Kiedyś ktoś, kto tak samo jak ja patrzył w czyjeś okno, zobaczył, że sir Walter odrzuca na bok jeden zapisany arkusz po drugim. Gdyby zrobił to mój Nieznajomy, chyba bym krzyknęła, nie potrafiłabym się opanować, choćby nie wiem kto był przy tym! Powoli, czekając, żeby się to stało, wprawiłam się w stan takiego zdenerwowania, że czułam, iż płonie mi głowa, choć ręce miałam zimne jak lód. I właśnie w momencie, kiedy poruszył łokciem, jak by miał zamiar coś zrobić, wła-

śnie wtedy zawołała mnie ciotka Mary, żebym odprowadziła panią Carnbee do drzwi! Nic nie słyszałam. Wstałam dopiero, gdy zawołała mnie po raz trzeci. Szłam potykając się, rozpłomieniona i zdenerwowana. Omal nie płakałam. Kiedy wyszłam z wnęki, żeby pomóc starej damie (pan Pitmilly wyszedł już wcześniej), pani Carnbee podniosła rękę i pogładziła mnie po twarzy.

— Przecież tej dziewczynie coś dolega! — zawołała. — Chyba ma gorączkę. Powinnaś zabronić jej stale przesiadywać w tym oknie, Mary Balcarres! Obie dobrze wiemy, jakie to może mieć skutki!

Stare palce pani Carnbee były jakieś dziwne w dotyku, zimne niby coś martwego, a oprócz tego czułam, jak ten wstrętny brylant kłuje mnie w policzek.

Bynajmniej się nie upieram, mogło to być, przynajmniej w pewnej mierze, powodem mojego podniecenia i zdenerwowania. Zdaję sobie sprawę, że każdy roześmiałby się, gdybym powiedziała, że jedyną przyczyną mego stanu był nieznajomy mężczyzna, piszący coś w pokoju po drugiej stronie ulicy oraz moje zniecierpliwienie, że nigdy nie może zapisać strony do końca. Nie myślcie przypadkiem, że nie zdawałam sobie z tego sprawy równie dobrze jak wszyscy! Ale najbardziej martwiło mnie, że ta straszna stara kobieta trzymając mnie za ramię, czuła, jak mi wali serce.

— Zupełnie jakbyś spała! — powiedziała mi wprost do ucha swym starym głosem, kiedyśmy schodziły po schodach. — Nie wiem, o kim śnisz, ale jestem pewna, że o jakimś mężczyźnie. Na pewno nie jest tego wart. Gdybyś była mądra, nie zawracałabyś sobie nim więcej głowy!

— Nie myślę o żadnym mężczyźnie! — odpowiedziałam prawie z płaczem. — To bardzo nieuprzejmie i nieładnie z pani strony, pani Carnbee, mówić coś takiego! Nigdy, przez całe życie nie myślałam o żadnym mężczyźnie! — A potem już nie mogłam wytrzymać i rozplakałam się ze złości, że spotyka mnie taka niesprawiedliwość. Stara dama silniej objęła mnie ramieniem i przyciągnęła do siebie ze współczuciem.

— Biedny, mały ptaszek! — powiedziała. — Jak to walczy, jak się trzepoce! Niczego ci nie wmawiam, ale jeżeli to wszystko jest tylko marzeniem, to jeszcze gorzej.

Trudno powiedzieć, żeby zachowywała się nieuprzejmie, ale tak mnie rozłościła i zdenerwowała, że ledwo ujęłam jej starą bladą rękę, którą podała mi przez okno powozu, gdy pomagałam jej wsiąść. Tak byłam na nią zła, a oprócz tego bałam się brylantu, który przebłyskiwał spod jej palca. Bałam się go tak, jak by mógł patrzeć na wylot! Jak by mógł patrzeć przeze mnie. I możecie wierzyć lub nie — ale jestem zupełnie pewna, że znowu mnie ukłuł. Było to ostre, złośliwe ukłucie, i jakże przy tym wymowne! Lady Carnbee nigdy nie nosiła rękawiczek tylko czarne mitenki, spod których przebłyskiwał ten okropny brylant.

Pobiegłam na górę; lady Carnbee wyszła ostatnia. Ciotka Mary przygotowywała się do obiadu, bo było już bardzo późno. Zbliżyłam się do wnęki. Serce jeszcze nigdy nic waliło mi tak silnie jak teraz. Byłam święcie przekonana, że na podłodze zobaczę arkusz zapisanego papieru. Ale to, w co się wpatrywałam, było tylko ziejącą pustką okna, o którym oni mówili, że wcale nie jest oknem. W ciągu tych pięciu minut, gdy byłam na dole, w jakiś czarodziejski sposób zmieniło się oświetlenie, i teraz po drugiej stronie ulicy nie widziałam nic, absolutnie nic! Żadnego odbicia światła, żadnego refleksu, w ogóle nic! Okno wyglądało tak, jak o nim opowiadali: pusty kontur namalowany na ścianie. Tego było już za wiele. Zdenerwowana do najwyższych granic, siadłam i zaczęłam płakać, jak by mi serce miało pęknąć. Mogłabym przysiąc, że to oni coś zrobili, że to nie stało się samorzutnie, że nie mogę dłużej znosić takiego braku zrozumienia z ich strony — nawet ze strony ciotki Mary. Uważali, że mi to szkodzi. Mnie szkodzi! No i zrobili coś — nawet sama ciotka Mary. I ten okropny brylant, ukryty w dłoni pani Carnbee! Oczywiście zdawałam sobie sprawę równie dobrze jak i wy, że cała historia z oknem jest zupełnie śmieszna. Ale ile nerwów kosztował mnie ten zawód! Zawód i to, że mój podniosły nastrój prysł tak nagle. Tego nie mogłam już znieść.

Spóźniłam się na obiad i kiedy weszłam do jasno oświetlonej jadalni, gdzie ciotka Mary mogła mi się dobrze przyjrzeć i skąd nie mogłam już uciec, w jednej chwili poznała po moich oczach, że płakałam.

— Kotku, zalewałaś się łzami — powiedziała zaraz. — Doprawdy, trudno mi uwierzyć, żeby w moim domu córkę twojej matki mogło coś doprowadzić do płaczu!

— Nie jestem stworzona do zalewania się łzami — oświadczyłam, a po chwili, żeby nie wybuchnąć płaczem, dodałam ze śmiechem. — Strasznie się boję tego okropnego brylantu lady Carnbee! On chyba gryzie. Jestem pewna, że gryzie! Spójrz, ciociu!

— Ach, ty głuptasie — zawołała ciotka. Niemniej obejrzała mój policzek w świetle lampy, a potem pogładziła mnie swą delikatną, miękką dłonią. — Wybij to sobie z głowy, ty niemądre dziecko! Nie ma tu żadnego śladu ugryzienia, kochanie! Po prostu zaczerwieniony policzek i mokre oczy. Jak-przyjdzie poczta, musisz mi po obiedzie poczytać gazetę. A na dziś wieczór daj już sobie spokój z tymi rozmyślaniami i marzeniami!

— Dobrze, ciociu, zgodziłam się posłusznie. Ale doskonale wiedziałam, co się stanie. Kiedy ciotka otwiera „Timesa” pełnego nowin ze świata, różnych przemówień i artykułów, którymi się tak interesuje, co jest dla mnie zupełnie niepojęte, zapomina o całym świecie. A ponieważ przez cały czas zachowywałam się cicho jak mysz i tego wieczoru zapomniała, co mówiła. Firanka w mojej wnęce osłoniła mnie dziś dokładniej niż zwykle i siedziałam, jak by oddalona o setki mil.

Nagle serce załomotało mi tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Pojawił się On! Ale nie tak jak rano. Prawdopodobnie było za ciemno, żeby mógł pracować bez lampy czy świec. Odwrócił się więc od stołu i siedział odchyłony do tyłu twarzą w kierunku okna. Głowę miał zwróconą w moją stronę. Ale właściwie niezupełnie w moją stronę. Nie zdawał sobie sprawy, że tu jestem. Myślałam, że w ogóle nie patrzy, ale twarz miał zwróconą w moim kierunku. Było to takie dziwne i niespodziewane, że uczułam, jak serce zaczyna mnie dławić w gardle! Chociaż doprawdy nie widzę w tym nic tak dziwnego. Przecież Go nie znałam, cóż więc miałoby mi dać powód do takiego wzruszenia? A poza tym, czyż może być rzecz bardziej naturalna niż to, że zmęczony pracą mężczyzna, widząc, że już jest zbyt ciemno na pisanie, a jeszcze zbyt jasno, by zapalić lampę, odwraca się w krzesło i wypoczywa, myśląc — może zupełnie o niczym? Ojciec zawsze twierdził, że nie myśli o niczym. Powiada, że myśli przelatują mu przez głowę jak przez otwarte drzwi i że nie może za nie odpowiadać. Ale jakie myśli przelatują przez głowę tego człowieka? Czy ciągle jeszcze zastanawia się nad tym, co napisał i dalej kontynuuje swoją pracę?

Najbardziej mnie martwiło, że nie mogę zobaczyć Jego twarzy. Ale to nie jest takie łatwe, jak się widzi człowieka przez dwa okna. Bardzo bym chciała Go poznać, gdybyśmy się spotkali kiedyś na ulicy. Żeby tylko wstał i zaczął chodzić po pokoju, zobaczyłabym całą Jego postać, a wtedy poznałabym Go już bez trudu. Żeby tylko zechciał podejść do okna (jak często robił to ojciec!), mogłabym na tyle dokładnie zobaczyć Jego twarz, by Go potem poznać. Ale najwyraźniej nie widział potrzeby robienia czegoś, co ułatwiłoby mi to zadanie, bo po prostu nie wiedział o moim istnieniu. Jestem prawie pewna, że gdyby spostrzegł, iż Go śledzę, zdenerwowałoby Go to i już by mi się więcej nie pokazał.

Kiedy siedział twarzą zwrócony do okna, nie poruszał się; podobnie jak przy biurku. Od czasu do czasu robił lekki ruch ręką czy nogą i wtedy aż zamierałam w oczekiwaniu, że może wstanie z krzesła, ale nie. Mimo największych wysiłków nie zobaczyłam Jego twarzy; mrużyłam powieki jak to robiła krótkowzroczna panna Jeanie, osłaniałam z obu stron oczy, ale wszystko na próżno! Albo Jego twarz tak się zmieniała, kiedy się w Niego wpatrywałam, albo było zbyt ciemno. Zresztą sama nie wiem. Zdawało mi się, że ma jasne włosy. Gdyby miał ciemne, zarys głowy też musiałby być ciemny, a poza tym w kolorycie przypominała złoconą ramę, na której tle zawsze ją widywałam. Jestem też prawie pewna, że nie miał brody. To mogę stwierdzić z całą stanowczością, bo sam zarys twarzy widziałam dość wyraźnie. Na

dworze było jeszcze ciągle tak jasno, że bez trudu zauważyłam na przeciwległym chodniku chłopca od piekarza. Na pewno bym go poznała w przyszłości, gdyby to mogło mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Jedna rzecz tylko zastanawiała mnie w zachowaniu piekarczyka. Rzucił kamieniami w coś, czy też w kogoś. W St. Rule's prawie wszyscy chłopcy wykazywali niezwykle zdolności w obrzucaniu się kamieniami. Na ulicy, jak przypuszczam, rozgrywała się przed chwilą jakaś walka i kamień, który malec trzymał w ręce, musiał mu po niej pozostać. Rozbiegane oczy chłopca lustrowały wzdłuż całą ulicę, szukając czegoś, co byłoby najbardziej efektywnym celem dla jego złośliwych zamiarów. Ale widać na ulicy nie znalazł nic odpowiedniego, bo nagle odwrócił się, zatoczył nogą półkole, żeby pokazać, co to on potrafi i zamierzył się wprost w okno. Prawie bezwiednie zauważyłam, jak kamień uderza w nie z wielkim hałasem i nie tłukąc szyb, spada z powrotem na chodnik. Spostrzegłam to zupełnie mimochodem, bo przez ten cały czas ani na chwilę nie spuszczałam oczu z Niego. Nie zareagował na to w najłżejszy sposób, nawet nie drgnął. Siedział doskonale widoczny w słabym świetle, a jednak tak jak i przedtem nie mogłam Go wyraźniej zobaczyć. Po chwili światło zaczęło przygasać, a Jego postać, wciąż jeszcze dostrzegalna, zaczęła się coraz bardziej zamazywać i roztopiać w zapadającej ciemności.

Nagle czując na ramieniu rękę ciotki Mary, gwałtownie podskoczyłam.

— Kotku — powiedziała ciotka — dwa razy cię prosiłam, żebyś zadzwoniła, musiałas mnie nie dosłyszeć.

— Ach, ciociu! — krzyknęłam ze szczerą skruchą, niemniej, jak by pchana jakąś siłą, zawróciłam w stronę okna.

— Musisz stąd odejść, musisz! — powiedziała ciotka prawie z gniewem, po czym jej i tak łagodny głos stał się jeszcze bardziej pieszczotliwy. Za chwilę nachyliła się i pocałowała mnie. — Nie przejmuj się tą lampą, kochanie. Sama zadzwoniłam i już ją niosą. Ale, niemał-dra dziewczyno, nie powinnaś się tak pograżać w marzeniach, bo ci się w głowie pomiesza.

Ponieważ nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu, cała moja odpowiedź ograniczyła się do lekkiego skinięcia ręką w kierunku okna po drugiej stronie ulicy.

Ciotka stała przy mnie minutę, może trochę dłużej, głaszcząc mnie po ramieniu i szepcząc coś, co brzmiało zupełnie jak: „Ona musi stąd wyjechać, musi stąd wyjechać!”

Potem, nie zdejmując ręki z mojego ramienia, powiedziała:

— Jak sen, z którego się ockniesz.

Kiedy po chwili spojrzałam w okno, zobaczyłam tylko nieprzeniknioną pustkę.

Ciotka Mary nie pytała mnie już o nic. Kazała mi wejść do pokoju, sięść przy lampie i coś jej poczytać. Zupełnie nie wiem, co czytałam. Bez przerwy myślałam o hałasie, jaki wywołał kamień uderzając w okno, a potem spadając na chodnik. Wyglądało na to, że odbił się od czegoś twardego, chociaż na własne oczy widziałam, jak uderza w szybę okna po drugiej stronie ulicy.

IV

Przez pewien czas żyłam w stanie wielkiej egzaltacji i podniecenia. Dnie spędzałam przeważnie czekając na nadejście wieczoru, bo dopiero wtedy mogłam zacząć obserwować mego sąsiada z przeciwka. Nie rozmawiałam prawie z nikim i ani słowem nie wspominałam o dręczących mnie pytaniach. Głowiłam się nad tym, kim był On, czym się zajmował i dlaczego nigdy (a raczej bardzo rzadko) nie ukazywał się przed wieczorem. Nie dawało mi również spokoju pytanie, do jakiego domu należał pokój, w którym On przesiadywał. Wydaje mi się, że należał do biblioteki gimnazjalnej. Okno było jednym z wielu, które, jak mi się wydawało, oświetlały wielki hall; ale czy właśnie ten pokój należał do samej biblioteki i jak ktoś, kto go zajmował, uzyskał do niego wstęp, tego nie wiem. Doszłam w końcu do wniosku, że pokój

wychodzi na hall, a dżentelmen na pewno jest bibliotekarzem lub którymś z jego pomocników. Prawdopodobnie cały dzień jest zajęty służbowymi obowiązkami, a do własnej pracy może zasiąść dopiero wieczorem. Słyszało się o wielu podobnych wypadkach. Ten czy ów chcąc zdobyć więcej pieniędzy nieraz brał jakieś dodatkowe zajęcie, a kiedy wreszcie miał wolną chwilę, poświęcał ją bez reszty czemuś, co naprawdę kochał — na przykład studiom czy książce, którą pisał. Nie szukając dalej, mój rodzony ojciec urządził się swego czasu w ten sposób. Przez cały dzień pracował w Ministerstwie Finansów, a wieczorem pisał książki, które przyniosły mu sławę. Jego córka, chociaż tak mało wiedziała o innych sprawach, o tym jednak musiała wiedzieć!

Pamiętam moje wielkie rozczarowanie, kiedy pewnego dnia pokazano mi na ulicy jakiegoś starego dżentelmena w peruce, który zażywał tabakę, i powiedziano mi, że to jest bibliotekarz ze starego gimnazjum. Przez chwilę byłam zupełnie wytrącona z równowagi. Ale zaraz pomyślałam sobie, że taki stary bibliotekarz musi mieć pomocników i że On jest właśnie jednym z nich.

Powoli coraz bardziej utwierdzałam się w tym przeświadczeniu. W górnej części budynku znajdowało się niewielkie okno, które zawsze silnie błyszczało w słońcu. Jasne, małe okienko nad martwotą drugiego, które kryło tak wiele! Zdecydowałam, że było to okno Jego drugiego pokoju i że oba te pokoje gdzieś przy końcu wielkiego hallu tworzyły naprawdę piękne mieszkanie. Musiało być blisko książek, a poza tym odosobnione i spokojne tak, że nikt o nim nie wiedział. Jak to wygodnie! Łatwo można się było zorientować, że mu to mieszkanie bardzo odpowiada, skoro spędzał tam całe godziny, zatopiony w pisaniu. Czy pisał książkę? A może wiersze? Gdy myślałam nad tym, serce biło mi szybciej. Niestety z wielkim żalem doszłam do przekonania, że to nie mogły być wiersze, bo nikt nie potrafiłby pisać poezji tak od ręki, nie zatrzymując się ani na chwilę, by znaleźć odpowiednie słowo czy rym. Gdyby to były wiersze, musiałyby wstawać, przechadzać się po pokoju czy podchodzić do okna, tak jak to robił ojciec — który przecież nie pisał wierszy. Potrząsając głową powiadał zawsze: „Nawet nie jestem godzien mówić o tak wzniosłych rzeczach jak poezja”.

Właśnie te słowa wpoili we mnie podziw, niemal uwielbienie dla poety, który musiał być czymś większym, doskonalszym nawet niż ojciec. Nie mogłam jednak uwierzyć, żeby poeta siedział tak godzinami bez ruchu. Jeśli nie wiersze, cóż innego by pisał? A może dzieło historyczne? Jaka to wspaniała praca pisanie dzieła historycznego; a może ten, co je pisze, nie odczuwa potrzeby ruchu? Nie musi wstawać, przechadzać się tam i z powrotem, ani wyglądać przez okno, żeby spojrzeć na niebo i cudowną grę światła?

A jednak On się poruszał od czasu do czasu, chociaż nigdy nie podchodził do okna. Niekiedy, jak już wspomniałam, odwracał się, skierowywał wzrok w moją stronę i siedział tak przez dłuższy czas. Robił to zawsze wtedy, gdy blask słoneczny zaczynał blednąć i na świecie trwał ten dziwny dzień, który właściwie jest już nocą. Wszystko stawało się przesycone tym osobliwym, bezbarwnym światłem, w którym każda rzecz była wyraźnie widoczna nie rzucając przy tym cienia. Było to pomiędzy nocą a dniem, kiedy władzę sprawują istoty z bajki. Zmierzch wspaniałego, długiego, ach jakże długiego, letniego wieczoru, światła bez cieni. Godzina, która miała w sobie jakiś przedziwny urok, a równocześnie napawała mnie lękiem. O tej porze przychodziły mi do głowy jakieś niezwykle myśli i wyobrażałam sobie, że gdyby nasze oczy były trochę doskonalsze, na pewno zobaczylibyśmy krążące dokoła czarowne istoty z zaświatów. Sposób, w jaki On siedział w swoim pokoju i w coś się wpatrywał, pozwalał przypuszczać, że je widzi. Myśl o tym przejmowała mnie dziwnym uczuciem, jak gdyby dumy, że chociaż ja nie spostrzegam nic, On widzi te istoty i nawet nie musi podchodzić do okna jak ja, która siedziałam wtulona w moją wnękę ze wzrokiem utkwionym w Niego, nieledwie patrząc Jego oczyma.

Co wieczór ani na chwilę nie opuszczałam mojej wnęki i byłam tak zatopiona w rozmyślaniach — bo teraz już codziennie można Go tam było zobaczyć — aż ludzie zaczęli

robić uwagi, że źle wyglądam i że chyba coś mi dolega. Gdy ktoś się do mnie zwracał, w ogóle na to nie reagowałam, nie miałam też ochoty wychodzić z domu, by pograć z koleżankami w tenisa, ani na nic, co robili inni ludzie. Niektórzy tłumaczyli ciotce Mary, że wyglądam gorzej niż na początku pobytu i że absolutnie nie może mnie odesłać do mamy z taką bladą twarzą. Ciotka Mary już przedtem zaczęła mi się podejrzliwie przyglądać i jestem pewna, że odbywała na mój temat sekretne narady z doktorem i ze swymi starymi damami, które były głęboko przekonane, że wiedzą o młodych dziewczętach więcej niż sami lekarze.

Nieraz słyszałam, jak jej mówiły, że potrzebuję rozrywki, że powinnam zmienić tryb życia, że ciotka musi więcej wyprowadzać mnie z domu i od czasu do czasu urządzać jakieś zebrania towarzyskie. Mówiły też, że jak zaczną się zjeżdżać letnicy, odbędzie się pewnie jakiś bal i że lady Carnbee zorganizuje piknik. Stara dama, którą nazywali miss Jeanie dodała od siebie:

— No, poza tym mój młody lord wraca do domu, a muszę powiedzieć, że jeszcze nie widziałam młodej dziewczyny, która by nie podniosła główki na jego widok.

Ciotka Mary potrząsnęła głową.

— Nie mierzyłabym tak wysoko, moja droga. Jego matka rozgląda się na wszystkie strony za pieniędzmi dla niego, a moje biedne, małe kociątko nie ma przecież majątku. Nie, nie możemy snuć żadnych planów w stosunku do młodego lorda. Natomiast z wielką przyjemnością obwiozę ją po okolicy, żeby obejrzała różne stare zamki i wieże. Może uda mi się choć trochę ją rozruszać.

— Tak, a jeśli to nie pomoże, trzeba będzie wymyśleć coś innego — dodała stara dama.

Słyszałam ich rozmowę tego dnia może dlatego, że tematem jej była moja osoba; nigdy nikt nie słucha czyichś słów z taką uwagą, jak wtedy, gdy wie, że mowa o nim. Ostatnio nie zwracałam żadnej uwagi na ich pogawędki. Pomyślałam sobie, jak niewiele wiedzą i jak mało obchodzą mnie wszystkie zamki i budowle, którymi się ludzie zachwycają; pomyślałam także, iż mnie zajmuje zupełnie co innego.

Ale właśnie w tym momencie do pokoju wszedł pan Pitmilly. Zawsze był moim wielkim przyjacielem i jak tylko usłyszał, o czym mowa, od razu postarał się skierować ich uwagę na inne tory. A potem, gdy wszystkie panie już powychodziły, podszedł do wnęki i wyjrzał przez okno ponad moją głowę. Po chwili odwrócił się i zapytał ciotkę Mary, czy rozwiązała wreszcie kwestię dotyczącą okna naprzeciwko, o którym czasem myślała, że jest oknem, a czasem, że nim nie jest i wiele innych ciekawych rzeczy, jak się wyraził stary dżentelmen.

Ciotka Mary najpierw spojrzała na mnie z wielkim niepokojem, a potem odpowiedziała:

— Doprawdy, panie Pitmilly, jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednio. Ciągle jeszcze jestem zupełnie zdezorientowana. Wydaje mi się, że moja siostrzenica tak samo, bo bardzo często widzę, jak patrzy na drugą stronę ulicy i zapada w kontemplację, ale niestety nie mam najmniejszego pojęcia, co ona w tej chwili na ten temat myśli.

— Co ja myślę na ten temat?! Ciociu Mary! — Nie mogłam się powstrzymać, żeby powiedzieć to bez przekory tak właściwej młodemu wiekowi. — Nic nie myślę na ten temat. Tam nie tylko jest okno, ale nawet i pokój. Mogłabym ci pokazać... — Chciałam powiedzieć: „pokazać dżentelmena, który tam siedzi i pisze” ale powstrzymałam się w porę, bo nie byłam pewna, jaką mogę usłyszeć odpowiedź i tylko popatrzyłam na ciotkę i pana Pitmilly. — Mogłabym wymienić wszystkie meble, jakie tam stoją — ciągnęłam dalej. Nagle poczułam niby płomień na twarzy. Odniosłam wrażenie, że ciotka i pan Pitmilly wymienili między sobą spojrzenia, ale może mi się tylko tak wydawało.

— Wisi tam wielki obraz w szerokich, pociemniałych ramach — dodałam szybko dysząc. — Wisi na ścianie przeciwległej do okna.

— Doprawdy? — spytał pan Pitmilly i zaśmiał się krótko. — Wobec tego coś ci proponuję. Dziś wieczór w bibliotece, w wielkiej sali, pięknie oświetlonej, odbędzie się zebranie dyskusyjne, czy jak to tam nazywają. Sala jest bardzo ładna, a oprócz tego jest tam szereg

rzeczy, które warto obejrzeć. Po obiedzie wstąpię panie zabrać. Ciotkę Mary i ciebie.

— Ale cóż znowu! — obruszyła się ciotka Mary. — Nie byłam na żadnym zebraniu więcej lat, niż chciałabym się do tego przyznać. A w sali biblioteki w ogóle jeszcze nie byłam. — Potem lekko się wzdrygnęła i dodała bardzo cicho:

— Nie mogłabym tam pójść.

— W takim razie dziś wieczór zaczniesz pani od nowa — oświadczył pan Pitmilly pomijając jej ostatnie zdanie. — Jakże będę dumny mogąc wprowadzić tam panią Balcarres, która niegdyś bywała ozdobą każdego balu!

— Ach, niegdyś... — westchnęła ciotka Mary, uśmiechając się nieznacznie. — Ale lepiej nie wspominać, jak to było dawno. — Przerwała na chwilę, po czym patrząc na mnie, powiedziała:

— Przyjmuję pańskie zaproszenie i postaramy się wytwornie wyglądać. Mam nadzieję, że nie będzie się pan potrzebował nas wstydzić. Ale dlaczego nie miałby pan zjeść z nami obiadu?

Pan Pitmilly zgodził się, a potem bardzo zadowolony poszedł się przebrać. Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, podbiegłam do ciotki i zaczęłam ją błagać, żeby mi nie kazała iść na to zebranie.

— Tak bardzo lubię długie, piękne wieczory, kiedy człowiek ma wrażenie, że zmierzchnię nigdy nie skończy. Zupełnie nie mogę myśleć o tym, że miałabym się przebrać, wychodzić z domu i tracić to wszystko dla jakiegoś głupiego zebrania. Ciociu, przecież wiesz, że tak nie cierpię wszelkich zebrań towarzyskich! — płakałam. — Sto razy bardziej wolę zostać w domu!

— Kochanie — odpowiedziała ujmując mnie za obie ręce — wiem, że to może być dla ciebie straszne, ale naprawdę tak jest lepiej.

— Nie będzie to dla mnie straszne — nie dawałam za wygraną — ale naprawdę wolałabym tam nie iść.

— Pójdiesz ze mną, kochanie. Tylko ten jeden raz. A mnie się niezbyt często zdarza gdzieś wychodzić. Zgódź się iść ze mną dziś wieczór, mój kotku kochany. Tylko dziś wieczór!

Biedna ciotka ze łzami w oczach całowała mnie przy każdym słowie. Nie pozostawało mi nic do powiedzenia. Ale tak bardzo żałowałam straconego wieczoru!

Najzwyklejsze zebranie, jakaś dyskusja (kiedy całe gimnazjum się rozjechało na wakacje i nie było żywego ducha, by tę dyskusję poprowadzić) zamiast mojej czarownej godziny przy oknie, łagodnego dziwnego światła i ukazującej się w mroku twarzy, która wciąż na nowo skłaniała mnie do zastanawiania się, o czym On myśli, czego wypatruje, kim jest? I tylko te pytania przez długi, długi powoli gęstniejący zmierzchnię!

Kiedy się ubierałam, przyszło mi na myśl, że może i On tam się zjawi. Jednak po chwili uznałam to za bardzo mało prawdopodobne, gdyż byłam przekonana, że ponad wszystko woli samotność. Niemniej kiedy pomyślałam o tym, wyciągnęłam białą suknię (choć Janet przygotowała mi już niebieską) i niewielki naszyjnik z pereł, który jeszcze przed chwilą wydawał mi się zbyt strojny na taką okazję. Pereł nie były wprawdzie duże, ale za to prawdziwe. Świetnie dobrane, o pięknym blasku, mimo że małe. Choć bardzo krytycznie oceniałam wtedy swój wygląd, musiało być jednak we mnie coś, co pozwalało patrzeć na mnie z przyjemnością mimo bładości przechodzącej z byle powodu w głęboki rumieniec, białej sukni i matowych włosów. Nawet stary pan Pitmilly miał jakiś dziwny wyraz w oczach, jak by nie tylko był zadowolony ze mnie, ale odczuwał również pewien smutek na myśl, że doznam w życiu różnych zawodów, chociaż byłam jeszcze tak młoda i nie wiedziałam, co to znaczy.

Kiedy ciotka Mary spojrzała na mnie, zauważyłam, że jej wargi lekko zadrzały. Ciotka prezentowała się wspaniale w swoich starych koronkach i pięknej fryzurze. Pan Pitmilly miał na sobie wytworny żabot z francuskiego batystu, plisowany w drobniutkie fałdki i ozdobiony

brylantową szpilką, która rzucała ognie równie wspaniałe jak pierścionek lady Carnbee. Ale to był kamień jasny, dobroduszny, pocziwy; spoglądał człowiekowi wprost w oczy i migotał tańczącymi w nim ognikami, jak by się cieszył, że się nań patrzy i że rozbłyскуje na zacnej i wiernej piersi starego dżentelmena.

W czasach, gdy oboje byli młodzi, pan Pitmilly należał do wielbicieli ciotki Mary i wciąż jeszcze głęboko wierzył, że na całym świecie nie ma kobiety, która mogłaby się z nią równać.

Kiedy w łagodnym zmierzchu wieczoru przechodziliśmy na drugą stronę ulicy, udając się do biblioteki, byłem w bardzo przyjemnym nastroju. Może jednak mimo wszystko powinienam Go zobaczyć i tak dobrze znany mi pokój i przekonać się, dlaczego bez przerwy w nim przesiaduje. Robiłam sobie nadzieję, że może się nawet dowiem, nad czym pracuje. Z wielką przyjemnością opowiedziałabym o tym ojcu po powrocie do domu. „Pewien mój przyjaciel z St. Rule's — och! o wiele bardziej pracowity, niż ty byłeś kiedykolwiek, ojczyste!” A wtedy ojciec roześmiałby się, jak to zawsze robił i odpowiedziałby, że jest leniuchem i nigdy niczym się nie przemęcza.

Sala była jasna i znakomicie oświetlona. Kwiaty widać było wszędzie, gdzie tylko można je było ustawić; długie nie kończące się szeregi książek wypełniały wszystkie ściany. Światła odbijały się od każdego złocenia czy ornamentu. Początkowo ten potop światła zupełnie mnie oślepił. Ale chociaż zachowywałam się bardzo spokojnie, bacznie rozglądałam się dokoła, czy przypadkiem w którymś z kątów, albo w jakiejś grupie osób nie zobaczę Jego. Nie spodziewałam się znaleźć Go wśród pań. Nie, wśród pań nie ma Go na pewno. Na to był zbyt pochłonięty studiami, zbyt milczący. Może więc w gronie tych siwych głów na końcu sali, może tam.

Ale nie. Nigdzie Go nie zobaczyłam. Nie jestem całkiem pewna, czy nie byłam nawet zadowolona, przekonawszy się, że w całej sali nie ma nikogo, kogo bym mogła wziąć za Niego, kto byłby choć trochę podobny do mglistego wyobrażenia, jakie sobie o Nim wyrobiłam. Sam pomysł, że mógłby się znaleźć wśród rozbrzmiewających ze wszystkich stron głosów, w blasku tylu światła, był zupełną niedorzecznością. Uczułam przypływ dumy na myśl, że siedzi w swoim pokoju zajęty pracą albo zatopiony w rozmyślaniach, jak wtedy, gdy obrócił się twarzą do światła.

Pod wpływem tych myśli zaczęłam się pocieszać i uspokajać. Teraz, gdy nadzieja, że Go zobaczę, bezpowrotnie minęła do uczucia zawodu dołączyło się zadowolenie na widok pana Pitmilly, który podał mi ramię.

— No — powiedział. — Teraz cię oprowadzę i pokażę wszystko, co jest godne zobaczenia.

Pomyślałam sobie, że kiedy obejrzę rzeczy, które pan Pitmilly chce mi pokazać i porozmawiam ze wszystkimi znajomymi, to może ciotka Mary pozwoli mi wrócić do domu. Toteż mimo że wszystko, co miałam oglądać, zgoła mnie nie interesowało, chętnie ruszyłam za panem Pitmilly. Gdy przechodziliśmy przez salę, coś mnie zastanowiło. Z otwartego okna we wschodniej części pomieszczenia płynął silny prąd świeżego powietrza. Skąd się w tym miejscu wzięło okno? Początkowo nie mogłam zrozumieć, co to ma znaczyć. Ale powiew uderzał mnie w twarz, jak by to jednak miało jakieś szczególne znaczenie. Sama nie wiem dlaczego, poczułam się bardzo nieswojo. Zdziwiło mnie również inne spostrzeżenie. Jak mi się wydawało, na ścianie od ulicy w ogóle nie było ani jednego okna. Od góry do dołu wypełniały ją półki z książkami. Co to miało oznaczać, również nie zdawałam sobie sprawy, ale i to mnie zaniepokoiło. W ogóle stwierdziłam, że opanowuje mnie jakiś lęk, czułam się zupełnie, jak bym była w obcym kraju i nie wiedziała ani dokąd się udaję, ani czego się dowiem za chwilę. Jeżeli na ścianie od strony ulicy nie było okien, w takim razie gdzie było moje okno?

Serce, które przez cały czas gwałtownie kołatało mi w piersi, na tę myśl poderwało się nagle, jak by chciało z niej wyskoczyć. Ciągle jeszcze nie wiedziałam, co to wszystko ma

znaczyć.

Potem zatrzymaliśmy się przy oszklonej szafie i pan Pitmilly pokazał mi umieszczone tam okazy. Nie potrafiłam się nimi zainteresować. Kręciło mi się w głowie i czułam w niej jakiś dziwny zamęt. Słyszałam głos pana Pitmilly, a potem swój własny, który brzmiał jakoś dziwnie głucho. Nie miałam pojęcia, co mówię ani co mówi pan Pitmilly. Od szafy poszliśmy we wschodni koniec sali. Coś mówił. Docierały do mnie jego słowa, ale prawie nic nie rozumiałam. Chyba mówił, że jestem blada i że świeże powietrze powinno mi dobrze zrobić. Chłodny powiew wiał wprost na mnie poruszając koronki mojej sukni. Przez okno, które wychodziło na małą uliczkę biegnącą na tyłach budynku, sączyło się blade światło dnia.

Pan Pitmilly ciągle mówił, ale nie mogłam zrozumieć z tego ani słowa. Potem poprzez jego głos usłyszałam swój własny, choć zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że się odzywam.

— Gdzie jest moje okno? Gdzie jest wobec tego moje okno. — Zdawało mi się, że pytałam o coś takiego. Idąc, ciągnęłam go za sobą, kurczowo uczepiona jego ramienia. W końcu spostrzegłam coś, co było mi znajome. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny obraz w szerokich ramach.

— Co to znaczy? Co to jest? — Znowu odwróciłam się do otwartego okna we wschodniej ścianie i do dziwnego światła, tego niezwykłego światła nie dającego żadnych cieni; wypełniało ono teraz oświetloną salę nadając jej wygląd bańki mydlanej, która ma lada moment pęknąć — wygląd czegoś, co może być realne. Realny był dobrze mi znany pokój, gdzie wisiał ten obraz, stało biurko i gdzie siedział On, twarzą zwrócony ku światłu. Ale gdzie jest to światło i okno, przez które ono wpada? Mam wrażenie, że musiały mnie opuścić zmysły. Podeszłam do znanego mi obrazu. Potem przemierzyłam salę, ciągnąc za sobą pana Pitmilly. Był jakiś dziwnie blady, ale nie stawiał żadnego oporu. Pozwalał się prowadzić ku miejscu, gdzie miało się znajdować okno, ale gdzie nie można się było niczego dopatrzeć.

— Gdzie jest moje okno? Gdzie jest moje okno? — pytałam. Przez cały czas miałam wrażenie, że śnię, że te światła i rozmawiający ludzie to jakaś teatralna dekoracja, że wszystko było nierealne poza straszliwie bladym dniem, który zwlekał z odejściem, czekając aż pęknie ta głupia mydlana bańka.

— Moja droga! — zawołał pan Pitmilly. — Moja droga! Nie zapominaj, że znajdujesz się między ludźmi! Pamiętaj, gdzie jesteś. Nie możesz przecież wywołać zbiegowiska i przerazić ciotki Mary! Chodźmy stąd, chodźmy, moje dziecko! Usiądziesz na chwilę i się uspokoisz. Przyniosę ci lodów albo kieliszek wina. — Mówiąc to, gładził moją rękę, którą opierałam mu na ramieniu i przyglądał mi się z niepokojem. — Mój Boże! Nigdy bym nie przypuścił, że to wywoła taki efekt!

Ale nie pozwoliłam mu zaprowadzić się tam, gdzie miał zamiar. Znowu zbliżyłam się do obrazu i zaczęłam mu się przyglądać wcale go nie widząc. A potem przeszłam przez salę. W głowie utkwiała mi niedorzeczna myśl, że jak bardzo będę chciała, to znajdę to, czego szukam.

— Moje okno! Moje okno! — powtarzałam.

Niedaleko nas stał jeden z profesorów.

— Okno? — zapytał usłyszawszy moje słowa. — Och, najwyraźniej dała się pani wprowadzić w błąd tym, co widać z ulicy. Namalowano je tam, by zachować symetrię z oknem na schodach. Ale nigdy nie było prawdziwe. Jest tu, za tą półką. Już wiele osób dało się tym zmylić.

Głos profesora zdawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka; brzmiał tak, jak by nigdy nie miał umilknąć. Sala wirowała dokoła mnie w jakimś chaosie blasku i gwaru, a dzienne światło padające przez otwarte okno coraz bardziej szarzało, jak by w oczekiwaniu, kiedy się to wszystko skończy i bańka pęknie.

V

Pan Pitmilly zabrał mnie do domu, a raczej to ja jego zabrałam, popychając go tuż przed sobą i trzymając mocno za ramię. Nie czekałam na ciotkę Mary ani na nikogo. Wyszliśmy znowu na światło dzienne. Byłam bez płaszcza i szala, z gołymi ramionami, bez nakrycia głowy. Miałam tylko perły na szyi. Po ulicy chodziły gromadki ludzi, a chłopak od piekarza, ten sam, który rzucił kamieniem, stanął na mojej drodze i krzychał: „Patrzcie, patrzcie, jaka elegantka!”

Słowa te, właściwie bez żadnego powodu, uderzyły we mnie jak kamień, który rzucił w okno. Ale nic sobie nie robiłam z patrzących na mnie ludzi i szybko przeszłam na drugą stronę ulicy. Pan Pitmilly podążał pół kroku przede mną. Drzwi naszego domu były otwarte. Stała w nich Janet przypatrując się paniom we wspianiałych sukniach.

Kiedy zobaczyła, jak przebiegam ulicę, krzyknęła głośno; ale wyminęłam ją, wepchnęłam pana Pitmilly na schody i nie mogąc tchu złapać, pociągnęłam za sobą do wnętrza. Tam rzuciłam się na krzesło, jak bym nie była w stanie zrobić ani kroku. Po chwili wskazując na okno po drugiej stronie ulicy, zawołałam.

— Tam! Tam!

— Tak, tam był On — nie bezsensowny tłum, nie teatr i światła gazowe, i ludzie zatopieni w zgieltku rozmów. Nigdy dotąd nie widziałam tego pokoju tak wyraźnie. Gdzieś z tyłu sączył się jakiś delikatny blask, który był jakby odbiciem potopu jaskrawych światel zalewających salę. Na jego tle siedział On — spokojny, pogrążony w myślach, z twarzą zwróconą ku oknu.

Wszyscy musieli go widzieć, nawet Janet by zobaczyła, gdybym ją zawołała na górę. Wyglądało to jak na obrazie. Tak dobrze znane mi przedmioty, On siedzący w tej samej co zawsze pozie i niczym nie zakłócona atmosfera ciszy i spokoju. Zanim pozwoliłam, by pan Pitmilly odszedł, pociągnęłam go za ramię.

— Widzi pan! Widzi pan! — krzyknęłam.

Spojrzał na mnie z niepokojem i miał taką minę, jak by mu się na płacz zbierało. Nie widział nic! Mówił o tym najdobitniej wyraz jego oczu. Był stary i widocznie już wzrok mu nie dopisywał. Gdybym zawołała Janet, to na pewno wszystko by zobaczyła. A pan Pitmilly tylko ciągle powtarzał:

— Moja droga! Moja droga! — i bezradnie rozkładał ręce.

— On siaduje tam co wieczór — mówiłam gwałtownie. — Myślałam, że potrafi mi pan powiedzieć, kim jest i co robi. Miałam nadzieję, że może On zaprowadzi mnie do tego pokoju i pozwoli go obejrzeć, bym mogła potem wszystko opowiedzieć papie. Ojciec by to zrozumiał i jestem pewna, że chętnie by o tym posłuchał. Och, panie Pitmilly! Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, nad czym On pracuje? Dopóki światło rzuca cienie, ani na chwileczkę nie podnosi głowy, a potem, kiedy się robi ciemno, odwraca się, myśli i wypoczywa!

Pan Pitmilly trząsał się cały i dygotał, tylko nie wiem czy z zimna, czy z jakiegoś innego powodu.

— Moje drogie dziecko, moje drogie dziecko — zaczął drżącym głosem, ale zaraz umilkł i patrzył na mnie, jak by się miał rozpłakać. — To okropne — mówił — to okropne! — A potem innym już tonem ciągnął dalej. — Pójdę tam jeszcze raz i przyprowadzę do domu ciotkę. Rozumiesz, moje małe biedactwo, moje... idę ją przyprowadzić do domu. Od razu się lepiej poczujesz!

Byłam bardzo zadowolona, kiedy sobie wreszcie poszedł, bo przecież on i tak nie mógł nic zobaczyć. Zostałam sama w ciemnościach, które nie były ciemnościami, ale bardzo jasnym światłem, jakiego nigdy przedtem nie widziałam. Jakże tam było widno w tym pokoju! Ani potopu gazowego światła, ani gwaru głosów — nic, wypełniał go spokój i cisza; widzia-

łam w nim wszystko tak wyraźnie, jak by był częścią jakiegoś innego świata.

Nagle usłyszałam za sobą lekki szmer. To Janet stanęła obok wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Była prawie w tym wieku co ja. Zniecierpliwiona, że jest taka nieśmiała i trzyma się gdzieś z tyłu, zawołałam:

— Janet, chodź tu! Chodź, to zobaczysz! Chodź, przypatrz Mu się!

— Och, moja śliczna młoda pani — odpowiedziała Janet i wybuchnęła płaczem.

Zła, że nie chce podejść do okna, tupnęłam nogą, na co dziewczyna momentalnie uciekła, jak by się mnie przeraziła.

Żadne z nich! Żadne z nich! Nikt mnie nie rozumie, nawet Janet, która jest przecież w moim wieku i ma doskonały wzrok. Odwróciłam się do okna i wyciągnęłam ręce do Tego, który tam siedział. On jeden rozumiał.

— Och! — zawołałam. — Niechże się pan do mnie odezwie. Nie wiem, kim pan jest i co pan robi, ale jest pan równie samotny jak ja. Ja jedna panu współczuję. Niechże pan coś do mnie powie!

Nie spodziewałam się, że mnie usłyszy, nie oczekiwałam też żadnej odpowiedzi. Jakże mógł słyszeć, co mówię w tym rozgardiaszu i tłumie, kiedy dzieliła nas ulica i Jego okno było zamknięte... Ale przez chwilę wydawało mi się, że na całym świecie jesteśmy tylko my dwoje: On i ja.

Kiedy spostrzegłam, że się ruszył na krześle, zaczęłam szybko oddychać, jak by mi brakło tchu. Jestem pewna, że mnie usłyszał, choć nie wiem w jaki sposób. Wstał, ja też się podniosłam nie będąc w stanie przemówić słowa, niezdolna do niczego poza tym bezwiednym, zupełnie mechanicznym ruchem. Byłam jak bezwolna kukła poruszana jego wolą. Stał w oknie i patrzył poprzez ulicę wprost w moją stronę. Byłam pewna, że patrzy na mnie. W końcu mnie zauważył.

Wreszcie dowiedział się, że ktoś — choćby tylko dziewczyna — obserwuje Go, wpatruje się w Niego i wierzy weń. Byłam tak zdenerwowana i wzruszona, że się cała trzęsłam i ledwo mogłam ustać na nogach. Uklękłam na krześle przy oknie, opierając się rękami o framugę i czułam się, jak by mi wrywano serce z piersi. Nie potrafię opisać Jego twarzy. Chociaż padało na Niego światło, nie mogłam jej dokładnie dojrzeć. Odniosłam wrażenie, że się uśmiecha. Patrzył na mnie z taką samą uwagą, z jaką ja patrzyłam na niego. Włosy miał jasne, wargi lekko mu drżały. Po chwili położył ręce na oknie, by je otworzyć. Zacięło się; nie mógł go poruszyć, wreszcie otworzyło się z wielkim hałasem, który rozniósł się echem po całej ulicy. Zauważyłam, że kilku przechodniów usłyszało go i podniosło głowy. Złożyłam obie ręce, oparłam twarz o szybę. Cała moja istota wydzieriała się ku Niemu, jak gdybym mogła wyjść z siebie. Serce z piersi, oczy z głowy. Otworzył okno z hałasem, który było słyhać od West Port do Abbey. Czy ktoś mógł jeszcze wątpić w Jego istnienie?

A potem wychylił się przez okno i zaczął się rozglądać. Chyba nie było człowieka na ulicy, który by mógł Go nie widzieć. Najpierw popatrzył na mnie i lekko skinął ręką, jak by mi przesyłał pozdrowienie — chociaż może to niezupełnie tak wyglądało; w pierwszej chwili pomyślałam, że każe mi odejść. W gasnącym świetle zmierzchu rozejrzał się w prawo, a potem w lewo. Najpierw spojrział na wschód, w kierunku wież starego opactwa, a po chwili na zachód, wzdłuż szerokiej wstęgi ulicy rojącej się ludzkim mrowiem; przechodnie poruszali się tak bezgłośnie, jak by byli zaczarowanymi mieszkańcami zaczarowanego miasta. Patrzyłam na Niego z sercem przepelnionym radością i z uczuciem tak głębokiego zadowolenia, że żadne słowa nie potrafią tego opisać. Teraz nikt już nie może powiedzieć, że Go tam nie ma, nikt nie może powiedzieć, że śnię. Wpatrywałam się w Niego z zapartym oddechem. Serce dławiło mnie w gardle. Nie mogłam wprost oczu od Niego oderwać. Znowu spojrział w prawo i w lewo, a potem na mnie. Byłam pierwsza i ostatnia, na którą popatrzył, chociaż rzucił mi zaledwie przelotne spojrzenie. Wiedział i widział, kto tu się na nim poznał i przez cały czas otaczał Go sympatią.

Byłam zupełnie oszołomiona, w stanie jakiegoś zachwycenia. Oczy moje szły za jego spojrzeniem, towarzysząc mu jak wierny cień.

A potem nagle znikł i nie widziałam Go więcej.

Opadłam na krzeselko szukając jakiegoś oparcia. Raz jeszcze podniósł rękę i skinął w moją stronę. Nie potrafię powiedzieć, jak odszedł ani dokąd. Znikł w jednej chwili, ale okno zostało otwarte. Pokój zanurzył się w głębokiej ciszy i mroku, lecz mimo to wciąż było w nim tak jasno, że widziałam na ścianie wielki obraz w złoconych ramach.

Gdy spostrzegłam, że odchodzi, nie uczułam żadnego bólu. Mimo wielkiego zmęczenia, serce przepełniała mi radość na myśl, że wszelkie pytania i wątpliwości związane z Jego istnieniem przestały egzystować.

Kiedy tak siedziałam zupełnie wyczerpana, nagle z szelestem sukni i koronek, zupełnie jak by leciała na skrzydłach, podeszła ciotka Mary; objęła mnie ramionami i przytuliła do piersi. Zaczęłam płakać, szlochać jak małe dziecko.

— Widziałas Go! Widziałas Go! — powtarzałam. Nie potrafię opisać, z jaką radością opierałam głowę na jej piersi; czułam, że mam przy sobie istotę dobrą i łagodną. Jak miło było spoczywać w jej ramionach i słuchać jej głosu.

— Kotku, mój kotku! — mówiła takim tonem, jak by i ona miała się zaraz rozplakać.

W jej ramionach zupełnie przyszedłam do siebie i poczułam się bardzo zadowolona ze wszystkiego. Chciałam jednak usłyszeć, że oni także Go widzieli. Wskazałam na wciąż jeszcze otwarte okno i na pokój, który z wolna pogrążał się w zapadający zmierzch.

— Tym razem wszyscy musieliście Go widzieć — powiedziałam z ożywieniem.

— Mój kotku! Kotku kochany! — powtarzała ciotka całując mnie raz po raz.

Pan Pitmilly krążył drobnymi kroczkami po pokoju i robił wrażenie człowieka, który stracił cierpliwość. Wyprostowałam się i odepchnęłam ciotkę Mary.

— Nie możecie być aż tak ślepi! Tacy zupełnie ślepi! Nie dzisiaj wieczór! Przynajmniej nie dzisiaj wieczór! — Ale ciotka i pan Pitmilly milczeli. Odsunęłam się od ciotki i wstałam.

A tam, na samym środku ulicy, nieruchomy jak posąg, stał piekarczyk i wpatrywał się w nie zamknięte okno. Miał otwarte usta, a na jego twarzy malował się wyraz takiego zdumienia, jak by nie dowierzał oczom. Rzuciłam się jak szalona do okna wołając, by do mnie przyszedł.

— Przyprowadźcie go na górę! Przyprowadźcie go do mnie! — błagałam.

Pan Pitmilly wybiegł szybko na ulicę i chwycił chłopaka za rękę. Ale piekarczyk nie zdradzał chęci przyścia na górę. Był to bardzo niezwykły widok: malutki stary dżentelmen w pięknym żabocie z diamentową szpilką, stojący na ulicy wśród gromadki chłopców i trzymający za ramię piekarczyka. Wreszcie ruszyli w stronę domu. Grupka wyrostków ciągnęła za nimi jakoś dziwnie się gapiąc. Chłopak wszedł niechętnie, prawie się opierając i miał taką minę, jak by się czegoś obawiał z naszej strony.

— Chodź tu, chłopcze! Chodź i rozmów się z tą młodą damą! — powiedział do niego pan Pitmilly. Ciotka Mary chwyciła mnie za ręce, żebym się nie wyrwała do przodu. Ale się uwolniłam.

— Chłopcze! — zawołałam. — Ty też Go widziałeś, prawda, że widziałeś? No, powiedz im. Powiedz tylko to, nic więcej od ciebie nie chcę!

Spojrzał na mnie takim samym wzrokiem jak oni wszyscy. Zupełnie jak bym była szalona.

— Czego ona ode mnie chce? — zapytał, a potem zaraz dodał. — Nic złego nie zrobiłem, jeżeli nawet rzuciłem kamieniem. To nie jest grzech rzucać kamieniami.

— Ty nicponiu! — oburzył się pan Pitmilly i potrząsnął go za ramię. — A więc jednak rzucałeś? Kiedyś zabijecie kogoś tymi kamieniami. — Stary dżentelmen był zupełnie wytrącony z równowagi i bardzo zmartwiony, bo nie rozumiał ani czego ja chcę, ani co się stało. Wtedy ciotka Mary trzymając mnie za ręce i przyciągając do siebie, odezwała się:

— Mój mały, odpowiedz tej młodej damie jak dobry chłopak. Nie chcemy ci robić żadnych wyrzutów. Odpowiedz jej, mój chłopcze, a potem, zanim pójdziesz do domu, Janet da ci kolację.

— Mów, mów — przynaglałam go. — Opowiedz im! Wszystko opowiedz. Czy widziałeś, jak to okno się otworzyło i jak jeden pan wyjrzał stamtąd i skinął ręką?

— Nie widziałem żadnego pana — odpowiedział, spuszczac głowę. — Tylko tego malutkiego, co tu stoi.

— Posłuchaj, chłopcze — nalegała ciotka Mary. — Sama widziałam, jak stałeś na środku ulicy i czemuś się przyglądałeś. Na co tak patrzyłeś?

— To nic takiego nie było! Tylko tamto okno w bibliotece, co wcale nie jest oknem. I ono się otworzyło, żebym tak zdrów był. Możecie się śmiać, jak chcecie. Czy o to jej chodziło?

— Chłopcze! Jak możesz opowiadać takie brednie? — wtrącił się pan Pitmilly.

— Żadne brednie. Okno w bibliotece było tak samo otwarte jak wszystkie inne. Żebym tak zdrów był. Sam nie chciałem wierzyć, ale to prawda!

— No nareszcie! — zawołałam odwracając się i z triumfem wskazując na okno.

Powietrze było jednolicie szare, światło dnia powoli roztapiało się w ciemność i prawie zupełnie zmieniło koloryt. Natomiast okno wyglądało tak samo jak zawsze — ciemny zarys na murze.

Przez cały wieczór opiekowano się mną, jak bym była chora. Położono mnie do łóżka i ciotka Mary do samego rana czuwała w moim pokoju. Gdy otwierałam oczy, widziałam, że wciąż siedzi tuż koło łóżka i nie spuszcza ze mnie oka. Nigdy, nigdy jeszcze nie przeżyłam tak dziwnej nocy. Kiedy podniecona zaczynałam coś mówić, ciotka całowała mnie i uspokajała jak małe dziecko.

— Och, moje kochanie! To nie tylko ty jedna. Cicho, cicho, dziecinko. Nie powinnam się była godzić, żebyś tam poszła!

— Ciociu! Ciociu! Powiedz, czy i ty Go widziałeś?!

— Cicho, kochanie, cicho. Przestań o tym myśleć i staraj się zasnąć. Nie powiem więcej ani słowa.

Objęłam ją ramionami i przytknęłam usta do jej ucha.

— Powiedz mi, ciociu! Kim On jest? Powiedz mi tylko to. Więcej o nic nie zapytam.

— Kochanie, proszę cię, uspokój się i staraj się zasnąć. To jest tylko, jak mam ci określić, takie senne widziadło. Czy nie słyszałaś, co powiedziała lady Carnbee? Kobiety naszej krwi...

— Co? Co? Ciociu Mary! Ach, ciociu Mary!

— Nie mogę ci powiedzieć — zawołała zdenerwowana. — Nie mogę ci nic powiedzieć. Niby w jaki sposób, skoro wiem akurat tyle samo co ty. To potem zostaje na całe życie; jakies pragnienie, wyczekiwanie na coś, co nigdy się nie ziści.

— On przyjdzie — zapewniałam ją. — Jutro Go zobaczę. Wiem, wiem na pewno!

Ciotka zasypywała mnie pocałunkami i bez przerwy płakała. Jej policzki były tak samo mokre i gorące jak moje.

— Mój kotku drogi! Jeżeli tylko potrafisz, postaraj się zasnąć. A potem zobaczymy, co nam jutro przyniesie.

— Jestem o to zupełnie spokojna — odpowiedziałam i choć może się to wydać dziwne, zapadłam w sen. Byłam bardzo wyczerpana, i na tyle młoda, że nie przywykłam jeszcze do spędzania bezsennych godzin w łóżku. Od czasu do czasu otwierałam oczy i zrywałam się, przypominając sobie wszystko od początku. Ale ciotka Mary nie oddalała się ani na krok i zaraz zaczynała mnie uspokajać. Układałam się więc z powrotem w łóżku pod jej opieką jak ptaszek w gnieździe.

Na drugi dzień nie chciałam zostać w łóżku. Byłam jak w gorączce i prawie nie wie-

działam, co robię. Okno wydawało się martwe, nie odbijał się w nim nawet najśłabszy blask światła. Płaskie i martwe jak kawał drewna. Od pierwszego dnia, gdy na nie patrzyłam, nigdy nie wydawało mi się mniej podobne do prawdziwego okna.

Nic dziwnego — myślałam sobie — że jeżeli widzą to samo, co ja w tej chwili i do tego starymi oczyma, które przecież nie są tak bystre jak moje, muszą myśleć, że tam nic nie ma. A potem uśmiechnęłam się w duchu na myśl o wieczorze, o przeciągającym się zmaganiu światła z mrokiem i o tym, czy On znowu wyjrzy, czy tylko da mi znak ręką. Doszłam do wniosku, że sam ten gest sprawi mi największą przyjemność. Po co ma się trudzić podchodzeniem do okna i otwieraniem go? Wystarczy ruch głowy i skiniecie ręką. To byłoby bardziej przyjacielskie i wyrażałoby więcej zaufania. A jednak nie oczekiwałam takiego gestu każdego wieczoru.

Tego popołudnia nie schodziłam na dół. Siedziałam przy oknie, dopóki się nie skończył podwieczorek. Doskonale słyszałam ożywioną rozmowę gości. Byłam pewna, że wszystkim ostatecznie znudziło się stanie we wnęce i obserwowanie okna i teraz śmieją się z głupiej dziewczyny. Niech się śmieją! W tej chwili byłam wyższa ponad wszystko. Podczas obiadu zachowywałam się bardzo niespokojnie i jadłam prędko, żeby jak najprędzej wstać od stołu. Wydaje mi się, że ciotka Mary też była niespokojna. Śmiem wątpić, czy z nadejściem wieczoru czytała swego „Timesa”. Rozłożyła go tak, by ją całą zasłaniał i co chwila zerknęła na mnie zza rogu. Z sercem pełnym oczekiwania ulokowałam się w swojej wnęce. Nie spodziewałam się wiele. Chciałam tylko zobaczyć, że siedzi i pisze przy swoim stole, odwraca głowę i daje mi lekki znak ręką, bym wiedziała, iż jest świadom mojej obecności. Siedziałam tak od pół do ósmej do dziesiątej. Światło dzienne stawało się coraz bardziej delikatne i w końcu miało się wrażenie, że prześwieca przez jakąś perłę. Okno przez cały czas pozostawało ciemne jak noc i nie widziałam w nim nic, zupełnie nic.

Ale pamiętałam też inne dni, kiedy było tak samo. Przecież On nie mógł przesiadywać w oknie każdego wieczoru po to tylko, żeby mi sprawić przyjemność. Taki człowiek, wielki uczony jak On, ma pewno wiele innych spraw w życiu. Wmawiałam sobie, że nie doznałam żadnego zawodu. Dlaczego miałabym się czuć zawiedziona? Przecież bywały wieczory, że Go nie widziałam.

Ciotka Mary ani przez chwilę nie przestawała mnie obserwować. Śledziła każde moje poruszenie. W jej oczach migotały łzy i widziałam w nich tyle współczucia, że aż mi się na płacz zbierało. Wydawało mi się, że bardziej żałuję jej niż siebie. A potem przytuliłam się do niej i błagałam, żeby mi powiedziała, kim On jest, jeśli tylko sama wie. I co miało znaczyć to powiedzenie o kobietach naszej krwi?

Odpowiedziała, że nie potrafi już w tej chwili określić ani jak to było, ani kiedy, że zdarzyło się wtedy, gdy się miało zdarzyć i że my wszystkie widziałyśmy Go w swoim czasie, to znaczy — dodała — te które były podobne do mnie i do ciebie.

— Co to miało znaczyć? Czym różniłyśmy się od reszty kobiet z naszej rodziny? Ale ciotka za całą odpowiedź potrząsnęła jedynie głową i nie chciała powiedzieć ani słowa więcej.

— Mówią... — zaczęła, ale zaraz zamilkła. — Och, kotku, spróbuj zapomnieć o tym wszystkim! Gdybym wiedziała, że ty jesteś właśnie taka! Mówią, że kiedyś żył pewien mężczyzna, który bardziej cenił swoje książki niż miłość kobiety. Kochanie, nie patrz na mnie w ten sposób! I pomyśleć tylko, że właśnie ja musiałam to wszystko na ciebie sprowadzić!

— Był uczonym? — dopytywałam się.

— I jedna z nas, widać kobieta dość lekkomyślna, nie taka jak ty lub ja (choć mogła to być po prostu naiwność, któż może wiedzieć?) dawała mu różne znaki i zachęcała, żeby do niej przyszedł. A tamten pierścionek był czymś w rodzaju symbolu. Lecz On nie chciał przyjść. Nie dawała za wygraną i bez przerwy przesiadywała w oknie dając mu ciągle te znaki, aż w końcu dowiedzieli się o tym bracia, o... hm... dość gwałtownych naturach. A później,

ach, mój kotku, nie mówmy już o tym więcej.

— Zabili go! — krzyknęłam w dzikim podnieceniu. Chwyciłam ciotkę za rękę, potrząsnęłam nimi, a potem daleko się od niej odsunęłam.

— Mówisz mi o tym, żeby mnie w błąd wprowadzić! Przecież widziałam Go jeszcze wczoraj wieczór. Jest tak samo żywy i młody jak ja!

— Kotku, kotku kochany! — powtarzała raz po raz ciotka.

Po tej scenie przez długi czas nie mówiłyśmy do siebie ani słowa. Ona jednak wciąż krążyła w pobliżu, nie opuszczając mnie ani na chwilę. W jej oczach błąkał się ten sam wyraz troski i współczucia. Drugiego dnia wieczorem powtórzyło się to samo, trzeciego też. Czulałam, że nie wytrzymam tej sytuacji dłużej i że muszę coś wymyślić. Ba, gdybym tylko wiedziała co! Jak się ściemni tak zupełnie, może wtedy uda mi się coś zrobić. Przez głowę przelatowały mi najdziksze pomysły. Chciałam wykraść się z domu, postarać o drabinę, wspiąć się na nią i spróbować, czy pod osłoną nocy nie uda mi się otworzyć tego okna. Gdybym tylko zdołała namówić chłopaka od piekarza, żeby zechciał mi pomóc! W pewnej chwili uczułam w głowie wielki zamęt i zdawało mi się, że to się już stało. Niemal widziałam piekarczyka przystawiającego drabinę do okna i słyszałam, jak krzyczy, że tam nie ma nic. Och! Wieczór zdawał się wlec w nieskończoność!

I jak było jasno! Wszystko oświetlone, ani śladu ciemności, w której można by się ukryć. Nie, nawet odrobiny cienia ani po jednej, ani po drugiej stronie ulicy. Chociaż ciotka zmusiła mnie, bym się położyła, nie mogłam zasnąć. Późną nocą, wśród zupełnych ciemności, prześliznęłam się na dół, chociaż na podeście jedna deska przeraźliwie skrzypiała. Otworzyłam bramę i wyszłam na dwór. Na całej ulicy od Abbey aż do West Port nie zauważyłam żywej duszy. Drzewa stały niczym widma, panowała przeraźliwa cisza i wszystko było jasne jak w dzień. Człowiek nie ma pojęcia, czym jest cisza, dopóki nie zetknie się z nią w takim oświetleniu, i to nie rano, lecz w nocy. Nie ma wschodzącego słońca, nie ma cieni — wszystko jasne jak w dzień.

Wolno mijały minuty, jedna za drugą. Ale to było obojętne. Pierwsza godzina, druga... Dziwnie brzmiały uderzenia zegarów w tym zimnym świetle; nikt ich nie słuchał. Ale to też nie miało żadnego znaczenia. Okno było martwe. Nawet zarysy szyb zdawały się rozplływać. Po jakimś czasie znowu przekradałam się przez pogrążony w milczeniu dom, tym razem z powrotem, na górę. Szłam w tym jasnym świetle zziębnięta, rozdygotana, z rozpaczą w sercu.

Jestem pewna, że ciotka Mary musiała mnie zobaczyć, kiedy wracałam, bo po krótkiej chwili usłyszałam, jak zaczyna się cicho krzątać po domu. Bardzo wcześnie, gdy tylko pierwszy promień słońca wpadł do mego pokoju, zjawiła się koło łóżka z filiżanką herbaty. Ona też wyglądała jak widmo.

— Czy jest ci ciepło, kochanie? Nie potrzeba ci czego? — zapytała.

— To nieważne — odpowiedziałam. W moim obecnym stanie nic nie wydawało mi się ważne, chyba tylko to, żeby się zaszyć gdzieś w ciemność. Tę przytulną głęboką ciemność, która by człowieka zasłoniła i okryła — tylko nie bardzo wiedziałam przed czym. To okropne, że nie było nic, na co można by czekać, nic, przed czym należałoby się ukryć. Nic poza ciszą i światłem.

Tego dnia przyjechała moja matka i zabrała mnie do domu. Nikt mi nie mówił, że ma przyjechać. Zjawiła się zupełnie niespodziewanie i oświadczyła, że zaraz wraca. Musimy wyjechać jeszcze tego samego wieczora, żeby nazajutrz zjawić się w Londynie, bo ojciec wyjeżdża za granicę. W pierwszej chwili przyszedł mi do głowy dziki pomysł, żeby nie pojechać. Ale jak dziewczyna może powiedzieć: „nie chcę”, kiedy jej matka zjawia się, by ją zabrać, a oprócz tego nie ma żadnego, ale to absolutnie żadnego powodu, by się opierać, i co najważniejsze, żadnego pretekstu, który by mógł uzasadnić odmowę. Oczy ciotki Mary były mokre. Krzątała się po domu, po kryjomu je ocierając, i bez przerwy powtarzała: „Tak będzie dla ciebie najlepiej, kotku! Tak będzie najlepiej!” Boże, jak nienawidziłam, kiedy mówili, że coś

będzie dla mnie najlepiej, skoro i tak nic nie miało większego znaczenia.

Po południu zjawiły się wszystkie stare damy. Lady Carnbee przyglądała mi się spoza czarnych koronek, a brylant czał się i spod jej palca wysyłał ogniste strzały. Poglaskała mnie po ramieniu i upomniała, żebym była dobrą dziewczynką.

I nigdy nie wierz temu, co widzisz z okna. Okna są bardzo zdradliwe, tak jak serce. Potem znowu głaskała mnie po ramieniu, a ja znowu miałam wrażenie, że ten ostry przekłety kamień mnie kłuje. Czy właśnie to miała na myśli ciotka mówiąc, że ten pierścionek jest symbolem?

Zdawało mi się później, że mam na ramieniu jakiś znak. Zapytacie dlaczego. Nie wiem. Gdybym tylko mogła na to odpowiedzieć, byłabym bardzo zadowolona i przestałabym się martwić.

Nigdy więcej nie wróciłam do St.Rule's i już nigdy w życiu nie wyglądałam przez żadne okno, jeżeli widać było z niego jakieś inne. Spytaście, czy zobaczyłam kiedyś Jego? Na to też nie mogę odpowiedzieć. Wyobraźnia, jak powiedziała lady Carnbee, jest ogromnie zdradliwa. Jeżeli On został w tym miejscu tak długo, by karać rodzinę, która mu wyrządziła krzywdę, dlaczego miałabym Go znowu zobaczyć? Przecież ja zapłaciłam już swoją część. Ale któż może wiedzieć, co dzieje się w sercu, które powraca przez tak długi czas po to tylko, by wypełnić swoje posłannictwo? Jeżeli Ten, którego widywałam, był właśnie Nim, to Jego gniew już minął i dobrze, a nie źle życzy rodzinie kobiety, darzącej Go kiedyś miłością. Raz jeden zobaczyłam Jego twarz, jak patrzył na mnie w tłumie. Zdarzyło się to, gdy jako wdowa z dwojgiem dzieci wróciłam z Indii do kraju. Byłam wtedy bardzo smutna. Jestem pewna, że widziałam Go wśród tłumu, który przyszedł powitać swoich przyjaciół. Ale nie było nikogo, kto by przyszedł witać mnie; po prostu dlatego, że nikt się mnie nie spodziewał. Bardzo mi było smutno, gdy nie ujrzałam ani jednej znajomej twarzy. Wtedy, zupełnie nagle, zobaczyłam Jego. Skinął mi ręką. Od razu poczułam się różnie. Nie pamiętałam, kim jest, wiedziałam tylko, że to jakaś znajoma twarz. Wsiadłam na brzeg prawie wesoła, widząc, że jest ktoś, kto mi pomoże. Ale On znikł, jak zawsze znikał z okna. Znikł raz tylko skinąwszy ręką.

Cała ta historia przypomniła mi się, kiedy umarła lady Carnbee — stara, bardzo stara podówczas kobieta. Zapisała mi w testamencie pierścionek z brylantem. Ciągle jeszcze się go boję. Leży zamknięty w staroświeckim pudełku z sandałowego drzewa, między najrozmaitszymi gratami w starym wiejskim domku. Wprawdzie dom jest moją własnością, ale nigdy tam nie mieszkam. Gdyby się okazało, że ktoś ukradł ten brylant, ulżyłoby mi na sercu. Nigdy się nie dowiedziałam, co miała na myśli ciotka Mary mówiąc: „Ten pierścionek był symbolem” ani co on mógł mieć wspólnego z niesamowitym oknem starej biblioteki gimnazjalnej w St.Rule's.

Przełożył Aleksander Bogdański

FRANK RICHARD STOCKTON

Frank Richard Stockton (1834—1902). urodzony w Filadelfii, rozpoczął swoją karierę jako dziennikarz, następnie przez dłuższy czas pisał dla dzieci i dopiero stosunkowo późno poświęcił się poważniejszej twórczości. Jego dorobek składa się z przewrotnych, absurdalnych powieści humorystycznych, z których najbardziej znana jest „Rudder Grange” (1879), oraz z dwunastu tomów opowiadań, z których największą sławę zdobyło opowiadanie zatytułowane „Pani czy tygrys” (1884). „Opowieść o sile ujemnego ciężenia”, opublikowana w roku 1886, stanowi wyraz charakterystycznego dla późniejszej twórczości Stocktona zainteresowania tematami pseudonaukowymi i świadczy o jego niezwykłym talencie do nadawania cech prawdopodobieństwa zgoła nieprawdopodobnym sytuacjom.

OPOWIEŚĆ O SILE UJEMNEGO CIĄŻENIA

Swego czasu mieszkałem z żoną w niewielkim miasteczku na północy Włoch. Wiosną, pewnego pięknego popołudnia wybraliśmy się jakieś sześć, siedem mil za miasto, by podziwiać wspaniałą zachód słońca za pobliskimi stokami gór. Trzymaliśmy się najpierw twardego, ubitego traktu, by na koniec skrócić w płataninę polnych drózek, obrzeżonych bądź murkami, bądź lekkimi opłótkami z trzciny lub bambusów. W pobliżu wzgórza, którego łagodne zbocze zapraszało do wspinaczki, bez trudu przeskoczyliśmy wysoki na cztery stopy murek. Po drugiej stronie ciągnęła się łąka, to łagodnie, to znów stromymi stopniami prowadząca do celu naszej wędrówki. W obawie, żeby nie przyjść za późno, przyspieszyliśmy kroku, wbiegając na trawiaste zbocza i przesadzając nieomal skaliste urwiska. Na plecach miałem ciasno zapięty plecak; żona niosła pod pachą miękką, turystyczny koszyk. Jak zwykle, ramię przełożyła przez uszy i podtrzymując koszyk od spodu, mocno przyciskała go do siebie. Były w nim dwie butelki wina: słodkie dla żony i wytrawne dla mnie; nigdy nie lubiłem słodkich win — zawsze przyprawiły mnie o ból głowy.

Gdy tylko osiągnęliśmy porośnięty trawą taras — miejsce dobrze znane wszystkim miłośnikom zachodów słońca — pośpieszyłem natychmiast na skraj, by nie uronić nic z piękna roztaczającej się przed nami sceny. Żona, ugasiwszy pragnienie kilkoma łykami wina, zostawiła koszyk i po chwili przyłączyła się do mnie. Widok był rzeczywiście niezwykle piękny; pod nami leżała szeroka dolina, cieniowana różnymi barwami zieleni, przecięta małą rzeczulką, tu i ówdzie upstrzona domkami krytymi czerwoną dachówką. Dalej wyrastał łańcuch szczytów górskich — różowych, seledynowych i purpurowych tam, gdzie zachodzące słońce używało im swojej przepysznej barwy, a szarozielonych w miejscach, gdzie zalegał cień. Ponad tym wszystkim rozpościerało się błękitne włoskie niebo, rozświetlone wyjątkowo wspaniałym zachodem słońca.

Oboje z żoną jesteśmy Amerykanami; we wspomnianym okresie byliśmy zgodną parą małżeńską w średnim wieku, lubiącą ponad wszystko wspólnie oglądać rzeczy ciekawe i piękne.

Mieliśmy ukochanego dwudziestoletniego syna, studiującego podówczas w Niemczech.

Mimo iż zdrowie na ogół nam dopisywało, żadne z nas nie odznaczało się szczególnie mocną konstrukcją fizyczną, tak że w normalnych warunkach nie pociągały nas dalekie piesze wycieczki. Ja jestem średniego wzrostu, niezbyt muskularny; żona raczej tęga, ze stałą tendencją do tycia.

Czytelnika, być może, zdziwi nieco, że dwoje starszych ludzi, ani specjalnie silnych, ani dobrych piechurów, z których jedno dźwiga pokaźnych rozmiarów kosz, a drugie ciężki plecak pełen najrozmaitszych narzędzi, wyruszyło na siedmiomilowy spacer i przeskoczywszy po drodze murek, wspięło się pod górę, zachowując jeszcze dość siły, by podziwiać zachód słońca. Ten dziwny stan rzeczy pragnąłbym właśnie wyjaśnić.

Otóż całe życie pracowałem zawodowo i ledwie parę lat temu porzuciłem pracę, zadowalając się całkiem pokaźnym dochodem prywatnym. Największą moją namiętnością były zawsze badania naukowe i tej pasji poświęcałem teraz większość wolnego czasu.

Mieszkaliśmy w niewielkim miasteczku; w pobliżu domu wybudowałem sobie laboratorium, gdzie prowadziłem badania i robiłem eksperymenty. Od dawna już pragnąłem wynaleźć sposób nie tylko wytwarzania, ale i zastosowania naturalnej siły, która działaniem odpowiadałaby mniej więcej sile odśrodkowej, a którą nazwałem ujemnym ciężeniem. Nazwę tę wybrałem dlatego, że chyba lepiej niż jakakolwiek inna oddaje istotę działania tej siły. O ile grawitacja polega na przyciąganiu ciał do środka ziemi, o tyle siła ujemnego ciężenia — jak sama nazwa wskazuje — polega na ich odpychaniu. Podobnie rzecz się ma z ujemnym i dodatnim biegunem igły magnetycznej.

Moim celem było skumulować, poddać kontroli i zastosować w praktyce siłę ujemnego ciężenia. O korzyściach płynących z tego wynalazku nie potrzebuję chyba mówić. Jednym słowem, zdjąłbym ogromny ciężar z barków ludzkości.

Nie będę też mówił o wieloletnich trudach i rozczarowaniach, jakich doznałem; dość że w końcu odkryłem metodę produkowania, kumulowania i zastosowania praktycznego siły ujemnego ciężenia.

O ile mechanizm mojego wynalazku był raczej skomplikowany, o tyle sposób posługiwania się nim — bardzo prosty.

Sam przedmiot składał się z solidnej metalowej skrzynki rozmiarów osiem na cztery cale, w której mieściła się aparatura produkująca siłę. Mechanizm uruchamiało się przez pociśnięcie guziczka znajdującego się na zewnątrz kasetki, przy czym wielkość siły była wprost proporcjonalna do mocy, z jaką przyciskano guzik. Przy działaniu odwrotnym siła odpowiednio się zmniejszała, aż do wygaśnięcia.

Tak więc można było uzyskiwać dowolnie wielką siłę ujemnego ciężenia zależnie od nacisku wywieranego na guzik.

Kiedy uznałem, że aparat działa zadowalająco, poprosiłem do laboratorium żonę i wyjaśniłem jej istotę i wartość mego wynalazku. Wiedziała od dawna, że pochłania mnie praca nad czymś niezwykle ważnym, ale nigdy jej w to nie wtajemniczałem. Powiedziałem tylko, że jeśli doświadczenie zostanie uwieńczone sukcesem, wyjawię wszystko, jeśli zaś nie — po cóż zaprzętać jej głowę. Jako kobieta rozsądna poprzestała na tym i nie pytała więcej.

Teraz odkryłem przed żoną zarówno tajniki konstrukcji mojej maszyny, jak i szerokie możliwości jej zastosowania. Mówiłem, że może znacznie zmniejszyć albo wręcz zredukować do zera wagę wszelkiego rodzaju przedmiotów. Na przykład ciężko naładowany wóz z dwoma takimi odpowiednio ustawionymi przyrządami po bokach mógłby osiągnąć wagę pustego wózka, któremu jeden koń podołałby z łatwością. Dalej: bela bawełny za pomocą jednego tylko instrumentu mogłaby stać się tak lekka, że chłopiec dźwignąłby ją bez trudu, samochód zaś opatrzony w kilka tego rodzaju aparatów wzniósłby się w powietrze jak balon.

W rzeczywistości wszystkie przedmioty ciężkie mogłyby stać się lekkimi, a że większość pracy na ziemi spowodowana jest siłą przyciągania ziemskiego, jej odwrotność, odpowiednio zastosowana, mogłaby uczynić pracę człowieka znacznie lżejszą.

Mówiłem żonie o różnych możliwościach zastosowania mojego wynalazku i mówiłbym jeszcze więcej, gdyby nie to, że nagle wybuchnęła płaczem.

— Świat niewątpliwie zyskał coś wspaniałego — zawołała wśród łkań — ale ja straciłam męża!

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć — zapytałem zdziwiony.

— Dotychczas nigdy się tym nie przejmowałam: widziałam, cię to pochłania, nie przeszkadzając jednocześnie w naszych wspólnych rozrywkach i nie zakłócając życia rodzinnego. Teraz jednak to zupełnie co innego. Nigdy już nie będziesz panem siebie. Wynalazek odniesie wielki sukces, jestem przekonana. Zarobisz na nim masę pieniędzy, ale cóż z tego? Pieniądze nie są nam potrzebne. Potrzebne nam jest szczęście, którym cieszyliśmy się do tej pory. Teraz zaczną się patenty, zastrzeżenia prawne, transakcje handlowe. Jedni okrzykną cię oszustem, inni powiedzą, że już dawno do tego doszli. Różni ludzie będą ci składać wizyty. Staniesz się innym człowiekiem i nigdy już nie odzyskamy naszego szczęścia, którego nawet miliony nie są w stanie zastąpić.

Słowa żony wywarły na mnie głębokie wrażenie. W momencie, gdy postanowiłem ją zawołać, opadły mnie wątpliwości, czy nie powinienem zrobić czegoś dla ulepszenia wynalazku. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałem. Czasem praca postępowała wolniej, czasem szybciej, zawsze brałem się do niej pełen zapału, ale chociaż lubiłem ją bardzo, nie dopuszczałem do tego, by pochłonęła mnie całkowicie. Teraz wszystko się zmieniło; nabrałem przekonania, że moim obowiązkiem zarówno w stosunku do siebie, jak i do bliźnich jest

oddać światu ten wynalazek w możliwie najdoskonalszej formie. Ale cóż miałem robić? Jakie przedsięwzięcie kroki? Przede wszystkim nie należy popełniać błędów. Kiedy odkrycie zostanie opublikowane, setki uczonych zabierają się do pracy; niewątpliwie wynajdują nowe metody prowadzące do uzyskania tych samych wyników. Muszę się strzec wielu rzeczy. Trzeba zapewnić sobie patenty we wszystkich częściach świata. I tak powoli myśli te zaprzątnęły mi spokojną dotąd głowę.

Musiałem przyznać żonie rację, że w moim wieku troski, zwłaszcza tego rodzaju, nie wpływają dobrze na samopoczucie, a jednocześnie kładą kres radościom cichego, spokojnego życia.

— Moja kochana — powiedziałem — zgadzam się z tobą całkowicie, że sprawa ta przysporzy nam więcej kłopotu niż korzyści, i gdyby nie było to jednoznaczne z pozbawieniem ludzkości wspaniałego wynalazku, machnąłbym na wszystko ręką. A poza tym — dodałem ze skrucą — spodziewałem się niemałych korzyści osobistych płynących z zastosowania tego wynalazku.

— Posłuchaj mnie — podjęła skwapliwie żona — czy nie lepiej wyzyskać ten aparat dla własnej przyjemności i satysfakcji, a świat niech poczeka, skoro już czekał tak długo. Po naszej śmierci Herbert odziedziczy wynalazek i będzie wtedy dość dorosły, by zdecydować samodzielnie, czy wykorzysta go dla celów osobistych i mieć coś z tego, czy też oddać go światu, nic nie zyskując. Gdybyśmy sami tak postąpili, byłoby to z korzyścią dla chłopca, z nie mniejszą jednak szkodą dla niego byłoby, gdybyśmy w młodym wieku obarczyli go tak wielką odpowiedzialnością.

Przyjąłem radę żony. Sporządziłem pełny opis wynalazku i w zapieczętowanej kopercie dałem go swemu adwokatowi, by w razie mojej śmierci przekazał go Herbertowi. W przypadku, gdyby syn zmarł wcześniej, miałem poczynić inne kroki. Tak więc postanowiłem sam wykorzystać odkrycie, nie mówiąc nikomu o niczym; nawet Herbertowi, który był wówczas poza domem.

Przede wszystkim kupiłem mocny skórzany plecak i włożyłem do niego aparat, ustawiając śrubę w taki sposób, żeby był do niej dostęp od zewnątrz. Następnie przypiąłem plecak do ramion, a żona ustawiła instrument tak, że dzięki swemu działaniu zaczął mnie unosić i podtrzymywać. Kiedy poczułem, że waga moja spada do trzydziestu — czterdziestu funtów, zdecydowałem się na wycieczkę.

Ukryty w plecaku przedmiot nie unosił mnie wprawdzie całkowicie, ale dawał niezwykle lekki krok. Marsz nie przedstawiał dla mnie żadnej trudności — przeciwnie — upajał, sprawiał rozkosz. Mając siłę dorosłego mężczyzny, a wagę dziecka, radośnie kroczyłem naprzód. Pierwszego dnia przebyłem sześć mil w dobrym tempie, a wróciwszy do domu nie odczuwałem najmniejszego zmęczenia. Te spacerowały stały się obecnie największą przyjemnością mego życia. Kiedy nikt nie patrzył, potrafiłem przesadzić płot za ledwie albo wcale nie dotykając go ręką. Rozkoszowałem się wprost trudnymi przejściami. Skakałem przez strumienie, biegałem; czułem się jak sam Merkury.

Teraz postanowiłem skonstruować drugi instrument tak, by żona mogła dzielić ze mną radość pieszych wycieczek. Kiedy jednak ukończyłem dzieło, stanowczo nie chciała z niego skorzystać.

Nie mogę przecież nosić plecaka — powiedziała — a w jakież inny sposób przymocujesz do mnie aparat. Poza tym, wszyscy tu wiedzą, że ze mnie żaden piechur, i tylko będą plotki.

Od czasu do czasu więc używałem sam nowo skonstruowanej aparatury. Podam tu jeden z przykładów: otóż fundamenty mojej stodoły wymagały pewnej naprawy, w związku z czym na podwórzu stał dwukonny wóz pełen materiałów budowlanych. Wieczorem, kiedy robotnicy skończyli pracę, wziąłem dwa instrumenty i grubymi łańcuchami przymocowałem je po obydwu stronach platformy. Przez odpowiednie przyciskanie śrubek wóz stopniowo tra-

cił na wadze. Mieliśmy w gospodarstwie starego osła, należącego niegdyś do Herberta. Obecnie zaprzęgano go tylko do małego wózka, który przywoził pakunki ze stacji. Poszedłem do stajni i wyprowadziwszy poczciwca, zaprzęgam go do naładowanej platformy. Wyglądał co najmniej śmiesznie. Przed nim sterczał ogromny dyszel, za nim — wielka i ciężka platforma. Kiedy wszystko było gotowe, popędziłem go lekko i ku mojej radości osioł ruszył z taką łatwością, jak gdyby ciągnął mały wózek. Poprowadziłem go na drogę, po której ciągnął swój ciężar bez żadnego wysiłku. Uparte zwierzę przystawało jednak czasami, zdziwione tym szczególnym zaprzęgiem, ale muśnięcie bata wnet przypominało mu o obowiązku. Wkrótce zakończyłem eksperyment i ustawiłem wóz na poprzednim miejscu. To doświadczenie zdecydowało o niewątpliwym sukcesie mego wynalazku odnośnie jednego z najważniejszych jego zastosowań, toteż z lekkim sercem odprowadziłem osła do stajni, a sam wróciłem do domu.

W parę miesięcy po wyżej opisanych wypadkach wyruszyliśmy z żoną na Kontynent, głównie zresztą z myślą o Herbercie. Popadł biedak w kłopoty, które oczywiście zawsze z nim dzieliliśmy. Otóż syn nasz zaręczony był z panną z naszego miasta, córką dżentelmena cenionego przez nas niezwykle wysoko. Wprawdzie Herbert był trochę za młody na konkretne plany małżeńskie, ale wiedząc, że nie znajdzie drugiej kobiety, która stanowiłaby tak świetny materiał na żonę, w pełni popieraliśmy jego wybór, tym bardziej że za obopólną zgodą ślub miał się odbyć jeszcze nieprędko.

Byliśmy przekonani, że pojmując za żonę Jane Gilbert, syn nasz zapewni sobie to, co najważniejsze u progu kariery życiowej — szczęście osobiste.

Tymczasem nagle, bez żadnego zdawałoby się powodu, pan Gilbert, ojciec narzeczonej, zerwał zaręczyny, wyjeżdżając wraz z córką na Zachód.

Ten cios załamał nieomal biednego Herberta, który porzuciwszy studia przyjechał do domu i o mało nie popadł w ciężką chorobę. Zabraliśmy więc syna do Europy i po dwumiesięcznej podróży po Kontynencie zostawiliśmy go na jego własne żądanie w Getyndze, gdzie postanowił podjąć przerwane studia.

Sami wróciliśmy do niewielkiego miasteczka we Włoszech, gdzie zaczęła się niniejsza historia.

Żona cierpiała zarówno psychicznie, jak i fizycznie z powodu tragedii naszego syna, chciałem przeto, by zażywała możliwie jak najwięcej świeżego, wiejskiego powietrza. Oczywiście przywiozłem z sobą dwa aparaty. Jeden w dalszym ciągu pozostawał w moim plecaku, drugi umieściłem wewnątrz wielkiego rodzinnego kufra, co wobec dużych ceł na Kontynencie oszczędziło mi niemałą sumę pieniędzy.

Do kufra włożyłem wszystko to, co waży, a więc: książki, pamiątki z brązu, żelaza i marmuru oraz sprzęt turystyczny, który zwykle przysparza ciężaru.

Nastawiłem aparat ujemnego ciężenia tak, by każdy tragarz mógł nieść kufer bez wysiłku. Potrafiłbym nawet mój bagaż zupełnie pozbawić ciężaru, ale tego nie chciałem robić. I tak jego niezwykła lekkość wywoływała komentarze i niezbyt pochlebne uwagi pod adresem ludzi podróżujących z pustymi walizkami; które to jednak uwagi ubawiły mnie tylko serdecznie.

Chcąc, by żona mogła w czasie wspólnych spacerów korzystać z dobrodziejstw ujemnej grawitacji, wyjąłem instrument z kufra i przymocowałem go po wewnętrznej stronie koszyka, który zwykła nosić pod pachą. Ulga była ogromna. Kiedy jedna ręka jej się zmęczyła, przekładała koszyk pod drugą i w ten sposób, wsparta o moje ramię, bez trudu dotrzymywała mi szybkiego kroku, na jaki mnie z kolei pozwalała zawartość plecaka.

Teraz żona nie miała nic przeciwko naszym spacerom; nikt tu nie wiedział, że piesze wycieczki nie są jej specjalnością. Brała zawsze z sobą wino czy też inne napoje, nie tylko zresztą dla ich chłodzących właściwości, ale również, by nie narażać się na kpiny noszeniem pustego koszyka.

W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, mieszkało kilka osób mówiących po angielsku, ale ci na ogół woleli przejażdżki samochodowe niż piesze wycieczki, toteż nikt nie proponował nam swego towarzystwa, z czego byliśmy bardzo radzi.

Jeden z dżentelmenów jednak okazał się zawołanym piechurem. Był to Anglik, członek Klubu Alpinistycznego. Chodził zwykle w sportowym ubraniu i w szarych, wełnianych skarpetach, które okrywały jego ogromnych rozmiarów łydki.

Pewnego wieczoru wywiązała się rozmowa na temat wspinaczki na szczyt Matterhorn, podczas której w dosyć mocnych słowach pozwoliłem sobie wyrazić opinię o tego rodzaju wyczynach. Stwierdziłem przede wszystkim, że są całkiem bezcelowe, pełne niepotrzebnej brawury i — jeśli delikwent ma kogoś bliskiego — wręcz niegodziwe.

— Nawet jeśli pogoda sprzyja podziwianiu pięknych widoków — powiedziałem — cóż to znaczy wobec ogromu ryzyka? W pewnych okolicznościach — dodałem, mając na myśli pomysł sporządzenia czegoś w rodzaju kurtki wyposażonej w małe aparaciki połączone z jedną, dogodnie umieszczoną śrubką, co pozwalałoby całkowicie pozbyć się własnego ciężaru — w pewnych okolicznościach takie wyczyny mogłyby stracić niebezpieczny charakter i stać się dopuszczalne; w normalnych warunkach jednak winny być surowo potępione przez opinię publiczną.

Członek Klubu Alpinistycznego spojrzał znacząco na moją szczupłą sylwetkę, a zwłaszcza na chude nogi.

— W pańskich ustach takie opinie są zupełnie usprawiedliwione — zauważył uszczypliwie — ponieważ konstrukcja fizyczna nie pozwala panu uprawiać podobnych sportów.

— W takich rozmowach — odparłem — nie mam zwyczaju robić wycieczek osobistych, skoro jednak pan zaczął, pozwolę sobie uczynić pewną propozycję: wybierzmy się jutro piechotą na szczyt tej oto góry na północ od miasta.

— Z przyjemnością — zgodził się skwapliwie członek Klubu — kiedy tylko pan zechce.

Opuszczając pokój usłyszałem jego serdeczny śmiech.

Nazajutrz koło drugiej po południu wyruszyliśmy z alpinistą w stronę góry.

— Cóż takiego niesie pan w tym plecaku? — zapytał.

— Młotek na wypadek jakichś ciekawych odkryć geologicznych, lunetę połową, butelkę wina i parę innych drobiazgów — wyjaśniłem.

— Nie obciążałbym się tak na pana miejscu — zauważył.

— To nie ma dla mnie znaczenia — odparłem.

Góra stanowiąca cel naszej wycieczki odległa była od miasta o dwie mile. Najbliższe zbocze miała strome, miejscami nawet pionowe, ale ku północy opadała nieco łagodniej; tędy wiodła też kręta droga do wsi leżącej w pobliżu wierzchołka.

Szczyt ten nie był specjalnie wysoki, lecz zupełnie wystarczający jak na jedno popołudnie.

— Mam wrażenie, że wybierze pan podejście drogą — zagadnął mój towarzysz.

— O, nie — zaprzeczyłem — jest tu taka ścieżka, którą pastuchy gnają kozy, wolałbym iść tędy.

— Proszę bardzo, jeśli pan woli — odrzekł z uśmiechem — ale wkrótce się pan przekonana, że to nie takie łatwe... Na pańskim miejscu nie rozwijałbym tak szybkiego tempa — dodał po chwili.

— Ja lubię żwawy krok — odparłem, żwawo więc ruszyliśmy naprzód.

Żona nastawiła mi aparat na większą niż zwykle moc, tak że marsz nie sprawiał mi najmniejszej trudności. Kiedy doszliśmy do podnóża góry i rozpoczęliśmy wspinaczkę, uzbrojony w długą, turystyczną laskę i tajemniczą zawartość plecaka stwierdziłem, że stać mnie na dobre tempo. Mój towarzysz wysforował się naprzód prawdopodobnie po to, by zademonstrować mi swoją klasę. Wkrótce jednak, omijając większe występy skalne, bez trudu zostawiłem

go w tyle. Teraz już nie był w stanie dotrzymać mi kroku. Wbiegałem nieomal na strome ściany, stosowałem skrót, bez wysiłku wdrapując się na skalne progi; nawet wydeptaną drogą szedłem jak gdyby po równinie.

— Na miłość boską! — dobiegł mnie z dołu głos alpinisty — ten pośpiech pana zabije. Któż słyszał w taki sposób zdobywać szczyty!

— Ja słyszałem! — odkrzyknąłem gromko i ruszyłem z kopyta.

W dwadzieścia minut później byłem już na wierzchołku, gdzie wkrótce dołączył do mnie mój towarzysz, sapiąc i ocierając pot z czerwonego oblicza.

— Do diabła! — zaklął — w życiu nie zdobyłem żadnego szczytu w takim tempie.

— Po cóż się pan tak śpieszył? — spytałem chłodno.

— Bałem się o pana — mruknął — a poza tym chciałem pana zatrzymać. Jeszcze nie widziałem, aby ktoś uprawiał wspinaczkę w tak absurdalny sposób.

— Nie rozumiem, dlaczego nazywa go pan absurdalnym? — odparłem tonem wyższości. — Jak pan widzi, przyszedłem tu w doskonałej formie; ani zgrzany, ani nawet zmęczony.

Nie odpowiedział, tylko odszedł kawałek dalej, wachlując się kapeluszem i mamrocząc pod nosem słowa, których niestety nie zrozumiałem. Po chwili zaproponowałem powrót.

— Musi pan bardzo uważać — przestrzegł mnie alpinista. — Schodzenie ze stromych zboczy jest dużo bardziej niebezpieczne niż podejście.

— Zawsze jestem ostrożny — zapewniłem skwapliwie i ruszyłem pierwszy. Przekonałem się wkrótce, że schodzenie sprawia mi daleko większą przyjemność niż wspinaczka. Było po prostu upajające. Skakałem z wysokości ośmiu czy dziesięciu stóp tak lekko, jak bym schodził ze stopnia. Zbiegałem ze stromych zboczy, dzięki lasce zatrzymując się w odpowiednim momencie. Mimo że starannie omijałem niebezpieczne miejsca, z pewnością nie było drugiego człowieka, który by sobie pozwalał na takie jak ja wyczyny. Raz tylko usłyszałem głos alpinisty.

— Skręci pan kark! — wrzasnął.

— Niech się pan nie obawia! — odkrzyknąłem, zostawiając go wysoko w górze.

Kiedy znalazłem się na dole, miałem szczerą ochotę na niego zaczekać, ale że byłem rozgrzany marszem, a zerwał się już wieczorny powiew, uznałem, iż stojąc mógłbym się zaziębić. W pół godziny po przybyciu do hotelu, świeży, wypoczęty i przebrany do obiadu zobaczyłem biednego alpinistę, który właśnie nadchodził zziębnięty, zakurzony i wściekły.

— Przepraszam najmocniej, że na pana nie poczekałem — zacząłem, ale członek Klubu Alpinistycznego przerwał mi mrużąc coś na temat rachowania i zębów, po czym znikł w głębi domu.

Nie ulegało wątpliwości; ten wyczyn mile połechtał moją próżność...

Opowiadając całą historię żonie, nie mogłem powstrzymać się od uwagi:

— No, chyba więcej już nie powie, że konstrukcja fizyczna nie pozwala mi uprawiać tego rodzaju sportów.

— Nie jestem pewna — odparła — czy z twojej strony było to zupełnie uczciwe. On przecież nie wiedział, jak wielką miałeś nad nim przewagę.

— O, najzupełniej uczciwe — odrzekłem. — Jemu umożliwiała wspinaczkę odziedziczona po rodzicach wspaniała budowa fizyczna i zaprawa. On mi się nie zwierzał, drogą jakich ćwiczeń cielesnych rozwinał takie wspaniałe mięśnie na nogach. Ja osiągam moje wyniki drogą ćwiczeń umysłowych. Jego metoda to jego sprawa, a moja metoda — moja sprawa. Wszystko jest w zupełnym porządku.

Żona jednak nie dawała za wygraną:

— Ale przecież był przekonany, że wspinasz się za pomocą swoich nóg, a nie umysłu.

Po długiej dygresji, która wyjaśniła państwu, jak para ludzi w średnim wieku, o niewielkich możliwościach fizycznych, obciążona ciężkim plecakiem i kosztem wyruszyła na czternastomilową wycieczkę połączoną ze wspinaczką, pozwolę sobie wrócić do tejże pary,

stojącej na złomie skalnym i podziwiającej zachód słońca.

Kiedy zaczął zapadać mrok, powoli skierowaliśmy się w stronę miasta.

— Gdzie jest koszyk? — spytałem nagle.

— Postawiłam go gdzieś tutaj — odpowiedziała żona. — Wyciągnęłam odpowiednio śrubę i leżał sobie spokojnie.

— Czy wyjmowałaś potem butelki? — zagadnąłem widząc, że leżą na trawie.

— Tak, oczywiście. Musiałam przecież wyjąć twoją, żeby się dostać do swojej.

— Wobec tego — powiedziałem przeszukując wzrokiem porośniętą trawą występkę skalną, na którym się zatrzymaliśmy — wobec tego musiałaś nie wyciągnąć śrubki do końca i koszyk lżejszy o ciężar dwóch butelek, wzniósł się w powietrze.

— Ach, wiesz, to zupełnie możliwe — odparła smętnie żona. — Koszyk stał za mną, kiedy piłam wino.

— Smutne, ale prawdziwe. Spójrz w górę. To z pewnością nasz koszyk!

Wyjąłem lornetkę i skierowałem ją na maleńki punkcik ponad naszymi głowami. Bez najmniejszych wątpliwości był to koszyk szubujący wysoko w przestworzach.

Podąłem lornetkę żonie, ale nie chciała jej przyjąć.

— Co ja teraz zrobię? — szlochała. — Jak wrócę do domu bez koszyka? To naprawdę okropne!

— Nie desperuj — rzekłem uspokajająco, choć sam byłem poważnie zmartwiony. — Wrócisz bardzo łatwo. Po prostu położysz mi rękę na ramieniu, a ja obejmę cię wpół. Aparat nastawimy na podwójną moc i w ten sposób dojdziemy do domu.

Niezwłocznie wprowadziliśmy mój plan w życie i zaczęliśmy posuwać się naprzód. Nie było to już to samo. Plecak ciągnął mnie do góry, żona zaś na dół, tak że paski wrzynały mi się w ramiona. Nie przeskoczyliśmy też przez murek lekko jak za pierwszym razem, tylko przeleźliśmy go niezręcznie, trzymając się siebie nawzajem. Droga łagodnie opadała ku miastu, posuwaliśmy się jednak znacznie wolniej niż poprzednio. Było już zupełnie ciemno, gdy przyszedliśmy do hotelu. Gdyby nie światło w oknach, moglibyśmy zabłądzić.

Przed drzwiami naprzeciw latarni stał powóz. Trzeba go było ominąć — żona poszła pierwsza. Właśnie ruszyłem za nią, kiedy — o dziwo! — poczułem, że tracę grunt pod nogami. Dałem energiczny krok, ale tylko zamachałem nogami w powietrzu. Ku swemu bezgranicznemu przerażeniu stwierdziłem, że unoszę się w górę! Dzięki światłu błyszczącemu w dole zorientowałem się wkrótce, że jestem jakieś piętnaście stóp nad ziemią. Powóz odjechał i w ciemności, jaka zapanowała, szczęśliwie nie zostałem zauważony.

Oczywiście wiedziałem, co się stało. Instrument w plecaku miał podtrzymywać nas dwoje; z chwilą, gdy żony zabrakło, siła ujemnego ciężenia wystarczyła, by unieść mnie w powietrze. Z zadowoleniem skonstatowałem, że uniósłszy się na wspomnianą wysokość, nie wzbiłem się już wyżej, lecz balansowałem na poziomie drugiego rzędu okien hotelowych.

Za wszelką cenę usiłowałem sięgnąć ręką do plecaka, by zredukować siłę ujemnego ciężenia; wszystkie moje próby jednak spełzły na niczym.

Instrument umieszczony był w plecaku tak, by nie zakłócać mojej równowagi, co czyniło go dla mnie zupełnie niedosiężnym. Zawsze zresztą i tak uruchamiała go żona. Jak już wspomniałem, zamierzałem skonstruować coś w rodzaju kurtki wyposażonej w aparaty produkujące siłę ujemnego ciężenia, gdzie śrubka byłaby z przodu, pod całkowitą kontrolą użytkownika, ale to oczywiście była sprawa przyszłości.

Stwierdziwszy, że sam nie potrafię nic zdziałać, zacząłem niepokoić się na dobre. Dyndałem przecież idiotycznie w powietrzu, bez żadnych możliwości powrotu na ziemię. Nie mogłem się też spodziewać, że żona wyruszy na poszukiwania, ponieważ z pewnością myśli, że się zatrzymałem, by z kimś porozmawiać.

Przyszło mi do głowy, żeby uwolnić się jakoś od plecaka, ale skutki mogły być opłakane: spadłbym ciężko na dół i albo zabił się na miejscu, albo połamał kości.

O pomoc nie śmiałem wołać z tej prostej przyczyny, że gdyby któryś z miejscowych prostaczków zobaczył mnie zeglującego w przestworzach, niewątpliwie wzięłby mnie za złego ducha i zaczęto by do mnie strzelać.

Właśnie zerwał się lekki wietrzyk i delikatnie popchnął mnie wzdłuż ulicy. Gdyby na drodze rosło drzewo, chwyciłbym się go i zwyczajnie zszedł na dół, ale niestety nie było tam żadnych drzew. Tu i ówdzie pstrzyła się jakaś lampa uliczna, reflektory zaś rzucały światło na chodniki, pozostawiając mnie w całkowitym mroku. Z wielu względów byłem wdzięczny nieprzeniknionym ciemnościom nocy, bo choć bardzo chciałem wrócić na ziemię, bardziej jeszcze pragnąłem pozostać niewidzialny w tej przedziwnej sytuacji, która każdemu oprócz nas dwojga musiała się wydać co najmniej niezrozumiała. Gdybym potrafił wznieść się nad poziom dachów, wylądowałbym na jednym z nich i zerwawszy kilka dachówek uzyskałbym odpowiednie obciążenie — ale nic z tego! Gdybym napotkał po drodze słup telegraficzny albo coś, czego mógłbym się przytrzymać, uwolniłbym się od plecaka i jakoś zjechał na dół. Ale nic takiego nie zauważyłem. Nawet rynny tkwiły w murze. Przez otwarte okno, do którego przywiał mnie podmuch wiatru, widziałem, jak dwóch małych chłopców kładzie się spać przy mdłym blasku świeczki. Ogarnęło mnie przerażenie, że dzieci zobaczą mnie i podniosą alarm. W pewnej chwili znalazłem się tak blisko okna, iż bez trudu odepchnąłem się nogą od muru, z taką siłą, że niemal przeleciałem przez ulicę. Wydało mi się, że pochwyciłem wystraszone spojrzenie jednego z chłopców, ale nie jestem tego zupełnie pewien, tym bardziej że nie słyszałem żadnego krzyku. Balansując pocieszenie, płynąłem dalej ponad ulicą. Cóż robić? Przecież nie mogłem krzyczeć. Gdyby mnie nawet nie zastrzelono ani nie ukamienowano, wyszłaby na jaw moja dziwna przygoda, nie mówiąc już o tym, że świat wydarłby mi tajemnicę wynalazku.

Jeśli jednak nie zawołałam o pomoc, to albo spadnę i zabiję się na miejscu, albo wreszcie skonom zawieszony w przestrzeni. W nocy, kiedy powietrze staje się rzadsze, mogłem się wznieść jeszcze wyżej, powiedzmy, do wysokości stu czy dwustu stóp, a wtedy nikt nie byłby w stanie ściągnąć mnie na ziemię, nawet gdyby stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że nie jestem złym duchem. Przyszłoby mi więc konać po trochu, a kiedy skrzydlate stwory zaspokoilyby już apetyt moimi doczesnymi szczątkami, zawisłbym na zawsze nad tym nieszczęsnym miastem — płasający szkielet z plecakiem na grzbiecie.

Ponieważ tego rodzaju myśli bynajmniej nie podtrzymywały mnie na duchu, postanowiłem — jeśli tylko nie uda mi się zejść na dół bez pomocy — zawołać i ponieść wszelkie związane z tym ryzyko. Tak długo jednak, jak długo mogłem znieść ból wywoływany wrznięciem się pasków, wołałem czekać i marzyć o słupie czy drzewie. Łudziłem się, że może deszcz przyjdzie mi z pomocą; nasyczone wodą ubranie dzięki swojej wadze mogłoby ściągnąć mnie w dół, choćby do poziomu latarni ulicznej.

Kiedy te myśli przychodziły mi do głowy, zobaczyłem, że mała, tlejąca iskierka zbliża się powoli w moim kierunku.

Jak słusznie przypuszczałem, była to fajka. Wkrótce też usłyszałem głos. Należał, niestety, do członka Klubu Alpinistycznego, który, nietrudno się domyślić, był ostatnim człowiekiem, z jakim mógłbym sobie teraz życzyć spotkania. Wisiałem więc w powietrzu zupełnie bez ruchu. Alpinista rozmawiał z jakimś drugim mężczyzną, który mu towarzyszył.

— To szaleniec, bez wątpienia — mówił. — Tylko wariat może tak podchodzić pod górę jak on. Przecież on nie ma ani śladu mięśni. Wystarczy spojrzeć na niego, by stwierdzić, że tego rodzaju człowiek nie może uprawiać wspinaczki w ludzki, naturalny sposób. To szaleństwo daje mu taką siłę.

Mężczyźni zatrzymali się teraz dokładnie pode mną; alpinista kontynuował:

— To zupełnie normalne u wariatów. Czasami osiągają siłę wprost nadludzką. Widziałem kiedyś, jak jeden chudzina dał radę czterem tęgim chłopom.

— Obawiam się, że ma pan rację — odparł ów drugi. — Wiedziałem o tym już dawno.

Struchlałem — był to głos pana Gilberta, mego ziomka i ojca Janet. To on niewątpliwie przyjechał tamtym powozem. Znał — jak się okazuje — alpinistę i właśnie rozmawiali o mnie. Odrzuciwszy wszelkie konwenanse, podsłuchiwałem ile sił.

— To bardzo smutny przypadek — ciągnął pan Gilbert. — Moja córka była zaręczona z jego synem, ale zerwałem zaręczyny. Nie mogłem przecież dopuścić, by poślubiła syna wariata, a co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Widywano go nieraz — niech pan powie! człowiek w tym wieku, głowa rodziny — gdy obciążony ciężkim plecakiem, którego, przysiągłbym, że nawet nie udźwignie, biegał, skakał po skałach, przesadzał płoty i rowy jak młode kozłátko. Sam byłem świadkiem najbardziej chyba wstrząsającego przykładu, do jak opłakanych skutków może doprowadzić choroba umysłowa. Stałem akurat w pobliżu jego domu i widziałem wszystko dokładnie: do ogromnej dwukonnej platformy, wyładowanej kamieniem, zaprzągł małego osiołka i tak długo się nad nim znęcał, aż biedne zwierzę ruszyło z miejsca i nawet chwilę ciągnęło ten ciężar. Właśnie zamierałem zrobić mu awanturę, kiedy zawrócił osła na podwórze.

— Ależ oczywiście on nie jest przy zdrowych zmysłach — zgodził się alpinista. — Dziwię się nawet, że pozwalają mu obcować z normalnymi ludźmi. Nie wykluczone, że pewnego dnia pchnie swoją żonę w przepaść dla samej przyjemności oglądania, jak leci.

— Wielka szkoda, że tu przebywa — powiedział pan Gilbert — będzie mi nieprzyjemnie go spotkać. Pójdziemy z córką jak najwcześniej spać, a jutro rano jak najspieszniej opuścimy hotel, żeby uniknąć tej przykrości.

Z tymi słowy obaj panowie zawrócili w stronę hotelu. Przez jakiś czas wisiałem bez ruchu, zapomniawszy zupełnie o moim przykrym położeniu, pogrążony w rozmyślaniach nad dziwnym zbiegiem okoliczności. Jednego wszakże byłem pewien muszę porozmawiać z panem Gilbertem i wszystko mu wyjaśnić, choćbym miał w tym celu wezwać go tutaj i przemówić z wysokości.

Właśnie kiedy rozważałem tę sprawę, zobaczyłem jakąś białą plamę, która szybko zmierzała ku mnie. Ponieważ moje oczy oswoiły się już z ciemnością, stwierdziłem, że była to zwrócona do góry twarz. Poznałem śpieszny krok; wreszcie całą postać. Tak, to moja żona. Kiedy podeszła bliżej, zawołałem ją po imieniu, jednym tchem błagając, żeby nie krzyczała. Wyobrażam sobie, z jak wielkim wysiłkiem jej to przyszło, ale się opanowała.

— Musisz mi pomóc zejść na ziemię — wyszeptałem — ale tak, żeby nikt nie widział.

— Cóż mam zrobić? — spytała wystraszona.

— Spróbuj złapać koniec tej linki. — Wyjąłem z kieszeni kawałek sznurka, usiłując opuścić go możliwie jak najniżej.

Niestety, był za krótki. Żona nie mogła go dosięgnąć. Przywiązałem do sznurka chustkę, ale i to nie poskutkowało.

— Przyniosę ci więcej sznurków i chusteczek — zaproponowała.

— Cóż z tego? W jaki sposób mi je dostarczysz? Ale, prawda, od strony furtki ogrodowej, oparte o mur hotelu stoją wędki. Widywałem je tam codziennie. Znajdziesz je bez trudu, nawet po ciemku. Idź prędko i przynieś jedną z nich.

Ponieważ do hotelu było blisko, wróciła po chwili z wędką. Stała na palcach i sięgnęła, jak mogła najwyżej, ale mimo największych wysiłków dotknęła zaledwie moich stóp.

Ja ze swej strony usilnie próbowałem dostać rękami do czubka wędki, ale też na próżno.

— Zaczekaj — powiedziała żona i wędka znikła. Wiedziałem, co chciała zrobić: jak zwykle na końcu żyłki był haczyk. Z istic kobiecą zręcznością żona zaczęła przymocowywać go do samego końca wędziska i znów sięgnęła wędką, która lekko uderzyła mnie w nogę. Po kilku próbach złapała wreszcie za spodnie trochę poniżej prawego kolana. Haczyk ześliznął się wzdłuż nogi i zatrzymał na bucie. Poczulem mocne szarpnięcie — i już jechałem w dół. Wreszcie coś chwyciło mnie za kostkę — odniosłem wrażenie, że ktoś wspina się po mnie do góry. Dotknąłem stopami ziemi; jednocześnie jakaś ręka pieszczotliwie oplótła mi szyję, pod-

czas gdy druga manipulowała przy plecaku. W końcu stanąłem pewnie na ziemi, wyzwolony spod działania instrumentu.

— Mój Boże, jak mogłam zapomnieć! — szlochała żona. — Jak mogłam cię puścić i pozwolić, byś wzniósł się w powietrze! Z początku myślałam, żeś po prostu został w tyle i dopiero przed chwilą zaświtała mi prawda. Natychmiast pobiegłam cię szukać. Wiedziałam, że masz przy sobie zapalniczki impregnowane i spodziewałam się, że będziesz nimi świecił, by cię było widać.

— Kiedy ja nie chciałem, by mnie było widać — wyjaśniłem ruszając w stronę hotelu. — Cale szczęście, że to akurat ty mnie odnalazłaś i ściągnęłaś na ziemię. Czy wiesz, kto właśnie przyjechał do naszego hotelu? Pan Gilbert z córką. Muszę się z nim natychmiast zobaczyć i wszystko mu wyjaśnić.

Zdjąłem plecak i wręczyłem go żonie, sam zaś poszedłem spotkać się z panem Gilbertem, który już udawał się na górę do sypialni. Podał mi rękę na powitanie, ale spojrzął na mnie poważnie, a nawet smutno.

— Proszę pana — powiedziałem — muszę porozmawiać z panem na osobności. Wejdźmy do tego pokoju; nie ma tam nikogo.

— Mój drogi — odparł pan Gilbert — wydaje mi się, że najlepiej byłoby uniknąć rozmowy na ten tak przykry dla nas obu temat. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

— Kiedy pan się wcale nie domyśla, o czym chcę mówić. Może jednak pozwoli pan ze mną do tego pokoju, a niewątpliwie pan nie pożałuje.

Mówiłem tak szczerze i tak sugestywnie, że pan Gilbert uległ i weszliśmy razem do niewielkiego pokoju zwanego palarnią, zamykając za sobą drzwi.

Z miejsca przystąpiłem do rzeczy. Powiedziałem staremu przyjacielowi, że już dawno, w sposób, który teraz przemilczę, odkryłem, iż uważa mnie za wariata, i że obecnie moim najgorętszym życzeniem jest oczyścić się w jego oczach z tego zarzutu. Opowiedziałem mu całą historię mego wynalazku i wytłumaczyłem przyczyny, dla których moje poczynania wydawać się mogły dziwne. Nie wspominałem wszakże ani słowem o zdarzeniach dzisiejszego wieczoru. To był po prostu przypadek, o którym nie chciałem teraz mówić.

Pan Gilbert słuchał bardzo uważnie.

— Czy pańska żona też jest tutaj? — zapytał, gdy skończyłem.

— Tak i w każdej chwili może potwierdzić wszystkie szczegóły, a jej nigdy nie podejrzewano o chorobę umysłową. Zaraz ją tu przyprowadzę.

W parę minut później moja żona była już z nami i ścisnęła rękę pana Gilberta. Zbladła, gdy jej powiedziałem, że uchodzę za wariata, ale uśmiechnęła się uprzejmie.

— On rzeczywiście zachowywał się czasem jak człowiek chory na umyśle, nigdy jednak nie przypuszczałam, że go za takiego biorą. — I lzy strumieniem pociekły jej z oczu.

— A teraz, kochanie — przerwałem milczenie — może opowiesz panu Gilbertowi o wszystkim.

Żona potwierdziła dokładnie moją relację.

Pan Gilbert patrzył zakłopotany to na mnie, to na nią.

— Oczywiście nie wątpię w to, co państwo mówią, a raczej nie wątpię, że oboje wierzyacie w prawdziwość swoich słów. Wszystko byłoby w jak największym porządku, gdybyście mogli mnie w jakiś sposób przekonać o możliwości istnienia podobnej siły.

— Nic prostszego — odparłem spokojnie. — Przekonam pana, i to w sposób namacalny. Gdyby pan zechciał zaczekać chwilkę, aż coś zjemy, zaspokoję pańską ciekawość.

— Poczekam tutaj — rzekł pan Gilbert — i wypalę cygaro. Proszę się nie śpieszyć. Z chęcią posiedzę tu i pomyślę nad dziwnymi sprawami, któreście państwo przede mną odkryli.

Po obiedzie, który dla nas zostawiono, poszliśmy na górę wziąć plecak i po chwili byliśmy z powrotem w palarni. Wręczyłem panu Gilbertowi aparat i pokrótce wyjaśniłem zasadę jego działania. Na razie wstrzymałem się od jakichkolwiek pokazów, ponieważ lada moment

mógł ktoś wejść do pokoju.

Wyjrzawszy przez okno stwierdziłem, że zrobiło się już widniej. Wiatr przegnał chmury i gwiazdy świeciły jasno.

— Jeśli zechce pan wyjść ze mną na ulicę — zaproponowałem — zademonstruję panu działanie mojego instrumentu.

— Z największą przyjemnością — odparł pan Gilbert.

— I ja też pójdę — oświadczyła żona, zarzucając szal na głowę.

Kiedy znaleźliśmy się poza obrębem małego miasteczka, uznałem, że światło gwiazd jest zupełnie wystarczające do moich celów. Jasna droga, płoty i przedmioty otaczające nas były wyraźnie widoczne.

— A teraz — zwróciłem się do pana Gilberta — chciałbym włożyć ten plecak na pańskie ramiona, żeby się pan przekonał, jak bardzo ułatwia chodzenie.

Zgodził się skwapliwie, więc przypiąłem mu plecak.

— Nastawię aparat — oznajmiłem — tak, by się pan stawał coraz lżejszy.

— Uważaj, żebyś nie przeholował — upomniała mnie żona.

— Możesz się nie obawiać — uspokoiłem ją, naciskając śrubkę bardzo ostrożnie. Pan Gilbert był tęgim mężczyzną, więc musiałem dosyć mocno wcisnąć guziczek, by osiągnąć pożądany efekt.

— Tam jest chyba jakaś dźwignia — wyraził przypuszczenie grubas, na co objąłem go wpół i stwierdziłem, że z łatwością mogę go unieść do góry. — Czy to pan mnie podnosi? — spytał zdumiony.

— Owszem, i to bez trudu.

— Coś podobnego! — wykrzyknął.

Nacisnąłem więc śrubkę jeszcze trochę i poleciłem mu chodzić i biegać.

Najpierw szedł powoli, potem dawał coraz dłuższe kroki, wreszcie zaczął biec, a na koniec skakać. Wiele musiało upłynąć lat od czasów, kiedy pan Gilbert biegał i skakał. A że nie było nikogo, używał sobie, wykonując najrozmaitsze piruety.

— Czy mógłby pan silniej nacisnąć guziczek? — zapytał w pewnym momencie, jednym susem znalazłszy się przy mnie. — Chciałbym spróbować swoich sił na tym płotku.

Spełniłem prośbę i pan Gilbert z zadziwiającą lekkością przesadził wysoki na pięć stóp płotek — za chwilą był już z powrotem na drodze.

— Skoczyłem lekko jak kot — powiedział. — Nigdy w życiu nie doznałem równie rozkosznego uczucia. — Z tymi słowy starszy pan oddał się na powrót rozkosznemu zajęciu, stawiając kroki co najmniej ośmiostopowej długości.

Czekaliśmy z żoną na drodze, zaśmiewając się serdecznie z tych popisów zręczności grubasa.

Niebawem zjawił się znów przy nas.

— Zdejmijcie to ze mnie — rzekł — bo jeśli choć chwilę dłużej ponoszę ten cudowny aparat, zacznę marzyć o takim samym dla siebie i mnie z kolei wezmą za wariata, a co gorsza, zamkną w szpitalu.

— Czy teraz już pan rozumie — spytałem wyciągając śrubkę i zdejmując mu z ramion plecak — w jaki sposób odbywałem forsowne wycieczki, wykonywałem skoki, wbiegałem na górskie szczyty i jak mój osiołek pociągnął wóz naładowany kamieniami?

— Teraz rozumiem wszystko! — wykrzyknął pan Gilbert. — Odwołuję, cokolwiek złego mówiłem, czy też myślałem o panu, przyjacielu.

— To Herbert może poślubić Jane? — wtrąciła się żona.

— Czy może?! — zawołał Gilbert. — On musi ją poślubić, o ile ja mam tu coś do powiedzenia. Biedactwo, tak była załamana od czasu zerwania zaręczyn.

W odpowiedzi żona skoczyła ku niemu, ale czy mu się rzuciła na szyję, czy też poprzestała na uścisku dłoni, trudno mi stwierdzić, bo w jednej ręce trzymałem plecak, a drugą...

ocierałem łzy.

— Mój drogi przyjacielu — zwrócił się do mnie po prostu pan Gilbert — jeśli w dalszym ciągu uważa pan za stosowne trzymać swój wynalazek w tajemnicy, lepiej, żeby go pan nigdy nie był zrobił. Przecież nie ma człowieka, który będąc w posiadaniu podobnego instrumentu powstrzymałby się od jego użycia, a niech mi pan wierzy — często uchodzić za wariata jest równie przykro, jak być nim naprawdę.

— Już się zdecydowałem!... — wykrzyknąłem w podnieceniu. — Ten mały aparacik, który mam w plecaku, jedyny zresztą, jaki mi pozostał, dawał mi wiele radości. Niemniej muszę przyznać, że nieraz był on źródłem przykrości dla mnie i dla moich najbliższych, pomijając już poważne niebezpieczeństwo, w jakim się znalazłem z jego powodu, o czym wspomnę później.

Sekret jest znany nam trojgu; mam nadzieję, że go utrzymamy. A co do wynalazku, stanowi on zbyt wielką pokusę i niebezpieczeństwo...

Mówiąc to, pośpiesznie wyciągnąłem śrubkę i plecak znalazł się nad moją głową. Mocno trzymałem go za paski.

— Patrzcie! — zawołałem nagle i zwoleń uchwyt. Plecak wystrzelił w powietrze i znikł nam z oczu.

Chciałem właśnie coś powiedzieć, gdy żona rzuciła mi się na szyję, szlochając z radości.

— Ach, co za szczęście! — powtarzała. — Co za szczęście! Powiedz, że nigdy już tego więcej nie zrobisz!

— Nigdy — odparłem z mocą.

— A teraz chodźmy prędko zobaczyć się z Jane — zaproponowała.

— Nie macie państwo pojęcia, jak ciężki i niezręczny się czuję — wyznał pan Gilbert, próbując dotrzymać nam kroku. — Gdybym trochę dłużej tę rzecz ponosił, za żadne skarby świata bym jej nie zdjął.

Jane już leżała, ale moja żona poszła do niej na górę.

— Wiesz, Jane przeżyła to równie boleśnie jak Herbert — powiedziała wróciwszy do nas. — Ale zostawiłam ją bardzo, bardzo szczęśliwą...

Troje starszych, nie mniej szczęśliwych ludzi rozmawiało tego dnia do późna w nocy.

— Napiszę do Herberta, żeby nas oczekiwał w Genewie — rzekłem. — Taka przerwa nie odbije się chyba na jego studiach.

— Pan pozwoli, że dodam od siebie postscriptum — pan Gilbert uśmiechnął się pojednawczo. — Mam nadzieję, że bez cudownego aparatu dotrze do nas szybko.

I tak też się stało.

Jak rozkosznie jest stąpać po tym padole z lekkością Merkurego, jak słodko czuć się uwolnionym od działania tej siły, co przykuwa nas do ziemi i poruszanie się czyni ciężką pracą!

Wszystko to jednak, jak mi się wydaje, jest niczym w porównaniu z lekkością i beztrąską dwóch młodych, kochających serc, złączonych znowu po długim rozstaniu, które, zdawało się, będzie trwać wiecznie.

Co się stało z koszykiem i plecakiem i czy kiedykolwiek spotkały się w przestworzach — nie mam pojęcia. Chciałbym tylko, aby żeglując gdzieś w górze, na zawsze znikły z pola widzenia śmiertelników.

Czy kiedykolwiek świat dowie się o cudzie siły ujemnego ciężenia — zależy wyłącznie od decyzji mego syna, Herberta, w chwili gdy po latach otworzy zdeponowaną u mego adwokata kopertę.

Uwaga: byłoby całkiem bezcelowe domagać się od mojej żony wyjaśnień w tej materii,

ponieważ zapomniała ona zupełnie zasadę budowy mego aparatu, pan Gilbert zaś nie znał jej nigdy.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

THOMAS HARDY

Thomas Hardy (1840—1928) urodził się w hrabstwie Dorset w południowej Anglii. Z wykształcenia architekt, porzucił swój zawód dla kariery literackiej. Zaczął od poezji, potem pisał powieści i nowele, by na przełomie stuleci na powrót poświęcić się poezji. Jego twórczość cechuje głęboki pesymizm i sugestywność w malowaniu angielskiej wsi i charakterystyce jej mieszkańców. Spośród jego powieści najbardziej znane są „Pod drzewem, pod zielonym” (1872), „Z dala od szalejącego tłumu” (1874), „Burmistrz Casterbridge” (1886), „Tessa z d'Urberville'ów (1891) i „Juda nieznanymi” (1895). Hardy napisał także cztery tomy opowiadań. „Trzej nieznanymi” pochodzą z tomu „Opowieści z Wessexu” (1888); Wessex to literacki odpowiednik jego rodzinnego hrabstwa Dorset.

TRZEJ NIEZNAJOMI

Wysokie, zarosłe trawą i jałowcem, piaszczyste wyniosłości albo połoniny czy wypasy, jak je tu rozmaicie nazywają, rozsiane na dużym obszarze niektórych południowych i południowo-wschodnich hrabstw, można by umieścić w rządzie niezbyt licznych terenów rolniczej Anglii, których wygląd niewiele się zmienił w ciągu minionych stuleci. Jeśli się uda natrafić tu na jakiś ślad ludzkiej siedziby — jest to przeważnie samotna chata owczarza.

Na jednym z takich pagórków stała przed pięćdziesięciu laty samotna chata, która, być może, stoi tam jeszcze po dziś dzień. Mimo osamotnienia, miejsce to, gdyby ściśle odmierzyć, nie było oddalone od miasta powiatowego o więcej niż pięć mil. Ale fakt ten nie miał wielkiego znaczenia. Pięć mil nierównego, wyżynnego terenu, wystawionego na grad, śniegi, deszcze i mgły w długich okresach niesprzyjających pogód stanowi przestrzeń wystarczającą dla zapewnienia samotności jakiemuś Tymonowi czy Nebukadnezarowi, za małą jednak, by przy dobrej pogodzie zadowolić ten w mniejszym już stopniu odrażający gatunek ludzki, do którego należą poeci, filozofowie, artyści i inni twórcy „rozmyślający o rzeczach przyjemnych”.

Przy wznoszeniu takiej samotnie stojącej sadyby wykorzystuje się zwykle jakiś stary ziemny kopiec czy kurhan, kępkę drzew, lub choćby parę uschniętych krzewów starego żywopłotu.

W opisywanym przez nas wypadku zaniechano jednak tego rodzaju punktu oparcia. „Wronia Grzęda” — bo taką nazwę nosiło owo domostwo — stała zupełnie osobno i niczym nie zasłonięta. Jedyńm powodem umiejscowienia jej właśnie tam, gdzie stała, było chyba skrzyżowanie dwóch drózek, które zeszyły się tu pod kątem prostym dobre pół wieku temu. Tak więc dom ten wystawiony był ze wszystkich stron na działanie żywiołów. Choć jednak wiatr dał tutaj bez pardonu, gdy było wietrznie, a deszcz siekł mocno, gdy była ulewa, zmienne pogody zimowej pory nie dawały się na owej połoninie tak bardzo we znaki, jak się to wydawało mieszkańcom doliny. Surowy szron nie był tu tak zabójczy, jak na dole, a mróz nie tak dotkliwy. Gdy dzierzwiącemu dom owczarzowi i jego rodzinie wyrażano współczucie, iż są tak bardzo narażeni, odpowiadali, że prawdę mówiąc, to rzadziej im się tu przytrafia chrypka czy katar niż wówczas, kiedy mieszkali w pobliskiej i dobrze osłoniętej dolinie.

Noc z 28 marca 182... roku była właśnie z tych, które skłaniały do wyrażania współczucia. Płaskie strugi deszczu siekły w ściany, stoki i żywopłot, niczym włócznie w bitwie pod

Senlac i Crecy. Pasące się owce i bydło, nie mając gdzie się schronić, wystawiły swe zady w stronę wiatru, ptaszkom zaś, usiłującym uczepić się jakiegoś suchego badyła, ogonki wydeły się od środka niczym parasole. Szczytową ścianę chaty pokryły mokre plamy, a krople spływające z okapu chlapały o przyzbę. Niemniej współczucie dla owczarza byłoby tym razem szczególnie nieuzasadnione, bowiem wesoły ten chłopiec urządzał właśnie przyjęcie z okazji chrzcin swojej drugiej z rzędu córeczki.

Goście zeszli się, zanim deszcz zaczął padać i teraz zasiedli już wszyscy w głównej izbie chaty, czyli jadalni. Gdybyśmy zajrzeli do wspomnianej izby o godzinie ósmej owego pamiętnego wieczoru, doszlibyśmy do wniosku, że jest to zakątek przytulny i wygodny, o jakim tylko marzyć można w czas burzliwej pogody. O profesji mieszkańca tego domu świadczył rząd połyskujących głowic lasek pasterskich, zawieszonych dla ozdoby nad kominkiem. Kabłąk każdej z tych głowic był wygięty inaczej, od typów zgoła antycznych, jakie spotykamy na patriarchalnych obrazach starych rodzinnych Biblii, aż po najpopularniejsze fasony lansowane na ostatnich miejscowych targach owczych. Izbę oświetlało pół tuzina świeczek o knotach zaledwie wystających z otaczającego je łożu. Stały w lichtarzach używanych wyłącznie od święta, w dniu uroczyste i przy rodzinnych okazjach. Porozstawiano je po całej izbie, dwie zaś znajdowały się nad kominkiem. Takie ustawienie świeczek nie było bez znaczenia. Świeczki nad kominkiem zawsze oznaczały przyjęcie.

W przedniej części kominka, niby forpoczta właściwego żaru, płonęły gałązki chrustu trzaskając „jak śmiech głupiego”.

Gości było dziewiętnaścioro. Pięć kobiet ustrojonych w różnobarwne suknie zasiadło na krzesłach wzdłuż ściany. Mniej lub więcej śmiałe dziewczęta okupowały parapet okienny, na ławie zaś rozwaliło się czterech mężczyzn. Byli to Charley Jake, płotnik, Elias New, urzędnik parafialny, John Pitcher, mleczarz z sąsiedztwa i teść owczarza. W rogu pod kredensem usiadło dwoje młodych z wypiekami na twarzy prowadząc „zwiadowcze” rozmówki na temat życia we dwoje, a pewien starszy narzeczony, co miał około pięćdziesiątki lub więcej, kręcił się niespokojnie od miejsca, w którym jego narzeczonej nie było, do miejsca, gdzie się właśnie znajdowała. Dobry nastrój udzielał się wszystkim, tym bardziej że nie był krępowany żadnymi konwenansami. Każde z obecnych w pełni ufało życzliwej opinii pozostałych, która to okoliczność sprzyjała poczuciu całkowitej swobody, a już na ostateczne poprawienie się humorów — do istic pańskiej beztroski — wpłynął fakt, iż większość gości wcale nie przejawiała chęci czy to zrobienia kariery, rozszerzenia horyzontów myślowych, czy też zaścienia kogokolwiek, co tak powszechnie zatruwa dzisiaj piękne i życzliwe uczucia bliźnich z wyjątkiem tych, którzy znajdują się na dwu krańcowych szczeblach socjalnej drabiny.

Owczarz Fennel dobrze się ożenił. Żona jego, córka mleczarza z odległej doliny, przyniosła w posagu pięćdziesiąt gwinei i trzymała je na wypadek, gdyby się miały przydać dla zaspokojenia potrzeb przyszłej rodziny. Ta oszczędna niewiasta martwiła się trochę o to, jaki charakter przybierze dzisiejsza uroczystość. Przyjęcie typu siedzącego miało swoje zalety, chociaż wygodne krzesła i fotele mogły doprowadzić mężczyzn do nadmiernego pijaństwa, a w konsekwencji, do kompletnego osuszenia piwniczki. Drugą możliwością był tańczący wieczorek, ale ten znów, chociaż odpadały poprzednie zastrzeżenia dotyczące wielkiego pijaństwa, miał dla przeciwwagi tę złą stronę, iż zagrażał zapasom wiktuałów; niewątpliwie bowiem dzikie apetyty wywołane tańcem spowodowałyby ogromne spustoszenie w spiżarni. Owczarzowa Fennel uciekła się więc do pośredniego wyjścia, zamierzając przeplatać krótkie tańce krótkimi okresami rozmów i śpiewu, tak aby nie dopuścić do nieokiełznanego szaleństwa jednej czy drugiej ewentualności. Plan ten pozostał jednak w sferze jej własnych cichych zamysłów, owczarz był bowiem w takim nastroju, iż chciał manifestować najbardziej śmiało porywy gościnności.

Skrzypkiem był miejscowy dwunastoletni chłopiec, wykazujący dziwną zręczność w obertasach i szkockich dżigach, choć palce miał tak małe i krótkie, że wciąż je musiał prze-

rzucąc do wyższych nut, a potem zjeżdżając niezdarnie w dół do pozycji wyjściowej, dobywał ze skrzypiec dźwięki o nieco wątpliwej czystości. O godzinie siódmej młodzieniec ów rozpoczął piskliwe rzępolenie przy akompaniamencie grzmiących basów Eliasza New, urzędnika parafialnego, który przezornie przyniósł swój ulubiony instrument — serpent.

Z miejsca rozpoczęto tany, a pani Fennel dyskretnie zleciła grającym, aby w żadnym wypadku nie przedłużali tańca ponad kwadrans. Niestety, tak Eliasz jak i mały, podnieceni swą rolą, całkiem zapomnieli o poleceniu. Co więcej, jeden z tańczących, Oliver Giles, siedemnastoletni młodzian oczarowany swoją partnerką, jasnowłosą pannicą liczącą bite trzydzieści trzy lata, zuchowato wsunął muzykantom w łapę nowiuteńką koronę, aby ciągnęli dalej, póki im starczy tchu i siły w mięśniach. Pani Fennel widząc, że pot zaczyna rosą osiadać na twarzach gości, podeszła do muzykantów i trąciwszy skrzypka w łokieć, położyła dłoń na wylocie serpentu. Żaden z muzykantów nie zareagował jednak na to ostrzeżenie, a pani Fennel bojąc się, że utraci renomę dobrej gospodyni, jeśli jej interwencja stanie się zbyt widoczna, cofnęła się i bezradna usiadła na swoim miejscu. Taniec więc huczał dokoła z wzrastającym impetem, a jego uczestnicy poruszali się — każdy w swoim kierunku niby planety — do przodu i do tyłu, od apogeum do perygeum, póki wskazówka ciągle potraconego zegara na końcu izby nie przebiegła pełnego koła.

Kiedy w pastuszkiej izbie Fennela odbywały się owe radosne wydarzenia, na dworze, pośród ciemnej nocy zaszło coś, co nie pozostanie bez wpływu na dalszy przebieg uroczystości. Zmartwienie pani Fennel spowodowane wzrastającą gorączką tańca zbiegło się w czasie z pojawieniem się na opustoszałym wzgórzu „Wroniej Grzędy” jakiejś ludzkiej postaci, idącej od strony odległego miasta. Nie przystając ani na chwilę, osobnik ten kroczył przed siebie skroś deszcz mało używaną ścieżką, która nieco dalej obiegała chatę owczarza.

Księżyc był prawie w pełni i właśnie za jego przyczyną dały się wyraźnie rozróżnić stojące na dworze przedmioty, mimo iż niebo zasnuwane było jedną wielką płachtą siąpiącej chmury. W słauiutkiej poświacie można było odgadnąć, że samotny piechur jest mężczyzną o zgrabnej sylwetce; po jego chodzie widać było, że przekroczył już wiek, w którym ruchliwość jest naszą najbardziej naturalną cechą, choć znowu nie do tego stopnia, by w razie potrzeby nie mógł się zdobyć na przyśpieszone tempo. Taksując z grubszą, mógł mieć około czterdziestu lat. Wydawał się wysoki, ale sierżant werbunkowy czy ktoś, kto jest przyzwyczajony szacować wzrost męski na oko, poznałby, że robi tylko takie wrażenie na skutek szczupłości, naprawdę zaś nie miał więcej niż pięć stóp i osiem czy dziewięć cali.

Mimo regularności kroki jego zdradzały ostrożność cechującą stąpanie człowieka, który jedynie instynktem wyczuwa właściwą drogę, a chociaż nie miał na sobie czarnego płaszcza ani nawet ciemnego ubrania, było coś w jego postaci, co sugerowało, iż przynależy do sfery, w której mężczyźni tak właśnie się ubierają. Odzież nosił wprawdzie grubą i bawełnianą, a buty podkute gwoździemi, lecz sądząc z ruchów trudno się było dopatrzeć w nim kogoś, kto miałby coś wspólnego z nawykłymi do błota chłopami w bawełniakach i podkutych buciorach.

W momencie gdy piechur zrównał się z zagrodą owczarza, deszcz lunął z większą jeszcze gwałtownością. Impet wiatru i deszczu załamywał się częściowo na krawędzi domu i to skłoniło wędrowca do zatrzymania się. Najbardziej wysuniętą część zabudowań owczarza stanowił pusty chlew stojący w rogu, od frontu nie oparkanionego ogrodu; w tych bowiem szerokościach geograficznych nie znany był zwyczaj ukrywania niezbyt wytwornych szczegółów gospodarstwa domowego za konwencjonalną fasadą. Na dachu chlewu połyskiwały mokre dachówki i to właśnie przyciągnęło wzrok wędrowca ku temu pomieszczeniu. Podeszedł bliżej, a widząc, że było puste, stanął pod spadzistym okapem dla ochrony przed deszczem.

Kiedy tak stał, doleciały go głośne dźwięki serpentu rozlegające się w przyległym domu i nieco słabsza nuta skrzypiec — niby akompaniament pod szum ulewy siekającej po murawie,

bębniącej w liście kapuściane, w osiem czy dziesięć uli ledwo widocznych przy ścieżce i chlastającej z dachu w ustawiony pod ścianami chaty szereg wiader i garnków.

We „Wroniej Grzędzie” bowiem, podobnie jak we wszystkich tak wysoko wzniesionych budynkach, ogromną trudność w prowadzeniu gospodarstwa stanowił brak wody. Ilekroć więc padał deszcz, by go wykorzystać, zamieniało się wszystkie posiadane w domu naczynia na zbiorniki wody. Przedziwne historie można by opowiadać o sposobach oszczędzania mydlin i wody do mycia naczyń, oszczędzania koniecznego w wysoko położonych domach podczas letniej posuchy. Ale w obecnej porze nie groziła tego rodzaju ostateczność. Wystarczyło brać, co daje niebo, by sobie stworzyć wcale obfity zapas.

Wreszcie dźwięki serpentu umilkły i w domu zapanowała cisza. Przerwa w panującym dotąd ruchu rozbudziła samotnego piechura z marzeń, w które się był pogrążył. Opuścił tedy szopę i z nowym widać zamiarem skierował się na ścieżkę wiodącą ku drzwiom domostwa. Gdy tylko się tam znalazł, ukląkł na dużym kamieniu obok naczyń stojących w szeregu i z jednego z nich pociągnął spory łyk wody. Zaspokoiwszy pragnienie, wstał i uniośł dłoń, by zapukać. Wstrzymał ją jednak i stał z oczyma wpatrzonymi w drzwi. Że jednak ciemna powierzchnia drzewa niczego absolutnie nie ujawniała — jest rzeczą oczywistą, iż chyba czyma duszy przewiercał owe drzwi, jak gdyby chciał tym sposobem spenetrować i przejrzeć możliwości tego domu oraz odgadnąć, jak go tu mogą przyjąć.

Niezdecydowany obejrzał się i zbadał wzrokiem otoczenie. Nigdzie dokoła nie było widać żywej duszy. Ścieżka ogrodowa zbiegała spod jego stóp w dół, połyskując po drodze niby ślad ślimaczy. Daszek studzienki (zwykle suchej), pokrywa cembrowiny, górna poprzeczka na bramie — wszystko pokryte było tą samą ciemną i płynną glazurą. Daleko zaś, w dolinie, białawy szlak zalegający łąki szerszą niż zwykle wstęgą, wskazywał, że strumienie nieźle musiały wezbrać. Poprzez siekące krople deszczu mrugały z oddali zamglone światła lamp, oznaczając położenie miasta powiatowego, z którego przybył. Brak jakichkolwiek znaków życia z tamtej strony rozstrzygnął o jego zamiarach i wędrowiec zapukał do drzwi.

Tymczasem po tanecznych tupotach i dźwiękach muzyki, w całej izbie zapanował gwar pomieszanej rozmowy. Płotnik usiłował poddać towarzystwu melodię jakiejś pieśni, że jednak nikt nie chciał jej podjąć, pukanie do drzwi przyjęto raczej z westchnieniem ulgi.

— Wejść! — zawołał krótko owczarz.

Skobel odskoczył do góry i nasz piechur wynurzywszy się z głębin nocy stanął na słomiance u drzwi. Owczarz podniósł się, objaśnił dwie najbliższe świeczki i odwrócił się, by spojrzeć na przybysza. W świetle widać było, że przybysz był ciemnej karnacji, o sympatycznych rysach twarzy. Kapelusz, którego przez chwilę nie zdejmował z głowy, opadał mu nisko na oczy, całkowicie ich jednak nie zasłaniając. Były one duże, otwarte, stanowcze i obiegały pokój podobnie jak błyskawica. Gość wydawał się zadowolony z wyników obserwacji i odstawiając głowę pokrytą bujną czupryną, odezwał się dźwięcznym, głębokim głosem:

— Ulewa jest tak potężna, że pozwólcie mi, przyjaciele, wejść i odpocząć chwilę.

— Ależ naturalnie, prosimy — powiedział owczarz. — Miałeś pan szczęście obierając tę właśnie porę, trafiłeś bowiem na małą potańcówkę dla uczczenia przyjemnej okazji, chociaż po prawdzie nie bardzo by się i chciało, żeby taka okazja zdarzała się częściej niż raz do roku.

— Ale też i nie rzadziej — dodała kobieta. — Najlepiej skompletować familię bez długiego zwlekania i jak najprędzej z tym skończyć. Im wcześniej, tym lepiej, byle się pozbyć mordęgi.

— A cóż to za radosna okazja? — spytał nieznajomy.

— Ano, urodziny i chrzciny — odrzekł owczarz.

Nieznajomy wyraził nadzieję, że gospodarza nie unieszczęśliwi ani zbyt wiele, ani za mało tego rodzaju epizodów i zachęcony gestem do pociągnięcia z dzbanka, chętnie przyjął zaproszenie. Jego zachowanie tak niepewne przed wejściem, teraz ustąpiło miejsca zupełnej

beztrosce i szczerości.

— Trochę późno na włóczenie się tam i sam po wypasie, he? — odezwał się pięćdziesięcioletni narzeczony.

— Tak, gospodarzu, trochę w samej rzeczy późno. Chciałbym usiąść gdzieś w kącie przy kominku, jeśli pani gospodyni nie ma nic przeciwko temu. Coś niecoś przemokłem od tej deszczowej strony.

Owczarzowa Fennel zgodziła się i zrobiła miejsce dla przybysza, co sam się wprosił. Ten zaś usadowiwszy się głęboko na zapiecku ostentacyjnie wyciągnął nogi i ręce, niby stary bywalec.

— Ano tak, moim cholewkom niewiele się już należy — powiedział niezmiyszany widząc, że oczy owczarzowej spoczęły na jego buciskach — i w ogóle nie jestem odpowiednio ubrany. Miałem ostatnio ciężki okres i brałem, co popadło. Muszę jednak znaleźć ubranie bardziej odpowiednie do pracy na co dzień, gdy wrócę do domu.

— Pan z naszych stron? — spytała.

— Niezupełnie. Mieszkam trochę wyżej, na północ.

— Tak też i sobie pomyślałam. To tak jak ja, a sądząc po mowie, pochodni pan z mego sąsiedztwa.

— Nie wydaje mi się jednak, żeby mogła pani coś o mnie słyszeć. W moich czasach na pewno pani jeszcze nie było na świecie. — To świadectwo młodego wieku, jakie wydał gospodyni, sprawiło, że krzyżowy ogień jej pytań został z miejsca wstrzymany.

— Jednej tylko jeszcze rzeczy potrzebuję, a będę już całkiem szczęśliwy — mówił dalej przybysz — prosiłbym mianowicie o odrobinę tytoniu, bom już wszystek wypalił.

— Zaraz napełnię panu fajkę — rzekł owczarz.

— Muszę poprosić także i o fajkę.

— Palacz i bez fajki?

— Zgubiłem ją gdzieś na drodze...

Owczarz nabił nową glinianą fajkę i wręczył ją nieznanomemu mówiąc:

— Daj no pan swój kapciuch, to go też trochę napcham przy okazji.

Mężczyzna wykonał ruch jakby chciał przeszukać kieszenie.

— Kapciuch też widzę poszedł — stwierdził gospodarz z pewnym zdziwieniem.

— Niestety, tak — powiedział mężczyzna, nieco zmieszany. — Proszę zawinąć tytoń po prostu w kawałek papieru

Zapalając fajkę nad świecą, pociągnął tak mocno, że wessał cały płomień. Rozsiadł się potem w swym kącie i utkwiał wzrok w parujących od gorąca, mokrych nogawkach, jak gdyby już stracił ochotę do dalszej rozmowy.

Większość gości prawie nie zwracała uwagi na przybysza, pochłonięta dyskusją z muzykantami na temat następnej melodii do tańca. Dogadawszy się, mieli właśnie powstać od stołu, kiedy im przeszkodziło ponowne stukanie do drzwi. Na dźwięk pukania mężczyzna siedzący na zapiecku podniósł pogrzebacz i zaczął rozgarniać żar, jak gdyby dokładne wykonanie tego zadania było jedynym celem jego istnienia. I po raz drugi owczarz zawołał:

Wejść! Za chwilę inny mężczyzna stanął na słomiance u progu. Ten też był obcy, choć w typie całkowicie odmienny od pierwszego. Był bardziej wulgarny w obejściu, ale na twarzy jego zastygła jak gdyby jowialna mina światowca. Dużo starszy od poprzedniego przybysza, miał włosy z lekka przyprószone szronem, brwi zjeżone i wygolone bokobrody. Twarz jego pełna i obwisła, nie była jednak pozbawiona wyrazu siły. Obok nosa widniało parę pryszczki. Zrzucił swój długi brązowy płaszcz, przy czym okazało się, że miał na sobie szaropopielaty garnitur. Wielkie, ciężkie breloki z jakiegoś polerowanego metalu zwisały mu z kieszonki i stanowiły jedyną ozdobę całej postaci. Otrząsając krople wody z lśniącego kapelusza o płaskim denku, przybysz powiedział:

— Pozwólcie, przyjaciele, że przeczekam tu deszcz, bo inaczej przemoknę do nitki, nim

dojdę do Casterbridge.

— Proszę, niechże się pan rozgości — odparł owczarz, może odrobinę mniej serdecznie niż za pierwszym razem. Nie, żeby Fennel był sknerą, Boże broń. Ale cóż, izba niezbyt duża, wolnych krzeseł niewiele, a ociekający wodą towarzysz przy stole nie jest w takiej ciasnocie pożądanym kompanem dla kobiet i dziewcząt poubieranych w jasne sukienki. Niemniej drugi przybysz zdjął płaszcz, kapelusz zawiesił na gwoździu u jednej z belek pod sufitem, jak gdyby go kto specjalnie o to prosił, po czym podszedł do stołu i usiadł. By dać tańczącym więcej miejsca, stół usunięto głęboko w kąt u kominka, tak że jego krawędź dotknęła łokcia mężczyzny siedzącego przy ogniu. W ten sposób obaj nieznajomi znaleźli się w bliskim sąsiedztwie. Kiwnęli sobie głowami, by przełamać lody obcości i pierwszy nieznajomy wręczył swemu sąsiadowi familijny kufel — olbrzymie naczynie z brązowej wypalanej glinki, którego krawędź wytarła się jak próg od dotyku niejednego pokolenia spragnionych warg, kierujących się ku niej naturalnym instynktem. Na wybrzuszeniu kufel nosił wypalony żółtymi literami napis:

NIC PO ZABAWIE
NIM SIĘ NIE ZJAWIĘ.

Drugi przybysz z ochotą wziął kufel i przytknąwszy go do ust, pił i pił, i pił, aż dziwna siność wystąpiła na twarzy żony owczarza, patrzącej nie bez zdziwienia z jaką niefrasobliwością pierwszy nieznajomy oferował drugiemu coś, czym nie miał prawa szafować.

— Ja to przeczułem — z dużą satysfakcją powiedział opój do owczarza. — Kiedym przechodził wzdłuż pańskiego ogrodu, zanim tu wszedłem, i widziałem te ule stojące w rzędzie, pomyślałem, sobie: „gdzie są pszczoły, tam jest miód, a gdzie jest miód, tam się i trójniak znajdzie”. Ale naprawdę nie spodziewałem się, że spotkam jeszcze na starość miód tak prawdziwie wyborny. — I jeszcze raz pociągnął z garnca, aż ten przybrał zgoła złowróżbny kąt nachylenia.

— Cieszę się, że panu smakuje — rzekł owczarz.

— Miód jest dobry — przyznała pani Fennel bez entuzjazmu, co oznaczało, że nie pragnie okupić pochwały swojej piwnicy zbyt wygórowaną ceną. — Wiele kosztuje trudu, nim się coś takiego sporządzi i naprawdę nie sądzę, żeby nam się taka robota jeszcze raz opłacała. Miód pszczeli sprzedaje się po dobrej cenie, a dla nas na domowy użytek wystarczy słabszy miód pomieszany ze zwyczajnymi wypłuczkami z plastrów.

— Chyba by pani serca nie miała! — zawołał z wyrzutem nieznajomy w szarym ubraniu i uniósłszy garniec po raz trzeci, opróżnił go do dna. — Lubię miód, gdy jest tak stary jak ten, tak samo, jak lubię chodzić do kościoła w niedzielę czy wesprzeć biedaka w dzień powszedni.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się nieznajomy w kącie za kominem.

Mimo iż milczał dotąd przez wzgląd na nabita tytoniem fajkę, nie mógł czy nie chciał powstrzymać się od tego drobnego wyrazu uznania dla poczucia humoru swego towarzysza. Trzeba wiedzieć, że w owych czasach stary miód pitny sporządzało się na najczystszy pierwszym lub dziewiczym miodzie, biorąc cztery funty miodu na galon i syciło go się odpowiednio, dodając biało z jaj, cynamon, imbir, goździki, gałkę muszkatołową, rozmaryn i drożdże. Miód w ten sposób przyrządzony, zabutelkowany i zapiwniczony bardzo był mocny w smaku, ale tak naprawdę to był jeszcze o wiele mocniejszy, niż się wydawało. Dlatego też siedzący przy stole nieznajomy w szarym ubraniu już po niedługiej chwili zaczął odczuwać utajoną moc miodu. Rozpiął więc kamizelę, rozparł się w krzesło, nogi wyciągnął przed siebie i na różne sposoby dawał o sobie znać.

— Zaraz, zaraz... co to ja mówiłem... — podjął na nowo — aha, że idę do Casterbridge. A idę, bo muszę być w Casterbridge. Już bym tam był o tej porze, gdyby mnie deszcz nie zapędził do waszej zagrody, ale wcale tego nie żałuję.

— Pan chyba nie mieszka w Casterbridge? — zapytał owczarz.

— Jeszcze nie, ale wkrótce mam zamiar się tam przenieść.

— Myśli pan może o założeniu sobie jakiego warsztatu?

— Też coś! — wtrąciła żona owczarza — przecież widać, że ten pan jest bogaty i nie myśli nigdzie pracować.

Nieznajomy w szarym ubraniu zamilkł, jak gdyby się zastanawiając, czy może się zgodzić na takie określenie swojej osoby. Po chwili jednak odrzucił je i odpowiedział:

— „Bogaty” to nie jest właściwe dla mnie słowo, proszę pani; ja pracuję i muszę pracować. I gdybym nawet dopiero o północy doszedł do Casterbridge, to i tak jutro rano o ósmej muszę tam stanąć do pracy. Tak, tak, sucho czy mokro, pioruny czy śnieg, głód czy wojna, moja jutrzejsza robota musi być wykonana.

— Och, biedaczysko, czyżby naprzekór spodziewaniu gorzej panu było niż nam? — powiedziała żona owczarza.

— Taka już jest natura mojego zawodu, panowie i panienczki. To wina mego zawodu, a nie nędza. Ale po prawdzie, to trzeba mi wstać i ruszać w drogę, bo inaczej nie dostanę pokoju w mieście.

Ale mówiąc to, nie ruszył się z miejsca, tylko szybko dodał:

— Mam jeszcze w sam raz tyle czasu, by łyknąć za naszą przyjaźń, zanim pójde i zrobiłbym to natychmiast, gdyby nie pusty garniec.

— To może słabszego miodu — rzekła pani Fennel. — Nazywam go słabszym, choć i on jest przecie z pierwszego płukania.

— Nie — odparł nieznajomy z pogardą. — Nie chciałbym umniejszyć wagi pierwszego poczęstunku, przyjmując pośledniejszy.

— Oczywiście — wmieszał się Fennel. — Rodzina nie powiększa się przecież co dzień, a więc napełnię panu i drugi garniec, po czym skierował się w stronę ciemnego kąta pod schodami, gdzie stała beczka. Żona pośpieszyła za nim.

— I po cóż to robisz? — powiedziała z wyrzutem, gdy tylko znaleźli się sami. — Już raz opróżnił garniec, choć było w nim dosyć i na dziesięć osób, a teraz nie podoba mu się słabe, tylko mu się zachciewa mocnego. I to na dobitek obcy człowiek... Jeśli o mnie chodzi, to nie podoba mi się jego wygląd.

— Ale skoro już przyszedł... tam noc i leje jak z cebra, a tu jak by nie było — chrzciny. Daj spokój, cóż znaczy jeden garniec miodu mniej lub więcej. Na przyszłe lato sobie powetujemy.

— No to niech już będzie tym razem — odpowiedziała patrząc tęsknie na beczkę. — Ale kim jest ten człowiek z zawodu i co to za jeden, żeby tak sobie wejść do nas i rządzić się jak szara gęś?

— Nie wiem, spytam go jeszcze raz.

Tym razem pani Fennel skutecznie zapobiegła katastrofie, nie dopuszczając, by nieznajomy w szarym ubraniu wysuszył garniec za jednym zamachem. Przeląła mu jego porcję do małego kubka, trzymając garniec w dyskretnej odległości. Gdy wypił duszkiem swoją porcję, owczarz ponowił pytanie na temat zawodu nieznajomego. Ten ostatni nie odpowiedział jednak od razu, a człowiek siedzący za kominkiem odezwał się z nagłą i prowokacyjnie:

— Każdy może wiedzieć, jaki jest mój zawód. Jestem kołodziejem.

— Doskonały zawód, jak na te strony — rzekł owczarz.

— Każdy może wiedzieć, jaki jest mój — powiedział nieznajomy w szarym ubraniu — jeśli ma dosyć sprytu, by się domyślić.

— Na ogół to i po rękach można poznać, jaki kto ma zawód — rzekł płotnik, patrząc na swoje dłonie. — W moich palcach jest tyle drzazg, co szpilek w krawieckiej poduszeczce.

Ręce człowieka za kominem instynktownie ukryły się w cieniu, a on sam wpatrując się w ogień, powrócił do swojej fajki.

Nieznajomy siedzący przy stole nawiązał do spostrzeżenia płotnika i zręcznie dodał:

— To prawda. Oryginalność mojego rzemiosła polega jednak na tym, że zamiast pozostawiać ślady na mnie, zostawia je na moich klientach.

— Ponieważ nikt nie umiał nic dorzucić dla wyjaśnienia zagadki, żona owczarza jeszcze raz zaproponowała, żeby coś zaśpiewać. Ale i teraz wyłoniły się te same trudności, co i poprzednio: jeden nie miał głosu, drugi zapomniał pierwszej zwrotki. Siedzący przy stole nieznajomy, którego animusz osiągnął tymczasem wysoką temperaturę, zlikwidował te trudności ofiarowując się, że aby zachęcić towarzystwo, zaśpiewa solo. Zatknąwszy tedy palec w wyciętą pachę kamizelki, drugą ręką poruszał w powietrzu i zapatrzony w połyskujące nad kominkiem głowice lasek, w te słowa zaczął śpiewać:

*Mój zawód jest dziś raczej rzadki —
Szanowni gospodarze.
Do niego tęgi trza mieć łeb.
Bo ja klientów wiązę sznurem,
A potem — hop! — wysoko w górę,
I dalej — aż do samych nieb.*

Wszyscy w pokoju zamilkli, gdy skończył zwrotkę, z wyjątkiem człowieka za kominkiem, który na zawołanie śpiewaka: „chórem!” dołączył swój głęboki bas o muzycznym brzmieniu.

...I dalej — aż do samych nieb.

Oliver Giles, John Pitcher — mleczarz, urzędnik parafialny, pięćdziesięcioletni narzeczony, rząd niewiast pod ścianą — wszyscy wydawali się pogrążeni w niezbyt wesołych myślach. Owczarz spoglądał zamyślony na podłogę, owczarzowa bacznie i podejrzliwie wpatrywała się w śpiewaka. Zastanawiała się bowiem, czy nieznajomy śpiewał ot tak sobie jakąś starą pieśń z pamięci, czy też improwizował coś specjalnego na tę okazję.

Wszyscy byli zmieszani tym straszliwym odkryciem, niczym goście na ucztach Baltazara. Wyjątek stanowił nieznajomy spod pieca, który spokojnie powiedział:

— Prosimy o następną zwrotkę — po czym wrócił do fajki.

Śpiewak dokładnie zwilżył wargi i rozpoczął drugą zwrotkę zgodnie z żądaniem:

*Narzędzia moje pospolite,
Szanowni gospodarze.
Byś ich nie widział — Boga proś!
Skrecony sznur — ot bagatelka
I na huśtawkę zdatna belka —
To niby nic — lecz dla mnie dość.*

Owczarz Fennel spoglądał dokoła. Nie było już żadnej wątpliwości, że nieznajomy odpowiadał piosenką na zadane mu pytanie. Wśród stłumionych okrzyków goście w pojedynkę i grupkami odsuwali się od stołu. Młoda niewiasta zaręczona z pięćdziesięcioletnim mężczyzną na poły już zemdląca i pozostałaby w tym stanie, ale stwierdziwszy, że jej narzeczony zbyt ją ochotnie podtrzymuje, usiadła cała drżąca.

— Ach, więc on jest... — szeptali ludzie pod ścianą, wymieniając nazwę złowieszczej funkcji publicznej. Przyszedł tu po to... To jutro w więzieniu w Casterbridge... za kradzież owcy... tego biednego zegarmistrza, o którym słyszeliśmy... tego co to mieszkał kiedyś w Shottsford i nie miał pracy — Timothy Summers... którego rodzina przymierała głodem, więc opuścił Shottsford i przy głównym trakcie, w biały dzień porwał owcę, nic sobie nie robiąc ani z farmera, ani z jego żony, ani z chłopca i wszystkich parobków, co tam byli. A ten — i

wskazywano na nieznanego, który pełnił ów zbójcki zawód — przybył z północy, żeby wykonać wyrok, bo w jego własnym mieście nie ma zbyt wiele roboty... i teraz, kiedy nasz własny kat powiatowy umarł, przyszedł na jego miejsce i będzie nawet mieszkał w tej samej chałupinie pod murem więziennym.

Nieznamy w szarym ubraniu nie zwracał uwagi na szept i komentarze, lecz ponownie zwilżył wargi. Widząc, że jego przyjaciel spod komina jest jedynym, który w jakiś tam sposób odwzajemnia jego serdeczność, wznosił swój kubek w stronę tak dobrze rozumiejącego towarzysza, ten również uniósł swój kubek, stuknęli się, a oczy zgromadzonych obserwowały zachowanie śpiewaka. Już rozwarł usta, żeby zaśpiewać trzecią zwrotkę, gdy znów usłyszano pukanie. Tym razem pukanie było słabe i jakoś bardzo niepewne.

Goście zdrętwieli. Owczarz spojrział z konsternacją ku wejściu; z pewnym wysiłkiem oparł się błagalnemu spojrzeniu przestraszonej żony i wyrzekł po raz trzeci zapraszając:

— Wejść!

Drzwi otwały się powolutku i na słomiance stanął nowy gość. Podobnie jak jego poprzednicy — również nieznamy. Był to tym razem niski, drobny jegomość o jasnej cerze, ubrany w przyzwoite, ciemne ubranie.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak dojść do... — zaczął, aż nagle rozglądając się po pokoju, jak gdyby dla sprawdzenia w jakim gronie się znalazł, zatrzymał wzrok na nieznanym w szarym ubraniu. Było to właśnie w momencie, gdy ten ostatni tak bardzo skupił się nad swoją pieśnią, iż prawie nie zauważył, że ktoś mu przeszkodził i uciszając szept i pytania zagrzmiął trzecią zwrotkę:

*Mój dzień roboczy jutro rano,
Szanowni gospodarze.
Roboty na mnie czeka huk.
Ktoś farmerowi ukradł owcę,
Lecz gracko się zwinęli z chłopcem.
Niech się zlituje nad nim Bóg.*

Nieznamy spod kominka wymachując zamaszycie kubkiem w stronę śpiewaka, że aż miód chlustał w ogień, powtórzył basem jak poprzednio:

Niech się zlituje nad nim Bóg...

Przez cały czas trzeci nieznamy stał we drzwiach. Widząc, że nie wchodzi ani nic nie mówi, goście zaczęli mu się szczególnie przypatrywać. Stwierdzili ze zdziwieniem, że stojąc przed nimi, wyglądał jak uosobienie obrzydliwego strachu. Kolana pod nim drżały, dłoń trzymająca skobel tak się gwałtownie trzęsła, że aż drzwi dygotały. Wargi pobieleły ze strachu i rozchylone, oczy utkwione w rozbawionym przedstawicielu sprawiedliwości, który siedział na środku pokoju... Stał tak jeszcze przez moment, potem odwrócił się, zatrasnął za sobą drzwi i uciekł.

— Któż to mógł być? — spytał owczarz.

Ale goście przerażeni ostatnim odkryciem i dziwnym zachowaniem trzeciego przybysza mieli takie miny, jak by nie wiedzieli, co o tym sądzić i nic nie mówili. Instynktownie coraz bardziej odsuwali się od ponurego pana siedzącego pośrodku, którego niejeden skłonny był uważać za samego Księcia Ciemności. Wreszcie utworzyli jakby szerokie koło, zostawiając między sobą a nim pustą przestrzeń podłogi ...*circulus, cuius centrum diabolus* *.

W izbie panowała taka cisza, że mimo dwudziestu zebranych w niej osób słyhać było tylko plusk deszczu o okiennice, któremu od czasu do czasu towarzyszył syk zabłąkanej kropki, spływającej kominem w ogień, czy y nieustanne pykanie człowieka w kącie, który znów

* Krag, po środku którego diabeł.

wrócił do swej fajki na długim glinianym cybuchu.

Naraz ciszę przerwał huk dalekiego działa. Powietrze pogrzmiewało echami jak by od strony powiatowego miasta.

— A niech to! — zaklął nieznajomy śpiewak — podskoczywszy w górę.

— Co to ma znaczyć? — pytało wielu gości. .

— Więzień uciekł z więzienia — ot, co to oznacza.

Wszyscy słuchali. Odgłos powtórzył się i nikt się już nie odezwał, tylko człowiek z kąta pod kominem zauważył spokojnie:

— Nieraz mi mówiono, że w tym powiecie strzela się z działa przy takich okazjach, ale nigdy sam tego nie słyszałem.

— Ciekaw jestem, czy to mój człowiek — mruknęła osobistość w szarym ubraniu.

— Z pewnością — zawołał nieopatrznie owczarz. — I na pewnośmy go widzieli. To ten niski jegomość, który zajął przed chwilą i drżał jak listek, kiedy pana zobaczył i usłyszał piosenkę.

— Szczękał zębami i tchu nie mógł złapać — dodał mleczarz.

— A serce mu się w piersi zapadło jak kamień — powiedział Oliver Giles.

— I czmychnął, jak by go kto postrzelił — powiedział płotnik.

— Faktycznie, zęby mu szczękały, serce mu się zapadło i czmychnął, jak by go kto postrzelił — wolno podsumował człowiek spod kominka.

— Nie zauważyłem — rzekł kat.

— Wszyscyśmy się zastanawiali, z jakiego powodu tak nagle uciekł — wybąkała jedna z kobiet zwrócona do ściany — a teraz to już wyjaśnione.

Strzały z alarmowego działka powtarzały się w równych odstępach głucho i posepnie, a podejrzenia, jakie budziły, zamieniały się w pewność. Ponury pan w szarym ubraniu podniósł się.

— Czy jest wśród nas jaki konstabl? — spytał grubym głosem. — Jeśli tak, niech wystąpi.

Pięćdziesięcioletni narzeczony, drżąc na całym ciele, wyszedł spod ściany, a jego narzeczona zaczęła płakać na oparciu krzesła.

— Czy jesteście zaprzysiężonym konstablem?

— Chyba tak, proszę pana.

Zorganizujcie więc zaraz pościg za tym przestępcą, oczywiście z asystą, i przyprowadźcie go tutaj. Nie mógł uciec daleko.

— Już się robi, już się robi proszę pana, tylko pójdę po laskę.

— Po laskę? Daj pan spokój z laską. Tymczasem ten człowiek ucieknie.

— Ale bez laski to ja jestem do niczego, no nie, William? I ty też przyświadc, John. Powiedz, Charles Jake, czy tak nie jest. Bo przecież tam jest wymalowana królewska korona żółta i złota i lew, i jednorożec i jak ją podniosę w górę i łupnę nią więźnia, to uderzenie takie staje się zaraz praworzędne. Nie pokusiłbym się nawet o aresztowanie kogokolwiek bez mojej laski. Może ktoś inny, ale nie ja. Ja muszę wiedzieć, że jestem w prawie, to mi dodaje odwagi, bo jak nie, to zamiast ja jego, on by mnie wziął za łeb.

— Skoro tak, to ja tu przecież reprezentuję koronę i mogę wam być aż nadto wystarczającym autorytetem — odparł straszliwy funkcjonariusz w szarym ubraniu. — A teraz proszę, żeby się wszyscy przygotowali do wymarszu. Czy macie jakie latarnie?

— Tak, czy macie jakie latarnie? Domagam się tego — rzekł konstabl.

— A wszyscy pozostali, zdolni do służby wojskowej...

— Mężczyźni zdolni do służby... tak, wszyscy pozostali — powtarzał konstabl.

— Czy macie jakie krzepkie pałki i widły?

— Pałki i widły... w imieniu prawa... weźcie je w garść, ruszajcie w pościg i róbcie wszystko, co my, władza, wam mówimy.

Mężczyźni powstali i przygotowali się do wyruszenia w pogoń. Dowód winy, choć przypadkowy, był jednak przekonywający. Nic trzeba było wiele argumentować, żeby wykazać gościom pasterza, iż po faktach, których byli świadkami, wyglądałoby na celowe niedopatrzanie, gdyby natychmiast nie ruszyli w pościg za nieszczęsnym trzecim nieznanym, który nie mógł przecie w tym górzystym terenie oddalić się ponad kilkaset jardów.

Pasterze zawsze mają w pogotowiu latarnie. Szybko je więc zapaliwszy, ze sztachetami w garści, wyszli po kolei z domu, kierując się wzdłuż grzbietu pagórka w stronę odwrotną niż miasto. Deszcz na szczęście zelżał.

Zaniepokojone hałasem, a może przykrym snem o ceremonii chrztu, dziecko, którego chrzciny właśnie obchodzono, zaczęło płakać rozdzierająco w pokoju na górze. Owe żalose dźwięki przez szpary w podłodze przedostały się na dół i trafiły do uszu zgromadzonych tam kobiet, które, jedna po drugiej, podrywały się ze swych miejsc zadowolone, że mają taką wymówkę i mogą pobiec na górę utulić małą. Dostyć miały zmartwienia z powodu wydarzeń ostatniej godziny. Tak więc w przeciągu dwóch do trzech minut izba na parterze zupełnie opustoszała.

Ale nie na długo. Ledwo bowiem przebrzmiał odgłos kroków odchodzących kobiet, ktoś wrócił zza rogu domu, właśnie od tej strony, którą obrali prowadzący pościg. Zaglądając przez drzwi do izby i widząc, że nikogo tam nie ma, wszedł powoli do środka. Był to nieznanomy z kąta pod kominem, który przedtem wyszedł był razem z wszystkimi. Przyczyna jego powrotu stała się oczywista w momencie, gdy sięgnął po ukrojony kawałek ciasta z kremem, leżący na półce obok miejsca, gdzie przedtem siedział, i którego zapomniał widać wziąć ze sobą. Nalał sobie jeszcze pół kubka miodu z tego, co pozostało w garncu i z apetytem jadł i popijał na stojąco. Jeszcze nie skończył, gdy druga postać równie cicho wśliznęła się do izby. Był to jego przyjaciel w szarym ubraniu.

— O, pan tu? — spytał ten ostatni uśmiechając się. — Myślałem, że pan pomaga w pościgu. I również zdradził powód swego przyjścia, rozglądając się skrzętnie dokoła w poszukiwaniu fascynującego garnca ze starym miodem.

— Ja też myślałem, że pan poszedł — odpowiedział ten drugi, zjadając swoje ciasto już z pewnym wysiłkiem.

— A widzi pan, jak pomyślałem nad tym dłużej, to doszedłem do wniosku, że jest ich dość i beze mnie — powiedział pierwszy poufnie — i do tego jeszcze w taką noc jak dzisiaj... Poza tym uważam, że rząd powinien pilnować swoich przestępców. To nie mój interes.

— Prawda. Ja też podobnie się na to zapatruję i uważam, że jest ich dość dużo beze mnie.

— Nie chcę sobie połamać nóg, ganiając przez garby i zapadliny tej dzikiej okolicy.

— Ja też nie, mówiąc między nami.

— Tutejszy naród pasterski, przywykły do takich rzeczy... wie pan, prości ludzie, zapalają się do byle czego w jednym momencie. Znajdą mi go przed rankiem i obejdzie się bez kłopotu.

— Oni go złapią, a my oszczędzimy sobie roboty.

— Oczywiście. Moja droga wiedzie do Casterbridge i jak na moje nogi to aż nadto. Idzie pan w tę samą stronę?

— Nie, niestety nie. Muszę się dostać do domu — zrobił nieokreślony ruch ręką w prawo — i mnie też się wydaje, że jak na moje nogi to dość przed pójściem do łóżka.

Ten drugi wykończył tymczasem miód w garncu, po czym uściśnawszy sobie serdecznie ręce u progu i życząc sobie wzajemnie wszystkiego dobrego, rozstali się idąc każdy w swoją stronę.

Tymczasem grupa ścigających doszła do krańca grzbietu pagórka dominującego nad tą częścią połoniny. Nie mieli od początku żadnego określonego planu działania, a stwierdzi-

wszy, że chyba zgubili po drodze człowieka o tym strasznym zawodzie, tym bardziej nie byli zdolni do samodzielnych poczynań. Schodzili w dół ze wzgórza we wszystkich kierunkach i niemal z miejsca wielu uczestników pościgu powpadało w sidła zastawione przez naturę na różnych nocnych włóczęgów, błakających się po tych kredowych wertepach. Krzemienne stoki, które w kilkunastometrowych odstępach opasują strome zbocza pagórka, usłyszy widać uwagi mniej spostrzegawczych „naganiaczy”. Toteż tracąc oparcie dla nóg w zetknięciu z kamienną skałą, zsuwali się ostro w dół, a ich latarnie toczyły się na dno i tam dogorywały, póki się róg nie przepalił.

Gdy się ponownie zeszli, owczarz, jako najlepiej orientujący się w okolicy, objął przewodnictwo i poprowadził ich dookoła owych zdradzieckich pochyłości. Latarnie pogaszono, bo bardziej raziły ich w oczy i ostrzegały zbiega, niż pomagały w poszukiwaniach. Tak, posuwając się w ciszy i w uporządkowanym już szyku, wkroczyli w dolinę. Był to zarosły trawą, ciernisty i wilgotny parów, który nigdy nie odmawiał gościny szukającym schronienia. Grupa pościgowa obesła jednak bez powodzenia wszystkie kryjówki i wydrapała się na przeciwległą ścianę parowu. Tu szli w rozsypce, a po jakimś czasie spotkali się znowu, by zameldować o poczynionych postępach. Spotkawszy się po raz drugi, znaleźli się blisko samotnego jesionu, jedyne zresztą drzewa w tej części połoniny, zawdzięczającego swoje istnienie nasionku porzuconemu tutaj przez przelotnego ptaka — gdzieś chyba przed pół wiekiem. Tu właśnie pod tym drzewem, stojący tuż obok pnia i jak pień nieruchomy ukazał się człowiek, którego szukali. Sylwetka jego, kiedy patrzyli z tyłu, wyraźnie odbijała się na tle nieba. Ścigający podszli bezszelestnie i stanęli z nim twarzą w twarz.

— Pieniądze albo życie! — zawołał groźnym głosem konstabl zwracając się do nieruchomej postaci.

— Ależ nie — szepnął John Pitcher. — My nie możemy w ten sposób przemawiać. To jest zawołanie takich jak on wagabundów, a my stoimy po stronie prawa.

— Dobrze, dobrze — niecierpliwie odburknął konstabl. — Przecież coś muszę powiedzieć, no nie? A gdyby pan miał cały ciężar tego przedsięwzięcia na swojej głowie, pewno by się i pan źle wysłowił.

— Aresztowany, nakazuję wam, poddajcie się w imię Ojca... chciałem powiedzieć... w imię Króla.

Wydawało się, że stojący pod drzewem człowiek dopiero teraz ich zauważył i nie dając im ani cienia okazji dla wykazania odwagi, zbliżył się ociężałym krokiem. Był to rzeczywicie ów mały wzrostem trzeci nieznajomy. Jego uprzednie przerażenie jak by się gdzieś zapodziało.

— Słucham was, panowie wędrowcy — odezwał się. — Mówiliście może co do mnie?

— Pewnie, żeśmy mówili. Proszę się zbliżyć i oddać się w nasze ręce jako więzień — rzekł konstabl. — Jest pan aresztowany pod zarzutem, że pan nie czekał w więzieniu w Casterbridge na swoje jutrzejsze powieszenie w przyzwoity i należyty sposób. Sąsiedzi, spełnijcie swoją powinność i aresztujcie tego przestępcę.

Usłyszawszy treść oskarżenia, zbieg jak by nagle olśniony, nie powiedział już ani słowa i z przesadnym ugrzecznieniem oddał się w ręce ścigających, którzy ze sztachetami w ręku otoczyli go ze wszystkich stron i odmaszerowali w kierunku zagrody owczarza.

Kiedy przybyli na miejsce, była już jedenasta. Światło widoczne przez otwarte drzwi, jakieś męskie głosy dochodzące z wewnątrz — wszystko to, w miarę jak się zbliżali do domu, pozwalało wnioskować, że w czasie ich nieobecności zaszły jakieś dalsze wypadki. Wchodząc, zastali w jadalni u owczarza dwu strażników z więzienia w Casterbridge i dobrze im znanego sędziego, a zarazem dziedzica pobliskiego majątku. Wiadomość o ucieczce więźnia rozeszła się już szeroko.

— Panowie — rzekł konstabl — przyprowadziłem wam waszego zbiega. Nie obeszło się oczywiście bez ryzykownych i niebezpiecznych przejść, ale każdy musi spełniać swoją

powinność. Jest tutaj w środku, otoczony przez tych oto, jak widać nie ułomków, którzy mi udzielili skutecznej pomocy, tym cenniejszej, gdy się weźmie pod uwagę ich nie obeznanie ze służbą dla korony. Hej tam, ludzie, dostawić tu więźnia.

I oto trzeci nieznajomy stanął w zasięgu światła.

— A ten to niby kto? — spytał jeden ze strażników.

— Zbieg — odparł konstabl.

— Żeby powiedzieć tak, to nie — zawyrokował klucznik więzienny, a jego kolega potwierdził tę opinię.

— Jak to, nie zbieg? — zdziwił się konstabl. — To czemuż się tak przeraził na widok śpiewającego przedstawiciela prawa, jak go zobaczył za stołem?

Tu konstabl opowiedział o dziwnym zachowaniu trzeciego nieznajomego, kiedy wszedł do izby w czasie pieśni kata.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć — odrzekł chłodno strażnik. — Wiem tylko, że to nie nasz skazaniec. Tamten jest w całkiem innym typie. Szczupły, włosy i oczy ciemne, raczej przystojny, a głos ma dźwięczny i basowy, taki, że jak go raz usłyszysz, to go do końca życia z nikim nie pomylisz.

— To chyba musiał być ten, co siedział za kominem.

— No i co? — spytał sędziego podchodząc teraz bliżej, gdy już zasięgnął bliższych szczegółów od owczarza — czy macie w końcu tego człowieka?

— Właściwie, proszę pana — powiedział konstabl — po prawdzie to mamy człowieka, któregośmy szukali, ale równocześnie to nie jest ten, któregośmy szukali. Bo człowiek, któregośmy szukali, nie był tym, którego chcieliśmy złapać, proszę pana, jeśli pan rozumie, co ja chcę powiedzieć. Bo to miał być ten, co siedział w kącie za kominkiem.

— A to ładna historia — rzekł sędzia. — No to na co czekacie? Ruszać mi po tamtego i to już.

Teraz przemówił więzień. Wzmianka o człowieku z kąta u komina poruszyła go widać bardziej niż wszystko, co działo się dotąd.

— Proszę pana — powiedział zbliżając się do sędziego — mną się już nie kłopotcie, teraz nadeszła chwila, że mogę mówić. Ja niczego złego nie popełniłem. Jediną moją winą jest to, że ten skazaniec to mój brat. Dziś po południu wyszedłem z domu w Shottsford, by pójść piechotą do więzienia w Casterbridge i pożegnać się z bratem. Noc mnie złapała, więc wszedłem do tego domu, żeby odpocząć i spytać o drogę. Gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem ni mniej ni więcej tylko własnego brata, którego spodziewałem się ujrzeć w celi skazanców w Casterbridge. Siedział w kącie u komina i tuż przy nim tak blisko, że brat nie mógłby się wydostać nawet gdyby chciał, siedział jego kat, ten co miał zabrać mu życie. Kat śpiewał pieśń o szubienicy nie wiedząc, że jego ofiara tuż obok wtóruje mu w śpiewie dla niepoznaki. Brat rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „nie zdradź się niczym, moje życie od tego zależy”.

Sposób mówienia tego człowieka i ton opowieści nadawał jej cechy prawdy, a cała historia wywarła duże wrażenie na wszystkich obecnych.

— A czy pan wie, gdzie się ten pański brat teraz znajduje? — spytał sędzia.

— Nie wiem, nie widziałem go od momentu, gdym drzwi za sobą zatrzasnął.

— To mogę zaświadczyć, bo potem tośmy ich już rozdzielili tym naszym gonieniem — dorzucił konstabl.

— Dokąd zamierza brat uciec? Jaki ma zawód?

— Jest zegarmistrzem, panie.

— A powiedział, że jest kołodziejem, łgarz! — wtrącił konstabl.

— Miał pewno na myśli kółka w zegarkach — wyjaśnił owczarz Fennel. — A pomyślałem sobie, że za białe ma ręce, jak na kołodzieja.

— No tak, wydaje mi się, że nic nie zyskamy, zatrzymując tego biedaka w areszcie —

zakonkludował sędzia. — Nie ma wątpliwości, że chodzi nam o tego drugiego.

Zwolniono więc z miejsca małego człowieczka. Ale bynajmniej przez to nie poweselał, bowiem ani sędzia, ani konstabl nie mogli wymazać troski wypisanej w jego duszy, a troska ta dotyczyła drugiej osoby, o którą więcej się bał niż o własną skórę.

Gdy mały człowieczek udał się w swoją drogę, noc była już tak głęboka, że wznowienie pogoni przed nastaniem ranka uznano za bezcelowe. Na drugi dzień przeto pościg za sprytnym złodziejem owcy stał się powszechny i zażarty przynajmniej na pozór. Zamierzona kara była bowiem straszliwie nieproporcjonalna w stosunku do wykroczenia, toteż sympatia większości chłopów z całej okolicy była po stronie zbiega. Co więcej, wspaniała zimna krew i odważne przypijanie do kata, w tych bez precedensu okolicznościach na przyjęciu u owczarza, zdobyły mu powszechne uznanie. Należałoby więc zapytać, czy ci wszyscy, którzy pozornie z taką gorliwością przeszukiwali lasy, pola i łąki, byli równie dokładni, gdy chodziło o sprawdzenie swoich własnych stryszków i komórek. Krążyły więc opowieści, że na tym czy innym nie uczęszczanym trakcie z dala od rogatek, widziano jakąś tajemniczą postać, ale gdy tylko zarządzano poszukiwania na którymś z wymienionych odcinków, nikogo nie znajdowano. I tak niezmiennie mijały dni i tygodnie, nie wnosząc nic nowego.

Krótko mówiąc, mężczyzna z za komina, o pięknym basowym głosie nigdy nie został schwytany. Niektórzy twierdzili, że udał się za morze, inni zaprzeczali temu, mówiąc, że zaszył się w głębi jakiegoś wielkiego miasta. W każdym razie pan w szarym garniturze nigdy nie wykonał swojej porannej pracy w Casterbridge ani też nigdy nie spotkał się „służbowo” z wesołym kompanem, z którym tak miłą godzinkę spędził w samotnym domku na jałowej połoninie.

Od dawna już zieleni się trawa na grobach owczarza Fennela i jego skąpej żony; goście, którzy uczestniczyli w przyjęciu z okazji chrzcin, przeważnie poszli śladem swych gospodarzy w mogiłę. Dziecko, na którego cześć odbyła się ta uroczystość, jest już mocno posiwiąłą matroną, ale historia o trzech nieznanym, którzy w tę dziwną noc przybyli do domu owczarza po dziś dzień nie schodzi z ust mieszkańców okolicy sąsiadującej z „Wronią Grzędą”.

Przełożyła Zdzisława Lewikowa

AMBROSE BIERCE

Ambrose Bierce (1842—1914) urodził się w stanie Ohio. Brał udział w wojnie domowej jako oficer, następnie osiadł w Kalifornii, gdzie rozpoczął karierę dziennikarską. Był kolejno redaktorem kilku pism, a jednocześnie tworzył swoje oryginalne opowiadania, z których wiele odznacza się wnikliwym rysunkiem psychiki ludzkiej. Jego technika dramatycznego potęgowania napięcia aż do nieuchronnej katastrofy została niewątpliwie zapożyczona od Poego, jednakże Bierce dba o bardziej realistyczną motywację nastroju grozy. Opowiadanie „Człowiek i wąż” wchodzi w skład jego najświetniejszego zbioru, zatytułowanego „Opowieści o żołnierzach i cywilach” (1891).

CZŁOWIEK I WĄŻ

Żaden tedy człek rozumny a uczony nie poważy się zadać temu kłam, albowiem godne wiary relacje tudzież mnogie świadków potwierdzenia dowodzą, iż zmieja w ślepiach swoich posiada moc magnetyczną. Ktokolwiek popadnie w jej krąg, mimo woli swej przyciągany będzie i zginie marnie od ukąszenia onej.

I

Wyciągnięty wygodnie na sofie, w szlafroku i pantoflach, Harker Brayton uśmiechał się odczytując powyższe zdanie w „Dziwach wiedzy” staruszka Morrystera. „Ze wszystkich dziwów — pomyślał sobie — najdziwniejsze jest to, że mędrcy i uczeni w epoce Morrystera wierzyli w takie bzdury, które odrzuca prawie każdy nieuk w naszych czasach”.

Wywołało w nim to ciąg refleksji, gdyż Brayton był myślicielem. Machinalnie opuścił książkę przed znieruchomiałych w zadumie oczu. Gdy tylko znikła z pola widzenia, coś jawiącego się w mrocznym kącie pokoju przywołało go do przytomności. Zauważył w cieniu pod łóżkiem dwa światełka, o cal jedno obok drugiego. Wyglądały na odbłask wiszącej nad nim gazowej lampy w metalowym kloszu; nie poświęcając im więcej uwagi, wrócił do lektury. W chwilę później jakiś impuls, nad którym się nie zastanawiał, kazał mu znowu odłożyć książkę i spojrzeć w to samo miejsce. Tkwiły tam wciąż dwa światełka. Zdawało się, że pojaśniały migocząc zielonkawym połyskiem, którego przedtem nie zauważył. Pomyślał też, że chyba przysunęły się odrobinę — były nieco bliższe. Znajdując się jednak wciąż w głębokim cieniu, nie mogły ujawnić swojego charakteru i źródła komuś, kto przyglądał się im niedbale. Brayton znowu wrócił do lektury. Raptem tekst nasunął mu jakąś myśl. Poderwał się odkładając po raz trzeci książkę na sofę; wysunęła mu się z ręki i spadła na podłogę, rozpostarta grzbietem do góry. Brayton pochylony wpatrywał się uważnie w ciemność pod łóżkiem, skąd oba punkciki migotały — jak mu się zdawało — silniejszym ogniem. Wytrzeźwiał już zupełnie, spojrzenie miał bystre i nieustępliwe. Po chwili dostrzegł tuż pod poręczą łóżka potężne sploty węża — zielone światełka to były ślepie! Okropny łeb płasko wysunięty z głębi i wsparty na ostatnim zwoju mierzył prosto w jego stronę; szeroka, brutalna paszcza i kretyńskie czoło podkreślały kierunek tchnącego złością spojrzenia. Świetlne punkciki przeistoczyły się w ślepie wpatrzone w jego oczy znacząco i zjadliwie.

II

Waż w sypialni wytwornego mieszkania w dużym mieście to — na szczęście — nie tak częste zjawisko, aby się mogło obejść bez wyjaśnienia. Harker Brayton, trzydziestopięcioletni kawaler, uczony i próżniak, mający w sobie coś ze sportowca, bogaty, głośny i krzepkiego zdrowia — powrócił do San Francisco z włóczęgi po nie znanych, zapadłych kątach świata. Gusta jego, zawsze odrobinę zbyt kowne, wybujały jeszcze pod wpływem długich niedostatków; nawet zasoby luksusowego hotelu nie potrafiły ich w pełni zaspokoić. Toteż Brayton chętnie skorzystał z gościnności swojego przyjaciela, doktora Druringa, wybitnego zoologa. Staromodny dom doktora, w dzielnicy, która obecnie uchodzi za obskurną, posiadał wygląd świadczący wymownie o dumnym odosobnieniu. Po prostu nie chciał się popospolitować w po-dłym towarzystwie i ostatecznie nie ustrzegł się niektórych dziwactw płynących z samotności. Jednym ze świadectw jego ekscentryzmu było „skrzydło”, podejrzenie uwłaczające architekturze i wykorzystane na nie mniej buntownicze cele; stanowiło bowiem kombinację laboratorium, menażerii i muzeum przyrodniczego. Tutaj właśnie doktor wyładowywał swój naukowy temperament w studiach nad takimi formami życia zwierzęcego, jakie go wyraźnie pociągały i zaspokajały jego upodobanie, skłaniające się — trzeba przyznać — raczej ku niższym gatunkom. Wyższe natomiast, jeśli chciały sprostać czule jego subtelnym wymaganiom, musiały zachować przynajmniej niektóre szczątkowe cechy łączące je z rodziną takich „pierwotnych smoków” jak ropuchy i węże. Jego sympatie naukowe były wybitnie „gadofilskie”; kochał w przyrodzie pospólstwo i nazywał siebie Zolą zoologii. Żona jego i córki — nie mające szczęścia dzielić jego światłej pasji dotyczącej zajęć i zwyczajów naszych braci stwo-

rzonych pod pechową gwiazdą — zostały ze zbyteczną surowością wykluczone z przybytku, który zwał się „Wężarnią”, i skazane na przebywanie wśród własnego gatunku. Jednakże — aby złagodzić ich srogi los — doktor pozwolił im w oparciu o swoją zasobną szkatułę prześcignąć ród gadów w zewnętrznej wspaniałości i splendorze.

Architekturę i umeblowanie Wężarni cechowała surowa prostota, dostosowana do skromnego stanu mieszkańców, których istotnie nie można było obdarzyć swobodą nieodzowną dla pełnego rozkoszowania się zbytkiem, gdyż większość z nich posiadała tę kłopotliwą właściwość, że żyła. Jednakże w swoich własnych pomieszczeniach zostawiono im tyle wolności osobistej, na ile pozwalał ich zgubny nałóg pożerania się nawzajem. I zdarzało się niejednokrotnie — o czym Brayton został przezornie powiadomiony — że znajdowano je o różnej porze w takich zakątkach, gdzie swojej obecności nie potrafiłyby wytłumaczyć bez wstydu. Na przekór Wężarni i jej niebezpiecznym związkom, którymi w istocie nie zaprzętał sobie głowy, Brayton czuł się znakomicie w gościnie u Druringa.

III

Poza dreszczem niespodzianki i zwykłej odrazy Brayton nie odniósł większego wrażenia. Pierwszą jego myślą było zadzwonić po służbę; sznur od dzwonka zwisał pod ręką, ale Brayton nie sięgnął poń. Przyszło mu do głowy, że posadzono by go o strach, którego wcale nie czuł. Bardziej mu się narzucał niedorzeczny charakter sytuacji aniżeli jej ryzyko; była oburzająca, lecz absurdalna.

Gad należał do jakiegoś gatunku, z którym Brayton nie był obeznany. Długości węża mógł się tylko domyślać; najbardziej widoczne sploty nie ustępowały grubością jego ręce. Czy był groźny, czy też nie? Jadowity czy dusiciel? Natura wyposażyła w sygnały niebezpieczeństwa, ale wiedza o tym nie przyszła mu z pomocą; nigdy nie zgłębił jej tajników.

Jeśli nawet gad był nieszkodliwy, to w każdym razie sama jego obecność stawała się uwłaczająca. Znalazł się tu prawem kaduka, był „nie na miejscu”, dopuścił się impertynencji. Kamień nie wartu oprawy. Nawet barbarzyński gust naszego czasu i kraju — mimo że przeładował ściany pokoju obrazami, podłogę meblami, a meble rupieciami — nie potrafił jednak dopasować wnętrza do tego okazu dzikiego życia dżungli. Co więcej — o, nieznośna myśli! — wyziewy tego potwora zanieczyszczały powietrze, którym sam Brayton oddychał.

Myśli te nabrały mniej więcej określonych kształtów w głowie Braytona i spowodowały działanie. Proces ów nazywamy zastanowieniem się i powzięciem decyzji. W taki właśnie sposób okazujemy się mądrzy i niemądrzy. W taki właśnie sposób zwiędły liść na jesiennym wietrze zdradza większą albo mniejszą inteligencję od innych opadając na ziemię albo na staw. Tajemnica ludzkiego działania jest nie rozstrzygnięta: coś daje impuls naszym mięśniom. Cóż to ma za znaczenie, że przygotowawczym zmianom molekularnym nadamy miarę woli?

Brayton wstał i szykował się do wyjścia cichaczem, tak aby nie podrażnić węża. Ludzie wycofują się podobnie w obecności wielkich tego świata, gdyż wielkość to władza, a władza to groźba. Wiedział, że potrafi bezbłędnie podejść tyłem do drzwi. Gdyby potwór się ruszył, to natychmiast porwie odpowiednie na tę chwilę narzędzie — tenże bowiem gust, co wytapeł ściany obrazami, zadbał konsekwentnie o kolekcję morderczej, orientalnej broni. Tymczasem ślepią węża paliły się bardziej niż przedtem bezlitosną złością.

Brayton podniósł prawą nogę, aby dać krok do tyłu. W tejże chwili poczuł do tego silną niechęć.

„Uchodzę za odważnego — pomyślał. — Czyżby zatem odwaga była zwykłą dumą? Dlatego, że nikt nie widzi hańby, mam się wycofać?”

Z zawieszoną w powietrzu nogą, wspierał się ręką o krzesło.

— Bzdura! — powiedział na głos. — Nie jestem takim tchórzem, aby się bać myśli, że się boję.

Podniósł nogę trochę wyżej, zginając lekko kolano, i stąpnął z rozmachem — o c a l p r z e d drugim butem! Nie miał pojęcia, jak się to stało. Spróbował lewą nogę z tym samym skutkiem: znalazła się znów przed prawą. Dłoń na oparciu krzesła zaciskała się kurczowo, napięte ramię wyciągało się nieco do tyłu. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma chęci puścić krzesła. Złowrogi łeb węża leżał płasko na zwojach, tak, jak przedtem. Nie drgnął nawet, ale jego ślepia zmieniły się w elektryczne iskry strzelające chmarą świetlistych igieł.

Człowiek zbladł jak popiół. Znowu zrobił krok naprzód i jeszcze jeden, ciągnąc za sobą krzesło, które — puszczone wreszcie — upadło z trzaskiem na podłogę. Człowiek zajęczał; wąż nie zareagował żadnym dźwiękiem ani ruchem, ale jego ślepia przeistoczyły się w dwa olśniewające słońca. Sam gad całkiem niknął za nimi. Emanowały z nich wielobarwne pierścienie, rosnące jeden za drugim i pękające jak bańki mydlane; zdawało się, że mkną ku samej jego twarzy, to znów że nikną w niezmierzonej dali. Słyszał skądś nieustanny łomot wielkiego bębna, chwilami odzywała się muzyka o niepojętej słodczy niczym tony harf eolskich. Poznał melodię pieśni o wschodzie słońca z kolosu Memnona i myślał, że stoi w trzcinach nad Nilem, w uniesieniu wsłuchując się w ów nieśmiertelny hymn płynący przez ciszę wieków.

Muzyka ucichła; a raczej przeszła niedostrzegalnie w daleki pomruk ustępującej burzy. Rozpostarł się przed nim krajobraz, migoczący słońcem i deszczem, ujęty w obręcz jasnej tęczy, która ogromnym łukiem obejmowała setki rozsypanych miast. Na tle pejzażu potężny wąż w koronie dźwignął łeb znad opasłych splotów i spojrzał nań oczami dawno zmarłej matki. Raptem czarujący krajobraz zaczął uciekać w górę jak dekoracja w teatrze i przepadł w zupełnej pustce. Brayton runął twarzą na podłogę. Krew ciekła mu z przetrąconego nosa i skaleczonych warg. Oślepy i ogłuszony leżał jakiś czas na podłodze z zamkniętymi oczami. Po paru chwilach ocknął się i zrozumiał, że upadek wyzwolił go spod uroku, gdyż oderwał się od ślepi węża. Czuł, że teraz nie podnosząc oczu, będzie mógł umknąć. Jednakże myśl, że wąż znajduje się ledwie o parę stóp, a on go nie widzi, że może właśnie skacze, aby opleść mu szyję — była zbyt straszna! Podniósł głowę, spojrzał w zgubne ślepia i znowu popadł w niewolę.

Wąż leżał nieporuszony i jakby stracił nieco władzę nad wyobraźnią; wspaniałe zjawy sprzed paru chwil nie powtórzyły się więcej. Pod spłaszczonym, bezmózgim czołem zwyczajnie migotały z dawną okrutną złośliwością czarne, paciorkowate ślepia. Jak gdyby wąż, pewny swojego triumfu, postanowił nie bawić się więcej w czarodzieja.

Nastąpiła teraz straszliwa scena. Człowiek rozciągnięty na podłodze o metr od wroga dźwignął się na łokciach, głowę odrzucił do tyłu, na całą długość wyprężył nogi. Twarz mu zbieła pod śladami krwi, oczy wychodziły z orbit. Piana wystąpiła na usta i opadała płatkami. Silne konwulsje wstrząsały ciałem, które wiło się gibkie niemal jak u żmii. Przegiął się w pasie, rozpaczliwie szurając nogami na boki. A z każdym ruchem odrobinę przysuwał się do węża. Zaparł się dłońmi o podłogę, a mimo to nieustannie zbliżał się na łokciach.

IV

Doktor Druring siedział z żoną w bibliotece. Uczony był w wyjątkowo dobrym humorze.

— Poszedłem na zamianę z kolegą kolekcjonerem — powiedział — i zyskałem właśnie wspaniały okaz ophiophagusa.

— A cóż to takiego? — zagadnęła pani Druring bez szczególnej ciekawości.

— Co za ignorancja, na Boga! Człowiek, który dowiaduje się po ślubie, że jego żona

nie zna greki, ma prawo się rozwieść, kochanie. Ophiophagus to wąż, który zjada inne.

— Oby mu się udało zjeść twoje — powiedziała, machinalnie odsuwając lampę. — Ale jak się dobiera do nich? Czarując je chyba.

— Do ciebie to podobne, moja droga — odparł rozdrażniony doktor. — Wiesz, jak mi gra na nerwach każda wzmianka o tym prostackim przesądzie, że węże mają zdolność rzuca-
nia uroku.

Rozmowę przerwał potężny krzyk, który rozbrzmiewał w cichym domu jak głos demo-
na wyjącego w grobie! Odezwał się raz i drugi z przeraźliwą wyrazistością. Oboje zerwali się
na nogi. On — zmieszany, ona blada i oniemiała ze strachu. Nie przebrzmiało jeszcze echo
ostatniego krzyku, gdy doktor już pędził na górę po schodach, przeskakując dwa stopnie na
raz. W korytarzu przed pokojem Braytona zastał kilkoro ze służby; zdążyli przed chwilą zejść
z wyższego piętra. Bez pukania rzucili się wspólnie do drzwi. Ustąpiły; okazało się, że nie są
zamknięte. Brayton leżał twarzą do podłogi — martwy. Głowa i ramiona kryły się niemal pod
łóżkiem. Wyciągnęli go stamtąd i odwrócili na wznak. Twarz była umazana krwią i pianą,
oczy szeroko otwarte, wpatrzone — co za straszliwy widok!

— Udar serca — powiedział uczony; przyklęknął dotykając piersi zmarłego. W tej
pozycji zerknął przypadkiem pod łóżko. — Boże święty! — dodał. — Skąd się ta rzecz tu
wzięła?

Sięgnął tam, wyciągnął węża i cisnął go, wciąż zwiniętego w kłębek, na środek pokoju,
aż krąg szurając po śliskiej podłodze uderzył o ścianę i spoczął bez ruchu. Wąż był wypcha-
ny, miał ślepiec z guzików.

Przełożył Jerzy Krzysztoń

HENRY JAMES

Henry James (1843—1916) urodził się w Nowym Jorku, a kształcił głównie za granicą. Pierwsze utwory wydał w Ameryce, w roku 1877 jednak osiadł na stałe w Anglii. James jest jednym z najwybitniejszych prozaików amerykańskich, a jego twórczość wywarła ogromny wpływ na wielu pisarzy anglosaskich po obu stronach Atlantyku. Znany jest głównie jako autor subtelnych powieści psychologicznych, których akcja rozgrywa się w zamożnych sferach Ameryki i Europy. Jego dzieła zebrane liczą dwadzieścia sześć tomów i zawierają niejedną spośród najpiękniejszych nowel i opowieści, jakie napisano w języku angielskim.

SIR EDMUND ORME

Choć fragment ten nie jest datowany, zapisek powstał przypuszczalnie w wiele lat po śmierci żony autora, którą uważam za jedną z bohaterek opowiadania. Nic w tej dziwnej historii nie wskazuje jednak na ten fakt, teraz już może bez znaczenia. Kiedy ruchomości jego przeszły w moje ręce, odkryłem te kartki w zamkniętej szufladzie, wśród dokumentów odnoszących się do krótkiego życia nieszczęsnej damy (umarła w rok po ślubie, podczas porodu): listów, zapisków, rachunków, wyblakłych fotografii i drukowanych zaproszeń. Taki tylko dostrzegam związek, wy zaś moglibyście sądzić, i pewno sądzić będziecie, iż zbyt jest nieprawdopodobne, by moje przypuszczenia mogły mieć istotną podstawę. Przyznaję, że nie sposób ręczyć, czy zamierzał opisać prawdziwe zdarzenie — gotów jestem natomiast ręczyć za jego prawdomówność. W każdym razie pisał dla siebie, nie dla innych. Ofiarowuję tę historię czytelnikom, a mam po temu pełne prawo właśnie dlatego, iż jest taka dziwna. Niechaj, odnośnie

formy, pamiętają, że uczynił zapisek wyłącznie dla siebie. Ja nie zmieniłem nic z wyjątkiem nazwisk.

Jeśli w ogóle stanowi to jakąś historię, przypominam sobie dokładnie, kiedy się zaczęła. Było to w listopadzie, w łagodne, ciche niedzielne południe, zaraz po kościele, na słonecznej Promenadzie. Do Brighton zjechały tłumy; pełnia sezonu i pogoda, bardziej konwencjonalna niż piękna, tłumaczyła liczbę spacerowiczów. Już samo niebieskie morze zachowywało się przystojnie; drzemało jakby, lekko pochrapując — nazwijmy to przystojnym zachowaniem — podczas gdy przyroda wygłaszała kazanie.

Całe rano pisałem listy i teraz wyszedłem popatrzeć na morze przed obiadem. Wsparty o balustradę oddzielającą King's Road od plaży, paliłem pewno papierosa, gdy wtem ktoś dla kawału przyłożył mi laseczką przez plecy. Pomysł ten, jak się okazało, zrodzony na prędcie w głowie Teddy'ego Bostwicka ze Strzelców, miał pomóc w nawiązaniu rozmowy, która potoczyła się w czasie wspólnego spaceru — zawsze brał cię pod rękę, by pokazać, że wybacza brak wrażliwości na jego dowcipy. Obserwowaliśmy ludzi, oddając niektórym ukłony, zastanawiając się, kim mogą być ci inni, a także spierając się na temat urody panien. Charlotte Marden oceniliśmy jednak zgodnie, gdy podeszła ku nam w towarzystwie matki; nie ma zresztą takiego, kto by się z nami nie zgodził. Powietrze Brighton z brzydkich czyniło niegdyś ładne dziewczęta, a z ładnych jeszcze piękniejsze — nie wiem, czy do dziś sprawia podobne cuda. Miejscowość ta w każdym razie służy na cerę, a cera panny Marden przyciągała wzrok przechodniów. Nam kazała przystanąć... posłużyła przynajmniej za pretekst, bo znaliśmy już obie panie.

Po przywitaniach zawróciliśmy w tym samym, co i one kierunku. Szły tylko do końca Promenady — w drodze z kościoła. Teddy znów okazał się dowcipny, gdyż natychmiast zawładnął Charlottą, mnie zaś pozostawił jej matkę. Mimo to nie czułem się pokrzywdzony. Dziewczyna kroczyła przed nami i mogłem o niej rozmawiać. Spacer się przedłużał; pani Marden zatrzymała mnie, tłumacząc się zmęczeniem i chęcią odpoczynku. Znaleźliśmy miejsce na osłoniętej od wiatru ławce i obmawialiśmy przechodniów. Uderzyło mnie już dawniej zdumiewające podobieństwo obu pań, zdumiewające nawet jak na matkę i córkę, tym bardziej że zacierało istotną między nimi różnicę. Często się słyszy, że podstarzałe matki to przestroga, drogowskaz, z którego można odczytać mniej lub bardziej odstraszącą drogę rozwoju ich córek. Ale nikogo nie potrafiłaby zniechęcić myśl, że Charlotta będzie w wieku lat pięćdziesięciu pięciu tak piękna, nawet gdyby miała stać się tak blada i roztertargniona jak pani Marden. Dwudziestodwuletnia dziewczyna o matowo różanej cerze była nadzwyczaj przystojna. Głowa przypominała czarującym kształtem głowę matki, rysy cechowała ta sama regularność. A poza tym ze spojrzeń i ruchów, i z brzmienia głosów — chwilami nie dało się właściwie określić, czy z głosu, czy z wyglądu — jedna przywodziła na myśl drugą.

Panie miały niewielką fortunę i przyjemny domek w Brighton, pełen portretów, pamiątek i trofeów: wypchanych zwierząt na szafach bibliotecznych i ryb, które żółtawo lśniły za szkłem. Pani Marden twierdziła, że z tymi przedmiotami wiążą się jej najświętsze wspomnienia. Lekarz zalecił jej mężowi spędzić tu ostatnie lata życia ze względu na stan zdrowia i tutaj, jak mawiała, czuje się nadal otoczona mężowską dobrocią. Wielka to musiała być dobroć, pani Marden zaś często jak by broniła jej przed niejasnymi zarzutami. Przekonanie, że ktoś ją osłania, że wywiera na nią upragniony, nieustanny wpływ, było jej niezbędne; żywiła jakąś nieokreśloną tęsknotę, jakieś pragnienie bezpieczeństwa. Potrzebowała przyjaciół i miała ich wielu. Była dla mnie miła, od kiedyśmy się poznali, lecz nigdy nie podejrzewałem jej o wulgarną chęć zalecania się do mnie, co oczywiście nieraz zdarza się zrozumiiałym młodym ludziom. Nie przychodziło mi też do głowy, że chce mnie zdobyć dla córki albo, jak niektóre wynaturzone mamy, dla siebie. Obie jak gdyby czuły jakąś głęboką, nieśmiałą potrzebę i gotowe były mówić: „Och, bądź dla nas dobry i miej zaufanie! Nie bój się, nikt nie chce, byś się

z nami ożeń”.

— Naturalnie jest w mamie coś, co czyni ją taką kochaną — zwierzyła mi się Charlotta na początku znajomości. Wielbiła urodę matki. I tylko to napełniało ją próżnością; wzniesione łuki brwi uważała za istotę czaru. — Droga mama wygląda, jak by oczekiwała doktora — powiedziała kiedy indziej. — Może pan jest tym doktorem. Jak pan myśli? — Okazało się wtedy, że posiadam moc uzdrawiającą. Gdy zaś z kolei pani Marden szepnęła mi, że według niej Charlotta ma w sobie coś „okropnie niezwykłego”, wzajemny stosunek tych pań musiał mnie zainteresować. Opierał się na szczęśliwej podstawie: każda z nich tak bardzo myślała o drugiej.

Promenadą wciąż płynął nieprzerwany strumień spacerowiczów i wkrótce, z uśmiechem skłaniając głowę, minęła nas znów Charlotta z Teddy'm Bostwickiem. W drodze powrotnej jednak przystanęła, by z nami porozmawiać. Kapitan Bostwick zdecydowanie odmówił pójścia do domu. Jest na to za pięknie. Czy mogą wobec tego przejść się raz jeszcze?

— Róbcie, jak wam się podoba — odparła matka, a dziewczyna rzuciła mi przez ramię wyzywający uśmieszek. Teddy spojrzął na mnie zza monokla, ale nie zwróciłem na to uwagi. Myśląc wciąż o panie Marden, odezwałem się żartem do mej towarzyszki:

— Trochę z niej kokietka, nieprawdaż?

— Proszę tak nie mówić, bardzo proszę — wyszeptwała..

— Najłagodniejsze dziewczęta zawsze są kokietkami... choć trochę — upierałem się wielkodusznie.

— To dlaczego zawsze spotyka je kara?

Zaskoczyła mnie żarliwość tego pytania, wybuchło jak płomień. Dlatego musiałem chwilę się zastanowić, nim odparłem:

— A co pani wiadomo o tej karze?

— Cóż... sama byłam złą dziewczyną.

— I spotkała panią kara?

— Na całe życie — rzekła odwracając oczy. — Ach! — jęknęła nagle i zaczerpnąwszy powietrza, zerwała się na nogi, z wzrokiem wbitym w córkę, która zbliżała się znów w towarzystwie kapitana Bostwicka. Parę sekund stała z przedziwnym wyrazem twarzy, po czym osunęła się na ławkę i oblała purpurowym rumieńcem. Nie uszło to uwagi Charlotty, która momentalnie ujęła dłoń matki z tkliwością i siadła przy niej, blada, nie spuszczać z matki przerażonych oczu. Pani Marden, doznawszy jakiegoś tajemnego wstrząsu, wróciła do siebie; cicha i pozbawiona wyrazu, wpatrywała się w obojętny tłum, rozświetlone powietrze i drzemiące morze. Przypadkiem wzrok mój padł na splecione ręce pań i wnet odgadłem, że uścisk matki jest gwałtowny. Bostwick stał przed nimi zdziwiony i rzucał mi zza monokla osłupiałe spojrzenie, jak by pytając, czy ja wiem, co to znaczy. Charlotta odezwała się po chwili z lekką irytacją:

— Proszę tu nie stać w ten sposób, kapitanie Bostwick. Proszę odejść... bardzo proszę odejść!

Podniosłem się na te słowa, wyrażając nadzieję, iż pani Marden nie jest chora, ona zaś poprosiła zaraz, byśmy zostali u nich na obiedzie. Przyciągnęła mnie ku sobie i przez sekundę czułem, jak ściska mi ramię, bądź to podświadomie zdradzając rozterkę, bądź też dając mi znak porozumiewawczy. Nie potrafiłem tego odgadnąć: może dostrzegła w tłumie kogoś lub coś niezwykłego. Po paru minutach wyjaśniła, że czuje się znakomicie i że były to po prostu palpacje — mijają równie szybko, jak przychodzą. Należało zbierać się do domu i tak też postąpiliśmy. Zdarzenie uznaliśmy za minione. Bostwick i ja zjedliśmy obiad z miłymi paniami, a w drodze powrotnej kapitan oświadczył, że nigdy dotąd nie widział osób, które tak bardzo przypadłyby mu do serca.

Pani Marden wymusiła na nas obietnicę, że przyjdziemy nazajutrz na podwieczorek, i w ogóle zachęcała, byśmy odwiedzali je jak najczęściej. Gdy następnego dnia zapukałem o pię-

tej do drzwi ładnego domku, powiedziano mi, że panie są w Londynie. Zostawiły wiadomość u służącego. Wyjaśnił, że wezwano je niespodzianie i bardzo im przykro z tego powodu. Nie będzie ich kilka dni. Tyle tylko potrafiłem wydobyć od milczącego sługi. Trzy dni później jeszcze nie wróciły. Dopiero pod koniec tygodnia otrzymałem bilecik od pani Marden: „Jesteśmy w domu — pisała. — Proszę przyjść i wybaczyć”.

Wtedy właśnie, gdy zobaczyłem ją zaraz po przeczytaniu listu, powiedziała mi, że ma wyraźne przeczucia. Nie wiem, ile ludzi w Anglii przeżywało wówczas podobne stany, lecz jedynie bardzo nieliczni skłonni byli o nich mówić. Zwierzenie takie wydało mi się przeto oryginalne, szczególnie, że tajemnicze głosy tyczyły podobno w jakiś sposób mojej osoby. Oprócz mnie zgromadziło się u pani Marden trochę gości: próżnujący brightończycy i stare damy z przerażonymi oczyma i bezsensownymi wykrzyknikami, więc zbyt mało czasu spędzić mogłem w towarzystwie Charlotty. Drugiego dnia za to spotkałem się z paniami na proszonym obiedzie i ku mej radości, siedziałem obok panny Marden. Przywodzę na myśl ową godzinę jako tę, w której po raz pierwszy uświadomiłem sobie w pełni, co to za cudowna, wszechstronna istota. Osobowość jej jawiła mi się dotąd w przebłyskach, jak fragmenty piosenki, i dopiero obecnie zajaśniała ogromną różową łuną, zabrzmiała pełnym akordem.

Po jedzeniu zamieniłem parę słów z jej matką. Było to późnym wieczorem, o tej porze, kiedy podają herbatę. Mijała nas właśnie służąca z tacą, zapytałem więc, czy pani Marden nie napiłaby się herbaty, a ponieważ wyraziła chęć, sięgnąłem po filiżankę. Moja towarzyszka wyciągnęła dłoń i pewnie — jak mi się zdawało — ujęła spodek. Zanim jednak zdążyła zaciśnąć palce, drgnęła i zawahała się, tak że zarówno kruche naczynie jak i jego zawartość, poleciały na ziemię. Rozległ się brzęk porcelany, lecz pani Marden nie uczyniła tak typowego dla kobiet ruchu, by osłonić suknię. Pozbierałem kawałki porcelany, a gdy się wyprostowałem, moja przyjaciółka patrzyła poprzez pokój na córkę, która odwzajemniła jej spojrzenie z uśmiechem na ustach, ale wyrazem troski w oczach. „Na miłość boską, droga mammo, co ci jest?” — zdawało się brzmieć nieme pytanie. Panią Marden oblał rumieniec jak w zeszłym tygodniu, kiedy tak dziwnie zachowała się na Promenadzie, i dlatego zaskoczył mnie jej głos, niespodziewanie stanowczy.

— Naprawdę powinien pan mieć pewniejsze ruchy! — Próbowałem wyjąkać coś w swojej obronie, gdy zauważyłem wbity we mnie błagalny wzrok. Nie zrozumiałem jej początkowo i zmieszałem się jeszcze bardziej, aż nagle pojąłem wszystko, tak jasno, jak by szepnęła: „Niech myślą, że to pan. Niech pan robi takie wrażenie”. Służąca wróciła pozbierać okruczności filiżanki i zetrzeć rozlaną herbatę, ja zaś usiłowałem spełnić prośbę pani Marden, która tymczasem gwałtownie przeszła do drugiego pokoju, uciekając przed wejrzeniem córki. Nie zwróciła nawet uwagi na poplamioną suknię.

Tego wieczora nie zobaczyłem już żadnej z pań, lecz nazajutrz rano spotkałem na King's Road pannę Marden z rulonem nut w mufce. Powiedziała, że wraca od przyjaciółki, z którą ćwiczyła grę na cztery ręce, zapytałem więc, czy nie zechciałaby przejść się dalej w towarzystwie. Korzystając z pozwolenia odprowadziłem ją do domu, a gdyśmy przystanęli pod drzwiami, zapragnąłem złożyć paniom wizytę.

— Nie, nie dzisiaj. Dziś nie chcę — odparła bardzo po prostu, choć bez wrogości. Słowa te sprawiły, że skierowałem tęskny, zawiedziony wzrok na jedno z okien. Padł na poblądlą twarz pani Marden wyglądającą ku nam z salonu. Matka stała w oknie dość długo, zdołałem się przeto upewnić, że to ona, a nie zjawa, za którą nieomal ją wziąłem, po czym znikła nie zauważona przez córkę. Podczas spaceru dziewczyna nic o niej nie mówiła. Dowiedziawszy się, iż nie jestem pożądanym gościem, pozostawiłem je samym sobie, a przypadek przedłużył tę rozłąkę. W końcu wybrałem się do Londynu i bawiąc tam otrzymałem zaproszenie, bym natychmiast przyjeżdżał do Tranton, starej posiadłości w Sussex, której właścicieli niedawno poznałem.

W Tranton zastałem obie me znajome i kilkanaście innych osób. Pani Marden powie-

działa na wstępie:

— Niech mi pan wybaczy! — gdy zaś spytałem, co takiego mam wybaczyć, odparła: — To, że oblałam pana herbatą. — Przypomniałem, że poplamiała własną suknię, na co odrzekła: — W każdym razie bardzo byłam nietaktowna, ale myślę, że kiedyś pan zrozumie i stanie się pobłażliwy.

Pierwszego dnia po moim przyjeździe uczyniła dwie czy trzy podobne aluzje — dawniej także sobie na nie pozwalała — tyżące mistycznego wtajemniczenia, jakie mnie oczekuje. Zacząłem więc, jak to mówią, droczyć się z nią i powtarzać, że wolałbym, aby wtajemniczenie było mniej niezwykle, a za to szybsze. Odpowiedziała, że nastąpi we właściwym czasie i nie będzie wtedy dla mnie wyboru. Że zaś wtajemniczenie na pewno mnie czeka, to jasne, jest o tym głęboko przekonana i tylko dlatego w ogóle wspomina o tej sprawie. Czyż nie pamiętam, jak mówiła o przecuciach? Odkąd mnie poznała, żywi przeświadczenie, iż są rzeczy, których się nie da przede mną ukryć. Na razie można jedynie czekać, zachowywać spokój i nie wyprzedzać zdarzeń. Ona sama w żadnym wypadku nie chciałaby stać się przesadnie nerwowa. I ja także nie powinienem się denerwować. Do wszystkiego można przywyknąć. Odparłem, że chociaż nie rozumiem, co ma na myśli, strasznie mnie to przeraża; brak klucza do zagadki pozostawia ogromne pole domysłom. Przesadziłem celowo, gdyż o ile pani Marden była tajemnicza, o tyle nie budziła właściwego lęku. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, o co jej chodzi, lecz czułem raczej zdumienie niż dreszcz trwogi. Mogłem co prawda stwierdzić w duchu, że brak jej piątej klepki, nigdy jednak nie powstało mi to w głowie. Jej słowa cechowała nieodparta słuszność.

Spomiędzy wszystkich dziewcząt w Tranton Charlotta najbardziej była czarująca, co uznawano tak powszechnie, iż niemal przeszkodziła rzezi zajęcy. Dwóch czy trzech panów, a ja w ich liczbie, zdecydowanie przedkładało ją nad towarzystwo naganiaczy. Krótko mówiąc, traktowano zaloty do niej jako sport daleko piękniejszy i doskonalszy od polowania. Odnosiła się do każdego z nas serdecznie. Przez nią późno wychodziliśmy w pole i wcześniej wracaliśmy do domu. Nie wiem, czy flirtowała, lecz kilku mężczyzn myślało, że to oni flirtują. W każdym razie Teddy Bostwick, który przyjechał z Brighton, był o tym przeświadczony.

Trzeciego dnia wypadła niedziela i to skłoniło nas do miłej przechadzki na poranne nabożeństwo. Na dworze było szaro, spokojnie, a dzwon starego kościółka, ukrytego w kotlinie wśród wzgórz Sussexu, brzmiał jakoś blisko i swojsko.

Zšliśmy grupkami w łagodnym, wilgotnym powietrzu, które — jak zawsze o tej porze roku — niesie zapowiedź, że kiedy drzewa ogołocieją, będzie go więcej, a niebo stanie się rozleglejsze. Udało mi się pozostać z panną Marden daleko w tyle. Pamiętam, że idąc tak po trawie, doznałem silnej potrzeby powiedzenia jej czegoś ogromnie osobistego, czegoś niepo- hamowanego i ważnego, ważnego dla mnie: na przykład, że nigdy jeszcze nie widziałem jej tak śliczną albo że ta właśnie chwila jest najstodszą w mym życiu. Lecz w młodości wielokrotnie cisną się na usta podobne słowa, nim odniosą skutek, ja zaś uświadomiłem sobie nie to, że znam ją za mało — nie przypisywałem temu większego znaczenia — ale to, że ona nie zna mnie dostatecznie. W kościele, muzeum trantońskich nagrobków i brązów, ława kolatorska była już pełna. Towarzystwo się rozproszyło, a ja znalazłem dla panny Marden i dla siebie dwa miejsca z dala od jej matki i większości przyjaciół. Paru zacnych wieśniaków przesunęło się w ławce, byśmy mieli gdzie usiąść. Wszedłem pierwszy, odgradzając w ten sposób od nich Charlotte. Miejsce koło niej pozostało nie zajęte przynajmniej do połowy nabożeństwa.

Wtedy to bowiem dostrzegłem, że ktoś siedzi w naszej ławce. Gdy zwróciłem na niego uwagę, musiał widocznie być już od kilku minut. Rozsiadł się, kapelusz położył obok i z rękami skrzyżowanymi na gałce łaski patrzył w ołtarz. Był to blady młodzieniec w czerni, o wyglądzie dzentelmena. Jego obecność nieco mnie zaskoczyła, ponieważ nie widziałem, by panna Marden robiła mu miejsce. Po paru minutach, zauważywszy, że nowo przybyły nie ma książeczki do nabożeństwa wyciągnąłem rękę i położyłem przed nim własny modlitewnik.

Manewr ten spowodowała nadzieja, iż panna Marden zorientuje się w sytuacji i pozwoli mi trzymać brzeg swej w zamsz oprawnej książki. Z góry jednak przesądzono, że ten pretekst zawiedzie, bo gdy podałem mu książkę, intruz — któremu wybaczyłem już to najście — wstał nie dziękując, bez szmeru opuścił niezamykaną ławkę i cicho przeszedł na środek kościoła. Parę chwil starczyło mu na modlitwę. Je go zachowanie było nieodpowiednie, a wcześnie wyjście z kościoła bardziej niewłaściwe niż spóźnienie, lecz poruszał się tak bezszelstnie, że nikomu nie przeszkodził; kiedy zaś obróciłem się nieznacznie, by za nim spojrzeć, stwierdziłem, iż nikt go nie dostrzega. Nie bez zdumienia zauważyłem tylko, że pani Marden, przejęta jego widokiem, mimo woli aż stanęła w ławce. Powiodła za wychodzącym oczyma, zniknął jednak bardzo szybko, więc i ona równie szybko usiadła z powrotem, choć zdążyła jeszcze rzucić mi poprzez kościół spojrzenie.

Pięć minut później poprosiłem szeptem jej córkę o podanie mi książki do nabożeństwa. Zwlekałem, by się przekonać, czy sama tego nie robi. Dziewczyna wręczyła mi duchowy przewodnik, ale do tego stopnia nieobecna duchem, że potrafiła równocześnie zapytać:

— A po cóż go pan tam położył?

Już miałem replikować, gdy padła na kolana. Trzeba było ugryźć się w język. Zamierzałem zresztą powiedzieć tylko: „Przez prostą uprzejmość”.

Po błogosławieństwie, kiedy opuszczaliśmy ławki, pani Marden znów mnie zadziwiła, bo zamiast trzymać się towarzystwa, podeszła do nas, jak by chciała coś szepnąć córce. Rzeczywiście coś tam szepnęła, od razu domyśliłem się jednak, że chodzi jej o rozmowę ze mną. Popchnęła Charlotte do przodu i spytała cicho:

— Widział go pan?

— Młodzieńca, który tu siedział? Jakże go mogłem nie widzieć?

— Ciszej! — zawołała niezwykle podniecona. — Niech pan z nią o tym nie rozmawia, niech pan jej nic nie mówi. — Ujęła me ramię, jak gdyby chciała zatrzymać mnie przy sobie, z dała od córki. Była to zbędna ostrożność, gdyż Teddy Bostwick zawładnął panną Marden, a ponieważ wychodzili z kościoła przed nami, zauważyłem, że jeszcze jeden z panów zbliża się do niej. Uznali widocznie, iż moja kolej minęła. Na dworze pani Marden natychmiast zwołała uścisk, ale i tak zdążyłem się przekonać, że naprawdę potrzebowała oparcia.

— Proszę nikomu nie mówić, nic nikomu nie opowiadać — podjęła.

— Nie rozumiem. Czego nie opowiadać?

— Że go pan widział.

— Przecież wszyscy musieli go widzieć.

— Nikt go nic widział, nikt — mówiła z tak żarliwym przekonaniem, że aż na nią spojrziałem. Patrzyła prosto przed siebie, a mimo to wyczytała wyzwanie w mych oczach i choć pozostali goście byli daleko w przodzie, stanęła u brunatnych drewnianych drzwi starego kościoła. Dziwnie mi się jakoś przyglądając, zaczęła:

— Jest pan jedyną osobą, jedynym człowiekiem na świecie...

— A pani?

— Och, ja... oczywiście. To moje przekleństwo.

Z tymi słowy pośpiesznie przyłączyła się do reszty towarzystwa. Ja szedłem na uboczu przez całą drogę; starczyło mi tematu do rozważań. Kogóż to widziałem i dlaczego zjawia — stanęła mi znów wyraźnie przed oczyma duszy — jest niewidoczna dla innych? Jeżeli dla pani Marden uczyniono wyjątek, dlaczego nazywa to przekleństwem i dlaczego ja mam korzystać z tak wątpliwego zaszczytu? Te nurtujące mą pierś pytania sprawiły, że milczałem przy stole. Po obiedzie wyszedłem na taras zapalić papierosa, lecz zaledwie przespacerowałem się tam i z powrotem, zmieniona twarz pani Marden pojawiła się w oszklonych drzwiach, które otwierały się z pokoju wprost na nierówne płyty tarasu. Przypomniałem sobie, że podobnie mignęła za szybą domku w Brighton owego dnia, gdy spotkałem i odprowadziłem Charlotte. Obecnie moja tajemnicza przyjaciółka nie zniknęła; zapukała w okno, przyzywając mnie ge-

stem. Czekala w dziwnym malym pomieszczeniu, jednym z pokoi recepcyjnych na parterze, znanym jako pokoj indyjski i urzadzonym w stylu wschodnim: bambusowe szezlongi, ekrany z laki, latarnie z dlugimi frędzlami i dziwne bozki w oszklonych gablotach — przedmioty nie wytwarzajace przyjemnej atmosfery. Pokoj byl malo uzywany, mieliśmy go wiec wyłacznie dla siebie. Ledwo się ukazalem, pani Marden rzekła:

— Proszę powiedziec mi jedno: kocha pan moja córke?

Naprawde potrzebowalem chwili do namyslu.

— Nim odpowiem, bardzo chcialbym uslyszec, skad przyszlo to pani na mysl. Nie bylęm chyba zbyt natarczywy?

Pani Marden zaprzeczyła spojzeniem, lecz nie odparła na pytanie, tylko z zapalem mówila dalej:

— Nie wspominäl jej pan o niczym w drodze do kościoła?

— Co każe pani przypuszczac, że o czymś wspominalem?

— To, że go pan ujrzäl.

— Kogo ujrzalem, droga pani?

— Och, wie pan — odrzekła powaznie, a nawet z lekkim wyrzutem, jak gdybym staräl się ją upokorzyc, proszac o nazwanie rzeczy, której nazwac się nie da.

— Mysli pani o mlodziencu, który byl powodem niezwyklych pani słów w kościele, o tym, który siadł w ławce?

— Widzial go pan! Widzial go pan! — westchnęła z ulgą, dziwnie pomieszana z uczuciem trwogi.

— Oczywiście, że go widzialem, tak samo jak pani.

— Czul pan, że to nieuniknione?

Znow się zdumialem.

— Nieuniknione?

— Że musi go pan zobaczyc.

— Musialem go zobaczyc, skoro nie jestem ślepy.

— Mógłby pan być. Wszyscy inni są ślepi.

Byłem całkiem oszołomiony i szczerze to wyznałem, lecz okrzyk pani Marden nic mi nie wyjaśnił.

— Wiedzialam, że go pan zobaczy w chwili, gdy naprawde ją pan pokocha! Wiedzialam, że to będzie próba... co ja mówię?... dowód.

— To aż tak tajemnicze zjawiska wiążą się z tym wzniosłym stanem? — spytałem siląc się na uśmiech.

— Niech pan sam osądzi. Widzi go pan! Widzi go pan! — wołala niemal radośnie. — Zobaczy go pan znowu.

— Nie mam nic przeciwko temu, lecz bardziej by mnie zainteresował, gdyby mi pani zechciala powiedziec, kto to taki.

Unikala mego wzroku, potem świadomie spojrzala mi w oczy.

— Powiem panu, jeśli wpierv uslyszę, co jej pan mówił po drodze.

— Czy o czymś wspominala?

— Czyżby to bylo potrzebne? — spytala wymownie.

— Och, tak, pamietam... pani wizje! Ale z przykrością muszę stwierdzic, że tym razem się pani omylila, gdyż naprawde nie powiedzialem pani córce nic podobnego.

— Jest pan tego pewien?

— Przysięgam na honor!

— A wiec pan jej nie kocha?

— To całkiem inna sprawa — rzekłem ze śmiechem.

— Kocha ją pan, kocha! W przeciwnym razie nigdy by go pan nie zobaczył.

— Ale któż to taki, u licha? — nalegałem lekko poirytowany.

Ona jednak wciąż odpowiadała pytaniami:

— Czy przynajmniej nie chciał pan czegoś powiedzieć?... Czy nie był pan o krok od tego?

Słowa te bliższe już były prawdy i potwierdzały słynne przeczucia.

— Może pani oczywiście powiedzieć „o krok”, a jeśli pani woli, nawet „o włos”. Sam nie wiem, co skłoniło mnie do milczenia.

— To wystarczyło. Nie jest decydujące, co się mówi, lecz jakie się żywi uczucia. Tym on się kieruje.

Zgniewały mnie wreszcie ustawiczne wzmianki o nieokreślonej dotychczas istocie, złożyłem więc ręce błagalnym gestem, za którym kryło się wiele prawdziwej niecierpliwości, wyostzona ciekawość, a nawet pierwszy dreszcz jakiejś świętej trwogi.

— Zaklinam, niech pani powie, kogo ma pani na myśli!

Wzniosła w górę ramiona, unikając mych oczu, jak by chciała uwolnić się zarówno od skrepowania jak i odpowiedzialności.

— Sir Edmunda Orme.

— A któż to taki, ten sir Edmund Orme?

Drgnęła, ledwie wypowiedziałem te słowa.

— Cicho... oto oni. — Gdy idąc za jej wzrokiem, dostrzegłem Charlotte na tarasie pod oknem, pani Marden dodała z gorącą przestrożą w głosie: — Niech pan nie zwraca na niego uwagi... nigdy!

Dziewczyna, osłoniwszy twarz rękoma, zajrzała do pokoju i dała nam znak, byśmy ją wpuścili, otwarłem więc francuskie okno. Matka stanęła tyłem do Charlotty, która weszła z wyzywającym uśmiechem.

— Cóż to za spisek knujecie tu we dwoje?

Robiono jakies — nie pamiętam już jakie — plany na popołudnie i panią Marden proszono o uczestnictwo czy też wyrażenie zgody na projekt (mój udział nie podlegał dyskusji), córka więc przeszukała pół domu, by ją znaleźć. Na widok zmieszania starszej z pań i mnie ogarnęło to samo uczucie. Kiedy zwróciła się do Charlotty, przesadnie usiłowała zatuszować niezręczność sytuacji, obejmując dziewczynę i rzucając się jej na szyję. By jej więc przyjść z pomocą, stałem się aż nazbyt rycerski.

— Prosiłem matkę o pani rękę.

— Naprawdę? I dała ją panu? — odparowała wesoło panna Marden.

— Już zamierzała to zrobić, kiedy się pani zjawiała.

— Ja tylko na chwilę... zaraz zostawię was samych.

— Podoba ci się, Charlotto? — spytała pani Marden z niespodziewaną szczerością.

— Trudno mówić w jego obecności, prawda? — czarująca istota dostrzegła komizm sytuacji, patrzyła jednak na mnie, jak bym w ogóle się jej nie podobał.

Musiałyby mówić także i w obecności kogoś innego, bo w tym momencie przez otwarte francuskie okno wszedł z tarasu młody człowiek, który przynajmniej moim oczom ukazał się dopiero teraz. Pani Marden powiedziała:

— Oto on.

Zdawał się trzymać nieco w tyle, za jej córką. Poznałem w nim natychmiast osobistość z kościoła. Obecnie mogłem lepiej mu się przyjrzeć i zauważyłem coś dziwnego w jego rysach i zachowaniu. Nazywam go osobistością, bo odnosiło się niejasne wrażenie, iż książę udzielny wkroczył do pokoju. Postawę miał dumną i czymś się różnił od otoczenia. Utkwił we mnie wzrok skupiony i poważny, aż zacząłem się zastanawiać, czego właściwie oczekuje. Czy uważa, że powinienem przykleknąć i ucałować mu dłoń? W ten sam sposób zwrócił oczy na panią Marden, ale ona wiedziała, jak się zachować. Gdy minęło pierwsze podniecenie wywołane jego widokiem, przestała w ogóle zwracać na niego uwagę; przypomniało mi to jej namiętne zaklęcia. Musiałem zdobyć się na wielki wysiłek, by pójść w jej ślady, bo chociaż

wiedziałem o nim tylko, że to sir Edmund Orme, jego obecność oddziaływała na mnie silnie, niemal przytłaczająco.

Stał w milczeniu — młody, blady, przystojny, gładko ogolony, dystygowany, z niezwykle jasnymi, niebieskimi oczyma i czymś staromodnym w twarzy i uczesaniu, jak portret sprzed lat. Był w ciężkiej żałobie — od razu dawało się zauważyć, że jest doskonale ubrany — a w rękę trzymał kapelusz. Znow przyglądał mi się dziwnie uporczywie, bardziej uporczywie niż ktokolwiek dotychczas; pamiętam, jak zrobiło mi się zimno i zapragnąłem, by coś powiedział. Nigdy milczenie nie wydawało mi się tak głębokie. Wrażenie to przeminęło oczywiście niezwykle szybko, musiało jednak trwać parę chwil, o czym nagle przekonał mnie zmieniony wyraz twarzy Charlotty, która patrzyła na nas zdumiona (on nawet na nią nie spojrzał, a i ona jak by go nie widziała), aż wreszcie wybuchnęła:

— Cóż się wam stało? Tak dziwnie wyglądacie! — Krew wróciła mi na policzki, a gdy podjęła tym samym tonem: — Jak byście ducha zobaczyli! — zaczerwieniłem się po uszy. Sir Edmund Orme nie zarumienił się i byłem pewny, że nie odczuł najlżejszego zakłopotania. Spotykałem wprawdzie podobnych ludzi, lecz nigdy do tego stopnia obojętnych.

— Nie bądź niegrzeczna. Lepiej idź i powiedz wszystkim, że się przyłączam — rzekła pani Marden z wielką godnością, ale i uchwytnym dla mnie drżeniem w głosie.

— A pan przyjdzie? — zagadnęła dziewczyna.

Nie odpowiedziałem, gdyż pytanie wydawało się skierowane do jej towarzysza. On jednak był bardziej jeszcze milczący ode mnie, więc już przy drzwiach, zatrzymawszy się z ręką na klamce, powtórzyła pytanie pod moim adresem. Przytaknąłem i pośpieszyłem otworzyć jej drzwi; w przejściu zawołała drwiąco:

— Taki pan roztargniony... nie dostanie pan mojej ręki!

Gdy zamknąłem drzwi, przekonałem się, że sir Edmund Orme zdążył wycofać się za moimi plecami na taras. Pani Marden stała w oknie; długo patrzyliśmy na siebie. Dopiero teraz, kiedy dziewczyna znikła, trafiło do mej świadomości, że nie zdaje sobie z niczego sprawy. Zastanawiające, ale to właśnie najbardziej mną wstrząsnęło. Nie to, iż sam widzę zjawę, co obecnie wydawało mi się całkiem naturalne. Żywo stanął mi przed oczyma fakt, że Charlotta nie widziała jej również w kościele, gdy było już po wszystkim. Oba te zdarzenia wpłynęły uspokajająco na rytm mego serca. Otarłem czoło, pani Marden zaś wybuchnęła żalonym zawodzeniem.

— Teraz poznał pan moje życie, wie pan, jak żyję!

— Na miłość boską, kim on jest... czym jest?

— Człowiekiem, którego skrzywdziłam.

— Jak go pani skrzywdziła?

— Och, strasznie... wiele lat temu.

— Wiele lat temu? Ależ to bardzo młody mężczyzna!

— Młody? — zawołała. — Przecież urodził się przede mną.

— Więc dlaczego tak wygląda?

Podeszła bliżej i położyła rękę na mym ramieniu, lecz coś w wyrazie jej twarzy kazało mi się cofnąć.

— Czy pan nie rozumie... czy pan nie czuje? — pytała z naciskiem.

— Czuję się bardzo nieswojo — odparłem, a uśmiech potwierdził prawdę mych słów.

— On nie żyje! — powiedziała błędąc pani Marden.

— Nie żyje? — powtórzyłem bez tchu. — Więc ten pan był... — Nie potrafiłem mówić dalej.

— Może go pan nazwać, jak się panu podoba. Istnieje na to ze dwadzieścia pospolitych określeń. Jest prawdziwą zjawą.

— Cudowną zjawą! — zawołałem. — W tym domu straszy, straszy! — Upajałem się samym wyrazem, jak gdyby spełniał wszystkie me marzenia.

— Nie o dom chodzi... co gorsza! — zaprzeczyła natychmiast. — Dom nie ma z tym nic wspólnego!

— A więc straszy panią? — spytałem jeszcze bardziej zadowolony.

— Nie, też nie, choć bardzo bym chciała!

— Może mnie? — podsunąłem ze słabym uśmiechem.

— Nikogo, tylko me dziecko, moje niewinne, najniewinniejsze w świecie dziecko!

Pani Marden, załamana, opadła na krzesło i wybuchnęła płaczem. Pytałem o coś, błagałem oszołomiony, lecz nagłym, zdecydowanym ruchem ręki nakazała milczenie. Nalegałem. Czy nie mogę jej pomóc? Albo coś zrobić?

— Już pan to zrobił — szlochła. — Jest pan w to zamieszany, zamieszany w całą sprawę.

— Bardzo się cieszę, że zostałem zamieszany w sprawę tak niezwykłą — oświadczyłem mężnie.

— Cieszy się pan czy nie, innego wyjścia nie ma.

— Nie pragnę żadnego wyjścia... to zbyt interesujące.

— Miło mi, że się to panu podoba. — Zwrócona do mnie tyłem, pośpiesznie otarła oczy. — A teraz proszę odejść.

— Wolałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

— Zobacz pan dosyć. Proszę odejść!

— Chciałbym jednak rozumieć to, co będę widział.

— Czy to możliwe... skoro ja sama nie rozumiem? — zawołała bezradnie.

— Zrozumiemy razem... wyjaśnimy wszystko.

Pani Marden wstała, próbując zatrzeć ślady łez.

— Tak, razem będzie lepiej... dlatego pana polubiłam.

— Och, na pewno znajdziemy wyjaśnienie!

— Tylko musi pan bardziej nad sobą panować.

— Będę... z biegiem czasu.

— Przyzwyczaj się pan — rzekła moja przyjaciółka tonem, którego nigdy nie zapomnę. — Ale niech się pan do nich przyłączy... ja będę gotowa za chwilę.

Wyszedłem na taras przekonany, że mam do odegrania jakąś rolę. Nie żywiąc bynajmniej lęku przed ponownym spotkaniem z „prawdziwą zjawą”, jak go nazwała, odczuwałem raczej przyjemność. Chciałem, by szczęście znów mi dopisało, byłem spragniony wrażeń. Ruszyłem dokoła domu tak szybko, jak gdybym spodziewał się dognać sir Edmunda Orme. Nie ujrzałem go wprawdzie akurat wtedy, ale przed końcem dnia zdążyłem się przekonać, że, jak obiecywała pani Marden, zobaczę dosyć.

Wszyscy, lub raczej prawie wszyscy, poszliśmy na spacer, który we dworze angielskim jest — czy też był onego czasu — uświęconą rozrywką w niedzielne popołudnie. Należało przystosować krok do możliwości pań, a popołudnia były krótkie, więc o piątej siedzieliśmy już w hallu przy kominku z uczuciem (przynajmniej mnie to dotyczy), że nie bardzo zasługujemy na podwieczorek. Pani Marden obiecała nam towarzyszyć, nie zjawiała się jednak, a Charlotta, która widziała ją przed samym wyjściem, powiedziała, iż matka jest zmęczona. Nie pokazała się aż do kolacji, szczególnie ten nie miał jednak dla mnie większego znaczenia niż to, że podczas przechadzki ani przez pięć minut nie byłem sam z Charlottą. Zbyt pochłaniała mnie inna troska; pod stopami czułem jakby próg, za którym nagle otwarły się dziwne drzwi, wpuszczając powiew nie znanej mi dotąd ostrości i smaku mocniejszego niż wino. Zawsze słyszałem o duchach, ale to co innego niż zobaczyć zjawę i wiedzieć, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa, stanie się w przyszłości codziennym, że tak powiem, widokiem. Wypatrywałem jej jak pilot błysku latarni morskiej, skłonny do uogólnień na ten ponury temat i gotów zaręczyć wszem wobec, że zjawy są o wiele mniej straszne, a o wiele zabawniejsze, niż zwykło się sądzić. Niewątpliwie byłem podniesiony na duchu. Musiałem docenić wyró-

znienie, jakie mnie spotkało, wyjątek — jeśli idzie o rozszerzenie mistycznych horyzontów — jaki uczyniono na mą korzyść. Jednocześnie zdaje się, że usprawiedliwiłem nieobecność pani Marden... była komentarzem do jej słów: „Teraz poznał pan moje życie”. Prawdopodobnie widywała snującą się zjawę od wielu lat i, mniej odporna ode mnie, załamała się pod tym brzemieniem. Straciła odwagę, choć potrafiła również dowieść, że w pewnym stopniu można się do tego przyzwyczaić. Przyzwyczaiła się załamywać.

Poobiednia herbata była w Tranton godziną serdeczności; blask kominka migotał w przestronnym, białym, zeszlówiecznym hallu, sympatie niemal same wychodziły na jaw, pary w zabłoconych butach ociągały się z przebieraniem, tonąc w głębokich kanapach, by po spacerze zamienić ostatnie słowo.

Nawet jeśli ktoś samotny pochłaniał trzeci tom powieści, na który czekała już następna osoba, i to stanowiło cząstkę serdecznej atmosfery. Doczekawszy odpowiedniej chwili, podszedłem do Charlotty, która zbierała się właśnie do odejścia. Panie zniknęły jedna za drugą, skoro więc zwróciłem się do niej, trzej otaczający ją panowie kolejno się oddalili. Rozmawialiśmy na nieokreślone tematy. Może panna myślała o czym innym, niebo zaś świadkiem, że tak było ze mną. Po chwili stwierdziła, że musi mnie pożegnać; inaczej spóźni się na kolację. Dowodziłem, iż ma jeszcze mnóstwo czasu, lecz odparła, że w każdym razie powinna zajrzeć do matki, która się źle czuje.

— Przeciwnie, dawno już się tak nie czuła, za to rękę — powiedziałem. — Przekonała się, iż może mi zaufać, a to jej dobrze zrobiło.

Panna Marden opadła z powrotem na krzesło, ja zaś stanąłem przed nią. Patrzyła na mnie bez uśmiechu, z jakąś troską w pięknych oczach. Nie wyglądała na urażoną, ale zdecydowaną nie brać dłużej za żart tego, co zaszło między mną a jej matką. Niemniej, cokolwiek by to było, nie dawało jeszcze powodu do tak uroczystego skupienia. Ponieważ jednak naprawdę uświadomiłem sobie, że biedna pani Marden, złożyłwszy na mnie część swego brzemienia, czuje się lepiej i swobodniej, mogłem zapewnić serdecznie i otwarcie:

— Jestem przekonany, że spała całe popołudnie, tak jak nie spała od lat. Niech ją pani tylko zapyta.

Charlotta znów wstała.

— Uważa się pan za bardzo pożytecznego.

— Ma pani dobry kwadrans czasu — powiedziałem. — Czyż nie wolno mi porozmawiać z panią na osobności, skoro matka dała mi rękę pani?

— A czy pańska matka dała mi rękę pana? Jestem jej bardzo wdzięczna, ale nie pragnę tej ręki. Chyba nasze ręce to nie ręce naszych matek, a... przypadkowo nasze własne! — zaśmiała się dziewczyna.

— Bardzo proszę, niech pani usiądzie i pozwoli mi mówić! — błagałem.

Nie ruszałem się z miejsca, ciekaw, czy mnie wysłucha. Powiodła dokoła oczyma jak by pod bolesnym przymusem. Pusty hall był cichy — dochodziło nas głośnie tykanie zegara. Dziewczyna usiadła powoli, a ja przysunąłem sobie bliżej krzesło.

Musiałem zwrócić twarz w stronę ognia i wtedy ku memu zakłopotaniu stwierdziłem, że nie jesteśmy sami. W następnej chwili, rzecz niewymownie dziwna, uczucie skrępowania zamiast wzrosnąć, minęło, gdyż przy kominku ujrzałem sir Edmunda Orme. Stał podobnie jak w pokoju indyjskim i patrzył na mnie z tym pozbawionym wyrazu skupieniem, któremu powagi użyczała melancholijna wyniosłość. Wiedziałem o nim już tyle, że ledwo powstrzymałem gest dowodzący, iż go poznaję i uświadamiam sobie jego obecność. Pewny, że jest i pozostanie z nami, przestałem odczuwać, że Charlotta i ja znajdujemy się w czymś towarzysztwie; przeciwnie, tym bardziej nas to zbliżało. Nie dosięgał jej wpływ przybysza, ja zaś uczyniłem ogromny i niemal skuteczny wysiłek, by ukryć przed nią, iż na moją wrażliwość coś podziałało i nerwy napięte mam jak struny. Mówię „niemal”, bo popatrzyła na mnie — słowa uwięzły mi w gardle — w sposób, który napawał lękiem, że powtórzy to, co powie-

działa w pokoju indyjskim: „Cóż się z wami stało?”

Co mnie się stało, wyznałem natychmiast, gdyż wzruszający obraz jej nieświadomości w pełni mi to uprzytomnił. Wzruszająca bowiem stawała się w obliczu tego niezwykłego zwiastuna. Czego był zwiastunem; niebezpieczeństwa czy trosk, szczęścia czy ruiny, to sprawa drugorzędna. Gdy tak siedziała, niewinna i czarująca, czułem tylko, że bliska jest czegoś, co mogłaby uznać za straszne i co, na razie zakryte przed jej oczami, w każdej chwili może się jej ukazać. Stwierdziłem, że obecnie sam się tym nie przejmuję, a przynajmniej nie jest to dla mnie nie do zniesienia, lecz coś bardziej prawdopodobnego, jak to, że Charlotta się przejmie i jeśli nie będzie to dla niej dziwne i zajmujące, z pewnością się przerazi. Doszedłem później do wniosku, iż sam się nie lękam głównie dlatego, że pochłania mnie myśl, jak osłonić dziewczynę.

Nagle serce moje poczęło bić mocniej, ożywione tym pragnieniem. Postanowiłem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by zachowała nieświadomość. Nie wiedziałbym może, jak postępować, gdybym nie zdawał sobie coraz jaśniej sprawy, że ją kocham. Aby ją ocalić, trzeba ją kochać, aby zaś ją kochać, trzeba jej tu, natychmiast, o tym powiedzieć. Sir Edmund Orme mi nie przeszkadzał, tym, bardziej że wkrótce obrócił się do nas plecami i stał patrząc dyskretnie w ogień. Po jakimś czasie, wsparłszy głowę o ramię, pochylił się nad kominkiem i ulegając powoli przygnębieniu, wyglądał raczej na ducha znużonego niż dyskretnego. Charlotta Marden zerwała się na me słowa — chciała przed nimi uciec. Nie obraziła się jednak; uczucie, któremu dałem wyraz, było aż za prawdziwe. Chodziła tylko po pokoju, szepcząc z niezadowolaniem, ja zaś tak pilnie śledziłem wszelkie najśłabsze oznaki życzliwości z jej strony, że nie zwróciło mojej uwagi, w jaki sposób sir Edmund Orme zniknął z hallu. Jego miejsce opustoszało. Ale co za różnica, tak nieznaczną stanowił zawadę; pamiętam jedynie, iż wtem uderzyło mnie coś nieodwracalnego w słodkim, smutnym skinieniu Charlotty.

— Nie proszę o natychmiastową odpowiedź — zapewniłem. — Pragnę jedynie, żeby pani była pewna, żeby pani wiedziała, ile od niej zależy.

— Och, nie chcę dawać jej ani teraz, ani kiedykolwiek! — odparła. — Nie znoszę tego tematu... i tak bym chciała zostać sama. — A ponieważ ten niepoohamowany, naiwny krzyk osaczonej piękności mógłby mnie zranić, wychodząc dodała szybko, niepewnie i tkliwie: — Dziękuję, dziękuję... tak bardzo panu dziękuję!

Podczas kolacji wielkodusznie cieszyłem się ze względu na nią, iż siedząc po tej samej co i ja stronie stołu, nie potrzebuje na mnie patrzeć. Prawie naprzeciwko miałem panią Marden, która ledwo zajęliśmy miejsca, rzuciła mi powłóczyście spojrzenie; wyraziła nim w pełni dziwny, istniejący między nami związek. Znaczyło oczywiście: „Powiedziała mi”, ale i coś więcej. W każdym razie moja niema odpowiedź brzmiała: „Widziałem go znowu... widziałem go znowu!” Nie przeszkodziło to pani Marden zwracać się do sąsiadów ze zwykłą, nienaganą grzecznością. Po kolacji, kiedy panowie weszli do salonu, gdzie czekały panie, od razu zbliżyłem się do niej i poprosiłem o parę chwil rozmowy. Stłumionym głosem, z oczyma utkwionymi w wachlarzu, który wciąż składała i rozkładała, pani Marden rzekła niezwłocznie:

— Jest tutaj... jest tutaj.

— Tutaj? — rozejrzałem się po pokoju, lecz spotkało mnie rozczarowanie.

— Proszę patrzeć tam, gdzie jest ona — powiedziała pani Marden z odcieniem surowości.

Charlotta była nie w dużym salonie, lecz w sąsiednim, mniejszym, który nazywano porannym. Zrobiłem parę kroków i zobaczyłem przez otwarte drzwi, jak pośrodku pokoju rozmawia z trzema panami stojącymi tyłem do mnie. Najpierw poszukiwania wydały mi się daremne, następnie stwierdziłem, iż jeden z panów, ten środkowy, to bez wątpienia sir Edmund Orme. Tym razem było naprawdę zadziwiające, że inni go nie widzą. Charlotta dosłownie patrzyła i mówiła wprost do niego. Zauważywszy mnie jednak po paru sekundach,

natychmiast się odwróciła. Podszedłem do jej matki zaniepokojony, iż dziewczyna pomyśli, że ją śledzę, co byłoby z gruntu fałszywe. Pani Marden zajęła małą sofę nieco na uboczu, przysiadłem się więc do niej. Tak bardzo omówić chciałem pewne sprawy, iż zapragnąłem znaleźć się znów w indyjskim pokoju. Ale nasze odosobnienie okazało się jednak całkiem wystarczające. Istniała obecnie między nami tak doskonała milcząca więź, że porozumiewaliśmy się w każdej sytuacji.

— Tak, jest tam — zacząłem — a jakiś kwadrans po siódmej był w hallu.

— Wiedziałam wtedy... i czułam się taka szczęśliwa — odparła z prostotą.

— Szczęśliwa?

— Że tym razem to rzecz pana, nie moja. To dla mnie odpoczynek.

— Spała pani całe popołudnie?

— Tak jak nie spałam od wielu miesięcy. Ale skąd pan wie?

— Podobnie jak pani wiedziała, że sir Edmund Orme był w hallu. Najwidoczniej każde z nas będzie teraz wiedziało o tym... co dotyczy drugiego.

— Co dotyczy jego — poprawiła pani Marden. — To szczęście, że pan podchodzi do sprawy w ten sposób — dodała z przeciągłym, łagodnym westchnieniem.

— Podchodzę — odparłem bez zastanowienia — jak człowiek zakochany w pani córce.

— Oczywiście... oczywiście.

Choć w tej chwili gorąco pragnąłem dziewczyny, ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, zmusił mnie do uśmiechu, na co moja towarzyszka zapewniła:

— Inaczej by go pan nie zobaczył.

Cóż, doceniłem ten przywilej, lecz z pewnym zastrzeżeniem:

— Czy widzi go każdy, kto się w niej kocha? Jeśli tak, są ich całe tuziny.

— Nie kochają jej tak, jak pan.

Przyjąłem to do wiadomości, zmuszony zgodzić się z panią Marden. Potrafię, rzecz prosta, mówić tylko we własnym imieniu... a przed kolacją nadarzył się stosowny moment.

— Powiedziała mi o tym, ledwo ją zobaczyłam.

— Czy mogę mieć nadzieję... jakąś szansę?

— Tego właśnie pragnę i o to się modlę.

Wzruszyła mnie jej bolesna powaga.

— Ach, czy potrafię kiedy wyrazić mą wdzięczność? — wymamrotałem.

— Wierzę, iż wszystko minie... skoro pana pokocha — ciągnęła nieszczęśliwa kobieta.

— Wszystko minie? — Byłem lekko zaskoczony.

— Mam na myśli, że wtedy się od niego uwolnimy... nigdy więcej nie będziemy go już widzieli.

— Och, jeśli ona mnie pokocha, obojętne, jak często będę go widywał! — odparłem żywo.

— Lepiej pan to znosi ode mnie. Na swoje szczęście nie wie pan... nie rozumie.

— Rzeczywiście nie rozumiem. Czego on chce?

— Chce sprawić mi cierpienie. — Zwróciła ku mnie wymizerowaną twarz. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, i to w pełni, z jakim mistrzostwem, jeśli taki mu cel przyświecał, nasz gość wywiązywał się z zadania. — Za to, co mu zrobiłam — wyjaśniła pani Marden.

— A co to było takiego?

Rzuciła mi spojrzenie, którego się nie da zapomnieć.

— Zabiłam go. — Ponieważ widziałem tego człowieka z odległości pięćdziesięciu jardów pięć minut temu zaledwie, drgnąłem. — Tak, aż pan podskoczył; proszę zachować ostrożność... Jest tam nadal, choć popełnił samobójstwo. Złamałam mu serce... uważał, że jestem strasznie zła. Mieliśmy się pobrać, lecz zerwałam... w ostatniej chwili. Poznałam kogoś, kto bardziej mi się podobał; nie było innego powodu. Nie zrobiłam tego z wyrachowania: dla pieniędzy, pozycji czy z równie nikczemnych pobudek. Posiadał wszelkie zalety. Ale po

prostu zakochałam się w majorze Mardenie. Kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam, że nie mogę wyjść za nikogo innego. Nie kochałam Edmunda Orme. Moja matka i starsza, zamężna siostra doprowadziły do zaręczyn. On natomiast mnie kochał i wiedziałam... to znaczy, prawie wiedziałam... jak bardzo! Powiedziałam mu jednak, że go nie kocham, że nie mogę i nigdy nie będę mogła. Odrzuciłam go i zażył coś... jakiś wstrętny proszek czy płyn, który okazał się zgubny. To było okropne, potworne. Znaleźli go otrutego... zmarł w mękach. Wysłałam za majora Mardena, lecz dopiero pięć lat później. Byłam szczęśliwa, całkiem szczęśliwa... czas przynosi zapomnienie. Po śmierci męża jednak zaczęłam go widywać.

Słuchałam w napięciu, oszołomiony.

— Widywać męża?

— Nie, nigdy... męża, dzięki Bogu. Jego... i z Charlottą, zawsze z Charlottą. Za pierwszym razem omal nie przyprawiło mnie to o śmierć... jakieś siedem lat temu, kiedy zaczęła bywać. Nigdy go nie widzę, gdy jestem sama... tylko z nią. Czasem nie zjawia się miesiącami, potem znów codziennie przez tydzień. Próbowалам wszystkiego, żeby przezwyciężyć urok... doktorów, leczenia, zmiany klimatu; błagałam Boga na klęczkach. Tego dnia w Brighton, na Promenadzie, gdy myślał pan, że zasłałam, ukazał się po raz pierwszy od bardzo dawna. A potem wieczór, kiedy wylałam na pana herbatę i w dniu, kiedy stał pan z Charlottą pod drzwiami, a ja wyglądałam oknem... za każdym razem był obecny.

— Rozumiem, wreszcie rozumiem. — Czułem silniejszy dreszcz, niż potrafię powiedzieć. — To zjawia jak każda inna.

— Jak każda inna? Widział pan kiedy inną? — wybuchnęła.

— Nie, chodzi mi o coś takiego, co zna się ze słyszenia. To ogromnie ciekawy przypadek.

— Mnie pan nazywa przypadkiem? — zawołała szczerzo oburzona.

— Myślałem o sobie.

— Och, pan jest właściwym typem! Słusznie panu zaufałam.

— Jestem niezmiernie wdzięczny za zaufanie, ale cóż je wzbudziło?

— Wszystko dokładnie rozważyłam. Miałam na to czas przez te straszne lata, kiedy karał mnie, przesładując mą córkę.

— Trudno tak mówić — zaprotestowałem — skoro panna Marden o niczym nie wiedziała.

— Żyłam od jednej wizyty do drugiej w trwodze, że się dowie. Czuję niewysłowiony lęk na myśl, jakie to na niej wywrze wrażenie.

— Nie dowie się, nie dowie — zapewniłem takim tonem, że aż kilka osób się obejrzało. Pani Marden wstała i na tym zakończyliśmy rozmowę tego wieczora. Nazajutrz powiadomiłem ją, iż muszę wyjechać z Tranton; nie jest ani przyjemnie, ani mądrze przebywać tu w roli odrzuconego konkurenta. Zatrokała się, lecz uznawszy powód za słuszny, zwróciła się do mnie tylko z żalonym pytaniem w oczach: „Więc zostanę sama z tym brzemieniem?” Podzielaliśmy oczywiście pogląd, że przez wiele najbliższych tygodni nierozsądnie byłoby „niepokoić drogą Charlottę”, w tych bowiem słowach, z dziwnie kobiecym i macierzyńskim brakiem konsekwencji, uczyniła aluzję do mych zamiarów, którym sprzyjała. Byłem gotów okazać się heroicznie delikatny, ale w moim przekonaniu nawet taka delikatność pozwalała pomówić z panną Marden przed odjazdem. Po śniadaniu poprosiłem, by wyszła ze mną na taras, a ponieważ się wahała i rzuciła mi oziębłe wejrzenie, oświadczyłem, iż pragnę zadać jej pewne pytanie, a następnie się pożegnać — wyjeżdżam przez wzgląd na nią.

Powoli obeszliliśmy dom trzy czy cztery razy dokoła. Nie ma nic przyjemniejszego jak ten rozległy, przewiewny taras,, skąd otwiera się widok na obrzeżoną w oddali morzem równinę. Z okien prawdopodobnie śledzili nas przyjaciele; mogli zjadliwie tłumaczyć moją wiele znaczącą ucieczkę. Ale na to nie zwracałem uwagi. Zastanawiało mnie tylko, czy i w chwili obecnej nie dostrzega sir Edmunda Orme, który niebawem przyłączył się do nas i

spacerował wolno po prawej ręce Charlotty. Nie wiem, z jakiej dziwnej uczyniony był substancji. Nie stworzyłem na jego temat żadnej teorii (pozostawiam to innym) podobnie jak na temat tego czy owego współśmiertelnika, koło którego przepychałem się w życiu łokciami, i jego prawa istnienia. Sir Edmund Orme stanowił tak niewątpliwy, tak zróżnicowany i tak podstawowy fakt jak każdy z nich. Co więcej zaś, był wedle wszelkich pozorów tworem tak doskonałym, wrażliwym i tak na wskroś szlachetnym, że nigdy nie pozwoliłbym sobie na swobodę w jego obecności, nie dokonałbym na nim eksperymentu: nie dotknąłbym go na przykład, ani nie przemówił do niego, skoro on sam milczał, tak jak nie popełniłbym nigdy podobnego towarzyskiego nietaktu.

Z czasem dojrzałem jeszcze wyraźniej, iż zachowywał się niezwykle stosownie — zawsze odświętnie ubrany i pełen namaszczenia i zawsze, w każdym szczególe, postępujący zgodnie z wymaganiami chwili. Uderzał mnie jako człowiek bezspornie dziwny, lecz zawsze na właściwym miejscu. Wkrótce nauczyłem się kojarzyć jego niedostrzegalną obecność z myślą o pięknie, pięknie starej historii miłości, bólu i śmierci. W końcu zaś poczułem, że stoi po mojej stronie, troszczy się o me dobro i czuwa, by mnie nie oszukano, by przynajmniej moje serce nie zostało złamane. Och, potraktował poważnie własną ranę i własną stratę — niewątpliwie dowiódł tego w onym dniu. Jeśli biedna pani Marden, odpowiedzialna za to, przemyślała wszystko, jak zapewniała, ja także poddałem tę sprawę najsztelniejszej analizie, na jaką stać mnie było. To przypadek zasłużonej kary, odpowiedzialność dziecka za grzechy matki, jeśli nie ojca. Nieszczęsna matka musiała płacić cierpieniem za cierpienie, jakie zadała, a ponieważ skłonność do igrania z nadziejami uczciwego mężczyzny może znów, ze szkodą dla mnie, nieoczekiwanie przejawić się u dziecka, należało obserwować tę młodą osobę i pilnować, by sama poniosła karę, gdy wyrządzi podobne zło. Może dorównać matce szczególną przewrotnością, jak dorównuje jej wdziękiem, lecz gdyby ta skłonność przybrała skryzystalizowaną postać, gdyby dowiedziono jej, dajmy na to, wiarołomstwa czy okrucieństwa, oczy jej, dzięki nieubłaganej kolejności zdarzeń, zostałyby natychmiast bezlitośnie otwarte i ujrzałaby „prawdziwą zjawę”, którą młoda dama musiałaby jakoś dopasować do swojej koncepcji świata. Nie lękałem się zbyt o nią, ponieważ wiedziałem, iż nie zwodzi mnie przez próżność, a tylko mój własny pośpiech jest szkodliwy. Musielibyśmy przynajmniej dojść do jakiegoś porozumienia, zanim mógłbym paść jej ofiarą. Nie może odebrać tego, co już dała, nie dając czegoś więcej. Czy poproszę o więcej, to całkiem inna sprawa; owego poranka na tarasie zapytałem jedynie, czy wolno mi będzie po dawnemu bywać u pani Marden. Obiecałem nie przychodzić za często i nie mówić przez trzy miesiące o sprawie, którą poruszyłem dnia poprzedniego. Odparła, że mogę robić, co mi się podoba, i na tym się rozstaliśmy.

Nie złamałem słowa; przez trzy miesiące trzymałem język za zębami. Nieoczekiwanie dla samego siebie dostrzegłem w tym okresie, że czasami odczuwa brak mych hołdów, choć obojętne jej jest moje szczęście. Tak bardzo pragnąłem przypaść jej do serca, że stałem się subtelny i sprytny, przedziwnie czujny i dyplomatycznie cierpliwy. Chwilami sądziłem, że zasłużyłem już na nagrodę i że zaraz powie: „No cóż, jest pan najlepszy z nich wszystkich... może mnie pan przeprosić”.

Kiedy indziej uroda jej wydawała się bardziej niż zwykle pozbawiona wyrazu, to znów w oczach jej zapalał się drwiący błysk, który jakby mówił: „Jeśli nie będzie pan ostrożny, przyjmę oświadczenia, żeby tym skuteczniej się z panem rozprawić”. Pani Marden była mi ogromną pomocą po prostu dzięki zaufaniu, jakie we mnie pokładała, a ceniłem tę wiarę tym więcej, iż przetrwała nawet niespodziewaną przerwę w mych objawieniach. Po wizycie w Tranton sir Edmund Orme pozwolił nam odetchnąć, co, wyznaję, z początku przyniosło mi rozczarowanie. Czułem się o tyle mniej powołany, zaangażowany i związany — oczywiście z Charlottą.

— Och, proszę nie przesądzać faktów — radziła jej matka. — Nieraz uwalniał mnie na pół roku. Ukaże się znowu, kiedy nie będzie się pan spodziewał... umie prowadzić grę.

Dla niej tygodnie te płynęły szczęśliwie i była dość rozsądna, by nie wypytywać o mnie dziewczyny. W dobroci swej zapewniała, że postępuję właściwie, że sprawiam wrażenie pewnego siebie i że temu kobieta musi wreszcie ulec. Widziała takie wypadki, choć mężczyzna wydawał się głupcem wskutek tej pewności siebie... głupcem pod wszelkimi względami. Uważała ten okres za dobry, niemal najlepszy w swym życiu, za duchowe babie lato. Od dawna nie czuła się równie dobrze i mnie to miała do zawdzięczenia. Nie przytłaczała jej świadomość, że jest nawiedzana przez zjawę — nie cierpiała rozglądając się dokoła. Charlotta przeczyła mi ustawicznie, ale jeszcze częściej przeczyła sama sobie. Zima na wybrzeżu staro- Sussexu nastąpiła cudownie łagodna i często siadywaliśmy w słońcu. Przechadzaliśmy się z dziewczyną, a pani Marden oczekiwiała nas na ławce lub w fotelu na kółkach, uśmiechnięta, gdyśmy ją mijali. Stale wypatrywałem w jej twarzy znaku: „Jest z wami, jest razem z wami” (zawsze widziała go pierwsza), ale na próżno; pora roku przyniosła nam również psychiczne odprężenie. Pod koniec kwietnia pogoda była czerwcową, więc spotkawszy pewnego dnia obie panie na jakimś wieczorku — przyjęcie i koncert amatorski — bez oporów z jej strony wyprowadziłem Charlotte na balkon przez otwarte francuskie okno. Zapadła noc duszna i panna, gwiazdy migotały zza chmur, a z dołu, od podnóża skał, dobiegał głuchy łoskot przytłuwu. Po paru minutach z hukiem fal zwały się dźwięki skrzypiec i pianina — popis, który stanowił pretekst naszej ucieczki z pokoju.

— Czy lubi mnie pani choć trochę bardziej? — wyrwało mi się po chwili. — Czy mogłaby mnie pani wysłuchać?

Ledwo wymówiłem te słowa, gwałtownie położyła mi rękę na ramieniu.

— Cicho! Czy nie ma tam nikogo?

Spoglądała w mroczny kąt balkonu ciągnącego się przez całą szerokość budynku, szerokość wcale pokaźną jak w najlepszych starych brytyjskich domach. Docierał tu wprawdzie blask z otwartego za naszymi plecami okna, lecz inne okna, zasłonięte od wewnątrz, nie rozpraszały ciemności, tak że niewyraźnie rysowała się postać obserwującego nas mężczyzny. W stroju wieczorowym jak gość — widziałem matowy połysk białej koszuli i błądy owal twarzy — mógł doskonale być kimś, kto wcześniej od nas wyszedł zaczerpnąć powietrza. Za kogoś takiego właśnie wzięła go na początku Charlotta, lecz już po kilku sekundach dostrzegła niezwykłą intensywność jego spojrzenia. Nie potrafiłem stwierdzić, co jeszcze zauważyła; zbyt pochłaniały mnie własne wrażenia, abym mógł odczuć coś więcej niż przebiegający ją dreszcz niepokoju. Sam odniosłem najsilniejsze ze wszystkich wrażeń — przejęła mnie groza. Bo cóż innego oznaczał jej niepokój, jeśli nie to, że dziewczyna wreszcie przejrzała? Z nagłym westchnieniem, pośpiesznie wróciła do pokoju. Dopiero później uprzytomniłem sobie, że ośwładnęło mną całkiem nowe uczucie — groza przekształciła się w gniew, a gniew znalazł ujście w miarowym kroku i geście dezaprobaty. Sprawa została uproszczona: urocą dziewczynę coś straszy i przeraża.

Ruszyłem w kąt balkonu, gotów walczyć o jej bezpieczeństwo, lecz nikt nie wyszedł mi naprzeciw. Albo wszystko to była omyłka, albo sir Edmund Orme zniknął.

Natychmiast udałem się za Charlottą, w salonie jednak panowało zamieszanie. Jakaś pani zemdlała, muzyka umilkła, przesuwano krzesła i tłoczono się do przodu. Zemdloną nie była Charlotta, choć tego się obawiałem, tylko pani Marden, która nagle zaśląbla. Pamiętam z jaką ulgą o tym usłyszałem: widok porażonej lękiem dziewczyny byłby bolesny, stan matki natomiast dawał ujście jej podnieceniu. Oczywiście mymi przyjaciółkami zajęli się gospodarze i kobiety, nie przypadło mi więc w udziale zatroszczyć się o nie czy odprowadzić je do powozu. Odzyskawszy przytomność pani Marden postanowiła wracać do domu, przeto pożegnałem je pełen troski.

Nazajutrz rano odwiedziłem panie, spragniony lepszych wiadomości. Stan pani Marden uległ poprawie, ale na zapytanie, czy Charlotta zechce mnie przyjąć, dostałem odmowną odpowiedź. Nie pozostawało nic innego, jak błąkać się cały dzień z bijącym sercem. Pod

wieczór jednak otrzymałem przez posłańca napisaną ołówkiem kartkę: „Proszę przyjść, mama życzy sobie z panem pomówić”. Pięć minut później byłem u ich drzwi. Wprowadzono mnie do salonu; pani Marden leżała na sofie, ledwo zaś na nią spojrzałem, dostrzegłem cień śmierci w jej twarzy. Zapewniła niezwłocznie, że czuje się lepiej, o wiele lepiej; biedne, stare, skołatane serce znów odmówiło posłuszeństwa, ale już się uspokoiło. Pochyliłem się nad ręką, którą mi podała, patrząc jej w oczy i czytając w nich to, czego nie chciała powiedzieć: „Jestem naprawdę bardzo chora, lecz niech pan udaje, że wierzy pan w to, co mówię”. Charlotta stała obok matki, nie tyle przerażona, co pełna ogromnej powagi, i unikała mego wzroku.

— Powiedziała mi... powiedziała... — zaczęła pani Marden.

— Powiedziała pani? — przeniosłem spojrzenie z matki na córkę, zastanawiając się, czy dziewczyna wspomniała mej przyjaciółce o tajemniczej zjawie na balkonie.

— Że mówił pan z nią znowu... że jest pan nadzwyczaj wierny.

Przebiegł mnie dreszcz radości; dowodziło to przede wszystkim jej pamięci, jak również tego, że córka pragnie ją pocieszyć, ustrzec przed niepokojem. Upewniłem się obecnie, jak gdybym usłyszał to z ust samej pani Marden, że wie i od razu wiedziała, co dostrzegła Charlotta.

— Mówiłem... rzeczywiście, lecz nie uzyskałem odpowiedzi — rzekłem.

— Dasz ją teraz, prawda, Charlotto? Tak tego pragnę, tak bardzo pragnę! — szepnęła z niewysłowioną tęsknotą w głosie.

— Jest pan dla mnie bardzo dobry — odezwała się Charlotta poważnie i słodko, z oczyma wbitymi w dywan. Było w niej coś nowego, innego niż dawniej, coś zrozumiała, coś warło na nią przymus. Widziałem, że nie potrafi opanować drżenia.

— Ach, gdyby mi pani pozwoliła dowieść, jak umiem być dobry! — zawołałem wyciągając ku niej rękę.

Gdy wymawiałem te słowa, poczułem, że coś się dzieje. Jakaś postać przybrała kształt po drugiej stronie sofy i nachyliła się nad panią Marden. Całą duszę wyniosłem w niemej modlitwie, by Charlotta nic nie dostrzegła, a ja — bym zdołał niczego nie zdradzić. Impuls nakazujący spojrzeć na jej matkę silniejszy był nawet niż podświadome pragnienie, by ogarnąć wzrokiem sir Edmunda Orme, i temu się jednak oparłem. Pani Marden leżała niezwykle cicho. Charlotta podała mi rękę i wtedy — w tym rozstrzygającym momencie — dojrzała. Wydała okrzyk patrząc przed siebie strwożona, a jednocześnie do uszu moich dotarł inny dźwięk, zawodzenie istoty ginącej. Ale już skoczyłem ku tej, którą kochałem, gotów ją osłonić, zakryć jej twarz. Dziewczyna tak samo gwałtownie rzuciła mi się w ramiona. Trzymałem ją chwilę w objęciach — tuliłem, nią tylko zajęty, własnym sercem czułem bicie jej serca, jak by stanowiły jedno. Nagle z całym spokojem zdałem sobie sprawę, iż jesteśmy sami. Charlotta uwolniła się z mego uścisku. Postać po drugiej stronie sofy znikła, pani Marden zaś leżała z zamkniętymi oczyma, tak cicho, że ponownie ogarnęła nas trwoga. Dziewczyna z okrzykiem: „Mamo, mam!” padła na kolana. Ukląkłem przy niej — pani Marden nie żyła.

Czy dźwięk, który doszedł mnie równocześnie z okrzykiem Charlotty — mam na myśli głos drugi, ten jeszcze bardziej tragiczny — był rozpaczliwym wołaniem umierającej, czy też łkaniem (przypominał podmuch burzy) wyklętego i wyzwolonego ducha? Prawdopodobnie tym drugim, bo na szczęście sir Edmund Orme ukazał się wtedy po raz ostatni.

Przełożyła Zofia Dąbrowska

ROBERT LOUIS STEVENSON

Robert Louis Stevenson (1850—1894) urodził się w Edynburgu, był synem inżyniera. Po ukończeniu prawa obrał karierę literacką, w decyzji swej utwierdził się jednak na dobre dopiero w roku 1883 po sukcesie „Wyspy skarbów”. Potem napisał jeszcze kilka świetnych powieści historyczno-przygodowych, przeważnie opartych na motywach zaczerpniętych z historii rodzinnej Szkocji. Zainteresowanie Stevensonem problemami dobra i zła, podświadomości oraz rozdwojenia jaźni (sławny „Doktor Jekyll i pan Hyde”) jest widoczne w wielu jego opowiadaniach „Markheim” ukazał się po raz pierwszy w roku 1885 i został włączony w dwa lata później do zbioru opowiadań pt. „Wesołe chłopy”.

MARKHEIM

— Tak — rzekł antykwariusz — nasze najlepsze interesy powstają w różnych okolicznościach. Jedni klienci są ignorantami i dlatego płacą dywidendę za nasze znawstwo. Inni, o podejrzaną moralność — ciągnął dalej, podniósłszy świecę na taką wysokość, że światło padało wprost na twarz gościa — muszą opłacać naszą cnotę.

Markheim przed chwilą przyszedł z ulicy, gdzie było zupełnie jasno, toteż wzrok jego nie zdołał się jeszcze oswoić z blaskiem świecy płonącej w mroku, w którym tonął cały sklep antykwariusza. Przy ostatnich słowach Markheim pod wpływem nagle podniesionej świecy zaczął mimo woli mrużyć oczy i odwrócił się.

Antykwariusz zachichotał.

— Przyszedłeś pan do mnie w dzień Bożego Narodzenia — mówił kupiec — a więc w takim czasie, w którym, jak pan sam wiesz najlepiej, jestem jak palec w całym domu, zapuszczam żaluzje okien i nie załatwiam absolutnie żadnych interesów. Ale dobrze, oczywiście, musisz mi pan za to zapłacić. Zapłaci mi pan za stratę czasu, który zamierzałem poświęcić na zamknięcie bilansu i za ten pański dziwny sposób bycia. Ja, kochany panie, widzę to wszystko, jestem chodzącym taktem i nikomu nie stawiam nieprzyjemnych i kłopotliwych pytań, ale gdy mój klient nie może mi popatrzeć prosto w oczy, to jest co najmniej nietaktowne, i za to również musisz mi pan zapłacić.

Tu antykwariusz jeszcze raz zachichotał, rzuciwszy chytre i wiele znaczące spojrzenie. Po czym jął mówić zwyczajnie, wszelako nie bez ironicznych akcentów.

— Ale pan, mimo wszystko, możesz mi szczerze objaśnić, jakim sposobem dostała się do rąk pańskich ta rzecz, którą pan zamierza mi sprzedać. Zapewne musi pochodzić z bogatej kolekcji pańskiego dziadka, nieprawdaż? Trzeba mu oddać sprawiedliwość: dziadek pański był istotnie nadzwyczajnym kolekcjonerem.

I maleńki, blade, słabowity i zgarbiony antykwariusz podniósłszy się odrobinę na palcach, zaczął górami, ponad złotymi binoklami, spoglądać na swego gościa, kiwając głową z widocznym niedowierzaniem.

Markheim odpowiedział zdziwionym spojrzeniem, pełnym bezgranicznego żalu i nieuchwytnego wstrętu:

— Tym razem omyliłeś się pan; nie przyszedłem nic sprzedawać, a przeciwnie, chciałbym coś kupić od pana. W obecnej chwili nie mam ani takich rzadkości, które bym panu mógł sprzedać, ani takich, z którymi mógłbym się rozstać. Kolekcja dziadka zupełnie ogołocła; w jego gabinecie nie pozostało nawet jednej lamperii. A gdyby zresztą zachowało się coś jeszcze, dziś starałbym się raczej powiększyć zbiory, aniżeli cokolwiek z nich uronić. W ostatnich bowiem czasach miałem szczęście na giełdzie i posiadam gotówkę. Potrzebny mi jest jakiś osobliwy świąteczny podarunek dla młodej osoby — tłumaczył Markheim, stając się

coraz bardziej wymownym w miarę zbliżania się do przygotowanych z góry pytań. — Przede wszystkim bardzo pana przepraszam, że go niepokoję w tak niestosownej chwili i to w sprawie tak mało ważnej. Przyczyną tego jest proste zapomnienie, a dziś wieczorem muszę złożyć życzenia. Sam zaś wiesz najlepiej, jak są bogate kobiety wrażliwe na wszelki nietakt towarzyski.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której antykwariusz rozważał nie bez wyraźnego niedowierzania słowa swego klienta.

Panującą ciszę przerywało jeno tykanie różnorodnych zegarów, których sporo znajdowało się wśród drogocennych okazów w tym starym sklepie, a ponadto daleki hałas dorożek pędzących po najbliższych ulicach.

— Niech i tak będzie — oświadczył na koniec antykwariusz — jesteś pan moim starym klientem i gościem, i jeśli zdarza się panu dobra partia, to jestem daleki od tego, by przeszkadzać panu w tej sprawie. Mam przepiękny drobiazg dla kobiety — ciągnął kupiec — jest to ręczne zwierciadełko z piętnastego stulecia, rzecz nader misterna, a za jej autentyczność ręczę. Nabyłem ją ze zbiorów jednego znakomitego kolekcjonera. Oczywiście w interesie mego klienta nie zdradzę jego nazwiska. Podobnie jak pan, jest jedynym spadkobiercą swego dziadka, również znakomitego zbieracza.

Wypowiedziawszy te słowa, swoim zwyczajem, suchym i jak gdyby nieco usprawiedliwiającym tonem, starzec podniósł się, aby wziąć z półek zwierciadło. Markheim zadrżał. Poczł dreszcz w rękach i nogach, a na twarzy jego odbiły się sprzeczne uczucia i namiętności. Podniecenie to jednak przeszło tak szybko, że nie pozostawiło najmniejszego śladu prócz lekkiego, ledwo uchwytnego drżenia ręki, która sięgała po lustro.

— Lustro? — Markheim podniósł swój ochryply głos i po krótkiej przerwie powtórzył, dobitnie akcentując. — Lustro? Na podarek świąteczny? Czyś pan oszalał?

— A dlaczegoż by nie?! — wykrzyknął antykwariusz. — Dlaczego nie lustro?

Markheim patrzył nań z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Pan pyta, dlaczego nie zwierciadło? Ano, popatrz pan tu, w to lustro, co pan w nim widzisz? Siebie! A teraz, niech mi pan powie, czy to przyjemnie coś takiego zobaczyć? No, chyba nie, myślę, że dla nikogo nie byłoby to miłe...

W chwili, gdy Markheim nagle i niespodziewanie podsunął lustro przed samo oblicze słabowitego, maleńkiego antykwariusza, ten mimo woli odskoczył z lękiem w tył. Spozstrzegłszy jednak, że nie ma powodu do obaw i że młody człowiek nic złego nie zamierza uczynić, starzec zachichotał i potulnie zauważył:

— Przypuszczam, sir, że pańska przyszła żona nie jest pozbawiona urody i dlatego odbicie jej twarzy w zwierciadle nie będzie dla niej przykre.

— Prosiłem pana — rzekł Markheim — żeby mi pan pokazał coś stosownego na podarunek świąteczny dla kobiety! A pan co mi daje?! Toć to przeklęte memento starzenia się, naszych grzechów, występków, naszych błędów i nonsensów... Niech pan powie, czy pan to umyślnie zrobił? A może pan to uczynił po prostu nie zastanowiwszy, się, bez najmniejszej aluzji?... Wie pan co?... Będzie lepiej, jeśli pan wyjawi prawdę. Niech mi pan powie cośkolwiek o sobie. Spróbuję zgadnąć i może się nie omylę, jeśli powiem, że w gruncie rzeczy jesteś pan dobrym, współczującym, a nawet miłosiernym człowiekiem...

Antykwariusz jał patrzeć uporczywie na swego towarzysza. To dziwne. Markheim najwyraźniej nie żartował; na jego twarzy nie było śladu uśmiechu, zarzyła się w nim jakaś iskra nadziei, głos szedł gdzieś z głębin duszy, ale ani w oczach, ani w słowach nie było cienia radości.

— Powiedz mi, sir, ku czemu pan prowadzi tę rozmowę? — zagadnął wreszcie antykwariusz.

— Jak to? — zawołał gość podrażnionym tonem. — W panu nie ma ani krzty współczucia, miłosierdzia, bogobożności, sumienia. Samolub, skąpiec, kochający tylko pieniądze, a

poza tym nikogo! Boże! Czyżby w tej duszy więcej nic innego nie było?

— Posłuchaj mnie pan — rzekł ostrym głosem antykwariusz — powiem panu, że to... — Jednak nie dokończywszy zdania, starzec ponownie zachichotał, po czym już innym, bardziej miękkim głosem ciągnął dalej. — Pan, jak widzę, żeni się z miłości i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdołał pan już wypić za zdrowie narzeczonej...

— Ach! — krzyknął Markheim z dziwnym podnieceniem i ciekawością w głosie — pan także musiałeś się kochać? Nieprawdaż? Niech mi pan to opowie.

— Ja?! — zaprotestował antykwariusz — ja zakochany? Co pan pleciesz? Nigdy nie miałem i nie mam czasu na tego rodzaju głupstwa. Czy kupujesz pan to lustro?

— Po co się śpieszyć? — odparł Markheim — przyjemnie się z panem gawędzi; życie przecież jest tak krótkie i tak beznadziejne, że nie chciałbym z niego uronić ani jednej rozkoszy, tym bardziej tak niewinnej jak ta! Powinniśmy chwycić każdą dostępną nam, choćby najmniejszą radość, jak człowiek stojący na skraju przepaści chwytając się ostatniego źdźbła trawy. Każda sekunda naszego życia to niebezpieczna, urwista skała, i — jeśli się tylko głębiej zastanowić — skała wysoka, tak zawrotnie wysoka, że gdy z niej spadniemy, nie pozostanie w nas nawet odrobiny podobieństwa do człowieka. I dlatego rozmowa dusz jest przyjemna; rozmawiamy więc ze sobą szczerze, jak przyjaciel z przyjacielem. Dlaczego mamy się wiecznie ukrywać pod maską? Bądźmy szczerzy i ufajmy sobie; gdybyśmy się znali bliżej, moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi.

— Jedno tylko mam panu do powiedzenia — rzekł sucho antykwariusz. — Albo pan coś kupuje, albo opuści pan sklep!

— Istotnie, istotnie — odparł Markheim — dosyć już tego gadania, przystąpmy wreszcie do interesu. Niech mi pan co innego pokaże, lustra nie chcę.

Antykwariusz jeszcze raz się nachylił, aby położyć zwierciadło na miejsce, przy czym rzadkie blond włosy opadły mu na oczy. Markheim podał się do przodu, trzymając jedną rękę w kieszeni swego szerokiego palta; następnie uniósłszy się cokolwiek, wciągnął do płuc powietrze tak, jak gdyby chciał krzyknąć z całej siły. I wówczas na jego twarzy odbiły się najróżnorodniejsze sprzeczne uczucia: strach, wstręt, postanowienie, jakaś hipnoza i gwałtowna, niemal fizyczna chęć odrzucenia czegoś od siebie. Spod nerwowo zadartej górnej wargi błysnęły nagle jego ostre, białe zęby.

— Może to się panu spodoba — zapytał antykwariusz i w momencie, gdy jął się podnosić, Markheim przyskoczył do niego. Długi nóż podobny do różni zamigotał w powietrzu. Nastąpiło uderzenie. Antykwariusz zatrzepotał rękami jak kura z poderżniętym gardłem, po czym uderzywszy skronią o półkę, całym ciałem zwałił się na podłogę.

Tymczasem w sklepie rozległy się odgłosy tykających zegarów; jedne dosyć głośno, ale za to powoli i majestatycznie, stosownie do konstrukcji i znaczniejszych rozmiarów, inne zaś gwałtownie tykały swymi miedzianymi jęczyczkami, a wszystkie razem, każdy po swojemu, odliczały sekundy nie zharmonizowanym chórem, napełniając niesamowitym podzwięciem zalegającą wokoło martwą ciszę. Po chodniku, tuż przed drzwiami sklepu, przebiegł chłopak, a stukot jego ciężkich butów po kamiennych płytach zagłuszył na moment ohydne tykanie zegarów i obudził w Markheimie świadomość rzeczywistości. Markheim w obłądnym strachu spojrzął dokoła. Na kontuarze paliła się świeca, a jej płomień drżał i kołysał się powoli. Pod wpływem migotliwego światła całe wnętrze przeszło w jakiś wizyjny, bezszelestny ruch; wszystko wokoło wibrowało, chwiało się, kiwało jak na rozkołysanym morzu. Wysokie, długie cienie różnych przedmiotów kładły się na ściany i sufit, przeginając się i kurcząc, jak gdyby komuś urągały. Zalegający w kątach mrok i wielkie, ciemne plamy w miejscach oświetlonych blaskiem świecy, rozszerzały się i rosły, wzdymały i opadały, jak ciężko oddychająca pierś. Twarze starych portretów i porcelanowych lub kościanych bożków chińskich mieniły się i rozplływały jak zmarszczki na wodzie. Wewnętrzne drzwi były trochę nie domknięte i przez powstałą stąd szczelinę padało jasne, dzienne światło, przecinając wąską smugą mrok

skłębiony w głębi sklepowej izby i przypominając swoim kształtem jakiś ogromny, błyszczący palec.

Wreszcie Markheim przeniósł wzrok pełen obłądnego przerażenia na trupa swojej ofiary. Antykwariusz leżał skurczony, mimo iż kończyny miał wyciągnięte. Wydawał się tak mały, tak nieprawdopodobnie biedny i nędzny, jak gdyby protestował przeciwko swojej sylwetce za życia. W tym prawie żebraczym stroju, w tej żalosnej, nienaturalnej pozie leżał antykwariusz za ladą sklepową, niby kupa zgarniętych trocin. Markheim zrazu lękał się spojrzeć na trupa, teraz jednak patrzył na niego i... nic... Wszelako po dłuższym wpatrywaniu się w te stare łachmany i w niewielką kałużę krwi, poczuł, że zaczyna myśleć.

Tu leży biedny trup, tu wreszcie sobie wypocznie. Przestało już istnieć to, co wprawiało w ruch ten chytry i mądry mechanizm jego mięśni. Cudu już być nie może; musi tu leżeć tak długo, dopóki go ktoś nie znajdzie. A kiedy znajdą... co wtedy? Wówczas to martwe ciało rozniesie wieść po całym świecie, pościg ogarnie całą Anglię i zacznie się, niczym na zwierza, straszna nagonka na człowieka... Tak! żywy czy umarły, jest mi on równie wrogiem! Tak... tak... Był czas, kiedy mogłem mu głowę rozplatać. I słowo „czas” zacięło się w mózgu Markheima... Tak, był czas... a teraz jest już czas po spełnieniu czynu — czas, który przestał istnieć dla ofiary, a stał się palący, nieubłagany dla jej mordercy.

Jeszcze nie zdołała zgasnąć ta myśl w głowie Markheima, gdy zegary, jedne po drugich, jęły wybijać godzinę: jedne szybko, porywiście, w przyspieszonym rytmie, inne uroczyście, powoli i skandując. Jedne głębokim, przytłumionym basem jak stare katedralne zegary, inne ciekawym, nieśmiałym podzwiekiem; a zaś znów inne na drżących nutach wygrywały preludium staroświeckiego walca. Wszystkie zegary wybijały trzecią godzinę po południu.

Różnorodne dźwięki bijących zegarów, przerwawszy nagle martwą ciszę, obudziły świadomość mordercy. Wzdrygnął się Markheim i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem z płonąca świecą w ręku. Szły za nim drżące cienie, odbijając się wraz z jego twarzą w zawieszonych dookoła zwierciadłach. Mnóstwo przepięknych, drogocennych luster londyńskich, weneckich i amsterdamskich odbijało jego blade, przerażone oblicze. Zdawało się Markheimowi, że jest otoczony całą armią szpiegów. Jego oczy wbijały się w ich ślepie, odczytując swe własne wyrzuty sumienia i tajemnicę dokonanego mordu; odgłos własnych cichych kroków stał się dlań wprost nie do zniesienia. Gdy niemal automatycznie napełniał kieszeń, wzmogło się jego rozdrażnienie — odkrywał coraz to słabsze strony obmyślonego przedtem planu. Mógł przecież wybrać późniejszą porę, mógł przygotować lepiej swoje alibi, powinien być ostrożniejszy. Można było się obejść bez sztyletu czy noża. Można mu było na przykład zakneblować usta, by nie krzyczał o pomoc, ale mordować... To znowu zaczął rozważać, czy nie należało posunąć się dalej, być bardziej stanowczym i zabić również służącą antykwariusza. Słowem, powinien zupełnie inaczej postąpić. Gorzkie, bezpłodne żale, męczące i bezcelowe, targały mu rozum i duszę, gniołły mózg, budziły chorobliwe pragnienie zmiany tego, czego nie można było zmienić, wypracowania zupełnie nowego planu, który byłby już bezużyteczny, i powtórnego dokonania czynu, który już się spełnił. W miarę tych gorączkowych rozmyślań, jał go ogarniać zwierzęcy strach, ścinać na lód duszę i gryźć mózg dziwnymi halucynacjami obłąkanej wyobraźni. Chwilami miał wrażenie, że ciężka ręka policjanta opada na jego kark. Kurczyły mu się wtedy nerwy jak rybie schwytej na haczyk. Przed oczyma, jak w szybkim kalejdoskopie, przesuwały mu się obrazy: ława oskarżonych, więzienie, szubienica i czarny grób.

I nagle — jak zwycięska armia bezbronne miasto — osaczył go strach przed ludźmi z ulicy. To niemożliwe — myślał Markheim — aby najmniejszy odgłos walki nie doszedł do ich uszu i nie obudził ciekawości. Zdawało mu się, że we wszystkich sąsiednich domach ludzie zastygli w nieruchomych pozach i podsłuchują, co się dzieje w tym sklepie. Wierzył głęboko, że osoby spędzające samotnie dzień Bożego Narodzenia, pogrążone w swoich wspomnieniach o przeszłości, przerwały nagle nić miłych sercu rozpamiętywań i słodkich marzeń:

ohydny czyn dokonał się w ich sąsiedztwie! Szczęśliwa, pełna radości rodzina nagle skamieniała z przerażenia i umilkła. Siedzą przy świątecznym stole; matka jeszcze trzyma podniesiony palec wzywając do uwagi, a tam... ludzie wszelkich możliwych klas i zawodów, wszelkiej płci i wieku, wszyscy jak jeden milczą w duszy i oczekują — pragną ujrzeć jego, Markheima, na szubienicy; wszyscy oni gotowi pleść dla niego hańbiący sznur... Chwilami znowu zdawało mu się, że choćby jak najostrożniej i najciszej stapał, odgłos jego kroków dobiegnie do tych ludzi niechybnie. Szmer drżących na półkach wysokich czeskich kielichów rozlegał się w jego uszach niby dźwięk dzwonów, a tykanie zegarów wydało mu się tak natarczywe i drażniące, że zamierzał je wszystkie zatrzymać. Przerażony jego umysł mnożył z szybkością myśli coraz to nowe obawy, a sama cisza tego pomieszczenia wydała mu się groźna, złowieszcza, gotowa ze swoich mroków wyłonić nowe niebezpieczeństwo.

Taka cisza — rozpamiętywał nieszczęsny Markheim — powinna każdego zastanowić, powinna wszystkich przechodniów sparaliżować przerażeniem. Pod wpływem tych refleksji jął znowu stapać śmiało, przenosić z hałasem rzeczy, grzebiąc w skarbach nagromadzonych w sklepie i naśladując z talentem swobodne zachowanie się gospodarza w swym domu.

Jednak wyczerpany zupełnie, Markheim wreszcie zrozumiał, że jest bliski obłądu. Istotnie, jedna połowa mózgu pozostała jeszcze czynna, bystra i giętka, druga natomiast zaczynała omdlewać, tracąc swe zdolności. Szczególnie opętała go następująca halucynacja: błady z przerażenia sąsiad namiętnie przysłuchuje się, przylepiwszy twarz do szyby; przechodzień zaś, pod wpływem strasznego podejrzenia, zatrzymuje się na chodniku... A przecież oni mogli tylko przypuszczać, domyślać się — widzieć nie mogli. Przez grube, kamienne ściany i dębowe, szczelnie zapuszczone żaluzje zdołały się co najwyżej przedostać odgłosy. Ale tu w domu — czyż był zupełnie sam? Wiedział, tak, był tego pewien, jeszcze zanim tu wszedł. Widział, jak służąca antykwariusza, wystroiwszy się odświętnie szła na „wychodne”. Tak, jest sam w całym domu, niewątpliwie. A jednak w tym pustym sklepie, nad głową, Markheim wyraźnie słyszał jakiś szmer, ruch, jakieś ciche, ledwo słyszalne kroki. Odczuwał to, odczuwał dobitnie jakąś nieuchwytną obecność i to tak dobitnie, że w myślach śledził tę niewidzialną istotę z pokoju do pokoju, z kąta w kąt, po całym domu. Byłaż to bezkształtna postać, pozbawiona twarzy, a jednak patrząca? Czy też po prostu cień, jego własny cień, przesuwany się po całym domostwie w tym czasie, gdy on sam był w sklepie? A może nagle rozpoznał oblicze zamordowanego antykwariusza, dyszące chytrą, obleśną, pełną nienawiści.

Po pewnym czasie Markheim z ogromnym wysiłkiem zaczął się opanowywać. Przede wszystkim postanowił zbadać półotwarte drzwi, które go przerażały. Dom był wysoki — małe, zabrudzone okienko w suficie przepuszczało trochę światła. Mglisty dzień sączył się przez okno niskiego piętra i padał wąską smugą ledwo dostrzegalnego światła na próg uchylonych drzwi, łączących pokój ze sklepem. W tej smudze kołysał się drżący cień...

Nagle jakiś podchmielony jegomość z ulicy jął stukać główką trzcinowej laski w zewnętrzne drzwi wchodowe, wykrzykując przy tym dowcipy i wyzwiska pod adresem antykwariusza i chcąc zapewne w ten sposób wywołać go ze sklepu. Markheim zlodowaciał z przerażenia i tępym wzrokiem spojrzął na nieboszczyka. Starzec leżał nieruchomy; nie słyszał już stukania ani wykrzykników pijanego przechodnia. Odszedł daleko, utonął w bezgranicznym oceanie wiecznego milczenia i niepamięci. Imię jego — które wymienione przedtem choćby w czasie szalejącej burzy, zwróciłoby niewątpliwie jego uwagę — stało się pustym dźwiękiem nawet wśród tej grobowej ciszy. Na szczęście wesoły jegomość przestał stukać laską i odszedł.

Fakt ten jednak przemówił dobitnie: trzeba się śpieszyć i zrobić to, co jeszcze należało wykonać. Przede wszystkim zaś oddalić się jak najrychlej od trupa, zanurzyć się z głową w fale londyńskiego tłumu, a wieczorem dobić do bezpiecznej przystani, do domowych pieleszy na drugim końcu miasta. Jeden gość już był, drugi mógł nadejść lada chwila i ten drugi może się okazać bardziej ciekawy aniżeli pierwszy. Spełnić taki czyn i nie zebrać jego plonów —

byłoby istotnie naiwnością. Takiej pomyłki nie mógł się dopuścić w swym życiu. Pieniądze, pieniądze — oto co było jedynym celem zabiegów Markheima, klucze zaś — warunkiem niezbędnym.

Spojrzał poza siebie na uchylone nieco drzwi, wiodące do dalszych pokoi. Stał tam jeszcze cień kołyszający się, niejasny...

Po czym, bez żadnego moralnego wstrętu czy wyrzutów sumienia, Markheim drżący tylko fizycznie na całym ciele, podszedł do trupa i pochylił się nad nim. Ten bezkształtny, nieżyjący przedmiot przestał być prawie podobny do człowieka. Leżał na podłodze niby wór pełen trocin, z rozrzuconymi kończynami. Markheim szybko zabrał się do roboty. Podniósł trupa, obrócił go i położył na wznak. Ciało okazało się dziwnie lekkie, a członki — jak gdyby połamane — padając, przybrały śmieszne pozy. Twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu; blada jak wosk, z jednej skroni broczyła krew. To wzbudziło w Markheimie odrazę. Jedyna rzecz, która wywarła na nim nieprzyjemne wrażenie. Napłynęła fala wspomnień: jarmark w rybackiej wiosce, szary, mglisty dzień, dmący od morza wicher, pstry tłum wieśniaków posuwających się we wszystkich kierunkach. Grają fujarki, dźwięki dętych instrumentów napełniają powietrze, tam i sam rozlega się warkot bębnow ściągający ciekawą gawiedź do bud jarmarcznych i monotony, żałosny głos śpiewaków ulicznych.

A wśród tego tłumu zabłąkany ośmioletni chłopak, popychany przez ludzi i spozierający z lękiem i namiętą ciekawością na wystawione zabawki i towary. Dostał się wreszcie na wolniejsze miejsce i wraz z gawiedzią zatrzymał się przed obszerniejszą jarmarczną budą, gdzie rozwieszono ogromną tablicę z naklejonymi na niej afiszami i obrazkami. Były to nieudolnie malowane, jaskrawe bohomyzy, przedstawiające najokropniejsze sceny: „Rodzina Mannings i zamordowany gość”, „Weare w śmiertelnym uścisku Thurtella” i wiele innych podobnych tematów ze znanych kryminalnych historii. Wszystko to teraz stało mu przed oczyma żywo jak w ów niezapomniany dzień. Znów jest, jak wówczas, chłopcem patrzącym na te obrazy z uczuciem fizycznego wstrętu. Oglusza go łoskot bębnow, powraca motyw muzyki jarmarcznej. Opanowują go mdłości, nogi chwieją się, jest mu niedobrze, ale on musi tę słabość pokonać.

Wreszcie uznał, że najlepiej będzie spojrzeć śmiało w oblicze rzeczywistości. Nachylił się więc jak najniżej nad trupem i jał rozważać trzeźwo doniosłość popełnionego przestępstwa. Jeszcze nie tak dawno to martwe oblicze żyło odzwierciedlając precyzyjnie wszystkie wrażenia i uczucia tego człowieka. Te nieme i blade usta wypowiadały słowa, to ciało było niegdyś ruchliwe i pełne energii. A teraz... jego ręka zatrzymała to życie, jak zegarmistrz jednym dotknięciem palca zatrzymuje chód zegarów. Daremnie jednak rozważał i analizował swój czyn, najmniejsze uczucie skruchy nie obudziło się w jego duszy. Sumienie zamarło, a nawet jego serce, tak zawsze na zło wrażliwe, spokojnie i bez odrazy przyjmowało straszną rzeczywistość. Może, co najwyżej, miał trochę żalu do tego człowieka za to, że posiadając tak pierwszorzędne środki i warunki, nie umiał ich w życiu wyzyskać i teraz leży martwy!...

Porzuciwszy te rozmyślenia, Markheim odnalazł klucze i zbliżył się do uchylonych drzwi, które prowadziły do wewnętrznej sieni. Na dworze lał deszcz, a szum strumieni spadających z dachu rozlegał się głośnym echem po całym opuszczonym domu. Wszystkie pokoje sprawiały wrażenie jakichś wilgotnych pieczar, po których ścianach lały się strumienie wody, a szum ich zlewał się z tykaniem zegarów. Gdy Markheim zbliżał się do drzwi, zdawało mu się, że słyszy na schodach inne, jeszcze ostrożniejsze niż jego kroki. Miał nadto wrażenie, że w progu kołysze się cień. Wtedy Markheim zdobył się na nieprawdopodobny wysiłek i śmiało otworzył drzwi na oścież.

Matowe światło mglistego i pochmurnego dnia pełgało po kamiennej posadzce sieni. Słabym refleksem odbijało się w gładko wypolerowanej, średniowiecznej zbroi, okrywającej manekin, który stał na podeście schodów ze spuszczoną przyłbicą i halabardą w ręku. Tymczasem deszcz tak głośno uderzał po dachu, oknach i kominach i z takim łoskotem rozlegał

się po całym domu, że nerwowo napięty słuch Markheima zaczął rozróżniać w tym szumie deszczowym najprzedziwniejsze odgłosy. Kroki i westchnienia, miarowy tupot nóg maszerującego pułku, brzęk liczonych monet, skrzypnięcie cichutko zamykanych drzwi — wszystkie te szmery i odgłosy zlewały się z uderzeniami ciężkich kropel deszczu o szklaną kopułę dachu. Wrażenie, że nie jest sam, rosło i potęgowało się z każdą minutą, doprowadzając Markheima do stanu graniczącego z obłędem. Ze wszystkich stron osaczały go dowody jakiejś nieuchwytej obecności. Słyszał wyraźnie, jak te niewidzialne istoty posuwały się i chodziły po górnych pokojach, był pewien, że nieboszczyk wstaje... A gdy z nieludzkim wysiłkiem zaczął się wspinać po schodach, usłyszał wyraźnie czyjeś kroki przed sobą i inne, ścigające go uporczywie.

Gdybym był głuchy — myślał Markheim — o, jak spokojna byłaby moja dusza! Zaraz potem jednak zaczął się przysłuchiwać ponownie i to z chorobliwie spotęgowaną uwagą, błogosławiąc los za swe nerwy, które w ten sposób czuwają nad jego bezpieczeństwem.

Bezustannie odwracał głowę patrząc wstecz, w prawo i w lewo; oczy jego, gotowe z orbit wyskoczyć, spozierały na wszystkie strony łowiąc coś nieuchwytnego, coś, co ustawicznie zmieniał kierunek. Dwadzieścia cztery stopnie, wiodące na pierwsze piętro, zamieniły się dla Markheima w dwadzieścia cztery chwile śmiertelnej męki.

Tu, na pierwszym piętrze, drzwi wychodzące na korytarz były na oścież otwarte. Trzy pary drzwi zionęły czarnymi czeluściami, podobne do trzech ogromnych gardzieli armatnich. To mu do reszty rozklekotało nerwy. Zrozumiał wówczas, że już nigdy nie będzie się czuł dostatecznie opancerzony przed ciekawym i przenikliwym okiem człowieka. Jakaś siła tajemna ciągnęła go do domu, gdzie mógłby zamknąć się w czterech ścianach swego pokoju, zatonać w pościeli i stać się niewidzialnym dla wszystkich oprócz jednego Boga. Nad tą ostatnią myślą Markheim się z lekka zadumał, jał sobie przypominać opowiadania o znanych zbrodniarzach, o tym piekielnym lęku ogarniającym ich na myśl o zemście niebios. Ale Markheimowi obcą była ta myśl. Obawiał się raczej, aby sama natura ze swoimi niezmiennymi prawami nie zdradziła go, nie odkryła jego zbrodni z niewątpliwą oczywistością. A jeszcze bardziej lękał się na myśl, że ta natura, pragnąc go zgubić, dobrowolnie naruszy swoje prawa, aby tym pewniej skazać go na śmierć. Prowadził grę opartą na kalkulacji, na ścisłej zależności skutków od przyczyn. A cóż, jeśli natura jak pokonany tyran przewróci szachownicę ze wszystkimi pionkami, mszcząc się w ten sposób za pogwałcenie jej odwiecznych praw? Przecież to samo, jak twierdzą historycy, zdarzyło się Napoleonowi, gdy przedwczesna zima pokrzyżowała wszystkie jego plany. Podobny los czekałby Markheima, gdyby murowane ściany domu stały się nagle jak kryształ przezroczyste i wszystkie jego poczynania odsłoniły przed światem jak pszczoły w szklanym ulu; gdyby mocne belki podłogi usunęły mu się spod nóg i jak lotne piaski uwięziły go w swoim zdradliwym potrzasku. I co wtedy?... A przecież groziły mu jeszcze straszniejsze wypadki, które mogły go zniszczyć, zabić. Mógł się na przykład zapaść dom i pogrzebać go żywcem wraz z zamordowanym antykwariuszem; mogła się zapalić sąsiednia kamienica, a straż pożarna, otoczywszy sklep, wdarłaby się do środka... Oto — czego lękał się Markheim! Oczywiście, z pewnego punktu widzenia, można by to nazwać palcem boskim karzącym grzech. Markheim jednak wiedział, że jego zbrodnia była nadzwyczajna, jak nadzwyczajnymi były jej motywy, znane wyłącznie Bogu — i tylko od Boga oczekiwał sprawiedliwości i miłosierdzia, żadnych zaś względów od ludzi.

Gdy wreszcie dostał się szczęśliwie do salonu i dokładnie zamknął za sobą drzwi, poczuł pewną ulgę. Pokój przedstawiał obraz opuszczenia — ogołocony z dywanów, zavalony skrzyniami i meblami różnego rodzaju. Wisiały tam nadto liczne zwierciadła, w których Markheim widział siebie jak aktora na scenie. Mnóstwo starych obrazów w ramach i bez ram spoczywało na podłodze frontem do ścian; stał tam przepyszny kredens roboty Sheratona, komoda mozaiką kryta i wielkie, stare łoże z baldachimem. Okna pokoju sięgały aż do podłogi i otwierały się jak drzwi. Na szczęście dolna ich część była zasłonięta żaluzjami, co unie-

możliwiało sąsiadom zaglądnąć do wnętrza. Ustawiając skrzynkę przed komodą, Markheim ją dobierał klucze. Sprawa była niełatwa, kluczy bowiem wałało się wiele i trud mógł się okazać bezowocny. Cenny czas zaś uciekał. Zajęcie wymagało wyjątkowej uwagi, toteż Markheim z miejsca otrzeźwiał. Kątem oka widział teraz drzwi. Od czasu do czasu spozierał na nie spokojnie jak dowódca oblężonej fortecy pewien jej obronności. Był w stanie równowagi ducha; szum deszczu na ulicy wydawał mu się naturalny, a nawet przyjemny. Ktoś w sąsiedztwie wiał akord na pianinie, a chór dziecięcych głosów zabrzmiał świąteczną pieśnią. Co za przepiękna i kojąca melodia! Jakże świeże i czyste są te głosy pacholące! Markheim przysłuchiwał się kolędzie z uśmiechem, jednocześnie dobierając klucze. W jego wyobraźni rozłożyły się sceny odpowiadające nastrojowi świątecznemu. Oto gromadka dzieci zdążających do kościoła... Organy grają uroczyście, dziatwa to śpiewa chórem, to znów ugania po polu, kapie się przy brzegu ruczaju lub puszcza latawce aż pod same gnane wiatrem obłoki... Z nowym akordem pieśni pojawił się znów tłum idący do kościoła — uroczysta msza w niedzielne, letnie poranki; miły, wysoki głos księdza (tak miły, że aż wywołuje uśmiech) i na kazalnicy zatarte litery dekalogu.

Pogrążony w marzeniach, Markheim drgnął nagle. Krew uderzyła mu do głowy, dreszcz przeszedł całe ciało, nogi się pod nim ugięły. Usłyszał najwyraźniej miarowe, powolne kroki na schodach... Ktoś chwycił za klamkę i oto... cichutko uchylają się drzwi...

Piekielny lęk opanował mordercę. Mógł oczekiwać wszystkiego: czyżby powstał nieboszczyk? A może to funkcjonariusze policji lub jakiś przypadkowy świadek zbrodni, który go chce oddać w ręce sprawiedliwości, na szubienicę?... Nagle wychyliła się jakaś twarz, popatrzyła dookoła i uśmiechnawszy się po przyjacielsku do Markheima, znikła za drzwiami, które się bez szelestu zamknęły. Markheim nie mógł już dłużej nad sobą panować. Straszny, ochrypliły wrzask wydobył się z jego piersi. Na ten krzyk dziwny gość powrócił.

— Czy pan mnie wzywał? — zapytał z przyjaznym uśmiechem nieznajomy, po czym wszedł do pokoju, zamykając troskliwie za sobą drzwi.

Markheim wstał i patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma. Niedowierzał sobie. Zdawało mu się tylko, że rysy twarzy nieznajomego zmieniają się i rozplývają, jak w sklepie przy migotliwym płomieniu świecy oblicza portretów i bożków. Chwilami ta twarz wydawała się znajoma, potem znów obca, wreszcie podobna do niego samego. Przez cały ten czas Markheim czuł w piersiach lodowaty kamień przerażenia; był pewien, że istota owa nie pochodzi ani od ziemi, ani od Boga.

A jednak był to człowiek noszący wszelkie cechy codzienności. Nieznajomy dobrodusznie uśmiechając się do Markheima, zagadnął uprzejmie:

— Pan, o ile się nie mylę, szuka pieniędzy?

Markheim nic na to nie odpowiedział.

— Czuję się w obowiązku — ciągnął dalej nieznajomy — ostrzec, że służąca antykwariusza, pożegnawszy swego kochanka wcześniej niż zazwyczaj, niebawem tu przyjdzie. A jeśli zastanie pana Markheima w tym domu... sądzę, że zbyteczne byłoby mówić o konsekwencjach.

— Skąd pan mnie zna? — wykrzyknął morderca.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Jesteś od dawna moim faworytem. Śledzę cię już długo i niejednokrotnie byłem ci nawet pomocny.

— Kim pan jest? Diabłem? — zawołał Markheim.

— Kim ja jestem? A czyż to nie wszystko jedno? — rzeki nieznajomy. — To nie ma najmniejszego znaczenia wobec usługi, którą chcę ci wyświadczyć.

— Przeciwnie, według mnie ma, i to ogromne — wybuchnął Markheim. — Przyjąć pomoc od pana?! Nie, nigdy w życiu! Pan, jak widzę, jeszcze mnie nie zna i... Bogu dzięki!

— Ja cię znam aż do najgłębszych tajników twojej duszy — odparł nieznajomy.

— Mnie? — zawołał Markheim. — Któż może to udowodnić? Całe moje życie to tylko maska! Żyłem jedynie po to, by okłamywać samego siebie. Wszyscy tak postępują. Wszyscy ludzie w gruncie rzeczy są lepsi aniżeli ich zewnętrzne oblicze, niż krępujące ich pozory. Każdego życie tłamsi, narzuca mu przebranie. Gdyby ludzie mogli kierować własnym przeznaczeniem, mielibyśmy tylko świętych i bohaterów! Co do mnie — może jestem gorszy od innych, może więcej popełniam grzechów, ale prawda moja wiadoma jest tylko mnie i Bogu! Gdybym miał więcej czasu, to bym ją panu wyjawiał.

— Mnie? — spytał nieznajomy.

— Tak! przede wszystkim panu — potwierdził Markheim. — Przypuszczam, że pan jest mądry i może mnie zrozumieć. Skoro już pan istnieje, powinien pan umieć czytać w sercach ludzkich, a tymczasem, jak widzę, chce mnie pan sądzić według czynów. Urodziłem się i żyłem w kraju olbrzymów, którzy mnie od kolebki wiedli za rękę, wbrew mojej woli, nie pytając o zgodę. Te olbrzymy to warunki i okoliczności, kierujące życiem człowieka. I pan chce mnie sądzić według czynów? Czyżby nie umiał pan sięgnąć głębiej, w samą duszę człowieka? Czyżby pan nie mógł zrozumieć, że wszelkie zło jest mi nienawistne? Czyż nie dostrzega pan we mnie jasnych konturów sumienia? Wprawdzie często nic słuchałem jego głosu, ale też nigdy nie skaziłem go żadnymi sofizmatami. Czy nie widzi pan wreszcie, iż jestem mimowolnym grzesznikiem?

— Nie zaprzeczam — odparł nieznajomy — wszystko to brzmi przekonująco. Ale nic mnie to nie obchodzi. Wszystkie tego rodzaju psychologiczne subtelnosci nie należą do moich kompetencji. Nie interesuje mnie wcale, jakim zbiegiem okoliczności czy też z jakich powodów szedłeś w tę lub inną stronę. Dla mnie jest ważne jedynie, jaką obierzesz drogę. Ale czas leci! Wprawdzie służąca może się cokolwiek spóźnić patrząc na twarze przechodniów i zatrzymując się przed wystawionymi w witrynach magazynów obrazami, ale przecież zbliża się ciągle. Wkrótce przybędzie. Pamiętaj: to tak, jak by sama szubienica szła do ciebie od świętymi ulicami Londynu. A więc pomoc ci? Wskazać, gdzie są schowane pieniądze? Ja wiem wszystko dokładnie.

— Jaka jest pańska cena za tę usługę? — zapytał Markheim.

— Ofiaruję ci ją jako podarunek świąteczny — odparł nieznajomy.

Markheim nie mógł się powstrzymać od gorzkiego uśmiechu.

— Nie — oświadczył kategorycznie — niczego od pana nie przyjmę i gdybym nawet umierał z pragnienia, a pańska ręka podawałaby życiodajny napój, dożyłbym jeszcze siły, by odrzucić pomoc. Możliwe, że zbyt ufam swym siłom, w każdym razie nie zrobię nic takiego, co by panu pozwoliło powiedzieć, że świadomie i dobrowolnie zaprzedałem się złu.

— Nie wzbraniam ci przedśmiertnej pokuty — zauważył nieznajomy.

— Zapewne dlatego, że pan nie wierzy w rzeczywistość i skuteczność mojej skruchy! — zawołał Markheim.

— Ja tego nie mówię — podkreślił gość. — Patrzę na te sprawy z innego punktu widzenia; wraz ze śmiercią kończy się moje zainteresowanie. Człowiek żył i służył mi, wygłaszając złe doktryny i ciemne poglądy pod pokrywką religii lub siał kłokol na bożej niwie, dogadzając swoim popędom dla celów użycia i rozkoszy. Ale w chwili zbliżającego się wyzwolenia może mi oddać jeszcze jedną przysługę; może poddać się skrusze i umrzeć z uśmiechem na ustach. Nie jestem złym panem. Spróbuj. Zechciej przyjąć ode mnie pomoc i rozkoszuj się życiem pełniej, szerzej, pozwalając sobie na wszystko. Nie zdradzę cię. A gdy zapadnie noc, zobaczysz, jak ci lekko przyjdzie uspokoić wzburzone sumienie i zawrzeć pakt z Bogiem. Byłem przed chwilą w domu umierającego. Widziałem pokój pełen rodziny i przyjaciół płaczących szczerze i z zapartym oddechem łowiących ostatnie słowa konającego. A kiedy popatrzyłem w twarz temu człowiekowi, który przez całe życie nie rozumiał, co znaczy współczucie i miłosierdzie, ujrzałem, że twarz ta pogodnie się uśmiecha, rozświetlona nadzieją.

— I pan przypuszcza — zapytał Markheim — że ja jestem do niego podobny? Pan

myśli, że nie mam wyższych dążeń, jak tylko grzeszyć i grzeszyć, by pod koniec niczym zmi-ja prześliznąć się do raju? Moja dusza wzdyga się na podobną myśl. Czyżby to był pański ostateczny sąd o ludzkim rodzie? A może zobaczywszy moje ręce umazane krwią, uważa mnie pan za zdolnego do najgorszej ohydy? Czyżby zamordowanie człowieka było aż tak strasznym przestępstwem, że niweczy w człowieku wszelkie źródło dobra?

— Dla mnie zabójstwo nie stanowi specjalnej kategorii — odparł nieznajomy. — W istocie wszystkie grzechy są morderstwem, podobnie jak całe życie jest walką. Ród ludzki jest jak garstka rozbitków skazanych wśród szalejącego oceanu na śmierć głodową. Wszyscy wyrwacie sobie z ust ostatni kęs, by przeżyć kosztem bliźniego. Siedząc nie tyle sam akt grzechu co jego następstwa, doszedłem do przekonania, że w ostatecznym rezultacie każdy grzech pociąga za sobą śmierć. Według mnie nawet młode dziewczę sprzecząc się z własną matką na temat jakiegoś balu również, chociaż może w sposób mniej oczywisty, brudzi ręce ludzką krwią. Mówiłem ci, że śledzę grzech... Śledzę także i cnotę i w gruncie rzeczy nie znajduję różnicy między grzechem a cnotą; jedno i drugie jest kosą w rękach anioła śmierci. To zło, dzięki któremu istnieję, tkwi nie w czynie, a w samym charakterze przestępcy. Drogi jest mi każdy złodziej, ale nie jego złodziejstwo, którego plony — jeśli byśmy zdołali śledzić je w przyszłości na tle różnych kolei losu — mogłyby się okazać bardziej błogosławionymi niż plony wielkich zalet i cnót. A teraz proponuję ci zagwarantowanie bezpieczeństwa i możliwość rozkoszowania się życiem nie dlatego, żeś zabił człowieka, ale że jesteś Markheim.

— Chcę panu powiedzieć całą prawdę — rzekł Markheim. — Zabójstwo, na którym mnie pan schwycił, to ostatnie ogniwo. Droga do niego nauczyła mnie wiele, ono samo zaś stanowi dla mnie poglądową lekcję o kolosalnym znaczeniu, lekcję, której nigdy nie zapomnę. Do tej pory kierował mną bunt — i zbuntowany niesprawiedliwością losu, często czyniłem to, czegom nie chciałem. Nędza wypaczyła mnie, stałem się jej niewolnikiem; gniołła mnie, chłoszcząc swoim bezlitosnym biczem. Są oczywiście silne natury, które umieją zwalczać pokusy i skłonności, niestety, nie należę do nich. Porywa mnie żądza rozkoszy. Ale od dziś stanę się bogaty, a dzięki temu będę miał siłę być sobą. Teraz otwiera się przede mną rozkosz swobody i działania i widzę już siebie zupełnie innym, zupełnie nowym człowiekiem! Te ręce staną się orężem dobra, to serce napełni się pogodą, miłością i współczuciem dla bliźnich. Czuję, jak wraca do mnie przeszłość: dźwięki organów, wzruszenia nad piękną lekturą, rozmowy z matką... Staje mi przed oczyma całe moje życie; błądziłem tyle lat. ale teraz widzę już miasto mego przeznaczenia.

— Zapewne ponownie puścisz te pieniądze na giełdzie — zauważył nieznajomy. — Jeśli się nie mylę, toś już jeden tysiąc funtów przegrał!...

— O tym wspominać nie warto — rzekł Markheim. — Teraz dopiero będę grał naprawdę.

— I tym razem przegrasz — spokojnie i z przekonaniem podkreślił nieznajomy.

— Zachowam połowę!

— Przegrasz i tę połowę — odparł gość.

Przy tych słowach zimny pot wystąpił Markheimowi na czoło.

— Dobrze! — zawołał zbrodniarz — i co z tego? Przypuśćmy, że przegram wszystko, że znowu wpadnę w nędzę. Czyż dlatego przez całe życie ma we mnie zwyciężać zło dławiąc wszystko dobre, czyste i piękne? Cnota i grzech równie silne są we mnie. Dlaczego mam kochać tylko jedną stronę? Kocham wszystko. Mogę zrozumieć wielkie czyny, wielką ascezę, wielkie męczeństwa. A choć obecnie dopuściłem się zbrodni, to jednak nie jest mi obce współczucie. Żałuję biednych, bo i któż lepiej ode mnie może zrozumieć ich cierpienia? Cenię miłość, kocham uczciwy, szczery śmiech. I nie ma na świecie takiego piękna, dobra, szlachetności, która by echa nie znalazła w moim sercu. Dlaczegoż by wyłącznie moje złe cechy miały kierować moim życiem, a cnota stać się bezużytecznym rupieciem? Nie, nie! Dobro może być także źródłem czynów człowieka.

— Trzydzieści sześć lat żyjesz na tym świecie — zaczął nieznajomy, podniósłszy palec do góry. — Śledziłem cię wśród różnych kolei życia. Piętnaście lat temu byłbyś się wzdrygał na myśl o kradzieży, a jeszcze przed trzema laty pobladłbyś na sam dźwięk słowa „morderca”. A teraz nie ma takiej zbrodni ani takiego przestępstwa, przed którym byś się cofnął... Mogę ci dostarczyć konkretnych dowodów z ubiegłych pięciu lat. W dół, po równi pochyłej toczy się twoja droga — i nic oprócz śmierci nie może cię ocalić.

— Tak, to prawda — zachrypiał Markheim — ja istotnie nawykłem do złego. Ale wszyscy są tacy; nawet święci w zetknięciu z życiem poddawali się pokusom, stając się podobnymi do otoczenia.

— Pragnę ci zadać jedno proste pytanie — przerwał nieznajomy — i stosownie do twojej odpowiedzi postawię ci horoskop moralny. Niewątpliwie często bywałeś zbyt miękki względem siebie; może i słusznie. Ale powiedz mi szczerze, czy zaszedł w twoim życiu choćby jeden, najbliższy wypadek, gdzie dobro wzięło górę nad złem?

— Nie było ani jednego — odpowiedział zrezygnowany Markheim. — Nigdy, w niczym — powtórzył z tępą rozpaczą. — Staczałem się coraz niżej i niżej.

— Jeśli tak — rzekł nieznajomy — to mój sąd odpowiada rzeczywistości. Już nigdy się nie poprawisz. Twoja rola na tym świecie jest inna. Od upadku do upadku — oto, co nieodwołalnie napisano w księdze twego przeznaczenia.

Markheim długo milczał, pogrążony w ponurej, mrocznej zadumie. Podjął ponownie nieznajomy:

— A więc już nie trzeba ci wskazywać, gdzie są pieniądze?

— A łaska? — zawołał Markheim.

— A czyś nie próbował tego środka ocalenia?! Czyż nie widziałem cię przed dwoma, trzema laty, przemawiającego na mityngach „Duchowego Odrodzenia” i śpiewającego hymn pokuty?

— Tak, ma pan słuszność — rzekł Markheim. — Teraz widzę jasno, co mam czynić i jak spłacać swój dług. Dziękuję panu za tę naukę z całego serca. Moje oczy przejrzały. Na koniec widzę siebie takim, jakim jestem istotnie.

W tej chwili rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Jak gdyby na umówiony z góry sygnał, dziwny gość zmienił nagle swoje dotychczasowe postępowanie.

— To służąca! — zawołał. — Jak widzisz, wróciła już, przed czym zresztą ostrzegałem cię w porę. Teraz nadeszła ciężka chwila. Za wszelką cenę powinieneś starać się nie dopuścić, żeby się czegoś domyśliła. Powinieneś spokojnym, zupełnie opanowanym głosem powiedzieć, że gospodarz zachorował. Tylko bez żadnych uśmiechów i sztuczności, a rękę za sukces. Gdy wejdzie do sieni i drzwi się zamkną, to dzięki swojej sprawności, tak świetnie wypróbowanej na antykwariuszu, nietrudno ci będzie usunąć tego ostatniego niewygodnego świadka... Po spełnieniu tego czynu będziesz miał do dyspozycji cały wieczór, a może i całą noc. Wówczas z łatwością, uniósłszy stąd wszystkie skarby, zatrzesz po sobie wszelkie ślady. A więc dalej, mój przyjacielu! Twoje życie wisi na włosku. Do dzieła...

Markheim wpatrywał się w swego doradcę.

— Jeśli mi sądzone wyłącznie zło, to mam jeszcze jeden sposób wyjścia z tego położenia. Mogę wyrzec się wszelkich czynów. Jeśli moje życie wiąże się tylko z grzechem, mogę to życie zatrzymać. Chociaż, jak pan słusznie zauważył, ulegam pokusom, to mimo wszystko, jednym zdecydowanym ruchem mogę stanąć poza wszelką pokusą. Twierdzi pan, że moja miłość dobra skazana jest na bezpłodność? Możliwe, ale jednocześnie z tą miłością żyje we mnie i nienawiść grzechu i dzięki niej, ku pańskiemu rozczarowaniu, zdobędę się na tyle energii i decyzji, aby to zło pokonać.

Przy tych słowach w fizjonomii gościa zaszła kompletna zmiana. Twarz stała się miękka i jaśniejsza, zawitał na niej jakiś wyraz triumfu zmieszany z ciepłym, głębokim wzruszeniem. Na koniec nieznajomy zaczął się rozpląwać niby mgła. Ale Markheim już go nie śle-

dził, ani się starał zrozumieć tę przemianę. Otworzył drzwi na korytarz i pogrążony w głębokiej zadumie, zaczął schodzić powoli ze schodów. Cała przeszłość stanęła mu przed oczyma; ujrzał ją taką, jaką była w rzeczywistości: szpetną i nieprawdopodobną jak koszmar, przypadkową jak pstra mieszanina — jedną wielką porażkę. Życie nie miało już dlań uroku; pociągał go raczej odległy brzeg cichej przystani. W sieni zatrzymał się i spojrzął na sklep, gdzie na kontuarze przed trupem paliła się jeszcze świeca. Panowało głębokie milczenie. Markheim stał i patrzył na nieboszczyka, aż mu się zakręciło w głowie. Nagle zabrzmiał dzwonek, ale już głośniejszy i bardziej natarczywie.

Markheim wpadł na służącą i rzekł z grymasem na twarzy, trochę podobnym do uśmiechu:

— Zabiłem gospodarza. Proszę wezwać policję.

Przełożył Roman Zrębowski

FRANCIS MARION CRAWFORD

Francis Marion Crawford (1854—1909) urodził się we Włoszech jako syn wybitnego amerykańskiego rzeźbiarza. Studiował w Ameryce i w Europie, przez większą część życia mieszkał w Sorrento. Napisał przeszło czterdzieści poczytnych romansów, których akcja rozgrywa się najczęściej w kosmopolitycznych sferach Europy. Najbardziej znane z nich to „Saracinesca” (1887) i „Don Orsino” (1892). Jest także autorem tomu opowiadań fantastycznych zatytułowanego „Wędrowne duchy” (1911).

WRZESZCZĄCA CZASZKA

Często słyszałem jej wrzask. Nie, nie jestem nerwowy, nie daję się ponosić wyobraźni i nigdy nie wierzyłem w duchy, chyba że ona jest duchem. Obojętne jednak czym jest, nienawidzi mnie prawie tak samo, jak nienawidziła Lukasa Pratta, a poza tym wrzeszczy na mój widok.

Gdybym był tobą, nigdy nie opowiadałbym koszmarnych historii o wymyślnych sposobach zabijania ludzi, bo skąd można wiedzieć, czy akurat ktoś z siedzących przy stole nie ma dość któregoś ze swoich bliskich. Od dawna robię sobie wyrzuty z powodu śmierci pani Pratt i wydaje mi się, że przynajmniej w pewnym sensie ponoszę za nią odpowiedzialność, chociaż Bóg mi świadkiem, zawsze życzyłem jej jak najlepiej.

Gdybym nie opowiadał tej historii, pani Pratt mogłaby żyć jeszcze dzisiaj. I przypuszczam, że właśnie dlatego ta czaszka wrzeszczy na mnie.

Pani Pratt była to dobra, przyjemna, mała kobieta o miłym usposobieniu i łagodnie brzmiącym głose. Dobrze jednak pamiętam jej przeraźliwy krzyk, kiedy raz wydawało się, że jej mały synek został zabity z pistoletu, który nagle wypalił, chociaż wszyscy sądzili, że nie jest nabyty. Był to ten sam krzyk, dokładnie ten sam, z tym wznoszeniem się tonu pod koniec. Czy rozumiesz, co mam na myśli? Sądzę, że na pewno.

Mówiąc szczerze, zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że doktora nie łączyły najlepsze stosunki z żoną. Podczas moich wizyt u nich czasem się zdarzało, iż się posprzeczali. Dość często bywałem świadkiem, jak pani Pratt oblewała się krwistym rumieńcem i zagryzała z całych sił wargi, żeby nie wybuchnąć, a Lukas bladł i wymyślał w najokropniejszy sposób. Ale o ile dobrze pamiętam, miał takie usposobienie już jako dziecko, a potem w szkole obserwowałem to samo. Wiesz zapewne, że Lukas był moim kuzynem. Dlatego stałem się właścicie-

lem tego domu. Kiedy on zmarł, a jego syn Karol poległ w Południowej Afryce, nie pozostał nikt z bliższej rodziny. Tak, to wcale ładna mała posiadłość. Akurat odpowiednia dla starego marynarza, który zabrał się do ogrodnictwa.

Zawsze lepiej pamięta się popełnione omyłki niż najsprytniejsze pociągnięcia. Nie uważasz? Wiele razy się o tym przekonałem. Kiedyś jadłem obiad u Prattów i opowiedziałem im historię, która miała pociągnąć za sobą tak potworne następstwa. Był wilgotny listopadowy wieczór. Morze przewalało się z hukiem. Pssst! Nie mów nic, to usłyszysz, jak huczy...

Słyszysz? Przyplływ się zaczął. Ponuro to brzmi, co? Czasem o tej porze roku... O! Otóż i ona! Nie przerażaj się, człowieku, nie zje cię. Przecież to tylko wrzask! A jednak cieszę się, że ją usłyszałeś. Ludzie zawsze mówią, że to wiatr, moja imaginacja albo coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że tej nocy już jej nie usłyszysz, bo przeważnie tylko raz daje znać o sobie. Tak. Teraz dobrze. Dorzuć do ognia nowe polano i dolej więcej rumu do tej wodnistej mikstury, co ci tak smakuje. Czy pamiętasz jeszcze starego Blauklota, cieślę z tego niemieckiego statku, który wyłowił nas, gdy „Clontarf” poszedł na dno? Pewnej burzliwej nocy, kiedy dął choleryczny wiatr, siedzieliśmy sobie w kajucie spokojniutko jak u Pana Boga za piecem. Do najbliższego lądu było pięćset mil, a cały statek chodził regularnie jak zegarek: raz w górę, raz w dół. „Szał mi pietnych luci na łącie, klopocy, w taka noc!”, oświadczył stary Blauklot, wychodząc ze swej kajuty razem z żaglomistrzem. Teraz, kiedy już jestem na dobre na lądzie, często o tym myślę.

Tak. To był właśnie taki wieczór. Siedziałem w domu i czekałem, żeby poprowadzić „Olimpię” w pierwszy rejs. Ale chyba pamiętasz, że dopiero w drugim pobiła rekord. Zaraz, zaraz, to mi przypomina dokładną datę. Tak. To było na początku listopada tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Pogoda była ohydna, Pratt nie w humorze, obiad bardziej niż kiepski, co bynajmniej nie wpłynęło na polepszenie nastroju, i do tego zupełnie zimny, co jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Biedna mała kobietka ogromnie się martwiła z tego powodu. Oświadczyła, że zamiast surowej kalarepy i nie dogotowanej baraniny, poda nam królika. Pratt musiał mieć ciężki dzień. Może jakiś pacjent mu umarł. W każdym razie był w paskudnym humorze.

— Jak sam widzisz, moja żona próbuje mnie otruć! I może jej się to uda pewnego dnia! — oświadczył.

Uwaga ta mocno ją dotknęła, obróciłem więc wszystko w żart i dodałem, że pani Pratt jest zbyt mądra, żeby pozbywać się męża w tak mało skomplikowany sposób. A potem zacząłem im opowiadać o różnych japońskich sztuczkach ze szkłem wyciągniętym w cieniutkie, delikatne niteczki, z siekanym końskim włosiem i inne podobne historie.

Pratt był lekarzem i wiedział na ten temat znacznie więcej ode mnie, ale to tylko dodawało mi bodźca. W końcu opowiedziałem im historię o pewnej Irlandce, która zdążyła wyprawić na tamten świat trzech mężów, zanim ktokolwiek zaczął coś podejrzewać.

— Czy słyszałeś kiedy o tej sprawie? Dopiero czwarty mąż udał, że śpi i przyłapał ją na gorącym uczynku. Powieszono tę kobietę. Pytasz, jak to robiła? Dawała im środek nasenny, a potem przez maleńki lejeczek wlewała do ucha roztopiony ołów... Nie, to wiatr wyje. Znowu dmie na południe. Poznają po dźwięku. A poza tym, tamto nigdy nie powtarza się dwa razy tego samego wieczoru, nawet o tej porze roku, kiedy się to wydarzyło. Tak, to się stało w listopadzie. Biedna pani Pratt umarła nagle, w swym łóżku, dosłownie parę dni po tym, jak jadłem u nich obiad. Nie potrafię ściśle określić daty. Wiadomość dotarła do mnie w Nowym Jorku. Opowiedział mi o tym ktoś ze statku, który wyszedł z portu po „Olimpii”. To był pierwszy rejs „Olimpii”. Ty objąłeś tego roku „Leofrica”, co? Tak, pamiętam. Pomyśl, jak się cholernie starzejemy! Minęło już prawie pięćdziesiąt lat od czasu, jak byliśmy chłopcami okrętowymi na „Clontarfie”! Czy potrafisz kiedykolwiek zapomnieć starego Blauklota? „Szał mi pietnych luci na łącie, klopocy”...

Ha! ha! Dolejże sobie trochę! Przecież pijesz samą wodę! To ten wystąpił hulstkamp,

który znalazłem w piwnicy, kiedy dom mi się dostał. Ten sam, co dwadzieścia pięć lat temu przywiozłem Lukasowi z Amsterdamu. Nigdy nie skosztował ani kropelki. Może teraz tego żałuje, biedaczysko!

Na czym to ja stanąłem? Aha! Mówiłem ci, że ta pani Pratt nagle umarła. Wydawało mi się, że po jej śmierci Lukas na pewno będzie się tu czuł bardzo samotnie. Dość często przyjeżdżałem zobaczyć, co u niego słychać. Wyglądał źle i stale był podenerwowany. Opowiadał mi, że jego praktyka tak się rozrasta, iż tylko z trudem może jej podobać, ale za żadną cenę nie chciał się zgodzić na przyjęcie asystenta. Lata mijały, jego syn został zabity w Południowej Afryce, a potem on sam zaczął coraz bardziej dziwaczeć. Było w nim coś, czego nie można by się dopatrzeć u innych ludzi. Wydaje mi się, że w sprawach zawodowych potrafił zachować jasność umysłu do samego końca. Nikt nigdy się nie skarżył, żeby popełnił choć najmniejszą omyłkę czy coś w tym rodzaju, ale jego wygląd...

W młodości Lukas miał rude włosy i bardzo bladą cerę. Nigdy nie był otyły. W średnim wieku posiwiął, a po śmierci syna zaczął tak gwałtownie chudnąć, że w końcu jego głowa wyglądała jak czaszka pokryta ściśle przylegającym do niej pergaminem. W oczach czały mu się jakieś dziwne błyski, że aż człowiekowi zimno się robiło, jak na to patrzył.

Miał starego psa, ulubieńca biednej pani Pratt, który ani na krok jej nie odstępował. Był to buldog, stworzenie o najłagodniejszym usposobieniu, jakie kiedykolwiek spotkałeś; chociaż miał zwyczaj podnosić górną wargę, która zaczepiała mu się o jeden z zębów, co pięknie przerażało obcych. Czasami wieczorem Pratt i Bumble — tak nazywał się ten buldog — siadywali naprzeciw siebie i zaczęli się sobie przyglądać. Wydaje mi się, że rozmyślali o dawnych czasach, kiedy żona Lukasa w tym fotelu, na którym ty teraz siedzisz, spędzała całe wieczory. To było zawsze jej miejsce, a tu gdzie ja, siadywał doktor. Bumble powoli wdrapywał się na fotel, musiał gramolić się po podnóżku, bo był stary i tłusty i nic potrafił skakać. Chwiały mu się już wszystkie zęby. Siadał i uporczywie wpatrywał się w Pratta, a Lukas tak samo w psa, przy czym jego twarz coraz bardziej upodabniała się do czaszki z dwoma małymi węgielkami w miejsce oczu. Mniej więcej po pięciu minutach, czasem prędzej, stary Bumble ni z tego ni z owego zaczynał się trząść i potwornie wyć, jak by go co najmniej postrzelono. Potem zeskakiwał z fotela, uciekał, chował się pod kredens i leżał tam wydając jakieś przedziwne odgłosy.

Mogę powiedzieć, biorąc pod uwagę wygląd Pratta w tych ostatnich miesiącach, że nie było w tym nic dziwnego. Nie jestem łatwowierny ani nie mam rozhuśtanej wyobraźni, ale potrafię uwierzyć, że mógł wrażliwą kobietę doprowadzić do ataku hysterii. Jego głowa do złudzenia przypominała czaszkę obciążoną pergaminem.

Wreszcie zjawiłem się tam pewnego dnia przed Bożym Narodzeniem. Mój statek poszedł do doków, i dostałem trzy tygodnie urlopu. Nigdzie nie zauważyłem Bumble'a, więc powiedziałem ot tak sobie, bez żadnej ukrytej myśli, że pewnie stary pies nie żyje.

— Tak — odpowiedział Pratt.

A ja, zanim jeszcze po krótkiej pauzie zaczął mówić dalej, pomyślałem sobie, że jego ton ma jakąś niezwykłą nutę.

— Zabiłem go — powiedział po chwili. — Nie mogłem tego dłużej znieść.

Zapytałem, czego nie mógł znieść, chociaż domyślałem się, o co mu chodziło.

— Miał zwyczaj siadać w tym fotelu i świdrować mnie oczami. A potem zaczynał wyć. — W tym momencie Lukas wzdrygnął się lekko. — Ale on naprawdę wcale nie cierpiał. Biedny, stary Bumble! — ciągnął szybko dalej, jak by się bojąc, iż mogę pomyśleć, że zachował się wobec psa okrutnie. — Dodałem mu dioniny do wody, żeby silnie zasnął, a potem powoli chloroformowałem go, tak że na pewno nie mógł poczuć, że się dusi, nawet jeżeli mu się coś śniło. Od tego czasu już jest spokojniej.

Zastanawiałem się, co miał na myśli, gdyż było widać, że ostatnie słowa wymknęły mu się, jak by nie mógł ich powstrzymać. Dopiero potem zrozumiałem. Miał na myśli to, że od

czasu jak pies zniknął, nie słyszał już tak często tego wrzasku. A może początkowo myślał, że Bumble wyje do księżycy?... chociaż wycie psa brzmi zupełnie inaczej... Poza tym ja wiem, co to jest, a Lukas nie wiedział. Mimo wszystko to tylko wrzask, a wrzask jako taki jeszcze nikomu nie zrobił nic złego. Ale Lukas miał dużo większą wyobraźnię ode mnie. To, że w tym domu znajduje się coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, nie ulega żadnej wątpliwości. Ale kiedy czegoś nie rozumiem, nazywam to nieznanym zjawiskiem i w przeciwieństwie do Lukasa nie wmawiam sobie, że to coś musi mnie uśmiercić.

Daleko mi do tego, żeby wszystko rozumieć, podobnie jak tobie i każdemu, kto spędził życie na morzu. Często rozmawialiśmy o przyptywie i odpływie, ale nikt z nas nie wiedział, co je powoduje. W tej chwili tłumaczymy to sobie podwodnymi wstrząsami i przytaczamy pięćdziesiąt teorii, z których każda mogłaby doskonale te wstrząsy wyjaśnić, gdybyśmy tylko wiedzieli, czym one są. Raz zgodziłem się z jedną z nich, ale zaraz potem kałamarz stojący na stole w mojej kabinie wylądował na suficie. Identyczna historia zdarzyła się kapitanowi Lecky'emu. Chyba musiałeś o tym czytać w jego „Poradniku”. Czytałeś? Doskonale. Gdyby taka rzecz zdarzyła się na lądzie, na przykład w tym pokoju, człowiek nerwowo zaraz zacząłby mówić o duchach, lewitacji i pięćdziesięciu innych bezsensownych bzdurach, zamiast po prostu i spokojnie zdefiniować to jako zjawisko, którego dotąd nie wyjaśniono. I właśnie tak się zapatruję na ten wrzask.

Jakież mamy jeszcze dowód, że Lukas zabił swoją żonę? Poza tobą, nie puściłbym do nikogo pary z ust na ten temat. Mimo wszystko to najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, że mała, biedna pani Pratt zmarła nagle w swoim własnym łóżku zaledwie kilka dni po tym, jak opowiedziałem tę historię przy obiedzie. Ale przecież nie ona jedna umarła w taki sposób. Lukas sprowadził lekarza z sąsiedniej parafii i obaj zgodnie stwierdzili, że pani Pratt zmarła na skutek jakiejś wady serca. I dlaczego miałyby być inaczej? Takie wypadki często się zdarzają.

Chociaż była tam ta chochelka. Nigdy o niej nikomu nie wspominałem, ale muszę ci powiedzieć, że kiedy znalazłem ją w szafie, doznałem prawdziwego wstrząsu. Była prawie zupełnie nowa. Wiesz, taka mała chochelka z ocynkowanej, żelaznej blachy. Widać było, że nie używano jej więcej jak dwa razy. Znalazłem w niej odrobinę roztopionego ołowiu, który przylgnał do dna: jednolita, szara masa z takimi maleńkimi pęcherzykami powietrza na wierzchu. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Prawie każdy wiejski lekarz nabywa różnych umiejętności i wiele rzeczy robi sobie sam. Lukas mógł mieć tuzin powodów do tego, by stopić w chochelce trochę ołowiu. Na przykład pasjami lubił łowić ryby i mógł potrzebować ciężarka do sznurów wielohaczykowych, jakie zastawiał na noc. A może to miał być ciężarek do zegara w hallu albo jakiś inny drobiazg tego rodzaju? Mimo wszystko, gdy znalazłem tę chochelkę, doznałem dość dziwnego uczucia, bo przypomniła mi historię, którą im swego czasu opowiadałem. Rozumiesz? Zrobiła na mnie tak niemiłe wrażenie, że nie namyślając się wiele, wyrzuciłem ją. Leży na dnie morza, o milę od przylądka i musiała już tak dokładnie zardzewieć, że jej nikt nie pozna, nawet gdyby przyptyw wyrzucił ją kiedyś na brzeg.

Widzisz, Lukas musiał ją kupić we wsi już bardzo dawno. Do dziś sprzedają tam takie chochle. Przypuszczam, że używa się ich w gospodarstwie. W każdym razie wolałbym, by wścibska służąca nie natknęła się na to. Zaraz by się zaczęła nad tym zastanawiać, albo opowiedziałaby innej służącej, która mogła słyszeć rozmowę przy obiedzie. Zwłaszcza że ta dziewczyna wyszła za mąż za syna blacharza tu, w tej samej wsi i może pamiętać tę całą sprawę.

Rozumiesz mnie, prawda? Teraz, kiedy Lukas Pratt umarł i leży pochowany obok swojej żony, mając nad głową nagrobek, jaki się stawia uczciwym ludziom, nie chciałbym poruszać niczego, co mogłoby rzucić cień na jego pamięć. Ani Pratt, ani jego żona, ani syn nie żyją. I tak było dość kłopotów ze śmiercią Lukasa.

Pytasz, jak się to stało? Pewnego ranka znaleziono go martwego na plaży. Odbyło się śledztwo prowadzone przez koronera. Pratt miał na szyi jakieś ślady, ale nie został obrabowany. Werdykt brzmiał, że śmierć nastąpiła na skutek uduszenia „rękami albo zębami jakiegoś

człowieka lub nieznanego zwierzęcia”. Połowa ławy przysięgłych stanęła na stanowisku, że musiał to być jakiś wielki pies, który przewrócił go na ziemię i chwycił za gardło, chociaż na skórze szyi nie znaleziono żadnych uszkodzeń. Nikt nie wiedział, kiedy doktor wyszedł z domu i gdzie poszedł. Znaleziono go rozciągniętego na wznak, trochę powyżej linii, do której dochodzi przypyływ w najwyższym punkcie. Koło niego leżało otwarte tekturowe pudło na kapelusze, własność jego zmarłej żony. (Wieka nie było). Zdaje się, że niósł w nim do domu czaszkę — lekarze lubią gromadzić tego rodzaju przedmioty. Czaszka wyleciała z pudła i zatrzymała się koło jego głowy. Była zadziwiająco delikatna. Dość mała, pięknie wysklepiona, bardzo biała i z doskonałym uzębieniem. To znaczy górna szczeka była znakomicie zachowana, bo w chwili gdy oglądałem ją po raz pierwszy, dolnej w ogóle nie było.

Tak, znalazłem ją, kiedy tu przyjechałem. Była bardzo biała i wypolerowana jak ekspozant, który się trzyma w gablotce. Ludzie nie wiedzieli ani skąd się wzięła, ani co z nią zrobić. Toteż niewiele myśląc, wsadzili ją z powrotem do tego pudła na kapelusze i postawili na półce w szafie stojącej w sypialni. Kiedy obejmowałem dom w posiadanie, oczywiście zaraz mi ją pokazali. Zaprowadzili mnie także na plażę, w miejsce gdzie Lukas został znaleziony. Jakiś stary rybak objaśnił mi, w jakiej pozycji leżały zwłoki i gdzie była czaszka. Nie potrafił tylko powiedzieć, dlaczego czaszka zamiast potoczyć się po spadzistym gruncie do nóg Lukasa, potoczyła się w górę, w kierunku jego głowy. Wtedy wcale mi się to nie wydało dziwne, ale później bardzo często się nad tym zastanawiałem. Bo plaża tam jest dosyć stroma. Jak masz ochotę, mogę cię jutro zaprowadzić. Ułożyłem w tym miejscu taki mały pomniczek z kamieni.

Kiedy Lukas upadł, czy też został przewrócony — nie wiadomo jak to naprawdę wyglądało — pudło uderzyło o piasek. otworzyło się i czaszka wyleciała. Powinna była potoczyć się w dół, tymczasem — odwrotnie. Znalazła się tuż koło jego głowy, prawie jej dotykała. Była do niego zwrócona przodem. Raz jeszcze ci powtarzam, że kiedy opowiadał mi o tym ten rybak, wcale się nie zdziwiłem. Ale później zupełnie nic mogło mi to wyjść z głowy i teraz, kiedy zamykam oczy, najdokładniej sobie wszystko wyobrażam. Zacząłem zadawać sobie pytanie: dlaczego ten diabelski przedmiot potoczył się w górę zamiast w dół, i dlaczego zatrzymał się akurat koło jego głowy, a nie gdziekolwiek indziej, na przykład o jard dalej.

Naturalnie chcesz wiedzieć, do jakiego doszedłem wniosku, co? W każdym razie nie do takiego, który mógłby wyjaśnić toczenie się jakiegoś przedmiotu pod górę. Po pewnym czasie przysłała mi pewna koncepcja do głowy i muszę przyznać, że poczułem się wtedy dość niewyrażnie.

O, bynajmniej nie mam na myśli nic nadprzyrodzonego! Duchy może są, może ich nie ma. Jeżeli są, to jestem skłonny przypuszczać, że najwyżej ludzi straszą, ale w żadnym wypadku nie mogą im zrobić nic złego. Jeśli chodzi o mnie, to sto razy wolałbym spotkać się twarzą w twarz z duchem, obojętne w jakiej postaci, niż z mgłą na Kanale, kiedy się po nim kręci cała kupa statków. Nie, to, co wprawiło mnie w lekki niepokój, to była taka sobie niemądra myśl i nic więcej. Nie wiem ani kiedy powstała mi w głowie, ani jak długo się tam rozrastała, żeby wreszcie zmienić się w pewność.

Pewnego wieczoru, pykając fajkę, siedziałem nad dość nudną książką. Po chwili zacząłem dumać o Lukasiu i jego biednej żonie. I nagle przyszło mi na myśl, że ta czaszka... to chyba jej czaszka. Od tego czasu nie może mi to wyjść z głowy. Powiesz na pewno, że to nie ma najmniejszego sensu, że pani Pratt miała chrześcijański pogrzeb, że leży na cmentarzu i że jest pełnym absurdem przypuszczać, by mąż trzymał jej czaszkę w pudle na kapelusze w swojej sypialni. Mimo to, wbrew zdrowemu rozsądkowi i jakemukolwiek prawdopodobieństwu, jestem głęboko przekonany, że tak właśnie zrobił. Lekarze mają czasem przedziwne pomysły, jakie ludziom naszego pokroju podnoszą włosy na głowie. I to są właśnie rzeczy, które nam wydają się nieprawdopodobne, nielogiczne, bezsensowne.

Czy nie widzisz, do czego zmierzam? Jeżeli to była rzeczywiście czaszka tej biednej

kobiety, fakt, że ją przechowywał, utwierdza nas w przekonaniu, że właśnie on ją zabił. I zrobił to dokładnie w ten sam sposób, w jaki tamta kobieta z mojego opowiadania zabiła swoich trzech mężów. A ponieważ bał się śledztwa, które pewnego dnia mogłoby wydobyć jego zbrodnię na światło dzienne, postąpił właśnie tak, a nie inaczej. Musisz wiedzieć, że i o tym wtedy wspomniałem, i dodałem jeszcze, że zdarzyło się to mniej więcej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat temu. Odkopali, proszę ciebie, te trzy czaszki i okazało się, że w każdej kołatała mała grudka ołowiu. I właśnie ten ołów zgubił tę kobietę. Jestem zupełnie pewny, że Lukas dobrze to sobie zapamiętał. Nie chcę wiedzieć, co zrobił, kiedy sobie przypomniał. Nigdy nie pasjonowałem się jakimiś makabrami i ty chyba też nie, prawda? — Szkoda. Gdyby cię to interesowało, mógłbyś może uzupełnić pewne luki w tej sprawie.

A musiała być ona dość ponura, jak sądzę. Wolałbym nie móc sobie tak dokładnie wyobrazić całego jej przebiegu. Jestem przekonany, że odciął głowę w nocy przed pogrzebem, kiedy zamknięto już trumnę, a służąca spała. Mógłbym się założyć o każdą sumę, że kiedy zabrał tę głowę, włożył na jej miejsce pod całun przykrywający ciało jakiś przedmiot, który wypełnił puste miejsce. Jak ci się wydaje, co on takiego tam włożył?

Nie zdziwiłbym się, gdybyś mi zarzucił brak logiki. Najpierw mówię, że wolę nie wiedzieć, co się stało i że nie znoszę rozmyślać nad jakimiś makabrycznymi sprawami, a potem opisuję ci cały przebieg tej historii, jak bym to wszystko widział na własne oczy. Jestem pewny, że wsadził tam na miejsce głowy jej woreczek do robótek. Pamiętam go bardzo dobrze, bo pani Pratt nigdy się z nim nie rozstawała wieczorem. Był z brązowego pluszu i wypchany miał mniej więcej kształt... no, wiesz czego. Tak, znowu o tym mówię! Możesz się ze mnie śmiać, ale ty nie mieszkasz sam jak palec w domu, gdzie się to wszystko stało i nie ty opowiadałeś Lukasowi historię o roztopionym ołowiu. Zapewniam cię, że nie jestem histeryk, ale chwilami zaczynam rozumieć, dlaczego niektórzy ludzie mają roztrzęsione nerwy.

Rozmyślam nad tym wszystkim, gdy jestem sam, śni mi się to po nocach, a kiedy ona wrzeszczy — przyznaję się zupełnie otwarcie — robi to na mnie takie samo okropne wrażenie jak na tobie, chociaż mogłem się już do tego przyzwyczać.

Nie powinienem być człowiekiem nerwowym. Pływałem na statku, na którym straszyle. Na galeryjkę masztu schronił się raz jakiś szaleniec, a kiedy przybiliśmy do brzegu, w ciągu dziesięciu dni dwie trzecie załogi umarło na czarną febrę. Ja trzymałem się dobrze i wtedy, i potem. Oglądałem najrozmaitsze okropności, zresztą tak samo jak ty i wielu spośród nas. Jednak nic nie utkwilo mi tak w głowie, jak ta sprawa.

Muszę ci się przyznać, że próbowałem się jakoś od tej czaszki uwolnić, ale ona w żaden sposób się na to nie zgadza. Chce być na swoim miejscu, w pudle od kapeluszy pani Pratt, w pokoju sypialnym. Gdzie indziej nie czuje się dobrze. Zapytasz, skąd o tym wiem. Wiem, bo się przekonałem. Nie myślisz chyba, że nie próbowałem się o tym przekonać? Jak jest w tym pudle, to wrzeszczy tylko od czasu do czasu i to przeważnie o tej porze roku. Kiedy próbowałem wystawić ją na dwór, wrzask nie ustawał przez całą noc. Żadna służąca nie chce tu zostać dłużej jak dwadzieścia cztery godziny. A i tak bardzo często na dwa tygodnie zostawałem bez nikogo i musiałem sobie wszystko sam robić. Nikt z całej wsi nie spędzi pod tym dachem ani jednej nocy, a o tym, żeby dom sprzedać czy wynająć nie ma nawet mowy. Stare kobiety powiadają, że jak tu zostanę, to i mnie niedługo spotka smutny koniec.

Ale ja się nie boję. Uśmiechasz się na samą myśl, że ktoś mógłby poważnie traktować takie brednie. Masz rację. Zupełnie się z tobą zgadzam, że to absolutny nonsens. Przecież ci powiedziałem, że mimo wszystko to tylko wrzask, kiedy się wzdrygnąłeś i obejrzałeś za siebie, jak byś spodziewał się zobaczyć widmo stojące za krzesłem.

Możliwe, że się myślę co do tej czaszki, bardzo byłbym zadowolony, gdyby tak było istotnie. Może ona rzeczywiście jest tylko pięknym okazem, który Lukas dostał jeszcze bardzo dawno, a to, co w niej grzechocze, kiedy się nią potrząsa, może być po prostu kamykiem, grudką zeschniętej gliny... Czaszki, które długo leżały w ziemi, bardzo często mają w środku

coś, co lata i grzechocze. Nie, nigdy nie próbowałem tego wydobyć. No, a poza tym ja rzeczywiście nie chcę znać prawdy. Wolę nie mieć pewności. Jeżeli to jest istotnie ołów, w takim razie zabiłem tę kobietę, tak jak bym sam popełnił morderstwo. Chyba każdy musi się z tym zgodzić. Ale jak długo nie mam pewności, pocieszam się i powtarzam sobie, że to wszystko jest śmieszny nonsens, że pani Pratt umarła naturalną śmiercią i że ta piękna czaszka należała do Lukasa jeszcze wtedy, kiedy był na studiach w Londynie. Ale z chwilą gdybym się upewnił, musiałbym się wynieść z tego domu. Naprawdę. Jestem o tym najgłębiej przekonany. A tak, po prostu przestałem nocować w sypialni, gdzie stoi ta szafa.

Zapytasz, dlaczego nie wrzucę jej do stawu. Dobrze, ale bardzo cię proszę, nie nazywaj jej „przeklętym straszidłem”, ona nie znosi przezwisk.

No proszę! Boże, co za wrzask! A nie mówiłem! Człowieku, jesteś błądliwy jak ściana! Nabij fajkę, przysuń krzesło bliżej ognia i napij się. Taki wspaniały rum jeszcze nikomu nie zaszkodził. Na Jawie znalazłem Holendra, który co rano wypijał nie mrugnawszy okiem cały dzbanek hulstkampa. Sam nie piję dużo rumu, bo mi źle robi na mój reumatyzm, ale ty przecież nie masz reumatyzmu, więc nie ma ci na co zaszkodzić. A do tego wszystkiego jest bardzo wilgotna noc. Znowu wiatr zaczął wyc i chyba niedługo zmieni się na południowo-zachodni. Słyszysz, jak łomocze oknami? Sądząc po huku, musiał się już rozpocząć przypływ.

Gdybyś tego nie powiedział, nie bylibyśmy już jej słyszeli. Jestem pewny, że nie. No dobrze, jak koniecznie chcesz nazwać to zbiegiem okoliczności, niech ci będzie, ale o ile nie masz nic przeciwko temu, wołałbym, żebyś jej na przyszłość nie przezywał. Pomyśl, może ta biedna kobieta słyszy te przezwiska i może to jej sprawia przykrość, a wtedy, co? Duchy? Nie, trudno nazwać duchem coś, co można wziąć do ręki, na co można popatrzeć w pełnym świetle dziennym i co grzechocze, kiedy się tym potrząśnie. Czy pojąłeś mnie? To słyszy i rozumie. Jestem o tym najgłębiej przekonany.

Początkowo, kiedy tu przyjechałem, próbowałem sypiać w sypialni na górze, bo to rzeczywiście najlepszy pokój, ale musiałem z tego zrezygnować. Był to ich pokój. Stoi w nim wielkie łóżko, w którym umarła pani Pratt, a po lewej stronie, w głowach jest szafa wmurowana w ścianę. Ona chce być właśnie tam, w pudle na kapelusze. Używałem tego pokoju tylko przez dwa tygodnie po przyjeździe, potem musiałem się stamtąd wynieść. Zająłem na dole mały pokójek przylegający do dawnego gabinetu Lukasa. Sypiał tam, kiedy się spodziewałem, że może być w nocy wezwany do chorego.

Na łodzi zawsze dobrze sypiałem. Kiedy jestem sam, śpię osiem godzin — od jedenastej do siódmej. A kiedy jest u mnie jakiś przyjaciel — od dwunastej do ósmej. Ale w tym pokoju nie mogłem spać już od trzeciej nad ranem. Ścisłej mówiąc, kwadrans po trzeciej. Ustaliłem to na moim starym zegarku kieszonkowym, który wciąż jeszcze znakomicie chodzi. Zawsze budziłem się dokładnie siedemnaście minut po trzeciej. Zastanawiałem się, czy właśnie o tej godzinie ona umarła.

Ale to, co mnie budziło, nie brzmiało jak wrzask, który słyszałeś. Nie wytrzymałbym tego nawet przez dwie noce. Z szafy słychać było przez kilka sekund dziwne odgłosy, jak by ktoś drgnął, a potem stęknął i ciężko oddychał.

Jestem przekonany, że w normalnych warunkach nigdy by mnie to nie zbudziło. Ciebie z pewnością też nie i podobnie jest z wszystkimi, którzy całe lata spędzili na morzu. Żaden dźwięk, do którego człowiek przywyknie, w najmniejszym stopniu nie może nam zakłócić snu, nawet potworny łomot żagli podczas sztormu, czy trzeszczenie belek pokładowych. Ale jeżeli w szufladzie biurka w twojej kabine zacznie kołatać ołówek — zbudzisz się natychmiast. No tak, ty zawsze mnie rozumiesz. Więc jak już powiedziałem, odgłosy dochodzące z szafy nie były głośniejsze niż kołatanie ołówka, a jednak momentalnie się budziłem.

Powiedziałem, że brzmiało to, jak by ktoś drgnął. Wiem, co mam na myśli, ale trudno to wytłumaczyć, bo się boję, żeby mnie ktoś nie posądził, że plotę głupstwa. Oczywiście, biorąc

rzecz ściśle, nie można słyszeć, jak się ktoś wzdyga: najwyżej można usłyszeć czyjś szybki oddech czy też ledwo uchwytny szelest ubrania, które ktoś nagle poruszy, choćby bardzo lekko. Ale to właśnie tak brzmiało.

Znasz uczucie, jakie ma człowiek, gdy stojąc za kołem sterowym, z góry wie, jaki ruch wykona statek za dwie lub trzy sekundy. To samo mówią rutynowani jeźdźcy o koniach. Ale temu mniej się dziwię, bo koń jest przecież żywym stworzeniem, które ma własne odczucia, a tylko poeci i szczury lądowe mogą mówić, że statek jest żywą istotą, i tym podobne brednie. Ale ja zawsze twierdziłem, że statek oprócz tego, że jest napędzany parą lub wiatrem urządzeniem, służącym do przewożenia towarów, w chwili gdy znajduje się na morzu jest wrażliwym instrumentem i jakimś pośrednikiem w komunikowaniu się człowieka z naturą — zwłaszcza zaś człowieka stojącego za sterem, jeśli statek sterowany jest ręcznie. Swoje impulsy czerpie bezpośrednio od wiatru, morza, przyływu, rozmaitych prądów i przekazuje je w ręce człowieka, tak jak telegraf bez drutu wywołuje w powietrzu przerywane prądy i przekształca je w dole na konkretne wiadomości.

Chyba się orientujesz, do czego zmierzam. Czułem, że coś się dzieje w tej szafie i czułem tak wyraźnie, że aż zaczynałem to słyszeć, chociaż w rzeczywistości może nie było nic słychać. Budziło mnie samo wyobrażenie tego dźwięku, jakie powstało w mojej głowie. Ale naprawdę słyszałem coś zupełnie innego. Dźwięki te brzmiały tak, jak by się dobywały z wnętrza jakiegoś pudła albo jak głos dochodzący przez telefon z dalekiej odległości. A jednak wiedziałem, że źródłem ich jest szafa stojąca koło łóżka. Ani włosy nie stawały mi dęba na głowie, ani krew nie krzepła w żyłach. Po prostu wściekałem się, że budzi mnie coś, co nie powinno robić żadnego hałasu, tak samo jak nie powinien kołatać ołówek w szufladzie mego biurka w kajucie na statku. Moja reakcja była taka, a nie inna, bo zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, co wywołuje te dziwne odgłosy. Przypuszczałem, że musi być jakaś dziura w ścianie, przez którą wiatr dostaje się do środka, a potem jęczy i zawodzi. Zapaliłem światło i popatrzyłem na zegarek. Było siedemnaście po trzeciej. Odwróciłem się na prawy bok i zasnąłem, przyciskając ucho do poduszki; a prawe, to jest to moje dobre ucho. Na drugie prawie nic nie słyszę, bo kiedyś jeszcze jako mały chłopiec skakałem z rei foktopsla i uderzyłem się o wodę. To bardzo prosty i naiwny sposób, ale efekt jest znakomity, kiedy chcę zasnąć przy jakimś hałasie.

Tak było pierwszej nocy. Potem powtórzyło się to następnej i jeszcze wiele razy, ale nie regularnie co noc. Regularność dała się zauważyć jedynie jeśli chodzi o porę. Zawsze budziłem się o tej samej godzinie. Może czasem spałem ze zdrowym uchem przyciśniętym do poduszki, a czasem odwrotnie. Nic wiem. Wszystko jest możliwe. Obejrzałem dokładnie szafę i przekonałem się, że nie było w niej żadnej szpary czy dziury, przez którą wiatr mógłby się dostać do wnętrza. Ani wiatr, ani nic innego; drzwi zamykały się bardzo szczelnie. Przypuszczam, że chodziło o to, żeby do środka nie dostały się mole. Pani Pratt musiała tam trzymać zimowe rzeczy, bo szafa wciąż jeszcze pachnie kamforą i terpentyną.

Mniej więcej po dwóch tygodniach miałem zupełnie dość tych hałasów. Wciąż tłumaczyłem sobie, że głupio byłoby się poddawać i wynosić z pokoju. W dziennym świetle wszystko przedstawia się zupełnie inaczej. Ale głos coraz bardziej przybierał na sile. Wydaje mi się, że można to nazwać głosem. Pewnej nocy usłyszałem go także chorym uchem. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero, kiedy byłem już zupełnie rozbudzony. Leżałem ze zdrowym uchem przyciśniętym do poduszki, a w takiej pozycji nie powinna mnie zbudzić nawet syrena okrętowa. Lecz ten głos usłyszałem i muszę przyznać, że wyprowadziło mnie to zupełnie z równowagi. Może się i przelałem. Ale czasem oba te stany są do siebie zbliżone. Zapaliłem światło, wstałem, otworzyłem szafę, chwyciłem pudło i cisnąłem przez okno tak daleko, jak tylko mogłem.

I wtedy dopiero włosy zjeżyły mi się na głowie. Powietrze przeszył wrzask jak chichot pocisku z dwunastocalowego działa. „To” upadło po drugiej stronie drogi. Noc była bardzo

ciemna i nie mogłem zobaczyć, jak upada, wiedziałem tylko, że zatrzymało się po drugiej stronie drogi. Okno znajduje się dokładnie nad frontowymi drzwiami, odległość od płotu wynosi mniej więcej piętnaście jardów, a sama droga jest szeroka na dziesięć. Poza nią ciągnie się długi żywopłot otaczający pole należące do probostwa

Gdybym powiedział, że się wyspałem tej nocy, to bym skłamał. Nie upłynęło więcej niż pół godziny od momentu, kiedy wyrzuciłem pudło, gdy usłyszałem na dworze wrzask podobny do tego, jakiegoś słyszeli dziś wieczór. Ale tamten był gorszy, bardziej rozpaczliwy. I — może to tylko moja imaginacja — ale przysiągłbym, że coraz bardziej się zbliżał. Zapaliłem fajkę, pospacerowałem trochę po pokoju, a potem wziąłem książkę i zasiadłem do czytania, ale niech mnie powiesz, jeżeli pamiętam choćby słowo. Nawet tytułu nie pamiętam. Wrzask, który umarłego by postawił na nogi, rozlegał się raz po raz.

Na krótko przed wschodem słońca ktoś zapukał do drzwi frontowych. Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce, więc otworzyłem okno i wyjrzałem na dół. Przypuszczałem, że ktoś potrzebował pomocy lekarskiej i sądził, że nowy lokator w domu Lukasa też jest lekarzem. Sam fakt, że jakiś człowiek puka do drzwi, sprawił mi wielką ulgę po tym okropnym wrzasku.

Z okna na piętrze nie można zobaczyć drzwi, bo zasłania je mały ganek. Pukanie się powtórzyło, więc zapytałem głośno „kto tam?”, ale nikt nie odpowiedział. Ponownie zapukano. Znowu się odezwałem i powiedziałem głośno, że doktor już tu nie mieszka. Nikt mi nie odpowiedział. Pomyślałem sobie, że to pewnie jakiś stary, głuchy jak pień chłop. Wziąłem więc świecę i zszedłem na dół otworzyć. Daję słowo, że nie myślałem jeszcze o czaszce i prawie zapomniałem o tych hałasach. Schodząc z góry, byłem najgłębiej przekonany, że zastanę na progu kogoś, kto potrzebuje pomocy lekarskiej. Postawiłem świecę na stole w hallu, żeby wiatr, kiedy otworzę drzwi, jej nie zgasił. Odsuwając staroświecką zasuwę, znowu usłyszałem pukanie. Nie było głośne, ale pamiętam, że kiedy znalazłem się tuż przy drzwiach, brzmiało jakoś dziwnie głucho. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że pukający chce się dostać do wnętrza. Ale to nie był żaden człowiek. Przed drzwiami nie zobaczyłem nikogo; w momencie gdy je otwierałem stojąc nieco z boku, żeby wyjrzeć na zewnątrz, coś przetoczyło się przez próg i zatrzymało przy mojej nodze.

Kiedy poczułem dotknięcie, odskoczyłem do tyłu. Zanim jeszcze spojrzałem w dół, wiedziałem, co to jest. Nie potrafię wytłumaczyć, skąd wiedziałem. Może ci się to wydać niezbyt zrozumiałe, bo przecież byłem zupełnie pewny, że wyrzuciłem ją aż za drogę. Okna sypialni są duże, można je bardzo szeroko otworzyć i kiedy ją wyrzucałem, wziąłem dobry rozmach. Poza tym wyszedłszy rano, znalazłem pudło od kapeluszy po drugiej stronie żywopłotu.

Może myślisz, że się otworzyło, kiedy je wyrzucałem, i że czaszka wypadła? Nie. To zupełnie niemożliwe. Nikt nie potrafiłby rzucić tak daleko pustego pudła. Wykluczone. Zupełnie jak by ktoś próbował rzucić na odległość dwudziestu pięciu jardów kulkę z papieru albo pustą skorupkę od jajka.

Ale wracajmy do mego opowiadania. Zamknąłem drzwi, zaryglowałem zasuwę, po czym ostrożnie podniosłem tę rzecz i położyłem na stole koło świecy. Zrobiłem to zupełnie odruchowo.

Podobnie w niebezpieczeństwie, w ogóle się nad tym nie zastanawiając, postępujemy właściwie albo robimy coś wręcz przeciwnego. Może się to wydać dziwne, ale mam wrażenie, że moją pierwszą myślą była obawa, że ktoś może nadejść i zastać mnie na progu z tą czaszką opartą o moją nogę. Leżała lekko przechylona na bok, a jeden pusty oczodoł miała skierowany w górę ku mojej twarzy, zupełnie jak by mnie oskarżała. Gdy ją położyłem na stole, migocący płomień świecy tańczył w jej oczodołach sprawiając wrażenie, że mruga na mnie. Potem zupełnie niespodziewanie świeca zgasła, chociaż dobrze zamknąłem drzwi i nie było najmniejszego przeciągu. Zużyłem co najmniej tuzin zapalek, zanim udało mi się ją z

powrotem zapalić.

A potem nagle usiadłem zupełnie nie wiedząc, dlaczego to robię. Prawdopodobnie byłem przerażony; chyba się nie dziwisz. Czaszka wróciła do domu i chciała dostać się na górę, z powrotem do swojej szafy. Siedziałem bez ruchu i wpatrywałem się w nią przez chwilę, aż nagle poczułem, że mi bardzo zimno. Wtedy zaniósłem ją na górę i położyłem na miejscu. Pamiętam, jak przemawiałem do niej obiecując, że rano dostanie z powrotem swoje pudło.

Jesteś ciekawy, czy zostałem w tym pokoju aż do świtu? Tak, ale ani na chwilę nie gasiłem światła. Siedziałem paląc fajkę i czytałem. To na pewno ze strachu, tego zwyczajnego i nie dającego się przeczłonyć strachu. Nie nazywaj tego tchórzostwem, bo to zupełnie co innego. Bardzo mi było trudno zdobyć się na przebywanie sam na sam z tą rzeczą tkwiącą w szafie. Wiem, że byłem wtedy śmiertelnie przerażony, chociaż nie należę do ludzi szczególnie bojaźliwych. Ale, do diabła, człowieku, zrozum! Przecież ona sama przebyła tę drogę, dostała się na próg i pukała, żeby ją wpuścić!

Kiedy nadszedł świt, włożyłem buty i wyszedłem na dwór odszukać to pudło. Musiałem iść duży kawał, aż do małej bramki niedaleko szosy. Pudło wisiało zaczepione o żywoplot z drugiej strony. Było otwarte. Zahaczyło się sznurkiem o gałęzie. Wieko odpadło i leżało na ziemi. Dowodzi to niezbicie, że się nie otworzyło w locie i że wobec tego pudło musiało się tu znaleźć wraz z zawartością.

To wszystko. Zaniósłem je na górę, wsadziłem w nie czaszkę i zamknąłem w szafie. Kiedy służąca przyniosła mi śniadanie, zaraz na wstępie oświadczyła, że jest jej bardzo przykro, ale musi natychmiast odejść, i że nawet jej nie zależy, czy dostanie za ten miesiąc wynagrodzenie. Baczenie się jej przyjrzałem. Twarz miała zielonkawą, żółto-białą. Udałem zdziwienie i zapytałem, o co chodzi. Ale dziewczyna od razu na mnie natarła. Spytała, czy nadal mam zamiar mieszkać w domu nawiedzanym przez duchy, a jeżeli tak, to jak długo spodziewam się żyć. Bo chociaż zauważyła, że czasem nie dosłyszę, to jednak absolutnie nie wierzy, żebym nawet mimo to mógł spać wśród tych wrzasków. A jeżeli jakimś cudem nic zakłóca mi to snu, dlaczego w takim razie chodzę po domu i otwieram, i zamykam frontowe drzwi między trzecią a czwartą rano?

Nie miałem co na to odpowiedzieć, skoro i tak słyszała, że chodzę. No, więc poszła sobie i znowu zostałem sam. Przed południem wybrałem się do wsi i znalazłem kobietę, która zgodziła się do mnie przyjść. Zobowiązała się wykonywać lżejszą pracę i gotować mi obiady, pod tym jednak warunkiem, że każdego wieczoru będzie mogła wrócić do domu. Jeżeli idzie o mnie, tego samego dnia przeprowadziłem się na dół i od tego czasu nigdy nie próbowałem nocować w sypialni na górze. Niedługo po tym udało mi się dostać dwie Szkotki z Londynu i przez dłuższy czas wszystko układało się dość spokojnie. Na samym wstępie oświadczyłem im, że jest to zupełnie nie osłonięte miejsce, i że w jesieni, i w zimie hulają tu wściekłe wiatry, co właśnie jest przyczyną, że dom cieszy się na wsi taką złą opinią. Dodałem też, że mieszkańcy Kornwalii są ogromnie zabobonni i lubują się w opowiadaniach o duchach.

Obie siostry o surowych twarzach i piaskowych włosach omal się nie roześmiały. Odpowiedziały mi prawie z pogardą, że nic sobie nie robią z południowych strachów, bo służyły już w dwóch angielskich domach, w których straszło i nigdy nie widziały nawet Szarego Chłopca, który w hrabstwie Forfarshire nie jest żadną osobliwością.

Były u mnie kilka miesięcy i przez cały ten czas w domu panowała idealna cisza i spokój. Jedna z nich jest tu z powrotem; poprzednio odeszła razem z siostrą przed upływem roku. Była kucharką, a potem wyszła za mąż za kościelnego, który zarazem spełniał obowiązki grabarza. Teraz człowiek ten pracuje u mnie w ogrodzie. Wieś jest bardzo mała, jako grabarz nie ma wiele roboty, a przy tym zna się na kwiatach i nieźle mi pomaga. Oprócz tego wykonuje wszystkie cięższe prace. Ja, chociaż bardzo lubię pracę na powietrzu, robię się już trochę sztywny w zawiasach. Mąż mojej kucharki jest spokojnym, milczącym człowiekiem, którego w ogóle nie interesują cudze sprawy. Kiedy się tu wprowadziłem, był wdowcem.

Nazywa się Trehearn. James Trehearn. Moje Szkotki nie powiedziały ani słowa, że coś im się w domu nie podoba, ale kiedy nadszedł listopad, oświadczyły, że odchodzą. Jako powód podały, że kaplica ich wyznania jest zbyt daleko, bo dopiero w najbliższej parafii, a o tym, by chodziły do naszego kościoła, nie może być nawet mowy. Ale młodsza wróciła tu na wiosnę i natychmiast po wyjściu zapowiedzi proboszcz udzielił jej ślubu z Jamesem Trehearnem. Od tego czasu, jak mi się wydaje, nic już jej nie przeszkadza w słuchaniu jego kazań. Jeżeli tylko ona jest zadowolona, to ja na pewno. Oboje mieszkają w małym domku koło cmentarza.

Pewnie się dziwisz, co to wszystko ma wspólnego z moim opowiadaniem. Jestem tak często sam, że kiedy odwiedzi mnie stary przyjaciel, mówię czasem tylko po to, żeby słyszeć swój własny głos. Ale w tym wypadku wszystko, co powiedziałem, wiąże się z moim opowiadaniem. Właśnie tenże James Trehearn pochował biedną panią Pratt, a później w tej samej mogile jej męża. Grób jest dość blisko jego domku. Fakty te kojarzą się jakoś w mojej głowie. To, że on dużo wie, jest dla mnie zupełnie oczywiste. Mogę głowę dać, że coś wie, chociaż dziad umie trzymać język za zębami.

Tak. W nocy jestem zawsze sam, bo pani Trehearn wszystko załatwia osobiście, a kiedy przyjeżdża do mnie jakiś przyjaciel, do stołu podaje siostrzenica kościelnego. W zimie Trehearn każdego wieczoru odprowadza żonę do domu, a w lecie, kiedy jest jeszcze jasno, chodzi sama. Nie należy do kobiet nerwowych, ale w tej chwili nie jest już tak głęboko przekonana, że w Anglii nie ma duchów godnych uwagi Szkotki. Czy to nie komiczne twierdzić, że Szkocja ma coś w rodzaju monopolu na nadprzyrodzone zjawiska? Według mnie to dość dziwny przejaw dumy narodowej, jak ci się wydaje?

Dobry ogień, co? Żadne drzewo nie może się równać z tym, które wyrzuca morze. Tak, mamy go pod dostatkiem. Z przykrością muszę stwierdzić, że w tych stronach wciąż jeszcze jest bardzo dużo wraków. Przy tak słabym zaludnieniu wybrzeża jest tego drzewa, ile dusza zapagnie. Wystarczy wybrać się na brzeg i przynieść. Od czasu do czasu pożyczamy z Trehearnem wóz i po drodze od mego domu do przylądka napelniamy go całkowicie. Nie znoszę palenia węglem, jeżeli tylko istnieje jakakolwiek możliwość dostania drzewa. Polano doskonale może zastąpić towarzysza, nawet jeśli jest zwykłym kawałkiem belki pokładowej czy innego drewna. Drzewo wyrzucone przez morze nasiąka solą, a potem gdy się pali, daje takie iskierki. Widzisz, jak strzelają! Zupełnie przypominają japońskie ognie sztuczne. Daję słowo! W towarzystwie starego przyjaciela, przy dobrym ogniu i fajce można całkiem zapomnieć o tej na górze, zwłaszcza teraz, gdy już tak nie wieje. Chociaż ta cisza nie potrwa długo. Przed świtem wiatr znowu się rozhula.

Powiadasz, że chciałbyś zobaczyć tę czaszkę? Nie mam nic przeciwko temu. Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałbyś jej obejrzeć. Mogę cię zapewnić, że nigdy w życiu nie widziałeś piękniejszego czerepu z tym tylko, że w dolnej szczęce brak dwóch przednich zębów.

Ach prawda, jeszcze ci nic nie mówiłem o szczęce. Trehearn znalazł ją ostatniej wiosny w ogrodzie, kiedy robił regulówkę pod szparagi. Kopiemy tu rowy pod szparagi od sześciu do ośmiu stóp głęboko. No, popatrz, zupełnie zapomniałem ci o tym opowiedzieć. Kopał prosto w dół, tak właśnie jak kopie się grób. Jeżeli ci zależy na tym, żeby mieć dobrze założoną szparagarnię, radzę ci, najmiej grabarza. Te typy wspaniale się nadają do tego rodzaju pracy.

Trehearn doszedł mniej więcej na głębokość trzech stóp, kiedy natknął się na bryły białego wapna. Zauważył, że ziemia była tam trochę pulchniejsza, chociaż jak orzekł, nie ruszana od wielu lat. Prawdopodobnie stwierdził, że nawet takie stare wapno może zaszkodzić szparagom, więc zaczął je wybierać. Powiada, że było dość twarde i zbite w duże bryły. Z przyzwyczajenia porozbijał je łopatą, kiedy leżały obok rowu. Z jednej z nich wypadła szczęka, w której brakowało dwóch przednich zębów. Przypuszcza, że rozbijając wapno, musiał wybić te zęby, ale nigdzie ich nie znalazł. Jak się zapewne domyślasz, ma w tych sprawach bardzo duże doświadczenie i natychmiast oświadczył, że szczęka prawdopodobnie należała

do młodej kobiety, że w chwili gdy umarła nie brakowało ani jednego zęba. Przyniósł tę szczękę do mnie i spytał, czy nie mam ochoty jej zatrzymać. Jeżeli nie, to wrzuci ją do pierwszego grobu, jaki wykopie na cmentarzu, ponieważ przypuszcza, że jest to chrześcijańska szczęka, i że należy jej się przyzwoity pochówek, niezależnie od tego, gdzie się może znajdować reszta zwłok. Odpowiedziałem mu, że lekarze często wkładają kości do palonego wapna, żeby je ładnie wybielić i że, jak mi się wydaje, doktor Pratt miał kiedyś mały dół z wapnem w ogrodzie właśnie w tym celu i widocznie musiał zapomnieć o tej szczęce. Trehearn bez zmrużenia powiek patrzył na mnie.

— A może, proszę pana, ta szczęka pasowałaby do tej czaszki, co tam jest na górze w szafie? — zapytał. — Może doktor Pratt wsadził czaszkę do wapna, żeby ją wyczyścić albo po co innego, a kiedy ją stamtąd wyciągał, zostawił tę szczękę. Tam, proszę pana, w tym wapnie są jeszcze ludzkie włosy!

Widziałem, że były rzeczywiście. Jeżeli nic nie podejrzewał, to dlaczego, u Boga Ojca, przypuszczał, że szczęka może pasować do czaszki? Poza tym istotnie pasowała do niej. To jeszcze jeden dowód, że on wie więcej, niż chce powiedzieć. Czy sądzisz, że zajrzał pod całun, zanim ją pochowano? Albo może kiedy chował Lukasa w tym samym grobie...

No tak! Nic nam z tego nie przyjdzie, jak się będziemy teraz nad tym zastanawiać. Powiedziałem, że zatrzymuję szczękę. Zaniósłem ją na górę i umieściłem na właściwym miejscu. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że należała do tej czaszki. No i wreszcie są już razem.

Trehearn z pewnością wie to i owo. Niedawno mówiliśmy, że trzeba wybielić kuchnię; od razu przypomniał sobie, że robiono to po raz ostatni akurat w tym samym tygodniu, kiedy umarła pani Pratt. Ani słowem nie wspomniał, że murarz musiał zostawić na miejscu trochę wapna, ale myślał o tym, a także o tym, że było ono tym samym wapnem, które znalazł w dole pod szparagi. Trehearn dużo wie. To jeden z ludzi, którzy milczą, ale znakomicie się orientują, co w trawie piszczy. Grób Prattów znajduje się o kilkadziesiąt metrów od jego domku, a... muszę ci powiedzieć, że nie widziałem jeszcze człowieka, który by szybciej potrafił kopać niż stary Trehearn. Jeżeli chciał się dowiedzieć prawdy, mógł to zrobić z największą łatwością i to tak, że nikomu nie przyszłoby do głowy o nic go podejrzewać; chyba że sam zdecydowałby się powiedzieć coś na ten temat. W takiej spokojnej wsi jak nasza, nigdy nikomu by do głowy nie przyszło wybrać się w nocy na cmentarz po to tylko, żeby się przekonać, czy między godziną dziesiątą a świtem grabarz nie szwenda się samotnie między grobami.

Wiesz, największym wstrętem napawa mnie myśl, że jeśli Lukas rzeczywiście dopuścił się tego czynu, to wszystko zawczasu najdokładniej przemyślał. Jego niezachwiana pewność, że nikt nigdy nie odkryje jego zbrodni, a przede wszystkim odwaga, bo musisz chyba przyznać, że odwagę miał wielką. Czasem sobie myślę, że to bardzo niedobrze mieszkać w domu, w którym popełniono coś takiego, oczywiście jeżeli w ogóle tak było. Ja zawsze, jak widzisz, stawiam to pod pewnym znakiem zapytania. Trochę ze względu na pamięć Lukasa, trochę ze względu na samego siebie.

Za minutę pójde na górę i przyniosę to pudło. Pozwól mi zapalić fajkę. Naprawdę nie ma do czego się śpieszyć. Kolacja była tak wcześnie! Jest dopiero pół do dziesiątej. Nigdy nie puszczam spać żadnego przyjaciela przed dwunastą i to zanim nie wypije przynajmniej trzech szklaneczek. Jak masz ochotę, możesz wypić więcej, ale ze względu na pamięć dawnych czasów nigdy się nie zgodzę, żebyś wypił mniej.

Znowu wzmaga się wiatr. Słyszysz? To, że przed chwilą się uspokoił, niczego nie dowodzi. Będzie zła noc.

Kiedy przekonałem się, że obie szczęki najdokładniej do siebie pasują, stało się coś... aż się wzdrygnąłem. A mnie wiele do tego potrzeba. Niejednokrotnie widziałem, jak ludzie odskakują do tyłu i raptownie wstrzymują oddech, kiedy myśląc, że są sami, spostrzegają nagle, że za nimi ktoś stoi. Czy można to nazwać strachem? Nie! Zgadzasz się ze mną. Prawda?

Otóż w momencie, kiedy włożyłem szczękę na miejsce, zęby czaszki zwały się mocno na moim palcu, jak by mnie silnie ugryzła. Przyznaję się, że podskoczyłem, zanim zdałem sobie sprawę, że widocznie musiałem drugą ręką mocno ścisnąć obie szczęki. Zapewniam cię, że bynajmniej się nie zdenerwowałem. Działo się to w jasny dzień. Pogoda była wspaniała i słońce dosłownie zalewało pokój. Byłoby szczytem nonsensu denerwować się. Na moment uległem fałszywemu wrażeniu, które szczęśliwie szybko minęło. Muszę jednak przyznać, że pozostało mi dość dziwne uczucie. Przypomniałem sobie orzeczenia koronera i ławy przysięgłych w związku ze śmiercią Lukasa, mianowicie, że śmierć jego nastąpiła na skutek uduszenia „rękami lub zębami jakiegoś człowieka lub nieznanego zwierzęcia”. Od tej pory żałuję, że nie zobaczyłem tych znaków na jego szyi, choć wtedy brak było dolnej szczęki.

Nieraz widziałem różnych ludzi, którzy nie zdając sobie zupełnie z tego sprawy, wykonywali rękami przedziwne ruchy. Na przykład obserwowałem raz marynarza, który wychylony całym ciałem, zwiślał poza pokład. Jedną ręką trzymał się starego pręta podtrzymującego brezentowy daszek na przednim pokładzie, a w drugiej miał nóż, którym usiłował go przeciąć. Momentalnie schwyciłem go za ramiona. Byliśmy na środku oceanu i płynęliśmy z szybkością dwudziestu węzłów. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Podobnie jak ja w momencie, kiedy wsadziłem palce między zęby tej czaszki. Jeszcze teraz czuję ich dotyk. Wszystko odbyło się zupełnie tak, jak by była żywa i chciała mnie ugryźć. Gdyby tylko mogła, ugryzłaby na pewno, bo wiem, jak bardzo mnie nienawidzi, biedactwo.

Czy jesteś zdania, że to, co w niej grzechocze, jest rzeczywiście kawałkiem ołowiu? Czekaj, zaraz przyniosę pudło. A jeżeli to coś, czymkolwiek jest, wypadnie ci na rękę, to już twoja sprawa. Jeśli okaże się tylko grudką ziemi czy kamykiem, zapomnę o całej historii i nie wydaje mi się, żebym jeszcze kiedykolwiek pomyślał o czaszce. Ale sam jakoś nie mogę się zdobyć na wytrząśnięcie z niej tego, co tak grzechocze. Na myśl, że mógłby to być ołów, zaczynam się czuć nieswojo. Jestem jednak pewien, że wkrótce się o tym przekonam. Niewątpliwie się przekonam. Mogę się założyć, że Trehearn wie, ale cóż z tego, kiedy z niego taki milczek!

Zaraz idę na górę i ją przyniosę. Co? powiadasz, że będzie lepiej, jak pójdziesz ze mną? Ha! Ha! Myślisz, że się boję pudła na kapelusze i tego wrzasku? Śmieszne!

Do diabła z tą świecą, nie chce się zapalić. Jak by ta głupia rzecz rozumiała, po co tam jest potrzebna. Patrz! Trzecia zapałka! A kiedy zapalam fajkę, świecą się od razu. No widzisz? Świeża paczka wprost z blaszanego pudła, w którym trzymam cały zapas, żeby nie zwilgotniały. Myślisz, że knot jest wilgotny? Tak? Dobrze, zapalą to świństwo od ognia. Przynajmniej ten nie zgaśnie. No tak, trochę prychnie i skwierczy, ale palić się będzie, pierwszorzędnie się pali. Ale mimo wszystko trzeba stwierdzić, że w tych okolicach nie mają najlepszych świec. Nie wiem, skąd je biorą, ale czasami kiepsko się palą. Płomień jest jakiś zielonkawy i wciąż pryskają z niego małe iskierki. Do pasji mnie doprowadza, gdy ni z tego ni z owego gasną. Ale niestety w tej chwili nic nie można na to poradzić; dużo jeszcze wody upłynie, zanim w naszej wiosce będzie elektryczność. Tak, trudno to nazwać najlepszym oświetleniem.

Radzisz, żebym zostawił świecę tobie, a sam wziął lampę? Prawdę mówiąc, nie bardzo lubię nosić się z lampą. Nigdy jeszcze żadnej nie upuściłem, ale zawsze się boję. To bardzo niebezpieczne. A poza wszystkim już się zdążyłem przyzwyczaić do tych parszywych świec.

Jak pójde na górę, mógłbyś skończyć tę szklanke. Nie puszczę cię stąd, zanim nie wypijesz przynajmniej trzech. Nie musisz wcale wchodzić na górę. Ulokowałem cię w dawnym gabinecie obok pokoju, w którym teraz ja mieszkam. Tam Pratt przyjmował chorych. Jeżeli chodzi o ścisłość, żadnemu przyjacielowi nie proponuję, żeby spał na górze. Ostatni nocował tam Crackenthorpe. Powiedział potem, że całą noc oka nie zmrużył. Pamiętasz starego Cracka, co? Został w marynarce wojennej i zrobili go admirałem. Tak, już idę, chyba że świeca znowu zgaśnie. Nie mogłem się powstrzymać, musiałem zapytać, czy pamiętasz starego

Cracka. Gdyby nam ktoś powiedział, że ten chuderlawy idiota zajdzie najwyżej z nas wszystkich, uśmielibyśmy się do rozpuku, co? No, chociaż nie możemy narzekać. Nam też nie najgorzej się powiodło. Ale jakoś nie mogę skończyć z tym gładzeniem. Teraz to już naprawdę idę. Nie chciałbym, żebyś pomyślał, że gadam bez końca po to, by odwlec pójście na górę, jak by tam naprawdę było coś, czego można się bać. Gdybym rzeczywiście miał stracha, szczerze bym ci to powiedział i zabrałbym cię ze sobą.

A otóż i pudło. Zniosłem je bardzo ostrożnie, żeby nie poruszyć tego biedactwa. Widzisz, gdy nim potrząsnąć, szczeka znowu mogłaby odpaść, a ona z pewnością nie byłaby z tego zadowolona. Tak, kiedy schodziłem na dół, zgasła świeca. Ale to przeciąg ją zgasił. Na podeście schodów jest okno, które się nie domyka. Słyszałeś coś? Tak, jeden jedyny krzyk. Mówisz, że jestem błąd? To nic. Moje serce zachowuje się czasem jakoś dziwnie, a szedłem na górę dość szybko. I wiesz, to jest chyba jedyny powód, dla którego wolę mieszkać na dole.

Ale obojętne, skąd ten wrzask pochodził, tym razem to nie ona krzyczała. Kiedy to usłyszałem, trzymałem pudło w rękach. No, zdobyliśmy wreszcie dowód, że te wrzaski mają jakieś inne źródło. Ani przez chwilę nie wątpię, że kiedyś dojdę do tego, co jest ich przyczyną. Na pewno jakaś szczelina w ścianie, może pęknięcie w kominie albo szpara we framudze okna. Tak się zawsze kończą wszystkie historie o duchach. Wiesz, jestem ogromnie zadowolony, że postanowiłem pójść na górę i przynieść ci ją do obejrzenia, bo ten ostatni wrzask wyjaśnia całą sprawę. I tylko pomyśleć, że byłem na tyle niemądry, by wyobrazić sobie, że ta biedna czaszka rzeczywiście mogła wydawać takie krzyki jak żyjąca istota!

Teraz otworzę pudło, wyjmemy ją i obejrzymy w jasnym świetle. To zupełnie potworne, jak się pomyśli, że ta biedna kobieta siadywała co wieczór tu na tym krześle, przy tej samej lampie. Nie uważasz? Ale teraz przekonałem się ostatecznie, że to wszystko bzdura od początku do końca i że to jakaś stara czaszka, którą Lukas dostał jeszcze za studenckich czasów. A może wsadził ją do wapna po prostu dlatego, że chciał ją wybielić i potem nie mógł jej znaleźć?

Umieściwszy szczękę na miejscu, obwiązałem pudło sznurkiem, wycisnąłem na nim pieczęć, a na wierzchu dałem napis. Jest tam naklejka z firmą modystki adresowana do pani Pratt, kiedy posyłano jej ten kapelus. Ponieważ było trochę wolnego miejsca, napisałem na brzeżku: „Czaszka należąca niegdyś do zmarłego Lukasa Pratta, doktora medycyny”. Sam nie bardzo wiem, po co to napisałem. Chyba po to, żeby wyjaśnić, w jaki sposób ta rzecz znalazła się u mnie. Chwilami nie mogłem się powstrzymać, by się nie zastanawiać, jaki był ten kapelus, który przysłano w tym pudle. Jakiego mógł być koloru? Czy ładny, wesoly, wiosenny kapelusik z chwiejącym się piórem i kolorowymi wstążkami? To bardzo dziwne, żeby w tym samym pudle leżała czaszka, którą zdobiły kiedyś te śliczności... ale wszystko być może, chociaż... nie. Doszliśmy przecież do przekonania, że pochodzi ona ze szpitala w Londynie, w którym Lukas odbywał praktykę. Znacznie lepiej oglądać ją przy tym świetle, co? Między tą czaszką a biedną panią Pratt nie ma większego związku niż między moim opowiadaniem o ołowiu a...

Chryste Panie! Trzymaj lampę... staraj się, by nie zgasła... jedną sekundę... zaraz zamknę okno. Boże! Co za wiatr! No i zgasła. A mówiłem ci! Zresztą nic nie szkodzi. Trochę światła pada z kominka. No, wreszcie uporałem się z tym oknem. Zasułka była spuszczone tylko do połowy. Czy to pudło spadło ze stołu? Gdzież się podziało, do diabła?! No, mamy spokój z oknem — założyłem sztabę. Nie ma nic lepszego jak dobra zasuwa albo staromodna sztaba. Zajmij się teraz szukaniem tego pudła, ja tymczasem zapalę lampę. Do diabła z tymi przeklętymi zapalnikami! Tak, masz rację, fidybus będzie lepszy. Musi się zapalić od ognia. Nie przyszło mi to do głowy. Dziękuję. No więc znowu mamy światło. Gdzie jest to pudło? Masz? Dobrze. Postaw na stole. Zaraz je otworzymy.

Pierwszy raz się zdarzyło, żeby wiatr otworzył na roścież to okno. Ale sam temu jestem winien, bo nie zamknąłem go porządnie. Tak, oczywiście, że słyszałem krzyk. Miałem wraże-

nie, że obiegł dokoła cały dom, zanim zamarł przy oknie. Ale wobec tego to był tylko wiatr, nic innego, prawda? A jeżeli to nie był wiatr — widać moja imaginacja robi mi kawały. Zawsze należałem do ludzi obdarzonych bujną wyobraźnią, właściwie nie zdając sobie z tego sprawy. W miarę jak się starzejemy, człowiek coraz lepiej poznaje siebie, nie uważasz?

Wiesz, jak dolewasz sobie, nalej i mnie. W drodze wyjątku napiję się jeszcze trochę. Zmarłem na tym wilgotnym wietrze zamykając okno, a przy mojej skłonności do reumatyzmu strasznie się boję przeziębienia. Jak raz mi wlezie w kości, to siedzi potem przez całą zimę.

Hm, niezły ten rum! Czekaj, skoro siedzimy sobie tak wygodnie, zapalę tylko fajkę, a potem zaraz otwieramy pudło. Bardzo się cieszę, żeśmy obaj słyszeli ten ostatni krzyk. Czaszka leżała wtedy między nami na stole; chyba przyznasz, że żaden przedmiot nie może równocześnie znajdować się w dwóch miejscach. A że krzyk tym razem dochodził z zewnątrz, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Tak, to na pewno wiatr. Wydało ci się, że słyszysz krzyk w pokoju, kiedy okno otworzyło się na roścież. No tak. Ja też miałem takie wrażenie, ale to chyba zupełnie naturalne; wszystko było otwarte. Oczywiście, że to tylko wiatr. Czego się można było spodziewać po takim huraganie?

Spojrzyj tu, proszę. Chciałbym, żebyś, zanim otworzymy pudło, zobaczył, że pieczęć jest nietknięta. Może ci dać moje okulary? Masz własne? Dobrze. Pieczęć jest, jak widzisz, cała. Bez trudu możesz na niej odczytać dewizę „Słodki i słaby”. To jest sama dewiza, bo wiersz brzmi dalej: „wiatr z zachodniego morza”, a potem „powróć mi go znów” i tak dalej. A oto pieczątką na łańcuszku od zegarka. Noszę ją stale już przeszło czterdzieści lat. Moja biedna mała żona dała mi ją, kiedy się o nią starałem, a potem przez całe życie nigdy nie używałem innej pieczątki. To, że wybrała właśnie te słowa, świadczyło o jej upodobaniach. Zawsze przepadała za Tennysonem.

Nie trzeba przecinać sznurka. Pudło owiązane jest tak, że wystarczy tylko złamać lak i rozplątać węzeł, a potem zaraz zalakujemy go z powrotem. Widzisz, lubię mieć pewność, że ta rzecz leży bezpiecznie na swoim miejscu i że nikt nie może jej stamtąd wyjąć. Bynajmniej nie podejrzewam Trehearna o zbytnią ciekawość, ale nie mogę się pozbyć uczucia, że on wie dużo więcej, niż chce powiedzieć.

Popatrz, nie uszkodziłem sznurka, chociaż gdy go zawiązywałem, nigdy by mi do głowy nie przyszło, że jeszcze kiedyś będę otwierał to pudło. Wieko zdejmuje się całkiem łatwo. Ale teraz patrz!

Co?! Nie ma nic w środku! Puste? Człowieku! Znikła! Czaszka znikła!

Nie, nie, nic mi nie jest. Staram się tylko zebrać myśli. Jakie to dziwne! Przecież mogę głowę dać, że była w środku, kiedy ubiegłej wiosny nakładałem pieczęć. Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić! To niemożliwe. Gdybym od czasu do czasu wychylał z przyjaciелеm po kilka głębszych, mógłbym się ewentualnie zgodzić, że popełniłem jakąś idiotyczną pomyłkę, będąc na gazie. Ale to mi się nie zdarza i nigdy się nie zdarzało. Za najlepszych czasów wypijałem do kolacji najwyżej kufel portera i pół szklaneczki rumu przed snem. I właśnie zawsze my, ci powściągliwi, nabawiamy się reumatyzmu i podagry. Przecież była tu moja pieczęć, a teraz to puste pudło... Tak, chyba nie można mieć żadnych wątpliwości.

Muszę ci powiedzieć, że ta historia wcale mi się nie podoba. To nie jest w porządku. Według mnie to jakaś niejasna sprawa. Nie mów mi o nadprzyrodzonych zjawiskach, bo ani trochę nie wierzę w te wszystkie brednie. Ktoś musiał dobrać się do tej pieczęci i skraść czaszkę. Czasem w lecie, kiedy pracuję w ogrodzie, zostawiam na stole zegarek i łańcuszek. Trehearn musiał wtedy zabrać pieczęć i zrobić z niej użytek, bo był zupełnie spokojny, że przynajmniej przez godzinę nie wrócę do pokoju.

A jeżeli to nie był Trehearn? Och! Nie mów mi nawet, że ona sama mogła się wydostać. Jeżeli tak się stało, to musi być gdzieś w domu, ukryta w jakimś zakamarku. Możemy się na nią natknąć gdziekolwiek, tam gdzie na nas czeka w ciemności... A potem zaczniesz się wrzask.

Będzie na mnie wrzeszczeć, bo mówię ci, ona mnie nienawidzi!

Tak. Pudło jest zupełnie puste, przecież żaden z nas chyba nie ma halucynacji. Obróć je do góry dnem.

Co to? Jak przewracałem pudło, coś wyleciało na ziemię. Leży na podłodze koło twojej nogi. Musimy to znaleźć! Człowieku, pomóż mi! Masz? Na Boga, daj mi to jak najprędzej!

Ołów! Wiedziałem. Wiedziałem, że to musi być ołów, kiedy padało na ziemię. Po dźwięku, jaki wydało upadając na dywanik przed kominkiem poznałem, że to nie może być nic innego. A więc mimo wszystko ołów, więc jednak Lukas zabił tę kobietę!

Wiesz, jestem wzburzony. Nie mogę powiedzieć, żebym był zdenerwowany, ale chyba się nie dziwisz, że jestem wyprowadzony z równowagi. Każdy by był na moim miejscu. Ale nie możesz mi zarzucić, że to strach przed nią, bo poszedłem i przyniosłem ją na dół, a przynajmniej tak mi się wydawało, a to zupełnie na jedno wychodzi. I, na Boga, prędzej znowu zaniosę to pudło na górę i położę na miejscu, aniżeli ustąpię przed takim bezsenssem. Ale w tej chwili jest już dla mnie pewne, że ta mała, biedna kobieta rozstała się z życiem w taki potworny sposób i to wyłącznie z mojej winy, bo nikt inny tylko ja opowiedziałem im o tym. To okropne. Jakoś zawsze miałem nadzieję, że nigdy się o tym ostatecznie nie przekonam. Ale w tej chwili nie pozostał mi już cień wątpliwości. Spójrz na to!

Spójrz! Mała bryłka ołowiu nieokreślonego kształtu. Pomyśl, człowieku, czego ona dokonała! Czy nie wzdrygasz się na samą myśl o tym? Naturalnie, dał jej jakiś środek nasenny, ale przez chwilę musiała piekielnie cierpieć. Pomyśl! Wlewać roztopiony ołów do mózgu! Zastanów się nad tym! Zginęła, zanim zdążyła krzyknąć, ale wyobraź sobie! Och! Znowu ją słyszeć! Jest na dworze. Wiem, że jest tuż za oknem. Nie mogę o niej zapomnieć! Och! Och!

Myślałeś, że zemdlałem? Nie, chociaż bardzo bym chciał, bo krócej by to trwało. Dobrze komuś tłumaczyć, że to tylko krzyk, a krzyk jeszcze nikomu nie zaszkodził. Ty sam jesteś błąd jak ściana. Jeżeli chcemy choć trochę się przespać tej nocy, to pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia. Musimy ją znaleźć, wsadzić do pudła i zamknąć w szafie, gdzie tak lubi przebywać. Nie mam pojęcia, jak się stamtąd wydostała, ale wiem, że chce tam wrócić. Właśnie dlatego tak straszliwie wrzeszczy tej nocy. Nigdy jeszcze nie wyła tak okropnie — nigdy, od czasu kiedy po raz pierwszy...

Pochować ją? Dobrze. Jak znajdziemy, pochowamy ją, choćbyśmy mieli nawet całą noc na to stracić. Zakopimy ją sześć stóp głęboko i mocno ubijemy ziemię, żeby nigdy nie mogła się stamtąd wydostać. A jak zaczniesz wyc, to i tak nie będzie nic słyszeć. Prędko! Weźmy latarnię i poszukajmy jej. Nie może być daleko. Jestem pewny, że jest gdzieś tuż, tuż. Wiem, że była bardzo blisko, kiedy zamykałem okno.

Tak, masz zupełną rację. Odchodzę od zmysłów i muszę wziąć się w garść. Nie mów do mnie przez chwilę, posiedzę sobie spokojnie, zamknę oczy i zacytuję coś, co znam na pamięć. To najlepszy sposób.

„Dodaj wysokość nad poziomem morza, szerokość geograficzną, odległość biegunową, podziel przez dwa i odejmij wysokość nad poziomem morza od uzyskanej sumy. Potem dodaj logarytm siecznej szerokości geograficznej do siecznej odległości biegunowej, cosinus połowy sumy i sinus połowy sumy minus wysokość nad poziom morza”.

No widzisz, nie możesz mi zarzucić, że zwariowałem, bo pamięć funkcjonuje mi jeszcze bez zarzutu, prawda?

Powiesz, że zacytowałem to zupełnie mechanicznie i że nigdy nie zapominamy rzeczy, których nauczyliśmy się jako mali chłopcy i którymi posługiwaliśmy się dzień w dzień przez całe życie. Ale to jest właśnie bardzo charakterystyczne. Kiedy człowiek dostaje pomieszania zmysłów, to właśnie ta część mózgu, która pracuje mechanicznie, zawodzi i przestaje należyście pracować. Człowiek przypomina sobie rzeczy, które się w ogóle nie zdarzyły, widzi coś, czego nie ma, albo słyszy jakieś dźwięki, chociaż panuje zupełna cisza. Ale nic podobnego żadnemu z nas się nie zdarzyło, prawda?

Chodź, weźmiemy latarnię i obejrzymy dom. Deszcz nie pada, tylko jest potworna wichura, jak by się diabeł urwał z łańcucha. Latarnia wisi w szafie w hallu pod schodami. Zawsze mam ją tam w pogotowiu na wypadek, gdyby się jakiś wrak pojawił.

Powiadasz, że nie ma celu jej szukać. Zupełnie nie rozumiem, jak możesz mówić coś podobnego. Oczywiście nie ma sensu jej zakopywać, bo ona nie ma ochoty zostać pogrzebana, biedactwo; chce się z powrotem dostać do swego pudła i na górę. Jestem przekonany, że to Trehearn ją wyjął, a potem znów nałożył pieczęć. Może chciał jak najlepiej i zaniósł ją na cmentarz... Pewnie przypuszczał, że jak się ją złoży spokojnie w poświęconej ziemi, niedaleko miejsca, gdzie powinna się znajdować, przestanie nareszcie tak straszliwie wyć. A tymczasem ona wróciła do domu. Tak, na pewno tak było. Z tego Trehearna wcale niezły człowiek i mam wrażenie, że jest dość religijny. Czy takie rozwiązanie nie wydaje ci się naturalne, rozsądne i wynikające z jak najlepszych pobudek?

Na pewno przypuszczał, że ona tak wyje dlatego, że nie została należycie pochowana wraz z resztą ciała. Ale się pomylił. Skąd mógł wiedzieć, że ona wyje z nienawiści do mnie? I że przeze mnie znalazła się w niej ta mała grudka ołowiu?

Twierdzisz, że nie ma celu jej szukać? Nonsens! Powiadam ci, ona chce, żeby ją znaleźć. Cicho! Słyszysz pukanie? Słyszysz? Puk, puk, puk! Trzy razy, potem chwila ciszy i znowu od początku. Taki głuchy dźwięk, prawda?

Widzisz! Wróciła do domu. Już raz słyszałem to pukanie. Chce się dostać do środka i żąda, by ją zanieść na górę. Czeka przed frontowymi drzwiami.

Pójdiesz ze mną? Zabierzemy ją do domu. Tak, otwarcie się przyznaję, że nie chcę iść sam otwierać. Potoczy się i zatrzyma przy mojej nodze, tak jak już raz było. I światło zgaśnie. Jestem bardzo podekscytowany znalezieniem tego ołowiu. A poza tym coś mi serce nawala. Może za dużo mocnego tytoniu. Owszem, przyznaję się bez bicia, że dziś wieczór jestem trochę zdenerwowany. Zresztą, jak chcesz wiedzieć, zdarza mi się to pierwszy raz w życiu.

No to chodźmy. Wezmę ze sobą pudło, żeby potem nie wracać. Słyszysz pukanie? Nie pamiętam, by jakieś pukanie tak brzmiało. Jeżeli potrzymasz drzwi otwarte, znajdę latarnię pod schodami przy świetle, jakie pada z tego pokoju. Obejdzie się bez wynoszenia lampy do hallu, bo tam na pewno by zgasła.

Ona wie, że mamy zamiar wyjść. Słyszysz? Niecierpliwi się, by się dostać do środka. Cokolwiek robisz, nie zamykaj drzwi, dopóki nie przygotuję lampy. Przypuszczam, że będą zwykłe kłopoty z zapalnikami. Nie, na Jowisza! Pierwsza zapaliła się od razu. Powiadam ci, wszystko idzie gładko, bo ona chce się dostać do środka. Teraz już nie musisz trzymać drzwi. Zamknij je, proszę. Podejdź bliżej i weź ode mnie latarnię. Na dworze tak wieje, że będą mi potrzebne obie ręce. Tak, zniź światło. Słyszysz? Ciągłe się dobija. Teraz otworzę drzwi, ale tylko tyle, ile konieczne, a u dołu podeprę je nogą. Dobra. Już!

Łap! To tylko wiatr toczy ją po podłodze! Powiadam ci, na dworze jest prawie huragan. Trzymasz ją? Pudło stoi na stole. Chwileczkę, tylko sztabę założę. No, już po wszystkim.

Czemu rzuciłeś ją do pudła tak gwałtownie? Przecież wiesz, że ona tego nie lubi.

Co?! Ugryzła cię w rękę? Bzdura, człowieku! Po prostu zrobiłeś to samo, co ja. Ścisnąłeś razem obie szczęki drugą ręką i przyszczypnąłeś sobie palec. Pokaż! Nie idzie ci chyba krew? O, do diabła! Musiałeś zdrowo przycisnąć. Skóra jest uszkodzona. Zanim się położymy, dam ci trochę roztworu karbolowego, bo mówią, że zadrażnienie zębami kościotrupa może się źle skończyć i spowodować jakieś paskudztwo.

Chodź, wrócimy do pokoju, musisz mi pokazać tę rękę przy świetle. Wezmę pudło, o latarnię się nie martw. Może się palić w hallu. Będzie mi niedługo potrzebna, jak pójdę na górę. Tak, dobrze. Jeśli chcesz, to zamknij drzwi, zrobi się weselej i jaśniej. No, jak tam palec? Krwawi jeszcze? Zaraz przyniosę karbolu. Pozwól tylko, że obejrzę czaszkę.

O, do licha! Na górnej szczęce jest kropla krwi. Na zębie ocznym. Makabra, co? Kiedy zobaczyłem, jak się toczy po podłodze w hallu, ręce opadły mi bezwładnie i czułem, że się

kolana pode mną uginają. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że to przecież wiatr toczy ją po gładkich deskach. Nie masz do mnie żalu? Nie? Byłem pewny, że nie będziesz miał. Zналиśmy się jeszcze jako chłopcy i niejedno widzieliśmy. Między sobą możemy otwarcie powiedzieć, że mieliśmy obaj niezłego stracha, jak ona toczyła się po podłodze. Trudno się dziwić, że podnosząc ją, przyciąłeś sobie palec, skoro ja w zdenerwowaniu zrobiłem to samo w jasny dzień.

Niebyszała, jak te szczęki przylegają do siebie. Są ściśnięte zupełnie jak imadła. To pewnie wilgoć. Wytarłem tę krew, bo nieprzyjemnie było patrzeć. Nie bój się ani mi w głowie rozwierać szczęki. Nie mam też bynajmniej zamiaru wyczyniać z biedną czaszką żadnych historii. Opieczętuję pudło i zaniesiemy ją na górę do szafy, tam gdzie ona się chce dostać. Lak leży na biurku, pod oknem. Dziękuję. Muszę ci powiedzieć, że dużo wody upłynie, zanim zostawię na wierzchu pieczętkę, żeby Trehearn znów mógł z niej zrobić użytek. Pytasz, jak tłumaczę sobie to wszystko?

Nie tłumaczę sobie naturalnych zjawisk, ale jeżeli doszedłeś do przekonania, że Trehearn schował czaszkę gdzieś w krzakach, a wichura przywiała ją na próg i tukała nią o drzwi, jak by się domagała, żeby wpuścić czaszkę do środka, to takie rozumowanie wydaje mi się nawet dość prawdopodobne. Ja ze swej strony byłbym gotów się z nim zgodzić.

Patrz uważnie. Będziesz mógł potem przysiąc, że widziałeś na własne oczy, jak pieczętowałem pudło, gdyby znowu zdarzyła się podobna historia. Lak przykleja sznurki do wieka, którego nie można podnieść nawet na tyle, żeby wsadzić palec. Jesteś tego zupełnie pewny, prawda? Dobrze. Poza tym zamknę szafę na klucz i nic będę go w ogóle wyjmował z kieszeni.

No dobrze. Możemy teraz wziąć latarnię i pójść na górę. Wiesz co? Jestem gotów zgodzić się z twoją teorią, że to wiatr przywiał ją pod dom. Pójdę przodem, bo znam schody; tylko jak będziemy szli na górę, trzymaj latarnię blisko moich nóg. Boże, jak ten wiatr przeraźliwie wyje! Czułeś, jak pod butami skrzypiał piasek, kiedy przechodziliśmy przez hall?

Tak. To są drzwi do tej sypialni. Proszę cię, podnieś latarnię. Po tej stronie, koło łóżka. Kiedy wyjmowałem pudło, zostawiłem szafę otwartą. Jakie to dziwne, że nawet słaby zapach kobiecych sukien potrafi się tak długo utrzymać w zamkniętym pomieszczeniu. To ta półka. Widziałeś, jak postawiłem na niej pudło, a teraz widzisz, jak przekręcam klucz w zamku i chowam go do kieszeni. No, już po wszystkim.

Dobranoc. Czy jesteś pewny, że będzie ci tu całkiem wygodnie? To skromny pokój, ale wydaje mi się, że dzisiaj będzie ci przyjemniej spać tutaj niż na gorze. Gdybyś czegoś potrzebował, to zawołaj. Dzieli nas tylko cienka ścianka. Po tej stronie domu wiatr jest znacznie słabszy. Gdybyś się chciał napić do poduszki, rum stoi na stole. Nie? Rób, jak chcesz. Jeszcze raz dobranoc, i jeżeli tylko możesz, to staraj się, żeby ci się to nie przyśniło.

Dwudziestego trzeciego listopada tysiąc dziewięćset szóstego roku w piśmie „Penradon News” ukazał się następujący artykuł:

TAJEMNICZA ŚMIERĆ KAPITANA MARYNARKI W STANIE SPOCZYNKU.

Cała wieś Tredcombe jest poruszona tajemniczą śmiercią kapitana Karola Braddocka, który swego czasu dowodził największymi i najszybszymi statkami, należącymi do jednego z czołowych transatlantyckich towarzystw okrętowych. Odnośnie okoliczności, w jakich śmierć nastąpiła, krążą najbardziej nieprawdopodobne wersje. We wtorek rano znaleziono kapitana martwego w łóżku w jego domu położonym o ćwierć mili od wsi. Natychmiastowe badanie przeprowadzone przez miejscowego lekarza wykazało przerażający fakt. Zmarły został ugryziony w gardło przez jakiegoś zbrocznego zbrodniarza i to z siłą tak niezwykłą, że krtań została przzerwana, co stało się przyczyną śmierci. Ślady zębów na skórze były tak wyraźne, że można je było dokładnie policzyć. Sprawcy tego potwornego czynu brakowało w dolnej szczęce dwóch środkowych siekaczy. Istnieje nadzieja, że szczegół ten pomoże zidentyfikować mordercę, którym jest bez wątpienia jakiś niebezpieczny szaleniec, zbiegły z

zakładu dla psychicznie chorych. Zmarły, chociaż liczył ponad sześćdziesiąt pięć lat, cieszył się najlepszym zdrowiem i był w pełni sił fizycznych. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w pokoju nie znaleziono żadnych śladów walki. Nie udało się również ustalić, w jaki sposób morderca dostał się do domu. Wysłano ostrzeżenie do wszystkich zakładów dla obłąkanych na całym terytorium Zjednoczonego Królestwa. Jak dotąd, nie otrzymano żadnej informacji o ucieczce jakiegokolwiek niebezpiecznego pacjenta.

Ława przysięgłych wydała nieco dziwny werdykt stwierdzający, że kapitan Braddock poniósł śmierć na skutek uduszenia rękami albo zębami jakiegoś nieznanego osobnika. Miejscowy lekarz miał się rzekomo wypowiedzieć, jednakże jedynie w formie prywatnej opinii, że sprawcą zbrodni musiała być kobieta. Twierdzenie to opiera na małym rozmiarze szczęki, o czym można sądzić po śladach zębów, widniejących na szyi zmarłego. Cała sprawa owiana jest tajemnicą. Kapitan Braddock był wdowcem i mieszkał samotnie. Nie pozostawił żadnych dzieci.

Przełożył Aleksander Bogdański

VERNON LEE

Vernon Lee to pseudonim kobiety, Violet Paget (1856—1935). Urodzona w Boulogne z ojca Anglika i matki Walijski, przez całą młodość podróżowała z rodzicami, by wreszcie osiąść na stałe we Florencji. W Anglii bawiła po raz pierwszy w roku 1881, już jako znana pisarka. Pozostawiła ponad czterdzieści książek, z których największym uznaniem cieszyły się wnikliwe studia z zakresu historii sztuki, estetyki i psychologii. Jej powieści poszły już dzisiaj w zapomnienie, oparły się działaniu czasu tylko niektóre opowiadania o duchach. „Amour Dure” pochodzi z tomu „Nawiedzani” (1890).

AMOUR DURE

Urywki z diariusza Spirydiona Trepki

Część pierwsza

Urbania, 20 września 1885 r.

O lata, lata tęsknoty mojej za tobą, słoneczny kraju, za twą przeszłością pełną chwały, czyżeś to ty moją wysnioną Italią? Gdzież tu szukać tej przeszłości?... Dosłownie płakać mi się chciało z rozczarowania podczas tej pierwszej przechadzki po Rzymie, z zaproszeniem na obiad do niemieckiej ambasady w kieszeni, z drepczącymi mi po piętach czterema wandalami z Monachium i Berlina, sprzeczącymi się zawzięcie, gdzie podają najlepsze piwo i kapustę, oraz o czym traktował na łamach pism Grimm czy Momsen.

Czyżby cała twoja sceneria miała być oszustwem?... A może to tylko ja jestem trochę szalony? Ja, produkt tej bardzo świeżej daty cywilizacji Północy. Czyż sama moja obecność w tym kraju nie jest owocem tego współczesnego pseudonaukowego wandalizmu, który mi wyrobił stypendium za napisanie dzieła równie erudycyjnego i nudnego jak wszelkie podobne mu z zakresu historii i sztuki? Ba, czyż nie siedzę teraz w Urbanii, w tym właśnie celu, by po kilku miesiącach popełnić inny, tego samego rodzaju elaborat? Marny Spirydionie, ty Polaku wzorowany na niemieckim pedancie, doktorze filozofii, autorze nagrodzonego eseju o despotach piętnastego stulecia — czy wyobrażasz sobie, że ty, z twoimi ministerialnymi poleceniami i zapisanymi kartkami po kieszeniach surduta, możesz kiedykolwiek ulecieć duchem w przeszłość?

Niestety!... Lecz niech choć czasem wolno mi będzie się zapomnieć jak owego popołu-

dnia, gdy białe woły leniwie ciągnęły moją kolaskę, wzdłuż nie kończących się wąwozów, poprzez niezliczone wzgórza, z huczącym potokiem gdzieś tam w dole — w górę, ku mej Urbanii, owemu zapomnianemu przez ludzi miasteczku, upstrzonemu licznymi wieżami, na wysokim zboczu Apenin. I gdy wystające góry zakryły zachód słońca, doliny wypełniły się cieniami i niebieską mgłą, kopuły i wieże w dali spowiła krwawa zorza, a ponad przepaścią popłynęły spiżowe tony dzwonów. Z każdego zakrętu drogi oczekiwałem wyłaniającego się orszaku rycerzy na koniach, w hełmach i błyszczących zbrojach, i ich powiewających proporczyków na tle rozplamionego nieba. A potem — niecałe dwie godziny temu — przyjazd o zmierzchu do miasteczka, samotne uliczki, kopcające płomyki na stopniach kapliczek, czerwone języki w czarnej czeluści kuźni, strzelnice i wieże zamku — ach, to była Italia, to była przeszłość!

21 września

A oto terazniejszość: garść listów polecających i uciążliwa godzina wymiany uprzejmości z wiceprefektem, z dyrektorem Archiwów, z gospodarzem, któremu mnie mój przyjaciel Maks polecił na lokatora.

22—21 września

Przeważnie w Archiwach. Zamęczany przez dyrektora, który na przykład dzisiaj potrafił jednym tchem deklamować w kółko „Komentarze” Eneasza Sylwiusza. Jeśli potraficie sobie uzmysłwić uczucia konia wyścigowego przyprzężonego do dorożki, takie mniej więcej będą uczucia Polaka przerobionego na pruskiego profesora. Od tego gatunku męczeństwa szukam ucieczki w długich włóczęgach po mieście. Urbania to garść domów przyprószonych patyną wieków, stłoczonych bez ładu ni składu na szczycie góry; wąskie i kręte uliczki spadające w dół i pośród nich — okazała budowla z czerwonej cegły, z licznymi wieżycami i strzelnicami: gród księcia Ottobuono, z okien którego rozlega się nieco melancholijnie usposabiający widok na morze szarych, zbałwanionych chmur. To lud: czarne chłopcy z gęstymi brodami, owinięci w zielono podbite opończe, na swych mizernych mułach jak jacy zbóje. Dorodni, bezczynni, śniadzi, o niskich czołach niby owi kolorami przybrani *bravos* na freskach Signorrellego. Śliczne chłopaki z oczami byczków jak młodzi Rafaelici. Postawne kobiety — Madonny lub święte Elżbiety — w drewniakach sztywno przytrzymywanych palcami nóg, przechadzające się tam i z powrotem z mosiężnymi dzbanami na głowach po stromych, ciemnych zaułkach. Staram się jak najmniej rozmawiać z tymi ludźmi w obawie rozwiania się mych marzeń. Na rogu ulicy, naprzeciw cudnego małego portyku Francesco di Giorgia, kłuje w oczy krzyczącymi kolorami reklama przedstawiająca anioła, który spływa z nieba, by koronować Eliasza Howe'a za jego maszyny do szycia. A urzędnicy wiceprefektury, z którymi spożywam obiad w gospodzie, wrzeszczą o polityce, Minghettim, Cairolim, Tunisie, pancernikach itp., wyśpiewują urywki z „La filie de Madame Angot”, którą, jak się domyślam, wystawiano tu niedawno.

Nie... rozmowa z tubylcami to stanowczo niebezpieczny eksperyment. Za wyjątkiem może mego gospodarza, signora notaro Porri, który jest równie biegły — a przy tym zażywający mniej tabaki (może tylko staranniej ją strzepuje z pół surduta) — jak dyrektor Archiwów. Zapomniałem powiedzieć, że mieszkam w domu antykwariusza, a czuję, że muszę to uczynić w nadziei, iż pewnego dnia świstki te w nienawistnym Babilonie-Berlinie przywiodą mi na myśl szczęsne dni italskie.

Okno moje wygląda na główną ulicę ciągnącą się pod górę ku kolumieńce z Merkurym

na wierzchu, która wyrasta wśród portyków i podcieni rynku. Gdy się wychylam ponad rytmami dzbanami, wypełnionymi słodko pachnącym bazyliżkiem, korzennymi goździkami i nagietkami, widzę narożnik wieży zamkowej i w dali zamgloną ultramarynę wzgórz. Ten dom, z tyłami schodzącymi w wąwóz, jest przedziwną, na kilku poziomach położoną budowlą, o bielonych ścianach obwieszonych Rafaelami i Peruginami, które w razie spodziewanej wizyty cudzoziemca mój gospodarz cierpliwie znosi na dół do sklepu. Pełno tam starych, rzeźbionych krzesel, skrzyń wyprawnych zawierających sztuki starożytnego adamaszku, liturgicznych obrusów bogato haftowanych — wszystko to przepojone aromatem zwietrzałego kadzidła spoczywa pod staranną pieczę dziewiczych sióstr signora Porri: sory Serafiny, sory Lodovici i sory Adalgisy, królujących pośród kadziolek i czarnych kotów.

Sor Astrubale, jak zwą mego gospodarza, jest zarazem notariuszem. Nie może odżalować rządów papieskich (miał tam kuzyna za pazia kardynalskiego). Wierzy, między innymi, że skoro nakryć stół na dwoje, zapalić cztery wytopione z sadła nieboszczyka świece, wymawiając przy tym pewne niezupełnie jasno sprecyzowane zaklęcia, można zmusić świętego Pasquale Babylon do wypisania na zakopconym odwrocie talerza wygrywających na loterii numerów. To nie jest jednak tak proste, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Po pierwsze, sadło nieboszczyka stanowi artykuł stosunkowo rzadki. Po wtóre, święty ów bardzo nie lubi, jak go policzkować, trzeba zatem działać szybko, nim się zdąży ulotnić.

„Gdyby nie to — powiada sor Astrubale — rząd byłby od dawna zmuszony zwinąć trafikę z biletami”.

Historia Urbanii nie jest pozbawiona romantyzmu, choć romantyzm ten jak zwykle bywa całkowicie przeoczany przez naszych wycieraczy kurzu. Jeszcze przed przybyciem tutaj pozostawałem pod silnym urokiem przedziwnej postaci kobiecej, niezwykle wyraziście wyłaniającej się z suchych kart kroniki Gualteria i padre de Sanctis. Ta kobieta to Medea, córka Galleazza IV, Malatesta, pana na Carpi; najprzód żona Pierluigi Orsiniego, księcia Stimigliano, a następnie Guidalfonsa II, księcia Urbanii, poprzednika wielkiego Roberta II.

Życie i charakter tej kobiety przypomina Biankę Capello i Lukrecję Borgia. Urodziła się w 1556 roku; w wieku lat dwunastu zaręczają ją z kuzynem z rodu Riminich. Gdy po pewnym czasie rodzina ta zaczyna podupadać, następuje zerwanie i ponowne zaręczyny, tym razem z przedstawicielem rodu Pico. Skoro tylko Medea dochodzi do lat czternastu, zostaje to umocnione ślubem *per procura*. Ale związek ten nie zadowala wygórowanych ambicji zarówno córki jak i jej ojca, toteż pod jakimś tam pretekstem ogłasza się go za nieważny, udzielając zarazem zachęty staraniom księcia Stimigliano, potężnego umbryjskiego lennika Orsinich. Lecz młody i buńczuczny Pico do szaleństwa zakochany w pannie, o której kroniki świadczą, iż była niezwyklej urody i wesołego przy tym usposobienia, bynajmniej nie zamierza dawać za wygraną. Apeluje do papieża, jest zdecydowany dochodzić swego siłą. Pewnego dnia Medea udawała się lektyką do willi ojca; Pico porywa ją i uwozi do swego zamku, w pobliżu Mirandoli, gdzie ubiega się o jej względy, powołując się przy tym na swe prawa. Panna wymknęła mu się jednak, spuszczając się w nocy z okna po linie ze związanych prześcieradeł, a Gionfrancesca Pico służba odkryła rankiem martwego, ze sztyletem w sercu. Był on całkiem przystojnym młodzieńcem, zginął mając osiemnaście lat.

Wobec śmierci Pico papież uznaje małżeństwo za nieważne i Medea da Carpi zostaje uroczyscie poślubiona księciu Stimigliano. Żyje z nim odtąd na jego dziedzicznych ziemiach w pobliżu Rzymu.

W dwa lata później Pierluigi Orsini zostaje zasztyletowany przez jednego ze swych pacholców w swym zamku Stimigliano, koło Orvieto. Bezpośrednio po tym księżna każe dwóm służącym zarąbać zabójcę w swoim własnym pokoju. Wybucho głośny skandal. Ziemia teraz zaczyna się palić pod stopami Medei da Carpi; ucieka ona do Urbanii i rzuca się do nóg księciu Guidalfonso, błagając ratunku. Przysięga, że kazała zabić tego pacholka jedynie w

obronie swego honoru, który on wystawił na szwank, i że jest absolutnie niewinna śmierci swego męża. Niezwykła uroda dziewiętnastoletniej księżny zawraca w głowie księciu Urbanii. Udziela jej swej protekcji, odmawia wydania Orsinim, krewnym nieboszczyka, i przydziela jej wspaniałe apartamenty w lewym skrzydle pałacu, zawierające między innymi ów pokój ze słynnym kominkiem, przyozdobionym kupidynami z marmuru. Guidalfonso zakochuje się do szaleństwa w swym cudnym gościu. Dotychczas raczej nieśmiałego i domatorskiego usposobienia, pod jej wpływem nabiera śmiałości, zaczyna jawnie zaniedbywać swoją żonę, Magdalenę Varano da Camerino, z którą, jakkolwiek bezdzietny, żył dotąd w najlepszej harmonii. Nie tylko odrzuca z pogardą upomnienia doradców, ale posuwa się dalej: wszczynając kroki rozwodowe pod całkowicie urojonym pozorem złego prowadzenia się swej małżonki. Nieszczęsna księżna Magdalena chroni się w klasztorze bosych sióstr w Pesaro, podczas gdy Medea króluje na jej miejscu w Urbanii, wikłając Guidalfonsa w zatargi zarówno z potężnymi Orsinimi, którzy nie przestają oskarżać ją o zabójstwo Stimiglianiego, jak i z Varano, krewnymi pokrzywdzonej księżny Magdaleny. W roku 1576 książę Urbanii w podejrzanych okolicznościach zostaje wdowcem i oficjalnie poślubia Medeę da Carpi — za ledwie dwa dni po śmierci swej małżonki. Ten związek pozostał bezdzietny, lecz tak wielkie było zaślepienie Guidalfonsa, iż nowa księżna zdołała go nakłonić (po otrzymaniu z wielkimi trudnościami zgody papieża) do przelania praw dziedzictwa na jej syna ze Stimigliano, małego Bartolommeo. Orsini jednak nie chcieli go uznać, uważając go za dziecko owego Gionfrancesca Pico, któremu Medea była poślubiona *per procura*, i którego zamordowała rzekomo w obronie swego honoru. Poza tym, adopcja ta dzieje się z wyraźnym pogwałceniem oczywistych praw kardynała Roberta, młodszego brata Guidalfonsa.

W maju 1579 roku książę Guidalfonso nagle umiera — znów w tajemniczych okolicznościach: Medea nie dopuszcza nikogo do pokoju konającego w niewątpliwej obawie, by opanowany wyrzutami sumienia, na łożu śmierci nie przywrócił swego młodszego brata do praw. Księżna każe natychmiast ogłosić swego syna, Bartolommea Orsini, księciem Urbanii, siebie zaś regentką. Przy pomocy dwóch czy trzech młodych ludzi pozbawionych skrupułów, w pierwszym rzędzie niejakiego kapitana Oliverotto da Narni — jak fama głosi swego kochanka — z niezwykłą i straszliwą energią chwyta w ręce ster rządów. Wysyła armię przeciw Varano i Orsinim, którzy zostają pokonani pod Sigillo i bez miłosierdzia wykańcza każdego, kto tylko ośmielał się kwestionować prawomocność sukcesji. Tymczasem kardynał Robert zrzucawszy szaty duchowne i uwolniwszy się od ślubów kościelnych, udaje się do Rzymu, Toskanii, Wenecji — ba, nawet do samego cesarza i króla Hiszpanii — z błaganiami o pomoc przeciw uzurpatorowi.

Po kilku miesiącach prąd sympatii zwraca się przeciw księżnie regentce. Papież uroczysto uznaje adopcję Bartolommea Orsini za nieważną, ogłasza Roberta II księciem Urbanii i hrabią Montemurlo. Wielki książę Toskanii oraz Wenecjanie obiecują w sekrecie pomoc, ale jedynie w tym wypadku, o ile Robert zdoła się utwierdzić siłą w swych prawach. Miasto za miastem przechodzi w ręce Roberta, aż Medea da Carpi znajdzie się oblężona w górskiej twierdzy Urbanii, jak skorpion otoczona płomieniami (porównanie nie moje, lecz Rafaela Gualterio, biografy Roberta II). Medea jednak nie zamierza popełnić samobójstwa jak skorpion. Zdumiewające, jak bez pieniędzy i sprzymierzeńców potrafiła się tak długo opierać wrogom. Gualterio skłonny jest przypisywać to jej fatalnemu urokowi, który doprowadził do śmierci Pico i Stimiglianiego, uczciwego niegdyś Guidalfonsa przemienił w łajdaka i który był tak potężny, iż żaden z jej kochanków mimo całej niewdzięczności z jej strony, mimo wyszydzania przez rywala nie zawahał się za nią umierać. Tę moc dobrego Rafael tłumaczy związkami z czartem.

W końcu eks-kardynał zwycięża i tryumfalnie wkracza do Urbanii w listopadzie 1579 roku. Jego dojście do władzy odznacza się łaskawością i umiarem. Nikogo nie skazuje na śmierć z wyjątkiem jednego Oliverotto da Narni, zasiekanego przez książęcych pacholców po

jego udaremnionej próbie zasztyletowania księcia.

Da Narni do ostatniego tchu nie przestał wołać: „Orsini, Orsini, Medea, Medea, niech żyje książę Bartolommeo!”, mimo że, jak powiadają, księżna traktowała go haniebnie. Mały Bartolommeo zostaje wysłany do Rzymu Orsinim; księżna zaś z należnym respektem zamknięta w swych apartamentach, w lewym skrzydle pałacu.

Powiadają dalej, że z uporem domagała się widzenia z Robertem, lecz on z wrodzoną przewrotnością i zabobonnym wprost przed nią strachem stale się uchylał, do tego stopnia, że gdy ona zdołała ukradkiem wśliznąć się kiedyś do jego gabinetu, w wielkim popłochu wyskoczył tylnymi drzwiami. Po kilku miesiącach wykryto spisek mający na celu uśmiercenie księcia; nici tego spisku niedwuznacznie prowadziły w stronę Medei. Lecz pod najsroźszymi torturami pewien młody człowiek, niejaki Frangipani rodem z Rzymu, zaprzecza jakiegokolwiek, jej w tym udziału i w końcu Robert, nie ważąc się bez dowodów na żaden akt gwałtu, przenosi księżnę ze swej willi w Sant Elmo do klasztoru klarysek w mieście, gdzie pozostaje ona pod strażą, pilnowana z najwyższą czujnością.

Wydaje się teraz niemożliwe, by Medea mogła knuć intrygi, bo nie widuje nikogo i przez nikogo nie może być widziana. Mimo to udaje jej się przemycić jakoś list ze swoją podobizną do niejakiemu Princivalle degli Ordelaffi, dziewiętnastoletniego zaledwie młodzieńca z arystokracji rzymskiej, zaręczonego z jedną z najpiękniejszych dziewcząt w Urbaniu. Ten natychmiast zrywa zaręczyny i wkrótce potem usiłuje zastrzelić z pistoletu księcia Roberta w kościele, w czasie mszy wielkanocnej. Tym razem Robert ma tego stanowczo dość i za wszelką cenę postanawia zdobyć dowody. Princivalle degli Ordelaffi będzie głodzony i poddany torturom — z obietnicą łaski, o ile potwierdzi współudział księżny w spisku. W czasie egzekucji, na placu Porta San Romano pod murami klasztoru, spowiednik i zakonnice błagają Medeę, by ocaliła młodzieńca przyznając się do winy. Medea otrzymuje zezwolenie udania się na balkon. Zimnym wzrokiem patrzy na męki swego wielbiciela, zrzuca mu haftowaną, uperfumowaną chusteczkę. Oprawca ociera nią zroszone śmiertelnym potem i krwią oblicze ofiary, Ordelaffi nabożnie całuje chusteczkę i umiera z imieniem Medei na ustach.

Widząc, że tak długo póki Medea da Carpi chodzi po tym świecie, życie jego będzie w ciągłym niebezpieczeństwie, Robert poleca po cichu zadusić ją w klasztorze. Znając dobrze jej władzę nad mężczyznami, powierza wykonanie tego dwóm kobietom, dzieciobójczyniom, którym daruje za to winę.

„Ten łaskawy książę — pisze o nim Archangelo Zappi w biografii opublikowanej w 1725 roku — może być oskarżony o jedno tylko okrucieństwo, tym obrzydliwsze, że ze strony osoby należącej niegdyś do stanu duchownego. Jego strach przed czarami Medei był do tego stopnia nieopanowany, iż nie dowierzając własnej płci, nie tylko posłużył się do jej zgładzenia niewiastami, lecz, co gorsze, odmówił jej nawet pociechy spowiedzi (nie ufając również mnichom), tym samym skazując ją na zgon bez rozgrzeszenia, bez oczyszczającej skruchy, jaka mogłaby zaświtać nawet w tym twardym sercu”.

Tak wygląda w skrócie historia Medei da Carpi, księżny Stimigliano Orsini, potem małżonki księcia Guidalfonsa II, pana na Urbaniu, wydanej na śmierć trzysta lat temu w wieku lat dwudziestu siedmiu w styczniu 1582 roku, która w przeciągu swego krótkiego żywota zdążyła skrócić życie pięciu kochankom od Gionfrancesca Pico po Princivalle degli Ordelaffi.

28 września

Poluję teraz na podobizny Medei. Większość z nich, jak sobie wyobrażam, uległa zagładzie za sprawą Roberta, jego zabobonnego strachu przed pośmiertnym urokiem tej kobiety. Tym niemniej trzy udało mi się wykryć: miniaturkę w Archiwach — jak fama głosi — tę samą, którą posłała nieszczęsnemu Princivalle degli Ordelaffi; marmurowy biust w rupiec-

rni pałacu oraz wielkie płótno pędzla prawdopodobnie Barociego: „Kleopatra u stóp Antoniusza”. Antoniusz — to bezsprzecznie wyidealizowana podobizna Roberta II: okrągła krótko przyszycona głowa, z lekka zakrzywiony nos, krótka broda i charakterystyczna blizna. Kleopatra pomimo całego wschodniego stroju jest oczywiście Medea da Carpi, która kłęczy u stóp zwycięzcy, obnażając przed nim usidlającym gestem pierś do uderzenia. On — nieco odwrócony w niezręcznym odruchu nieśmiałości. Podobizna Kleopatry przedstawia typ urody specjalnie cenionej u schyłku Renesansu, uwiecznionej przez Jean Goujona i szkołę francuską. Doskonały owal twarzy, zaokrąglone czoło, jasne, kasztanowate loki, nos ciut ciut za orli i kości policzkowe za nisko osadzone. Pod cudnymi łukami brwi wielkie, wypukłe, szare oczy, powieki ściągnięte w kątach, zarówno jak i usta, jakby nieco naprężone. Zamknięte powieki i usta nadają wyrazu dziwnego wyrafinowania i tajemniczości, a jednocześnie — złego uroku. Zdają się wszystko brać — nie dawać nic. Te dziecinne, nadaśane usta robią wrażenie, że mogą gryźć albo ssać jak pijawki. Cera olśniewająco jasna, o różowawoliliowej przejrzystości; głowa z pracowicie płasko ułożonymi lokami, przyozdobiona perłami na wzór starożytnej Aretuzy, osadzona na wydłużonej, łabędziej szyi. Ciekawy, na pierwszy rzut oka konwencjonalny, nieco sztuczny rodzaj piękności lubieżnej a zarazem zimnej — w miarę głębszej kontemplacji poruszającej i mącej umysł. Na szyi damy złoty łańcuch łączony blaszkami również ze złota, z wyrytą na nich, zgodnie z ówczesną francuską modą, dewizą: AMOUR DURE — DURE AMOUR. Ta sama dewiza wymalowana była w zagłębieniu piersi, dzięki czemu mogłem zidentyfikować postać jako portret Medei. Często badam te tragiczne podobizny, zastanawiając się, jaka mogła być ta twarz w ruchu, w uśmiechu; co wyrażała w momentach sidłania swych ofiar w pęta miłości i śmierci — AMOUR DURE — DURE AMOUR — miłości wiecznej i okrutnej zaiste, gdy pomyśleć o wierności kochanków i czekającej ich nagrodzie.

13 października

Dosłownie bez wolnej chwili na napisanie jednej linijki w moim dzienniku! Ranki pochłonięte przez kurze archiwalne, popołudnia — przez spacer w tej cudnej jesiennej pogodzie (szczyty gór są już pokryte czepcami ze śniegu). Wiezorami zaś... ślęczenie nad tym przeklętym raportem o pałacu w Urbanii, narzuconym mi przez rząd w tym oczywistym celu, aby bezużytecznie zająć mi czas. W mojej własnej opowieści ani... ale, ale! muszę zanotować po drodze ciekawy szczegół z anonimowej biografii księcia Roberta, która mi dziś przypadkiem wpadła w ręce. Otóż, gdy książe ten polecił się uwiecznić Tassiemu — konno na pomniku przeznaczonym dla *corte* — po cichu kazał, jak powiada mój anonimowy manuskrypt, odlać srebrny posążek swego ducha opiekuńczego, anioła stróża, którą to figurynkę, po zamówieniu przez astrologów kazał umieścić wewnątrz pomnika, aby zapewnić swej duszy pokój do czasu ciał zmartwychwstania. Ten ustęp zdaniem moim jest co najmniej zadziwiający: jak może dusza księcia Roberta oczekiwać w spokoju zmartwychwstania, skoro jako katolik powinien wierzyć, iż rozłączona z ciałem, ma udać się do czyśćca?... Czyżby jakiś przeżytek na wespół pogańskich przesądów Renesansu? Zadziwiająca to historia. Ciekaw jestem, czy taki fetysz istniał naprawdę... czy istnieje może dzisiaj w brązowym odlewie Tassiego?...

20 października

Synalek prefekta jest wielce obligującym młodzieńcem i należy do *beau monde* Urbanii. Zabawia mnie zwierzeniami o swych *amori* — byłych, obecnych i przyszłych; głośno wzdy-

cha lub wyciąga falsetem na widok każdej jako tako młodo wyglądającej niewiasty. Chwilo-
wo jest kochankiem wielkiej i wąsatej hrabiny i mnie też namawia do *amori*. Wciąga mnie w
miejscowe życie salonowe, ale ja po pierwszej próbie przysięgłem sobie nie próbować więcej.

To prawda, że ja nie mam żadnych *amori*, chociaż mój przyjaciel mi nie wierzy. Z
początku, gdy przybyłem do Italii, jak jaki Goethe gonilem za romanssem, wzdychałem w
Rzymie do postaci jakiejś cudnej istoty w oknie. Może to dlatego, że Goethe był Niemcem
przyzwyczajonym do niemieckich Frauen, a ja mimo wszystko pozostaję Polakiem, przywy-
kłym do zgoła czegoś innego — w każdym razie, mimo wszelkich wysiłków ani w Rzymie,
ani we Florencji nie wpadłem na ślad kobiety, dla której mógłbym stracić głowę, i to zarówno
wśród dam szczebioczących kiepską francuszczyzną, jak i tych z niższych sfer, chytrych i
zimnych jak lichwiarki.

Unikam zatem Włoszek, ich przenikliwych głosów i krzyczących toalet. Jam poślubion
historii, przeszłości, kobietom w rodzaju Lukrecji Borgii, Wiktorii Accoramboni, a obecnie
— Medei da Carpi. Pewnego dnia może znajdę moją wielką pasję, kobietę, wobec której jako
prawdziwy Polak będę zgrywał Don Kichota, spijał z pantofelka szampana, i dla której przy-
jemności będę gotów zginać... ale nie tu! Nic mnie tak nie uderza jak degeneracja Włoszek.
Gdzie się podziała rasa Faustinich, Maroziasich, Bianek Capello? Gdzie znaleźć dzisiaj
(przyznaję, to mnie prześladuje) drugą Medeę da Carpi? Gdybym tylko spotkał kobietę tak
wyjątkowej urody, tego — choćby potencjalnie — charakteru, pokochałbym ją na śmierć, na
życie jak jaki Oliverotto da Narni albo Frangipani, albo Princivalle.

27 października

Nie ma co... piękne to myśli dla profesora i uczonego!

5 listopada

Nie mogę usunąć z myśli tej Medei da Carpi. Czy w mych wędrówkach, czy w pora-
nkach spędzonych w Archiwach, czy w czasie samotnych wieczorów — o niej wciąż jeno
marzę. Czyżbym z historyka przemieniał się w romansopisarza? I wciąż mi się wydaje, że ją
tak dobrze znam, lepiej niż mówią fakty.

Medea... widzę ją, kobietę przecudnej urody, najwyższej odwagi, opanowania. Kobietę
o wielu zaletach, genialną, wychowaną przez ojca, drobnego księcia, na Tacycie, Salluście, na
powieściach wielkiego Malatesty o Cezarze Borgii i jemu podobnych. Kobietę, której pasją
był podbój i panowanie... Czy można taką kobietę o cokolwiek obwiniać? Czy to jej wina, że
każdy kamień zostaje skruszony pod jej rydwanem?... Ona, pyszna i królewska, po prostu
ignoruje cudze istnienia, ich małe ambicje, bóle czy namiętności. Wyobrażać sobie Medeę
okrutną, jest równie groteskowo śmieszne jak zwać ją niemoralną. Takiej istocie jest sądzone
tryumfować nad wrogami, obracać ich zwycięstwa w klęski, czyniąc swym niewolnikiem
każdego mężczyznę. Nie oprze się jej, kto ją ujrzy. Musi pokochać... i ginać. Z wyjątkiem
jednego księcia Guidalfonsa wszyscy jej kochankowie umierają w kwiecie wieku i nie ma w
tym żadnej krzywdy. Posiadanie takiej kobiety jak Medea — to za wielkie szczęście dla
śmiertelnika; odbiera ono rozum, wszelkie poczucie umiaru, powinności; nie może żyć długo
ten, kto mści sobie do niej prawa. Tylko śmierć, gotowość zapłaty najwyższej ceny, czyni
mężczyznę godnym miana jej kochanka. AMOUR DURE — DURE AMOUR. Miłość Medei
da Carpi nigdy nie więdnie; spełnia się cała w śmierci. Wieczna i okrutna to miłość.

11 listopada

Moje przeczucia spełnione! Znalazłem! O radości! Z tej wielkiej uciechy ugościłem synalka prefekta obiadem z pięciu dań w „Trattoria la Stella d'Italia”. Znalazłem w Archiwach, oczywiście nie znane dyrektorowi, listy — listy księcia Roberta dotyczące Medei da Carpi; listy samej Medei. Tak, pismo Medei, szkolne, zaokrąglone, pełne skrótów, greckie z wyglądu, jak przystoi wykształconej księżniczce, czytanej zarówno w Platonie jak i Petrarce. Nie ma w tych listach nic rewelacyjnego, po prostu pobieżne notatki dla sekretarza, z czasu, gdy rządziła biednym i słabym Guidalfonsem. Ale to jej listy, jej! W tych zbutwiałych kartkach niemal wyczuwam zapach jej włosów.

Listy księcia Roberta stawiają go w nowym zgoła świetle. Chytry, zimny, przy tym tchórzliwy księżyna, drżący na samą myśl o Medei — *la pessima Medea*. Cała jego długotrwała wspaniałomyślność to jedynie strach przed gwałtem. Boi się jej jak czegoś nadprzyrodzonego, najchętniej widziałby ją na stosie. Każdy jego list do kardynała Sanseverino w Rzymie, jeszcze póki ona żyła, pełen jest wzmianek o różnych środkach ostrożności jak na przykład: że stale nosi kolczugę pod kaftanem, że pija tylko mleko od krowy dojrzałej w swojej obecności, że próbuje na psie pokarmów, czy nie zatrute, że podejrzewa świece woskowe i że za każdym razem wyjeżdża konno poza bramy swego pałacu z wielkim strachem, by ktoś złośliwie nie spłoszył konia, powodując wypadek. A po śmierci Medei zwierza się ze swych obaw spotkania się na tamtym świecie z jej duszą i chwali się swym genialnym pomysłem (wypracowanym do spółki z astrologiem, niejakim fra Ganderio, kapucynem) gwarantującym mu pokój duszy tak długo, dopóki piekło nie pochłonie na dobre tej niegodziwej istoty. Mamy więc już wyjaśnienie roli owego posążka ze srebra, który Robert kazał wtopić w swój pomnik Tassiemu: tak długo jak wizerunek duszy pozostaje nie rozłączony z wizerunkiem ciała, może on spać spokojnie w oczekiwaniu Sądu Ostatecznego, w pełnym przekonaniu, że dusza Medei będzie wówczas dostatecznie usmażona, podczas gdy jego dusza — dusza sprawiedliwego człowieka pofrunie wprost do nieba. I pomyśleć, że jeszcze dwa tygodnie temu uważałem tego człowieka za bohatera! Poczekaj, mój dobry książę Robercie, już ja cię zdemaskuję i żadne fetysze nie uratują cię przed śmiechem potomnych.

15 listopada

Dziwne... ten idiota, synalek prefekta, który wszak nieraz słyszał mnie rozprawiającego o Medei da Carpi, teraz sobie nagle przypomniał, że gdy był dzieckiem, niania go straszyla Medeą galopującą po niebie na czarnym koźle. Moja księżna jako postrach dla niegrzecznych chłopczyków! Co za niegodziwość!

20 listopada

Zjechał mi na kark bawarski profesor, historyk średniowiecza; musiałem robić z nim wycieczki. Między innymi udaliśmy się do Rocca Sant Elmo, by zwiedzić willę książąt Urbainii, w której to właśnie więziono Medeę w okresie między objęciem rządów przez Roberta i spiskiem Marcantonio Frangipani, co spowodowało potem jej przeniesienie do klasztoru pod miastem. Droga wiodła wzwyż odludnymi dolinami, gołymi nie do opisania, z rzadkimi karłowatymi dębami o zrudziałych liściach, z kępami ściętej mrozem trawy i zeglującymi w powietrzu pożółkłymi listkami topól w porywach wiatru. Zimna mgła spowijała szczyty, wnet ujrzymy ich białe stożki na tle zimnego nieba. Sant Elmo to biedna wioska, zawieszona wy-

soko na skałach Apenin, gdzie śródziemnomorska roślinność ustępuje miejsca przybyszom z północy. Milami ciągnie się las kasztanowców, pachnie tam zbutwiałe listowie i szumi wezbrany potok, spadający opodal gwałtownie w przepaść. W Vollonbrosa wpada się od razu w czarne i zwarte smreki. Potem wyjeżdża się już w otwarte, mrozem zwarzone połoniny, graniczące z pokrytymi młodym śniegiem grzaniami, gdzie na pagórku wznosi się willa Sant Elmo, wielka podłużna budowla z ciemnego kamienia, z zakratowanymi oknami, rzeźbionymi herbami i podwójnym rzędem schodów od frontu. Obecnie została wydzierżawiona właścicielowi sąsiednich lasów, który ją obrócił na skład kasztanów, suszu oraz węgla drzewnego z pobliskich pieców. Przywiązaliśmy konie do żelaznych pierścieni i weszliśmy do środka. Poza jedną starą, potarganą kobietą dom był pusty. Postawił go Ottobuono IV, ojciec Guidalfonsa i Roberta, około 1530 roku jako pawilon myśliwski, bogato ozdobiony freskami i boazeriami rzeźbionymi w dębie. Teraz to wszystko zniknęło. Tylko w jednym pokoju ocalał wielki marmurowy kominek — jak w pałacu w Urbanii — z cudnie rzeźbionymi kupidynekami na niebieskim tle: po każdej stronie uroczy nagi chłopiec podtrzymujący wagę, jedną pełną różowych goździków, drugą róż. Ten pokój był zawalony suszem.

Wróciliśmy późno do domu, mój towarzysz w wielce kwaśnym humorze. W kasztanowym gaju wpadliśmy w burzę śnieżną. Widok śniegu kładącego się całunem po ziemi przenosił mnie w rodzinne poznańskie strony, w lata dzieciństwa. Wrzeszczałem i śpiewałem z uciechy jak szalony ku niewymownemu zgorszeniu Herr profesora. Nie ma co, piękną za to otrzymam notę w raporcie do Berlina: dwudziestoczteroletni uczonec, który śpiewa i hałasuje, podczas gdy jego kolega przeklina śnieg i bezdroża. Leżałem potem całą noc rozbudzony, wpatrzony w tlejące główne, myślałem przy Medei, milami całymi odcięty od ludzi, w zimnej, górskiej pustyni, wśród huku wodospadów, przy ogniu trzaskającym na kominku. Ten obraz ożywał we mnie: raz byłem spieszącym na ratunek Ordelaaffim, to znów Frangipanim. Niewątpliwie urojenia te były wywołane długą jazdą konną, mroźnym powietrzem, krzepnącym w nozdrzach zapachem śniegu, a najprawdopodobniej... ponczem, który profesor we mnie wmusił przed udaniem się na spoczynek.

23 listopada

Chwała Bogu, ten profesor bawarski nareszcie sobie wyjechał. Myślałem już, że oszaleję z nim. W trakcie rozmowy o mej pracy mimochodem wyłożyłem mu swoje poglądy na Medeę da Carpi, na co on raczył łaskawie zauważyć, że to są zwykłe baśnie, osnute na legendach i skłonnościach Renesansu do mitologii, i że naukowe badania rozchwieją znaczną ich część, tak jak to uczyniły w stosunku do rozpowszechnionych klechd o Borgiach itp. Że w dodatku taki typ kobiety, jaki w sobie wypracowałem, jest fizjologicznie i psychologicznie niemożliwy. Cóż można powiedzieć o takim profesorze i jemu podobnych?

24 listopada

Nie mogę dość się nacieszyć z powodu pozbycia się tego durnia. Czułem, że mógłbym go zadusić za każdym razem, gdy wymawiał imię damy mego serca... Medea... Bydlę!

30 listopada

Jestem zupełnie wytracony z równowagi moim świeżym odkryciem; zaczynam żywić obawy, iż stary pedant miał rację, gdy mówił o niebezpieczeństwach samotnego życia na

obczyźnie; można stać się dziwakiem. Czyż to nie całkiem niedorzeczne, do tego stopnia się podniecać jedynie z racji przypadkowego odkrycia portretu kobiety zmarłej trzysta lat temu? Z uwagi na wuja Władysława oraz inne podejrzone objawy demencji w rodzinie, powinienem unikać tego rodzaju szaleńczych podniet.

Mimo wszystko to wydarzenie było dramatyczne, niezwykle. Mógłbym przysiąc, iż znam każdy obraz w pałacu, a zwłaszcza każdy jej portret. A jednak...

Tego ranka po opuszczeniu biur archiwalnych mijałem jedną z ukrytych małych komnat, w jakie obfituje ten nieregularnego kształtu pałac w stylu francuskim, o licznych wykuszach i basztach. Choć nieraz musiałem tędy przechodzić i widok z okna na kawałek wieży, cyprysy po drugiej stronie wąwozu, dzwonnice w dali i śniegiem pokryte szczyty, był mi dobrze znany, jakoś nie mogłem sobie przypomnieć tego akurat miejsca.

Otóż gdy przechodziłem tamtędy, wpadła mi w oczy cudowna rama starego zwierciadła, wpuszczonego w brązowo i żółto inkrustowaną ścianę. Zbliżyłem się i w trakcie podziwiania ramy bezwiednie spojrzałem w lustro. Doznałem wielkiego wstrząsu, musiałem chyba nawet krzyknąć (jakie to szczęście, że profesora nie ma już w Urbanii!). Z tyłu za mną, przy ramieniu, stała inna postać z twarzą tuż koło mojej — ta twarz i ta postać były jej, Medei da Carpi! Obróciłem się gwałtownie, pobladły jak duch, którego spodziewałem się ujrzeć.

Naprzeciw zwierciadła, nie dalej niż dwa kroki od miejsca, gdzie stałem, wisiał portret. I to jaki portret! Sam Bronzino nie namalowałby lepszego. Z ciemnego, chropowatego, niebieskiego tła wyłaniała się postać księżny (bowiem to była Medea, żywa Medea, tysiąc razy realniejsza, prawdziwsza i potężniejsza niż na innych portretach) wyprostowana w krześle z wysokim oparciem, ściśnięta, niemal sztywna w gorsecie i grubym brokacie sukni, usztywnionym w dodatku srebrem haftowanymi kwiatami i rzędami pereł. Od sukni — mieszaniny srebra, pereł i matowej czerwieni w niezdrowym odcieniu maków — twardą bielą alabastru odbijało ciało smukłych rąk, długich palców, wiotkiej łabędziej szyi i twarzy z odkrytym czołem. Twarz ta sama co na innych portretach: to samo zaokrąglone czoło z krótkimi, kędzierzawymi lokami; te same cudne, ledwo zaznaczone luki brwi; te same powieki; te same ściągnięte wargi — całość czystością linii, olśniewającą bielą skóry i intensywnością spojrzenia przewyższała wszelkie inne podobizny.

Z ram patrzę na wprost oczy o mniym połysku, lecz usta się uśmiechają. W jednym ręku szkarłatna róża; druga ręka długimi palcami pieści opadający od talii gruby sznur z jedwabiu, złota i klejnotów. Na szyi, częściowo zakryty matowo-czerwonym stanikiem, łańcuch z kutego złota, łączony skuwkami z AMOUR DURE — DURE AMOUR.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że nigdy dotychczas nie byłem w tej komnacie — musiałem chyba pomylić drzwi. Lecz choć wyjaśnienie na pozór proste, niemniej po paru godzinach czuję się tak samo wstrząśnięty do głębi. Muszę chyba wyjechać na Gwiazdkę do Rzymu, aby się z tego otrząsnąć. Mam jakieś dziwne uczucie lęku... i... i... wiem, że nigdy już nie zdołam się z tego otrząsnąć.

10 grudnia

Zebrałem się w garść i przyjąłem zaproszenie syna prefekta na zbiór oliwek w ich posiadłości nadmorskiej. Willa, którą posiadają, a raczej ferma — stoi na wzgórzu, pośród gaju oliwnego i wikliny. Te witki robią wrażenie pomarańczowych płomyków. Oliwki zsypuje się do głębokiej niby loch więzienny piwnicy. W zanikającym świetle dnia i w smolnym brzasku żywicy płonącej w brytfannach wielkie białe woły kręcą ciężkie żarna. Niewyraźne ciemne postacie poruszają bloki i dźwignie: wyglądało to na jakąś scenę z okresu inkwizycji.

Ugościł mnie najlepszym swoim winem; potem udałem się na daleki spacer wzdłuż brzegu morza. Po spowitej w śnieg Urbanii to słoneczne, jasne adriatyckie pobrzeże ze swoim

maleńkim portem wydało mi się przytulne. Do Urbanii powróciłem innym człowiekiem. Sor Astrubale, w miękkich pantoflach, grzebiąc wśród pozłaczanych szaf, empirowych kanap, starej porcelany i obrazów, których nikt nie kupuje, gratulował mi dziarskiej miny.

— Za dużo pan pracuje, trzeba panu rozrywek, teatru, ruchu, *amori*; dość będzie później czasu na powagę. To mówiąc, ściągnął z głowy potłuszczoną, czerwoną myckę.

Tak, czuję się naprawdę lepiej i z podwójnym zapałem zabieram się z powrotem do roboty. Ja im jeszcze pokażę, tym mędrkom z Berlina!

14 grudnia

Jeszcze nigdy nie czułem się bardziej zadowolony z mej pracy. Widzę wszystko tak jakoś wyraziście: chytrego, tchórzliwego księcia Roberta; melancholijną księżnę Magdalene; starego, błyskotliwego i niby to rycerskiego księcia Guidalfonsa, a ponad wszystko wspaniałą postać Medei. Czuję się największym historykiem wszechczasów i zarazem chłopcem dwunastoletnim. Saneczkowałem przez bite dwie godziny po mieście, a gdy mi się sprzykrzyło, udałem się na rynek i uczyłem łobuziaków lepić bałwana... nie, kobietę ze śniegu. Przyszło mi raptem na myśl nazwać ją Medea.

— *La pessima Medea!* — zawołał jeden z chłopców — ta, która jeździ po niebie na czarnym koźle!

— Nie, nie — odpowiedziałem — to była piękna dama, księżna Urbanii, najcudowniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek chodziła po świecie.

Zrobiłem jej koronę z blachy i kazałem chłopcom wołać: *Evviva Medea!*

Jeden z nich powiedział:

— Ona jest czarownica, musimy ją spalić! — po czym polecili po susz i pakuły i w przeciągu minuty te wrzeszczące diabły ją roztopiły.

Co za osioł ze mnie! Pomyśleć, że mam dwadzieścia cztery lata i wyrobione imię w literaturze! Podczas mych długich spacerów, na podchwyconą gdzieś na ulicy nutę skomponowałem w straszliwej italszczyźnie poemat zaczynający się od słów: „Medea, Medea, mia dea! Ach, gdybym mógł stać się Marcantoniem, Princivallem, Narnim lub księciem Guidalfonsem, aby być przez ciebie kochany, o Medea, *mia carissima!*” itd., itd. Potworna bzdura! Mój gospodarz z całą pewnością przypuszcza, że Medea jest jakąś damą, którą spotkałem podczas mego pobytu nad morzem. W każdym razie sora Serafina, sora Lodovica i sora Adalgisa coś w tym rodzaju sobie imaginują. Tego popołudnia o zmierzchu sora Lodovica sprzątając pokój, rzekła do mnie:

— Jak to pięknie, że signorino zabrał się do śpiewania.

Zaledwie byłem świadom jej obecności w moim pokoju, jak i tego, że w czasie, gdy stara dama kręciła się koło ognia, nuciłem pod nosem: *Vieni Medea, mia dea...* Urwałem. Piękną sobie wyrabiam reputację! I wszystko to, pomyślałem sobie, dojdzie kiedyś okrężną drogą do Monachium, a stamtąd do Berlina! Sora Lodovica wychyliła się przez okno ściągając haczykiem lampkę-relikwiarz, godło domostwa sora Astrubale. W trakcie oprawiania knota rzekła do mnie swym wstydliwym nieco tonem:

— Źle robisz przestając śpiewać, mój synu (raz zwraca się do mnie per signor professore, innym razem czułyymi zdrobnieniami, jak *Nino*, *Viscere mie* etc.) źle robisz, bo oto młoda dama przystanęła na ulicy i się przysłuchuje.

Podbiegłem do okna. Otulona czarnym szalem, w przeciwległej bramie stała kobieta, spoglądając w górę ku memu oknu.

— Ho ho, signor professore ma wielbicielki — rzekła sora Lodovica.

— *Medea, mia dea!* — zawołałem jak mogłem najgłośniej ku uciesze chłopaka na dole i ku zdziwieniu kilku przechodniów. Dama odwróciła się, by odejść i machnęła na pożegnanie

ręką. W tym momencie sora Lodovica puściła na wiatr bujającą się lampę. Snop światła padł na ulicę. Zimno mi się zrobiło: ta twarz na dole była twarzą Medei da Carpi!

Jestem szaleniec, nie ma żadnej wątpliwości!

Część druga

17 grudnia

Obawiam się, że dzięki paplaninie oraz idiotycznym piosenkom moja mania staje się powszechnie znana. Ten synalek prefekci, czy też jakiś urzędniczy magistracki lub ktoś z towarzystwa hrabiny próbuje mi splatać figła. Ale ostrożnie, panowie i panie, ja wam odpłacę tą samą monetą! Proszę tylko wyobrazić sobie moje uczucia tego ranka, gdy na biurku znalazłem złożony na pół list, zaadresowany do mnie ciekawym charakterem pisma, dziwnie mi znajomym, w którym po chwili rozpoznałem rękę Medei da Carpi. Doznałem silnego wstrząsu. Ale opanowałem się natychmiast i pomyślałem sobie, że to sprawka kogoś znającego moje zainteresowanie Medeą i że jest to prawdziwy jej list, na którym — zamiast włożyć go do koperty — jakiś żartowniś napisał mój adres na odwrocie. List zawierał zaledwie cztery linijki, które brzmiały jak następuje:

Do Spirydiona

Osoba, której wiadome jest zainteresowanie, jakie pan jej okazuje, będzie tego wieczoru w kościele San Giovanni Decollato o godzinie dziewiątej. Proszę szukać w lewej nawie damy w czarnym płaszczu, z czerwoną różą w ręku.

Pojałem teraz, iż jestem przedmiotem konspiracji, ofiarą spisku. Obracałem w kółko list. Był napisany na papierze, jaki wyrabiano w szesnastym wieku, doskonale podrobionym charakterem pisma Medei da Carpi. Kto to napisał?... Przesiewałem w myśli wszystkich znajomych. Jedynie chyba synalek prefekta przy udziale swej kochanki, hrabiny. Musieli odebrać jakąś nie zapisaną stronicę ze starego listu. Że jednak któreś z nich potrafiło zdobyć się na tak oryginalny pomysł i tak doskonałe podrobienie — zadziwia mnie ponad wszelką miarę. Widać, musi tkwić w tych ludziach coś więcej, niż posądzałem. Jak im się odpłacić?... Nie brać pod uwagę listu?... Postąpiłbym wtedy z godnością, lecz nie pomysłowo. Trzeba tam pójść, może kogoś zastanę i znajdę okazję rewanżu. A jeśli nie będzie nikogo, ach, jakże wydrwię ich poroniony żart! Byłbyż to jeden z wariackich pomysłów młodego Muzzi, mający na celu poznanie mnie z jakąś damą?... To dość prawdopodobne. Byłoby całkiem głupio i po profesorsku odmawiać takiemu zaproszeniu: dama, która potrafi tak doskonale fabrykować szesnastowieczne listy (ta fujara Muzzi nie zdobyłby się na nic podobnego!), musi być warta poznania. Pójdę. O nieba! odpłacę im ich własną monetą. Piąta teraz... jakie długie są te dni...

18 grudnia

Czym zupełnie już szalony?... A może to rzeczywiście duchy?... Ta przygoda ostatniej nocy wstrząsnęła mną do samego dna duszy.

Udałem się tam o dziewiątej, jak proszono w liście. Zimno było dokuczliwe, zaciągało deszczem ze śniegiem; sklepy wszystkie pozamykane, okna zasłonięte, ni żywej duszy dokoła. Wąskie, przepaściste ulice między wysokimi ścianami i strzeliste łuki roztapiające się w mroku; w dole połyskujące mdłe płomyki lampek oliwnych, żółte reflektory na zmoczonych flagach. San Giovanni Decollato to mały kościółek, kaplica raczej — widziałem go dotych-

czas (jak wiele innych, otwieranych jedynie na specjalne uroczystości) zawsze zamknięty. Położony w tyle za książęcym pałacem, na wzniesieniu i na rozstaju dwóch stromych, brukowanych uliczek. Musiałem tędy przechodzić chyba ze sto razy, nie zwracając nań uwagi. Zapamiętałem tylko płaskorzeźbę nad drzwiami przedstawiającą głowę Chrzciciela na tacy i obok żelazne klatki, w których wystawiano niegdyś na widok publiczny ucięte głowy zbrodniarzy.

Idąc wyciągniętym krokiem, wnet znalazłem się pod San Giovanni Decollato. Przyznaję, że byłem podniecony, nie ma się dwudziestu czterech lat i nie jest się Polakiem na darmo.

Lecz skoro się znalazłem na małym placyku u skrzyżowania dwóch stromych uliczek, ku swemu zdziwieniu zauważyłem, że okna kościoła są nie oświetlone i drzwi zamknięte. Głupie żarty! Zimna, mokra noc dokoła i kościół zapewne już od wieków nieczynny. W bezsilnej złości chciałem najpierw wyłamać drzwi kościelne, potem wyciągnąć z łóżka tego gagatka, synalka prefekciego. Już kierowałem się w stronę jego domu, gdy nagle stanąłem jak wryty. Posłyszałem dźwięki organów. Tak, organy, całkiem wyraźnie i głosy chóru, i szmer litanii... A więc kościół nie jest zamknięty w końcu! Zawróciłem w górę uliczki. Ciemno, cisza dokoła. I znów stłumiona fala organów i głosów ludzkich. Słuchałem. Wychodziło to jakby z drugiej uliczki, tej z prawej strony... inne drzwi?... Przeszedłem pod łukiem i zstąpiłem niżej, skąd dźwięki zdawały się dochodzić. Lecz nie było tam żadnych drzwi, żadnego światła, tylko czarne, mokre kamienie, a na nich żółte refleksy od migotliwych lampek oliwnych. I cisza, kompletna cisza. Zatrzymałem się na minutę. Śpiew znów zaczynał się podnosić, tym razem — byłem pewien — z uliczki, którą dopiero co opuściłem. Wróciłem... nic. Dźwięki mnie zwodziły, gnając to tu, to tam... zawsze na próżno.

W końcu straciłem cierpliwość, obleciał mnie strach, czułem, że tylko jakaś szybka akcja może go rozwiązać. Zrozumiałem już, że odgłosy mogą dochodzić tylko z kościoła. Na wpół przytomny przeskoczyłem kilka stopni, byłem zdecydowany z całym impetem wywalić drzwi. Ku memu zdumieniu uległy z największą łatwością. Wszedłem. Znalazłem się między drzwiami i ciężką kotarą ze skóry. Ogarnął mnie szmer litanii. Uniosłem kotarę, wsunąłem się do wnętrza. Ujrzałem ołtarz rześście oświetlony woskowymi świecami i masę mosiężnych świeczników. Odprawiano jakieś nabożeństwo wieczorne, niezawodnie w związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem. Główna nawa, zarówno jak i nawy boczne, leżała pogrążona w głębokim cieniu, do połowy wypełniona tłumem. Zacząłem się przepychać wzdłuż prawej nawy do bocznego ołtarza. Powoli oczy oswajały się z tajemniczym światłem. Z bijącym sercem rozglądałem się dokoła. Wszelkie posądzenia w stosunku do mych przyjaciół mnie opuściły, wiedziałem, że ich tu nie zastanę. Ludzie w kościele byli szczerze opatuleni — mężczyźni w obszerne płaszcze, kobiety w wełniaki i chustki. Wnętrze kościoła było ciemne, mimo to stroje wydawały mi się raczej dziwaczne. Na przykład mężczyzna stojący przede mną spod płaszcza ukazywał żółte pończochy, a kobieta obok — czerwony kaftanik, z tyłu ściągnięty złotymi tasiemkami. Zastanawiałem się, czy są to chłopcy okoliczni, czy też mieszkający Urbanii, przebrani w staroświeckie szaty zgodnie z jakąś starą tradycją świąteczną.

Po chwili wzrok mój padł na sylwetkę kobiecą, stojącą po drugiej stronie nawy, koło ołtarza, w pełnym blasku świec. Była cała w czerni, w rękę ostentacyjnie trzymała bardzo purpurową różę. Takich róż nie było o tej porze roku w Urbanii. Zjawa też mnie dojrzała i odwracając się bokiem do światła, rozchyliła czarny płaszcz, odsłaniając przy tym haftowaną złotem i srebrem ciemnoczerwoną suknię. Zwróciła ku mnie twarz, na którą padał blask świeczników. Serce we mnie zamarło. Była to twarz Medei da Carpi! Rzuciłem się naprzód rozpychając ludzi dokoła — jak bym przenikał przez niematerialne ciała. Dama się odwróciła i zaczęła pośpiesznie zmierzać w kierunku drzwi. Biegłem za nią krok w krok, nie mogąc jakoś się z nią zrównać. Raz jeszcze odwróciła się przy kurtynie. Tak, to była Medea! Medea we własnej osobie, bez cienia wątpliwości — ta owalna twarz, dumne usta, powieki ściągnięte w kątach oczu, cudownie alabastrowa cera! Uniosła kurtynę i wysunęła się. Ja za nią.

Drzwi kołysały się jeszcze w zawiasach. Otworzyłem je na oścież — ona musi tu być, w zasięgu moich ramion!

Stanałem przed kościołem. Pustka dokoła. Mokry bruk. Żółty odbłask lampek oliwnych na kałużach. Ogarnęło mnie nagle zimno, nie mogłem dalej postąpić kroku. Chciałem wrócić do kościoła — był zamknięty.

Z włosami zjeżonymi, cały roztrzęsiony, puściłem się biegiem do domu. O Boże, Boże!... czy to początek demencji?

19 grudnia

Słoneczny, jasny dzień. Z ulic, z drzew i krzewów zniknął brudny śnieg. Spowite białą górą skrzą się znów na tle błękitnego nieba. Niedziela — pogoda świąteczna, dzwony zwiastują Boże Narodzenie. Na otoczonym kolumnadą rynku przygotowuje się odpust: wznoszą się kramy pełne kolorowych perkali, wełen, jaskrawych chust, szali, wstążek, lusterek, błyszczących lamp cynowych. Sklepy rzeźnicze udekorowane zielenią i kwiatami z papieru, w szynki i sery powtykano chorągiewki i zielone gałązki. Poszedłem też obejrzeć targ bydła za murami miasta. Na Piazza d'Armi setki białych wołów, morze długich na łokieć rogów, zdobnych w czerwone chwasty...

Basta! Na cóż ten cały potok słów? Czy sądzisz, Spirydionie, że tym sposobem stłumisz głos, co jak dzwon w tobie wibruje: „Medea, Medea, Medea!”.

W dwie godziny później.

Ten kościół San Giovanni Decollato, powiada mój gospodarz, jest nieczynny od niepamiętnych czasów. Poszedłem spojrzeć na niego w dzień. Stoi na rozwidleniu dwóch stromych uliczek, z płaskorzeźbą Chrzciciela nad portykiem. Drzwi wyglądają jak by nie otwierane od wieków, witraże zasnutę pajęczyną; miał rację sor Astrubale, że to tylko przybytek szczurów i pajaków. A jednak... jakże jasne są te wspomnienia, jak żywa wizja. Widzę obraz tańczącej córki Heroda nad ołtarzem, jej biały turban z pękiem czerwonych piór i niebieski kaftan Heroda. Pamiętam też świecznik: kręcił się w kółko i jedna świeca pod wpływem ciepła się przekrzywiła.

Wszystko to mogą być, jak tłumaczą mi psychiatrzy, jakieś wyobrażenia zapadłe w podświadomość, które przybierają postać majaków sennych. Pójdę tam jeszcze raz; jeżeli kościół będzie zamknięty, znak niezawodny, że to był tylko sen, zmora, wynik mego przewrażliwienia. Muszę jechać czym prędzej do Rzymu, pokazać się doktorom. Obawiam się, że zacznę bzikować. Jeśli z drugiej strony... cicho! Nie ma drugiej strony. Jednak jeśli to b y ł a o n a... wielkie nieba!... mógłbym ją ujrzeć znów, mówić do niej! Na samą myśl o tym krew zaczyna się we mnie burzyć. Nie, nie, nie ze zgrozy, lecz... nie umiem tego określić. To uczucie jednocześnie przeraża i przenika rozkoszą. Idioto! maleńki zwój grubości dwudziestej części włosa przekreślił ci się w mózgu — to wszystko.

20 grudnia

Byłem tam znowu; organy grały. Wszedłem do środka — widziałem ją! Nie mogę dalej wątpić. Niech tam sobie twierdzą niedowiarki, że umarłych się nie wskrzesza, a przeszłość nigdy nie ożywa. Dla nich może tak, ale dla mnie... Wszak żyje we mnie miłość do kobiety, która... oczywiście tak!... pozwólcie dokończyć myśli. Dlaczegoż duchy nie miałyby się

materializować dla tych, którzy mają moc je widzieć? Czemuż nie miałyby zstąpić na ziemię, skoro wie, że jest tam ktoś, kto dla niej żyje, jej pożąda...

Halucynacja?... Jak widzę ten papier przed sobą, takem ją widział stojącą tam w blasku świec, słyszałem szelest spódnicy, czułem zapach włosów, dotykałem zasłony poruszonej jej ręką. I znów mi się wymknęła! Ale tym razem, gdy wybiegłem na oświetloną księżycem ulicę, znalazłem na stopniach różę — różę, którą przed chwilą widziałem w jej ręku. Czułem ją, wahałem. Prawdziwa, żywa róża — ciemnoszkarłatna, świeżo zerwana. Wstawiłem kwiat do wody wycalowawszy go nie wiem ile razy. Stoi na komodzie. Postanowiłem nie patrzeć na niego przez dobę, ale nie wytrzymam — muszę spojrzeć, muszę... O Boże!... to straszne... to straszne... Gdybym ujrzał nagle ducha, nie mogłoby być gorzej. Róża, która zeszłej nocy wydawała się prosto z krzaka, pełna koloru i zapachu... dzisiaj sucha, jakby wyjęta spomiędzy kart książki — rozsypała mi się w dłoniach. Straszne, okropne! Lecz czemu? — pytam znów. Jeśli pragnę tylko świeżych róż, hrabina Flametta albo pierwsza lepsza szwaczka może mi je ofiarować. Cóż z tego, że róża obróciła się w proch? Gdybym tylko jak tę różę — mógł trzymać Medeę w ramionach... jak te płatki — całować jej usta... czyż to nie dość? Choćby i ona miała się obrócić w proch... choćbym ja sam...

22 grudnia, jedenasta w nocy

Widziałem ją znów, niemal z nią rozmawiałem! Ach, Spirydionie, miałeś rację, żeś nie do żadnej ziemskiej miłości stworzony.

O zwykłej godzinie wybrałem się wieczorem do San Giovanni Decollato. Była jasna, zimna noc; na tle stalowego nieba migającego miliardami gwiazd, odcinały się domy i dzwonnice. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. W oknach kościoła było ciemno, ale drzwi ustąpiły łatwo. Ołtarz jak zwykle był jasno oświetlony. I nagle zdałem sobie sprawę, że cały ten tłum mężczyzn i kobiet to umarli, że jedyną żywą istotą w tym kościele jestem ja. Dotknąłem przypadkiem ręki sąsiada: była zimna jak mokra glina. Nie widząc mnie, obrócił się i ujrzałem twarz szarą jak popiół i oczy nieruchome jak u ślepcy albo trupa. Ogarnęła mnie gwałtowna chęć ucieczki. Ale w tym momencie ujrzałem ją — stała koło stopni ołtarza, w pełnym blasku świec, otulona w czarną opończę. Gdy się obróciła, światło padło na twarz o delikatnych rysach, nieco ściągniętych ustach i lekko zaróżowionych, alabastrowych policzkach. Oczy nasze się spotkały.

Zacząłem się przepychać przez kościół ku stopniom ołtarza — wówczas ruszyła szybkim krokiem. Pobiegłem za nią. Parę razy się zawahała i wtedy prawie się z nią zrównałem. W sekundę jednak potem, gdy się znalazłem na ulicy, już jej nie było. Coś się bieliło na stopniach kościoła. Tym razem nie był to kwiat, lecz list. Pobiegłem szybko z powrotem, by przeczytać go w kościele... kościół był zamknięty, wyglądał jak od lat nie otwierany. Nie mogąc nic odcyfrować w nikłym świetle lamp oliwnych, pobiegłem szybko do domu, zapaliłem światło, wyciągnąłem list spod serca. Mam go przed sobą. To jej pismo — to samo co w Archiwach, to samo co w pierwszym liście:

Do Spirydiona

Uczyn' odwagę równą miłości, a miłość twa zostanie wynagrodzona. W Wigilię Bożego Narodzenia zaopatrz się w toperek i piłę i w brązowej postaci jeźdźca na podwórcu śmiało wytnij otwór po lewej stronie, ponad pasem. Znajdziesz wewnątrz uskrzydłony posążek odlany w srebrze. Wyjmij go stamtąd, skrusz na sto kawałków i rzuć dokoła na pastwę wiatrom. Tej nocy twoja kochanka — przybędzie wynagrodzić ci wierność.

Na pieczęci woskowej dewiza — AMOUR DURE — DURE AMOUR.

23 grudnia

Mam topór, mam siekiere. Piłę kupiłem od starego stolarza w sąsiednim miasteczku. Z początku nie rozumiał, czego żądam i pewnie myślał, że m wariat... może miał rację; lecz jeśli szaleństwo to kryje szczęście całego życia... Topór dojrzałem w podwórzu u tracza. Nie było nikogo w pobliżu, nie mogłem oprzeć się pokusie i ukradłem. Pierwsze złodziejstwo w moim życiu. Dlaczego nie poszedłem po prostu do sklepu?... Nie wiem, nie potrafiłem oprzeć się jego błyszczącemu ostrzu. To co zamierzam, jest niewątpliwie aktem wandalizmu, z całą pewnością nie mam żadnego prawa niszczyć własności miejskiej Urbanii. Nie pragnę zresztą niczyjej szkody i o ile tylko się da, postaram się to jakoś potem naprawić. Ale ja m u s z ę być jej posłuszny, m u s z ę ją pomścić, m u s z ę dostać tego srebrnego fetysza chroniącego duszę Roberta przed pośmiertnym spotkaniem z tą, której się bał jak niczego na świecie.

Ach, książę Robercie! Tyś kazał jej umierać bez absencji i zamknąłeś wizerunek swej duszy w wizerunku ciała w chytrej nadziei, że podczas gdy ona będzie się smażyć w piekle, ty będziesz zażywał spokoju w oczekiwaniu, aż twa przebiegła dusza uleci do raju. Tyś się bał z nią spotkać po śmierci, chciałeś być przebiegły — zbudowałeś swą twierdzę. Nic z tego, jaśnie oświecony książę! Posmakujesz ty wędrówki pozgonnej i przyjemności spotkania tych, których skrzywdziłeś.

Dzień wydaje się bez końca! Ale tej nocy ją spotkam.

Nic z tego — kościół był zamknięty. Czary przysły. Ujrzę ją najwcześniej jutro. Ale za to... Medeo, Medeo, czy który z twych wielbicieli kochał cię tak jak ja?

24 grudnia

Wszystko gotowe. Dziś wieczorem o jedenastej wymknę się. Sor Astrubale i jego siostry będą pogrążeni w głębokim śnie, ich reumatyzmy nie dozwolą im ruszać się na pasterkę. Na szczęście nie ma innych kościołów po drodze, ruch świąteczny skieruje się w inną stronę.

Dla zabicia czasu i uśmierzenia gorączki wyczekiwania udałem się na daleki spacer. Dzień był wyjątkowo zimny. Słońce nie tylko nie grzało, ale jeszcze odbłaskiem śniegu na górach, powietrzem ostrym niby stal potęgowało uczucie chłodu. Poopatulani, nieliczni przechodnie nosili pod płaszczami gliniane grzałki. Spod figurki Merkurego na fontannie zwisały długie sople lodu. Podobno wygłodzone wilki wyszły z gór i oblegają miasto, czając się w ogłoconych krzakach.

Po kocich łbach stromych, wyślizganych uliczek wspinałem się ku dali ośnieżonych szczytów, sterczących na tle nieba, mijałem po drodze progi kościołów zasłane laurem i bukszpanem, skąd zalaływało nikłym zapachem kadzidła i — nie wiedzieć czemu — wracały obrazy dawnych lat, tych poznańskich i wrocławskich Wigilii. Byłem znów dzieckiem, przechadzałem się po szerokich ulicach, zaglądałem w okna, czy tam już zapalają świeczki na choinkach, i zastanawiałem się, czy po powrocie do domu otworzy się przede mną pokój pełen dziwów, pełen tajemniczego światła, pozłacanych orzechów, szklanych świecidełek. I widziałem w wyobraźni, jak zawieszają łańcuchy, czerwone i niebieskie kule o metalicznym blasku; jak przyczepiają resztę pozłacanych i posrebrzanych orzechów... Tam, w domu, na dalekiej północy zapalają się kolorowe świeczki, po zielonych igielkach zaczyna skapywać воск, a dzieci z bijącymi serduszkami wyczekują pod drzwiami momentu, kiedy im oznajmiają, że Dzieciątko Jezus przyszło na świat.

A ja... na co ja czekam? Nie wiem. Wszystko niby sen zamglone, bezcielesne, jak by czas przestał istnieć, a moje nadzieje i pragnienia zamarły. Ja sam zawieszony w jakiejś zaklętej krainie niebytu. Czy ja pragnę tej nocy?... Czy jej się boję?... Czy ona w ogóle przy-

dzie?... Siedzę samotny i przed oczyma przesuwają mi się ta szeroka, poznańska ulica, oświetlone choinkami okna i zielone gałązki świerków na szybach.

Wigilia o północy. A więc stało się! Wymknąłem się po cichu. Sor Astrubale i jego siostry byli pogrążeni w głębokim śnie. Na chwilę zamarłem ze strachu. Przechodząc przez pokój, w którym mój gospodarz trzyma swoje osobliwości, upuściłem siekiere; stuknęła w starą zbroję przewracając ją. Doszedł mnie na pół senny okrzyk, zgasilem prędko światło i skryłem się za schodami. Sor Astrubale wyszedł w szlafroku, lecz uspokojony, wnet powrócił do łóżka, mrużąc coś pod nosem. Zamknąłem po cichu za sobą drzwi. Od południa niebo było zakryte chmurami. Niosły burzę, zasnuwając jasnożółtymi oparami. I żywej duszy dokoła, tylko przytłaczające swą masą, stały ponure domostwa czerniąc się na tle nieba.

Sam nie wiem czemu, obrałem okrężną drogę do zamku. Gdy mijalem kościelne podwoje, przez które przenikał słaby szmer modlitw, kusilo mnie przez chwilę, by tam wejść, ale jakaś inna siła mnie od tego wstrzymywała. Jak by z wielkiej dali dochodziła słodka melodia kołedy. Czułem, że odwaga zaczyna mnie opuszczać, więc przyspieszyłem kroku. Gdy przechodziłem pod portykiem San Francesco, usłyszałem za sobą kroki. Zatrzymałem się, by przepuścić przechodnia. Wówczas kroki przycichły i coś z bliska zaszeptało mi w ucho: „Nie idź tam, ja jestem Gionfrancesco Pico”. — Obróciłem się... zniknął. Dreszcz mnie przeniknął całego, ale szedłem dalej.

W wąskim zaułku, za apsydą katedry ujrzałem człowieka opierającego się o mur. Stał w pełnym świetle księżyca i wydawało mi się, że jego twarz ze spiczastą bródką ocieka krwią.

Pognałem dalej. Otarłem się o niego w przejściu i znów mi zaszeptało coś do ucha: „Nie słuchaj jej, wracaj do domu; ja jestem Marcantonio Frangipani”. Szczękając zębami, pobiegłem wąską uliczką. Na białych ścianach kładło się niebieskie światło księżyca.

Nareszcie ujrzałem przed sobą podwórzec. Tonał w poświęceniu księżycowej, błyskającej we wszystkich szybach pałacu. Książę Robert w zieleni patyny, zdawał się najeżdżać na mnie swym rumakiem. Wszedłem w podcienia, musiałem przejść pod łukiem. Jak gdyby prosto ze ściany — wyłoniła się tajemnicza postać mężczyzny, który rozpościerając szeroko ramiona i opończę, zagroził mi drogę. Chciałem go wyminąć. Wówczas chwycił mnie za rękę — jego uścisk był niby lodowate kleszcze.

— Nie przejdiesz! — zawołał.

Gdy księżyc wyjrzał znów zza chmur, ujrzałem jego upiornie bladą twarz, owiazaną haftowaną chustką; wydawał mi się niemal dzieckiem.

— Nie przejdiesz, ty jej nie posiadziesz! Ona jest moja, moja, i tylko moja! Ja jestem Princivalle degli Ordelaffi.

Czuąc na sobie jego lodowaty uścisk, wolną ręką chwyciłem za topór, który miałem zawieszony pod płaszczem i zamachnąłem się z całej siły. Topór uderzył w ścianę, zadźwięczał na kamieniach. — Zjawa zniknęła.

Pobiegłem dalej.

Dokonałem tego. Wyrąbałem, wypiłowałem otwór w brązie. Wydarłem stamtąd srebrny posążek, potłukłem go na drobne okruchy. Gdy rozrzucałem dokoła ostatnie kawałki, księżyc nagle zakrył się chmurą, zerwał się potężny wichur, wyjąc dziko po całym placu. Ziemia pode mną zadrżała. Cisnąłem precz topór i rzuciłem się do ucieczki. Przysięgałem, że goniły za mną setki miedzianych jeźdźców.

Teraz jestem spokojny. Północ już, jeszcze chwila, a ona się zjawi. Cierpliwości serce moje! Słyszysz, jak głośno bijesz. Mam nadzieję, że nikt nie oskarży biednego sor Astrubale. Na wszelki wypadek stwierdzę na piśmie jego niewinność. Pierwsza! — zegar na wieży właśnie uderzył raz...

„Ja, niżej podpisany, świadczę, że cokolwiek się wydarzy mnie, Spirydionowi Trepce, nikt inny poza mną samym nie ponosi za to odpowiedzialności”... Kroki na schodach! To ona! To ona! Nareszcie! Medea! Medea! Ach! AMOUR DURE — DURE AMOUR!

Dopisek

Na tym urywa się diariusz ś.p. Spirydiona Trepki. Jednocześnie dzienniki miejscowe podały wiadomość o uszkodzeniu w noc wigilijną 1885 roku pomnika księcia Roberta w Urbanii oraz o znalezieniu zwłok profesora Spirydiona Trepki z Poznania, z kłutą raną w okolicy serca. Sprawca nie wykryty.

Przełożył Włodzimierz Haack

JOSEPH CONRAD

Joseph Conrad (1857—1924), którego nazwisko brzmiało Teodor Józef Konrad Korzeniowski, urodził się na Ukrainie jako syn polskiego pisarza i zesańca politycznego, Apolla Korzeniowskiego. Wczesnie osierocony, wyemigrował i przez dwadzieścia lat pływał po morzach świata jako marynarz, a potem kapitan brytyjskiej marynarki handlowej. Przyjąwszy obywatelstwo brytyjskie, w roku 1894 osiadł w Anglii i rozpoczął karierę literacką „Szaleństwem Almayera” (1895), którego powodzenie zadecydowało o dalszym jego losie. Następne powieści i opowiadania ugruntowały mu sławę jednego z największych nowoczesnych mistrzów prozy angielskiej. Jego najlepsze powieści to „Murzyn z załogi »Narcyza«” (1897), „Lord Jim” (1900), „Tajfun” (1902) i „Nostromo” (1904). Nowela „Il Conte” z tomu „Sześć opowieści” (1908) to znakomity przykład przejrzystej narracji i szlachetnej tematyki jego utworów.

IL CONTE

Vedi Napoli e poi mari
(Zobacz Neapol, a potem umrzyj)

Po raz pierwszy zaczęliśmy ze sobą rozmawiać w Muzeum Narodowym w Neapolu, w parterowych salach zawierających przesławną kolekcję obrazów z Herkulanum i Pompei, ów cudowny legat sztuki starożytnej, którego subtelna doskonałość została dla nas zachowana dzięki katastrofalnej furii wulkanu.

Zwrócił się do mnie pierwszy i powiedział kilka zdań o słynnym *Hermesie spoczywającym*, którego właśnie oglądaliśmy ze wszystkich stron. Mówił bardzo dorzecznie o tym naprawdę zachwycającym arcydziele. Nic zresztą głębokiego. Jego dobry smak był raczej wrodzony niż nabyty przez wykształcenie. Najwidoczniej oglądał w ciągu swego życia wiele rzeczy pięknych i umiał je cenić; obcy mu był jednak żargon amatora czy konesera — owej klasy ludzkiej, zaiste godnej nienawiści. Mówił jak człowiek światowy, istotnie inteligentny i prawdziwie po wielkopańsku naturalny.

Od kilku dni znaliśmy się z widzenia. Mieszkając w tym samym hotelu — pierwszorzędnym, lecz nie krzyżąco modnym — zauważyłem go niejednokrotnie w przedsionku hotelowym, jak wchodził lub wychodził. Widziałem, że jest tu dawnym i cenionym gościem. W uszanowaniu, z jakim kłaniał mu się właściciel, wyczuwało się serdeczność, która znów z jego strony, była przyjmowana z niewymuszoną uprzejmością. Służba nazywała go Il Conte. Byłem właśnie świadkiem sprzeczki o parasol męski — przedmiot z żółtego jedwabiu z białą podszewką — pozostawiony za drzwiami sali jadalnej i znaleziony przez lokai. Nasz wygalonowany złotem odźwierny poznał ów parasol i natychmiast kazał jednemu z chłopców od windy zanieść go do Il Conte. Może to był jedyny hrabia mieszkający w tym hotelu, a może

nadano mu tutaj tytuł hrabiego *par excellence* z racji wypróbowanej jego wierności dla zakładu.

Ponieważ rozmawiałem z nim w *Museo* (gdzie mimochodem przyznał mi się, iż nie lubi popiersi i posągów rzymskich cesarzy w galerii rzeźb marmurowych: ich twarze są dla niego nazbyt krzepkie i nazbyt wyraziste), ponieważ zatem rozmawiałem z nim już rano, sądziłem, że wieczorem zastawszy salę jadalną przepełnioną, nie będę chyba natrętem, jeżeli zechcę przysiąść się do jego stolika. Wnosząc z łagodnej uprzejmości jego zezwolenia, musiał i on być tegoż zdania, Jego uśmiech był naprawdę zapraszający.

Hrabia ubrany był do obiadu w wyciętą kamizelkę, „smoking”, jak sam to nazywał, i czarny krawat. Wszystko doskonale skrojone, nie nowe — takie właśnie, jakie powinny być te rzeczy. W ogóle jego strój, ranny czy wieczorowy, zawsze był zupełnie bez zarzutu. Nie wątpię również, że i cała jego egzystencja była bez zarzutu, doskonale uporządkowana i konwencjonalna, nie zmacona przez żadne zatrwajające wypadki. Białe włosy, zaczesane do góry ponad wyniosłym czołem, nadawały mu wygląd idealisty i marzyciela. Białe wąsy, obwisłe, lecz starannie utrzymywane i podstrzyżone, wcale przyjemnie złościły się pośrodku. Nikła woń jakichś doskonałych perfum i bardzo dobrych cygar (z tym ostatnim zapachem nietatwo spotkać się we Włoszech) doleciała mnie spoza stołu. Wiek hrabiego najwyraźniej uwydatniał się w oczach. Oczy te były trochę znużone, a powieki pełne zmarszczek. Musiał mieć lat sześćdziesiąt lub nieco więcej. I był bardzo rozmowny. Bynajmniej nie chciałbym powiedzieć, że był gadatliwy, nie — był, ściśle mówiąc, rozmowny.

Opowiedział mi, że próbował wszelkich klimatów: bywał w Abbazji, na Riwierze i w wielu innych miejscach, lecz jedynym klimatem, który mu naprawdę służył, był klimat Zatoki Neapolitańskiej. Wykazywał mi, że starożytni Rzymianie, ludzie — jego zdaniem — doświadczeni w sztuce życia, doskonale wiedzieli, co robią, kiedy budowali swe wille na tych wybrzeżach w Baiae, w Vico, na Capri. W poszukiwaniu zdrowia przychodzili na ten brzeg morski i dla uprzyjemnienia wyczasów ciągnęli za sobą całe obozy swoich mimów i fletnistek. Wydawało mu się rzeczą wysoce prawdopodobną, iż Rzymianie z wysokich sfer społecznych byli specjalnie skłonni do zapadania na męczące choroby reumatyczne.

To był jedyny pogląd osobisty, jaki od niego usłyszałem. Pogląd ten nie był ugruntowany na specjalnej erudycji.

O Rzymianach hrabia wiedział nie więcej, niż może wiedzieć średnio wykształcony wielkoświatowiec. Argumenty swoje czerpał z doświadczenia osobistego. Sam cierpiał z powodu męczącego i niebezpiecznego reumatyzmu, dopóki nie znalazł ulgi w tym osobliwym zakątku Europy południowej.

Stało się to przed trzema laty; od tego czasu stale mieszka na wybrzeżach zatoki, czy to w jednym z hotelów w Sorrento, czy też w wynajętej niewielkiej willi na Capri. Ma fortepian, trochę książek, trochę znajomości przelotnych trwających dzień, tydzień, miesiąc, wybranych spośród fali podróżników z całej Europy. Można go sobie wyobrazić wychodzącego na promenadę po ulicach i zaułkach, znanego dobrze żebrakom, sklepikarzom, dzieciom i wieśniakom; rozmawiającego uprzejmie za miastem z *contadini* * i wracającego do hotelu lub willi, aby zasiąść do fortepianu, z białą wypielegnowaną głową i gęstymi statecznymi wąsami — i „pograć trochę dla siebie”. A dla odmiany był tuż pod ręką cały Neapol: życie, ruch, podniecenie, opera. Trochę rozrywki, mówił, jest niezbędnie potrzebne dla zdrowia. Mimy i fletnistki — tak. Jedyną różnicą, która zachodziła pomiędzy nim a magnatami starożytnego Rzymu, było to, że nie miał w stolicy żadnych interesów, zdolnych odciągać go od tych umiarkowanych rozkoszy. W ogóle nie miał żadnych interesów. Prawdopodobnie nigdy w ciągu swego życia nie był zmuszony do zajmowania się poważnymi interesami. Był to żywot miły, z radościami i smutkami regulowanymi naturalnym biegiem rzeczy — przez małżeństwa, narodziny, zgony — rządzonymi przez uznane przepisy dobrego towarzystwa i ochranianymi

* wieśniak włoski (wł.)

przez państwo.

Hrabia był wdowcem. W lipcu i sierpniu musiał jednak corocznie odważać się na przekroczenie Alp dla złożenia sześciotygodniowej wizyty zamężnej swej córce. Wymienił mi jej nazwisko. Należało do bardzo arystokratycznej rodziny. Córka posiadała pałacyk — zdaje się — w Czechach. Poza tym nigdy w bliższy sposób nie udało mi się ustalić narodowości hrabiego. Własnego nazwiska, rzecz dosyć dziwna, nie wymienił ani razu. Być może sądził, że widziałem je w spisie gości. Prawdę powiedziawszy, nigdy tego spisu nie oglądałem. W każdym razie hrabia był doskonałym Europejczykiem — mówił, co wiem na pewno, czterema językami i był człowiekiem bogatym. Nie było to oczywiście wielkie bogactwo. Wyobrażam sobie, że posiadanie olbrzymiej fortuny wydałoby mu się czymś niewłaściwym — *outré* *, czymś nazbyt krzykliwym. I najwidoczniej również jego majątek nie był jego dziełem. Majątku nie można zdobyć bez pewnej gruboskórności. Jest to kwestia temperamentu. Jego natura była nazbyt łagodna dla współzawodnictwa. Podczas rozmowy, zupełnie mimochodem, opowiadając o męczącym go i trwożącym reumatyzmie, wspomniął o swoich dobrach. Jednego roku, pozostawszy nieostrożnie poza Alpami aż do połowy września, musiał się na trzy miesiące położyć do łóżka w odludnym dworze wiejskim, gdzie oprócz lokaja i pary pielęgniarzy nikt się nim nie opiekował. Stało się tak dlatego, że — jak się wyraził — „nie prowadził tam domu”. Zajechał jedynie na parę dni, aby rozmówić się ze swoim rządcą. Obiecał sobie, że nigdy w przyszłości nie będzie tak nierozsądny. Pierwsze tygodnie września muszą go zastać już na wybrzeżach ulubionej zatoki.

Gdy się podróżuje, niejednokrotnie można spotkać takich samotnych ludzi, których jedynym zajęciem jest wyczekiwanie rzeczy nieuchronnych. Zgony i małżeństwa wytworzyły wokół nich samotność i, ostatecznie, trudno ganić ich za to, że zabiegają, aby to swoje wyczekiwanie urządzić sobie możliwie najwygodniej. Hrabia powiedział właśnie do mnie:

— W moim wieku uwolnienie się od fizycznych cierpień jest rzeczą pierwszorzędnego znaczenia.

Nie należy sobie wyobrażać, że hrabia był uciążliwym hipochondrykiem. Naprawdę był zanadto dobrze wychowany, aby stać się dla kogoś ciężarem. Doskonale widział wszelkie ludzkie słabostki. Ale było to widzenie dobrotliwe. Był spokojnym, łatwym, miłym towarzyszem w godzinach pomiędzy obiadem a udaniem się na spoczynek. Spędziliśmy razem trzy wieczory, gdy nagle musiałem w pośpiechu opuścić Neapol, aby odwiedzić przyjaciela, który poważnie zachorował w Taorminie. Nie mając nic do roboty, Il Conte przyszedł na stację, żeby towarzyszyć mi aż do odjazdu. Byłem cokolwiek rozbity, a hrabia zawsze umiał nadać swojemu próżnowaniu formę nader miłą. W żadnym razie nie był to człowiek leniwy lub gnuśny.

Szedł wzdłuż pociągu wypatrując w wagonach wygodnego miejsca dla mnie, a potem pozostał na peronie i rozmawiał ze mną pogodnie. Wyznał mi, że tego wieczora będzie mu bardzo brakowało mojego towarzystwa, i oświadczył, że ma zamiar po obiedzie pójść posłuchać orkiestry w ogrodzie publicznym, w Villa Nazionale. Zabawi się słuchając doskonałej muzyki i patrząc na najlepsze towarzystwo. Będzie tam, jak zwykle, tłum ludzi.

Zdaje mi się, że go jeszcze widzę: podniesioną twarz z przyjaznym uśmiechem pod gęstymi węsami i miłe, zmęczone oczy. Kiedy pociąg ruszał, hrabia zwrócił się do mnie w dwóch językach: najprzód po francusku, mówiąc:

— *Bon voyage!* ** — a później po angielsku, doskonałą, cokolwiek zanadto dobitną angielszczyzną, starał się dodać mi odwagi widząc moje zmartwienie:

— Wszystko — będzie — jeszcze — dobrze.

Choroba mojego przyjaciela wzięła obrót zdecydowanie pomyślny i na dziesiąty dzień wróciłem do Neapolu. Nie mogę powiedzieć, abym w czasie mej nieobecności wiele rozmy-

* przesadnym (fr.)

** dobrej drogi (fr.).

ślał o Il Conte, jednakowoż wchodząc do sali jadalnej, szukałem go wzrokiem na zwykłym miejscu. Przyszło mi na myśl, że hrabia mógł wrócić do Sorrento, do fortepianu, do książek i do rybołówstwa. Żył w wielkiej przyjaźni z wszystkimi rybakami i często z ich łodzi łowił ryby na wędkę. Lecz w tłumie głów odróżniłem białą głowę hrabiego i nawet z odległości zauważyłem coś niezwykłego w jego wyglądzie. Zamiast siedzieć prosto i patrzeć dokoła z wyrazem ożywionej uprzejmości, hrabia chylił się bezwładnie nad talerzem. Przez pewien czas stałem naprzeciwko niego, zanim na mnie spojrział — cokolwiek dziko, jeżeli można użyć takiego silnego wyrażenia w związku z jego postacią, jak zwykle bez zarzutu.

— Ach, to pan, drogi panie? No, przecież pan wrócił! — przywitał mnie hrabia. — Spodziewam się, że już wszystko dobrze?

Odzywał się bardzo czule o moim przyjacielu. W rzeczy samej był on zawsze czuły ową czułością ludzi, których serca są z gruntu dobre. Lecz tym razem kosztowało go to pewien wysiłek. Podejmowane z jego strony próby rozmowy o rzeczach potocznych kończyły się tępym zamyśleniem. Przemknęło mi przez myśl, że może to jest niedyspozycja. Lecz zanim zdążyłem zabrać się do badania, hrabia odezwał się cicho:

— Znajduje mnie pan w niewesołym humorze.

— Martwię się tym — odpowiedziałem. — Mam nadzieję, że pan nie otrzymał złych wiadomości?

Wyraził mi wdzięczność za to, że się nim interesuję.

— Nie. To nie to. Złych wiadomości nie było, Bogu dzięki.

Nagle umilkł zupełnie i jak gdyby wstrzymał oddech. Potem, pochylając się cokolwiek naprzód, głosem nierównym, pełnym przerażenia i zafrasowania zaczął mi się zwierzać:

— Mówiąc otwarcie, miałem bardzo... bardzo... jak by tu powiedzieć?... zdarzyła mi się ohydna awantura.

Moc tego epitetu była dostatecznie przejmująca w ustach człowieka o uczuciach umiarkowanych i bardzo stonowanym słowniku. Sądziłem, że przymiotnik „nieprzyjemna” wystarczyłby w zupełności dla określenia najgorszej przygody, jaka się mogła zdarzyć człowiekowi tego pokroju. A przy tym jeszcze „awantura”! Nie do uwierzenia! A jednak leży to już w naturze człowieka, że oczekujemy rzeczy najgorszych; i przyznaję, że ukradkiem wpatrywałem się w hrabiego pytając siebie, w jaki to sposób mógł się skompromitować. Po chwili jednak moje podejrzenia rozwiały się. W naturze tego człowieka wyczuwałem wytworność, która zmusiła mnie do porzucenia wszelkiej myśli o jakiejś więcej lub mniej hańbiącej awanturze.

— Rzecz całkiem poważna. Całkiem poważna — ciągnął dalej nerwowo. — Jeżeli pan pozwoli, opowiem to panu po obiedzie.

Wyraziłem zgodę lekkim skinieniem głowy, nic więcej. Chciałem mu dać do zrozumienia, że nie mam zamiaru trzymać go za słowo, jeżeli po namyśle osądzi, że to zwierzenie jest niepotrzebne. Rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, lecz z uczuciem pewnej trudności, zupełnie niepodobnej do naszego poprzedniego łatwego i dobrodusznego obcowania. Zauważyłem, że jego ręka, kiedy podnosił do ust kawałek chleba, lekko drżała. Ten objaw, zważywszy na moją znajomość człowieka, był dla mnie istotnie przejmujący.

W palarni hrabia nie ociągał się ani chwili. Natychmiast zajęliśmy zwykłe nasze miejsce. Hrabia oparł się bokiem o poręcz krzesła i z wielką powagą spojrział mi prosto w oczy.

— Przypomina pan sobie — zaczął — ów dzień, kiedy pan wyjeżdża? Powiedziałem panu wówczas, że chcę pójść do Villa Nazionale, aby wieczorem posłuchać trochę muzyki.

Owszem przypominałem sobie. Piękna twarz starca, tak świeża jak na jego wiek, nie napiętnowana żadnymi bolesnymi przejściami, wydała mi się na chwilę obłąkana. Jak gdyby cień się po niej przesunął. Odwracając się od uporczywego wzroku pociągnąłem łyk czarnej kawy. Hrabia opowiadał z systematyczną drobiazgowością; sądzą, że czynił to po prostu dlatego, żeby móc zapanować nad swoim zdenerwowaniem.

Po opuszczeniu stacji kolejowej hrabia wstąpił do kawiarni na lody i czytał tam gazety.

Następnie wrócił do hotelu, włożył strój wieczorowy i zjadł obiad z wybornym apetytem. Po obiedzie spędził jakiś czas w hallu (były tam krzesła i stoły), paląc cygaro; rozmawiał z małą córeczką Primo Tenore z teatru San Carlo i zamienił kilka słów z „sympatyczną damą”, z żoną tegoż Primo Tenore. Owego wieczoru nie było przedstawienia i ci państwo również wybierali się do Villa. Po chwili wyszli z hotelu.

W momencie, kiedy hrabia miał pójść za ich przykładem — było już wpół do dziesiątej — przypomniał sobie, że w portfelu ma dość znaczną sumę pieniędzy. Wszedł więc do biura hotelowego i większą część pieniędzy zdeponował u kasjera. Po dokonaniu tego wziął *carozella* * i pojechał na wybrzeże. Wsiadł z pojazdu i wszedł do Villa pieszo od strony Largo di Vittoria.

Wpatrywał się we mnie ciężko, uporczywie. Zrozumiałem wtedy, jak bardzo był wrażliwy. Każdy najdrobniejszy fakt, każde zdarzenie z tamtego wieczoru tkwiło w jego pamięci, jak gdyby nacechowane mistycznym znaczeniem. Jeżeli nie opisał maści konia, ciągnącego *carozella*, albo wyglądu woźnicy, to jedynie wskutek przeoczenia, wywołanego wzruszeniem, nad którym zresztą po męsku starał się zapanować.

Wszedł więc do Villa Nazionale od strony Largo di Vittoria. Villa Nazionale jest publicznym miejscem spacerów i zabaw; leży pomiędzy domami ulicy Riviera di Chiaja i wodami zatoki; są tam trawniki, krzewy i klomby kwiatów. Aleje drzew, więcej lub mniej równoległe, ciągną się przez całą długość placu, która jest znaczna. Od strony ulicy Riviera di Chiaja biegną tramwaje elektryczne tuż przy ogrodzeniu. Pomiędzy ogrodem a morzem znajduje się modna i elegancka jezdnia, szeroka, otoczona niskim wałem, za którym w czasie pięknej pogody Morze Śródziemne szmerze miło pluskiem swych fal.

Ponieważ w Neapolu życie rozpoczyna się późno w nocy, przeto cała szeroka jezdnia roiła się lśniąca masą sunących parami latarni pojazdów, to pełnących wolno, to szybko mknących pod smukłą, nieruchomą linią lamp elektrycznych, znaczącą rysunek wybrzeża. Migotliwy rój gwiazd wisiał nad ziemią rozkrzyczaną, zastawioną domami, połyskującą od świateł — i nad milczącym, gładkim mrokiem morza.

Sam ogród nie był silnie oświetlony. Nasz przyjaciel zapuszczał się w ciepłą jego ciemność z oczyma utkwionymi w odległą, jasną strefę, rozciągającą się prawie poprzez całą szerokość Villa, jak gdyby samo powietrze żarzyło się tam własnym, chłodnym, błękitnawym i oślepiającym światłem. Cały ten magiczny obszar, poza ciemnymi pniami drzew i masą atramentowoczarnych liści, dyszał słodkimi dźwiękami, które mieszały się z wybuchami bezczelnej wrzawy, z nagłym szczękiem metalu i z poważnymi, głucho wibrującymi detonacjami.

Gdy hrabia tak szedł, wszystkie odgłosy zlewały się razem w oryginalny utwór muzyczny, którego harmonijne frazy przenikały wymownie skroś wielki nie skoordynowany szmer głosów i tupot nóg po żwirze otwartej przestrzeni. Niezmierna ciżba nurzała się w świetle elektrycznym, jak gdyby w kąpielu z lśniącego i subtelnego fluidu, zlewanego na jego głowy z świetlistych kul, i setkami krążyła wokół orkiestry. Całymi również setkami siedziała na krzesłach w więcej lub mniej koncentrycznych kołach, wchłaniając bezopornie olbrzymie fale dźwięków, rozptywające się w ciemnościach nocy. Hrabia dał się pochłonać tłumowi i unosił się nad nim ze spokojną rozkoszą, słuchając i przyglądając się twarzom. Wszystko ludzie z dobrego towarzystwa: matki z córkami, rodzice z dziećmi, młodzi ludzie z młodymi kobietami, wszyscy rozmawiający, śmiejący się, gestykulujący. Bardzo dużo pięknych twarzy i bardzo dużo pięknych toalet. Było tam, oczywiście, zbiorowisko różnych typów: wytworni starsi panowie z białymi wąsami, grubi panowie, ciency panowie, oficerowie w uniformach; lecz zdaniem hrabiego, przeważał południowowłoski typ młodego człowieka o bezbarwnej jasnej cerze, czerwonych ustach, małych czarnych jak smoła wąsikach i wilgotnych czarnych oczach, tak przedziwnie wyrazistych w kosych spojrzeniach spode łba.

Wycofawszy się z tłumy hrabia przysiadł się przed kawiarnią do stolika, przy którym

* powozik (wł.).

siedział już młody człowiek takiego właśnie typu. Hrabia pił jakąś lemoniadę. Młody człowiek siedział markotny przed pustą szklanką. Spojrzał raz na hrabiego, a potem patrzył w dół. Jednocześnie nasunął na twarz kapelusz. Właśnie tak:

Hrabia zrobił gest człowieka nasuwającego kapelusz na czoło i ciągnął dalej:

— Pomyślałem: musi być smutny; coś go tam boli; młodzi ludzie mają swoje zgryzoty. Zresztą nie przyjrzałem mu się dokładnie. Zapłaciłem za lemoniadę i wyszedłem.

Spacerując w pobliżu orkiestry hrabia miał wrażenie, że dwukrotnie zauważył młodego człowieka błądzącego samotnie wśród tłumu. Raz oczy ich się spotkały. Musiał to być ten sam młody człowiek, lecz było ich tam tylu podobnych, że hrabia nie miał pewności. Ponadto nie interesował się tym tak bardzo, chyba tylko o tyle, że uderzyła go wybitnie ponura markotność tej twarzy.

Niebawem, znużony uczuciem uwięzienia, jakiego doświadcza się zwykle w tłumie, hrabia oddalił się od orkiestry. Jedna z alei, bardzo mroczna wskutek kontrastu, wyglądała pociągająco i obiecywała samotność i chłód. Hrabia skrzywił w nią i szedł wolno przed siebie, dopóki dźwięki orkiestry nie przycichły. Wtedy wrócił i jeszcze raz poszedł tą samą aleją. W ten sposób przeszedł się kilka razy, zanim zauważył, że na jednej z ławek alei ktoś siedzi.

Było to miejsce pomiędzy dwiema lampami łukowymi, oświetlone słabo.

Nieznajomy rozwalił się w rogu ławki, wyciągnął nogi, skrzyżował ręce i zwiesił głowę na piersi. Nie poruszał się zupełnie, jak gdyby zapadł w sen; lecz kiedy hrabia powtórnie koło niego przechodził, zmienił pozę. Siedział pochylony naprzód. Łokcie miał oparte na kolanach, a w palcach skręcał papierosa. Zupełnie nie odrywał wzroku od tego zajęcia.

Hrabia kontynuował swój spacer, oddalając się od orkiestry. Następnie wracał, jak mówił, powoli. Mogę go sobie wyobrazić rozkoszującego się w całej pełni, lecz jak zwykle spokojnie, balsamicznością nocy południowej i dźwiękami muzyki, zlagodzonymi mile przez odległość.

Niebawem hrabia po raz trzeci zbliżył się do człowieka siedzącego na ławce ogrodowej, wciąż pochylonego naprzód i z łokciami na kolanach. Była to poza pełna przygnębienia. W półmroku alei wysoki kołnierzyk nieznajomego i jego mankiety tworzyły małe plamy żywej białości. Hrabia mówił mi, że zauważył, jak nieznajomy nagle podniósł się, jak gdyby miał odejść, lecz zanim hrabia mógł sobie zdać z tego sprawę, młody człowiek stanął przed nim i zapytał niskim łagodnym głosem, czy signore nie byłby łaskaw użyć mu ognia.

Hrabia odpowiedział na tę prośbę grzecznym „proszę” i opuścił ręce w zamiarze poszukiwania zapalek w kieszeniach spodni.

— Opuściłem ręce — mówił — lecz już nie zdążyłem sięgnąć do kieszeni! Uczułem ucisk tu — końcem palca wskazał na miejsce tuż pod mostkiem; ściśle jest to miejsce ciała ludzkiego, w którym szlachetny Japończyk rozpoczyna operację harakiri, owej formy samobójstwa, która jest zwykle skutkiem ujmy wyrządzonej honorowi lub nieznośnego gwałtu zadanego świętości ludzkich uczuć.

— Spojrzałem na dół — ciągnął hrabia głosem przejętym zgrozą — i cóżem ujrzał? Nóż! Długi nóż...

— Nie chce pan chyba powiedzieć — zawołałem zdumiony — że działo się to w Villa Nazionale o godzinie wpół do jedenastej, o jeden rzut kamieniem od tysięcznego tłumu!

Hrabia kiwnął głową kilka razy i wpatrzył się we mnie z całej mocy. Po czym odezwał się głosem uroczystym:

— Klarnet kończył właśnie swe solo i, zapewniam pana, że mogłem słyszeć każdą nutkę. Wiem orkiestra zagrzmiała fortissimo, a zbój wywrócił oczyma i zazgrzytał zębami, sycząc na mnie z najdzikszą pasją: „Cicho być! Ani słowa, bo”... Nie mogłem opanować zdziwienia.

— Jakież to był nóż? — zapytałem całkiem głupio.

— Długie ostrze. *Stiletto*, może nóż kuchenny. Długie, wąskie ostrze. Błyszczało. I jego

oczy błyszcząły. I zęby też. Widziałem je. Był strasznie rozwścieczony. Pomyślałem: „Jeżeli go uderzę, to mnie zabije”. Jakże mogłem z nim walczyć? On miał nóż, a ja nie miałem nic. Zbliżam się, wie pan, do siedemdziesiątki, a to był człowiek młody. Zdawało mi się nawet, że go poznaję. Markotny młody człowiek z kawiarni. Młody człowiek, którego spotkałem w tłumie. Ale na pewno nie wiedziałem. W tym kraju jest tylu podobnych do niego.

Rozpacz tamtej chwili była odzwierciedlona na twarzy hrabiego. Wyobrażałem sobie, że taka niespodzianka musiała go fizycznie sparaliżować. Myśli jego jednakowoż pozostały w wysokim stopniu czynne. Rozbierały każdą możliwość alarmu. Pomysł wydania silnego krzyku o ratunek też przychodził mu do głowy. Lecz hrabia nie uczynił niczego w tym rodzaju, a powód, dla którego się powstrzymał, jest dla mnie dobrym świadectwem, że zachował zupełną przytomność umysłu. W jednym momencie zrozumiał, że nic nie mogłoby przeszkodzić napastnikowi również podnieść krzyk.

— Młody człowiek mógł w jednej chwili odrzucić nóż i udać, że ja jestem napastnikiem. Dlaczego nie? Mógłby powiedzieć, że go zaatakował. Dlaczego nie? Byłoby to jedno nieprawdopodobieństwo przeciwstawione drugiemu. Mógł powiedzieć cokolwiek — wytoczyć przeciwko mnie jakieś hańbiące oskarżenie — czy ja wiem co? Sądząc z ubrania, nie był zwykłym rozbójnikiem. Zdawał się należeć do lepszej sfery. Cóż ja mogłem powiedzieć? On był Włochem — ja jestem cudzoziemcem. Oczywiście mam paszport, a tutaj jest nasz konsul — lecz trzeba by się było dać zaarrestować, powlec po nocy do urzędu policyjnego jak zbrodniarz...

Wzdrygnął się. W jego charakterze lęk przed skandalem znacznie był silniejszy niż obawa samej śmierci. I z pewnością — zważywszy pewne osobliwości neapolitańskich obyczajów — dla wielu ludzi cała rzecz musiałaby pozostać na zawsze diabelnie zagadkową historią. Hrabia nie był szaleńcem. Jego wiara w złą spokojność życia otrzymała tak brutalny cios, że teraz mógł się już spodziewać wszystkiego. Lecz ponadto przyszła mu do głowy myśl, że ten młody człowiek był może po prostu wariatem w ataku furii.

Była to pierwsza wzmianka o stosunku hrabiego do całej awantury. W swej przesadnej delikatności uczuć rozumiał, że niczyje poczucie własnej godności nie może być dotknięte przez to, co chory umysłowo człowiek może komuś zrobić. Stało się jednak rzeczą widoczną, że hrabia musiał się wyrzec tej pociechy. Przedstawił mi dokładnie, w jak ohydny sposób młody człowiek wywraçał błyszczące oczy i zgrzytał białymi zębami. Orkiestra grała teraz z kolei utwór w tempie powolnym, z uroczystym rykiem wszystkich puzonów i artystycznie powtarzanymi uderzeniami wielkiego kotła.

— Lecz co pan zrobił? — zapytałem w najwyższym stopniu poruszony.

— Nic — odpowiedział hrabia. — Opuściłem ręce zupełnie spokojnie. Powiedziałem mu cicho, że nie mam zamiaru krzyżeć. Warknął jak pies, po czym rozkazał zwykłym głosem:

„*Vostro portofolio*”.

— Wówczas ja, rzecz prosta... — ciągnął hrabia i od tego punktu jego opowiadanie stało się pantomina. Trzymając mnie swym wzrokiem wykonał wszystkie ruchy potrzebne, aby sięgnąć do wewnętrznej kieszeni na piersiach, wyjąć portfel i oddać go. Ale młody człowiek, wciąż oparty silnie na nożu, nie chciał tknąć portfela.

Polecił hrabiemu wyjąć pieniądze, wziął je w lewą rękę i kazał mu schować portfel z powrotem do kieszeni; wszystko to dokonało się przy słodkim szmerze fletów i klarnetów, na tle wzruszającego brzęczenia obojów. A „młody człowiek”, jak go hrabia nazywał, powiedział: „Wydaje mi się, że to bardzo mało”.

— Istotnie, było tam tylko trzysta czterdzieści czy trzysta sześćdziesiąt lirów — ciągnął hrabia. — Pieniądze zostawiłem w hotelu, jak panu wiadomo. Powiedziałem mu, że to jest wszystko, co mam przy sobie. Potrząsnął niecierpliwie głową i rzekł:

„*Vostro orologio*”.

Hrabia gestami pokazał wyjmowanie i odpinanie zegarka. Lecz złożyło się tak, że drogocenny, złoty chronometr, który hrabia posiadał, był właśnie zostawiony u zegarmistrza do oczyszczenia. Tego wieczora hrabia miał przy sobie na skórzanym pasku pięćdziesięciofrankowy zegarek marki Waterbury, który zwykł zabierać na ekspedycje rybołówcze. Zauważywszy gatunek łupu, przyzwoicie ubrany bandyta wydał krótki, pogardliwy dźwięk „Phi!” i porywczo odrzucił rzecz z powrotem. Po czym, kiedy hrabia chował pogardzony przedmiot do kieszeni, napastnik, z groźnie wzrastającym naciskiem noża na *epigastrium* *, rozkazał następująco:

„*Vostri anelli*”.

— Jeden z pierścieni — ciągnął hrabia — dostałem przed laty od żony; drugi, sygnet, mam po ojcu. Powiedziałem bandycie: „Nie. Tego pan nie dostanie!”

Tutaj hrabia odtworzył gesty towarzyszące tej deklaracji składając ręce jak do oklasku i przyciskając je tak złożone do piersi. Było coś wzruszającego w rezygnacji tych rąk. „Tego pan nie dostanie!” — powtórzył silnie i zamknął oczy, oczekując już tylko — nie wiem, czy mam prawo zanotować, że tak nieprzyjemne słowo wyszło z jego ust — otóż, oczekując już tylko na moment, w którym — doprawdy, waham się, czy powiedzieć — w którym poczuje się „wypatroszonym” za pomocą długiego ostrego sztyletu, wbitego morderczo w jego dołek sercowy — owo istotne siedlisko dręczących wrażeń u wszystkich istot ludzkich.

Dźwięki harmonii falami napływały od strony orkiestry.

Nagle hrabia poczuł, że ustał koszmarny ucisk. Otworzył oczy. Był sam. Nie słyszał nic. Być może, iż młody człowiek już dawno odszedł lekkimi krokami, lecz uczucie straszliwego ucisku pozostało jeszcze nawet po odjęciu noża. Hrabia uczył się bardzo osłabiony. Zaledwie zdołał, zataczając się, upaść na ławkę ogrodową. Miał takie wrażenie, jak gdyby przez długi czas wstrzymywał oddech. Siedział nieprzytomny, roztrzęsiony od gwałtownej reakcji.

Orkiestra z nieopisaną brawurą wykonywała skomplikowany finał. Straszliwy grzmot zakończył utwór. Hrabia słyszał to jak przez mgłę, z oddali, jak gdyby zaczynał tracić słuch. Potem rozległo się klaskanie tysiąca mniej więcej par rąk, podobne do nawalnego gradu. Głęboka cisza, która nastąpiła zaraz, przywołała hrabiego do przytomności.

Tramwaj podobny do długiej szklanej skrzyni, w której siedzieli ludzie z silnie oświetlonymi głowami, przeleciał szybko w odległości sześćdziesięciu metrów od miejsca, w którym hrabia został obrabowany. Potem drugi tramwaj przemknął i jeszcze jeden odszedł w innym kierunku. Audytorium, zgromadzone wokół orkiestry, rozprasało się; małe, rozmawiające grupy zaczęły wchodzić w aleję. Hrabia siedział wyprostowany i starał się spokojnie myśleć o tym, co mu się przytrafiło. O ile mógłem wymiarkować, hrabia czuł niesmak w stosunku do samego siebie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie był zadowolony ze swego zachowania. Przeciwnie, jeżeli można zaufać pantomimicznemu odtworzeniu tego zachowania, to było ono po prostu bez zarzutu. Nie, to nie to. Hrabia nie był zawstydzony. Był wstrząśnięty tym, że stał się wybraną ofiarą nie tyle rabunku, ile zniewagi.

Jego spokój został sprofanowany. Dotychczasowa, miła delikatność losu została pogwałcona.

Mimo to jednak, w owej chwili, zanim jeszcze jego groza zapadła głęboko, hrabia zdołał doprowadzić siebie do stosunkowej równowagi. Opanowawszy jakoś wzruszenie, spostrzegł, że jest straszliwie głodny. Tak — głodny. Gwałtowna emocja uczyniła go po prostu żarłocznym. Porzucił ławkę i przechadzając się przez pewien czas znalazł się poza ogrodem, naprzeciw stojącego tramwaju, me bardzo wiedząc, jak się to stało. Wsiadł do tramwaju jak we śnie, wiedziony pewnego rodzaju instynktem. Szczęśliwie znalazł w kieszeniach spodni trochę miedziaków na kupno biletu. Potem tramwaj zatrzymał się, a ponieważ wszyscy wysiadali, więc i on też wysiadł. Poznał, że jest na Piazza San Ferdinando, lecz najwidoczniej nie przyszło mu do głowy, żeby wziąć dorożkę i pojechać do hotelu. Pozostał strapiony na

* przepona (zlatynizowany grecki).

Piazza niby zbłąkany pies, rozmyślając mętnie o tym, w jaki by sposób można najprędzej dostać coś do zjedzenia.

Nagle przypomniała mu się jego dwudziestofrankówka. Wyjaśnił mi, że od blisko trzech lat miał tę sztukę francuskiego złota. Zwykł był nosić ją przy sobie jako pewien rodzaj rezerwy na wypadek nieprzewidzianego nieszczęścia. Nikt nie jest pewny, czy mu się nie dobiorą do kieszeni — rzecz zupełnie różna od bezczelnego i haniebnego rabunku.

Monumentalny łuk Galerii Umberto wyprowadził go ku szlachetnej kolumnadzie schodów. Nie tracąc czasu hrabia zaczął się wspinać na ich szczyt i skierował się do Cafe Umberto. Wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte przez tłum pijących ludzi. Ponieważ hrabia chciał coś zjeść, wszedł do środka kawiarni, podzielonej niby na nawy kanciastymi filarami, które dokoła zdobiły podłużne zwierciadła. Hrabia usiadł na czerwonej pluszowej ławce przy jednym z tych filarów, oczekując na zamówione risotto. Jego myśli wróciły znów do ohydnej awantury.

Myślał o markotnym, przyzwoicie ubranym młodym człowieku, z którym spotkał się oczyma w tłumie otaczającym estradę orkiestrową, a który z całą pewnością był rabusiem. Czyżby go poznał? Niewątpliwie. Lecz hrabia nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z nim jeszcze kiedykolwiek. Najlepszą rzeczą byłoby zapomnieć o tym upokarzającym epizodzie.

Hrabia rozglądał się wokół niespokojnie, czekając na risotto, gdy wtem, cóż widzi? Z lewej strony przy ścianie siedzi młody człowiek. Był sam przy stole, na którym stała butelka z jakimś winem czy sokiem i karafka wody z lodem. Gładkie oliwkowe policzki, czerwone usta, czarne jak smoła wąsiki, elegancko podkreślone do góry, subtelne czarne oczy, cokolwiek smutne i ocienione długimi rzęsami, specjalny wyraz okrutnego niezadowolenia, który można obserwować jedynie na popiersiach niektórych cesarzy rzymskich — o, to był on, bez żadnej wątpliwości. Lecz przecież przeważał tutaj ten typ. Hrabia rozejrzał się pośpiesznie. Ten młody oficer, czytający gazetę, był taki sam. Ten sam typ. Dwaj młodzi ludzie tam dalej, grający w warcaby, też są podobni...

Hrabia opuścił głowę. Serce zadrżało mu trwożnie na myśl, że wizja młodego człowieka będzie go już wiecej prześladować. Zaczął jeść risotto. Po chwili usłyszał, jak młody człowiek z lewej strony wołał kelnera rozdrażnionym głosem.

Na to wezwanie nie tylko jego kelner ruszył, lecz także dwóch wolnych kelnerów od zupełnie innego rzędu stołów porwało się ku niemu z usłużną żwawością, która bynajmniej nie charakteryzuje służby z Cafe Umberto. Młody człowiek coś zamruczał, a jeden z kelnerów pobiegł natychmiast do najbliższych drzwi i zawołał w kierunku Galerii: „Pasquale! O! Pasquale!”

Wszyscy wiedzą, kto jest Pasquale: obszarpany stary drab, który włóczy się pomiędzy stolikami i proponuje gościom w kawiarni cygara, papierosy, karty pocztowe z obrazkami, zapalki. Jest to z wielu względów bardzo ciekawy łajdaczyna. Hrabia ujrzał siwowłosego, nie ogolonego drapichrusta, wchodzącego do kawiarni ze skrzynką zwisającą mu u szyi na rzemiennym pasie; widział, jak tenże na jedno słowo lokaja z nagłym gestem poczłapał ku stolikowi młodego człowieka. Młody człowiek życzył sobie właśnie cygara, którym Pasquale służył mu z obłęśnie przymilną grzecznością. Stary przekupień już wychodził, gdy hrabia, wiedziony nagłym impulsem, skinął na niego.

Pasquale zbliżył się z uśmiechem, w którym ugrzeczniony szacunek dziwacznie łączy się z cynicznie badawczym wyrazem oczu. Oparłszy skrzynkę na stole podniósł bez słowa szklane jej wieko. Hrabia wziął paczkę papierosów i zniewolony okrutną ciekawością zapytał, jak mógł najobjętniej:

— Powiedz mi, Pasquale, kto to jest ten młody signore, siedzący tam po drugiej stronie?

Stary pochylił się poufnie nad swą skrzynką.

— Ten, signor Conte — zaczął układając skrzętnie swe towary, lecz nie patrząc na nie — ten, to jest młody *cavaliere* z bardzo dobrej rodziny z Bari. Studiuje tutaj na uniwersytecie

i jest naczelnikiem *capo*, stowarzyszenia młodzieży, ślicznej młodzieży.

Zatrzymał się, po czym z dyskrecją, w której czuło się dumę wtajemniczonego, szepnął słówko wyjaśniające:

— Camorra — i opuścił wieko skrzynki — prawdziwie potężna camorra — wyszeptał jeszcze ciszej. — Sami profesorowie wielce ją poważają... *una lira e cinquantanti centesimi* *, signor Conte.

Nasz przyjaciel zapłacił złotą monetą. Podczas gdy Pasquale obliczał resztę, hrabia zauważył, że młody człowiek, o którym dopiero co tyle się dowiedział w niewielu słowach, skrycie obserwował całą scenę. Kiedy stary włóczykij odszedł kłaniając się, hrabia uregulował rachunek z kelnerem i pozostał jeszcze na swym miejscu. Mówił mi, że opanowało go zupełne odrętwienie.

Młody człowiek zapłacił również, wstał i podszedł w stronę hrabiego rzekomo w tym celu, aby się przejrzeć w lustrze, umieszczonym w najbliższym filarze. Ubrany był kompletnie na czarno, krawat miał ciemnozielony, wiązany. Hrabia obejrzał się i struchlał na widok niegodziwego błysku w kącikach oczu nieznanego. Młody *cavaliere* z Bari (jak mówił Pasquale; lecz Pasquale jest, oczywiście, patentowanym łgarzem) poprawiał krawat, zakładał kapelusz przed lustrem i jednocześnie mówił na tyle głośno, aby hrabia mógł go słyszeć. Mówił przez zęby z jadowitą wzgardą i patrząc prosto w lustro:

— Ach! Więc miałeś jeszcze przy sobie złoto, ty... ty stary łgarzu... stary, ty birba... ty *furfante* **. Ale my się jeszcze spotkamy.

Sataniczność w wyrazie jego twarzy znikła niby błyskawica i z kawiarni wychodził już krokiem leniwym, z twarzą markotną i apatyczną.

Biedny hrabia, opowiedziawszy mi ten ostatni epizod, opadł na krzesło, cały drżący. Na czoło wystąpił mu pot. W tej napaści było tak wyuzdane zuchwalstwo, że i ja czułem przerażenie. Czym to było dla subtelnej natury hrabiego, nie chcę nawet myśleć. Jestem pewny, że gdyby hrabia nie był zbyt wykwintny na to, by móc popełnić rzecz tak krzycząco ordynarną jak śmierć w kawiarni wskutek ataku apoplektycznego, to ten fatalny cios mógłby go wówczas tam spotkać. Mówię bez ironii, że z całych sił starałem się ukryć przed nim, jak dalece się nad nim lituję. Hrabia wzdrygał się przed każdym zbyt wybujałym uczuciem, a moja litość była rzeczywiście bez granic. Nie było dla mnie niespodzianką, gdy dowiedziałem się, że hrabia przez tydzień leżał w łóżku. Potem zajął się przygotowaniami do opuszczenia raz na zawsze południowych Włoch.

A przecież ten człowiek był przekonany, że nie będzie mógł przeżyć całego roku w żadnym innym klimacie!

Ani jeden z moich argumentów nie odniósł skutku. Nie był to strach, jakkolwiek hrabia raz mi powiedział:

— Pan nie wie, co to jest camorra, kochany panie. Jestem człowiekiem napiętnowanym.

Nie lękał się tego, co może go spotkać. Jego subtelne poczucie własnej godności zostało splugawione przez poniżające doświadczenie. Nie mógł tego znieść. Żaden arystokrata japoński, dotknięty w swym przesadnym pojęciu honoru, nie mógłby z większą rezygnacją zająć się przygotowaniami do harakiri. Wracać do siebie, znaczyło dla biednego hrabiego zupełnie tyle samo, co skończyć samobójstwem.

Patriotyzm Neapolitańczyków stworzył przysłowie przeznaczone, jak się domyślam, dla oświecenia cudzoziemców: „Zobacz Neapol, a potem umrzyj.” *Vedi Napoli e poi mori*. W przysłowiu tym maluje się przesadna próżność, a każda przesada była wstrętna dla łagodnego umiarkowania biednego hrabiego. Wszelako, kiedy na niego patrzył na stacji kolejowej, myślałem, że jednak wyjątkowo ściśle stosuje się do dziwacznego przysłowia. *Vedi Napoli!*... On go widział! Przypatrzył mu się z dokładnością przerażającą — a teraz odjeżdżał do grobu.

* jeden lir i pięćdziesiąt centymów (wł.).

** hultaju, łobuzie (wł.).

Odjeżdżał do grobu pociągiem Międzynarodowego Towarzystwa Wagonów Sypialnych via Triest i Wiedeń. Kiedy cztery długie, ponure wozy ruszyły ze stacji, uchyliłem kapelusza z uroczystym uczuciem, że składam ostatni hołd konduktowi pogrzebowemu. Profil hrabiego, mocno już postarzały, odpływał ode mnie cicho, kamienny, znieruchomiały poza oświetloną taflą szklaną. — *Vedi Napoli e poi mori!*

Przełożył Leon Piwiński

MONTAGUE RHODES JAMES

Montague Rhodes James (1862—1936) urodził się w hrabstwie Kent jako syn pastora, był profesorem uniwersytetu w Cambridge. Do historii przeszedł przede wszystkim jako zasłużony badacz rękopisów starożytnych i średniowiecznych, zbieracz antyków oraz autor wielu prac o sztuce i literaturze wieków średnich. Na marginesie właściwych zajęć napisał dwa tomy „Antykwariusza opowieści o duchach” (1905 i 1911).

UROKI

15 kwietnia 190...

Szanowny Panie!

Rada Towarzystwa ... upoważniła mnie, bym zwrócił konspekt Pańskiej pracy zatytułowanej „Prawda alchemii”, którą chciał Pan odczytać na naszym posiedzeniu. Muszę też poinformować Pana, że Rada nie widzi możliwości umieszczenia tej pracy w programie zebrania.

Łączę wyrazy szacunku
Sekretarz

18 kwietnia

Szanowny Panie!

Niezmiernie mi przykro, że nie mogę zobaczyć się z Panem w sprawie konspektu Pańskiej pracy. Nasz statut nie zezwala również na przedyskutowanie konspektu z Komitetem wyłonionym z Rady, jak Pan proponuje. Niech mi wolno będzie zapewnić Pana, że dokładnie rozważyliśmy sprawę i zasięgnęliśmy opinii najbardziej kompetentnych znawców przedmiotu. Żadne względy natury osobistej (nie muszę właściwie tego dodawać) nie zaważyły w najmniejszym stopniu na decyzji Rady.

Łączę wyrazy szacunku
(Jak wyżej)

20 kwietnia

Sekretarz Towarzystwa uprzejmie powiadamia, iż nie może wymienić nazwiska osoby czy osób, których ocenie poddany został konspekt pracy pana Karswella. Sekretarz chciałby również wyjaśnić, że nie będzie odpowiadał na dalsze listy w tej sprawie.

— A kto to jest pan Karswell? — zapytała żona sekretarza. Wpadła po męża do biura i (pewno bez jego wiedzy) przeczytała ostatnie trzy listy przyniesione przed chwilą przez ma-

szynistkę.

— Obecnie, moja droga, pan Karswell jest tylko człowiekiem bardzo zagniewanym. Poza tym wiadomo o nim niewiele: jest zamożny, mieszka w Opactwie Lufford, hrabstwo Warwick, najwidoczniej poświęcił się alchemii i chce nam o niej opowiedzieć. To by było wszystko. Aha, wolałbym też nie spotykać go przez następny tydzień lub dwa. A teraz, jeśli jesteś gotowa, może pójdziemy.

— Co mu takiego zrobisz? — spytała znów żona.

— Zwykła rzecz, kochanie, najzwyczajniejsza w świecie. Przesłał konspekt pracy, którą chciał odczytać na posiedzeniu Rady. Zwróciliśmy się o opinię do Edwarda Dunninga, jedy- nego bodaj w Anglii specjalisty w tej dziedzinie. Powiedział, że praca jest absolutnie bezna- dziejna, więc musieliśmy ją odrzucić. Od tej pory Karswell bombarduje mnie listami. Chce się dowiedzieć nazwiska recenzenta, któremu daliśmy do oceny tę jego bzdurę. Widziałas moją odpowiedź. Tylko, na litość boską, nikomu o tym nie mów!

— Z pewnością nie powiem. Nigdy nic podobnego nie zrobiłam. Tak bym chciała, żeby nie dowiedział się nazwiska biednego pana Dunninga.

— Biednego pana Dunninga? Nie rozumiem, czemu go tak nazywasz? To bardzo szczę- śliwy człowiek, ten Dunning. Ma swoje zainteresowania, wygodny dom i czas do własnej dy- spozyycji.

— Po prostu bardzo by mi go było żal, gdyby ten człowiek znał jego nazwisko i przy- chodził go nudzić.

— Och, tak, przypuszczam, że wtedy byłby biednym panem Dunningiem.

Sekretarza i jego żonę zaprosili na obiad przyjaciele z hrabstwa Warwick. Żona ułożyła sobie z góry, że chytrze wypyta ich o pana Karswella. Nie musiała nawet sprowadzać rozmowy na ten temat, bo wkrótce gospodyni zwróciła się do męża:

— Widziałam rano Opata z Lufford.

Pan domu zagwizdał zdumiony.

— Naprawdę? A cóż takiego sprowadza go do miasta?

— Skądże ja mogę wiedzieć? Przejeżdżałam akurat koło British Museum, kiedy wycho- dził z bramy.

Pytanie żony sekretarza, czy chodzi o prawdziwego opata, zabrzmiało całkiem natura- lnie.

— Och nie, moja droga! To tylko jeden z naszych sąsiadów, który parę lat temu kupił Opactwo Lufford. Nazywa się Karswell.

— To jakiś wasz przyjaciel? — spytał z kolei sekretarz, mrugając porozumiewawczo na żonę. W odpowiedzi posypała się lawina protestów.

— Naprawdę nic dobrego nie można o panu Karswellu powiedzieć. Nikt nie wie, czym się zajmuje; jego służba to straszni ludzie; wymyślił sobie nową religię i odprawia nie wiado- mo jak potworne obrzędy; bardzo łatwo się obraża i nigdy nie wybacza; ma przerażającą twarz — twierdziła pani domu wbrew słabym sprzeciwom męża — nigdy nie postąpił szla- chetnie i wywiera jedynie zły wpływ.

— Oddaj biedakowi sprawiedliwość, kochanie — wtrącił gospodarz. — Zapominasz o zabawie dla dzieci.

— Skądże znowu! Ale cieszę się, że o tym wspomniałaś, bo to dla niego typowe. Słu- chaj, Florence! Pierwszej zimy po przyjeździe do Lufford ten nasz uroczy sąsiad napisał do proboszcza swojej parafii (to nie nasz proboszcz, ale dobrze go znamy) i zaproponował, że pokaże dzieciom magiczne przezrocza. Tłumaczył, że to jakieś nowe przezrocza, które na pe- wno dzieci zainteresują. Cóż, duchowny trochę się zdziwił, bo pan Karswell nigdy nie okazy- wał dzieciom sympatii — skarżył się, że wchodzi na teren jego posiadłości czy coś w tym rodzaju. Ale oczywiście pastor wyraził zgodę, ustalono dzień i nasz przyjaciel sam poszedł się przekonać, jak przebiega zabawa. Opowiadał potem, że najbardziej się cieszy, iż własnych

dzieci nie wzięły ze sobą; były wtedy u nas.

Pan Karswell miał widocznie zamiar przerazić te wiejskie dzieci i jestem przekonana, że dokonałby tego, gdyby mu pozwolono. Zaczął stosunkowo niewinnie, od „Czerwonego Kapturka”, ale zdaniem pana Farrera wilk wyglądał tak strasznie, że parę młodszych dzieci trzeba było wyprowadzić. Zanim pan Karswell przystąpił do wyświetlania obrazów, naśladował wycie wilka w oddali, a czegoś równie przerażającego nie zdarzyło się pastorowi słyszeć. Wszystkie przezrocza, mówił pan Farrer, były pomysłowe i niesłychanie realistyczne, ale trudno sobie wyobrazić, skąd się wzięły i jak zostały zrobione. Cóż, pokaz trwał dalej, każda następna bajka napępiała dzieci większym przestachem, aż wreszcie umilkły zahipnotyzowane. Na koniec pan Karswell wyświetlił cykl obrazków przedstawiających chłopca, który wieczorem przechodzi przez jego park — mam na myśli Lufford. Każde dziecko mogło poznać to miejsce z przezrocza. Chłopca ścigało, a potem rozszarpało na sztuki czy też jakoś inaczej zadało mu śmierć potworne, skaczące stworzenie w bieli, które skradało się w krzakach, stopniowo ukazując się coraz wyraźniej. Pana Farrera trapiły tej nocy zmyślenia, a strach pomyśleć, co działo się z dziećmi. Oczywiście tego było już za wiele i pastor bardzo ostro kazał panu Karswellowi skończyć. Karswell powiedział tylko: „Och, myśli pan, że już czas zakończyć nasz mały pokaz i odesłać dzieci do domów? Bardzo słusznie!” I wyobraźcie sobie, że w tej chwili rzucił na ekran jeszcze jedno przezrocze — kłębowisko węzów, stonóg i obrzydliwych skrzydlatych istot. W jakiś tam sposób wywołał wrażenie, że wszystko rozłazi się między widzów; towarzyszył temu suchy, szeleszczący odgłos, który przyprawił dzieci niemal o obłęd i spowodował paniczną ucieczkę. Niejedno potłukło się wybiegając z pokoju, a myślę, że żadne nie zmrużyło oka tej nocy. We wsi wybuchło potem okropne zamieszanie. Naturalnie matki dużą część winy zwały na biednego pana Farrera, gdyby zaś ojcowie mogli przedostać się za bramę, przypuszczam, że powybijaliby okna w Opactwie. Taki jest pan Karswell, Opat z Lufford, moja droga, więc potrafisz sobie chyba wyobrazić, jak bardzo zależy nam na tej znajomości.

— Tak, według mnie Karswell ma zadatki na wybitnego przestępcę — zauważył pan domu. — Współczuję każdemu, kto mu się narazi.

— Nie wiem, czy nie myślę go z kim innym — dorzucił sekretarz, który już od paru minut siedział ze zmarszczką na czole, jak by czegoś szukał w pamięci. — Czy to przypadkiem nie on wydał „Historię sztuki czarnoksiężskiej” jakieś dziesięć lat temu?

— Tak, to on! Pamiętasz recenzje?

— Pewno że tak. A co równie ważne, znałem autora najzjadliwszych krytyk. I ty także. Przypominasz sobie chyba Johna Harringtona? Był w kolegium Św. Jana za naszych czasów.

— Doskonale go pamiętam, choć nie zdaje mi się, bym go widział lub słyszał coś o nim od zakończenia studiów do chwili, kiedy przeczytałem sprawozdanie ze śledztwa.

— Śledztwa? — zdziwiła się jedna z pań. — A co mu się stało?

— Spadł z drzewa i skrzył kark. Pozostaje jednak zagadką, co go skłoniło, by tam włąził. To tajemnicza historia, muszę przyznać. Człowiek — wcale nie atletycznej budowy, prawda? — nie mający w sobie nic z ekscentryka, późnym wieczorem wraca do domu połą drogą. W okolicy nie spotyka się włóczędzów, wszyscy go znają i lubią — więc dlaczego zaczyna raptem biec jak oszalały, gubi kapelusz i laskę, a wreszcie wchodzi (nie takie to łatwe) na drzewo, które wyrasta ponad żywopłotem. Sucha gałąź nie wytrzyma ciężaru i Harrington skrzył kark. Drugiego dnia znajdują go na ziemi, z twarzą potwornie wykrzywioną strachem. Oczywiście coś musiało go ścigać, ludzie więc napomykali o wściekłych psach i zwierzętach zbiegłych z menażerii, ale to były czcze domysły. Wypadek zdarzył się w roku 1889 i bodaj od tej pory brat Harringtona, Henryk (nie wiem, czy i ty także pamiętasz go z Cambridge?), usiłuje wyjaśnić tę tajemnicę. Naturalnie tłumaczy on śmierć brata czyjaś zawiścią, ale to nie jest pewne. Trudno to sobie wyobrazić.

Po chwili rozmowa znów zeszła na temat „Historii sztuki czarnoksiężskiej”.

— Zglądałeś kiedy do tej książki? — spytał pan domu.

— Tak — odparł sekretarz. — Nawet ją przeczytałem.

— I rzeczywiście była taka zła, jak pisano?

— Jeśli chodzi o styl i formę, całkiem beznadziejna. W pełni zasługuje na miazdzącą krytykę. Poza tym była to zła książka. Autor wierzył w każde jej słowo i jeśli się grubo nie mylę, dokonał większości opisanych doświadczeń.

— Ja pamiętam tylko recenzję Harringtona i przyznaję, że gdybym to ja był autorem, położyłabym kres moim literackim ambicjom. Nie śmiałybym więcej chodzić z podniesionym czołem.

— W tym wypadku tak się nie stało. Ale już wpół do czwartej i czas się żegnać.

W drodze do domu żona sekretarza podjęła:

— Żeby tylko ten okropny człowiek nie dowiedział się, iż to pan Dunning wpłynął na odrzucenie jego pracy!

— Mało prawdopodobne, by się dowiedział — odrzekł sekretarz. — Dunning nie wspomni o tym, ponieważ takie sprawy są poufne, a i my będziemy milczeć z tego samego powodu. Karswell nie zna jego nazwiska, bo jak dotąd Dunning nic z tej dziedziny nie publikował. Jedyne niebezpieczeństwo, to że Karswell spyta jakiegoś pracownika British Museum o badacza rękopisów z zakresu alchemii. Nie mogę prosić każdego asystenta, by nie wspominał Dunninga, prawda? Od razu rozeszłyby się plotki. Miejmy nadzieję, że ten pomysł Karswellowi nie przyjdzie do głowy.

Pan Karswell był jednak przebiegłym człowiekiem.

Na tym zakończmy prolog. Wieczorem, u schyłku tego samego dnia, pan Edward Dunning wyszedł po skończonej pracy z British Museum. Wracał na przedmieście, do wygodnego domu, gdzie mieszkał sam wraz z dwoma doskonałymi starymi służącymi. Pana Dunninga znamy już z opowiadania i trudno coś dodać do jego charakterystyki. Towarzyszmy mu preto w spokojnej wędrówce do domu.

Pociąg przystawał w odległości jakichś dwu mil od jego willi, kawałek dalej zaś dojeżdżał pan Dunning tramwajem. Od pętli tramwajowej miał około trzystu jardów do drzwi frontowych. W wagonie nie chciało mu się już czytać, a poza tym słabe światło pozwalało najwyżej odcyfrować teksty reklam na szybach. Całkiem naturalne, że ogłoszenia na tej linii stanowiły przedmiot częstych kontemplacji pana Dunninga i może z wyjątkiem błyskotliwego i przekonującego dialogu między panem Lamplough'a wybitnym członkiem Rady Królewskiej na temat soli leczniczych, nie pobudzały wyobraźni. Nie, nie mam racji: napis w najdalszym kącie wagonu wydał mu się obcy. Były to niebieskie litery na żółtym tle, a przeczytać mógł tylko nazwisko — John Harrington — i jakąś datę. Pana Dunninga nie powinno to bardziej zainteresować, a jednak, gdy wagon opustoszał, ciekawość kazała mu podejść bliżej. Został do pewnego stopnia nagrodzony za fatywę. Tekst nie przypominał normalnych ogłoszeń. Brzmiał: „Ku pamięci Johna Harringtona, Członka Towarzystwa Starożytności, z »Wawrzynów«, Ashbrooke. Zmarł 18 września 1889. Dano mu trzy miesiące”.

Tramwaj stanął. Pana Dunninga, wciąż wpatzonego w niebieskie litery na żółtym tle, wyrwał z zadumy głos konduktora.

— Przepraszam — powiedział. — Przyglądałem się temu ogłoszeniu. Czy nie wydaje się panu bardzo dziwne?

Konduktor czytał powoli.

— Słowo daję — zapewnił. — Widzę je po raz pierwszy. To przestroga, no nie? Wygląda, że ktoś pozwolił sobie na żarty.

Wyciągnął ścierkę, popluł i zaczął trzeć szybę z obu stron.

— Nie — rzekł wracając do środka wagonu. — To się nie zmyje. Wygląda, jak by było w samym szkle, mam na myśli w substancji, jak to mówią.

Pan Dunning zbadał napis, potarł go rękawiczką i zgodził się z konduktorem.

— Kto odpowiada za ogłoszenia i pozwala je rozlepiać? Prosiłbym, żeby się pan o to dowiedział. Tymczasem przepiszę sobie te słowa.

W tej chwili rozległ się głos motorniczego:

— Uwaga, George, czas ruszać!

— Dobrze, dobrze, ale mam tu coś ciekawego. Chodź, popatrz na tę szybę!

— Co się stało? — spytał motorniczy podchodząc. — A któż to ten Harrington? Co to wszystko ma znaczyć?

— Pytałem właśnie, kto odpowiada za ogłoszenia w tramwajach, i radziłem dowiedzieć się o ten napis.

— To robota urzędników Towarzystwa, sir. Zajmuje się tym chyba pan Timms. Jak zjedziemy na noc, postaram się przepisać i może potrafię dać panu odpowiedź jutro, jeśli będzie pan jechał tym samym tramwajem.

Tego wieczora nie zdarzyło się nic więcej. Pan Dunning zadał sobie tylko trud sprawdzenia, że Ashbrooke leży w hrabstwie Warwick.

Nazajutrz znów pojechał do miasta. Tramwaj (ten sam co dnia poprzedniego) był rano przepełniony, więc pan Dunning nie miał okazji porozmawiać z konduktorem. Zdołał jedynie stwierdzić, że dziwne ogłoszenie zniknęło. Wieczór przyniósł nową zagadkę. Pan Dunning spóźnił się na tramwaj czy też wolał wracać do domu piechotą. Długo pracował w swym gabinecie. Wtem służąca oznajmiła, że dwóch tramwajarzy prosi go o chwilę rozmowy. Przypomniało mu to sprawę ogłoszenia. Kazał wprowadzić gości — konduktora i motorniczego — i przyrządziwszy trunki spytał, czego się dowiedzieli.

— Właśnie, proszę pana, dlatego pozwoliliśmy sobie tu zajrzeć — odparł konduktor. — Pan Timms tylko nagadał Williamowi. Mówi, że w ogóle nie nadeszło takiego ogłoszenia, że nikt go nie zamawiał ani za coś podobnego nie płacił, że nikt go nie naklejał, że pan Timms nic o tym nie wie i w ogóle nie ma takiego ogłoszenia, więc po co robimy z niego wariata i zabieramy mu czas.

„Cóż — ja mu na to — jeśli tak, proszę pana, panie Timms — mówię — żeby pan poszedł i sam się przekonał. Oczywiście, jak nie ma napisu — powiadam — może mnie pan wyzwać od ostatnich”.

„Dobrze — mówi — pójdę”.

I zaraz żeśmy poszli. I co pan na to, sir? Ogłoszenie z Harringtonem stało wypisane najwyraźniej w świecie — niebieskie litery na żółtym tle — i jak już wtedy mówiłem, a pan sam się zgodził, w samym szkłe; bo jeśli pan pamięta, próbowałem wytrzeć je ścierką.

— Pewnie, że pamiętam. Całkiem dokładnie. Dobrze i cóż dalej?

— Dobrze panu, ale nie mnie. Pan Timms schodzi do wagonu z światłem ...nie, nie, kazał Williamowi stać na dworze i trzymać latarnię. „A teraz — powiada — gdzież jest to wasze ogłoszenie, o którym tyle było gadania?”

„Tu jest, panie Timms” — mówię i pokazuję ręką.

— Tak — wtrącił pan Dunning. — Przypuszczam, że napis znikł. Wybita szyba?

— Wybita! Skądże! Nie było, niech mi pan wierzy, ani śladu tych liter... niebieskich liter... na szybie. Ach, szkoda gadać! W całym moim życiu nie widziałem nic podobnego. Niech lepiej William opowie, bo po co ja mam mówić to wszystko.

— A co na to pan Timms?

— Cóż, zrobił, jak mu sam poradziłem. Wyzwał nas od ostatnich i nie mam do niego żalu. Ale myśmy pomyśleli, William i ja, że przecież pan przepisał to... te litery.

— Pewno, że przepisałem i mam tę kartkę przy sobie. Chcecie, żebym sam porozmawiał z panem Timmsem i pokazał mu kartkę? Po to przychodzicie?

— A co? Nie mówiłem? — triumfował William. — Zadawaj się tylko z dżentelmenem, jeśli ci się uda takiego spotkać, to moje słowa. Przyznasz chyba, George, że nie przyprowa-

dziłem cię tu na darmo.

— Dobra, William, w porządku. Nie potrzebujesz mówić, jak byś musiał ciągnąć mnie tu na siłę. Przyszedłem bez sprzeciwu, prawda? Pewno, że nie powinniśmy zabierać panu tyle czasu, sir, ale gdyby przypadkiem znalazł pan wolną chwilę i wpadł do biura Towarzystwa jutro rano, i powiedział panu Timmsowi, co pan widział na własne oczy, byłibyśmy ogromnie wdzięczni. Pan wie, że nie byliśmy, jak to mówią, po jednym głębszym, ale gdyby im w biurze przyszło do głowy, że widzieliśmy coś, czego nie ma, no cóż, jedno z drugim, i gdzie byśmy się za rok podziawali... pan rozumie, co mam na myśli?

Tłumacząc dalej, dlaczego prosi o taką przysługę, George, prowadzony przez Williama, opuścił pokój.

Niedowiarek pan Timms zmiękł usłyszawszy i zobaczywszy, co pan Dunning (któremu kłaniał się na ulicy) ma mu do powiedzenia i pokazania. Wszelkie zarzuty, jakie mogłyby paść na Williama i George'a, wymazano z ksiąg Towarzystwa, lecz zagadka wciąż pozostawała nie wyjaśniona.

Zainteresowanie pana Dunninga tą sprawą nie wygasło dzięki przypadkowi. Następnego popołudnia wracał z klubu, gdy wtem zauważył mężczyznę z plikiem ulotek, takich jakie rozdają przechodniom agenci nowo powstałych przedsiębiorstw. Ten nie wybrał bardzo uczęszczanej ulicy. Pan Dunning nie widział, by wręczył komu choć jedną ulotkę. Dopiero mijając go poczuł, że agent wciska mu coś do ręki. Dotyk tej ręki niemile go zaskoczył. Wydawała się jakoś nienaturalnie szorstka i gorąca. Pan Dunning spojrzął przelotnie na obcego, ale wbrew usiłowaniu pierwszego wrażenia nie udało mu się bliżej określić.. Szedł szybko, po drodze jednak spojrzął na kartkę. Była niebieska. Nazwisko Harringtona, wypisane dużymi literami, przykuło jego wzrok. Przystanął zdumiony i sięgnął po okulary. W tym momencie kartkę wyrwał mu jakiś przechodzień i natychmiast zniknął. Pan Dunning zawrócił, przebiegł parę kroków, ale gdzie szukać przechodnia? A gdzie agenta?

Zamyślony wszedł nazajutrz do Gabinetu Wybranych Rękopisów w British Museum i wypełnił rewersy na Harleya 3586 i kilka innych tomów. Po chwili przyniesiono mu książki i właśnie rozkładał pierwszą na stole, gdy usłyszał, jak ktoś szeptem wymawia jego nazwisko. Oglądając się do tyłu, zrzucił teczkę z notatkami. W pobliżu nie było nikogo znajomego poza jednym z pracowników muzeum, który skinał mu głową. Pan Dunning pozbierał kartki, a kiedy zamierzał już przystąpić do pracy, tęgi pan, siedzący za nim i szykujący się do wyjścia, dotknął jego ramienia.

— Czy mogę to panu oddać? Musiał pan to zgubić — z tymi słowy wręczył mu parę kartek.

— Tak, to moje, dziękuję — odparł pan Dunning.

Obcy mężczyzna opuścił wkrótce salę manuskryptów. Po południu, skończywszy pracę, pan Dunning wdał się w rozmowę z asystentem muzeum. Przy okazji zagadnął o tęgiego dżentelmena.

— Och, nazywa się Karswell. W zeszłym tygodniu pytał mnie o wybitnych znawców alchemii i oczywiście powiedziałem mu, że pan jest jedynym tego rodzaju specjalistą w Anglii. Może uda mi się go jeszcze złapać, bo jestem pewien, że chętnie by pana poznał.

— Na miłość boską, niech pan tego nie robi! — zawołał pan Dunning. — Ogromnie zależy mi na tym, by go nie poznawać.

— Świetnie się składa. Rzadko tu przychodzi, więc raczej się pan na niego nie natknie.

W drodze do domu pan Dunning kilkakrotnie przyznał się sam sobie, że nie oczekuje samotnego wieczoru ze zwykłą radością. Zdawało mu się, że coś nieokreślonego i niedostrzeżalnego stało między nim a resztą ludzi i wzięło go jak gdyby w opiekę. Chciał usiąść blisko innych pasażerów w pociągu i tramwaju, ale tak się złożyło, że wszędzie panowały pustki. Konduktor George pograżył się w zadumie i wyglądał na całkowicie zaabsorbowanego obliczaniem pasażerów. U progu powitał pana Dunninga doktor Watson, jego lekarz domo-

wy.

— Z przykrością muszę ci zakomunikować, że zakłóciłem porządek w twoim domu. Obie służące są *hors de combat* *. Musiałem posłać je do kliniki.

— Wielkie nieba, co się stało?

— Według mnie coś jak zatrucie. Tobie widocznie nic się nie stało, bo inaczej nie byłbyś na nogach. Myślę, że jakoś się wygrzebią.

— Mój Boże, nie podejrzewasz przyczyny zatrucia?

— Podobno kupiły sobie na obiad małże od wędrownego handlarza. To dziwne. Dowiedziałem się, ale w żadnym innym domu na tej ulicy nie było dziś handlarza. Nie mogłem cię zawiadomić. Nie będzie ich kilka dni, więc w każdym razie przyjdź do mnie na obiad. Umówimy się też na przyszłość. Obiad o ósmej. Nie ma się czym niepokoić.

W ten sposób, choć za cenę zmartwienia i niewygody, groźba samotnego wieczoru została usunięta. Pan Dunning mile spędził czas w towarzystwie doktora (od niedawna dopieroż mieszkańca tej dzielnicy) i wrócił do siebie około wpół do dwunastej. Nocy owej dobrze nie wspomina. Położył się do łóżka i zgasił światło. Rozmyślał akurat, czy sprzątaczką przyjdzie dość wcześnie, by zagrzać wodę, gdy wtem usłyszał wyraźny odgłos otwierających się drzwi gabinetu. Na korytarzu rozległy się kroki, ale coś musiało być nie w porządku, bo pamiętał, że wieczorem odłożył papiery na biurko i zamknął drzwi. Raczej wstyd niż odwaga skłonił go do wysłiznięcia się w szlafroku na schody. Przechylony przez poręcz nasłuchiwał. Ani śladu światła i cisza. Tylko strumień ciepłego, aż gorącego powietrza owionął mu nogi. Pan Dunning wrócił do sypialni i przekręcił klucz w zamku. Przykrości jednak na tym się nie skończyły. Czy to jakieś podmiejskie Towarzystwo zdecydowało przez oszczędność, że światło nie potrzebuje się palić we wczesnych godzinach rannych, i wyłączyło prąd, czy też coś się zepsuło w liczniku, dość że zapanowały ciemności. Poszukał zapalek, by przy ich blasku przekonać się, ile niespokojnych godzin jeszcze go czeka. Wsadził rękę pod poduszkę, gdzie zawsze chował zegarek, lecz natychmiast ją cofnął. Dotknął bowiem, jak sam mówi, owłosionych ust, pełnych zębów, lecz, jak zapewnia, nie były to usta istoty ludzkiej. Na nic się nie zda zgadywać, co wtedy mówił czy robił. W każdym razie, nim odzyskał całkowitą przytomność, był już w drugim pokoju, z uchem przy zamkniętych drzwiach. Tak spędził resztę nocy, oczekując lada chwila jakiegoś szelestu, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Powrócił do sypialni drżąc i nasłuchując. Na szczęście drzwi stały otworem, żaluzje były podniesione (służące nie zdążyły zasłonić okien) i nigdzie nie dostrzegł śladu niczyjej obecności. Zegarek także leżał na miejscu. Wszędzie porządek, tylko szafa otwarta zgodnie z przyjętym zwyczajem. Dzwonek u wejścia kuchennego zapowiedział sprzątaczkę zamówioną poprzedniego wieczora i ośmielił pana Dunninga. Wpuściwszy kobietę przystąpił do dalszych bezowocnych poszukiwań w całym domu.

Tak rozpoczęty dzień włókł się ponuro. Pan Dunning nie śmiał pójść do muzeum; wbrew temu, co mówił asystent, Karswell może się tam zjawić, a on nie czuł się na siłach stawić czoło prawdopodobnie wrogo usposobionemu człowiekowi. Własny dom stał mu się wstrętny, a nie chciał pasożytować na doktorze. Złożył krótką wizytę w klinice i pewną pociechę sprawiły mu dobre wiadomości o kucharce i pokojówce. Na obiad wybrał się do klubu i odetchnął z ulgą na widok sekretarza Towarzystwa. Jedząc, opowiadał przyjacielowi o swych mniej zasadniczych kłopotach, ale nie mógł jakoś poruszyć tematu, który najbardziej leżał mu na sercu.

— Biedaku — wzruszył się sekretarz. — Taka niewygoda! Słuchaj, jesteśmy zupełnie sami w domu. Musisz przeprowadzić się do nas. Tak! Żadnych wymówek! Przyślij rzeczy dziś po południu.

Dunning nie potrafił się oprzeć pokusie, bo prawdę powiedziawszy z każdą godziną odczuwał coraz większy niepokój na myśl, co przyniesie wieczór. Niemal szczęśliwy poszedł

* *Hors de combat* (franc.) — niezdatny do walki.

się spakować.

Kiedy para przyjaciół lepiej mu się przyjrzała, przeraził ich beznadziejny wyraz twarzy pana Dunninga i wszelkimi silami starali się go rozweselić. Początkowo odnieśli sukces, lecz gdy panowie zostali sami i zapalili papierosy, Dunning znów posmutniał.

— Gayton — odezwał się nagle — ten alchemik z pewnością wie, że to ja wpłynąłem na odrzucenie jego pracy.

Gayton gwizdnał przeciągle.

— A skąd ci to przyszło do głowy?

Dunning streścił rozmowę z asystentem muzeum i Gayton musiał przyznać, że podejrzenie takie jest uzasadnione.

— Specjalnie mi na tym nie zależy — ciągnął Dunning — ale spotkanie z nim mogłoby okazać się przykre. Podobno to niezbyt przyjemny facet.

Znowu zamilkli. Gayton był pod coraz silniejszym wrażeniem beznadziejności, jaka malowała się na twarzy i w zachowaniu Dunninga. Wreszcie, choć z przymusem, zapytał prosto z mostu, czy przyjaciel nie ma poważnych zmartwień. Dunning westchnął.

— Strasznie chciałem podzielić się z kimś obawami — powiedział z ulgą. — Słyszałeś, może o jakim Johnie Harringtonie?

Zaskoczony Gayton potrafił w pierwszej chwili spytać jedynie, co to ma do rzeczy. Teraz wszystkie przeżycia Dunninga wyszły na jaw — zdarzenie w tramwaju, w jego domu, na ulicy, niepokój, jaki nim owładnął i nie chciał ustąpić. Zakończył opowieść tym samym pytaniem, od którego ją rozpoczął. Gayton nie wiedział, co zrobić. Może słuszniej byłoby wspomnieć o śmierci Harringtona, ale z drugiej strony Dunning jest zdenerwowany, a historia ponura. Gayton nie mógł też oprzeć się podejrzeniom, że osoba Karswella stanowi ogniwo łączące obie te sprawy. Uczonemu trudno wierzyć w coś podobnego, lecz da się to wytłumaczyć terminem „sugestia pod hipnozą”. W końcu zdecydował, że tego wieczora da wymijającą odpowiedź; razem z żoną rozważą wpierw sytuację. Stwierdził, że znał Harringtona z Cambridge i że ten poniósł nagłą śmierć w roku 1889. Dorzucił też parę szczegółów dotyczących zmarłego i jego publikowanych prac. Oczywiście omówił całą sprawę z panią Gayton, która, jak było do przewidzenia, od razu wyciągnęła wniosek nasuwający się wciąż i jemu samemu. To żona przypomniała sekretarzowi o żyjącym bracie Johna, Henryku Harringtonie, i poradziła nawiązać z nim kontakt przez przyjaciół, u których byli na proszonym obiedzie.

— To pewnie zwykły maniak — zaprotestował Gayton.

— Można spytać Bennettów, oni go znają — odparowała pani Gayton, obiecując wybrać się do nich nazajutrz.

O dalszych krokach poprzedzających spotkanie Henryka Harringtona z Dunningiem nie ma co pisać bardziej szczegółowo.

Na powtórzenie zasługuje dopiero rozmowa między tymi dwoma. Dunning opowiedział Harringtonowi, w jak przedziwnych okolicznościach imię zmarłego jawiło mu się przed oczami, napomknął też o własnych przeżyciach. Następnie poprosił, by ze swej strony Harrington spróbował odtworzyć pewne fakty związane ze śmiercią brata. Łatwo sobie wyobrazić zdumienie Harringtona, chętnie jednak spełnił prośbę.

— Johna — mówił — zaczęły na kilka tygodni wcześniej, ale nie przed samą katastrofą, ogarniać dziwne nastroje, to nie ulega kwestii. Powodowało je w pierwszym rzędzie przekonanie, że ktoś go śledzi. Niewątpliwie był wrażliwy, lecz nic podobnego nie przychodziło mu przedtem do głowy. Nie umiem oprzeć się myśli, że działała tu czyjaś zła wola i to, co pan opowiedział o sobie, przypomina mi bardzo dzieje brata. Czy nie dostrzega pan jakiegoś wspólnego ogniwa?

— Coś świta mi w głowie. Na krótko przed śmiercią pański brat poddał jakoby miążdżącej krytyce pewną książkę, a ostatnio zdarzyło mi się wejść w drogę jej autorowi.

— Niech mi pan nie mówi, że ten człowiek nazywa się Karswell!

— Dlaczego nie? Właśnie tak brzmi jego nazwisko.

Henryk Harrington oparł się o poręcz fotela.

— To według mnie jest rozstrzygające. Muszę wyjaśnić wszystko. Ze słów mego brata wynikało niezbicie, że zaczął wierzyć — wbrew sobie samemu — iż u podłoża jego zmartwień tkwi Karswell. Proszę posłuchać, co moim zdaniem wpłynęło na rozwój sytuacji. John był znawcą muzyki i często jeździł do miasta na koncerty. Trzy miesiące przed śmiercią wrócił z takiego wypadu i dał mi do przejrzania program — program analityczny, gdyż miał zwyczaj je zbierać. „O mało go nie zgubiłem — opowiadał. — Widocznie gdzieś mi upadł, w każdym razie szukałem go pod krzesłem i po kieszeniach, aż wreszcie sąsiad odstąpił mi własny program, którego już nie potrzebowałem. Po chwili wyszedł. Nie wiem, kto to był; jakiś zażywny, starannie wygolony mężczyzna. Nie chciałem, żeby brakowało mi tego programu. Oczywiście mogłem kupić drugi, ale ten nic mnie nie kosztował”. Kiedy indziej brat wspominał, że już w drodze do hotelu, a potem przez całą noc czuł się bardzo nieswój. Teraz, jak o tym myślę, wszystko układa się w jedną całość. W kilka dni później brat porządkował programy przed oddaniem do oprawy. Między kartkami wspomnianego zeszytu, na który zresztą ledwie rzuciłem okiem, znalazł skrawek papieru zapisany dziwnymi literami — czerwonymi i czarnymi — wykaligrafowanymi niezwykle starannie. Najbardziej przypominały pismo runiczne. „Ta kartka — stwierdził John — z całą pewnością należy do mojego tłustego sąsiada. Wygląda tak, że chyba powinienem mu ją wrócić. Może to jakaś kopia. Ktoś najwyraźniej nad tym ślęczał. Ale skąd wziąć jego adres?” Rozmawialiśmy jeszcze na ten temat, aż wreszcie doszliśmy do wniosku, że nie warto dawać ogłoszenia. Brat powinien tylko rozejrzeć się za nieznanym podczas następnego koncertu, na który wkrótce się wybierał. Kartka leżała na książce, a my siedzieliśmy przy kominku. Było to w lecie, chłodnego, wietrznego wieczora. Drzwi musiały otworzyć się same, niepostrzeżenie, dość że podmuch, ciepły podmuch, wpadł nagle do pokoju, porwał paperek i rzucił w ogień. Cieniutka, delikatna kartka spłonęła momentalnie, a popiół uleciał kominem. „Cóż — powiedziałem — teraz nie ma już mowy o zwrocie kartki”. Po chwili milczenia John rzekł gniewnie. „Oczywiście nie ma mowy, ale nie rozumiem, czemu wciąż to powtarzasz”. Zauważyłem, że wyrwało mi się to tylko raz. „Co najmniej cztery” — stwierdził krótko. Sam nie wiem, dlaczego pamiętam to tak dokładnie, ale do rzeczy. Czy przeglądał pan kiedy tę książkę Karswella, którą mój nieszczęsny brat recenzował? Pewno nie, ja czytałem ją jednak przed i po śmierci Johna. Za pierwszym razem obaj mieliśmy dużą zabawę. Autor nie ma zielonego pojęcia o regułach stylistycznych — coś takiego przyprawia studenta Oxfordu o mdłości. Poza tym ten człowiek przyswoił sobie wszystko: pomieszał klasyczne mity i opowiadania ze „Złotej legendy” z danymi o zwyczajach współczesnych dzikusów — każdy fakt niewątpliwie słuszny, jeśli się go umie zastosować. Ale on tego nie potrafił. Wydawało się, że na równi ze „Złotą legendą” stawia „Złotą gałąź” i w obie wierzy — osiągając dość żałosny rezultat. Niedługo po katastrofie znowu zajrzałem do tej książki. Nic wydała mi się lepsza niż poprzednio, ale wywarła na mnie inne wrażenie. Podejrzywałem — jak już panu wiadomo — że Karswell źle życzył bratu, a nawet w pewnym sensie odpowiada za to, co się stało. Praca jego wydała mi się złowróźbna. Szczególnie zaskakujący był rozdział, w którym autor mówi o rzucaniu „uroków” na ludzi, bądź to by zaskarbić ich miłość, bądź też usunąć ich z drogi — na co kładzie specjalny nacisk. Karswell napisał to z prawdziwie głęboką znajomością przedmiotu. Nie czas na roztrząsanie szczegółów; w każdym razie, dzięki uzyskanym informacjom doszedłem do wniosku, że grzecznym panem z sali koncertowej był właśnie on. Przypuszczam — a nawet jestem prawie pewny — iż kartka miała jakieś znaczenie. Wierzę, że gdyby John mógł oddać ją właścicielowi, żyłby do dziś. Dlatego pragnę zapytać, czy nie zdarzył się panu podobny wypadek.

Dunning opisał zajście w muzeum.

— I wtedy podał panu jakieś papiery? Czy pan je przejrzał? Nie? Wobec tego musimy,

jeśli pan pozwoli, przetrząsnąć je od razu, i to bardzo starannie.

Poszli do wciąż jeszcze opuszczonego domu, opuszczonego, bo służące nie wróciły dotychczas z kliniki. Pokryta kurzem teczka z papierami Dunninga leżała na biurku. W środku znajdowały się małe bloczki, na których uczony robił notatki. Dunning ujął jeden z nich; wtem spomiędzy kartek wysliznął się skrawek cienkiego, delikatnego papieru i poszybował w powietrzu z zadziwiającą szybkością. Okno było otwarte, lecz Harrington w porę je zatrzymał.

— Tego się spodziewałem — powiedział. — To pewno identycznie taka sama kartka, jaką dostał mój brat. Musi się pan mieć na baczności. Sytuacja wygląda niebezpiecznie.

Naradzali się długo. Jak mówił Harrington, znaki bardziej przypominały pismo runiczne niż cokolwiek innego, nie potrafili ich jednak odczytać, a nie przepisali ich z obawy, jak sami przyznają, by dalej nie szerzyć zła, gdyby niecny ceł się za nimi ukrywał. Tak więc (jeśli wolno mi wybiec nieco naprzód) treść tego dziwnego zlecenia czy posłannictwa pozostała nieznana. Zarówno Dunning, jak i Harrington byli święcie przekonani, że kartka sprowadza na tego, kto znajdzie się w jej posiadaniu, bardzo niepożądane towarzystwo. Ustalili, że trzeba ją zwrócić ofiarodawcy, a jedynie pewną i bezpieczną drogą będzie wręczyć mu ją osobiście. W tym wypadku muszą działać podstępnie, bo Karswell zna Dunninga z widzenia. Dunning powinien przede wszystkim zgolić brodę i w ten sposób zmienić wygląd. Ale czy pierwaj nie padnie cios? Zdaniem Harringtona da się to obliczyć. Pamiętał datę koncertu, podczas którego zamię przylgnęło do jego brata — było to osiemnastego czerwca. Śmierć nastąpiła osiemnastego września. Dunning przypomniał także, iż o trzech miesiącach mówił napis na szybie tramwaju.

— Może — dodał ze smętnym uśmiechem — mój rachunek przyjdzie także uregulować za trzy miesiące. Potrafię chyba ustalić datę według mego dziennika. Tak, dwudziestego trzeciego kwietnia byłem w muzeum, wypada więc dwudziesty trzeci lipca. Teraz rozumie pan, jaką wagę mają dla mnie wszystkie szczegóły dotyczące rozwoju wypadków, jakie poprzedziły śmierć pańskiego brata. Oczywiście, jeśli może pan o tym mówić...

— Naturalnie, że mogę. Cóż, najbardziej dokuczało mu przeświadczenie, że ilekroć zostaje sam, ktoś go śledzi. Zacząłem nawet sypiać w jego pokoju i to mu dobrze robiło, ale wciąż dużo mówił przez sen. O czym? Czy warto opowiadać takie rzeczy, zanim się sprawa wyjaśni? Sądzę, że nie, ale powiem panu jedno: w tym okresie dostał dwie przesyłki pocztowe, obie z Londynu, zaadresowane kupieckim charakterem pisma. Jedna zawierała niestaranie wydarty z książki drzeworyt Bewicka, przedstawiający zalaną księżycowym blaskiem drogę i człowieka, w ślad którego podąża straszliwy demon. Poniżej widniała przepisana ze „Starożytnego marynarza” strofa (którą pewno drzeworyt ilustruje) o tym, kto raz się obejrzał...

*... naprzód biegł
I dłonią skrywał oczy,
Bo wiedział, że straszliwy wróg
Trop w trop tuż za nim kroczy.*

W drugiej kopercie był kalendarz, taki jakie często rozsyłają klientom kupcy. John nie zwrócił na to uwagi, lecz ja przejrzałem kalendarz po jego śmierci i stwierdziłem, że począwszy od osiemnastego września ktoś powirywał ze środka kartki. Zdziwi się pan, iż tego wieczora, kiedy został zabity, sam wyszedł z domu, ale na jakieś dziesięć dni przedtem opuściło go uczucie, że go śledzą czy że ktoś się za nim skrada.

Pod koniec narady zapadł następujący wniosek: Harrington przez swego znajomego, który sąsiaduje z Karswellem, będzie śledził posunięcia wroga, Dunning zaś będzie zawsze gotów zastąpić mu drogę i trzymać kartkę w miejscu bezpiecznym, a łatwo dostępnym.

Z tym się rozstali. Przez parę najbliższych tygodni nerwy Dunninga przeszły niewątpli-

wie ciężką próbę. Niewidoczna bariera, która wyrosła wokół uczonego w dniu, gdy otrzymał kartkę, zamieniła się stopniowo w ponury mrok, udaremniający wszelkie próby ocalenia, jakie mógłby może przedsięwziąć. Nie miał żadnego doradcy, sam zaś postradał resztki inicjatywy. W niewypowiedzianym napięciu wyczekiwał znaku od Harringtona przez cały maj, czerwiec i pierwsze dni lipca, Karswell jednak nie opuszczał w tym czasie Lufford.

Wreszcie, na niecały tydzień przed dniem, który nauczył się już uważać za kres swej ziemskiej działalności, otrzymał telegram. „Łapie prom z Victoria, czwartek w nocy. Nie spóźnić się. Przyjdę dziś wieczór. Harrington”. Przyszedł rzeczywiście i wspólnie ułożyli plan postępowania. Pociąg wyrusza ze stacji Victoria o dziewiątej, a przed Duwrem przystaje po raz ostatni w Zachodnim Croydon. Harrington wypatrzy Karswella na dworcu Victoria i będzie rozglądał się za Dunningiem w Croydon, a jeżeli zajdzie potrzeba, zawoła go z góry ustalonym imieniem. Dunning przebierze się jak najstaranniej, nie powinien mieć inicjałów na podręcznym bagażu, i za wszelką cenę musi wziąć kartkę ze sobą.

Nie próbuję nawet opisać napięcia, w jakim Dunning oczekiwał pociągu na peronie w Croydon. Poczucie niebezpieczeństwa zaostrzyło się jeszcze w ostatnich dniach, gdyż otaczająca go chmura jak by się rozwiała; ulga jednak to symptom złowrózby i gdyby teraz Karswell się wymknął, co nosiło wszelkie cechy prawdopodobieństwa, Dunning straciłby do reszty nadzieję. Już sama pogłoska o podróży może być podstępem. Dwadzieścia minut, w ciągu których przemierzał peron i zadreślał tragarzy pytaniami o prom, należy do najcięższych w jego życiu. W końcu pociąg nadjechał; Harrington stał w oknie. Ważne było oczywiście, by Dunning nie został poznany, przeszedł więc przez cały wagon, powoli zbliżając się do przedziału zajmowanego przez Harringtona i Karswella. Właściwie ucieszyło go, że pociąg nie jest przepelniony.

Karswell był czujny, ale nie zdawał się niczego domyślać. Dunning zajął miejsce niezupełnie naprzeciw niego i usiłował, z początku bezskutecznie, a potem z coraz większym opanowaniem, rozważać sposoby pomyślnego załatwienia sprawy. Obok leżał na ławce stos okryć Karswella. Na nic by się nie zdało wsunąć kartkę pomiędzy palta — Dunning nie byłby, a w każdym razie nie czułby się bezpieczny, gdyby jakoś nie udało mu się podać skrawka papieru Karswellowi i gdyby ten go nie przyjął. Dostrzegł też otwartą teczkę z papierami. Może uda się ją schować, a gdy Karswell opuści przedział, niby ją znaleźć i zwrócić właścicielowi? Taki projekt sam się nasuwał. Gdyby tak naradzić się z Harringtonem! Ale to niemożliwe. Minuty upływały. Karswell niejednokrotnie wstawał i wychodził na korytarz. Za drugim razem Dunning o mało nie zrzucił już teczki na ziemię, lecz w oczach Harringtona wyczytał przestrożę. Karswell obserwował ich, ciekaw prawdopodobnie, czy się znają. Wrócił z wyraźnymi oznakami niepokoju, gdy zaś uniósł się po raz trzeci, Dunningowi zaświtała nadzieja, bo zauważył, jak z ławki zajmowanej przez wroga coś bezgłośnie ześliznęło się na podłogę. Tymczasem Karswell zniknął z pola widzenia. Dunning sięgnął po to coś — znalazł wyjście z sytuacji. Były to bilety w oprawce wydanej przez biuro Cooka. Oprawki Cooka mają na zewnątrz przegródkę i w kilka sekund dobrze nam znany paperek zawędrował do takiej właśnie przegródki. Dla większej pewności Harrington stanął w drzwiach przedziału i bawił się zasłoną. Udało się, i to w porę, bo pociąg zwalniał już przed stacją w Duwrze.

Po chwili zjawił się Karswell, a Dunning, cudem opanowując drżenie głosu, wręczył mu oprawkę i rzekł:

— Czy mogę to panu oddać, sir? Musiał pan to zgubić.

Karswell, spojrzawszy przelotnie na znajdujący się wewnątrz bilet, udzielił upragnionej odpowiedzi: — Tak, to moje. Jestem panu ogromnie zobowiązany, sir — i wsadził oprawkę do kieszeni marynarki.

W ciągu ostatnich paru minut — minut niezwykłego napięcia, ponieważ nie wiedzieli, co by się stało, gdyby Karswell przedwcześnie znalazł kartkę — obaj zauważyli, że w przedziale jakby pociemniało i zrobiło się cieplej; że Karswella ogarnął niepokój i przygnębienie;

że otulił się płaszczem i odrzucił go jak gdyby ze wstrętem; że wreszcie siedzi wyprostowany i nieufnie się im przypatruje. Dławiło ich wzruszenie, gdy zaczęli zbierać swe rzeczy. Zanosiło się, że Karswell lada chwila coś powie. Pociąg zahamował na stacji Duwr Miasto, nie mogło więc wydać się dziwne, że odcinek dzielący miasto od przystani woleli przebyć na korytarzu.

Pociąg był tak pusty, że musieli czekać na peronie, dopóki Karswell, zmierzający za bagażowym w kierunku promu, ich nie minie. Dopiero wtedy mogli bez obawy wymienić uścisk dłoni i złożyć sobie nawzajem szczerze gratulacje. Dunning omal nie zemdłał z wrażenia. Stał oparty o ścianę, Harrington zaś wysunął się kilka jardów naprzód i obserwował wiodące na prom schodki. Karswellowi sprawdzono już bilet. Obładowany paltami przeszedł na pokład. Wtem kontroler zawołał:

— Przepraszam, sir, ale czy ten drugi dżentelmen okazywał bilet?

— Jaki drugi dżentelmen, u diabła? — warknął Karswell.

Kontroler spojrzął w ślad za nim. Harrington usłyszał, jak mówi do siebie: „U diabła? Przecież jestem pewny” — po czym dodaje na głos: „Pomyłka, sir. To chyba te pańskie okrycia! Bardzo przepraszam” — i zwraca się do stojącego w pobliżu podwładnego: „Psa ze sobą prowadził, czy co? Dziwne, mógłbym przysiąc, że nie jest sam. Ale co by to nie było, zajmą się tym na promie. Właśnie odpływa. Na przyszły tydzień będziemy już mieli gości wakacyjnych”.

Po pięciu minutach pozostały tylko malejące w oddali światła promu, długi rząd latarni w Duwrze, nocna bryza i księżyc.

Do późnej nocy siedzieli obaj w hotelu „Lord Warden”. Mimo że usunęli główne źródło trosk, trapiła ich wątpliwość, i to poważna: Czy mają prawo skazywać na śmierć człowieka? Wierzyli przecież, że tak się stało. Czy nie powinni go przynajmniej ostrzec?

— Nie — rzekł stanowczo Harrington. — Jeśli jest mordercą, za jakiego go uważam, postąpiliśmy słusznie. Skoro jednak sądzi pan, że byłoby lepiej... lecz jak go ostrzec i gdzie go szukać?

— Wykupił bilet tylko do Abbeville — odparł Dunning. — To widziałem. Czuję się o wiele spokojniejszy, gdybym wysłał do hoteli wymienionych w przewodniku telegramy tej treści: „Przeszukać oprawkę na bilety. Dunning”. Mamy dziś dwudziestego pierwszego, więc pozostaje mu jeszcze dzień. Ale obawiam się, że go nie znajdziemy.

Zostawili przeto blankiety telegraficzne w recepcji hotelowej. Nie wiadomo, czy dotarły do celu, a jeśli tak, czy adresat zrozumiał treść telegramu. Wiadomo jedynie, że po południu dnia dwudziestego trzeciego lipca turysta angielski oglądający fronton kościoła Św. Wulframa w Abbeville, w którym przeprowadzano gruntowny remont, został na miejscu zabity. Z rusztowania wzniesionego dokoła północno-zachodniej wieży spadł mu na głowę kamień i spowodował natychmiastową śmierć. Dowiedziono, że na rusztowaniu nie było wtedy robotników. Dokumenty pozwoliły zidentyfikować w podróżniku pana Karswella.

Jeszcze jeden szczegół zasługuje na uwagę. Podczas wyprzedaży ruchomości Karswella, Harrington nabył niekompletny zbiór drzeworytów Bewicka. Ilustracja przedstawiająca człowieka i demona była, jak się spodziewał, wyrwana. Po upływie pewnego czasu Harrington zdecydował się także powtórzyć Dunningowi, o czym mówił przez sen brat jego, John, ale Dunning szybko mu przerwał.

Przełożyła Zofia Dąbrowska

EDITH WHARTON

Edith Wharton (1862—1937) urodziła się w bogatej i wpływowej rodzinie nowojorskiej, kształciła prywatnie w Ameryce i Europie. Długi okres życia spędziła we Francji. Karierze literackiej poświęciła się na dobre w wieku 35 lat i zdobyła sławę jednej z najwybitniejszych autorek amerykańskich naszego stulecia. Większość jej powieści, pisanych pod wyraźnym wpływem Henry Jamesa, to ironiczne studia psychologiczno-obyczajowe z życia wyższych sfer Nowego Jorku („Dom wesela” — 1905, „Wiek niewinności” — 1920). Jednakże za jej najwybitniejszy utwór uchodzi „Ethan Frome” (1911), opowieść o tragicznej miłości pary prymitywnych mieszkańców Nowej Anglii. Pani Wharton pisała również znakomite opowiadania, z których najciekawsze zebrane są w tomach „Opowieści o ludziach i duchach” (1910), „Xingu” (1916), „Po tej i po tamtej stronie” (1926) oraz „Duchy” (1937). Opowiadanie „Później” wyjęte jest z pierwszego z tych zbiorów. Jak u Henry Jamesa, duchy stanowią w jej utworach ucieleśnienie obsesji prześladowających bohaterów.

PÓŹNIEJ

I

„Och, naturalnie, że tam jest, ale nigdy go nie zauważycie”. Mary Boyne przypomniła sobie tę uwagę wypowiedzianą ze śmiechem przed sześcioma miesiącami w pełnym czerwcowego słońca ogrodzie. O ileż lepiej rozumiała jej znacznie teraz, gdy w zmierzchu grudniowego wieczora stała w bibliotece czekając na przyniesienie lampy.

Były to słowa ich przyjaciółki, Alidy Stair. Powiedziała je, kiedy siedzieli przy podwieczorku na trawniku jej ogrodu w Pangbourne. Odnosiły się do tego domu, w którym biblioteka była głównym, centralnym punktem. Oboje państwo Boyne chcąc nabyć jakąś posiadłość w jednym z południowych lub południowo-zachodnich hrabstw, bezpośrednio po przybyciu do Anglii zwrócili się z tą sprawą właśnie do Alidy Stair, która niedawno załatwiła dla siebie podobną transakcję. Przedstawiła im cały szereg korzystnych i rozsądnych propozycji, oni jednakże bardzo kaprysząc w wyborze, nie zdecydowali się na żadną. W końcu Alida napomknęła:

— No, jest jeszcze Lyng w Dorsetshire. Należy do kuzynów Hugona. Możecie je kupić śmiesznie tanio.

Jako powód tak niskiej ceny Alida wymieniła znaczną odległość od stacji, brak elektryczności, centralnego ogrzewania oraz innych podstawowych urządzeń.

Jednakże właśnie te braki stanowiły poważne walory w oczach dwojga romantycznie nastrojonych Amerykanów. Ulegając swemu dziwactwu szukali zupełnego prymitywu, utożsamiając go tradycyjnie z niezwykłymi wartościami architektonicznymi.

— Nigdy bym nie uwierzył, że mieszkam w starym domu, gdybym nie był pozbawiony wszelkiego komfortu — twierdził żartobliwie Ned Boyne, bardziej ekscentryczny z dwojga małżonków. — Najmniejsza wzmianka o „wygodach” nasuwałaby mi zaraz przypuszczenie, że dom został kupiony na wystawie w ponumerowanych częściach i że go potem tylko złożono.

Po takim stwierdzeniu oboje przystąpili do wyliczania ze śmieszną wprost drobiazgowością przeróżnych wymagań i zastrzeżeń, twierdząc, że w żaden sposób nie uwierzą, by dom polecany przez kuzynkę pochodził n a p r a w d ę z epoki Tudorów. Zdołali ich dopiero przekonać takie argumenty, jak brak centralnego ogrzewania, fakt, że kościół postawiono dosłownie na gruntach należących do domu, oraz że zaopatrzenie w wodę stało pod wielkim znakiem zapytania.

— Wiecie, ten dom ma zbyt wielkie braki, żeby mógł być prawdziwy — bez przerwy entuzjasmował się Edmund Boyne, w miarę jak udawało mu się wydusić z kuzynki coraz to nowe szczegóły o usterkach ich przyszłej posiadłości. Po chwili jednak przerwał swoje zachwyty i zapytał z poprzednim niedowierzaniem:

— A duchy? Czy nie ukrywasz przed nami, że tam nie ma żadnego ducha?

W tym momencie również i Mary się roześmiała. Jej śmiech, na który złożyło się wiele niezależnych od siebie wrażeń, zmroziła nuta przygnębienia przebijająca przez wesołą odpowiedź Alidy.

— Och, możesz być spokojny! Dorsetshire jest słynne z duchów.

— Dobrze, dobrze, ale to mi bynajmniej nie wystarcza. Ani mi w głowie jeździć dziesięć mil, żeby zobaczyć czyjegoś ducha. Chcę mieć własnego, na miejscu. Czy jest w Lyng jakiś duch?

Słowa Boyne'a znowu wywołały uśmiech na twarzy Alidy.

— Och, naturalnie że jest, ale nigdy nie będziecie wiedzieli, że to on — odpowiedziała zagadkowo.

— Nie będziemy wiedzieli, że to on? — oburzył się Boyne. — A cóż, na Boga, stanowi o istnieniu ducha jak nie to, że się go uznaje za ducha?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. Ale tak jest.

— Istnieje jakiś duch i nikt nie wie, że jest duchem?

— Wie, ale dopiero później. W każdym razie nie zaraz.

— Dopiero później?

— Dużo, dużo później.

— No dobrze, ale skoro już raz uznano go za przybysza z zaświatów, to dlaczego okoliczności, w jakich się zjawia, nie są przekazywane w rodzinie z pokolenia w pokolenie? Jak to jest możliwe, że nikt go dotąd nie poznał?

Alida potrząsnęła jedynie głową.

— Nie pytaj mnie. Ale tak jest naprawdę.

— A potem nagle — odezwała się Mary, jak by gdzieś głęboko ukryte przecucie podszepnęło jej te słowa — nagle, dużo, dużo później człowiek pyta sam siebie: „Czyżby to było to?”

Mary zmieszała się widząc w oczach kuzynki błysk zdziwienia i jak grobowy ton jej uwagi zmroził żartobliwy nastrój męża i Alidy.

— Wydaje mi się, że jest właśnie tak, jak mówisz — powiedziała Alida. — Trzeba tylko czekać.

— Och, do diabła z czekaniem — wtrącił Ned. — Życie jest za krótkie, żeby tracić czas na zajmowanie się duchem, którym się można nacieszyć tylko wtedy, gdy się myśli o przeszłości. Czy nie możemy, Mary, pozwolić sobie na coś lepszego?

Okazało się jednak, że w tym wypadku nie było im to sądzone. Po upływie trzech miesięcy od rozmowy z panią Stair mieszkali już w Lyng. Zaczęło się dla nich życie, o którym tak gorąco marzyli, że obmyślili je z góry we wszystkich najdrobniejszych szczegółach.

Siadywali w gęstniejącym grudniowym mroku, przy kominku o takim właśnie szerokim okapie, pod takim właśnie stropem z czarnych, dębowych belek. Siedzieli z uczuciem, że za oknami podzielonymi na małe kwadraty, łąki z wolna zapadają w ciemną samotność. Po to, żeby móc w pełni sobie pozwolić na tego rodzaju odczucie, Mary Boyne, wyrwana nagle przez interesy męża z Nowego Jorku, blisko czternaście lat znosiła zatruwającą jej duszę szpetotę miasteczka na Środkowym Zachodzie, a Boyne z uporem tkwił w jarzmie swego zawodu inżyniera. Ciągnęło się to tak długo, dopóki cudowny uśmiech losu w postaci kopalni „Niebieska Gwiazda” nie uczynił ich panami swego życia i nie dostarczył im środków potrzebnych do jego używania. Jeszcze dzisiaj, na wspomnienie tempa, w jakim się to stało, Mary czuła zawrót głowy. Nigdy, nawet przez najkrótszą chwilę nie chcieli, żeby ich nowa sytuacja

życiowa zmieniła się w beczynność. Chcieli tylko robić to, co sprawiało im przyjemność. Mary widziała siebie w przyszłości (zawsze na tle szarych murów), jak maluje i zajmuje się ogrodem, Ned zaś od dawna marzył o napisaniu książki „Ekonomiczne podstawy kultury”. Mieli przed sobą perspektywę tak absorbującej pracy, iż żaden tryb życia nie mógł być dla nich zbyt samotny. Nie mogli odsunąć się za daleko od świata ani też za głęboko pogrążyć w przeszłość.

Dorsetshire odpowiadało im bardzo od samego początku dzięki panującej tam atmosferze odosobnienia, które nie pozostawało w żadnym stosunku do geograficznego położenia wioski. Ale dla Boyne'ów Lyng było jeszcze jednym z wciąż powtarzających się cudów tego — jak to nazywali — gniazda hrabstw, tej niewiarygodnie zagęszczonej wyspy, która wywierając na widzu tak duże wrażenie, używała do tego minimalnych wprost środków: zaledwie kilka mil robiło wrażenie odległości, a nawet tak niewielkie przestrzenie stwarzały już poważne różnice.

— To jest właśnie coś — wyjaśniał raz entuzjastycznie Ned — co nadaje tyle głębi ich wszelkim osiągnięciom, tak uwypukla kontrasty ich życia. Potrafili nałożyć grubo masła na każdy smakowity kęsek.

W Lyng masła nałożono bez wątpienia bardzo grubo. Stary dom, ukryty wśród zieleni łąk, zdobiły prawie wyłącznie piękne rysy przeszłości harmonijnie nakładającej się na terażniejszość. Sam fakt, że dom nie był duży, ani zbyt rzucający się w oczy, sprawiał że dla Boyne'ów posiadał wiele osobliwego czaru, czaru polegającego na tym, że przez wieki był niezgłębionym, mrocznym zbiornikiem życia. Prawdopodobnie nie toczyło się tu ono zbyt wartkim nurtem. Niewątpliwie przez długie okresy wsączało się w przeszłość równie bezgłośnie, jak delikatna jesienna mżawka osiadała godzina po godzinie na powierzchni wielkiej sadzawki ocienionej cisami. Ale te nieruchomo stojące wody cichego życia rodziły czasem w swych gnuśnych głębinach niezwykle wybuchy uczucia. Od pierwszej chwili Mary wyczuwała tu tajemniczy powiew bogatych w treść wspomnień.

Wrażenie to nigdy nie było silniejsze niż owego popołudnia, kiedy czekając w bibliotece aż służąca przyniesie lampy, podniosła się z fotela i stanęła wśród cieni rzuczanych przez kominek. Mąż jej wyszedł po lunchu na jedną ze swych długich wędrówek wśród łąk. Zauważyła, że ostatnimi czasy wołał chodzić sam. Wierząc, że nic nie może popsuć tylokrotnie wypróbowanych dobrych stosunków, jakie ich łączyły, oświadczył jej, iż pisanie książki nastęcza mu tak poważne kłopoty, że zawsze po południu, musi w samotności przemyśleć problemy, na które natyka się w czasie porannej pracy.

Pisanie książki bynajmniej nie szło tak gładko, jak to sobie wyobrażała. Na czole Neda pojawiły się zmarszczki zakłopotania, coś, czego nigdy nie widziała w okresie jego inżynierskiej kariery. Wtedy też często wyglądał na bardzo zmęczonego, że aż się bała, iż musi się to skończyć chorobą. Ale nawet wówczas, tak dobrze znany demon udreki nigdy nie wyciskał piętna na jego czole. A jednak te kilka stron, które jej dotąd przeczytał — wstęp i streszczenie pierwszego rozdziału — wykazywały i dokładną znajomość rzeczy, i wzrastające zaufanie we własne siły.

Fakt ten zastanawiał ją tym więcej, że obecnie, kiedy przestał pracować i pozbył się związanych z tym kłopotów, wyeliminowane zostało jedyne źródło niepokoju. A może działo się coś z jego zdrowiem? Ale przecież od czasu jak przyjechali do Dorsetshire, bardzo się poprawił. Wzmocnił się, zaróżowił, oczy nabrały blasku.

Dopiero w ostatnim tygodniu zaczęła wyczuwać w nim jakąś nie dającą się określić zmianę. Polegała ona między innymi na tym, że w jego towarzystwie Mary stawała się niepokojna i tak małowólna, jak by to nie on, a ona coś przed nim ukrywała.

Myśl, że stanęła między nimi jakaś tajemnica, spadła na nią w nagłym olśnieniu. Zmierzyła wzrokiem cały pokój wzdłuż i wszerz.

„A może to ten dom” — zastanawiała się.

Biblioteka też mogła być pełna sekretów i tajemnic. W miarę jak zapadał wieczór, zdawały się nakładać na siebie jak warstwy aksamitnego cienia ścielące się z niskiego sufitu, szeregów książek i okopconej dymem rzeźby kominka.

„No tak, oczywiście. Przecież to dom nawiedzany przez duchy!” — przemknęła jej przez myśl.

Podczas pierwszych miesięcy pobytu w Lyng dość często podkpiwali sobie z nieuchwytnego ducha Alidy. Potem stopniowo o nim zapominali, bo niczym nie dawał znać o swoim istnieniu. Przestał podniecać ich wyobraźnię. Mary, jak przystało na osobę mieszkającą w domu nawiedzanym przez duchy, zgodnie ze zwyczajem rozpytywała sąsiadów, ale poza nieokreślonymi odpowiedziami w rodzaju: „Tak gadają, proszę pani”, nie potrafiła się od nich nic więcej dowiedzieć.

Wymykające się widmo najwyraźniej nie miało nigdy dość osobowości, żeby stworzyć wokół siebie legendę. Po pewnym czasie państwo Boyne przestali się zupełnie tą sprawą interesować przyznając, że Lyng należało do tych niewielu domostw, które są dostatecznie dobre same w sobie i nie wymagają żadnych dodatków w formie nadnaturalnych zjawisk.

— Moim zdaniem — oświadczyła ze śmiechem Mary — ten biedny demon zupełnie się do niczego nie nadaje i dlatego na próżno bije swymi pięknymi skrzydłami w zupełnej pustce.

— Albo raczej — odparł tym samym tonem Ned — wśród tylu zjawisk, które mają jakiś związek z duchami, nie potrafi utrzymać się jako samodzielny upiór.

Po takim stwierdzeniu niewidoczny współlokator przestał być tematem ich rozmów; mając wiele innych spraw, o których mogli mówić, po jakimś czasie zupełnie przestali sobie zdawać sprawę z jego braku.

Teraz, gdy stała przy kominku, przedmiot ich poprzedniego zainteresowania na nowo ożył w jej myślach. Teraz inaczej już rozumiała jego znaczenie. Doszła do tego stopniowo, przez codzienny kontakt z czającą się wokół tajemnicą. Tak. To sam dom posiadał zdolność spostrzegania duchów. Sam dom niedostrzegalnie, sekretnie, rozprawiał ze swą własną przeszłością. Gdyby tylko ktoś potrafił wejść z nim w dostatecznie bliski kontakt, może udałoby mu się podpatrzeć jego tajemnicę i samemu nauczyć się dostrzegać widma i duchy. A może jej mąż podczas tych długich godzin spędzanych w pokoju, do którego ona wchodziła dopiero po południu, już to osiągnął i teraz w milczeniu dźwiga ciężar wyjawionej mu przez dom tajemnicy? Mary zbyt dobrze orientowała się w sprawach dotyczących zjawisk nadnaturalnych, by nie wiedzieć, iż nie wolno mówić o duchach, które się widziało. Było to równie w złym guście jak wymienianie nazwisk dam w klubie. Ale tego rodzaju wyjaśnienie bynajmniej jej nie zadowalało. „Cóż, na Boga — zastanawiała się — poza przyjemnym dreszczykiem emocji mogą go interesować jakieś dawno zapomniane duchy?”

I od tego momentu znów wróciła do podstawowego zagadnienia. To, czy ktoś był mniej czy bardziej wrażliwy na wpływ świata nadnaturalnego, nie miało w tym wypadku najmniejszego znaczenia, skoro widząc ducha w Lyng, zupełnie się o tym nie wiedziało.

„Dopiero dużo później”, powiedziała Alida Stair. No dobrze, przypuśćmy, że Ned zobaczył tego ducha zaraz po przyjeździe i zdał sobie sprawę z tego dopiero w ciągu ostatniego tygodnia... Będąc coraz bardziej pod wrażeniem chwili, cofnęła się myślami do pierwszych dni ich pobytu. Najpierw przypomniało jej się pełne radosnego podniecenia zamieszanie. Rozpakowywali i ustawiali rzeczy i książki; raz po raz nawoływali się z odległych zakamarków domu, w miarę jak robili jedno cenne odkrycie po drugim. Właśnie przypomniało jej się pewne łagodne popołudnie ubiegłego października, kiedy przechodząc od pierwszych, pełnych zachwyty i pośpiechu odkryć do szczegółowego badania starego domu, nacisnęła (całkiem jak bohaterka powieści) płytę, która się usunęła, ukazując spiralną klatkę schodową, prowadzącą na płaski występ dachu. Gdy się patrzyło na ten dach z dołu, zdawał się opadać na wszystkie strony tak stromo, że chyba tylko ktoś bardzo wygimnastykowany mógłby się na nim utrzymać.

Widok z tego ukrytego zakątka był wprost zachwycający. Zbiegła na dół, żeby oderwać męża od papierów i zademonstrować mu swoje odkrycie. Do tej pory najdokładniej pamiętała, jak stojąc obok niej objął ją ramieniem, podczas gdy wzrok ich pobiegł do widniejącego na horyzoncie długiego, pofalowanego pasma łąk, a potem ochoczo powrócił, by śledzić zawiłą linię szpaleru cisów nad sadzawką i cień cedru rysującego się na trawniku.

— A teraz popatrz w drugą stronę — powiedział obracając ją w ramionach. Przytulona do męża, wchłaniała w siebie, jak by pila długo i do syta, obraz otoczonego szarymi murami dziedzińca, przykucniętych lwów przy bramie i długiej, bardzo długiej alei lipowej, co wiodła aż do biegnącego wśród łąk gościńca.

I właśnie wtedy, gdy tak stali przytuleni do siebie, nagle poczuła, że uścisk jego ramienia słabnie i postłuszyła ostre „Halo!” W jednej sekundzie obróciła się, by spojrzeć na męża.

Tak, teraz przypomina sobie dokładnie, że w chwili gdy na niego patrzyła, spostrzegła, jak po jego twarzy przemknął cień niepokoju, a raczej zakłopotania. Idąc za jego wzrokiem, zobaczyła postać mężczyzny — mężczyzny w luźnym, popielatym, jak jej się wydawało, ubraniu, który wolnym krokiem zbliżał się aleją lipową do dziedzińca. Szedł niepewnie, jak ktoś obcy, kto nie zna drogi. Swymi krótkowzrocznymi oczyma zobaczyła jedynie zamazaną, szczupłą, szarą postać. W sylwetce czy ubraniu tego człowieka było coś obcego, a w każdym razie nietutejszego. Ale mąż widocznie zobaczył coś więcej, zobaczył na tyle więcej, by przesunąć się obok niej, krzyknąć; „Poczekaj!” i szybko zbiec po schodach nawet nie zatrzymując się, by podać jej rękę.

Lekki zawrót głowy zmusił ją do przytrzymania się przez chwilę komina, o który się opierali stojąc na dachu; potem powoli, bardzo ostrożnie zaczęła schodzić na dół. Kiedy znalazła się na podeście, znowu przystanęła, ale tym razem z mniej określonego powodu. Opierając się o poręcz, zaczęła natężyć wzrok, by przeniknąć milczącą, brązową, rozmigotaną słonecznymi plamami głębię. Stała tak długo, aż gdzieś z tej głębi doleciał do niej odgłos zamykanych drzwi. Wtedy, zupełnie mechanicznie, zaczęła schodzić w dół niewysokiej klatki schodowej, aż wreszcie znalazła się w hallu.

Przez otwarte na rozcież drzwi frontowe wlewały się z dziedzińca potoki słońca. W hallu i na podwórzu nie zauważyła nikogo. Drzwi prowadzące do biblioteki były również otwarte. Upewniwszy się, że ze środka nie dochodzą żadne odgłosy, przekroczyła próg i ujrzała swego męża. Siedział, bezmyślnie przewracając na biurku jakieś papiery.

Podniósł na nią wzrok, jakby zdumiony jej widokiem. Niepokój zniknął zupełnie z jego twarzy i, jak jej się wydało, malował się na niej wyraz dużo weselszy i bardziej pogodny niż zazwyczaj.

— Co to było? Kto to był? — zapytała.

— Kto? — powtórzył, przy czym zdziwienie ciągle jeszcze okazywał wyłącznie on.

— No, ten mężczyzna, który szedł w stronę domu.

Zdawał się chwilę zastanawiać.

— Mężczyzna? Byłem pewny, że to Peters. Pobiegłem za nim, żeby mu przypomnieć o rurze odpływowej w stajni, ale znikł, zanim zdążyłem zbiec na dół.

— Znikł? A mnie się wydawało, kiedy go zobaczyliśmy, że szedł bardzo wolno.

Boyne wzruszył ramionami.

— Tak, mnie się też tak wydawało. Widocznie później musiał przyśpieszyć kroku. Postuchaj, co byś powiedziała na taki projekt, żebyśmy przed zachodem słońca wdrapali się na Meldon Steep?

I to było wszystko. Wtedy zdarzenie to znaczyło mniej niż nic. Zostało natychmiast wymazane z ich pamięci przez czar widoku z Meldon Steep, którego dotąd nie udało im się zobaczyć. O wspięciu się na to wzgórze marzyli od momentu, kiedy po raz pierwszy zobaczyli jego nagi grzbiet wznoszący się nad dachem Lyngu.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż jedynie fakt, że to drugie wydarzenie miało miejsce

akurat tego samego dnia, co ich wspinaczka na Meldon, potrafił zepchnąć je w jakieś zakamarki pamięci, skąd wynurzyło się dopiero teraz. Samo w sobie nie miało nic dziwnego czy złowróżbnego. W danej chwili to, że Ned zbiegł z dachu, by podejść do niesłownego robotnika, nie miał w sobie nic niezwykłego. Był to okres, kiedy bez przerwy szukali fachowców w związku z licznymi pracami, jakie przeprowadzali w domu. Czekali na nich, a potem zasypywali ich pytaniami, wyrzutami i przypomnieniami. Nie ulega też kwestii, że z pewnej odległości postać, którą zobaczyli, zupełnie przypominała Petersa.

A jednak wspominając teraz tę scenę zdała sobie sprawę, że wyjaśnieniu, jakiego jej udzielił mąż, zupełnie przeczył wyraz niepokoju malujący się na jego twarzy. Dlaczego widok Petersa, który przecież nie miał w sobie nic niezwykłego, tak go zaniepokoił? A przede wszystkim dlaczego to, że się z nim nie spotkał, wywołało wyraz takiej ulgi na jego twarzy, jak by od rozmowy na temat rur w stajni Bóg wie co zależało? Żadne z tych pytań nie przyszło jej do głowy bezpośrednio po tym wydarzeniu. Jednakże łatwość, z jaką się w tej chwili zjawiały, upewniła ją, że musiały tam tkwić przez cały czas, czekając tylko stosownego momentu, by wyłonić się z jej podświadomości.

II

Znużona tymi myślami, podeszła do okna. W bibliotece panował już zupełny mrok, ale z wielkim zdumieniem spostrzegła, że na dworze było jeszcze dość jasno. Wzrok jej sięgnął poprzez dziedziniec, gdzie daleko, między ogołocionymi z liści lipami, zamajaczyła jakaś postać. Wyglądała jak ciemniejsza plama na jednolicie szarym tle. Przez chwilę, kiedy postać zaczęła się zbliżać, serce stanęło jej w gardle na myśl, że to musi być duch!

Miała na tyle czasu, by w tej nie mającej końca chwili zdać sobie nagle sprawę, że mężczyzna, którego przód dwoma miesiącami zobaczyła z dachu, okaże się teraz, w tej z góry określonej godzinie, kimś zupełnie innym niż Peters. Dusza jej zamarła ze strachu na myśl o zbliżającym się wyjaśnieniu. Ale prawie równocześnie z następnym tyknięciem zegara, nawet ona, która tak kiepsko widziała na odległość, rozpoznała w coraz wyraźniej zarysowującej się postaci własnego męża. Obróciła się, by go przywitać i przyznać się do swojej głupoty.

— Wiesz, to naprawdę szczyt nonsensu! — zawołała ze śmiechem. — Ale nigdy nie mogę tego zapamiętać!

— Zapamiętać? Czego? — zapytał Boyne podchodząc do niej.

— Ano. tego, że kiedy się widzi ducha Lyngu, nigdy się o tym nie wie!

Oparła mu rękę na ramieniu. Nie zareagował na to żadnym ruchem; jego skupiona twarz nawet nie drgnęła.

— A tobie się wydawało, że go widziałas? — zapytał po dłuższej chwili milczenia.

— Ach, mój drogi! Wiem, że to głupota, ale nie wyobrażasz sobie, jak chciałabym go zobaczyć. Nawet ciebie wzięłam teraz za ducha!

— Mnie? Teraz? — Jego ręka opadła. Odwrócił się do niej ze słabym, nieudanym uśmiechem. — Kochanie, przestań sobie tym zawracać głowę. To naprawdę będzie najlepsze, co możesz zrobić.

— Tak, oczywiście, nie będę już o tym myślała. A ty? — zapytała nagle.

W tej chwili weszła pokojówka niosąc listy i lampę Kiedy Boyne pochylał się nad tacą, którą trzymała dziewczyna, światło lampy padło na jego twarz.

— A ty? — dopytywała się natarczywie, kiedy służąca wyszła po następne lampy.

— Ja? Co ja? — odpowiedział z roztargnieniem. Gdy stał pochylony nad listami w kręgu światła padającego z lampy, dostrzegła bruzdy troski na jego czole.

— Już nie próbujesz zobaczyć ducha? — Serce jej biło trochę szybciej podczas eksperymentu, jaki w tej chwili przeprowadzała.

Boyne odłożył listy i przesunął się w cień padający od kominka.

— Nigdy się o to nie starałem — odparł zdzierając opaskę z gazety.

— No, naturalnie — nacierała dalej Mary. — Najbardziej mnie złości, że nawet nie ma sensu się starać, skoro i tak można się o tym przekonać dopiero dużo, dużo później.

Rozkładał gazetę, jak by jej słowa w ogóle do niego nie docierały. Po krótkiej chwili, gdy słyhać było tylko szelest nerwowo przerzucanych stron, podniósł wzrok i zapytał:

— A czy wiesz o ile później?

Mary siadała na niskim fotelu obok kominka. Nieco zaskoczona, obserwowała ze swego miejsca profil męża, rysujący się ostrym konturem na tle kręgu światła padającego z lampy.

— Nie. Nie wiem. A czy ty wiesz? — odpowiedziała powtarzając jego pytanie i specjalnie je akcentując.

Boyne zmiął gazetę, a potem z zupełnym brakiem konsekwencji wrócił z nią pod lampę.

— Och, mój Boże, nie! Chciałem cię tylko zapytać — tłumaczył jej z lekkim zniecierpliwieniem — czy jest na ten temat jakaś legenda, jakaś tradycja.

— Ja w każdym razie nic nie wiem — odpowiedziała. Już chciała dodać: „A dlaczego o to pytasz?”, gdy weszła pokojówka z herbatą i drugą lampą.

Gdy obie lampy rozproszyły snujące się cienie, Mary wróciwszy do swych codziennych obowiązków przy stole, uczuła, jak lęk przed czymś, co zdawało się nadciągać w milczeniu, lęk, który zepsuł jej całe popołudnie, powoli znika. Przez pewien czas zajmowała się drobiazgami należącymi do obowiązków pani domu. Kiedy nagle podniosła oczy — zupełnie oszłomiła ją zmiana, jaką spostrzegła na twarzy męża. Usiadł przy drugiej lampie i zagłębił się w czytaniu listu. Ale co się stało, że jego twarz wróciła do normalnego wyglądu? Czy powodem tego była jakaś wiadomość w którymś z listów, czy po prostu fakt, że patrzyła na niego z innego miejsca? Im dłużej mu się przyglądała, tym lepiej dostrzegała tę zmianę. Z jego twarzy znikł wyraz napięcia, a resztki zmęczenia, jakie jeszcze na niej pozostały, można było tłumaczyć długotrwałym wysiłkiem psychicznym. W pewnej chwili, jak by zmusiło go do tego jej spojrzenie, podniósł głowę i z uśmiechem spojrzął jej w oczy.

— Wiesz, umieram z pragnienia. Nalej mi herbaty. A tu, proszę, jakiś list do ciebie.

Wzięła list, który jej podał i przysunęła mu filiżankę herbaty. Otworzyła kopertę niebdałym ruchem osoby, której wszystkie myśli obracają się wokół jednego, kochanego człowieka.

Następną czynnością, z której zdała sobie sprawę, było gwałtowne poderwanie się z fotela. Gdy wyciągnęła w stronę męża wycinek z gazety, list wysunął jej się z ręki i upadł na podłogę.

— Ned! Co to jest? Co to ma znaczyć?

Podniósł się momentalnie, jak by usłyszał jej krzyk, zanim jeszcze zawołała. Przez dłuższą chwilę przypatrywali się sobie. Dzielili ich przestrzeń między jej krzesłem a biurkiem, za którym siedział. Wpatrywali się jedno w drugie jak dwaj przeciwnicy czyhający na odpowiedni moment, by na siebie uderzyć.

— O co ci chodzi? Tak krzyknęłaś, że poderwałem się na równe nogi — odezwał się w końcu Boyne podchodząc do niej z nieoczekiwanym, prawie wściekłym uśmiechem. Na jego twarzy znowu pojawił się cień niepokoju. Ale teraz nie wyrażał jakiegoś niemal maniakalnego przeczucia; nie, drżące wargi i rozbiegane oczy sprawiały wrażenie, jak by był otoczony przez jakieś niewidoczne siły.

Ręce trzęsły jej się tak, że ledwie mogła mu podać wycinek.

— Ten artykuł — wyjąkała — z „Waukesha Sentinel”, że jakiś Elwell wniósł przeciwko tobie skargę do sądu, bo coś okazało się nie w porządku z kopalnią „Niebieska Gwiazda”... Nic z tego nie rozumiem.

Kiedy to mówiła, nadal nie spuszczała z siebie wzroku. Z ogromnym zdumieniem zauważyła, że w miarę jej słów stopniowo znika wyraz czujności i napięcia malujący się w jego

oczach.

— Ach, to? — rzucił okiem na zadrukowany świstek, a potem złożył go ruchem człowieka, który robi rzecz najzupełniej mu obojętną i powtarzaną setki razy. — Mary! Co się z tobą dzisiaj dzieje? Byłem pewny, że dostałaś jakieś złe wiadomości.

Stała przed nim bez słowa i czuła, jak pod wpływem jego tonu powoli opuszcza ją nie dający się sprecyzować strach.

— Więc wiedziałeś o tym? Wszystko jest w porządku?

— Oczywiście, że. Wiedziałem. Nie ma powodu do żadnego zmartwienia.

— Ale o co tu chodzi? Nic rozumiem, o co ten człowiek cię oskarża?

— Zarzuca mi mniej więcej popełnienie każdego przestępstwa, jakie tylko można znaleźć w kodeksie. — Boyne rzucił wycinek na ziemię i osunął się na fotel obok kominka. — Chcesz posłuchać tej historii? Nic specjalnie interesującego. Ot, zwykłe nieporozumienia w sprawie udziałów w „Niebieskiej Gwieździe”.

— Ale kim jest ten Elwell? Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

— Och, dałem mu kiedyś pracę na kopalni... Pomagałem mu. Już raz ci to wszystko opowiadałem.

— Możliwe. Musiałam zapomnieć. — Ale na próżno wysilała pamięć. — No dobrze, skoro mu pomagałeś, to dlaczego odwdzięcza ci się w ten sposób?

— Przypuszczam, że zwąchał się z jakimś nie mającym żadnych skrupułów adwokatem, który go do tego namówił. Ale to wszystko bardzo skomplikowane, fachowe zagadnienia. Zawsze myślałem, że takie rzeczy cię nudzą.

Mary ogarnęły w tej chwili wyrzuty sumienia. W teorii bynajmniej nie pochwałała braku zainteresowania amerykańskich żon zawodowymi sprawami mężów, ale w praktyce zawsze było jej bardzo trudno uważnie słuchać, gdy Boyne opowiadał o różnych transakcjach, jakie zawierał w związku ze swymi różnorodnymi interesami. A poza tym, w ciągu wielu lat ich wygnania uważała, że w środowisku, w którym każda przyjemność musiała być okupiona szaleńczymi wysiłkami męża, krótkie chwile wytchnienia, jakimi mogli dysponować, powinni wykorzystać na ucieczkę od codziennych trosk i obowiązków, ucieczkę do takiego życia, o jakim zawsze marzyli.

Teraz, kiedy to nowe życie wciągnęło ich rzeczywiście w swój magiczny krąg, raz czy dwa zadała sobie pytanie, czy aby postępowała właściwie. Ale dotąd tego rodzaju rozmyślenia nie były niczym innym jak retrospektywnymi wycieczkami w świat wyobraźni. Dopiero w tej chwili po raz pierwszy przeraziła się na myśl, jak mało wie o materialnych podstawach, na których opiera się jej szczęście.

Spojrzała na męża i znowu odczuła ulgę na widok beztroski malującej się na jego twarzy. Chciała jednak mieć jakieś bardziej konkretne dowody, by móc odzyskać zupełny spokój.

— Ale nie martwisz się tym procesem, prawda? Dlaczego mi nigdy nawet o tym nie wspomniałeś?

Odpowiedział od razu na oba pytania.

— Nigdy nie wspominałem ci o tej sprawie, bo się nią nie tyle martwiłem, co raczej mnie denerwowała. Ale w tej chwili to już przebrzmiała historia. Temu komuś, kto do ciebie pisze, musiał wpaść w ręce jakiś stary numer „Sentinela”.

Wstrząsnął nią krótki dreszcz ulgi.

— Czy to znaczy, że już jest po wszystkim? Przegrał ten proces?

— Po prostu skarga została wycofana — odpowiedział Boyne po niewielkiej pauzie.

Ale Mary nie ustępowała. Nalegała dalej, jak by się chciała sama przed sobą oczyścić z zarzutu, że pozwala się zbyć byle czym.

— Wycofana, bo doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans na jej wygranie?

— Och, nie miał nawet najmniejszych widoków, żeby ją wygrać — odpowiedział Boyne.

Ciągle jeszcze nie mogła uporać się z tkwiącymi gdzieś w odległych zakamarkach mózgu podejrzeniami.

— Jak dawno została wycofana?

Milczał przez chwilę, jak by znowu powróciła jego poprzednia niepewność.

— Właśnie dostałem wiadomość, ale spodziewałem się tego.

— Teraz, w tej chwili? W jednym z tych listów?

— Tak, w jednym z tych listów.

Nie odezwała się słowem. Dotarło do jej świadomości jedynie to, że odczekał chwilę, wstał, pospacerował po pokoju, a potem podszedł i usiadł obok niej na kanapie. Czują, jak obejmuje ją ramieniem, jak jego ręka szuka jej dłoni i znalazłszy ją mocno ściska, i wreszcie, pociągnięta ciepłem jego policzka, obróciła się powoli i spojrzała w jego roześmiane oczy.

— Ale czy naprawdę wszystko jest w porządku? Czy naprawdę wszystko jest w porządku? — powtórzyła czując, jak wszystkie wątpliwości zaczynają niknąć i odchodzić.

— Daję ci słowo, że ta sprawa nigdy nie wyglądała lepiej jak w tej chwili — odpowiedział ze śmiechem, przyciągając ją do siebie.

III

Jedną z najdziwniejszych rzeczy, jakie potem miała sobie przypomnieć spośród wszystkich niezwykłych wydarzeń, które nastąpiły na drugi dzień, było nagle i całkowite odzyskanie poczucia bezpieczeństwa.

Unosiło się w powietrzu, kiedy zbudziła się rano w swym mrocznym, niskim pokoju. Towarzyszyło jej na dół do stołu nakrytego do śniadania, migotało w ogniu buszującym na kominku, odbijało się w popielniczce i przyciężkich ozdobach osiemnastowiecznego czajnika. Było to tak, jak by w jakiś pośredni sposób wszystkie jej nie sprecyzowane obawy z poprzedniego wieczoru, które osiągnęły punkt kulminacyjny po przeczytaniu notatki w gazecie, jak by to niepewne zapuszczenie się w przyszłość i pełen zdumienia powrót do przeszłości zlikwidowały istniejące między nią a Nędem zaległości z tytułu jakichś nie wypełnionych moralnych obowiązków. Jeżeli rzeczywiście nie interesowała się sprawami męża, to jak dowodził jej obecny nastrój, usprawiedliwiała to wielkie zaufanie, jakie do niego miała. Jego zaś prawo do zaufania Mary znalazło potwierdzenie w obliczu groźby i podejrzeń. Nigdy nie widziała, żeby kiedykolwiek był bardziej spokojny, bardziej naturalny i podświadomie pewny siebie niż po tych pytaniach, jakie mu wczoraj zadawała. Robiło to wrażenie, jak by doskonale zdawał sobie sprawę z nurtujących ją wątpliwości, oraz że jemu w równej mierze winno zależeć na wyjaśnieniu sytuacji.

Ale, dzięki Bogu, wszystko się dobrze składało. Sytuacja była tak jasna jak powietrze na dworze, które wprawiło ją w zdumienie swym letnim tchnieniem, kiedy wyszła na codzienny spacer po ogrodzie. Zostawiła Boyne'a przy biurku. Gdy przechodziła koło drzwi biblioteki, po raz ostatni rzuciła spojrzenie na jego spokojną, skupioną twarz — z fajką w ustach siedział pochylony nad papierami. Teraz czekały na nią poranne obowiązki. Polegały one na tym, że w podobne do dzisiejszego, piękne, zimowe poranki krzątała się wesoło po różnych zakamarkach swej posiadłości, jak by wszędzie rozgościła się już wiosna. Ciągle jeszcze stały przed nią niezliczone możliwości i mnóstwo okazji, by wydobyć na światło dzienne ukryte uroki starego domostwa i to bez wprowadzania żadnych zmian, które by w czymkolwiek naruszały tradycje. Zima okazała się stanowczo za krótka na zaplanowanie wszystkich prac, jakie chciała wykonać na wiosnę i w jesieni.

Tego właśnie ranka odzyskane poczucie bezpieczeństwa dodawało jej szczególnego zapału podczas wędrowki po uroczym, pełnym ciszy ogrodzie. Najpierw poszła do warzywnika, gdzie rozpięte grusze rysowały na murze zawile arabeski, a gołębie trzepocząc skrzydłami

czyściły pióra na srebrzyście mieniącym się łupkowym dachu gołębnika. W cieplarni popsuło się ogrzewanie. Nie mogła się doczekać mechanika z Dorchester, który miał wpaść między jednym pociągiem a drugim i sprawdzić bojler. Kiedy zanurzyła się w wilgotny, przesycony korzennymi zapachami upał cieplarni, i gdy otoczył ją gąszcz woskowego rózu i czerwieni egzotycznych kwiatów — nawet flora w Lyng była dostosowana do ogólnego tonu — dowiedziała się, że ten wielki człowiek jeszcze nie przyjechał. Ponieważ uznała, iż dzień jest zbyt piękny, by go marnować w sztucznej atmosferze, wyszła z oranżerii i zaczęła się przechadzać wzdłuż uginającego się pod nogami trawnika kręgielni w stronę ogrodów ciągnących się na tyłach domu. Na samym ich końcu rozpościerał się trawiasty taras spoglądający poprzez sadzawkę i żywopłoty z cisów na długi fronton domu z krytymi kominami i niebieskimi narożnikami dachu. Wszystko przepojone było bladożółtą wilgocią unoszącą się w powietrzu.

Gdy patrzyła z tego miejsca na dom, na tle wzorzystych klombów, z otwartymi oknami i gościnnie dymiącym kominem, zawsze robił na niej wrażenie jakiejś promieniującej ciepłem ludzkiej istoty, która powoli dojrzewała na słonecznej ścianie doświadczenia. Nigdy dotąd nie miała poczucia takiego zespolenia się z tym domem, takiego przeświadczenia, że jego wszystkie sekrety i tajemnice są dobrotliwe, utrzymywane jak się mówi dzieciom, „dla czyjegoś dobra”. Nigdy nie miała tak głębokiej ufności, że dom ten potrafi wpleść życie Neda i jej w harmonijny deseń długiej, długiej historii i że właśnie po to, by ją snuć, rozsiadł się tutaj w słońcu.

Nagle posłyszała za sobą kroki. Obejrzała się pewna, że to ogrodnik z inżynierem z Dorchester. Ale zobaczyła tylko postać młodego, szczupłego mężczyzny, który z przyczyn, jakich na razie nie mogła wyjaśnić, nawet nie przypominał wyobrażenia, jakie sobie wyrobiła o specjalistę od boilerów. Przybysz na jej widok zatrzymał się i uchylił kapelusza.

Sprawił wrażenie podróżnego, dżentelmena, który pragnie dać do zrozumienia, że jeśli nawet przeszkadza, nie robi tego celowo.

Od czasu do czasu zjawiał się w Lyng jakiś kulturalny turysta i Mary była niemal pewna, że obcy zacznie rozkładać aparat fotograficzny albo przynajmniej go wyjmie, żeby choć w ten sposób jakoś usprawiedliwić swoją obecność.

Ale nieznajomy nic takiego nie zrobił. Po chwili, starając się zachować równie grzecznie jak nieznajomy młody człowiek, Mary zapytała uprzejmie:

— Czy chciałby się pan tu z kimś widzieć?

— Przyszedłem zobaczyć się z panem Boyne — odpowiedział obcy. Nie tyle akcent, co ton jakim mówił, brzmiał lekko po amerykańsku. Mary przyjrzała mu się baczniej. Jego twarz ocieniało rondo miękkiego, filcowego kapelusza. Nie widziała tej twarzy dokładnie, a jednak stwierdziła, że maluje się na niej wyraz powagi człowieka, który przybywa w interesach i, mimo że jego zachowanie jest nienaganne, dobrze wie, jakie mu przysługują prawa. Nabyte w przeszłości doświadczenie nauczyło ją rozumieć również takie uprawnienia. Jednakże bardzo zazdrośnie strzegła przedpołudniowych godzin swego męża. Wiedziała, że nie lubi, by mu ktokolwiek wtedy przeszkadzał.

— Czy pan się umówił z moim mężem? — spytała.

Gość zawahał się chwileczkę, jak by nie był przygotowany na takie pytanie.

— Sądzę, że pani mąż mnie oczekuje — odpowiedział.

Teraz z kolei Mary zawahała się.

— Widzi pan, o tej porze mąż jest zawsze zajęty. Nigdy nikogo nie przyjmuje przed południem.

Patrzył na nią przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Potem, jakby pogodzony z jej odpowiedzią, zaczął się oddalać. Kiedy się odwróciła, zauważyła, że stanął i spojrzał na milczący, nieruchomy fronton domu. W jego zachowaniu można było wyczuć zmęczenie oraz zawód i przygnębienie człowieka, który przyjechał z daleka i wie, że musi wracać następnym pociągiem. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli tak jest istotnie, jej odmowa może spowodować, iż

jego podróż okaże się daremna. Skrupuły, jakie się w niej odezwały, zmusiły ją, by za nim pobięła.

— Przepraszam, chciałam spytać, czy pan przyjechał z daleka.

Spojrzał na nią z tą samą powagą.

— Tak. Z daleka.

— W takim razie, proszę wejść do domu. Jestem pewna, że mąż zgodzi się pana przyjąć. Znajdzie go pan w bibliotece.

Nie wiedziała, dlaczego dodała te ostatnie słowa, chyba pod wpływem impulsu, by złagodzić okazany przed chwilą brak gościnności. Gość zrobił taki ruch, jak by jej chciał podziękować, ale w tej chwili spostrzegła nadchodzącego ogrodnika. Sądząc po wyglądzie towarzyszącego mu mężczyzny, nie mógł to być nikt inny jak tylko inżynier z Dorchester.

— Proszę tędy — powiedziała wskazując nieznanemu drogę do domu. Chwilę potem zupełnie o nim zapomniała, pochłonięta rozmową z wytwórcą bojlerów.

Spotkanie to okazało się tak brzemienne w skutki, że inżynier postanowił nie wracać najbliższym pociągiem, a Mary dała się nakłonić do spędzenia reszty przedpołudnia na rozmowie wśród setek doniczek z kwiatami. Gdy wszystko zostało już omówione, z wielkim zdziwieniem zauważyła, że nadeszła już pora lunchu. Idąc w stronę domu, była prawie pewna, że spotka męża. Ale na dziedzińcu nie było nikogo poza pomocnikiem ogrodnika, który grabił wyżwirowany podjazd. Gdy weszła do hallu, panowała tam taka cisza, że pomyślała, iż mąż jeszcze pracuje.

Nie chcąc mu przeszkadzać, weszła do gabinetu, zasiadła przy biurku i na nowo zatopiła się w obliczeniach wydatków, jakie trzeba było ponieść w wyniku przedpołudniowej rozmowy. To, że mogła sobie pozwalać na takie szaleństwa, wciąż jeszcze nie straciło dla niej uroku. W przeciwieństwie do nie sprecyzowanych obaw poprzednich dni właśnie to wydało jej się jednym z elementów odzyskanego poczucia bezpieczeństwa, udowodnienia sobie samej, jak to określił Ned, że „sprawy w zasadzie nigdy nie wyglądały lepiej niż w tej chwili”.

Wciąż jeszcze borykała się z powodzią cyfr, kiedy na progu zjawiała się pokojówka i przerwała jej to zajęcie pytaniem, czy może podawać lunch. Stałym tematem ich żartów była Trimble, która zawiadamiała o podaniu lunchu w taki sposób, jak by oznajmiała jakąś ważną tajemnicę państwową. Mary, zajęta papierami, mruknięciem wyraziła zgodę.

Czuła, że Trimble wierci się niezdecydowanie na progu, jak by chciała zaprotestować przeciw tak niewyraźnej odpowiedzi. Po chwili Mary usłyszała na korytarzu jej oddalające się kroki, odsunęła papiery, przeszła przez hall i stanęła przed drzwiami biblioteki. Nadal były zamknięte. Teraz ona z kolei się zawahała; z jednej strony nie chciała mężowi przeszkadzać, z drugiej zaś obawiała się, by nie przeciągał pracy dłużej niż zwykle. Gdy wciąż stała nie mogąc się zdecydować, wróciła Trimble i oznajmiła, że lunch jest podany. Przynaglona tą wiadomością, otworzyła drzwi.

Boyne'a nie było przy biurku. Rozejrzała się po pokoju pewna, że mąż stoi przy którejś z półek. Zawołała, ale odpowiedziało jej milczenie. Powoli uświadomiła sobie, że go tu nie ma. Zwróciła się do pokojówki:

— Pan Boyne musi być na górze. Proszę mu powiedzieć, że lunch jest na stole.

Trimble zdawała się wahać. Wiedziała, że musi wykonać polecenie, a z drugiej strony była najgłębiej przekonana o jego głupocie. Nie wiedząc co robić, powiedziała:

— Bardzo przepraszam, proszę pani, ale pana Boyne nie ma na górze.

— Nic ma go w jego pokoju? Na pewno?

— Na pewno, proszę pani.

Mary rzuciła okiem na zegarek.

— No więc gdzież jest w takim razie?

— Wszedł — oświadczyła Trimble tonem wyższości osoby, która czeka z szacunkiem

na pytanie, jakie każdy rozsądny człowiek zadałby na samym początku.

Tak. Miała więc rację. Ned musiał wyjść jej naprzeciw do ogrodu, a ponieważ się rozminęli, było oczywiste, że poszedł krótszą drogą przez bramę południową, zamiast obchodzić cały dziedziniec dokoła. Podeszła przez hall do wielkiego okna wychodzącego wprost na ogród otoczony wiązami; Trimmle po chwili wewnętrznej walki zdecydowała się wykrztusić:

— Przepraszam panią, ale pan Boyne nie poszedł tędy.

Mary odwróciła się.

— No więc, którądy poszedł i kiedy?

— Pan wyszedł frontowymi drzwiami, proszę pani, i poszedł przez podjazd.

Trimmle z zasady nie odpowiadała równocześnie na więcej niż jedno pytanie.

— Przez podjazd? O tej porze? — Mary podeszła do drzwi i wyjrzała na dziedziniec przez tunel nagich lip. Aleja była tak samo pusta jak wtedy, gdy patrzyła na nią przed wejściem do domu. — Czy pan nie kazał mi czegoś powtórzyć?

Trimmle zdawała się staczać ostatnią walkę z chaosem, jaki się rozpętał w jej głowie.

— Nie, proszę pani. Pan wyszedł z jakimś panem i nic nie mówił.

— Z panem? Z jakim panem? — Mary odwróciła się, jak by chcąc stawić czoło nowej zagadce.

— Z panem, który przyszedł go odwiedzić, proszę pani — odpowiedziała Trimmle zrezygnowanym głosem.

— Kiedy ten pan przyszedł? Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć, Trimmle. — Jedynie to, że Mary była bardzo głodna i że chciała poradzić się męża w sprawie ciepłarni zmusiło ją do wydania służącej tak niezwykłego polecenia. Ale mimo to jednak zauważyła w oczach Trimmle błysk rodzącego się oporu pełnego szacunku podwładnego, który widzi, że stawia mu się zbyt wielkie wymagania.

— Nie potrafię dokładnie powiedzieć, która to była godzina, proszę pani, bo nie ja wpuszczałam tego pana — odpowiedziała tonem dyskretnie ignorującym niewłaściwe zachowanie się swej chlebobawczym.

— Nie ty go wpuszczałaś?

— Nie, proszę pani. Właśnie się ubierałam, kiedy zadzwonił dzwonek i Agnes...

— Proszę więc pójść i zapytać Agnes.

Z twarzy Trimmle wciąż nie znikał wyraz cierplivej wyrozumiałości.

— Agnes nie będzie nic wiedzieć, proszę pani, bo ona na nieszczęście oparzyła sobie rękę, kiedy czyściła tę nową lampę przyslaną z miasta... — Trimmle, o czym Mary doskonale wiedziała, zawsze była wielką przeciwniczką nowej lampy... — i zamiast niej pani Dockett wysłała do drzwi podkuchenną.

Mary po raz drugi spojrzała na zegarek.

— Już po drugiej. Proszę pójść i spytać tę dziewczynę, czy pan Boyne nie kazał mi czegoś powtórzyć.

Nie tracąc więcej czasu, poszła na lunch; po kilku minutach Trimmle zakomunikowała jej, że gość zjawił się koło godziny jedenastej i że pan Boyne wyszedł z nim, ale nie zostawił żadnej wiadomości. Dziewczyna nie знаła nazwiska tego pana, bo napisał coś na kawałku papieru, złożył go i kazał natychmiast zanieść panu Boyne.

Mary kończyła lunch, głowiąc się bez przerwy, co się mogło stać. Kiedy Trimmle przyniosła do gabinetu kawę, zdziwienie jej wzrosło jeszcze bardziej i zaczęło się przeradzać w lekki niepokój. To było zupełnie nie w stylu Boyne'a zniknąć bez żadnego uprzedzenia i w dodatku o tak niezwykłej godzinie; trudność w ustaleniu nazwiska gościa, do którego poleceń widać się zastosował, czyniło to zniknięcie jeszcze bardziej niezrozumiałym.

Mary Boyne jako żona inżyniera, który chcąc nie chcąc prowadził bardzo nieregularny tryb życia, zdobyła już sporo doświadczenia i wszelkie niespodzianki nauczyła się przyjmować z filozoficznym spokojem. Jednak od chwili wycofania się z interesów, Boyne prowadził

życie jak w klasztorze. Aby choć w części powetować sobie okres pełen wstrząsów i niepoko-
jów, lata w których śniadania i obiady połykali niemal na stojąco w trzęsących wagonach
restauracyjnych, obecnie Boyne przestrzegał najdalej posuniętej punktualności i regularności.
Robił, co mógł, by przeciwstawić się upodobaniu żony do wszystkiego, co wykraczało poza
przyjęty przez nich tryb życia i bez przerwy podkreślał, że dla ludzi o subtelnym smaku po-
szanowania zwyczajów jest nie kończącym się źródłem przyjemności.

Ponieważ jednak nie da się ustrzec życia przed momentami niespodziewanymi, nie ule-
gało wątpliwości, że prędzej czy później wysiłki Boyne'a okażą się niemożliwe do zrealizo-
wania. Mary doszła do wniosku, że Ned, chcąc skrócić męczącą wizytę, poszedł ze swym
gościem na stację kolejową albo przynajmniej kawałek go odprowadził.

Przestała się dłużej nad tym zastanawiać i wyszła, by dokończyć rozmowy z ogrodn-
kiem. Potem wybrała się pieszo na odległą około mili pocztę. Gdy wracała do domu, zaczy-
nała się zmierzchać.

Szła ścieżką przez łąki, a ponieważ w międzyczasie Boyne na pewno wrócił już ze
stacji gościńcem, nic nie wskazywało, by mogli się spotkać. Była pewna, że zastanie już męża
w domu. Tak pewna, że kiedy weszła do hallu, udała się wprost do biblioteki, nawet się nie
zatrzymując, by zapytać o to Trimmle.

Ale w bibliotece nie było nikogo! Nie miała pamięci wzrokowej, lecz od razu zauważy-
ła, że papiery na biurku męża leżą dokładnie tak samo, jak w chwili gdy tu weszła, by go
zawołać na lunch.

I wtedy poczuła, że osacza ją nie dający się bliżej określić strach przed czymś niezna-
nym. Wchodząc zamknęła za sobą drzwi i kiedy tak stała sama w ogromnym, wypełnionym
ciszą pokoju, zaczęło jej się zdawać, że strach przybiera jakiś kształt, że wydaje jakiś dźwięk,
że jest tu, oddycha, czai się wśród mroku. Wyteżała swe krótkowzroczne oczy, wpatrując się
w mrok i widząc nieomal jakąś istotę, coś obcego, coś, co obserwowało i rozumiało. Chcąc
przed tym uciec, rzuciła się do dzwonka i z całej siły szarpnęła za sznur.

Gwałtowny dzwonek w błyskawicznym tempie sprowadził Trimmle, która zjawiła się z
lampą. Na widok osoby tak związanej z codziennym życiem, Mary odetchnęła z ulgą.

— Jeżeli pan jest w domu, proszę podać herbatę — powiedziała, chcąc upozorować
fakt, że dzwoniła.

— Tak jest, proszę pani. Ale pana Boyne nie ma w domu — odpowiedziała Trimmle
stawiając na stole lampę.

— Nie ma? Czy to ma znaczyć, że wrócił i znowu wyszedł?

— Nie, proszę pani. Pan w ogóle nie wrócił.

Strach zjawił się znowu. Nagle Mary uświadomiła sobie, że tym razem opanował ją na
dobre.

— Nie wrócił od czasu, kiedy wyszedł z tym panem?

— Nie wrócił od czasu, kiedy wyszedł z tym panem.

— Ale kto to był ten pan? — dopytywała się Mary piskliwym głosem jak ktoś, kto stara
się przekrzyknąć hałas.

— Nic nie potrafię na ten temat powiedzieć, proszę pani. — Trimmle, która stała przy
lampie, nagle wydała się Mary jakaś mniej okrągła i różowa, jakby wydłużona przez pełza-
jący cień strachu.

— No to podkuchenna musi coś wiedzieć. Przecież ona go wprowadzała?

— Nic nie wie, proszę pani, bo on napisał swoje nazwisko i zwinął papier.

Mimo zdenerwowania Mary nagle zdała sobie sprawę, że obie z Trimmle mówią o nie-
znajomym gościu w jakiejś bezosobowej formie zamiast, jak dotąd, w ogólnie przyjęty spo-
sób. W tej chwili przyszło jej również do głowy, że trzeba odszukać złożony papier.

— Ależ on przecież musiał się jakoś nazywać. Gdzie jest ten papier?

Podeszła do biurka i zaczęła przerzucać leżące na nim dokumenty. Pierwszą rzeczą, na

jaką zwróciła uwagę, był nie dokończony list pisany ręką jej męża. Na liście leżało pióro, jak by odłożone w pośpiechu.

„Mój drogi Parvisie”... — Kto to jest Parvis? — „Otrzymałem właśnie pański list, w którym donosi pan o śmierci Elwella i chociaż sędzę, że w tej chwili nie ma już powodu obawiać się dalszych trudności, będzie może bezpieczniej...”

Odrzuciła kartkę i szukała dalej. Między różnymi listami i kartkami rękopisu, zsuniętymi beładnie pośpiesznym lub pełnym zaskoczenia ruchem, nie mogła znaleźć żadnego złożonego papieru.

— Ale dziewczyna z kuchni przecież go widziała. Proszę ją do mnie przysłać — poleciła dziwiąc się swojej głupocie, że wcześniej nie pomyślała o tak prostym rozwiązaniu.

Trimmlle zniknęła błyskawicznie, jak by wdzięczna, że może wydostać się z pokoju. Kiedy zjawiła się po chwili prowadząc zdenerwowaną dziewczynę z kuchni, Mary odzyskała już panowanie nad sobą i dokładnie wiedziała, o co chce spytać.

Ten pan był obcy, tak, to zauważyła. Ale co on mówił? A przede wszystkim jak wyglądał? Na pierwsze pytanie dziewczyna mogła odpowiedzieć bez trudu z tej prostej przychyni, że przybysz prawie się nie odzywał, Zapytał tylko o pana Boyne'a, a potem napisał coś na skrawku papieru i prosił, żeby to natychmiast zanieść panu.

— W takim razie nie wiesz, co on napisał? Nie potrafisz powiedzieć, czy to było jego nazwisko?

Dziewczyna się zawahała, przypuszczała jednak, że nie mogło to być nic innego, bo nieznajomy napisał coś, co miało być odpowiedzią na jej pytanie, kogo ma zaanonsować.

— A co powiedział pan Boyne, kiedy przyniosłaś mu ten papier?

Dziewczynie wydawało się, że pan Boyne nic nie powiedział, ale nie może tego stwierdzić z pewnością, bo w chwili, kiedy wręczała panu ten papier, gość wszedł za nią do biblioteki, więc szybko się wycofała zostawiając panów samych.

— No dobrze. Ale w takim razie, jak zostawiłaś ich obu w bibliotece, skąd wiesz, że wyszli z domu?

Pytanie to wprawiło dziewczynę w chwilowe zakłopotanie, z którego wyratowała ją dopiero Trimmlle; stawiając szereg sprytnych pytań zdołała z niej wydobyć, że zanim przeszła przez hall do tylnego korytarza, usłyszała za sobą głosy obu panów, gdy razem wychodzili przez frontowe drzwi.

— No dobrze, ale jak widziałaś tego obcego pana dwa razy, to chyba potrafisz go opisać!

Okazało się jednak, że to żądanie przekracza możliwości dziewczyny. Samo polecenie, by pójść do frontowych drzwi i wpuścić gościa, było samo w sobie czymś tak niezwykłym w toku jej normalnych zajęć, że spowodowało beznadziejny wprost zamęt w jej głowie. Po wielu wysiłkach, żeby złapać oddech, potrafiła jedynie wyjąkać:

— Jego kapelusz, proszę pani, był taki jakiś... jakiś inny...

— Inny? Jak to inny? — gorączkowała się Mary. Ale w tej chwili stanął jej w oczach obraz, jaki widziała rano, obraz zagubiony potem pod warstwami następnych wrażeń.

— Chcesz powiedzieć, że jego kapelusz miał takie szerokie rondo, co? I że ten pan miał bladą, młodą twarz. — Mary nacierała na dziewczynę z pasją, która upodabniała te pytania do śledztwa. Ale gdyby nawet dziewczyna dała wystarczająco jasną odpowiedź, teraz nie zrobiłoby to już na Mary żadnego wrażenia. W tej chwili błyskawicznie upewniła się we własnych wnioskach. Nieznajomy! Nieznajomy z ogrodu! Dlaczego przedtem o nim nie pomyślała? Nie potrzebowała teraz nikogo. by ją przekonać, że to właśnie on zjawił się u jej męża i że on z nim wyszedł. Ale kim był ten człowiek i dlaczego Boyne go usłuchał?

IV

Jak ironiczny śmiech dochodzący gdzieś z ciemności uderzyła ją nagle myśl, że często nazywali Anglię „miejscem, w którym tak diabelnie trudno byłoby się zgubić”.

„Miejsce, w którym tak diabelnie trudno byłoby się zgubić”. Tak. To określenie jej męża. A teraz przy całej puszczanej w ruch machinie urzędowych poszukiwań prowadzonych z pedantyczną drobiazgowością od jednego wybrzeża do drugiego, teraz kiedy nazwisko Boyne'a rzucało się w oczy na murach każdego miasta i wsi, a jego zdjęcia (bardzo cierpiała z tego powodu) porozklejano po całym kraju, jak by był co najmniej jakimś ściganym przestępcą; teraz ta mała, gęsto zaludniona wyspa, posiadająca znakomitą służbę policyjną, doskonale uporządkowana i administrowana, okazała się sfinksem, stróżem niezgłębionych tajemnic, który wpatrując się w zamglone bólem oczy nieszczęsnej żony, odczuwał jakaś piekielną radość, że wie coś, czego oni nigdy wiedzieć nie będą.

W ciągu dwóch tygodni od chwili zniknięcia Boyne'a nie odebrano od niego żadnego znaku życia, nie natrafiono na najmniejszy ślad. Nawet tak częste w takich wypadkach, niezbyt dokładne lub wręcz fałszywe informacje, które wzbudzają nadzieję w zrozpaczonych sercach, tym razem napływały bardzo skąpo, a i to natychmiast się rozwiewały. Nikt poza dziewczyną z kuchni nie widział, jak Boyne wychodził z domu i nikt nie widział „pana”, który mu towarzyszył. Poszukiwania, jakie przeprowadzono w okolicy Lyng, nie zdołały ustalić żadnych śladów obecności obcego mężczyzny. Nikt również nie spotkał Edwarda Boyne'a ani samego, ani w towarzystwie. Nic widziano go w żadnej z pobliskich miejscowości, na drodze prowadzącej przez łąki, ani na żadnej z okolicznych stacji kolejowych. Słoneczne, angielskie południe wchłonęło go tak całkowicie, jak by wyszedł w najciemniejszą noc.

Podczas gdy cały aparat śledczy pracował pełną parą, Mary gorączkowo przeszukiwała papiery męża w nadziei, że natrafi na jakiś ślad nie znanych jej dotąd trudności, powikłań czy zobowiązań, które by mogły rzucić promień światła na tę ciemną sprawę. Ale jeśli nawet coś takiego było w życiu Boyne'a, znikło tak samo jak świstek papieru, na którym tajemniczy przybysz napisał swoje nazwisko. Nie pozostał najmniejszy ślad, który by mógł posłużyć jako wskazówka. Wyjątek — o ile to miało jakiegokolwiek znaczenie — stanowił list pisany przez Boyne'a w chwili, gdy otrzymał tajemnicze wezwanie. List czytany wielokrotnie przez jego żonę, potem zaniesiony przez nią na policję, zawierał jednak zbyt mało materiału do snucia jakichkolwiek przypuszczeń.

„Otrzymałem właśnie pański list, w którym donosi pan o śmierci Elwella i chociaż sądzę, że w tej chwili nie ma już powodu obawiać się dalszych trudności, będzie może bezpieczniej...” To było wszystko. Powód do niepokoju wyjaśniał bez trudu wycinek z gazety, z którego Mary wyczytała o skardze wniesionej do sądu przeciw jej mężowi przez jakiegoś współpracownika z kopalni „Niebieska Gwiazda”. Jedynym nowym szczegółem, jaki ujawnił list, był fakt, który wskazywał, że Boyne pisząc go, ciągle jeszcze niepokoił się o wynik procesu. Mimo że powiedział żonie, iż skarga została wycofana, z listu wynikało, że powód zmarł. Przez wiele dni wysyłano telegramy, by ustalić tożsamość Parvisa, do którego skierowane było rozpoczęte pismo. Ale nawet wtedy, gdy się okazało, że jest to adwokat z Waukesha, nie udało się zdobyć żadnych nowych faktów, dotyczących skargi Elwella. Wyszło na jaw, że Parvis nie zajmował się bezpośrednio procesem, lecz znał jego szczegóły jako zwykły znajomy czy też pośrednik. Oświadczył, że nie ma pojęcia, w jakiej sprawie Boyne chciał go prosić o pomoc.

Jedynym owocem pierwszych dwóch tygodni poszukiwań była ta nic zresztą nowego nie wnosząca informacja. Nieskończenie długie następne tygodnie nie przyniosły żadnych nowych szczegółów. Mary wiedziała, że poszukiwania prowadzone są nadal, ale miała wrażenie, iż tempo ich zaczyna powoli słabnąć. Również i czas zdawał się obecnie wolniej płynąć.

Wyglądało to, jak by dnie w pełnej przerażenia ucieczce od tragicznych wydarzeń, powoli, w miarę upływu czasu, zaczynały się wyzbywać swego przerażenia, aż wreszcie powróciły do swego normalnego toku. To samo działo się z zainteresowaniem ludzi, którzy pracowali nad rozwiązaniem zagadki zniknięcia Boyne'a. Niewątpliwie sprawa ta intrygowała ich nadal, ale tydzień po tygodniu, godzina po godzinie zainteresowanie to słabło. Problem zajmował coraz mniej miejsca i był powoli, lecz bez ustanku wypierany z ich myśli przez coraz to nowe sprawy ustawicznie wynurzające się z dymiącego kotła ludzkich poczynań.

Nawet Mary Boyne odczuwała stopniowe tępienie swojej wrażliwości. Ciągłe jeszcze silnie reagowała na bezustannie kłębiącą się w jej głowie nawałę przypuszczeń. Reakcje te jednak były już dużo powolniejsze, zdarzały się coraz rzadziej. Zaczęły się pojawiać chwile zmęczenia, kiedy na podobieństwo ofiary trucizny, która nie ma ci pracy mózgu, ale obezwładnia ciało, czuła, że staje się niewrażliwa na przerażenie i rozpacz. Zaczęła przyjmować ich obecność jako jeden ze stałych elementów życia.

Chwile wydłużały się w godziny, godziny w dnie aż w końcu przeszła w fazę tępego pogodzenia się z losem. Przypatrywała się dniom nie wyrażającym żadnego zainteresowania okiem dzikusa, na którym najrozmaitsze procesy cywilizacyjne, jakich nie jest w stanie pojąć, nie wywierają najmniejszego wrażenia. Przywykła uważać siebie za część składową tych dni, za szprychę koła, która wraz z nim się obraca. Czuła się niemal jak mebel w pokoju, gdzie spędzała większość czasu, jak bezduszny przedmiot, który się okurza i przesuwają razem z krzesłami i stołami. Ta pogłębiająca się coraz bardziej apatia przykuwała ją do Lyng mimo ustawicznych nalegań przyjaciół i normalnego w takich wypadkach zalecenia przez lekarza zmiany otoczenia. Znajomi snuli domysły, że Mary dlatego nie chce wyjechać z Lyng, gdyż ludzi się, że mąż wróci pewnego dnia w to samo miejsce, z którego zniknął. Wokół tego, zupełnie zresztą nieprawdopodobnego przypuszczenia powstała cała legenda. Mary oczywiście nie wierzyła w nic podobnego. Rozpaczy, w jakiej się pogрузzyła, nie rozjaśniały już żadne przebłyski nadziei. Była pewna, że Boyne nie wróci nigdy, że znikł z jej oczu tak bezpowrotnie, jak by tamtego dnia sama śmierć czekała na niego u progu. Jedną po drugiej demontowała teorie na temat zniknięcia męża, wysuwane przez prasę, policję i jej własną udręczoną wyobraźnię.

Tonąc w zupełnej apatii myśl jej odwracała się od tych potwornych koncepcji i godziła z nieodwracalnym faktem, że on odszedł.

Nie, nigdy nie będzie wiedziała, co się z nim stało. Nikt się tego nie dowie. Ale d o m w i e d z i a ł. Wiedziała biblioteka, w której spędzała długie samotne wieczory. Właśnie tu rozegrała się ostatnia scena, właśnie tu przyszedł ten obcy człowiek i powiedział coś, na co Boyne wstał i wyszedł z nim.

Podłoga, po której Mary stąpała, czuła na sobie jego kroki. Książki na półkach widziały jego twarz. Były momenty, kiedy świadome tego — stare, mroczne mury robiły wrażenie, jak gdyby chciały zdradzić swój sekret. Nigdy jednak do tego nie doszło i dobrze wiedziała, że nie dojdzie. Lyng nie należał do tych gadatliwych, starych domów, które zdradzają powierzone im tajemnice. Choćby tylko to, co o nim opowiadano, dowodziło, że zawsze był wiernym współnikiem i nieprzekupnym stróżem tajemnic, jakie udało mu się podpatrzeć. Mary Boyne siedząc twarzą w twarz z jego milczeniem, czuła całą beznadziejność podejmowanych prób przełamania tego milczenia za pomocą jakichkolwiek ludzkich środków.

V

— Nie mogę powiedzieć, żeby to nie było uczciwe, ale nie mogę też powiedzieć, że to było uczciwe. Po prostu zwykły interes.

Usłyszawszy te słowa, Mary gwałtownie podniosła głowę i z zainteresowaniem popa-

trzymała na mówiącego.

Kiedy przed pół godziną przyniesiono jej bilet wizytowy z nazwiskiem mr Parvis, w jednej sekundzie uświadomiła sobie, że nazwisko to tkwiło w jej świadomości od czasu, gdy przeczytała je w nagłówku nie dokończonego listu Boyne'a. W bibliotece czekał na nią mały, zwiędły, łysy człowieczek. Na nosie miał złote okulary. Dreszcz ją przeszedł, gdy pomyślała, że człowiek ten był ostatnią osobą, do której zwracał się jej mąż.

Parvis grzecznie, lecz bez zbytecznych wstępów, jak ktoś, kto dobrze zna wartość czasu, przedstawił cel swojej wizyty. Przyjechał do Anglii w interesach, a znalazłszy się blisko Dorchester, nie chciał opuszczać tych stron, nie złożywszy swego uszanowania pani Boyne i nie spytawszy, jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja, co ma ona zamiar zrobić dla rodziny Boba Elwolla.

Słowa te wyzwoliły w duszy Mary jakiś niejasny niepokój. Czy gość mimo wszystko wiedział, co Boyne miał na myśli zaczynając tamto zdanie? Poprosiła, by zechciał jej to wyjaśnić i natychmiast spostrzegła, że pan Parvis wydaje się dość zdumiony, iż pani Boyne nie orientuje się w dalszym przebiegu tej sprawy. Czyżby naprawdę wiedziała tak mało, jak należałoby sądzić po jej pytaniu?

— O niczym nie wiem. Musi mi pan wszystko powiedzieć — wyjąkała dość niepewnie, na co gość zaczął dokładną relację.

Rzeczy, jakie usłyszała, rzuciły bardzo ponure światło na zagadkową sprawę kopalni „Niebieska Gwiazda”. Mimo iż w głowie miała zamęt i zupełnie nie była przygotowana do zrozumienia i oceny podobnych zagadnień, wywnioskowała, że jej mąż zrobił majątek w mistrzowski sposób przeprowadzając różne spekulacje, a odbyło się to kosztem „ubiegnięcia” kogoś, kto nie był na tyle szybki, by samemu natychmiast pochwycić szansę. Ofiarą sprytu Boyne'a padł młody Robert Elwell. To właśnie on podsunął Boyne'owi myśl o interesie z „Niebieską Gwiazdą”.

Kiedy Mary rozpląkała się po raz pierwszy, Parvis rzucił jej przez bezstronne, obojętne okulary uspokajające spojrzenie.

— Po prostu Bob Elwell nie był dość sprytny. To wszystko! Gdyby był, mógłby odplącić Boyne'owi pięknym za nadobne. Takie rzeczy zdarzają się w interesach co dzień. Zdaje mi się, że ludzie nauki nazywają to „prawem zachowania gatunku”. Na polu walki zostają tylko najsilniejsze jednostki — mówił Parvis, wyraźnie zadowolony, że przyszło mu do głowy trafne porównanie.

Gdy Mary próbowała sformułować następne pytanie, doznała niemal fizycznego bólu. Jak by słowa, które chciała powiedzieć, pobudzały do torsji.

— W takim razie oskarża pan mego męża o popełnienie jakiegoś niegodnego czynu?

Pan Parvis potraktował to pytanie zupełnie beznamytnie.

— Och, nie. Nic podobnego. Nawet nie twierdzę, że to było nieuczciwe. — Wzrokiem prześliznął się po długich szeregach książek, jak by w jednej z nich chciał znaleźć określenie, jakiego szukał. — Nie twierdzę, że t o n i e b y ł o uczciwe, ale nie twierdzę również, że t o b y ł o uczciwe. Po prostu zwykły interes. — Nie można się było wyrazić bardziej zrozumiale.

Mary siedziała nieruchomo, wpatrując się w niego z przerażeniem. Wydawał jej się obojętnym na wszystko, wysłannikiem jakiejś złej potęgi.

— Ale widocznie adwokaci pana Elwella nie podzielali pańskiego zdania, skoro skarga została wycofana na skutek ich opinii.

— O, tak. Zdawali sobie sprawę, że formalnie rzecz biorąc, nie ma żadnej szansy na wygranie. I właśnie w momencie, kiedy mu doradzili wycofanie skargi, Elwell znalazł się w katastrofalnej sytuacji. Widzi pani, większość pieniędzy, które pożyczył, ulokował w „Niebieskiej Gwieździe”. A potem nie miał już wyjścia. No i dlatego, gdy mu powiedziano, że w żaden sposób nie może wygrać procesu, zastrzelił się.

Przerażenie przetoczyło się przez Mary wielkimi, ogłuszającymi falami.

— On się zastrzelił? Zabił się z powodu t e g o?

— No, ściśle mówiąc, nie zabił się. Dwa miesiące się męczył, zanim umarł. — Parvis oświadczył to drewnianym, obojętnym tonem, jak gramofon powtarzający zawsze to samo.

— Chce pan powiedzieć, że próbował się zabić, ale mu się to nie udało i jeszcze raz ponowił próbę?

— Och, nie potrzebował nic ponawiać — odpowiedział ponuro Parvis.

Siedzieli naprzeciw siebie w głębokim milczeniu. On bawiąc się swoimi okularami, ona nieruchomo, z rękami opartymi na kolanach, w postawie pełnej sztywnego napięcia.

— Ale skoro pan o tym wszystkim wiedział — zaczęła w końcu prawie szeptem, nie mogąc się zdobyć, by mówić głośniej — to jak się stało, że kiedy napisałam do pana po zaginięciu mego męża, odpowiedział pan, że nie rozumie jego listu?

Słowa te bynajmniej nie wprawiły Parvisa w zakłopotanie.

— No tak. Jeśli chodzi o ścisłość, nie rozumiałem tego listu. A gdybym nawet rozumiał, to nie była pora, żeby o tym mówić. Sprawa Elwella zakończyła się definitywnie w momencie, kiedy skarga została wycofana. Cokolwiek bym pani powiedział, i tak nie pomogłoby to pani w poszukiwaniu męża.

Mary w dalszym ciągu przeszywała go wzrokiem.

— A dlaczego mówi mi pan o tym w tej chwili?

Parvis nie zawahał się ani sekundy.

— Przede wszystkim przypuszczałem, że wie pani dużo więcej. Mam na myśli okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć Elwella. Poza tym, dużo się teraz mówi na ten temat. Ponośnie odgrzebano całą sprawę. Pomyślałem sobie, że jeśli pani nic o tym nie wie, to powinna się pani dowiedzieć.

Mary milczała, a on ciągnął dalej.

— Widzi pani, dopiero bardzo niedawno wyszło na jaw, w jak złym stanie znajdowały się finanse Elwella. Jego żona jest osobą bardzo ambitną i walczyła tak długo, jak mogła. Zaczęła pracować, a gdy stan zdrowia przestał jej na to pozwalać (choruje, jak mi się zdaje, na serce), zaczęła przyjmować szycie do domu. Ale musi prócz tego opiekować się jego matką i dziećmi. Załamała się pod tym ciężarem i w końcu była zmuszona prosić o pomoc. To zwróciło uwagę na całą sprawę, zajęła się nią prasa i rozpisano składkę. Boba Elwella wszyscy bardzo lubili i na liście ofiarodawców nie zabrakło ani jednego ze znanych nazwisk w mieście. No i ludzie zaczęli się zastanawiać, dlaczego...

Parvis przerwał na chwilę i zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki.

— O, proszę, sprawozdanie, jakie zamieścił „Sentinel”. Oczywiście jest to utrzymane w lekko sensacyjnym tonie. Może byłoby dobrze, gdyby pani zechciała to przejrzeć.

Wyciągnął gazetę w stronę Mary. Rozłożyła ją powoli, równocześnie przypominając sobie wieczór, kiedy przeczytany w tym samym pokoju wycinek z „Sentinela” po raz pierwszy zachwiał jej poczuciem bezpieczeństwa.

Kiedy otworzyła dziennik, mrużąc oczy na widok krzykliwego tytułu: „Wdowa po ofierze Boyne'a zmuszona jest zwracać się o pomoc!” wzrok jej pobiegł wzdłuż kolumny i zatrzymał się na dwóch zdjęciach. Jedno przedstawiało jej męża. Była to odbitka z fotografii robionej bezpośrednio po ich przyjeździe do Anglii. Właśnie to zdjęcie najbardziej lubiła. Takie samo stało na biurku, w sypialni na piętrze.

Kiedy oczy jej spotkały się z oczami męża, patrzącymi ze zdjęcia, wiedziała, że nie będzie w stanie przeczytać, co pisze autor artykułu. Opuściła powieki czując pod nimi piekący ból. Słyszała jak Parvis mówi dalej.

— Pomyślałem, że może zechciałaby pani się wpisać na listę ofiarodawców.

Z wysiłkiem otworzyła oczy i spojrzała na drugie zdjęcie. Przedstawiało młodego jeszcze, szczupłego człowieka. Rysy twarzy były jakby zamazane cieniem padającego z szero-

kiego ronda kapelusza. Gdzie ona widziała tę twarz? Wpatrywała się w zdjęcie, czując w uszach pulsowanie krwi. Po chwili krzyknęła.

— Przecież to jest ten człowiek! Człowiek, który przyszedł po mego męża!

Parvis poderwał się na równe nogi; Mary niejasno zdała sobie sprawę, że wcisnęła się w sam róg kanapy i że on pochyła się nad nią z niepokojem. Po chwili wyprostowała się i sięgnęła po leżącą obok gazetę.

— Tak! To ten sam człowiek! Wszędzie bym go poznała! — upierała się głosem, który dla niej samej brzmiał jak krzyk.

Wydawało jej się, że odpowiedź Parvisa dochodzi gdzieś z bardzo daleka, przez jakieś nie kończące się zakręty, które ściszały i głużyły głos.

— Pani Boyne! Pani się chyba źle czuje? Czy zawołać kogoś? Może przynieść pani szklanek wody?

— Nie, nie, nie! — rzuciła się ku niemu kurczowo ściskając w rękę gazetę. — Mówię panu, że to ten sam człowiek! Znam go! Rozmawiał ze mną w ogrodzie!

Parvis odebrał jej gazetę i spojrzał na zdjęcie.

— Nie, to zupełnie niemożliwe, pani Boyne. To jest Robert Elwell.

— Robert Elwell? — Szeroko otwartymi oczyma zdawała się wpatrywać gdzieś w przestrzeń. — Wobec tego przyszedł po niego Robert Elwell.

— Przyszedł po pani męża? W dniu, w którym zniknął? — Parvis ściszał głos. Pochylił się nad nią i braterskim ruchem położył jej rękę na czole, jak by chcąc ją łagodnie namówić, by z powrotem usiadła. — Przecież Elwell umarł. Czy zapomniała pani o tym?

Mary nie odrywając oczu od zdjęcia usiadła, zupełnie nie zdając sobie sprawy, co Parvis mówi.

— Pamięta pani ten nie skończony list Boyne'a do mnie, który pani znalazła tego pamiętnego dnia? Napisał go bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o śmierci Elwella. — Zauważyła dziwną intonację w obojętnym do tej pory głosie Parvisa. — Musi to pani pamiętać!

Tak, pamiętała. I to było najstraszliwsze. Elwell umarł na dzień przed zniknięciem Neda. I to było zdjęcie Elwella, a równocześnie zdjęcie człowieka, z którym rozmawiała w ogrodzie. Podniosła głowę i wolno rozejrzała się po bibliotece. Te ściany mogłyby zaświadczyć, że było to zdjęcie człowieka, który zjawił się tu, by odwołać Boyne'a od zaczętego listu. Przez mgliste strzępy myśli tłoczących się w jej mózgu dochodził do niej słaby dźwięk na pół zapomnianych słów, słów wypowiedzianych przez Alidę Stair na trawniku w Pangbourne, zanim Boyne'owie zobaczyli dom w Lyng lub choćby pomyśleli, że będą w nim kiedyś mieszkać.

— Tak. To jest człowiek, który rozmawiał ze mną — powtórzyła.

Znowu spojrzała na Parvisa. Starał się ukryć swoje zmieszanie pod czymś, co jak sobie prawdopodobnie wyobrażał, miało być wyrazem pobłażliwego współczucia. Jego wargi przybrały niebieskawą barwę.

„On przypuszcza, że ja zwariowałam, pomyślała, ale przecież jestem przy zdrowych zmysłach!” Nagle przyszedł jej do głowy sposób, w jaki mogła udowodnić swoje twierdzenie.

Siedziała spokojnie starając się opanować drżenie warg i czekając, kiedy będzie mogła zaufać głosowi. Po chwili odezwała się patrząc Parvisowi wprost w oczy:

— Czy zechce mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie? Kiedy Robert Elwell usiłował popełnić samobójstwo?

— Kiedy? Jak to kiedy?

— Tak, chodzi mi o datę. Proszę sobie przypomnieć. — Zauważyła, że jego lęk przed nią jeszcze się zwiększył. — Mam powód, żeby o to pytać — nalegała.

— Dobrze, dobrze. Tylko nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Wydaje mi się, że przed dwoma miesiącami.

— Chodzi mi o dokładną datę — powtórzyła.
Parvis podniósł gazetę.
— Możemy tutaj zobaczyć — powiedział starając się zaspokoić jej żądanie. Przebiegł oczyma stronę. — O, jest. W październiku, dnia...
Nie dała mu skończyć.
— Dwudziestego, prawda?
Potwierdził, patrząc na nią uważnie.
— Tak, dwudziestego. No więc pani sama wiedziała.
— Teraz wiem. — Jej wzrok i w dalszym ciągu błędził gdzieś poza nią. — Niedziela, dwudziestego. Tak. To był dzień, w którym zjawił się po raz pierwszy.
Głos Parvisa był prawie niedostłyszalny.
— Pierwszy raz zjawił się t u t a j?
— Tak.
— W takim razie pani widziała go dwa razy?
— Tak. Dwa razy — wyszeptła cicho. — Pierwszy raz przyszedł dwudziestego października. Pamiętam tę datę, bo właśnie tego dnia weszliśmy na szczyt Meldon Steep. — Uśmiechnęła się wewnętrznie na myśl, że gdyby nie ten spacer, mogłaby zapomnieć.
Parvis w dalszym ciągu nie spuszczał z niej oczu, jak by starał się pochwycić jej wzrok.
— Zobaczyliśmy go z dachu — mówiła. — Szedł aleją lipową w stronę domu. Ubrany był dokładnie tak jak na tym zdjęciu. Pierwszy zobaczył go mąż. Przeląkł się i zbiegł na dół, zostawiając mnie samą. Ale na dole nikogo nie było. Znikł.
— Elwell znikł? — z niedowierzaniem zapytał Parvis.
— Tak. — Ich szeptu zdawały się wychodzić sobie na spotkanie. — Nie mogłam wtedy zrozumieć, co się stało. Ale teraz już wiem. On wtedy p r ó b o w a ł przyjść. Ale nie był jeszcze martwy. Nie mógł do nas dotrzeć. Musiał czekać dwa miesiące, żeby umrzeć. I wtedy przyszedł drugi raz i Ned z nim odszedł.
Skinęła z triumfem głową zupełnie jak dziecko, które rozwiązało trudną zagadkę. Nagle gestem rozpaczły podniosła ręce i przycisnęła je do skroni.
— Och, mój Boże! Przecież to ja posłałam go do Neda! To ja mu powiedziałam, gdzie ma iść! To ja posłałam go do tego pokoju! — zanosiła się krzykiem.
Czuła, że wyłożone książkami ściany wałą się na nią, jak ruiny zapadające się do wnętrza. Słyszała, jak Parvis krzyczy do niej poprzez te ruiny i przedziera się w jej stronę. Ale nie czuła jego dotknięcia, nie rozumiała słów. Poprzez huk i zgiełk docierał do niej tylko jeden wyraźny głos, głos Alidy Stair, który powtarzał:
„Dowiecie się o nim dopiero później. Dużo, dużo później”.

Przełożył Aleksander Bogdański

EDWARD FREDERIC BENSON

Edward Frederic Benson (1867—1940) był synem anglikańskiego arcybiskupa Canterbury i najslawniejszym z trzech piszących braci Bensonów. Porzucił archeologię dla literatury. Rozgłos zdobył satyryczną powieścią obyczajową z życia „wyższych sfer” angielskich, zatytułowaną „Dodo” (1893), która wywołała skandal towarzyski. Pisał lekkie powieści, biografie, wspomnienia; w sumie wydał około osiemdziesięciu tomów. Spośród kilku zbiorów niesamowitych opowiadań fantastycznych najbardziej znany nosi tytuł „Widzialne i niewidzialne” (1923). „Człowiek, który przeholował” wyróżnia się spośród opowiadań zawartych w niniejszym wyborze przede wszystkim swoim egzaltowanym liryzmem, tak charakterystycznym dla twórczości niektórych pisarzy przełomu XIX i XX stulecia.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY PRZEHOŁOWAŁ

Na północnym brzegu rzeki Fawn, w hrabstwie Hampshire leży wioska St. Faith, a raczej gnieździ się w dolince u stóp porośniętych lasem pagórków i kuli się wokół szarego romańskiego kościołka, jakby prosząc, by ją strzegł od boginek i elfów, duszków i skrzatów, które — mógłbyś sądzić — przebywają wciąż jeszcze w bezdrożach Nowej Puszczy, by czasem o zmroku wychynąć spośród drzew dla załatwienia swych tajemniczych spraw.

Kiedy wyjdiesz poza domy wioski, skieruj się, w którą chcesz stronę (bylebyś omijał gościniec wiodący ku Brockenhurst), a ręczę, (że przez całe długie letnie popołudnie nie dojrzysz ani ludzkiej siedziby, ani nawet śladu postaci człowieczej. Najwyżej tu i ówdzie kudłaty dziki kucyk przerwie na chwilę skubanie trawy, gdy go będziesz mijał, białe królicze omyki znikną błyskawicznie w swych norkach, może brązowa żmija przemknie w poprzek ścieżki ku kępie wrzosów, a niewidzialne ptaki odzywać się będą w zaroślach — lecz zupełnie prawdopodobne, że przez cały dzień nie dojrzysz niczego, co by miało jakiś związek z człowiekiem. Nie żebyś się przez to miał czuć samotny, skądże — zwłaszcza latem, gdy w trzepocie motyli nawet blask słońca jaśniejszy się zdaje, a powiew każdy przynosi ci te wszystkie leśne odgłosy, co niczym instrumenty wielkiej orkiestry łączą się w potężną symfonią dorocznego lipcowego festiwalu. Wietrzyk szepce coś w gałęziach brzoź i wzdycha wśród świerków; nad ukwieconą łąką niesie się gwar pszczoł pogrążonych w swych wonnych obowiązkach, w koronach drzew niby w zielonych świątyniach ćwierkają roje ptasząt, a rzeka gaworzy na kamieniach, z bulgotem rozlewa się w jeziorka, pluszcze i sapie na zakręcie — i zda się tobie, jak by gdzieś tuż w pobliżu znajdowała się nieprzeliczona chmara żywych istot. A jednak, o dziwo (bo przecie każdemu nasuwa się myśl, że to zdrowe powietrze, ta swoboda leśnego krajobrazu, te ich radości i rozliczne pożytki są chyba najzdrowszym towarzystwem dla człowieka, w każdym razie o tyle, o ile w ogóle natura może jeszcze mieć jakikolwiek wpływ na ten wspaniały ludzki gatunek, co przez ostatnie wieki nauczył się kpić z jej najsroźszych burz w swych mocnych domach, co okiełzał górskie potoki i kazał, by dawały światło ulicom, co zrył tunelami góry i przeorał oceany), o dziwo, jednak mieszkańcy St. Faith nie okazują zapachu do zagłębienia się w las, zwłaszcza gdy zmrok zapadnie. To prawda, że noc otulona opończą nadchodzi spokojnie i samotnie, lecz mimo to nikt nie jest widać zbyt pewny, w jakim towarzystwie może się nagle znaleźć po zmroku, i chociaż bardzo trudno usłyszeć od kogokolwiek wyraźną opowieść o nadprzyrodzonych wydarzeniach, niewątpliwie wiara w nie jest w St. Faith powszechna.

Jedną historię udało mi się usłyszeć jako tako dokładnie — opowieść o ogromnym koźle, którego widziano, gdy rozszalały hasał po okolicznych lasach i polanach — i to się chyba kojarzy ze zdarzeniem, które chcę teraz zrekonstruować z wielu części.

Mieszkańcy St. Faith znają je wszyscy. Pamiętają jeszcze dobrze artystę, który zmarł niedawno, człowieka młodego, a w każdym razie robiącego wrażenie młodzieńca, obdarzonego wielką urodą i czymś jeszcze, co powodowało, że każdy, kto nań spojrzeł, rozjaśniał się i uśmiechał pogodnie.

Powiedzą ci niewątpliwie, że nad strumieniem i w lesie — w miejscach, które tak bardzo ukochał — można natknąć się na jego ducha, a już szczególnie nawiedza on pewien dom na końcu wioski, tam gdzie mieszkał, i ogród dookoła, gdzie życie zakończył. Ja osobiście jestem przekonany, że ten strach przed zapuszczeniem się w las datuje się głównie od tamtego dnia. Toteż podaję wszystkie znane mi fakty, łącząc je razem w jedną opowieść. Opieram się częściowo na opowiadaniach mieszkańców St. Faith, przede wszystkim zaś na wspomnieniach Darcy'ego, który jest moim przyjacielem, a przyjaźnił się też z owym człowiekiem, będącym główną postacią poniższej historii.

Był to jeden z tych dni, gdy lato w pełni roztacza cały swój niezmacony przepych. Kiedy już słońce poczęło zniżać się ku zachodowi, piękno wieczoru z każdą chwilą stawało się bardziej krystaliczne, bardziej bajkowe. Na zachód od wioski lasy bukowe, ciągnące się na przestrzeni kilku mil ku wyżej położonym łąkom, rzuciły już zasłonę pierwszego cienia na czerwone dachy St. Faith, lecz górująca nad dachami, strzelista wieżyczka szarego kościołka wciąż jeszcze jak rozpłomieniony, ognisty palec wskazywała ku niebu. W dole rzeczka leżała płatami odbitego z góry błękitu i wyginała swój senny, kręty bieg wzdłuż skraju lasu, w tym miejscu, gdzie mostek z dwóch desek przerzucony nad wodą łączył poprzez małą wiklinową furtkę ostatni ogród wioski z pierwszymi drzewami lasu. Potem znów wydostawszy się z cienia, struga rozlewała się w płomienną wstęgę roztopionej purpury zachodu, aż niknęła gdzieś w dali w majaczących zaroślach.

Ów dom na krańcu wioski stał powyżej granicy cienia, a trawnik zbiegający ku rzece też był jeszcze tu i ówdzie upstrzony plamami słońca. Gęste kępy kwiatów w olśniewających kolorach okalały żwirowe dróżki, a do połowy ogrodu dochodziła kamienna pergola, na pół ukryta pod pnącymi różami w pełnym rozkwicie i aż fioletowa od gwiazdzistych kwiatów clematis. W dole pergoli, pomiędzy dwoma jej słupami, wisiał hamak, a na nim spoczywała jakaś męska postać.

Dom stał w pewnym oddaleniu od całej wsi i z gościńcem łączyła go jedynie ścieżka pomiędzy łąkami, w tej chwili porośłymi wysoką, wonną trawą. Dom był niski, jednopiętrowy, i tak jak ogród, zdobny bogactwem pnących róż, spod których nie było widać ścian. Od frontu miał wąski kamienny taras osłonięty markizą, gdzie w tej chwili młody służący spokojnie i bezszelestnie nakrywał stół do obiadu. Robił to zręcznie i szybko, a skończywszy, wszedł do domu; po chwili zjawił się z dużym ręcznikiem kąpielowym na ramieniu i podszedł ku hamakowi.

— Już prawie ósma, proszę pana — rzekł.

— A pan Darcy? Czy przyjechał? — zapytał głos z hamaka.

— Nie jeszcze.

— Jeżeliby mnie jeszcze nie było, gdy przybędzie, powiedz mu, że poszedłem tylko wykapać się przed obiadem.

Służący wrócił do domu, a w chwilę potem Frank Halton wolno usiadł w hamaku i stanął na trawie. Wzrostu był średniego i raczej szczupłej budowy, lecz zręczność i wdzięk jego ruchów nasuwały myśl o dużej sile fizycznej. Nawet to wstawanie z hamaka było lekkie i pełne wdzięku. Twarz i ręce miał bardzo smagłe, może skutkiem ciągłego obcowania z wiatrem i słońcem, a może, na co by wskazywały ciemne oczy i włosy, powodem była jakaś domieszka krwi południowej. Głowę miał drobną, twarz o przepięknie modelowanych rysach, zaś gładkość policzków pozwalałaby przypuszczać, że jest kilkunastoletnim chłopcem bez zarostu jeszcze. A przecież coś zdawało się temu przeczyć — może wyraz oczu, który musiał być wynikiem doświadczenia i przeżyć; całkiem więc już zdezorientowany co do jego wieku, przestawałeś się o to troszczyć i tylko z zadowoleniem pełnym podziwu przyglądałeś się temu wspaniałemu okazowi męskiej urody.

Odziany był, jak przystało na porę roku i upalną pogodę. Miał na sobie tylko rozpiętą przy szyi koszulę i flanelowe spodnie. Z gołą głową, pokrytą tylko gęstą czupryną krótkich, krętych i rozwichrzonych włosów, powędrował do kąpieli — w dół poprzez trawnik, na koniec ogrodu. Przez chwilę była cisza, potem rozległ się głośny plusk, jak gdyby ktoś rzucał się w wodę i rozgarniał ją energicznie na boki, i prawie równocześnie głośny okrzyk upojnej radości, gdy płynącemu pod prąd spieniony nurt utworzył białą krezę wokół szyi. Po jakichś pięciu minutach ciężkich zapasów z rwącym strumieniem młodzieniec przewrócił się na plecy i rozłożywszy szeroko ręce, unosił się z prądem nieruchomy i posłuszny fali. Z zamkniętymi oczyma i na pół rozchyłonymi wargami szeptał cicho do siebie:

— Jesteśmy jednym... rzeka i ja, ja i rzeka. Jej chłód i jej szum to ja... i te wodorosty, co

się w niej chwieją, to także ja. I siła moja, i członki moje... nie do mnie należą a do niej, do rzeki. I wszystko to razem jest jednym... o Fawn, ukochana rzeko...

W kwadrans później pojawił się znowu w dole trawiastej pochyłości, ubrany jak przedtem, z włosami już podsuszonymi. Zatrzymał się na chwilę, spojrzął za siebie na strumień z takim uśmiechem, z jakim zazwyczaj patrzą ludzie w twarze bliskich przyjaciół — i zwrócił się ku domowi. W tej samej chwili na taras wyszedł służący, a za nim jakiś mężczyzna, po którym znać było, że dochodzi do połowy czwartego krzyża. Frank i ów przybysz zobaczyli się równocześnie ponad krzakami i kępami kwiatów i obaj przyspieszywszy kroku stanęli nagle twarzą w twarz na zakręcie ścieżki wśród pachnących jaśminów.

— Darcy, mój drogi! — zawołał Frank. — Jakże się cieszę, że cię widzę!

Gość spoglądał nań tylko zdumiony.

— Frank! — wykrzyknął wreszcie.

— Tak, to moje imię — odparł ów ze śmiechem. — Co ci się stało?

Darcy ujął jego rękę.

— Powiedz, jakżeś to zrobił? Przecież ty jesteś z powrotem młodym chłopcem!

— Ach, mam ci mnóstwo do opowiedzenia — rzekł Frank. — Najpierw nie będziesz mógł uwierzyć w to wszystko, co ci opowiem, ale przekonam cię, zobaczysz... — Przerwał nagle i podniósł rękę. — Cyt, oto mój słowik — rzekł.

Uśmiech, którym witał przyjaciela, znikł z jego twarzy, a na miejsce uśmiechu pojawił się wyraz takiego zachwyty, z jakim kochanek słucha głosu swej umiłowanej. Wargi jego rozchyliły się lekko, ukazując rząd białych zębów, a oczy wpatrywały się w coś z takim natężeniem, że przyjacielowi wydało się, iż Frank widzi przed sobą coś niedostępnego dla wzroku zwykłych śmiertelników. Lecz jakiś szelest snadź spłoszył ptaka, bo śpiew urwał się nagle.

— Tak, mnóstwo do opowiadania... — powtórzył Frank. — Ogromnie się cieszę, że cię widzę. Ale muszę stwierdzić, że wyglądasz blado i widać po tobie zmęczenie. Zresztą nic dziwnego po takiej chorobie. Dlatego powinieneś tu pobyć tak długo, aż będziesz znowu zdolny do pracy. Teraz jest czerwiec, więc co najmniej ze dwa miesiące. Pamiętaj, że nie chcę słuchać żadnych głupstw na ten temat.

— Ależ nie mogę do tego stopnia nadużywać twojej gościnności!

Frank ujął gościa pod rękę i poprowadził go w dół ku krańcowi ogrodu.

— Nadużywać? Kto mówi o nadużywaniu? W chwili kiedy twoja obecność zacznie mnie męczyć, powiem ci to zupełnie szczerze, ale pamiętasz chyba, że gdyśmy mieszkali razem, jakoś nie przeszkadzaliśmy sobie wzajemnie. Zresztą kto to widział, mówić o odjeździe w chwili, kiedy przyjechałeś? Przejdźmy się tam aż do brzegu i wracajmy, bo już prawie pora obiadu.

Darcy wyjął papierosnicę i podsunął mówiącemu. Frank roześmiał się.

— Nie, skądże, dla mnie? Mój Boże, widać musiałem kiedyś mieć ten zwyczaj! Jakie to dziwne!

— Przestałeś palić?

— Nie mam pojęcia. Widocznie musiałem kiedyś przestać. W każdym razie nie palę teraz. Tak samo do głowy by mi to nie przyszło, jak jeść mięso.

— Jeszcze jedna niepaląca ofiara wegetarianizmu?

— Ofiara?! — wykrzyknął Frank. — Wyglądam więc na ofiarę?

Zatrzymał się nad samym brzegiem rzeczki i cichutko zagwizdał. W tej samej chwili, rozpryskując toń, nadleciała kurka wodna i podbiegła ku niemu. Frank ujął ją lekko w dłonie i pogłaskał główkę ptaszka, który ufnie tulił się do jego piersi.

— Spokojnie ci się mieszka w twym gniazdku wśród trzciny? — mówił cicho, jak by gruchał. — A twoja żona? A sąsiedzi? Wracaj spokojnie do siebie, kochanie... — i puścił ptaszynę w powietrze.

— Jaki oswojony ten ptak — powiedział Darcy z lekkim niepokojem w głosie.

— Tak, dosyć oswojony — przytaknął Frank, spoglądając, jak odlatuje.

W czasie obiadu Frank starał się przede wszystkim uzupełnić luki w swoich wiadomościach o podróżach i osiągnięciach przyjaciela, którego nie widział od sześciu lat. A owe lata, jak się okazało, były dla Darcy'ego pełne wrażeń i powodzenia. Jako portrecista wyrobił sobie imię, które wróżyło, że osiągnięta pozycja jest trwała, a nie zależna od przejściowej mody; niewiele miał też czasu na wypoczynek. Wreszcie, jakieś cztery miesiące temu, zapadł na ciężki tyfus i właśnie na skutek owej choroby przybył do tego odludnego zakątka, by nabrać sił.

— Cóż, świetnie dawałeś sobie radę — rzekł Frank, gdy przyjaciel umilkł. — Zawsze wiedziałem, że się wybijesz. Akademia... no i dalsze perspektywy. Pieniądze? Tarzasz się w złocie przypuszczalnie, ale powiedz mi, Darcy, ile szczęścia zaznałeś przez te wszystkie lata? A przecież to nasza jedyna niezniszczalna własność. I jak wiele się nauczyłeś? Nie, nie mówię o twojej sztuce. W tym może i ja doszedłbym do jakichś wyników.

Darcy roześmiał się.

— Do jakichś wyników? Mój drogi, wszystko czego się nauczyłem przez te sześć lat, ty już wtedy miałeś w małym palcu. Przecież twoje dawne obrazy coraz bardziej idą w cenę. Czy nie malujesz teraz wcale?

Frank potrząsnął głową.

— Nie, jestem zbyt zajęty.

— Ale co robisz? Powiedz mi, proszę! Stale mnie o to wszyscy pytają.

— Co robię? Ty byś prawdopodobnie powiedział, że nic nie robię.

Darcy spojrzał na rozpromienioną uśmiechem, młodą twarz naprzeciwko siebie.

— Niewątpliwie służy ci ten rodzaj zajęcia. Ale teraz czas na ciebie. Opowiedz mi coś więcej o sobie. Czytujesz dużo? Uczysz się czegoś? Pamiętam, jak mawiałeś, że to by się nam wszystkim, to znaczy nam artystom, ogromnie przydało, gdyby każdy mógł studiować jakąś jedną twarz, obserwując ją przez rok, zanim narysowałby pierwszą kreską. Może tym się zajmowałeś? Powiedz!

Frank znowu potrząsnął głową.

— Nie, mam na myśli dokładnie to, co mówię: nic nie robiłem. A przecież nigdy w życiu nie byłem tak zajęty. Zresztą spójrz na mnie. Czyż nie zrobiłem czegoś z sobą samym?

— Jesteś o dwa lata młodszy ode mnie — rzekł Darcy. — A przynajmniej zawsze byłeś. Wobec tego masz teraz lat trzydzieści pięć. Ale gdybym cię dziś widział pierwszy raz w życiu, dałbym ci najwyżej dwadzieścia. Tylko czy to warto poświęcić sześć lat czynnego życia, po to by wyglądać na dwudziestolatka? Tak by postąpiła może jakaś próżna ślicznotka, ale ty?...

Frank wybuchnął śmiechem.

— Pierwszy raz porównany zostałem do czegoś takiego. Ale nie to było celem moich zajęć. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko zdaję sobie sprawę z tego, że wywołują one i taki efekt. Jak się zastanowić, to sprawa staje się oczywista; zresztą nie to jest istotne, że moje ciało tak odmłodziło. Ważniejsze, że ja stałem się młody.

Darcy gwałtownie odsunął się z krzesłem i siedział teraz bokiem do stołu, patrząc na swego towarzysza.

— To było twoje zajęcie?

— Tak, w każdym razie jedna jego strona, Pomyśl, co oznacza młodość. To zdolność rośnięcia: umysł, ciało, dusza — wszystko rośnie, nabiera siły i coraz większej intensywności, stopniowo osiąga pełnię. A to znaczy niemało, jeśli pamiętamy, że po dojściu do pełnego rozkwitu sił, u każdego zwykłego człowieka z dniem każdym słabną więzy łączące go z życiem. Człowiek dochodzi do momentu, kiedy jest w kwiecie wieku i stan ten trwa... no, powiedzmy dziesięć lat, może dwadzieścia. Ale wreszcie ten kwiat przekwita i wolniutko, niepostrzeżenie siły zaczynają słabnąć. To są właśnie oznaki wieku w tobie, w twoim ciele, może w twej sztuce.

ce, w twym umyśle. Masz mniej energii niż dawniej. A tymczasem ja, gdy dojdę do tych lat rozkwitu... dochodzę do nich dopiero... ach, zobaczysz zresztą.

Na niebieskim welwecie nieba zaczęły się pojawiać gwiazdy, a na wschodzie, nad czarnymi zarysami wioski, tam gdzie wstawał księżyc, horyzont nabierał tonów gołębich. Nad kępami kwiatów niewyraźnie unosiły się białe ćmy i słychać było, jak noc na palcach zbliża się poprzez zarośla. Nagle Frank podniósł się.

— O, jakaż to wspaniała chwila — rzekł miękko. — Teraz, o tej właśnie porze czuję bardziej niż w jakiegokolwiek innej godzinie, że strumień życia, ten wieczysty, niezniszczalny strumień, przepływa blisko mnie, spowija mnie nieomal. Bądźmy chwilę cicho.

Postąpił ku krawędzi tarasu i z wyciągniętymi przed siebie rękoma wyjrzał na ogród. Darcy usłyszał, jak wdycha powietrze głęboko w płuca i dopiero po wielu sekundach je wydycha. Powtórzył to sześć czy osiem razy i zwrócił się znów do światła lampy.

— To co powiem, wyda ci się pewnie zupełnym wariactwem — zaczął — ale jeżeli chcesz znać całą prawdę o mnie, coś czego nikomu dotąd nie mówiłem i nie powiem, to dobrze, posłuchaj. Ale chodź do ogrodu, jeżeli tam nie jest za wilgotno dla ciebie. Nikomu jeszcze o tym nie opowiadałem, ale będzie mi miło, że to ty mnie słuchasz. Moja opowieść jest długa, próbowałem zresztą nawet jakoś usystematyzować swoje doświadczenia.

Doszli wolno do majaczącej w mroku pergoli i usiedli. Frank zaczął mówić.

— Pamiętasz, jak wiele lat temu często rozmawialiśmy o zanikaniu radości na świecie? Ustaliliśmy, że spowodowało to wiele czynników; niektóre może nawet dobre, inne zdecydowanie złe. Do tych dobrych zaliczyliśmy pewne cnoty chrześcijańskie, takie jak wyrzeczenie, rezygnacja, współczucie dla cierpienia, chęć pomocy cierpiącym. Z nich jednak wyrastały inne, gorsze: beużyteczne wyrzeczenia, ascetyzm jako cel sam w sobie, umartwianie ciała nie przynoszące żadnego pożytku i ta okropna, potworna choroba, która pustoszyła Anglię parę wieków temu i przez której dziedzictwo duchowe do dziś cierpimy — purytyzm. Cóż to była za plaga! Te stworzenia same wierzyły i innych nauczały, że radość, śmiech i uciecha są złe. Była to nauka najbardziej fałszywa i błędna. Bo jakież przestępstwa dostrzegamy dookoła nas najczęściej? Ponure twarze! Tak się przedstawia prawda.

Otóż ja przez całe życie uważałem, że przeznaczeniem człowieka jest być szczęśliwym, że najbardziej boskim ze wszystkich darów jest radość. I kiedy porzuciłem Londyn, wyrzekałem się kariery, która się przede mną otwierała, a uczyniłem to dlatego, że zamierzałem poświęcić życie kultywowaniu radości i przez stałe, wytrwałe starania być szczęśliwym. Uznałem, że wśród ludzi, w stałym kontakcie z nimi, nie jest to możliwe. W miastach, w miejscach pracy zbyt dużo było dystrakcji, a także za wiele cierpienia. Wobec tego zrobiłem krok wstecz — a może naprzód, jak zechcesz to nazwać — i zwróciłem się do Przyrody, do drzew, ptaków, zwierząt, do tego wszystkiego, co ma przed sobą jeden tylko cel, co ślepo słucha silnego, wrodzonego instynktu, by być szczęśliwym, bez zwracania uwagi na moralność, na prawa ludzkie czy boskie. Chciałem, rozumiesz, zdobyć to wszystko, całą tę radość życia tak świeżą, wprost u samego źródła, a moim zdaniem wśród ludzi nie warto prawie jej szukać, zanikła już zupełnie.

Darcy odwrócił się żywo.

— No, ale jakie są powody tej szczęśliwości ptaków i zwierząt? Zaspokojenie głodu i popędu płciowego.

Wśród ciszy rozległ się stłumiony śmiech Franka.

— Nie myśl tylko, że stałem się sensualistą. Nie, ustrzegłem się tego błędu. Sensualista bowiem sam niesie ze sobą swe przysze troski, a nogi pęta mu całun, którym wnet go samego owina. Może jestem szalony — zgoda, lecz na pewno nie aż tak głupi, żeby to miało mnie skusić. Nie, zastanów się, co zmusza szczeniaka, by uganiał się w kółko za własnym ogonem albo czemu kota tak upajają samotne nocne łągi? — Zamilkł na chwilę. — Dlatego poszedłem do Przyrody. Osiadłem tu, w tym odludziu, spokojnie i statecznie, i zacząłem obserwo-

wać. To zresztą było dla mnie początkowo najtrudniejsze: siedzieć tu spokojnie nie nudząc się, czekać bez zniecierpliwienia, być czujnym i wrażliwym na wszystko, choć przez długi czas nic szczególnego właściwie się nie zdarzyło. Zresztą rzeczywiście w tych początkowych stadiach przemiana była powolna.

— Nic się nie zdarzyło? — przerwał Darcy trochę niecierpliwie i z wyraźną niechęcią do każdej nowej idei, która dla angielskiej mentalności jest równoznaczna z bzdurą. — A cóż takiego miało się zdarzyć?

Otóż wspomnieć należy, że Frank, którego pamiętał sprzed lat, był najszlachetniejszym ale i najzapalczywszym człowiekiem; innymi słowy wpadał w szalony gniew przy najdrobniejszej prowokacji, choć trzeba przyznać, że gniew ten uspokajał się szybko, ustępując miejsca równie wybuchowej serdeczności. Toteż Darcy w tym samym momencie, gdy wymówił te słowa, już miał na języku prośbę o wybaczenie tego szorstkiego pytania. Ale było to zupełnie niepotrzebne, bo Frank znowu roześmiał się radośnie i miło.

— Och, jakże czułbym się dotknięty twym powątpiewaniem jeszcze rok temu! — rzekł. — Na szczęście pozbyłem się takich cech jak obraźliwość. Chciałbym oczywiście, żebyś uwierzył moim słowom, zresztą wiem, że uwierzysz, ale fakt iż w tej chwili okazujesz mi, że jeszcze tak nie jest, nie obchodzi mnie wcale.

— Jak widzę, twoja samotność sprawiła, że stałeś się niepodobny do człowieka.

— Ależ przeciwnie. Może właśnie więcej do człowieka, a za to troszkę mniej do małpy. Tak, to było moim pierwszym zadaniem — ciągnął dalej po chwili — to świadome i niestrudzone poszukiwanie radości, a mą metodą ochocze zapatrzenie się w Przyrodę. Jeżeli rozważać moje motywy, to niewątpliwie były one zupełnie egoistyczne, ale jeżeli sądzić po skutkach, uważam, że jest to chyba najlepsze, co człowiek może zrobić dla swych bliźnich, jako że zadowolenie jest bardziej zaraźliwe niż wietrzna ospa. A więc jak mówiłem, osiadłem tu i czekałem; przyglądałem się temu co radosne, zazdrośnie unikałem każdego smutnego widoku i stopniowo, kropla za kroplą radość tego cudownego świata zaczęła przenikać moją istotę. Potem strużka ta stawała się coraz obfitsza i gdybym teraz, drogi przyjacielu, mógł w jakiś sposób skierować na ciebie połowę choćby tego potoku radości, który zalewa mnie dniem i nocą, rzuciłbyś swój świat, sztukę, wszystko co masz, by tylko żyć, egzystować. Gdy ciało człowieka umiera, przechodzi w drzewa i w kwiaty. Ja starałem się to samo zrobić ze swoim duchem i to jeszcze zanim umrę.

Służący wyniósł z domu i postawił na stoliku pod pergolą syfony i karafki, a potem zapalił tam lampę. Frank mówiąc, pochylił się do przodu ku gościowi, a Darcy mimo swej trzeźwości i rozsądku, gotów był przysiąc, że twarz przyjaciela lśni, promienieje jakby od środka. Jego ciemnobrązowe oczy błyszcząły swym własnym światłem, bezwiedny, dziecinny uśmiech rozjaśniał i przemieniał mu twarz. Darcy poczuł się nagle radośnie podniecony.

— Mów dalej! — wykrzyknął. — Mów dalej. Mam jakieś dziwne przekonanie, że mówisz mi szczerą prawdę. Inna rzecz, że niewątpliwie jesteś szalony, ale to nic nie szkodzi.

Frank znowu się zaśmiał.

— Szalony? Tak, możesz to tak nazwać. Ale ja wolę nazywać to właśnie zdrowiem. Zresztą najmniej ważne, jak kto chce nazywać wszystko dokoła. Bóg nie przyklepa etykietek na swoich darach; po prostu daje ci je do ręki. Dla Adama w rajskim ogrodzie umieścił zwierzęta, by je sobie nazywał, jak mu się podoba.

Tak przeto, bezustannie obserwując i ucząc się od wszystkiego co radosne, zdobyłem szczęście i radość. Jednocześnie też, chłonąc je z samej Natury, zyskałem przez przypadek coś więcej, coś, czego właściwie nie szukałem. To dosyć trudno wyjaśnić, ale spróbuję.

Mniej więcej trzy lata temu siedziałem pewnego poranka w miejscu, które ci jutro pokażę. Wokół mnie, nad brzegiem rzeczki, plamy słońca i cienia kładły się na murawie, a nurt opływał kępy trzcin. Gdy tak siedziałem beczynnym, zasłuchany tylko i zapatrzone, usłyszałem nagle najwyraźniej dźwięki fletu czy podobnego jakiegoś instrumentu — dziwną, nie

kończącą się melodię. W pierwszej chwili pomyślałem, że to pewno na drodze wygrywa jakiś chłopak i nie zwracałem na to uwagi. Ale wkrótce uderzyło mnie, że melodia ta jest przedziwna i niezwykle piękna, że nie powtarza się i nie kończy; fraza za frazą rozbrzmiewały jej słodkie tony, stopniowo wznosiły się ku nieuniknionemu szczytowi... by potem znowu ciągnąć się dalej. I wtedy nagle ze zdumieniem uświadomiłem sobie, skąd ta melodia się dobywa. O dziwo, z trzciny i z nieba, i z drzew. Przepajała wszystko jak pieśń życia. To był, mój drogi Darcy, wedle greckich pojęć bożek Pan grający na piszczałce, czyli sam głos Natury. Po prostu pieśń życia, pieśń wszechświata.

Darcy siedział zbyt zasłuchany, żeby przerwać, choć miał wielką ochotę zadać jedno pytanie, więc Frank ciągnął dalej:

— Przez chwilę byłem przerażony, tak przerażony i bezradny, jak bym zobaczył senny majak. Zatykając uszy, uciekłem jak najszybciej do domu, zdyszany, drżąc dosłownie w panice. Nieświadomie, bo w owym czasie tylko radości szukałem, zacząłem, czerpiąc z Natury mą radość, poznawać bliżej Przyrodę. Przyroda, Siła, Bóg — nazywaj to zresztą, jak chcesz — musnęła mnie lekko po twarzy nicią prawdziwego życia. Zrozumiałem to, gdy opadło ze mnie przerażenie i, pokorny, pospieszyłem tam, gdzie usłyszałem przedtem piszczałkę Pana. Lecz minęło prawie sześć miesięcy, zanim znów ją usłyszałem.

— Dlaczegoż to? — spytał Darcy.

— Pewnie dlatego, że stchórzyłem. Wierzę bowiem, że tak samo jak nic na świecie nie jest bardziej szkodliwe dla ciała niż strach, tak samo nic tak nie zasklepia duszy. Żywię głębokie przekonanie, że na tym świecie strach jest tym, co wywiera najgorszy wpływ tak na ciało, które niszczy, jak na duszę, którą zuboża. Zrozum, przeraziłem się tego właśnie, co jedyne na tym świecie prawdziwie istnieje. Cóż więc dziwnego, że zjawisko to nie powtarzało się tak długo?

— A po tych sześciu miesiącach?

— Wtedy pewnego błogosławionego poranka usłyszałem znowu głos piszczałki. Tym razem już się nie przestraszyłem. Od owego dnia granie to stało się głośniejsze; słyszę je teraz coraz częściej i mogę wprawić się w taki nastrój, że mam niemal pewność, iż usłyszę głos piszczałki. A mimo to nigdy dotąd melodia się nie powtórzyła, stale jest inna, zawsze brzmi w niej coś nowego, coś pełniejszego, bogatszego, bardziej doskonałego niż poprzednio.

— Co rozumiesz przez „taki nastrój”? — zapytał Darcy.

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć; spróbuję ci najwyżej przełożyć to na język gestów.

Frank siedział przez chwilę całkiem prosto, potem osunął się wolno na oparcie, z opuszczonymi ramionami i pochyloną głową.

— Oto poza niewymuszona, ale zapraszająca, otwarta, pełna spokoju i zachęty.

Potem wyprostował się znowu.

— Jeszcze tylko słówko i zaraz przestanę cię zanudzać. Nie poruszę więcej tego tematu, chyba że sam zapytasz. Przekonasz się zresztą, że mój codzienny tryb życia jest całkiem zdrowy. Zobaczysz co najwyżej, że zwierzęta i ptaki zachowują się wobec mnie ufnie, ot jak ta kurka wodna, i na tym koniec. Będę razem z tobą chodził na spacer, jeździł konno, będę grał z tobą w golfa i rozprawiał na wszelkie tematy. Ale chciałem, żebyś od razu dowiedział się, co mi się przytrafiło. I jeszcze jedna rzecz mnie czeka.

Zamilkł na chwilę i jakby cień strachu przemknął w jego spojrzeniu.

— Przyjdzie jeszcze ostateczne objawienie niby końcowy, oślepiający grzmot, który otworzy mi raz na zawsze wrota poznania, pełnej świadomości, pełnego zrozumienia, zem jest — tak jak i ty — Życiem samym. W rzeczywistości nie istnieje nic takiego jak „ja”, „ty” czy „ono”. Wszystko, wszystko wokoło jest częścią jednego jedyne go życia. Wiem, że tak jest, tylko że nie uświadamiam sobie tego jeszcze w pełni. Ale ten dzień nadejdzie i wtedy, ufam, ujrzę Pana. Może okaże się to równoczesne ze śmiercią, śmiercią mego ciała oczywi-

ście, ale nie dbam o to. Może przekonam się, że to moje obecne życie stanie się wieczne, nieskończone. A gdy to osiągnę, mój drogi Darcy, wtedy zacznę głosić wszem wobec taką ewangelię radości, siebie ukazując jako żywe potwierdzenie prawdy mych słów, że purytanizm, ta przebrzydła religia ponurych twarzy, zniknie jak smuga dymu, rozwieje się i rozpułynie w nasłonecznionym powietrzu. Lecz wpierw muszę osiąść pełnię tej wiedzy.

Darcy uważnie przyglądał się twarzy przyjaciela.

— Boisz się tej chwili — zauważył.

Frank uśmiechnął się.

— To prawda; bystry jesteś, żeś to zauważył. Ale mam nadzieję, że pozbędę się strachu, kiedy ów moment nadejdzie.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Darcy wstał.

— Rzuciłeś na mnie jakiś urok, ty przedziwny chłopcze — rzekł. — Snujesz przede mną czarodziejską opowiastkę i nagle zdajesz sobie sprawę, że sam mówię: „Przysięgnij mi, że to prawda”.

— Przysięgam ci — usłyszał w odpowiedzi.

— Pewien jestem, że nie będę mógł zasnąć — dodał Darcy.

Frank przyglądał mu się z lekkim zdumieniem, jak by nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

— A cóż ci to szkodzi?

— Owszem, szkodzi mi. Fatalnie się czuję, gdy jestem niewyspany.

— Ależ mogę cię uspić, kiedy tylko zechcę — rzekł Frank ze znużeniem.

— Więc zrób to!

— Dobrze, idź się położyć. Przyjdę na górę za dziesięć minut.

Jeszcze przez chwilę po odejściu gościa krzątał się Frank na tarasie, przesunął stół z powrotem na werandę, zgasił lampę. Potem zwinnym krokiem ruszył na górę i wszedł do pokoju przyjaciela. Darcy leżał już, ale oczy miał szeroko otwarte i wcale nie wyglądał na sennego, więc Frank z pobłażliwym uśmiechem, z jakim spoglądałby na dziecko, usiadł na krawędzi łóżka.

— Spójrz na mnie — rzekł. Darcy usłuchał.

— Ptaki śpią w gęstwinie — zaczął Frank cicho — i wiatr już usnął. Morze śpi, a w śnie pierś jego wznosi się łagodnie ruchem fal. Gwiazdy kołyszą się lekko w swej przeogromnej niebiańskiej kołysce, a...

Umilkł nagle, zdmuchnął świecę stojącą na nocnym stoliku i zostawił gościa uspiętego głęboko.

Ranek obdarzył Darcy'ego potężnym przypiływem zdrowego rozsądku, tak świeżego i oczywistego jak promienie słońca nalewające cały pokój. Budząc się wolno, zbierał pozrywane wątki wczorajszej rozmowy, wspomnienia wieczoru, który, jak to teraz ocenił, zakończył się typowym trickiem hipnotycznym. To tłumaczyło całą sprawę; ową przedziwną rozmowę odbył właśnie pod silnym sugestywnym wpływem tego niezwykłego, wrażliwego chłopca, który ongiś był mężczyzną. Uniesienie jego, Darcy'ego, i akceptacja tak niewiarygodnych prawd też była wynikiem oddziaływania tamtej silniejszej woli na jego słabszą. Jak silna musiała być ta wola, orientował się ze swej natychmiastowej reakcji na usypiający wpływ Franka. Tak więc, uzbrojony w swój niepokonany zdrowy rozsądek, zszedł na śniadanie. Frank siedział już przy stole i z szalonym, najzupełniej prozaicznym apetytem pochłaniał ogromną porcję owsianki na mleku.

— Dobrze spałeś? — zapytał.

— Tak, oczywiście. Gdzieś ty się nauczył hipnozy?

— Nad rzeką.

— Mówiłeś wczoraj nieprawdopodobne bzdury — stwierdził Darcy głosem uszczypliwego rozsądku.

— Przypuszczalnie. Byłem trochę skołowany. Ale za to pamiętałem, żeby ci zamówić

jeden z tych okropnych dzienników. Będiesz sobie mógł czytać o giełdzie, o polityce albo o meczach.

Darcy przyjrzał mu się uważnie. W porannym świetle Frank wyglądał jeszcze bardziej świeżo, młodo, żywotnie niż poprzedniego wieczora i ten widok w jakiś nieoczekiwany sposób nadwątlił zbroję rozsądku Darcy'ego.

— Nie znam nikogo tak zdumiewającego jak ty — rzekł. — Chciałbym ci zadać jeszcze kilka pytań.

— Proszę bardzo.

Przez dzień czy dwa Darcy zasypywał przyjaciela pytaniami, wątpliwościami i zastrzeżeniami co do tej jego teorii życia; stopniowo uzyskał coś w rodzaju dokładnego i systematycznego sprawozdania z tego, co przeżył.

Jednym słowem, Frank wierzył, że oddając się całkowicie tej sile, która kieruje ruchem gwiazd i porami przyływu, która sprawia, że pąki pojawiają się na drzewach, a miłość budzi się w sercach dwojga młodych — wierzył, że w ten sposób zdołał jak nikt dotąd, osiąść podstawowy pierwiastek życia. Z każdym dniem, jak twierdził, bliższy się stawał, bardziej zespolony z samą tą przemożną siłą, która była powodem wszelkiego życia — czy się ją nazwie duchem przyrody, czy wcieleniem siły, czy też duchem bożym. On sam przyznawał się do stanowiska, które na pewno nazwano by pogańskim; wystarczyło mu, że istnieje ten podstawowy pierwiastek. Nie uwielbiał go, nie modlił się do niego, ani go nie wychwalał. Wystarczyło mu, że zawiera się on w każdej ludzkiej istocie, tak sarno jak w drzewach czy zwierzętach. Uprzytamniać sobie ten fakt i stale być tego świadomym — oto jedyny cel i zamierzenie Franka.

W tym momencie Darcy wtrącił słowo przestrogi:

— Zastanów się jednak. Przecież zobaczyć Pana, znaczyło umrzeć, wszak prawda?

Frank spojrział na niego, unosząc brwi.

— Jakież to ma znaczenie? Istotnie, Grecy tak mówili, a oni zwykle mieli rację, ale jest jeszcze druga ewentualność. Bo przecież im jestem tego bliżej, tym bardziej staję się żywotny i młody.

— Czegóż więc oczekujesz od tego ostatecznego objawienia?

— Mówiłem ci już, uczyni mnie ono nieśmiertelnym.

Lecz więcej nawet niż rozmowy i argumenty mówiło Darcy'emu o koncepcji przyjaciela jego codzienne zachowanie. Na przykład pewnego dnia, gdy przechodzili przez wioskę, z któregoś domku pokuszyła na ich spotkanie staruszka, pochylona i zgrzybiała, ale o twarzy niezwykle pogodnej. Na jej widok Frank zatrzymał się natychmiast.

— No, starowinko kochana, co słyhać dobrego?

Lecz ona nie odpowiedziała, wpatrzona starymi, przymglonymi już oczami w jego twarz. Zdawało się, że całą swą spragnioną istotą chłonie cudowny blask bijący od niego. Potem nagle położyła stare, zwiędłe ręce na jego ramionach i rzekła:

— Jak bym patrzyła w samo słońce!

Na to Frank uściśnął ją i odszedł.

Lecz niecałe sto jardów dalej zdarzyło się coś, co było dziwnym zaprzeczeniem tej serdeczności. Jakieś dziecko nadbiegające ku nim ścieżką potknęło się i upadło z głośnym krzykiem przestachu i bólu. Frank spojrział na to z przerażeniem i zatykając palcami uszy, uciekł w pośpiechu jak najdalej w drugą stronę. Nie zwolnił, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem płaczu. Darcy, zdumiony i oburzony, podążył za nim, upewniwszy się wprzód, że dziecku nic poważnego się nie stało.

— Nie znasz więc, co to współczucie?

Frank potrząsnął głową niecierpliwie.

— Czyż nie widzisz? Nie rozumiesz, że każde takie zdarzenie, każdy ból, gniew, wszystko, co przykre cofa mnie wstecz, opóźnia nadejście Wielkiej Chwili? Możliwe że potem,

kiedy to już będzie za mną, potrafię jakoś połączyć i tamtą stronę życia z moją prawdziwą religią radości. Ale teraz tego nie potrafię.

— A ta starowina? Czyż ona nie była brzydka?

Frank z wolna zaczął się uśmiechać.

— Och, nie! Ona jest taka sama jak ja. Zależało jej na radości i natychmiast zdołała ją podchwycić, kochana staruszka.

Znów nasuwało się pytanie.

— A co sądzisz o chrześcijaństwie? — spytał Darcy.

— Nie potrafię go przyjąć. Nie potrafię wyznawać religii, której zasadniczy dogmat mówi, że Bóg, będący przecież radością, musiał cierpieć. Niewykluczone, że tak było; w jakiś niewyraźny sposób nawet przypuszczam, że tak być mogło, lecz nic rozumiem, jak to było możliwe. Więc zostawmy to lepiej. Moją sprawą jest radość.

Doszli do grobli powyżej wioski; powietrze było pełne grzmiącego huku nieokiełznanej zimnej wody. Drzewa zanurzały w przejrzystym nurcie wiotkie zwisające gałązki, a łąka, na której stali, była tak usiana kwieciami jak niebo rozgwieżdżone w letnią noc. Skowronki wystrzelały pieśnią ku kryształowej kopule błękitu, a wokoło dzwoniły tysiące innych czerwcowych głosów. Frank, jak zwykle z gołą głową, z marynarką przerzuconą przez ramię i podwiniętymi rękawami koszuli, stał niby jakieś piękne dzikie zwierzę z półzamkniętymi oczami, lekko rozchylonymi wargami, pijąc pachnące, ciepłe powiewy. Raptem rzucił się w przód i padł na trawę nad brzegiem wody, ukrył twarz w gęstwie stokrotek i kluczyków i leżał tam w cichej ekstazie, rozpostarłszy ramiona szeroko. Smukłymi palcami tulił i pieścił zroszone trawy i zioła. Pierwszy to raz widział go Darcy tak zupełnie opętanego swą ideą; ta pieśczoła palców, twarz w pół schowana w trawie, nawet zarys ciała widoczny przez odzienie — wszystko to mówiło o instynkcie i witalności wyróżniających go spośród innych ludzi. Jakiś lekki odblask tego stanu musiał dojść do świadomości Darcy'ego, jakiś dreszcz czy drżenie owego leżącego ciała doszło jakoś i do niego, bo przez chwilę rozumiał — tak jak nigdy przedtem mimo tylu upartych pytań i szczerych odpowiedzi — jak realna była dla Franka jego idea, jak głęboko ją przeżywał.

Wtem mięśnie szyi leżącego napięły się. Frank lekko uniósł głowę i szepnął:

— Piszczalki Pana! To piszczalki Pana! Blisko, tak blisko!

Bardzo wolno, jak gdyby każdy gwałtowniejszy ruch mógł jakoś przerwać melodię, podniósł się wyżej i oparł na łokciu. Oczy rozwarł szeroko z takim wyrazem, jak by wzrok natężał, by ujrzeć coś bardzo odległego, a uśmiech na jego twarzy rozjaśniał się i migotał niby blask słońca na spokojnej toni — aż wreszcie to szczęsne uniesienie stało się prawie niezziemskie. Trwał tak nieruchomo w zachwycie przez kilka minut, potem wyraz zasłuchania znikł mu z twarzy; skłonił głowę z zadowoleniem.

— Och, wspaniale! Jakżeż to możliwe, że nic nie słyszałeś? Och, biedaku! Naprawdę nic nie słyszałeś?

Tydzień tego życia na powietrzu, życia tak pełnego urozmaiceń, sprawił cud, jeżeli idzie o przywrócenie Darcy'emu wigoru i zdrowia, z których okradła go kilkutygodniowa choroba. Im bardziej wracała jego normalna aktywność i ochota do życia, tym silniej sam odczuwał dziwny urok, jaki nań rzuciło cudowne odmłodzenie Franka. Ze dwadzieścia razy na dzień nagle, po dziesięciu minutach milczącego przekonywania samego siebie o absurdalności teorii przyjaciela, łapał się na tym, że mówił: „Ależ to niemożliwe, to nie może być możliwe” i z samego faktu, że tak się musiał przekonywać, wiedział, iż zwalcza i podważa przeświadczenie kielkujące już zdecydowanie w nim samym. Przecież niewątpliwie miał przed sobą widzialny, prawdziwy cud, bo równie niemożliwe było, by ten młodzieniec dochodzący zaledwie do progu męskości, mógł mieć trzydzieści pięć lat. A tymczasem było to faktem.

Lipiec zaczął się dwoma dniami ulewnego, dokuczliwego deszczu, toteż Darcy, nie

chcąc ryzykować przeziębienia, nie ruszał się z domu. Lecz Frank zachowywał się tak, jak by ta zapłakana pogoda nie miała żadnego wpływu na jego zachowanie. Całe dni bowiem spędzał identycznie tak samo jak w promieniach czerwcowego słońca. Godzinami leżał na hamaku albo na ociekającej wodą murawie, chodził na dalekie włości lasami, a za nim z drzewa na drzewo przelatowały ptaki. Wracał wieczorem przemoczony do suchej nitki, ale jak zawsze, rozplamieniony żarem radości.

— Co, zaziębienie? — parsknął śmiechem. — Zapomniałem, jak się to łapie. Przypuszczam, że organizm ludzki staje się trochę rozsądniejszy pod wpływem stałego spania na dworze. Ludzie żyjący w domach przypominają mi coś odartego, obłupanego ze skóry.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ubiegłej nocy w czasie tego potopu też spałeś na dworze?! — wykrzyknął Darcy. — Gdzie?

Frank zastanowił się przez chwilę.

— Spałem na hamaku prawie do świtu. Bo przypominam sobie, że kiedy się zbudziłem, to na wschodzie zaczynało się rozjaśniać. A potem poszedłem stamtąd... gdzież to ja poszedłem?... ach tak, na tę łąkę, gdzie tydzień temu słyszałem tak blisko piszczałki Pana. Byłeś wtedy ze mną, pamiętasz? Ale jak jest mokro, to zawsze biorę jakiś koc.

I pogwizdując poszedł na górę.

Ta krótka rozmowa, ten wyraźny wysiłek Franka, by przypomnieć sobie, gdzie spędził noc, uświadomiły nagle Darcy'emu, jak romantyczne jest to, czego niedowierzającym obserwatorem był wciąż jeszcze. Sen na hamaku, a potem o świcie spacer — kto wie, może bieg — pod wietrznym, zapłakany niebem, ku tej dalekiej, pustej łące nad groblą! Oczyma wyobraźni ujrzał wiele podobnych nocy: Frank śpiący nad samym brzegiem rzeki w miejscu, gdzie się kąpał pod prześwitującym przez gałęzie migotaniem gwiazd czy białą poświatą księżycy; nagły szelest, przebudzenie w środku nocy, może długie rozmyślenia z szeroko otwartymi oczyma, a potem wólcęga po uciszonych gęstwinach do jakiejś innej samotnej sypialni, tylko z własnym szczęściem, z głęboką radością, z Życiem przenikającym go i otaczającym dookoła, bez jakiegokolwiek innej myśli, chęci czy planu — prócz tego wiecznego, nieustannego zespolenia z szczęśliwością przyrody.

Tego dnia, właśnie w czasie obiadu, gdy rozmawiali o zupełnie innych sprawach, Darcy przerwał raptem w połowie zdania:

— Mam, wreszcie znalazłem!

— Gratuluję! — rzekł Frank. — Co takiego znalazłeś?

— Odkryłem podstawowy bezsens twojej idei. Posłuchaj tylko: cała przyroda od stworzeń najwyższych do najniższych jest pełna, przepelniona po prostu cierpieniem. Każdy żywy organizm z natury rzeczy żeruje na innym, a tymczasem ty, chcąc zbliżyć się do przyrody, złączyć się z nią zupełnie, jednocześnie pozostawiasz cierpienie na uboczu — uciekasz od niego, nie chcesz przyznać, że ono istnieje. A przy tym, jak mówisz, czekasz na ostateczne objawienie.

Frank leciutko się zachmurzył.

— No więc?

— Czy nie domyślasz się, kiedy to końcowe objawienie nastąpi? W radości, przyznaję, jesteś niedościgły. Nie wiedziałem, że człowiek w takim stopniu może opanować tę zdolność. Nauczyłeś się chyba wszystkiego, czego przyroda może nauczyć. A jeżeli — jak przypuszczasz — to ostateczne objawienie cię czeka, to ukaże ci ono strach, mękę, śmierć, ból w całej grozie i potworności. Cierpienie istnieje. Ty sam nienawidzisz i boisz się go.

Frank podniósł głowę.

— Poczekaj, daj mi pomyśleć. — Przez długą chwilę trwało milczenie. — Nigdy mi to nie przyszło do głowy — rzekł wreszcie. — Możliwe, że jest tak, jak przypuszczasz. A więc myślisz, że to by oznaczał widok Pana? Więc rzeczywiście przyroda jako całość cierpi straszliwie, w nieprawdopodobnym wprost stopniu cierpi? I ukazane mi zostanie to cierpienie? —

Podniósł się i zbliżył do Darcy'ego. — Jeżeli tak jest, to trudno. Bo widzisz, mój drogi, jestem już tak blisko, tak cudownie blisko tego rozwiązania. Dziś piszczalki dźwięczały prawie bez przerwy. Słyszałem nawet szelest wśród krzaków i pewien jestem, że to Pan się zbliżał. Widziałem, naprawdę widziałem dzisiaj, jak coś, niby ręka, usuwało w bok gałęzie i mignął mi wśród liści zarys jakiejś twarzy, twarzy nieczłowieczej. Lecz nie byłem przerażony, a w każdym razie nie uciekłem jak wtedy. — Podszedł ku oknu i zawrócił znowu.

— Tak, cierpienie jest wszędzie, a ja starałem się go nie brać pod uwagę. Może, jak mówisz, ostateczne objawienie na tym właśnie polega. W takim razie to będzie koniec wszystkiego. Obrąłem jeden kierunek i zaszedłem tą drogą zbyt daleko, nie próbując nawet badać innej. Ale wrócić już nie mogę. I nie chciałbym, nawet gdybym mógł. Nie, nie cofnąłbym się ani na krok. Jakiegokolwiek będzie to ostateczne objawienie — będzie to Bóg i tego jestem pewien.

Deszczowe dni wnet minęły. Wraz z powrotem pogody Darcy jał znowu towarzyszyć Frankowi w jego długich codziennych wędrówkach. Było niezwykle gorąco, wszystko po deszczu rozwijało się bujnie, a żywotność Franka zdawała się płonąć coraz potężniej. Raptem, jednego wieczora, jak to bywa z angielską pogodą, chmury zaczęły się zbierać na zachodzie, słońce osuwało się w dół wśród jaskrawoczerwonych, wróżących wiatr obłoczków, a cała rozpalona ziemia dysząc czekała burzy. Po zachodzie dalekie zygzaki błyskawic zaczęły mrużyć na horyzoncie, ale gdy nadszedł czas spoczynku, burza nie przesunęła się wcale bliżej, choć nieustannie słychać było niski pomruk grzmotów. Prawdziwie utrudzony po ruchliwym dniu, Darcy zapadł od razu w głęboki, męczący sen.

Obudził się niespodzianie, od razu zupełnie przytomny, i pod wrażeniem, że gdzieś blisko ogłuszająco huknął piorun. Siedział na łóżku, serce waliło mu głośno. Potem było cicho przez tę krótką chwilę, jaka jest potrzebna, by przeskoczyć strefę paniki, co leży pomiędzy snem a przebudzeniem. Słychać było tylko, jak deszcz jednostajnie szumi w gałęziach za oknem. Lecz nagle tę ciszę przeciął, rozerwał w strzępy, jakiś krzyk potwornego, rozpaczliwego przerażenia. I jeszcze raz, i jeszcze szarpnął powietrzem, a potem tylko bełkotliwe, przerażone słowa, wyłkane drżącym, ale tak dobrze znanym głosem:

— O mój Boże, Boże! O Chryste!

Potem zabrzmiał jeszcze — ni to śmiech, ni to pogardliwe parsknięcie — i znowu cisza. Tylko deszcz szumiał w gałęziach.

Wszystko to trwało jedną krótką chwilę; Darcy, nie tracąc czasu na ubieranie się czy zapalanie świecy, był już przy drzwiach i szukał klamki. Otworzywszy drzwi, ujrzał przed sobą wystraszonego służącego, który trzymał światło.

— Słyszałeś?

— Tak. To głos mego pana — odpowiedział. Twarz miał wyblakłą, przerażająco białą i bez wyrazu.

Przez pokój stołowy, gdzie już było nakryte do śniadania, wybiegli na taras. Deszcz musiał w tej chwili ustać, jak by ktoś w niebie zakręcił kran. Pod niskim, czarnym sklepieniem (nie w zupełnej ciemności jednak, bo gdzieś tam za zasłoną ciężkich chmur sunął księżyc) Darcy zagłębił się w gąszcz ogrodu, a za nim służący ze świecą. Jego własny, ogromny cień skakał przed nim na trawie; powietrze ciężkie było od nieuchwytnej woni róż i lilii i mocnego zapachu wilgotnej ziemi, ale najsilniej czuć było w ogrodzie jakąś przenikliwą, ostrą woń, która podświadomie skojarzyła mu się w myśli z dawnym noclegiem gdzieś w Alpach, w górskim szałasie.

W prawie zupełnej ciemności mgliście rysowało się otoczenie; migotanie świeczki z tyłu też wiele nie pomagało, dostrzegł jednak, że w hamaku, zwykle zajmowanym przez Franka, ktoś się znajduje. Widać było smugę białej koszuli, jak by jakiś człowiek siedział w hamaku, ale cały prawie przysłonięty cieniem. Im bliżej hamaka, tym kwaśny odór stawał się intensywniejszy.

Darcy był już oddalony tylko o kilka jardów, gdy nagle wydało mu się, że ów czarny cień skacze w górę, potem opada z łoskotem twardych kopyt na kamienną ścieżkę pod pergolą i w dzikich susach gna w zarośla. Teraz już Darcy mógł dostrzec zupełnie wyraźnie, że na hamaku ktoś siedzi, ktoś w białej koszuli. Z przerażenia na myśl o tym czymś niewiadomym, Darcy aż przystanął na sekundę, tak że gdy służący się z nim zrównał, razem dobiegli do hamaka.

Tak, to był Frank. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie i siedział z założonymi rękoma. Przez sekundę mieli przed sobą jego twarz zastygłą w potworną, wykrzywioną przerażeniem maskę. Górna warga w strasliwym grymasie odsłaniała zęby i dziąsła, a oczy wpatrywały się nie w nadchodzących, ale w coś całkiem bliskiego. Siedział z rozszerzonymi nozdrzami, dysząc jak by brakło mu tchu, a nieludzkie przerażenie, wstręt i śmiertelna męka wyryły potworne linie na jego gładkich licach i czole. I nagle, w ich oczach, opadł do tyłu, aż sznury hamaka napięły się mocniej.

Darcy wziął go na ręce i wniósł do domu. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje jakieś lekkie drżenie w tym cieple, które tak ciężko zwisało mu w ramionach, ale gdy doszli do domu, okazało się, że życie już zeń uleciało. Lecz ów potworny wyraz przerażenia i bólu znikł z twarzy Franka i gdy Darcy złożył na podłodze swoje brzemie, był to już tylko chłopiec znużony zabawą, lecz jeszcze wciąż uśmiechający się do niej we śnie. Oczy miał zamknięte i spoczywał tak, przepiękny, z uśmiechniętą twarzą jak tamtego ranka na łące, gdy ta sama twarz drgała radosnym uniesieniem. Obejrzelik dokładnie ciało.

Poprzedniego wieczora Frank powrócił ze swej zwykłej kąpieli ubrany, jak zawsze, tylko w koszulę i spodnie. Nie przebierał się, i Darcy przypomniał sobie teraz, że w czasie obiadu podwinął rękawy koszuli powyżej łokci. Potem, gdy po południu siedzieli na tarasie z trudem oddychając w dusznym powietrzu, rozpiął jeszcze koszulę z przodu, by się choć trochę ochłodzić. Rękawy były zawinięte i teraz, a koszula rozpięta. Zarówno na rękach jak i na piersiach Franka zauważyli dziwne plamy, które stawały się z każdą chwilą wyraźniejsze i bardziej niewątpliwe, aż wreszcie obaj zrozumieli. Przypominało to wielkie ślady kopyt, jak by stratowała go jakaś ogromna koza.

Przełożyła Krystyna Jurasz-Dąbbska

HECTOR HUGH MUNRO

Hector Hugh Munro (1870—1916), pisujący pod pseudonimem Saki, urodził się w Burmie Jako syn urzędnika policyjnego szkockiego pochodzenia i sam przez pewien czas służył w policji burmańskiej. Ze względu na ciężki klimat powrócił do Anglii, gdzie poświęcił się karierze dziennikarskiej. Jednocześnie pisał dowcipne i złośliwe opowiadania humorystyczne i fantastyczne, zebrane w tomach „Kroniki Clovisa” (1911) i „Bestie i arcybestie” (1914, z tego zbioru pochodzą „Otwarte drzwi”). Głośna była także jego powieść satyryczna „Nieznośny Bassington” (1912). Munro zginął śmiercią żołnierską podczas pierwszej wojny światowej.

OTWARTE DRZWI

— Ciocia za chwilę zejdzie, proszę pana, a tymczasem musi się pan zadowolić moim towarzystwem — oświadczyła młoda, pewna siebie osóbką lat piętnastu.

Framton Nuttel usiłował znaleźć w odpowiedzi jakiś stosowny zwrot, który będąc odpowiednim komplementem dla obecnej siostrzenicy, nie przyniósłby równocześnie ujmy

ciotce, która miała nadejść. W duchu zwątpił teraz bardziej niż kiedykolwiek, czy te formalne wizyty składane po kolei zupełnie obcym ludziom, pomogą mu wyleczyć nerwy. Przyjechał tu przecież dla kuracji.

„Wiem, jak to będzie — mówiła jego siostra, kiedy przygotowywał się do przenosin na wiejskie ustronie — zagrzebiez się gdzieś w jakiejś dziurze i nawet słowa do nikogo nie przemówisz. A nerwy to ci się z nudów jeszcze bardziej rozstroją. Muszę ci dać parę listów wprowadzających do moich tamtejszych znajomych. Niektórzy z nich byli całkiem sympatyczni, jak sobie przypominam”.

Framton był ciekaw, czy pani Sappleton, której właśnie oddał list od swojej siostry, należała do tych sympatycznych...

— Czy ma pan wielu znajomych w tych stronach? — spytała siostrzenica stwierdziwszy widać, że wystarczająco długo trwało milczenie.

— Nie znam tu żywej duszy — odrzekł Framton. — Moja siostra przebywała na tutejszym probostwie przed czterema laty i dała mi teraz parę listów wprowadzających do swoich znajomych. — Ostatnie zdanie wypowiedział z wyraźnym żalem.

— Więc nie wie pan nic o mojej ciotce? — kontynuowała rezolutna panna.

— Znam tylko jej nazwisko i adres — odrzekł gość. Zastanawiał się, czy pani Sappleton jest mężatką czy wdową. W atmosferze mieszkania wyczuwał coś nieokreślonego, co wskazywało na obecność mężczyzny.

— Ta wielka tragedia, która ją spotkała, zdarzyła się równo trzy lata temu — powiedziała dziewczynka. — To chyba było już po wyjeździe pańskiej siostry?

— Tragedia? — zdziwił się Framton. W tym spokojnym wiejskim ustroniu tragedie wydawały mu się co najmniej nie na miejscu.

— Pan się pewno dziwi, dlaczego trzymamy drzwi do ogrodu otwarte, choć już październik i wieczór się zbliża. — Mówiąc to, wskazała na szerokie, oszklone drzwi, wychodzące na trawnik.

— Test jeszcze całkiem ciepło jak na tę porę roku — zauważył Framton. — Ale czy te drzwi mają coś wspólnego z tragedią?

— To właśnie przez nie wyszli dokładnie przed trzema laty cioci mąż i jej dwaj młodszy bracia, idąc na polowanie, z którego nigdy nie wrócili. Droga na ich ulubiony teren polowań na bekasy wiodła przez moczary. Utopili się wszyscy trzej. Wciągnęło ich zdradzieckie bagno. Wie pan, to było po tym mokrym lecie i miejsca zupełnie dawniej bezpieczne tym razem niepostrzeżenie usuwały się spod nóg. Ciało nie zdołano odnaleźć i to właśnie było najokropniejsze.

Tu głos dziewczynki zatracił dotąd opanowany ton i stał się jakiś nieporadny, ludzki.

— Biedna ciocia ciągle myśli, że oni wrócą któregoś dnia, a razem z nimi mały, brązowy wyżeł, który także zginął. Ciocia łudzi się, że jak zwykle, wejdą właśnie tędy, przez te drzwi. Dlatego drzwi są zawsze otwarte, cały wieczór aż do zmierzchu. Biedna, kochana ciocia, często wspomina, jak to jej mąż wychodząc miał biały nieprzemakalny płaszcz przerzucony przez ramię, a Ronnie, jej najmłodszy brat, śpiewał „Ninon, ach uśmiechnij się” po to tylko, by ją rozzłościć, bo zawsze mówiła, że jej ta piosenka działa na nerwy. Wie pan, że czasami w ciche, spokojne wieczory, takie jak ten na przykład, wydaje mi się, że oni zaraz wejdą przez te drzwi i czują, jak skóra na mnie cierpnie.

Przerwała, lekko się wzdrygając... Z prawdziwą ulgą powitał Framton wejście ciotki, która wpadła do pokoju z całą masą przeprosin, że się tak późno zjawia.

— Mam nadzieję, że Wera pana zabawiła — powiedziała ciotka.

— O tak, mówiła o bardzo interesujących rzeczach — odpowiedział Framton.

— Chyba nie przeszkadzają panu otwarte drzwi? — kontynuowała żywo pani Sappleton. — Mój mąż i bracia mają wrócić z polowania i zawsze wchodzi tymi drzwiami. Poszli dziś na moczary polować na bekasy; wyobrażam sobie, jak mi zabrudzą dywan... Pod tym

względem wszyscy mężczyźni są jednakowi, prawda?

Trzepała rozkosznie to o polowaniu, to o tym, że ptaki wodne są coraz radsze, to znowu o perspektywach odstrzału kaczek tej zimy. Framton słuchał przerażony. Podjął rozpaczliwy, lecz tylko częściowo skuteczny wysiłek, żeby skierować rozmowę na mniej okropny temat. Zdawał sobie sprawę, że pani domu słucha go tylko mimochodem, a wzrok jej wciąż go omijał, utkwiony w otwarte drzwi i trawnik. Był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że złożył wizytę właśnie w samą rocznicę tragedii.

— Lekarze zgodzili się co do tego, że potrzebny mi jest całkowity odpoczynek, wystrzeżenie się wszelkich wzruszeń i unikanie jakichkolwiek wysiłków fizycznych — oświadczył Framton w przekonaniu, które jest równie powszechne jak fałszywe, iż zupełnie obcy sobie ludzie, względnie przypadkowi znajomi ciekawi są najdrobniejszych szczegółów czyichś chorób, ich przyczyn i leczenia. — Natomiast jeśli idzie o dietę, to już nie są tak bardzo zgodni — kontynuował Framton.

— Ach nie? — powiedziała pani Sappleton takim głosem, jak gdyby w ostatniej chwili udało jej się pohamować ziewnięcie. Nagle, z ożywieniem wywołanym bynajmniej nie tym, co mówił Framton, zawołała. — No, są nareszcie! I to akurat na podwieczorek! Oczywiście zabłoceni po czubek nosa...

Framton lekko zadrżał i z miną wyrażającą pełne zrozumienia współczucie zwrócił się ku siostrzenicy. Dziewczynka patrzyła przez otwarte drzwi, a w oczach jej malowało się widoczne przerażenie. Wstrząśnięty dreszczem niewytłumaczonego lęku, Framton spojrział w tym samym kierunku. W zapadającym zmierzchu trzy męskie postacie zbliżały się przez trawnik ku drzwiom. Wszyscy trzej nieśli strzelby pod pachą, a jeden z nich miał jeszcze biały płaszcz narzucony na plecy. Zmęczony brązowy wyżeł dreptał u jego nóg. W milczeniu zbliżali się do domu i naraz młody, ochrypliły głos zabrzmiał w mroku piosenką „Ninon, ach uśmiechnij się...” Framton porwał laskę i kapelusz i rzucił się do ucieczki, mijając na oślep drzwi do hallu, żwirowany podjazd i frontową bramę. Uciekał na leb, na szyję. Rowerzysta jadący właśnie szosą, musiał skrócić w żywopłot, by zapobiec niechybnemu zderzeniu. Mężczyzna w białym płaszczu wszedł szklanymi drzwiami, wołając:

— No, jesteśmy nareszcie, zabłoceni szpetnie, ale błoto zdążyło już obeschnąć. A kim był ten pan, co się tak nagle ulotnił?

— To bardzo dziwny człowiek. Nazywa się Nuttel — powiedziała pani Sappleton. — Mówił tylko o swojej chorobie i uciekł bez słowa pożegnania czy przeproszenia w momencie, kiedyście nadeszli. Zupełnie jak by zobaczył ducha.

— Pewnie się zląkł wyża — wtrąciła spokojnie siostrzenica. — Mówił mi, że panicznie boi się psów. Kiedyś w Indiach opadła go sfora dzikich psów i gnała brzegami Gangesu aż na cmentarz. Całą noc spędził w świeżo wykopanym grobie, a te bestie sterczały nad nim warcząc, piniąc się i szczerząc zęby. Po takim przejściu każdemu by nerwy odmówiły posłuszeństwa.

Improwizacja na poczekaniu to była jej specjalność.

Przełożyła Zdzisława Lewikowa

SPIS TREŚCI

Przedmowa	002
Walter Scott OPOWIEŚĆ KOBZIARZA (Wandering Willie's Tale) <i>przetłoczyła Krystyna Jurasz-Dąmbska</i>	003
William Austin PETER RUGG, ZAGINIONY (Peter Rugg, the Missing Man) <i>przetłoczyła Krystyna Jurasz-Dąmbska</i>	014
Washington Irving UPIORNY NARZECZONY (The Specter Bridegroom) <i>przetłoczyła Aldona Szpakowska</i>	031
Edward Bulwer-Lytton DUCHY I LUDZIE (The Haunters and the Haunted) <i>przetłoczyła Zofia Uhrynowska</i>	039
Nathaniel Hawthorne CÓRKA RAPPACCINIEGO (Rappaccini's Daughter) <i>przetłoczyła Aldona Szpakowska</i>	060
Edgar Allan Poe STUDNIA I WAHADŁO (The Pit and the Pendulum) <i>przetłoczył Stanisław Wyrzykowski</i>	076
Charles Collins i Charles Dickens PROCES O MORDERSTWO (The Trial for Murder) <i>przetłoczyła Aldona Szpakowska</i>	084
Willkie Collins PRZERAŻLIWE ŁOŻE (A Terribly Strange Bed) <i>przetłoczyła Aldona Szpakowska</i>	091
Fitz-James O'Brien CO TO BYŁO? (What Was It?) <i>przetłoczyła Zofia Dąbrowska</i>	097
Margaret Oliphant OKNO BIBLIOTEKI (The Library Window) <i>przetłoczył Aleksander Bogdański</i>	104
Frank R. Stockton OPOWIEŚĆ O SILE UJEMNEGO CIAŻENIA (A Tale of Negative Gravity) <i>przetłoczyła Zofia Uhrynowska</i>	131
Thomas Hardy TRZEJ NIEZNAJOMI (The Three Strangers) <i>przetłoczyła Zdzisława Lewikowa</i>	143
Ambrose Bierce CZŁOWIEK I WAŻ (The Man and the Snake) <i>przetłoczył Jerzy Krzysztoń</i>	156
Henry James SIR EDMUND ORME (Sir Edmund Orme) <i>przetłoczyła Zofia Dąbrowska</i>	160
Robert Louis Stevenson MARKHEIM (Markheim) <i>przetłoczył Roman Zrębowicz</i>	177
F. Marion Crawford WRZESZCZĄCA CZASZKA (The Screaming Skull) <i>przetłoczył Aleksander Bogdański</i>	188
Vernon Lee AMOUR DURE (Amour Dure) <i>przetłoczył Włodzimierz Haack</i>	206
Joseph Conrad IL CONTE (Il Conte) <i>przetłoczył Leon Piwiński</i>	223
Montague Rhodes James UROKI (Casting the Runes) <i>przetłoczyła Zofia Dąbrowska</i>	233
Edith Wharton PÓZNIEJ (Afterward) <i>przetłoczył Aleksander Bogdański</i>	245
Edward Frederic Benson O CZŁOWIEKU, KTÓRY PRZEHOLOWAŁ (The Man, Who Went Too Far) <i>przetłoczyła Krystyna Jurasz-Dąmbska</i>	265
Hector Hugh Munro (Saki) OTWARTE DRZWI (The Open Window) <i>przetłoczyła Zdzisława Lewikowa</i>	277